

ADLER JANKIEL AJZENSZŁOS ALTER
ALPERIN ARON BAJGELMAN DAWID
BARCZYŃSKI HENRYK (HENOCH)
BARUCHIN ELI BERG JEHUDIT
BIMKO FISZEL BORNSTAJN
MENACHEM BRAUNER ICCHAK
BRODERSO MOJŻESZ BRUDNY
SZMUL BRZUSTOWSKI CHAIM JANKIEL
CZĘSTOCHOWSKA SZOZANA
DANIELEWICZ HERSZ DOBRANICKI
ADOLF DŻIGAN SZYMON FRANKENTAL
MORDECHAJ FRIEDMAN FILIP FUKS
CHAIM LEJB GELBART MENDEL
GOLDHAR PINKUS HAMBURSKI
EMANUEL HOFMAN ALTER JANASOWICZ
ICCHAK KACENELSON ICCHAK KACZKA
JANKIEL KAHAN LAZAR KARP PEREC
KARP RUBEN KOHEN CWI KON OSZER
KUPERSZMIDT LEJB LICHTENSTEIN IZRAEL
LIPSTEIN RAHEL LUSTERNIK MALKIEL
MASTBAUM JOEL MINC PINKUS
NAJMAN JECHESKIEL MOJSZE
NOMBERG HERSZ DAWID OKRUTNY
JOSEF PILCER JOJNE POZNAŃSKI
IZRAEL PRUSSAK ABRAM PUŁAWER
MOJŻESZ RABON IZRAEL
RADOSZYCKI ICCHAK HERSZ
SILBERSTEIN MARKUS SMOLARZ
MOSZE JOSEF STERLING SEWERYN
SZAJEWICZ SYMCHA BUNIM
SZUMACHER IZRAEL SZYKIER EZRA
TRAJSTMAN SIMCHA TRUNK
JECHIEL JESZAJA UGER
JESZAJA ULINOWER MIRIAM
WEISENBERG ICCHAK MAJER
WODNIK CHAIM ZYLBERCWAJG
ZALMEN ZYTMAN DAWID ŻYTNICKI
HERSZ LEJB

**WŚRÓD
ŁÓDZKICH
ŻYDÓW**

pod redakcją

Dariusza Dekiarta
Krystyny Radziszewskiej
Ewy Wiatr

**WŚRÓD
ŁÓDZKICH
ŻYDÓW**

Wspomnienia
o mieście
młodości

Seria Kultura Literacka Łodzi

Rada Naukowa serii

Katarzyna Badowska
Tomasz Cieślak
Dariusz Dekiert
Karolina Kołodziej
Monika Kucner
Krystyna Pietrych
Krystyna Radziszewska
Anna Warda
Ewa Wiatr



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

WŚRÓD ŁÓDZKICH ŻYDÓW

Wspomnienia
o mieście
młodości

pod redakcją

Dariusza Dekiertha
Krystyny Radziszewskiej
Ewy Wiatr

Dariusz Dekiert (ORCID: 0000-0001-8371-1438)
Krystyna Radziszewska (ORCID: 0000-0002-6508-9742)
Uniwersytet Łódzki, Wydział Filologiczny, Zakład Niemcoznawstwa
90-236 Łódź, ul. Pomorska 171/173

Ewa Wiatr (ORCID: 0000-0003-2675-0726)
Uniwersytet Łódzki, Wydział Filozoficzno-Historyczny, Centrum Badań Żydowskich
90-219 Łódź, ul. A. Kamińskiego 27a

Recenzentki
Joanna Degler, Joanna Nalewajko-Kulikov

Redaktor inicjujący
Urszula Dzieciatkowska

Redaktor Wydawnictwa UŁ
Piotr Pietrych

Skład i łamanie
Adam Sitarek

Korekta techniczna
Leonora Gralka

Projekt okładki
Polkadot Studio Graficzne Aleksandra Woźniak, Hanna Niemierowicz

Publikacja powstała w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki pod nazwą
Narodowy Program Rozwoju Humanistyki w latach 2015–2023 nr 0100/NPRH4/H1a/83/2015



© Copyright by Authors. Łódź 2023
© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2023

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
Wydanie I. W.10697.22.0.K
Ark. wyd. 22,8; ark. druk. 20,375

ISBN 978-83-8220-994-5; e-ISBN 978-83-8220-995-2

<https://doi.org/10.18778/8220-994-5>

Publikacja jest udostępniona na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 4.0 (CC BY-NC-ND)

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
90-236 Łódź, ul. Matejki 34A
www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl
tel. (42) 635 55 77

SPIS TREŚCI

Dariusz Dekiert, Krystyna Radziszewska, Ewa Wiatr

Od redakcji 9

Josef Okrutny

Bałuccy tkacze (przełożyli: Anna Szyba oraz Dariusz Dekiert)

Wstęp 15

Na krańcu świata 17

Mosze Inowłodzki 19

Opowieść o szczęściu 25

Złote miasto 28

Nowe zajęcie 32

Miasto jest duże i szerokie 34

Ojciec i syn 36

Symcha Bunim i jego przyjaciel Szachna 40

Ulica Pieprzowa 43

Plac Jojne Pilcera 45

Z opowieści tkaczy 50

Pinkus Minc

Łódź w moich wspomnieniach. Fragmenty z dzieciństwa i młodości

(przełożył Dariusz Dekiert)

Podwórko przy naszej ulicy 59

Pijacy i prostytutki na naszej ulicy 67

Szabatowe ulice 71

Z chederu do szkoły 72

Wojna rosyjsko-japońska 76

Epizody z roku 1905 w Łodzi 78

My, dzieci, uczestniczymy w strajku szkolnym 81

Atmosfera na ulicy 82

Walka z „wesołymi domkami” 84

Żydowska samoobrona 85

Mord na synu Silbersteina. Generał Kaznakow zostaje gubernatorem 86

Ulica Cegielniana 88

Gmina Żydowska w Łodzi 101

Wydział Pogrzebowy w gminie 107

Stary i nowy cmentarz 112

Blok chasydzko-asymilatorski w gminie 115

Pomoc socjalna w gminie 120

Szymon Dżigan

Siła żydowskiego humoru (przełożyła Magdalena Ruta)*Polska* 129

Mojżesz Puławer

Ararat i łódzkie indywidualności (przełożyli: Julia Makosz oraz Dariusz Dekiert,

Natalia Krynicka, Krystyna Radziszewska)

Koła dramatyczne w Łodzi 185*Koło dramatyczne Undzer Winkl* 188*Dawid Bajgelman – kompozytor Araratu* 189*Iza Harari (Wajnberg)* 191*Czterech Mojżeszów* 192*Henoch Kon – kompozytor i konferansjer* 194*Izrael Szumacher* 197*Łódzki „Hazomir”* 198*Humorysta Obarżanek* 199*Teatr Marionetek* 201*Astoria, Brudny Szmul i ich stali goście* 202*Żydowscy muzykanci podwórkowi w Łodzi* 204*Ślepy Maks* 206*Berke – śpiewak podwórkowy z laską* 208*Kataryniarze* 210*Ulica Pieprzowa* 213

Icchak Goldkorn

Łódzkie portrety. Zamordowani pisarze języka jidysz i inne postacie

(przełożyli: Dariusz Dekiert, Agata Reibach, Magdalena Ruta)

Mosze Broderson 217*Miriam Ulinower* 225*Mosze Josef Smolarz* 227*Alter Hofman* 233*Chaim Wodnik* 236*Herszele „Zohar”* 240

Icchak Janasowicz

Łódzkie lata (przełożyła Natalia Krynicka)*Izrael Rabon: szkic do portretu* 243

Chaim Lejb Fuks

Łódź na wysokościach (przełożyli: Agata Reibach, Dariusz Dekiert)*Jankiel Lerer – autor bajek ludowych* 262*Pierwsze periodyczne wydawnictwa i ich współpracownicy* 264*Łódzka prasa codzienna i jej współpracownicy* 266

<i>Miriam Ulinower i jej krąg literacki</i>	284
<i>Pod niemiecką okupacją</i>	286
<i>W niepodległej Polsce</i>	293
<i>Salon literacki Icchaka Kacenelsona</i>	296
<i>Periodyki</i>	300
<i>Mojżesz Broderson i łódzkie grupy literackie</i>	303
Izrael Rabon	
<i>Zapiski z 1939 roku</i> (przełożyła Monika Polit)	307
<i>Wykaz skrótów</i>	315
<i>Indeks nazwisk</i>	317

OD REDAKCJI

Prezentowany zbiór wspomnień dawnych mieszkańców Łodzi żydowskiego pochodzenia to próba przybliżenia współczesnym czytelnikom roli, jaką Łódzcy Żydzi odgrywali w życiu miasta, w tym ich oryginalnej aktywności kulturalnej. Teksty wspomnieniowe, które należą do kategorii tekstów autobiograficznych, cieszą się rosnącym zainteresowaniem badaczy i coraz częściej wykorzystywane są jako źródło w różnych dziedzinach nauk społecznych i historycznych. Dzięki nim zarówno naukowcy, jak i zwykli czytelnicy mają bezpośredni dostęp do świata wartości, wyobrażeń, mentalności poszczególnych jednostek, do wiedzy dotyczącej społeczeństwa w danym miejscu i czasie. Jak zauważa niemiecki badacz Wienfried Schülze, dzięki tekstom wspomnieniowym jesteśmy bliżej ludzi żyjących w danym momencie historycznym¹. Dotyczy to szczególnie grup marginalizowanych przez historiografię, które nie zajmowały eksponowanych miejsc w danej społeczności. Korzystanie z tego rodzaju źródeł jest pisanem historii „od dołu”, drogą od mikrohistorii do makrohistorii. Teksty wspomnieniowe i autobiograficzne należą do zbioru dokumentów osobistych, nazywanych też ego-dokumentami. Mieszczą się w nim obok wspomnień, dzienników, listów także m.in. różnego rodzaju dokumenty, życiorysy, fotografie, nekrologii czy też wywiady prasowe, które dostarczają wiedzy o tym, jak ich autor i/lub bohater postrzegał siebie w rodzinie, w najbliższej wspólnotie czy w obrębie całego społeczeństwa. Nawet jeśli takie dokumenty osobistego świadectwa mają ograniczone znaczenia dla ustalenia faktów historycznych, ich niezaprzeczalnym atutem jest szczególne prezentowanie rzeczywistości, którego wartością nie musi być faktograficzna poprawność, są nią natomiast utrwalone emocje, subiektywne spojrzenie autora. Ich problematyczność na poziomie faktografii wynika przede wszystkim z subiektywizmu. Na inne przyczyny faktograficznych usterek zwrócił uwagę Władysław Czapliński, wymieniając trzy podstawowe: zawodność pamięci, naturalną tendencję do przedstawienia własnej osoby w dobrym świetle oraz częste uleganie własnym sympatiom i antypatiom w stosunku do innych osób².

Łódź przełomu XIX i XX wieku oraz pierwszych dziesięcioleci wieku XX to bardzo szybko rozwijająca się metropolia przemysłowa, a jednocześnie – miasto wielokulturowe. W opracowaniach często czytamy o Łodzi jako o tyglu, w którym mieszkali obok siebie Polacy, Niemcy i Żydzi, czego ikonicznym symbolem stali się bohaterowie *Ziemi Obiecanej* Władysława Reymonta. Byli także (do 1914 roku) Rosjanie – Łódź znajdowała się wtedy na terenie zaboru rosyjskiego, z czym łączyła się obecność carskich urzędników.

¹ W. Schülze, *Ego-Dokumente. Annäherung an den Menschen in der Geschichte*, [w:] *Ego-Dokumente. Annäherung an den Menschen in der Geschichte*, red. W. Schülze, Berlin 1996, s. 11.

² W. Czapliński, *Pamiętnik jako źródło dla historyka nowożytnego*, „Pamiętnikarstwo Polskie” 1972, nr 2, s. 2.

Niemniej oficjalną siedzibą gubernatorstwa był Piotrków Trybunalski, a język rosyjski, choć urzędowy, był powszechny głównie wśród Żydów pochodzących z zachodnich guberni imperium rosyjskiego, zwanych litwakami. Łódź to również miejsce konfliktów wywołanych gwałtownym wzrostem głębokich podziałów społecznych – rosnących fortun bogatych fabrykantów i pogłębiającej się biedy bałuckich zaułków. W tej przemysłowej metropolii urodziło się lub mieszało bardzo wielu żydowskich twórców. W strukturze ludnościowej Łodzi do 1939 roku ludność żydowska liczyła około 30%. Podobnie jak pozostali mieszkańcy Żydzi byli bardzo zróżnicowani pod względem zamożności oraz poziomu edukacji, lecz również poglądów politycznych czy podejścia do religii i tradycji. Część, szczególnie ci najbogatsi, ulegała procesom asymilacji, inni próbowali tworzyć nową żydowską tożsamość w oparciu o świeckie wykształcenie i światopogląd. Niemala grupa pozostała jednak wierna tradycyjnym wartościom, próbując dostosować swoją religijność do dynamicznie zmieniającego się, nowoczesnego świata. Charakterystyczną cechą społeczności żydowskiej była wielojęzyczność, co znajdowało wyraz w różnego rodzaju wydawnictwach. Jej przedstawiciele pisali w języku hebrajskim, także na tematy świeckie, pisali również po polsku i po niemiecku, publikując w tych językach książki, czasopisma oraz artykuły w łódzkich gazetach. Szczególnym i znaczącym fenomenem była zwłaszcza twórczość w języku jidysz, który stał się językiem rodzącej się nowoczesnej żydowskiej kultury, awansując z pozycji „żargonu”, traktowanego pogardliwie nieraz przez samych Żydów, zwłaszcza zwolenników Oświecenia, do roli pełnoprawnego języka społecznej komunikacji, a także oryginalnej i wybitnej twórczości literackiej. W Łodzi w stosunkowo krótkim okresie międzywojennym powstał imponujący zbiór publikacji w jidysz, obejmujący kilkaset książek, almanachów, czasopism artystycznych; w tym języku odbywały się też niezliczone odczyty, wieczory literackie i inne uroczystości. Również łódzka prasa codzienna w jidysz była miejscem, gdzie publikowano utwory całej rzeszy twórców – zarówno tych uznanych, jak i młodych debiutantów. Z łódzkimi jidyszowymi dziennikami, szczególnie z „Łodzer Togblat”, współpracowali w latach 1907–1915 wybitni twórcy literatury żydowskiej, także spoza Łodzi, dziennik ten stał się „prawdziwą trybuną pisarzy żydowskich”³; w międzywojennym dwudziestoleciu podobną rolę pełnił dziennik „Najer Folksblat”. W Łodzi powstawały żydowskie grupy teatralne i artystyczne, często o bardzo nowatorskim charakterze. Ale choć szczególnie charakter miasta sprzyjał unikalnym inicjatywom, nie dawał im jednocześnie możliwości długiego trwania. Składały się na to wielorakie przyczyny, do głównych na pewno można zaliczyć brak stałego finansowego zaangażowania mecenasów oraz zmienne zainteresowania odbiorców. Jako młode, przemysłowe miasto Łódź nie miała instytucji kulturalnych o długiej tradycji, które mogłyby stać się wsparciem dla lokalnych twórców i ich inicjatyw. Te okoliczności sprawiały, że bardzo wielu z nich opuszczało Łódź⁴.

³ G. Rozier, *Mojżesz Broderson. Od Jung Idysz do Aranatu*, tłum. J. Ritt, Łódź [2008], s. 12.

⁴ Obrazowo przedstawił to w swoim tekście łódzki dziennikarz i pisarz Eli Baruchin, zob. E. Baruchin, *Łódź eksportuje manufakturę i artystów*, „Almanach. Rocznik »Naszego Przeglądu«” 1939, s. 146–148.

Zamysłem redaktorów trzeciej antologii powstałej w ramach badań nad kulturą literacką Łodzi do 1939 r. było zaprezentowanie wspomnień pokazujących bujne życie żydowskiej społeczności miasta. Wszyscy autorzy wspomnień funkcjonowali w kręgu języka jidysz, w tym też języku ich teksty zostały napisane.

Na tom składają się fragmenty publikacji ośmiu autorów, co czyni go najpełniejszym wydanym po polsku zbiorem wspomnieniowym związanym z Łodzią autorów jidyszowych. Dotąd czytelnicy mieli możliwość poznania wybitnych pod względem literackim tekstów pisarza Jechiela Jeszai Trunka⁵. W publikacji *Łódzkie sceny żydowskie* znalazły się teksty wspomnieniowe Abrahama Morewskiego i Zygmunta Turkowa⁶. W ostatnich latach pojawiły się fabularyzowane wspomnienia Chawy Rosenfarb zapisujące wydarzenia rozgrywające się przed, w czasie i po I wojnie światowej oraz pierwszy tom trylogii *Drzewo życia* opisujący rok 1939⁷. W wydanej przed kilku laty antologii *Sztetl, szund, bunt i Palestyna* znajdują się z kolei wspomnienia łódzkiego anarchisty Lejba Berkenwalda⁸, natomiast tekst Icchaka Janasowicza, zamieszczony w niniejszym tomie, miał swój pierwodruk w książce *Bałuty* Izraela Rabona⁹. Zdecydowanie liczniejsze wspomnienia wydawane w Polsce i tłumaczone z jidysz dotyczą okresu II wojny światowej. Nierzadko przywołuje się nich czasy przedwojenne, budując kontrast z grozą ekstremalnych doświadczeń, które stały się udziałem łódzkich Żydów w okresie hitlerowskiej okupacji, tym niemniej głównym wątkiem jest w tych tekstach Zagłada.

Wybór pozycji i konkretnych fragmentów do antologii to zawsze efekt kompromisu związanego chociażby z dostępnością tekstów, naznaczonego w dodatku nieuniknionym subiektywizmem decyzji redaktorów. Tak jest i w tym przypadku. Zasadniczą cechą wspólną łączącą prezentowane i poza tym zróżnicowane (także co do walorów literackich) teksty jest tematyczny związek z Łodzią oraz język, w którym zostały napisane – a także to, że są to wspomnienia pisane z bardzo niekiedy dużego dystansu czasowego i przestrzennego. Łódź jest w nich nie tylko miastem młodości i początków artystycznej czy pisarskiej aktywności autorów, ale również światem, który bezpowrotnie przeminął, do którego nie ma dostępu, również w bardziej może przyziemnym, ale nie mniej ważnym aspekcie możliwości weryfikacji tego, co zapamiętane w autentycznych miejscach wydarzeń, w bibliotekach i archiwach. Stąd też częsty brak obiektywizmu w opisach zjawisk czy faktograficzne nieścisłości. Tym niemniej publikowane wspomnienia mogą stanowić materiał wyjściowy do dalszych badań. Przykładem może tu być choćby opis

⁵ J. J. Trunk, *Pojłn. Obrazy i wspomnienia z Łodzi*, tłum i oprac. A. Clarke, Łódź 1997; tenże, *Moje życie wpisane w historię Żydów w Polsce*, tłum. A. Clarke, Warszawa 1997.

⁶ A. Morewski, *U Kompaniejców w Łodzi*, [w:] *Łódzkie sceny żydowskie*, pod red. M. Leyko, Łódź 2000, s. 213–218; Z. Turkow, *Trupa Kompaniejca*, tamże, s. 219–222. Oba teksty przełożyła M. Bułat.

⁷ Ch. Rosenfarb, *Miedzy miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości*, przeł. J. Lisek, M. Ruta, I. Stempin, Łódź 2020; też: *Drzewo życia*, t. 1, *Rok 1939*, przeł. J. Lisek, M. Ruta, Łódź 2015.

⁸ L. Berkenwald, *Memuary albo okruchy z życia Lejba*, tłum. A. Jakimyszyn-Gadocha, [w:] *Sztetl, szund, bunt i Palestyna. Antologia twórczości literackiej Żydów w Łodzi (1905–1939)*, red. K. Radziszewska, D. Dekiert, E. Wiatr, Łódź 2017.

⁹ J. Rabon, *Bałuty. Powieść o przedmieściu*, red. K. Radziszewska, N. Krynicka, Łódź 2016.

funkcjonowania łódzkiej gminy żydowskiej w latach przed I wojną światową, który dał pracujący w niej wtedy Pinkus Minc. Z kolei wspomnienia Minca z wczesnego dzieciństwa to nie tylko arcyciekawy w oryginalnych detalach i realiach opis wielokulturowej Łodzi z początków XX wieku, ale też niezwykle interesujący dla dzisiejszego polskiego czytelnika obraz odrębności społeczności żydowskiej – zarysowany z jej perspektywy: dla urodzonego w Łodzi małego żydowskiego chłopca to Polacy-katolicy są niezwykle i groźnymi obcymi. Unikalny charakter mają również wspomnienia Szymona Dżigana i Mojżesza Puławera, cenne dla badaczy dziejów przedwojennych teatrów żydowskich, w których obaj występowali. Dalsze teksty opisują z kolei przede wszystkim środowisko łódzkich literatów żydowskich. Mamy więc *Łódzkie portrety* Icchaka Goldkorna, w których prezentowani są zarówno uznani poeci, jak Miriam Ulinower, jak też barwne postaci łódzkiej bohemy żydowskiej, jak Chaim Wodnik. Szkic Icchaka Janasowicza poświęcony jest Izraelowi Rabonowi, jednemu z najoryginalniejszych w pierwszej połowie XX wieku, nie tylko w skali Łodzi, pisarzy tworzących w jidysz. Dla badaczy szczególnie cenny wydają się fragmenty tekstu Chaima Lejba Fuksa *Łódź na wysokościach*, który stanowi przekrojowe kompendium wiedzy o żydowskich twórcach. Fuks daje zresztą nie tylko i nie tyle nawet wspomnienia, ile bardziej jeszcze próbę drobiazgowej faktografii, zwłaszcza we fragmentach poświęconych rozwojowi łódzkiej prasy w jidysz. I choć faktograficzna rzetelność tekstu Fuksa, pisanego, warto powtórzyć, z dystansu czasowego i przestrzennego, bez dostępu do archiwów, budzić może wątpliwości (co niekiedy zasygnalizowano w przypisach), a natłok przywoływanych osób, nazwisk, tytułów publikacji zdawać się może mało atrakcyjny dla czytelnika, warto w tym tekście zobaczyć szlachetny gest ocalania bezpowrotnie minionego świata, próbę zbudowania panoramy licznej i różnorodnej zbiorowości pisarzy, poetów, dziennikarzy, felietonistów, publicystów, redaktorów, nierzadko zapomnianych, których dorobek uległ rozproszению, ludzi, którzy tworzyli fenomen żywiołowego rozwoju kultury żydowskiej i piśmiennictwa w jidysz w Łodzi przed katastrofą Zagłady.

Odmienny charakter niż pisane z dystansu wspomnienia, mają dwa teksty, które w niniejszej antologii tworzą ramę dla pozostałych. *Bałucy tkacze* Josefa Okrutnego to właściwie powieść, której fragmenty zdecydowaliśmy się jednak włączyć do antologii na zasadzie swoistego wstępu, ponieważ Okrutny sięga w tym utworze dalej w przeszłość niż którykolwiek z pozostałych autorów, dając obraz tworzenia się społeczności żydowskiej w Łodzi w drugiej połowie XIX wieku, w okresie, gdy samo miast było jeszcze *in statu nascendi*. Z kolei zamykający antologię tekst Izraela Rabona pisany był w przeciwieństwie do pozostałych z niewielkim dystansem czasowym, ale ma wartość także symboliczną: autor opisuje w nim pierwsze dni II wojny światowej przeżyte jeszcze w Łodzi, ale z rodzącą się już świadomością, że to początek końca dawnego świata. Rabon jako jedyny spośród prezentowanych autorów nie przeżył wojny, przez co jego wspomnienia z września 1939 roku nabierają podwójnie symbolicznego znaczenia: są zamknięciem jego twórczości i jednocześnie zamknięciem dziejów tworzonej w przedwojennej Łodzi literatury jidysz.

Wszystkie teksty zostały poprzedzone biogramem autora oraz opatrzone zwięzłymi i niezbędnymi przypisami. Niestety części postaci nie udało się zidentyfikować, nie zawsze było też możliwe dotarcie do informacji o dalszych losach osób rozpoznanych. Antologia powstała przy okazji prac nad *Słownikiem kultury literackiej Łodzi do 1939 r.*, w którym czytelnik może znaleźć wiele dodatkowych informacji.

Dużym problemem dla redakcji była pisownia imion i nazwisk prezentowanych twórców oraz transkrypcja wyrazów. Język hebrajski i jidysz nie posiadają jednolitej transkrypcji na alfabet łaciński i w różnych publikacjach, szczególnie gdy dodatkowo różnią się językiem, nazwisko tej samej osoby czy słowo może być zapisane na kilka sposobów. Staraliśmy się dostosować pisownię do publikacji ukazujących się w języku polskim, szczególnie do wspomnianego *Słownika kultury literackiej Łodzi* oraz ułatwić jej odbiór czytelnikowi, stosując polską transkrypcję fonetyczną. Jest to transkrypcja zwyczajowa i nie stanowi żadnego oficjalnego standardu; niekiedy posłużono się też utrwalonymi formami spolszczonymi (np. „tales”). Słowa hebrajskie transkrybowane są w używanej obecnie wymowie sefardyjskiej. Jeżeli nie zaznaczono inaczej, cytaty biblijne podawane są w przekładzie Biblii Tysiąclecia, podobnie jak sigła biblijne. Tłumaczenia tekstów powstały (poza jednym wyjątkiem) specjalnie na potrzeby niniejszej antologii i oparte są na pierwotnych publikacjach źródłowych, których dane bibliograficzne podane są na początku utworu. Tłumaczenia tytułów utworów literackich, książek, czasopism i dzienników podawane w nawiasach kwadratowych pochodzą od redakcji.

* * *

Redaktorzy składają serdeczne podziękowania wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej publikacji. Słowa uznania kierowane są przede wszystkim do tłumaczy z języka jidysz: Natalii Krynickiej, Julii Makosz, Monice Polit, Agacie Reibach, Magdalenie Rucie oraz Annie Szybie. Na ostateczny kształt tekstów nieoceniony wpływ miał redaktor Piotr Pietrych. Mamy nadzieję, że ciągle wprowadzane zmiany nie zniechęcą go do dalszej współpracy. Jesteśmy również wdzięczni za umożliwienie druku wspomnień spadkobiercom autorów. Cieszymy się, że dzięki tej książce ich twórczość zostanie przypomniana, a łodzianie zdobędą możliwość spojrzenia na historię miasta z tak wyjątkowej perspektywy.

Publikacja powstała dzięki finansowemu wsparciu Ministerstwa Edukacji i Nauki w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Jest ona dopełnieniem *Słownika kultury literackiej Łodzi do 1939 r.*, który powstał w ramach tego samego programu ministerialnego.

Dariusz Dekiert
Krystyna Radziszewska
Ewa Wiatr

Josef Okrutny

Prozaik piszący w jidysz; właśc. Josef Turko. Urodził się w 1906 r. w Kutnie, ale od dziecka związany był z Łodzią. Uczył się w chederze, skończył także świecką szkołę średnią. Okres II wojny światowej przetrwał w ZSRS, po wojnie wrócił do Polski. W latach 1946–1949 był redaktorem jidyszowych audycji radiowych przygotowywanych pod patronatem Centralnego Komitetu Żydów Polskich. W końcu 1949 r. wyjechał z Polski i przebywał w obozach dla uchodźców w Austrii i we Włoszech. Od 1951 r. mieszkał w Buenos Aires, gdzie zmarł w 1991 r.

Debiutował w 1925 r. opowiadaniem *Dos tencerl* [Tancereczka] w „Lodzer Togblat”. W latach 1925–1934 był członkiem redakcji „Najer Folksblat”, ponadto pisał dla „Undzer Togblat”, „Folksblat”, „Lodzer Weker”, „Dos Naje Lebn”, „Moment”, „Folkscajtung”, „Literarisze Beter”, a także dla prasy łotewskiej, amerykańskiej, francuskiej, sowieckiej i in. Opublikował tomy prozy: *Undzer orem brojt* [Nasz biedny chleb] (Warszawa 1936), *Hojz ojfaltszot* [Dom w starym mieście] (Warszawa 1938), *A bojm in wint* [Drzewo na wietrze] (Łódź 1948), *Undzer szul* [Nasza szkoła] (Warszawa 1949). Kolejne tomy prozy opublikował w Buenos Aires, m. in. *Baluten webers* [Bałuccy tkacze] (1953), *Unter lejmene decher. Motiwn fun sowietisze jorn* [Pod glinianymi dachami. Motywy z lat sowieckich] (Buenos Aires 1957). Używał pseudonimów Josef Nirwan, A. Tojger, Jasze Glikin i Glike Wajsbberg. Kilka napisanych tuż po II wojnie utworów J. Okrutnego ukazało się w polskim przekładzie w: *Nowe życie? Antologia literatury jidysz w powojennej Łodzi (1945–1949)*, red. M. Ruta, Łódź 2018.

Bałuccy tkacze¹

WSTĘP

Napisana w przedwojennej Polsce, w 1939 roku książka *Bałuccy tkacze* przeszła przez kilka wcieleń. Manuskrypt podążał za mną krok w krok. Gdy musiałem sam, w październiku 1939 roku, opuścić Łódź, przeszmugłowano go kilka tygodni później ze spalonego, pełnego szubienic z Żydami miasta. Zimą 1940, gdy w sowieckiej polityce zarysowała się tendencja zbliżenia z jednostkami twórczymi kulturowo na nowopodbitych terenach, do centrum uchodźców w Białymstoku przybyła delegacja sowieckich jidyszowych pisarzy. [...] Stało na tym, że *Bałuccy tkacze* zostaną wydane w państwowym wydawnictwie „Der emes” [Prawda]. Już w marcu tego samego roku wezwano mnie do Moskwy, gdzie zawarłem umowę na tę książkę, która miała ukazać się pod redakcją literaturoznawcy Majera Winera.

Piszę „miała się ukazać”, gdyż słowa te zawierają jej gorzki los oraz odsyłają do sytuacji politycznej.

¹ Pierwodruk i podstawa przekładu: J. Okrutny, *Baluten webers*, Buenos Aires 1953, s. 15–42, 63–73, 85–114, 140–153, 159–175, 183–215, 224–231, 235–257, 268–279, 312–320, 335–341.

Doszło jednak do zdradzieckiej hitlerowskiej napaści na Związek Sowiecki, co dla nas oznaczało nową, straszną wojnę. Na nowo musiałem uciekać, by ratować życie. Okupowany przez Sowieców Białystok leżał w zasięgu pierwszego ostrzału niemieckich najeźdźców. Śmierć znowu zajrzała mi w oczy, a wszystko, co było mi bliskie i drogie znów przepadło w wielkim zamęcie. Zostawiłem na pastwę nieubłaganego losu moje nowe mieszkanie przy ulicy Ciepłej 20, gdzie zniszczeniu uległ manuskrypt prawie skończonego drugiego tomu *Bałuckich tkaczy*.

Jednak również losy pierwszego tomu, w Moskwie, stały się zależne od sytuacji w kraju. Niemieccy żołnierze błyskawicznie wkroczyli w głąb terenów ZSRS, zajmując Białoruś, Ukrainę, okupując republiki nadbałtyckie, a radio dzień i noc alarmowało niezliczonych obywateli sowieckich: Moskwa jest zagrożona. Wydawnictwo „Der emes” ewakuowano gdzieś za Ural, a w liście od dyrektora, Lwa Strongina, poinformowano mnie, że pomimo zaistniałej sytuacji książka znajduje się na etapie tworzenia matryc. „Bądźcie spokojni, wasi *Tkacze* są bezpieczni i zostaną wydani przy pierwszej okazji.” Podobny list otrzymałem po reewakuacji, pod koniec 1944 roku. W 1945 lub 1946 roku, gdy mieszkalem w Moskwie – mówiło się wtedy już o repatriacji i opuszczeniu ZSRS – jedno stało się jasne: ci, którzy wyjadą nie będą godni, by ich książki ukazały się w sowieckim wydawnictwie.

Po wielu trudach udało mi się wydobyć z wydawnictwa kopię rękopisu, mającego już wtedy za sobą bardzo długą drogę.

Pod koniec 1949 roku gdy nadarzyła się niepewna okazja do wyrwania się ze zrujnowanej Warszawy znów nie mogło być mowy o ratowaniu manuskryptu. Znów musiałem opuścić ledwie co zagrzone miejsce, które po raz kolejny stało się grobem zniszczonych nadziei. Manuskrypt *Bałuckich tkaczy* cudem przedostał się przez kraje i morza, by ostatecznie dotrzeć do Izraela, ja zaś, jego autor, przez zielone granice przedostałem się do Argentyny, by tam na nowo budować mój zniszczony dom. [...]

Książka, którą oddaję czytelnikom, opowiada o początkach industrializacji w dawnej Polsce. Moje rodzinne miasto Łódź jest ekranem, na którym ukazałem krajobrazy, najróżniejsze typy ludzi, światy i obrazy charakterystyczne dla tego niesłychanie dynamicznego, robotniczego miasta.

Bałuccy tkacze są pierwszą książką ukazującą zwykłych Żydów zarówno w dni powszednie, jak i podczas ich biednych świąt. To opowieść o szarym człowieku, który instynktownie próbuje zerwać pęta wiążące go ze spleśniałymi, odwiecznymi nawykami.

Książka nie aspiruje do bycia dokładnym historycznym obrazem ukazującym drugą połowę XIX wieku. [...] Ma jedynie oddać kanwę, ducha tamtych czasów, widzianych oczami autora. W żadnym stopniu nie stara się być dziełem historycznym.

Dodać należy jeszcze, że *Bałuccy tkacze* ukazują się w pierwotnej redakcji, którą autor przygotował do druku na początku 1940 roku. Wprowadziłem jedynie drobne korekty językowe, by lepiej oddać charakterystyczną leksykę wymordowanej łódzkiej społeczności żydowskiej.

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

NA KRAŃCU ŚWIATA

Ogromna płachta pola u stóp wciąż rozrastającego się miasta; bezkresne połacie pustkowiec, porośnięte chwastami; gdzieś tam uboga chatynka, drewniana, czarniejąca od ciągłego żaru słońca i zawieruch, domek niczym chatka czarownicy rodem z bajki dla dzieci. Było to dawno, dawno temu. Nieco później, krótko przed powstaniem, na tych oto szeroko rozciągających się pustych równinach i pagórkach pojawiły się pierwsze ślady ludzkiej obecności. W monotonnym blasku głębokiego zmierzchu, który wcześniej ogarniał tę oto pustynną ziemię, nie wiedzieć kiedy i gdzie zaczął iskrzyć zimny, odległy płomień. Znak, że gdzieś osiedlili się ludzie. Potem na tej oto ziemi wyrósł dziwny gmach, który niczym olbrzymi ptak z potężnymi skrzydłami straszył oko zapatrzone w daleki horyzont. Był to pierwszy wiatrak, który w swej marnej egzystencji podjął się żywić sycącym chlebem ludzi, którzy później tu napłyną i będą się mnożyć.

To pewnie z zazdrości szczęśliwego losu, który sprawił, że pierwszy młyn stał się zarazem pierwszym żywicielem głodujących ludzi, powstały tu później kolejne wiatraki.

Okolica ożyła, stała się bardziej swojska. Zmierzch nie zapadał już tak szybko, jak wcześniej. Stale poruszające się skrzydła wiatraka odpędziły noc, nie pozwalając jej już więcej karmić się opowieściami o demonach, czyhających tam kiedyś na każdym kroku. Ludzie mniej się już bali swoich mrocznych strachów, które się tam stale błękały, doprowadzając niemowlęta do płaczu, starcom kradnąc siły vitalne.

I tak oto stopniowo powstawała ulica Młynarska, a było na niej coraz bardziej swojsko; dom za domem mościły się wygodnie rozpościerając wokół siebie domowe ciepło i harmider. Ciągnęła się długa i wąska, a do tego pośrodku nieco zakrzywiona niczym szyja bociana. Większość jej niziutkich domów była bielona wapnem, tak że cała ta długa, trochę wykrzywiona ulica ciągnąca się pod szarym, niemal szklanym niebem naprawdę przypominała gotującego się do lotu bociana.

Ulica Młynarska biegła daleko i ginęła gdzieś w głębi bagnistych pól.

Niczym szramy na szczupłym ciele, przez pokolenia wyrosły wzdłuż niej boczne uliczki.

Każda wąska, krótka, z niskimi domkami o krzywych czarnych dachach, nad którymi wznosiło się zielonkawe niebo. Każda niczym cięcie na niewinnie-zdumiewającej postaci tej oto długiej ulicy, która wzięła swój początek w polu i w polu się również kończy.

Ulica Dworska, Ogrodowa, Pieprzowa.

– Dworska, Ogrodowa – widział kto coś takiego?

Ci, którzy się tu osiedlili, dziwili się: „czemu ulica Dworska”, skoro nie ma tu nawet śladu ziemiańskiego dworu? Małomiasteczkowi, którzy przybyli tu za pracą, nie przestawali myśleć. Nie ma tam nawet ogródka, to skąd Ogrodowa? A Pieprzowa?! Trzeba się urwać z księżycą, by nie wiedzieć, że w naszym klimacie pieprz nie rośnie. Taka sobie niewielka, wąska, uliczka, która może sobie pozwolić na to, by w ciągu białego dnia rozłożyć się pod szerokim bożym niebem i smacznie spać niczym rozleniwiony kot; taka sobie uliczka z jednym, stale drzemającym domkiem. I masz ci tu ulicę Pieprzową! Świeżo przybyli mieszkańcy tych ulic nie przestawali się dziwić ich nietypowym nazwom. Nie

trapili się tym jednak. Po prostu nie tracili czasu, by zgłębiać ten ważny problem. Jednak w domu modlitwy, gdzie się w soboty zbierali miejscowi Żydzi, by oddać Stwórcy cześć za to, że daje życie, ktoś jednak spróbował rozwikłać tę zagadkę:

– Drodzy panowie, wiem czemu w naszej osadzie nadano tyle dziwnych przydomków! – zwrócił się do zgromadzonych z widocznym na twarzy ożywieniem.

– To znaczy? – zaciekawili się ludzie.

– Bo Jeke, ten stary Niemiec z fajeczką w gębie, był pierwszym gospodarzem tej ulicy, a on się nazywa Pfeffer.

– Jak, jak się nazywa ten stary oszust?

– Pfeffer się nazywa, ten Niemiec. Heinrich Pfeffer. Porządny z niego gość. Kłania się każdemu...

– Ach tak, ach tak!... To się stary doczekał honorów od ruskich – nie przestawali się dziwić.

Pytają go: – A skąd ulica Dworska, ulica Ogrodowa?

– Co? I to też mam wiedzieć? Ktoś mnie do tego najął?

Bo tego mądry Żyd już nie wiedział. „Tylko sobie wyobrażam, – wyjaśniał swojemu towarzyszowi w drodze z minjanu² – że były tam kiedyś jakieś ogrody, sady i folwark. To musiało być pewnie przed Poniatowskim, a może i jeszcze wcześniej”. Przysiąc jednak nie chciał.

* * *

Na uliczkach, które powstały u stóp miasta, zamieszkali Żydzi i chrześcijanie. Żydzi z rodzinami zjechali tu ze wszystkich zakątków Polski. Kilka lat wcześniej rozeszła się w drobnych miasteczkach wieść, że gdzieś w kraju jest takie miejsce, wielkie jak morze, gdzie spragnieni chleba ludzie mogą swobodnie zarobić dobry pieniądz. Rzeczywiście, w tej dużej osadzie jakby przez noc wyrosły fabryki i fabryczki, które dawały skąpy chleb ludowi pracującemu przy maszynach i poza nimi. Wyłonił się nowy świat. Chodziły słuchy, że tamtejsze fabryki wysyłają swoje towary do dalekiej Rosji, aż po mroźną Syberię. Mówiono, że Żydzi żyją tam w pokoju z chłopami i że nie znają żadnej nienawiści. Przeciwnie, żydowscy biedacy zbliżyli się do swoich gojskich sąsiadów, rozmawiali z nimi po gojsku i dostawali nawet trochę chleba. Goje darzyli Żydów tak dobrymi uczuciami, że nauczyli się mówić po żydowsku. Często słyszano jidysz z ust obcego i nie było jasne, czy to Żyd czy ichniejszy.

Dokładnie tak, jak to było na wąskich uliczkach na przedmieściach, było i w bogatszych okolicach. Żydowscy bogacze budowali fabryki, przyjmowali chłopów, uczyli ich trzymać w rękę narzędzia, wybijali z ciężkiej głowy kielbasę i wódkę i robili z nich, z czasem, porządných majstrów. Tak było z Niemcami z Bohemii i Saksonii i tak z chłopami z Polski. Żyd zadowolony był z chrześcijanina, chrześcijanin z Żyda. Jeden żył z drugiego i wzajemnie się szanowali.

² Minjan (hebr.) – dziesięciu dorosłych Żydów, których obecność niezbędna jest do odmawiania niektórych modlitw oraz czytania Pisma w synagodze.

MOSZE INOWŁODZKI

Dniem i nocą lud furmankami jechał do nowego miasta, w którym pracy było w bród. A podróżowano wspólnie. Całe miasteczka Żydów otrząsały się z domów, w których wyrosli i podążały do miejsca, którego sława niosła się daleko. Drogi i dróżki wypełnione były mężczyznami, kobietami i dziećmi. Duzi i mali ciągnęli do wymarzonego miejsca, w którym można normalnie żyć, podczas gdy w domu, w niewzruszonych osadach, kawałek chleba zdobywało się ze śmiertelnym strachem. Bo wszystko tam było jak zastygłe. Chłop mieszkał w spróchniałej chacie, jadł własnoręcznie upieczony chleb, ubierał się w zgrzebną koszulę z własnego lnu. Mydła nie potrzebował, nafty też nie używał. Wieś pogrążona była w głębokim śnie, a pobliskie, zamieszkane przez Żydów miasto, dogorywało. Nie miał tam Żyd dla kogo uszyć watówkę, nie miał prawa sprzedać komuś smaru czy nafty.

Marne życie!

Z odległych, zapadłych dróg dochodziły żydowskie jęki. Płacz małych dzieci, które przez długie doby tułały się z rodzicami po wiejskich, kamienistych drogach, w ciemne noce przemieniały się w przejmujące zawodzenie, rozchodzące się w głuchych, przydrożnych karczmach. Dopiero odpoczywając w zapadłych zajazdach, w zimne, jesienne noce, przygnębite matki opłakiwały swój gorzki los. Smutne, wyziębione dzieci dźwięcznie łkając, spijały matczyne łzy. Ten oto przygnębiający chór, choć nieco stłumiony, towarzyszył przez całą dalszą drogę, nim się dotarło do błogosławionej ziemi.

– Już, chwalić Boga, już jesteśmy w domu.

Ludzie oddychali z ulgą, jakby im z serca spadł kamień, ciężki kamień z głębokiej, niepojętej troski spowodowanej strachem przed wiecznym wykorzenieniem, które towarzyszy tułaczom. Do domu jednak było jeszcze daleko.

Kobiety zanurzały najpierw kościste dłonie w biust. Stamtąd, niczym ze studni, wyciągały torebkę z pieniędzmi. Mężowi wypłacały trochę srebrnych i złotych monet, a same, z drobiazgiem, siadały pośrodku drogi. Wokół rodziny leżało trochę „betów”: dwa pomalowane na brązowo łóżka z dębowego drewna. Stały one na wysokich, solidnych nogach, by móc unieść ciężar trzech pokoleń posiadających dzieci, wychowujących dzie-ci, chcących zapewnić sobie dobre posłanie na starość, jeśli się jej dożyje. Obok zajętych łóżek sieroco gapił się w niebo wielki, ciemny, zardzewiały skopek z odłamanym uchem, czerpak z długimi chwytakami. Nieco dalej, na brudnej ziemi wałała się zwinięta pościel z ciężkimi, ciepłymi kołdrami, sarta poduszek i jaśków. Na boku stała smutno drewniana, ciemnozielona kołyska na biegunach, z obdrapanym z jednej strony bokiem, choć w rodzinie nie było już takich maluchów.

Matka w barchanowej kapocie i kwiecistym nakryciu głowy siedziała pośrodku tej kupy bogactwa. Zdziwiona przyglądała się nowemu otoczeniu. Musi pocieszyć najmłodszego:

- Gecele, tata poszedł kupić nowe mieszkanie.
- Gecele, tata przyniesie ci konika.
- Nie płacz, duszeńko.

A gdy mąż, biedaczyna, nie wrócił, rozmawia ze starszym chłopcem:

– Kiwele, gdzie szukać taty? Kto wie, czy go nie porwał jaki goj.

– Biada – szczypie się potem w policzki, by drobiazg nie dostrzegł jej zmartwienia – byle go jeszcze zobaczyć!

Dzień tymczasem odchodził spiesznie; wstał zły, z zachmurzonym niebem. Zdawało się jej, jakby patrzył jej w twarz z wyrzutem, że w takim obcym miejscu zostawiła męża samiusieńkiego jak palec.

Serce zakuło z ogromnego strachu, ścisnęło ją niczym w obręcz. W oku stanęła łza, która wydostała się prosto z zapadłej piersi.

Zapadł wieczór, a „stary” wciąż jeszcze nie wrócił z mieszkaniem, które miał wynająć.

Nad domownikami, niczym namiot, rozciągało się zielone, chmurne niebo z czerwonym, zamglonym księżycem. Matka siedziała nieruchomo na stercie ubóstwa. Dzieci, niczym milczące owieczki, wtulone w siebie nawzajem, cisnęły się wokół niej. Na kawałku rozciągającej się nieopodal pustki, w monotonnym świetle księżyca wyróżniała się sterta główek kapusty, rozsypanych pod kopułą nieba niczym góra małych, zimnych księżyców, bardziej błyszczących i świecących od tych co w górze, na głową.

* * *

Wystarczył dzień, by przybyła z zapadłego miasteczka rodzina zorientowała się, gdzie się znajduje. Obudzili się rano na odludziu, choć to przecież kraina mlekiem i miodem płynąca. Dom drewniany, duży budynek z wysokimi piętrami i długimi korytarzami, ciemno, że oko wykol. Na każdym korytarzu pełno drzwi. Każde drzwi – ciasne mieszkanie. Jak się wstawi wzdłuż ściany dwa łóżka, na kształt końcowej litery „nun”, już jest wypełnione. Ledwie wejdzie stolik i ława. Dla pozostałych mebli i sprzętu domowego trzeba znaleźć jakieś „dobre miejsce”. Nie ma ich gdzie podziać, chyba że na strychu, skrawku dziwnego pustkowia gdzieś pod dachem. W mieszkaniu trudno się odwrócić, by nie otrzeć sobie boków – skarży się matka. Żeby się drobiazg nie plątał pod nogami, musi stale siedzieć na łóżkach, albo biegać po podwórku, to jednak jest puste, ogołocone. Wokół panuje martwa cisza niczym na cmentarzu. Dzieci nie mają się czym bawić, nie mają rówieśników, by z nim dokazywać. To wszystko mizerna ciasnota wynagradza światłem. Do wąskiej izby wpada tak dużo światła, jakby wszystkie ściany były szklane, otwarte, a szerokie, odległe niebo zaglądało przez nie rozpostarte, rozlane. Tak naprawdę światło wlewało się tylko przez jedno okno, które zawstydzone, wyglądało na południe.

Szeroki, wysoki, wolnostojący dom patrzył zdziwiony na otaczające go, puste pole. Zaś świszczący tu często wiatr łamał swoje szare skrzydła o rogi stojącego samotnie budynku.

Biada! Ciężko tak stać samemu na tej ponurej ziemi – choć jest się tylko domem. A skoro tak, jak trudne jest to do zniesienia dla człowieka, który wie, że mieszka sam, niemal bez sąsiadów, daleko od miasta. Jedną tylko ma pociechę nasz Żyd, widzi, że się obok biorą za budowę. Już rozrzucono kamienie, cegły i belki.

Niechący przemyka myśl: „Skoro Bóg, niech będzie błogosławiony, stworzył taką przestrzeń dla pustki, niechybnie też przyśle kogoś, by ją wypełnił. Zapewne napłyną ludzie, przybędzie ich rój i mrowie. Ale boziunu, za co się tu brać?”

W jego Inowłodzu parali się handlem. Kupowali na wsi futerko zająca, królika, cielaka, a w mieście sprzedawali chłopu parę butów, kosę, perkal na sukienkę i smar do kół. Żona w sklepiu, on na rynku. Z dzieci też był użytek. A tu? Na odludziu, z dala od miasta. A znów w mieście tak ciężko o mieszkanie. Tam, w domu, mówiono, że tu, w Łodzi, wielkiej jak morze, całują ręce, które coś robią. Tu jest inne życie. Pracy w bród i dobrze płacą. Kupcy wypatrują sobie oczy, aż zobaczą kogoś z prowincji. A gdy się taki pojawia, już jest kupiony. A jak ma dużo dzieci, już się go złoci. Umieszcza się ich w dużym domu, wstawia mu się narzędzia, pokazuje, co i jak, i raz, dwa, już może parać się rzemiosłem. On, kupiec z Inowłodza rwie się do rzemiosła. Być zdanym na powiew wiatru, znosić cierpienia ze strony stukniętych klientów, niech to spadnie na tych, którzy mi źle życzą. Rzemiosło to rzemiosło. Człowiek siedzi w domu, pod dachem, zimno nie smaga twarzy, słońce nie pali głowy, a deszcz nie przemoczy do suchej nitki. Rzemiosło daje smaczny kawałek chleba.

Długo kręcił się Mosze Inowłodzer po opustoszałej okolicy, nie wiedząc, w którą stronę skierować swoje kroki. W prawo, jak przystało porządnemu Żydowi każdego poranka, bał się, że zabłądzi; w lewo – serce się płoszy, że mu się, Boże broń, nie poszczęści w nowym miejscu, gdzie ten co w niebie, ma mu zesłać nową pracę. Stoi więc tak, Żyd z Inowłodza, u stóp wielkiego domu z niezliczonymi oknami a w głowie się mu kotłuje. Serce bije jak dzwon. Co robić, co robić? Ojciec słodki, uchroni mnie przed nieszczęściem, odwiedź od złego kroku – ześlij mi pocieszenie. W tej chwili we własnych oczach był jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości.

Broda zrobiła się sztywna, ostra niczym wytarta szczotka. Krok plątał się. Podnosił nogi, by iść, ale nie mógł się ruszyć z miejsca. Czuł się, jak nigdy, nic niewart, przybity. „Co się z nim dzieje? Po co było mu pchać się w świat szukać lepszego życia, skoro tu gorzej jest niż w domu... Oj, ojciec niebieski, już mnie więcej nie wystawiaj na próbę!”

Cały jego mały świat, który został w Inowłodzu, uroczym miasteczku z przejrzystym niebem i czarną ziemią; wszystkie bliskie i dalekie wsie z dziada pradziada zamieszkane przez jego rodzinę, lasy, praca, wszystko, z czego był dumny – ten oto radosny świat w jednej chwili stanął mu przed oczami. Poczuł, że wszystkie członki jego ciała wiotczeją, drętwieją, robią się obce. Głowa jak kłoc, nogi z drewna. Światło gaśnie, zapada mrok, robi się ciemno. Otwierają się mroczne otchłanie, odłamki skał, skorpiony.

Wróciwszy do siebie, Mosze Inowłodzer, niewiele myśląc, ruszył z miejsca. Wszystko jedno dokąd. Nie był nawet w stanie zapytać samego siebie: dokąd idziesz, Mosze? W głowie mieszało mu się jak po nocnym pijaństwie. Chodził więc bez celu. Czuł tylko, że potrzebuje ludzi. Obudziło się w nim instynktowne uczucie, że dobrze mu będzie wśród ludźmi, ulży mu w towarzystwie obcych.

Ocknął się nagle na czterobocznym rynku. Dookoła domy, niewielkie kamienice z okienkami dachowymi przypominającymi gotujące się do lotu pustułki, które już za

chwile wyfruną strasząc zabieganych ludzi. Jeden rząd domów biegnie od rynku daleko w górę i Moszemu zdaje się, że się nie kończy. Rynek jest mały, ale wypełniony ludźmi. Stoją przy stolikach, straganach. Na każdym stoliku, na każdym straganie wszelkiego rodzaju towary: buty, damskie wiązane trzewiczki, walonki, dziecięce skarpetki, sterta mydła, kupka cukru, worek grochu, worek mąki, torebka kawy, paczuszki herbaty. Z jednego stolika dochodzi drażniący, octowy zapach unoszący się z cienkiego blaszanego kominka. To „czajnik” bez ścianek, tylko z żelaznym daszkiem. Tu przy tym straganie, można dostać szklankę herbaty, świeżą papdę czy bułkę, a ukradkiem i wódeczkę.

Inowłodzer stoi i nie może się nadziwić. Cuda go fascynują. Rynek! Rynek, jak w Inowłodzu, a jednak inny. Niech no tylko zapadnie cisza, a uporządkuje swoje rozpiezchnięte myśli: jakiż to dziś mamy dzień? Zdaje się, że środe. Tak, środe. Wczoraj był wtorek. Racja, wtorek. Tak wyliczył, żeby z domownikami przybyć tu pewnego pięknego dnia, koło wtorku. Dziś więc środa. Jak to możliwe, by w zwykłą środę był dzień targowy? I gdzie się podziali chłopci? A wozy z towarem, z kurami, cielakami, świniami. W uszach grała mu melodia sztetlowego jarmarku, z gęganiem, świńskim kwiczeniem, końskim rzeniem i gojskimi pijakami, swojskie dźwięki. Ogarnęła go tęsknota za domem ojców, miejscem, do którego był przywiązany.

Sprawdził cały rynek, nasz Żyd, lecz nie znalazł śladu chłopca czy chłopki. Dziwy nad dziwami. Żydzi wystawili na ulicy swoje kramy, budki, a chłopca ni na lekarstwo!

Miastowy Żyd nie mógł zbyt długo dziwić się tym cudom, bo przed jego oczami wnet się odkryła kolejna nowość. Oślupiał: zobaczył biegnącą dół rynku kolejną uliczkę pełną domków i ciemnych, po brzegi wypakowanych sklepików. I ciekawa rzecz: frontowymi drzwiami i oknami domki te stoją na wzniesieniu, natomiast ich tylna część klęczy w dolinie. Inowłodzer ciężko podnosił nogi, gapił się. Niczym ciekawski chłopiec zapuścił się w tę boczną uliczkę, odrywającą się od czterobocznego rynku. Cuda! Uliczka niczym małe miasteczko szumi, rozbrzmiewa odgłosami kramów i klientów, a od tyłu jej podwaliny płuczą się w głębokiej, szerokiej wodzie, od której woń dochodzi taka, że aż rozpiera skronie.

Ruszył Mosze ciemną uliczką ze składzikami, przez luki między domami, ku rwącej, śmierzdzącej wodzie. Stawiał niepewne kroki, jakby stąpał po jajach. Bał się, by, broń Boże, nie wdepnąć butem w bagno. Wie, że niedaleko jeziora czy rzeki, ziemia jest rozmiękła, przemoczona, niebezpiecznie nią chodzić. Przestraszonym, a zarazem zadziwionym wzrokiem przyglądał się to sklepikom znajdującym się na górze, na ulicy, to w wodzie klębiącej się w dole, niedaleko ruin. Skołowany zastanawiał się: Jak się stąd ruszyć, skoro woda stoi niczym płot! Jak ją przejść, gdy się chce iść dalej w dół, trafić do wsi? Co za pech! – A oczy mu błyszczały.

W wyobraźni Inowłodzer stale widział chłopca ze swoich okolic: solidny goj w kudłatym, przewiązanym powrozem futrze, z czerwoną, zawadiacką chusteczką owiniętą wokół szyi. Takiego chłopca trzeba sprowadzić tu, do tego miasta – myślał Mosze. On, Moszek, będzie z nim handlował, tak jak w domu. Goj się na nim pozna, ale jak tu znaleźć sposób na przejście tej śmierzdzącej wody!

Mosze Inowłodzer nie mógł tak długo stać w miejscu i oddawać się swoim przemyśleniom. Zbudziły go krzyki i nieumyślne szturchnięcia.

Dokąd idzie Mosze? Dziwi się sam nad sobą, mimo to wlecze się dalej.

Czego ma się bać, myśli dalej. Jest, jak widzi, wśród rzeszy Żydów. Jeśli po drodze natrafi na wodę i nie będzie żadnego „dalej”, zawróci.

Tylko nie biegnij, Mosze! – budzi się w nim niejasny niepokój pomieszany z dziecięcą naiwnością – przyglądaj się znojowi ludzkiemu.

I stoi tak obcy Żyd i znowu się dziwi:

– O, wa! Świątynia. *Jak piękne są Twoje namioty, Jakubie...*³ Rozbrzmiała w nim pieśń wszechobecnego Żyda, który nigdy, nawet z dala od domu, nie zapomina, kim jest.

Inowłodzer nie może oderwać wzroku od pięknego, wysokiego budynku, wzniesionego na górze. Bóżnica czy nie bóżnica – gapi się z głową zadartą ku niebu, pięknym błękitem okalającemu szczyt wysokiego dachu. Zaprawdę synagoga! Na samej górze widzi tablice z przykazaniami. Od frontu wbijają się w święte miejsce szerokie, wysokie, kamienne schody a przy nich ciężkie kute drzwi z kolorowymi szybami ułożonymi w gwiazdy Dawida⁴.

He, he!... Czegoś takiego, Mosze, jeszcze nie widziałeś! A przecież był już człowiek tu i tam, lecz takiej piękności dotąd nie spotkał. Opoczno też jest przecież miastem, też ma synagogę, ale takie чудо? Gdzie jeszcze taka śliczność jak tu! Może w Kielcach albo w Radomiu? Wszystko to gubernie, ale czegoś takiego nie mają. Czym są tamte synagogi w obliczu tej, w tym dużym, dziwnym mieście, gdzie wszystko jest tak bardzo nieżydowskie?

Nie może nasycić się widokiem Mosze, w miejscu stać również nie może. Musi podejść bliżej i porozmawiać z murarzami, którzy dłubią jeszcze przy frontowej ścianie.

– Bądźcie zdrowi – wyjąkał zwracając się do Żyda z pozbawioną wyrazu twarzą usmarowaną gliną – kto to postawił?

Murarz odwraca głowę w stronę gościa. Mimochodem chłapie mocno kielnią gliny na ścianę. Inowłodzer odskakuje na stronę, jak oparzony.

– Co znaczy kto? – odpowiada Żyd, który równa ścianę świętego miejsca. – Nam postawiono, nam! – a oczy nabiegają mu wyraźnym gniewem. Niemal krzyczy pokazując przy tym swoje utrudzone ręce.

– Chodzi mi o to – obstaje przy swoim zagubiony Mosze – skąd wzięto na to tak dużo pieniędzy.

– A co? Złodziej Poznański to już nie ma, by dać na coś takiego?

– Czyli złodziej Poznański dał taki złoty skarb – Moszemu te haniebne słowa ledwie przechodzą przez usta.

³ Pieśń, określana nieraz jako „modlitwa przy wejściu do synagogi”, pochodzący z Księgi Liczb 24,5: „Jakubie, jakież piękne są twoje namioty, mieszkania twoje, Izraelu!”.

⁴ Wielka Synagoga przy ul. Spacerowej (obecnie al. Tadeusza Kościuszki) budowana w latach 1881–1887, została ufundowana przez łódzkich fabrykantów, m.in.: Izraela Poznańskiego, Joachima Silbersteina i Karola Scheiblera. – Synagoga została podpalona w nocy z 10 na 11 listopada 1939 r. i całkowicie rozebrana w 1940 r.

– Z prowincji, co? – zainteresował się murarz.

– Tak, z dalekiej... – Żyd poczuł się winny.

– Widzę, że się dziwicie, gdy mówię, że Poznański, złodziej, dał pieniądze na budowę synagogi. A jakże, dał! Bo i kto miał dać? Jest bogaczem, milionerem, ten Poznański. A i swinią, i parchem też. Bił ludzi, ojców dzieci, bo prosili o pracę u niego w fabryce. „Co, chcecie profanować szabat, zbóje!” – krzyczał na całe gardło. – „Chcecie mnie obarczyć taką winą? Po moim trupie!”... Każdemu z robotników uważnie patrzył w oczy, wywołując na ich twarzy wypieki, a ciosy rozdawał jak cukierki ten... Tak, tak. Taki właśnie jest ten bogacz Poznański. A i okradł nas. Miał dać wszystko na synagogę, dał tylko część.

– To i tak pięknie z jego strony – Inowłodzer próbuje oddać milionerowi Poznańskiemu należyty szacunek.

– Pewnie, że też pięknie – przedrzeźnia zapracowany murarz o zmęczonej twarzy – że taki prędzej da pieniądze, by postawić cały kościółek dla tamtych, pobudować dla nich mieszkania, a swoim żałuje. Biedaczyna się spłukał tą daniną na rzecz świątyni, tfu!

– Wcale nie musi być idiotą, ten Poznański. – Inowłodzer wykorzystał czas na przemyślenie sprawy. – Pewnie wie, co robi.

– Wie? – syczy murarz i zaraz milknie. Chwilę później z małego, barczystego człowieka wyrывa się głębokie westchnienie.

– Człowiek jest u „nich” na wygnaniu. Musi robić dobrą minę do złej gry.

Przeciąga drewnianą kielnią po ścianie synagogi, która w oczach robi się coraz gładsza. Nowe czerwone cegły będą przykryte grubym, mocnym, glinianym pancerzem. Żyd pochłonięty jest pracą. Nie słyszy już prowincjusza. Łudzi się pewnie, że się ten odczepi i przestanie go dręczyć swoimi pytaniami. Mosze jednak wciąż przygląda się murom synagogi i nie może wrócić do siebie. Dręczy go jeszcze tyle wątpliwości. Rozum podpowiada mu, że wszystkie wiążą się z tym wielkim miejscem.

– Pomyślności, bracie – próbuje ponownie zaspokoić swoją ciekawość. – Skąd się bierze u jednego takie majątek?

– Co znaczy skąd? – odpowiada tamten już nieco poirytowany. – Z handlu! Już wiesz skąd? Był sobie człowiek, który chodził po wsiach z workiem na plecach. Obdarty jak ja, pan i wszyscy nędzarze. Los mu sprzyjał. Poszczęściło się...

Co znaczy poszczęściło, jak się poszczęściło? – W Moszem coraz bardziej płonąła ciekawość. Czy ten Poznański dostał nieoczekiwany spadek? Czy znalazł skarb? A może poznał naiwnego właściciela folwarku? Umierał z ciekawości, by się dowiedzieć, jak się z tego Poznańskiego zrobił taki bogacz. Ale pytać już nie mógł. Zaczął bać się Żyda chlapiącego gliną na ścianę synagogi. Widział, że ów może się rozsierdzić. A nietrudno narobić sobie na obczyźnie wrogów. Da już mu spokój. Są przecież, odpukać, inni Żydzi. A nie wszyscy są tacy. Dzień, wielkomiejski, obcy, dopiero teraz objawił się Moszemu w pełnej krasie.

OPOWIEŚĆ O SZCZĘŚCIU

Wieczorem Mosze ledwie się dowlókl do domu, do żony i dzieci. Był wykończony, choć nie miał jeszcze żadnych wieści na temat pracy. Szukał, nie wiedząc czego. Był zdezorientowany, zżerała go ciekawość, dlatego początkowo w ogóle nie czuł ogarniającego go zmęczenia. Po powrocie mógł tylko opowiedzieć o dziwach olbrzymiego miasta. Zmęczone snem dzieci siedząc, zapadły w drzemkę w trakcie ciekawej relacji ojca. Tylko Chana Rejza wytrwała w słuchaniu. Mówił o rynku, gdzie chłopca ni na lekarstwo, o wąskiej ciemnej uliczce, która rozpoczyna swój bieg na górce, a jej położona w dole zakrzywiona części zanurza się w mętną, śmierdzącą wodę stawu. Na koniec opowiedział jej o Poznańskim, co dla gojów wybudował kościółek, a dla Żydów, nie przyrównując, synagogę. Po kolacji żona podeszła do niego.

– Obyś był zdrów, mój Mosze. To już wszystko? Taki był twój cel – obserwować? Słuchać historii? Z opowiadaniek chleba nie będzie. Nie jesteś, chwalić Boga, bogaczem... Dzieci, niech będą zdrowe, puszczą cię – nie daj Bóg – z torbami. Rób, co ci mówię, rozejrzyj się za pracą, by i dzieci mogły co pomóc. Od takiego kręcenia można się – nie daj Bóg – przekreślić. Rób co mówię, Mosze.

– A co ja myślę, broń Boże – robić inaczej? – zaperzył się Mosze Inowłodzer. – Mam siedzieć z założonymi rękami? Myślisz, że tu nie ma wsi? Są, oj są! Trzeba tam tylko dotrzeć. Z chłopami, dzięki Bogu, jestem za pan brat. Ojciec dziadka Gecele już jako dziecko był blisko z chłopem. Z dzieci, jak Bóg da, też zrobię użytek. Miasto jest duże, słyszysz, takiego jeszcze nie widziałaś! Łatwiej tu o klienta niż w domu.

Kobieta, poruszona jego zapaleciem siedzi, charczy zapatrzona i nie wie, co powiedzieć. Ale w środku gotuje się. Dorosły cieszy się jak dziecko cackiem. Spodobały mu się piękności. Obce majątki go zajmują. Patrzy na męża jak na szaleńca, oby to nas nie spotkało, i milczy.

On tymczasem nabiera powietrza i wpatruje się w żonę: – A jak myślisz, jak się ten Poznański dorobił? Też na handlu obnośnym. Pełno jest opowieści o tym, w jaki sposób zaszedł tak daleko. To, Chano Rejzo, możesz przecież wiedzieć, o takim milionerze, nic ci nie zaszkodzi. – Spojrzenie mężczyzny wyraźnie ostudziło nieco jej emocje i też się zrobiła ciekawa. Usiadła prosto, milcząc pozwoliła mu delektować się swoją opowieścią. – Izrael Poznański, tak nazywa się miejscowy wielki bogacz – cedził słowa Mosze. – Mówią, że już jako dziecko, w Kowalu nad Wisłą, miał więcej szczęścia niż inne dzieci w chederze. W skrócie, pracował tam porządny mełamed⁵. Co zamożniejsi gospodarze pchali swoje dzieci do niego. Niestety największą przyjemność sprawiało mu szczypanie chłopców, bicie ich po plecach sękatym kijem, który miał stale przewieszony przez ramie. Dzieci miały czarne pręgi od jego bata. Izraelek, synalek Kalmana chasyda, był jednak właśnie przez tego złego rebebo⁶ głaskany po główce.

⁵ Mełamed – nauczyciel małych dzieci w chederze.

⁶ Rebe – w chasydyzmie tytuł używany w stosunku do przewodników duchowych, nauczycieli, cadyków.

W Simchat Tora⁷, podczas procesji, wszystkim chłopcom pozwalano raz okrążyć pulpitu w synagodze, a Izrael od Kalmana, choć dziecko ubogie, dostawał specjalne okrążenie. Nie wiadomo czemu, nie był nawet najlepszym uczniem, były w Kowalu tęższe główki – wszyscy kochali Izraelka. Po ślubie przeniósł się z żoną do Łodzi. Miasto było jeszcze wówczas dość małe, kilka uliczek, niskie domy – niewielka osada pomiędzy budzącymi grozę lasami i pustynnymi drogami. Zarzucił na plecy worek i ruszył na wieś w poszukiwaniu zarobku. Gojów, jak wiesz, nie brakuje. Jedną połę zakasał za pas, drugą przywiązał do worka i hajda co rano na wieś. Handlował, ile Bóg, chwalić jego imię, dał. A szczęście mu stale sprzyjało. Miał dobrą pracę, lecz majątku nie zbił. Ale głowę to on jednak miał! Przyszło mu na myśl, by zabrać na wieś kawałki płótna wyrabianego przez miejscowych Niemców i trafił! Wieśniacy rozchwyтали jego towar. Chłopi chętni byli na kolorowe szmatki i kolorowe płótno. Wpadł więc Izrael na pomysł, by samemu farbować materiały. I znowu mu się powiodło. Od tej chwili zaczął się pięć w górę, stawał się coraz bogatszy. Lud był coraz bardziej zadowolony z jego towarów i bił się o nie. A gdy już stał się bogaty jak Krezus, wybudował własne kamienice, zabudował duże ulice, sprowadził z zagranicy wielkie maszyny do obróbki materiałów, które stały się sławne w całym kraju i dalekiej Rosji. Gdy zyskał uznanie i zaczął nosić się z rozmachem, pewnego dnia zawitał do pałacu swojego znajomego, również bogatego fabrykanta. Tak rozmawiając, ów nagle zwrócił się do Poznańskiego.

– Słuchaj, Izrael, mam interes dla ciebie.

– Dawaj, co to za interes? – zaciekał się Izrael od Kalmana.

– Posłuchaj! – pochylił się ów ku niemu. Nasz święty kraj, Erec Izrael, musi powstać do życia. Będzie rósł, będzie się rozbudowywał, jeśli będą tam Żydzi, a nie tylko grupa nauczycieli, uczonych i starców, którzy jadą tam tylko po to, by umrzeć. Krajowi potrzeba aktywnych Żydów, musi mieć też fabryki. Nasze fabryki tu, na wygnaniu, stoją na piasku lub na rwącej rzece. W każdej chwili mogą zostać rozgrabione lub, nie дай Bóg, przestaną działać, choć wydaje się, że jest inaczej: zawsze znajdzie się jakaś kosteczka do oblizania. Ja czuję, że się nie utrzymają. Szczęście tu to mrzonka. Tam, odwrotnie, myślę, że tyle da się zrobić! Izrael, przyjacielu! Stąd moja rada – sprzedaj wszystko i udaj się do kraju naszych ojców. Serce mi mówi, że im szybciej, tym lepiej. Niektórym wyda się to fanaberią, ale może ci to wyjść na dobre. – Izrael z Kowala wysłuchał w zdumieniu tej przemowy swojego pobratymcy nie wiedząc, co mu odpowiedzieć. Na szybko przetrawić taki pomysł zdawało mu się czymś okropnie trudnym, ów jednak pociągnął go za ramię.

– No i co mi na to powiesz? Wielka mi rzecz, też tu nie będę siedział. Jestem Żydem. Tamto jest nasze. Nie wolno stronić od swojego. Słuchaj, ja tak zrobię!

Rzekł mu na to Poznański: – Nie odpowiem, nim się nie naradzę z żoną.

⁷ Simchat Tora (hebr., dosł. 'radość Tory') – uroczystość związana z zakończeniem rocznego cyklu czytania Tory, obchodzona na zakończenie świąt Sukot (zob. s. 63, przyp 7). Jednym z jego elementów jest uroczysta procesja z księgami Tory.

Wrócił reb⁸ Izrael do domu i opowiada żonie, co mu poradził przyjaciel. Wysłuchawszy go kobieta zamyśliła się. W końcu stwierdziła, że również nie wie, co zrobić. Trzeba pomyśleć, Izrael, porządnie się z tym przespać. Przecież się nie pali, czyż nie? Zaś następnego dnia rano powiedziała do męża, Izraela z Kowala: – My, Żydzi, jeśli chcemy się upewnić w jakiejś sprawie, idziemy do rebego. – I tak też się stało. Izrael Poznański pojechał prosić o radę rebego, którego się trzymał.

Do rebego dotrzeć akurat nie było łatwo. Mimo wielu przeszkód Żyd z Kowala wkroczył następnego dnia do chederu. Po powitaniu rebe wysłuchał pomysłu z Ziemią Izraela i fabrykami Poznańskiego. Myślał długo, aż dało się słyszeć jak drżącym głosem jego święte usta wypowiadają następujące słowa: – Izraelu! Trzeba się zdać na Stworzyciela. Posłuchaj mnie. Wyjdź na tę i tę drogę i krzycz: „Gdzie jest anioł Poznańskiego?”...

Wrócił wówczas Poznański do domu rozmyślając o pomysle, który podsunął mu rebe. Nazajutrz, gdy siedział zamyślony na ganku swojego domu ujrzał przechodzącego biednego, obdartego Żyda. Nie namyślając się długo zawołał i zapytał, czy pójdzie dla niego z misją.

Tak, odpowiedział biedak i wysłuchał, czego chce bogacz.

– To ile za to chcecie?

Odpowiedział mu tamten, że za tę misję chce 400 rubli.

Dobrze. Izrael Poznański zgodził się. Żyd też. Ale musi, powiedział, pójść wpierw spytać żonę, czy za te pieniądze może się podjąć tego zadania. Gdy wszedł do domu żona kazała mu szybko biec, brać te 400 rubli i zrobić, co należy. Ale kiedy wrócił i powiedział, że żona się zgodziła, reb Izrael z bólem oznajmił, że teraz dostanie już tylko 300 rubli. Ów jednak ponownie nie chciał się zgodzić bez wiedzy żony, pobiegł więc do domu, by ją zapytać. Żona kazała wziąć te 300 rubli za zadanie. Ów więc, ponownie, wrócił zasapany. Izrael jednak chciał mu już dać tylko 200 rubli. Słabo się zrobiło nieborakowi, sprawy zmierzały w złym kierunku, ale bez zgody żony nic nie robi. Znów więc udał się do niej zapytać, czy ma się zgodzić wziąć za misję 200 rubli. Żona odpowiedziała, że 200 to wciąż jeszcze całkiem dużo. Poznański jednak nie chciał już dać więcej niż sto. Umęczony lataniem w tę i z powrotem biedak zgodził się w końcu – już bez wiedzy żony – na sto rubli. Reb Izrael dał mu je, a palcem wskazał drogę:

– Wyjdź na tę drogę i głośno zawołaj: Gdzie jest anioł Poznańskiego? Potem wróć. A Żyd zrobił jak mu bogacz kazał: poszedł i zawołał. Wówczas wyszedł mu naprzeciw anioł przystrojony w same bogactwa, od stóp do głów obwieszony złotem, srebrem i brylantami – zapytał zaszuszonego nieszczęśnika, jakie jest jego żądanie. Ów odpowiedział mu pokornie, że szuka anioła Poznańskiego. Wtedy anioł wprowadził biedaka do ogromnej sali pełnej różnych aniołów: pięknych i brzydkich, bogatych i biednych, młodych i starych, dobrych i złych, wysokich i niskich, śpiewających, szlochających i krzyczących. Ze zdziwieniem przyglądał się Żyd tym wszystkim aniołom, aż zaciekawiony zapytał tego przystrojonego w złoto.

⁸ Reb – zwrot grzecznościowy, którym pierwotnie zwracano się do szanowanych członków gminy żydowskiej, z czasem zaczęto go stosować przed imieniem lub imieniem i nazwiskiem dorosłych Żydów.

– Panie, a gdzie jest anioł Poznańskiego?

– Oto i on – wskazał ów na siebie. I zapewnił posłańca, że on, anioł, nigdy nie opuści swego ziemskiego gospodarza i nigdy o nim nie zapomni. Żyd, mówiąc o posłańcu, był, ma się rozumieć, zadowolony ze spotkania z aniołem Poznańskiego. Poprosił, by mu też pokazał jego własnego anioła. Na dyskretny znak wyczołgał się gdzieś zza pieca stary, przygnębiony, kulejący i powykrzywiany anioł. W rękę trzymał fajeczkę, do której upchał żółtą tabakę. Ponury anioł odezwał się do człowieka tymi słowami:

– Twoje szczęście, że się akurat zająłem fajką. Gdyby nie to, nie ukończyłbyś dziś swojej misji.

* * *

Skończywszy tę piękną opowieść o poznańskim milionerze, Inowłodzer pozostał tak, siedząc naprzeciw żony, a twarz mu płonęła. Uśmiechał się szeroko. Fantazja o aniele dobrego losu naprawdę go ogrzała i pozwoliła oderwać myśli. Nie widział, jak omdlewająca świeca wykrzywiła swój ostry języczek, a w izbie zapadła ciemność. Na zewnątrz bezksiężycowa noc. Czarna, gęsta ciemność. Do żony doszło nieoczekiwane westchnienie Moszego. Już wiedziała: to wskazówka, że nie jest mu dobrze, powinna zapaść całkowita cisza. Tak naprawdę nie było mu lekko na duszy. Mózg mu parował od myślenia: – Jak to się skończy?

– Taka bajka pasuje do pobożnych opowieści – odezwała się żona przerywając ciągnącą ciszę.

– Taka bajka? – w głosie Inowłodzera dało się słyszeć złość. – Toć to czysta prawda. Wiedzą o tym nawet małe dzieci.

– No popatrz go – mówi ona.

– Został Poznański tu i ma dlatego raj tutaj. Taki wielki szczęściarz – pokręcił zamyślony głową. – I pewnie będzie mu zapowiedziane, kiedy ma wyjechać. A-ja-jaj. Nasza odległa święta ziemia Abrahama, Izaaka i Jakuba, ojciec miłośni! – A czy Moszego zaświeciły niczym u pijanego. Jęk kobiety wznosi się w głęboką, gęstą ciemność.

– Mężu, bogactwo to łut szczęścia!

– Miejmy nadzieję w Bogu – odparł Mosze Inowłodzer. A nad domostwem zapadła noc.

ZŁOTE MIASTO

Nazajutrz Moszemu Inowłodzerowi objawiła się kolejna nowość. Położona na uboczu uliczka, przy której mieszkał, nazywa się ulica Groszowa.

Może to dlatego, że na tej, wyciętej z dzikiego pola ulicy, domy nie są warte złamanego grosza.

Może dlatego, że mieszkający tam ludzie nie mają grosza przy duszy.

A może dlatego, że wielu jej mieszkańców chodzi i żebrze o grosz.

Mosze Inowłodzer nie umiał zrozumieć tej nazwy. Cuda pochłaniały go bez przerwy. Nie widział jeszcze miasta, które miałyby tak duże, dziwaczne domy z małymi (jak jego) mieszkankami, które miałyby dzień targowy w samą środę, a do tego bez żadnego chłopca! Miasta pozwalającego, by przez jego środek przepływał odkryty strumyk bez mostku

umożliwiającego przejście do wsi. Miasta, które ma takiego Poznańskiego, Żyda tak bogatego, że nie wie, co bardziej pożądane: synagoga, czy – za przeproszeniem – kościółek.

To miasto, Łódź – wychodzi z siebie nasz Żyd – niech je diabli wezmą. A wszystko takie obce. No trudno. Mosze nie jest słabeuszem. Wyjdzie z tego błota, w którym znalazł się na tej pustyni. Jak Bóg pozwoli, znajdzie swoje miejsce. Bezkresny świat – bezkresna wieczność. Gdzie są Żydzi, tam Mosze nie zginie. Zwłaszcza, że ma już dzieci, które pomogą pchać ten wózek. Ten, którego imienia nie jestem godzien wzywać, ześle jakieś zajęcie.

Doszedłszy do ulicy Groszowej, rozglądał się już jak u siebie. Czuje się, jakby spędził tu już rok. W swoich juchtowych butach idzie więc do sąsiedniego domku, zagląda w okno i widzi, że w środku, przy słabym świetle, ktoś się rusza, ktoś kręci, tętni życie.

Od wejścia uderzył Inowłodzera zapach gotowania, łóżka i harmider – oznaki niewzruszonego domostwa.

– Dzień dobry!... widzę, że trafiłem do żydowskiego domu – stara się Mosze oswoić z obcym domem.

– Jestem sąsiadem stamtąd. Przyszedłem do swoich zobaczyć, jak się żyje – mówi Inowłodzera rozdzierającym głosem, bo ludzie zmierzyl go nieco chłodnym wzrokiem, powiało początkowym niedowierzaniem.

– Pewnieś nietutejszy – gospodarz, Żyd o kościstej twarzy, w czapeczce na głowie, próbuje powitać przybysza ciepłym słowem.

– A jakże? Nietutejszy. Wpadłem tu na chybił-trafił. W miasteczku nie ma, oby to nas nie dotknęło, pracy. Trzeba się tam nachodzić, żeby złapać rubla.

– Samiście tu, czy z rodziną?

– Gdzież tam sam. Dzieci – tfu, tfu – pięcioro, podrośnięte.

– Nie martw się! – pociesza go Żyd w czapeczce. – Nie myliliście się, przyjeżdżając tutaj. Starczy, chwalić Boga, para zdrowych rąk. To dobrzy żywiciela. Sam wam naraję robotę.

Z brodatej twarzy Inowłodzera patrzą tryskające niespodziewaną radością oczy. Serce mu wali.

– Dla mnie, czy dla dzieci – słowa więzną w gardle i wychodzą jakby niedokończone.

– I dla was, i dla dzieci.

– Nie znam żadnego rzemiosła, sąsiedzie – ciągnie w oszołomieniu obcy. Całe życie handlowałem. Dziecko kupców...

Mówi Mosze zagubiony, zatopiony w myślach, przeciąga słowa, jakby wyciągał z wody głazy. Wychodzą oderwane. Czuć, że szuka jakiegoś usprawiedliwienia przed tym obcym człowiekiem.

– To nic złego. Szybko się wyuczycie. Skoro to mogą robić dzieci, wy będziecie mogli tym bardziej. – Pocieszał go Żyd w czapce.

– Przeciwnie – zaczyna się znów na tym jednym słowie i nie wierzy swoim własnym uszom, że to, o czym właśnie słyszy, ma być prawdą dla niego.

– Lękacie się tego jak jakiegoś straszidła – zwraca się sąsiad do Inowłodzera, widząc, jak mieni się twarz obcego. – Nie bójcie się tak. Wiecie, jaką chcę wam naraić robotę?

O to to. – Żyd w jarmulce podtyka Inowłodzerowi pod oczy szpulę z wełną. Pokazuje mu: to bardzo proste. – Robią to moje własne dzieci. Nawet starcy potrafią tę sztukę. Nie ma się czego bać. Widzicie? Siada się przy takim kółku. Stopą naciska się pedał, koło zaczyna się kręcić i już. Palcami trzeba tylko przewlec nitkę przez papierowe uszko. Drobnostka.

Twarz Inowłodzera drga. Nie może oderwać wzroku od koła, na którym wiję się szpula z wełną.

– Jutro pójdźcie ze mną na Wilki⁹ – sąsiad zakończył swoją trudną „lekcję” z obcym w siermiężnych butach. Przed odejściem zapytał jeszcze Inowłodzera:

– A macie chociaż mieszkanie, w którym zmieści się kołowrotek?

Ten już nie odpowiedział. Potrząsnął tylko głową, co mogło w oczach sąsiada znaczyć: „Tak, mam duże mieszkanie”, jak i „Nie, nie mam dużego mieszkania”, ale na pewno „Umęczone się w tym nowym życiu, w złotym miejscu.”

Na progu Mosze dotknął palcami mezuzę, a przez głowę przemknęła mu podwójna myśl:

– Dzieci jakoś wyjdą na ludzi, ale jaki będzie jego koniec? Czy będzie tak mógł siedzieć w domu i kopać w pedał? Kręcić kołem, przeciągać strzępki nitek między palcami. Ech!

Przed wszystkim musiał teraz wystawić z domu kołyskę. Kobieta będzie musiała wbić sobie do głowy, że sypia sama. Żeby, broń Boże, znów nie zachciało się jej rodzić. Nie ma miejsca na kołyskę. Trzeba wstawić krosno. – Ciekawe, ile to kosztuje. I przez cały dzień w głowie kołatała mu jedna myśl: sąsiad, papierowe szyjki, kołyska, co ze stołem, jeśli nie będzie dość miejsca?

[...]

Pewnego razu po szabatowej kolacji żona zrzuciła fartuch i nałożyła świąteczną perukę z białą szeroką kokardą z boku.

– Co się stało, Chane Rojze? – zapytał Inowłódz żonę z wymuszonym uśmiechem.

– Chcę się trochę przejść...

– Przejść się, co za pomysł... Nie chce mi się nigdzie łązić!

– Nie zmęczysz się.

– Jeszcze zabłądzisz... To nie Inowłódz, Chane Rojze.

– Wszędzie jest jakiś świat – tu mniejszy, tam większy. Wśród ludzi nie zabłądzą, upierała się kobieta. – Idę.

– Poczekaj, pójdę z tobą – powiedział, choć wcale mu się nie chciało.

[...]

Przez pola, przez niemal puste ulice szli tak mąż i żona, aż dotarli do miasta. Tu i tam, nad krzywymi, prawie płaskimi dachami, sterczały kominy. Powietrze było chłodne. Pachniało deszczem, choć niebo było bezchmurne. Wisiał jedynie ciężkie, naładowane smutną szarością.

⁹ Wilkami nazywano w Łodzi okolice dzisiejszego pl. Wolności, od którego wychodzi dawny trakt w kierunku Piotrkowa, czyli obecna ul. Piotrkowska.

Chane Rojze szła przodem, on – za nią. Miała na sobie czarny pluszowy żakiet, który uszyto jej jeszcze na wiano, on – czarną kapotę o butelkowitzelonym, jedwabnym połysku. Na nogach miała sznurowane szabatowe trzewiki, on – wypucowane buty z cholewami, w których chodził w tygodniu.

Idąc tak, nie zamienili w złości nawet słowa. [...] Wyglądało to tak, jakby Chane Rojze gdzieś się śpieszyła i w tym pośpiechu rozglądała się uważnie dookoła. Jak gdyby szukała jakiejś zguby lub wyśnionego marzenia, które gdzieś tam na nią czeka. Gdy weszli w gęstą zabudowę, zwolniła. Mosze Inowłodzer szedł za nią krok w krok.

Nagle kobieta zatrzymała się i pokazała wzrokiem mężowi – widzisz?

Stali przy wielkim placu pełnym wozów. Folwarczne fury stały na ciężkich, okutych kołach i pachniały słomianymi matami. Inowłodzera owionął zapach wsi, chłopów, za którym tak bardzo tęsknił. [...]

– Widzisz? – rzuciła kobieta mężowi.

– Co mam widzieć? – zdziwił się jej pytaniem, choć domyślał się, co chce powiedzieć.

– Nie widzisz, że to jarmark? Czekają tu niezły pieniądź, he? Jak wszędzie dookoła na świecie.

– No jasne, jasne, że to jarmark. Z zaspianymi chłopami... Śmieszna jesteś, Chane Rojze!

– To śmieję się, śmieję! Jak ci z tym tak dobrze...

– Czego ty chcesz? – zwrócił się do kobiety – Przecież jest szabat! Kto będzie handlował w szabat! Jest szabat, szabat wszędzie dookoła. Goj bez Żyda sobie nie poradzi. Oczywiście może próbować, czy mu się uda... Poczekaj aż zapalą światła, zaraz się tu zaroi...

[...]

– Pomyśl tylko! – woła w cichym gniewie – Tam gdzie są żywi ludzie, musi być handel. Żywy człowiek musi jeść, a jedzenie nie rośnie za kominem, tylko na polu, na wsi. Tu masz dowód: tak długo tu jesteś, czy widziałeś chociaż jedno zaorane pole, jeden zadbane ogródek? Tutaj każdy chce wieść przegnać, wszędzie tylko kamienie i żelazo. Nawet jeśli widać gdzieś ziemię, pełna jest kamieni i piasku. Nikt jej nawet dotknąć nie chce. Lepiej wystawać na ulicach. Może i tak jest mądrzej? Może wyrośnie z tego chleb? Jednak miasto nie poradzi sobie bez chłopów, a chłop nie poradzi sobie bez miasta.

[...]

Kawałek dalej Chane Rojze znów znajduje miejsce odpowiednie dla Żyda. O, widzisz – mówi – tu masz koszary. Tam są żołnierze i konie. Oni potrzebują jedzenia, a i zwierzęta nie wytrzymają bez obroku. A szynele, a buty? – też nie są dla psów. Kto tego wszystkiego dostarcza, Mosze? Kupiec, rzemieślnik. Nie leń się Mosze, policz, ilu ludzi w tym miejscu potrzebuje jedzenia? Kupiec z łatwością się tu utrzyma. Trzeba się tylko postarać.

Mosze Inowłodzer czuje się winny z powodu mądrych rad swej żony. Rzeczywiście, dlaczego tak zamknął się w sobie? Zwątpienie nie przystoi człowiekowi, a już Żydowi na pewno nie. Nie jest przecież głupcem, ani beznadziejnym starcem, który nie może sobie poradzić z zarobkiem na kawałek chleba w nowym miejscu.

[...]

Nieco później, gdy dochodzili już do mieszkania, wieczór rozgorzał plamistą purpurą. Mosze Inowłodzer podniósł oczy i powiedział do żony:

- Wiesz, czym się zajmę?... Będę handlował workami.
- Jak to workami? – spojrzała na niego.
- Widzisz te wiatraki? One przecież potrzebują worków.

Kobieta spojrzała. Co widzi?... Co za pomysł – worki! Gdzie worki, jakie worki? Boże uchowaj. Zaskoczona pokręciła głową w jedną i w drugą stronę i poczuła ucisk w gardle. Nogi się pod nią ugięły. Idąc u jego boku, nie słyszała już nawet swoich własnych kroków. A gdy podniosła wzrok, w ciemnej przestrzeni ujrzała, jak melancholijnie poruszają się skrzydła wiatraka.

– Niech będą i worki, aby na życie starczyło... – westchnęła ciężko, a wielki ciężar ucisnął jej pierś.

[...]

NOWE ZAJĘCIE

Wydaje się, że pomysł, by handlować workami spadł Inowłodzerowi prosto z nieba. Zajęcie przyjęło się. W młynach zapalono się do pomysłu workowego Żyda, jakby wraz z nim objawił im się zbawiciel.

– Co znaczy, czy potrzebuję worków? Pytanie...

Worki były potrzebne, odkąd zaczęto w tym mieście mieć mąkę i jeść chleb, odkąd pojawiła się chęć, by na tym zarobić. Dopóki Mosze Inowłodzer nie wpadł na pomysł, by skupować używane worki po mące, młynarze szyli je sami; mieli jakiś wybór? Gdy piekarz lub sklepikarz przyjeżdżali po mąkę, młynarz musiał mieć gotowy pełen worek mąki, chyba że chciał przekazać klienta innemu młynarzowi, a tacy wyrastali jak grzyby po deszczu. Zaczęli się też już pojawiać handlarze, którzy wagonami przywozili mąkę z Rosji, więc klientem nie wolno szastać. Żyd z workami spadł więc jak z nieba.

Z początku młynarze trochę bali się obcego o gęstej, czarnej, lecz pokrytej mąką brodzie. To prawda, że ze względu na niewysoką, niczym się niewyróżniającą posturę, nie rzucałby się w oczy. Poszarzała biel jego siermiężnych, wyraźnie ciężkich butów i spokojny, nieelegancki chód tylko wzbudzały ciekawość. Obawiali się, że pojawił się nowy młynarz, który znów coś zepsuje. A gdy słyszeli: handlarz workami, jego towar to używane worki, ponownie się dziwili – czemu jest cały w mące? W fałdach butów tyle mąki, brwi sprószone, ramiona białe jakby pokryte rosą. Nawet nos przypieczętowany jest mąką. Widać było tylko dwoje, czarnych, błyszczących, nieco zamyślonych oczu.

Na ulicach, na których pojawiał się biały Żyd, wyglądały rozczochrane głowy, z dziwną, pobożną, poplątaną brodą:

– Owa, a to co?

Słyszac, że handlarz workami, młynarze wciąż nie przestawali się dziwić. Mimo to nowina sprawiła im radość. A gdy pytali o cenę, Żyd odpowiadał: oddam tanio.

– Rzeczywiście? – przystępowali do niego młynarze.

– Złoty – rzucał Inowłodzer z impetem hojnego darczyńcy, kątem oka spoglądając na swoich późniejszych pracodawców. Oko go nie myliło. Od razu czuł, że rozmach pomoże. Na tym polegał interes. Dotychczas worki były droższe, trzeba je było szyć z surowego płótna. Ten, kto nie mógł zapewnić sobie wystarczającej liczby worków, podczas rozliczenia gryzł paznokcie.

Pomysł Moszego Inowłodzera był prosty i na tym polegała cała jego mądrość. Wyszukał wszystkich piekarzy w mieście, udał się do ich piekarni i wykupił stare, opróżnione worki na mąkę. Jeśli się zdarzyło, że worki były jeszcze pełne, płacił za nie z góry i czekał aż zostaną opróżnione. Ludzie nie wierzyli: dziwak z niego... Trzyma za słowo! Zawsze chętni, by zarobić kilka rubli piekarze chętnie robili interes i sprzedawali tanio. Za worek z dziurą, choćby najmniejszą, Inowłodzer płacił pół ceny. Puste worki, na które dotąd nie było klientów, odkupował też od sklepikarzy. Dziurawe szmaty również mogły stać się źródłem zarobku, żartowali ludzie. Pokryty mąką człowiek zdawał się jednak nie słuchać. Robił swoje. Na ulicy Groszowej w domu Moszego Inowłodzera worki zajęły cały pokój, niósł się z nich gęsty, biały kurz. Niewielkie mieszkanko Moszego także obficie korzystało z mącznego kurzu, który pokrywał krawędzie starczo pochylonej brązowej komody, czarne żelazne sagany i fugi masywnych pomalowanych na zielono drzwi. Gdzie się Mosze nie ruszył, zostawał lepiący biały ślad swoich ubrań i pokrytych mąką obcasów. Wyszorowana podłoga (z powodu głębokiej bieli aż się mieniła na żółto) niczym pobożnie ściągnięta twarz stale wstydyła się placków błota, które odlepiały się z podeszw Inowłodzera. Chana Rejza polubiła to miejsce, choć początkowo nie widziała jeszcze złamanego grosza z interesu męża. Z ciągłego kręcenia się Moszego w domu i komórcie wywnioskowała, że zapowiada się porządny kawałek chleba. Nawet nie pytała, co i kiedy. Resztki mądrości podpowiadały jej, by nie pytać. Dowie się. A może mąż opowie jej wszystko na raz? Ale Mosze milczał. Wieczorem, gdy umęczony wrócił do domu, szeroko rozłożył nogi w butach pokrytych mąką i błotem. Zmarszczył czoło, jakby chciał zebrać rozproszone myśli, na głos zawołał w głąb domu:

– Może już dosyć?

Miał na myśli synów, małych robotników, by odeszli już od kółek.

I postawiono stół na miejsce, a pedały odetchnęły sucho i lękliwie (tymczasem położono je na łóżku), Inowłodzer jął zdejmować buty.

– Owaa, co za miasteczko! – mówił nie mogąc pokonać ciężkich chodaków, które niczym przyrośnięte nie chciały zejść z jego umęczonych stóp.

– Nogi jak nie moje... – wykrzywił się gorzko – Nie czuję ich. Co to za przyjemność tulać się tyle w ciągu dnia!...

Ale w jego głosie nie było słycać goryczy. Przeciwnie, kryła się w nich duma z tego, co osiągnął.

A jego język rwał się, by opowiedzieć o codziennych dalekich wyprawach Moszego Inowłodzera. Posmakował w tej opowieść o bezkresnych pustych polach, na których pracują młyny, o ciemnych, piwnicznych piekarniach i nieznanych uliczkach z kramarzami, którzy wyglądają handlarza workami, błogosławiąc chwilę jego przybycia.

Do podniebienia słodko mu się kleiło słowo, które miał powiedzieć domownikom o wysiłkach, które pchają go na szczyt. Taki wielki wysiłek, drodzy – cmokał kuszącą myśl. Ale nic nie mówił, zmusił się do zachowania tajemnicy i pielęgnował ją w sobie. Silne zmęczenie szybko sprawiło, że jego powieki stały się ciężkie.

Ciemną wieczorną izbę wypełniało wielkie oczekiwanie.

Chana Rejza posłała synom łóżka. Sama położyła się ostatnia. Obok niej spała Gitele, żywa kopia swojej drogiej babki, oby żyła jak najdłużej.

Noc niczym statek szybko odpłynęła ku dalekim, świetlistym brzegom.

MIASTO JEST DUŻE I SZEROKIE

Przed Moszem Inowłodzerem miasto rozpościerało się coraz dłuższe i szersze. Codziennie pochłaniały go ulice z domami. Wokół siebie nie widział niczego poza sobą – on i wszystkie piekarnie, sklepy i szare, pokryte mąką wiatraki, które smętnie poruszały się pod miastem. Mosze nie był już zajęty, nie spieszył się. Brak pośpiechu leżał w jego naturze, ugruntowana przez pokolenia cecha Inowłodzerów. Mosze chodził spokojnie, choć miasto rozciągało się przed jego oczami coraz bardziej, a jego trud się podwoił. Im dłuższe i większe jawiło się przed nim miasto, tym pewniej się czuł. Dziwnie powoli kroczył (jakby instynktownie szykował się do ataku jakiejś bestii. A przed taką trzeba się bronić! Być w gotowości...). Choć praca dla niego była już przygotowana z góry. Zawsze to samo. Gdy szedł od piekarza do sklepikarza, coś go gryzło. Niewyraźne myśli ciągnęły go, wlekły z miejsca w miejsce. Trzeba strzec się zbędnego spojrzenia, nie wolno, broń Boże, wzbudzić zazdrości u tamtych. Lepiej cicho, z oddali, a Bóg już pomoże... Cicho, cicho Mosze! Wszystkie te niejasne myśli wzbudziły w nim wyraźne przeczucie, że on, prostak, z bożą pomocą zostanie wywyższony. Wygląda na to, że jest to odpowiednie ku temu miejsce. Stanie się wielki. Jednocześnie czuł, że tryska z niego chęć, by przekonać kramarza Moszego z Inowłodza, który jakoś do niczego nie doszedł, że musi on stać się człowiekiem. Oczami wyobraźni widzi już siebie przywożącego z lasu drewno, kolumny chłopskich wozów z drewnem – zbuduje własny, przestronny dom, postawi skład, wielki magazyn. Kupcy ściągają będą do niego z daleka.

A gdy raz zabraknie towaru, z góry wyłożą przed nim pełno pieniędzy i będą go prosić: reb Mosze, pamiętaj o swoim. Trochę uznania dla głowy rodziny. Będą się z nim liczyć.

Dość – wezbrała w nim złość pewnego siebie posiadacza, który zapomina się czasem, kim jest i gdzie się znajduje. Reb Mosze Inowłodzer nie musi się już ukrywać pod połatanym chałatem. Miasto, dzięki Bogu, liczy się z nim: reb Mosze nie boi się, że gmina go obedrze. Sam jest, dzięki Bogu, ważnym członkiem gminy.

Lecz gdy się orientuje, że wciąż jeszcze tkwi w biedzie, znów robi się zły, zły na siebie. Nie chce, by jego dom wypełniony był wzdychaniem. Nalega, by się z nim liczone. Czas już być człowiekiem na równi z innymi. Już odebrał swoją tyżkę dziegiu.

Chwała Bogu, że nastąpi odpowiednia chwila.

Gdy tak myślał i wąpił, oblał go zimny pot i próbował odpędzić te myśli niczym plagę much. Jak na złość były one bardzo natrętne. Domagały się respektu dla ogromnej sumy pieniędzy, które już po cichu ukrył w krokwiach strychu i w komórce na worki.

W towarzystwie innych jeszcze narzekał, chciał się zagłuszyć żydowskim biadaniem, dyskutować o sprawach ogółu. Próbował nawet między ludźmi opowiadać żarty, ale jakoś nie wywoływały śmiechu. Pieniądze, jak czuł, przyniosły mu same problemy.

Co ma robić, by nie dać po sobie poznać, że uwierają go te ukryte oszczędności? A jeśli ich nie ujawnić, jaki z nich pożytek?!... Niedobrze, Mosze. Widocznie prawdą jest, że pieniądze niszczą człowieka, sprowadzają go z właściwej drogi.

Tak go to dręczyło, że nie mógł w ogóle przespać spokojnie nocy. Był to już inny Mosze Inowłódz, całkiem inny. Całym sobą poczuł nagle wrzenie swojej krwi: worki, worki, dawajcie worki! Jak najwięcej worków. Oto to. To jest sedno. Nie miał już czasu się namyślać, na trzeźwo uświadomić sobie swoją sytuację. Tak niewiele minęło, odkąd opuścił dom, Inowłódz – a jak daleko odjechał! Choć od świtu aż do późnego wieczora przemierzał dalekie drogi – czuł niemoc we wszystkich swoich członkach – ciągle pędziło go dalej: Idź, Mosze, dowiedz się u ciastkarza Lejzera, zajrzyj do Chaima z Tomaszowa.

W domu całymi nocami siedział w komórce nad stosami worków. Z bólem w plecach, zeszywniałymi palcami wyszukiwał porwanych i pochylony, nawleczoną igłą łątał worki. Na kolację trudno mu było przerwać.

– Jedzenie nie ucieknie... – zbywał żonę, byle tylko wkuć się jeszcze kilka razy w pokrytą mąką szmatę.

Zdarzało się też, że żona i dzieci męczyły się chodzeniem i wołaniem go na kolację. Czekając, zasypiały z sercami zamarzniętymi, w ubraniu. Moszego praca nie nużyła. Zapominał o zmęczeniu, które powoli, ciężko przenikało jego tętnice i sprawiało, że nogi robiły się ociężałe. Pochylony długo ślęczał nad dziurawymi workami, szjąc do białego rana.

I tak niemal dzień w dzień.

Musisz korzystać Mosze, korzystać!

Czasem nie udało mu się już położyć. Obmywał ręce, przepłukał gardło i stawał do modlitwy. Robił to śpiąc na stojąco. Taka to praca, niedosypianie i modlitwa we śnie stały się jego zwyczajem. Poranne zimne powietrze porządnie obmywało mu klejące się oczy. Zaspane członki ocknęły się na myśl, że ma dziś być u piekarza w Łagiewnikach, które są poza miastem i w młynie młynarza reb Awigdora na trakcie konstantynowskim.

W środku dnia Inowłódz, kołyszając się na kupie worków na wozie, marzył o drzemce pod gołym niebem. Powieki opadały mu, po podniebieniu rozlewała się słodycz głębokiego, zaspokajającego snu, a w członkach rozchodziło się błogie ciepło. Ogarnięty tym ciepłem wtulił się w nie całym swoim ciałem, dziwnie wygłodniały i w tej samej chwili poczuł przejmujące go słodkie uczucie – chwytą łono Chany Rejzy. Zanurza się w niej. Ona wzmacnia go miodem swej silnej miłości: – Och, tak, Chano Rejzo! Na koniec odrzuca go pozbawionego życiodajnych soków.

– Jak dobrze zlać się z twym ciałem! – i bujając się na tej oto pijackiej fali staniał się przed nią: moja żona, moja wierna żona!

Zachłysłnął się, ona przyciągnęła go do siebie, niechcący przyciskając jego głowę.

Wtem poczuł ostry, tępy ból, jakby trafiła go strzała. Rzuciło nim. Mózg natychmiast się ocknął, wszystko mu się mieszało, nie był pewien, czy siedzi na wozie, czy też leżą na nim worki. Raptem poczuł, jakby wóz leżał na nim. Wcale mu to nie przeszkadza. Przyjemność sprawia mu to, że ma wokół siebie tyle worków, tak dużo worków przylgnęło tu z jego powodu. Worki! Worki!

Chłodny sen kupca stanął mu u węgłowia. Wzniósł ku górze otwarte oczy i dziękował Bogu, że wszystko idzie jak należy. To tylko paskudne sny. To tylko zmęczenie – myślał. Nie będzie mu to policzone... Bóg, chwalić jego imię, niech mu będzie świadkiem, że jego myśli są czyste... Troska o utrzymanie wygania go z domu i do niego pcha. Domowników, odpukać, utrzymywać w obcym miejscu!

Zbliżały się już pola Łagiewnik Małych. Chyliły się ku niemu korony drzewa na skraju lasu łagiewnickiego. Niedaleko młyn. Człowiek ucieszy się, jak zobaczy, że Mosze jest porządnym Żydem. Obiecał dostarczyć worki do popołudnia, i tak też zrobił. Słowo Moszego Inowłodzera warte jest więcej niż pieniądz. To, co obiecał, jest święte. Miasto kocha ludzi solidnych. To nie chłopię; nie można ich zbyć przybiciem w dłoń, zwykłym „Co słysząc u wuja?”, tu trzeba być poważniejszym. W Łodzi panuje inny porządek.

Mosze Inowłódzera naprawdę poczuł, że staje się nowym człowiekiem.

Gdy wracał do domu od łagiewnickiego młynarza, grzało go dobre słowo goja, który z własnej inicjatywy wypłacił mu sto dwadzieścia rubli. „Dobry chłop z tego Moszego. Swój człowiek!”. Porządni ludzie z tych miejskich chrześcijan, – mówił do siebie – trzeba się takich trzymać... Jest dobrze, Mosze Inowłódzera, nie ma się czego przed nimi wstydić.

A gdy wspominał Moszego Inowłodzera, miał na myśli swój szlachetny rodowód. Swoich dobrych, pobożnych dziadów, uczciwych ojców, zręcznych kupców, którzy handlowali z panami i cieszyli się ich sympatią.

Nocą, przed spaniem, w jego mózgu kotłowało się sporo z tego, o czym myślał w ciągu dnia. I zrodziła się w nim całkiem nowa myśl: weźmie chłopców do handlu. Toć to, Boże broń, nie zaszkodzi ich pobożności. Przynajmniej w domu będzie lżej – żegnajcie kółka! – a handel, jak Bóg da, powiększy się. Potem, Najwyższy pomoże, weźmie im specjalnego mełameda. Są młodzi, mają czas.

W domu jeszcze o tym nie mówi. Zostawi to na inną okazję.

OJCIEC I SYN

Na zewnątrz panowała surowa zima. Ostрым mrozom towarzyszył dmący wiatr, który unosił szczególnie okutanego Moszego. Wagę swojego ciała odczuwał dopiero wtedy, gdy znajdował się na otwartym polu, w drodze do młynów. Nie szedł, lecz frunął niesiony przez wyjący wicher. Stawiał stopy, robił zamasyście kroki, lecz niewiele ruszał się z miejsca. Droga, którą musiał przebyć, to się rozciągała daleka i szeroka, to znów

kurczyła się, jak zaciśnięta pięść. Idąc pomimo trzaskającego mrozu, czuł się raz lekki jak piórko, raz ciężki niczym wóz z mąką na wyboistej drodze. Śnieg skrzypiał pod podeszwami, oślepiął oczy tak, że co i rusz tracił rozeznanie w dobrze znanej okolicy. Inowłodzer po prostu nie rozpoznawał drzew, na których miał znaki, chroniące go przed zabłądzeniem w podmiejskich lasach i na stale pustych polach. I jak na złość właśnie te dni przeznaczone miał na wiatraki, które znajdowały się poza miastem. Podczas mrozu młynarze bardzo potrzebowali worków. Silne wiatry, które bez przerwy huczały i wyły na otwartym polu, z podwójną lekkością napędzały skrzydła młynów. Mełły bez przerwy tak, że dniem i nocą nie było czasu na złapanie oddechu. W mieście było pełno przesianej mąki, razowej, a przede wszystkim otrąb. Spichlerze ugiwały się od nadmiaru, ludzie też jedli więcej, o wiele więcej niż podczas łagodnych pogód, bo tańszy był chleb dla ludzi i tańsze otręby na pasze dla bydła. U Moszego Inowłodzera rozchwymano wszystkie worki, co do ostatniego. Nie miał zresztą tylu, ile potrzebowali. Choćby się dwoił i troił: nie miał! Harował całkowicie sam w komórce i na ulicy i po prostu nie starczało mu dnia, czas pędził jak szalony. Dni ledwie otwierały szare oko, mrużyły je, ciężko trzepotały pod wpływem drażniącego światła, a już zaczynały rozpościerać budzącą groźbę ciemność. Całe nisko zawieszone niebo szybko przykrywała ciemność, niczym rozciągnięte szmaty.

Dręczył go niepokój, że dobrowolnie pozwala zniszczyć pracę, która jest mu przeznaczona. Szybko nastało zimowe święto żydowskie, Tu Biszwat¹⁰. Wieczorem Inowłodzer wracając do domu kupił pełne torebeczki strączków karobu, daktyli, rodzynek i orzechów.

Chłopcy przy kołowrotkach zdumieni się tą odmianą: jaki hojny zrobił się nagle ojciec! Dziwiło ich, że najmłodszy braciszek, Gecele, wracał teraz z tatą taki rozpromieniony. Wpychał ręce w kieszenie i za każdym razem wyciągał coś innego. Chwalił się rękami pełnymi świątecznych upominków, chętnie się nawet złotą pomarańczą, która lśniła w jego dziecinnej dłoni niczym słońce nad domowymi ciemnościami.

– Myślicie, że mnie to coś kosztuje? – kłamał Inowłodzer – złamanego grosza... Kramarze mi to siłą wciskają: Weź do domu, mówią. Przesyłamy dla dzieci... Prezent od ciotki, powiecie... na zdrowie. To mnie nie zrujnuje.

Usiadł potem, milcząc znacząco i wodził zmęczony oczami. W izbie tymczasem dało się odczuć to powściągliwe zachowanie, zapowiadające: sza, szacunek... Gdy kobieta rozdzieliła między dzieci piękne owoce (w domu przez chwilę powiało kwitnieniem i słońcem nietutejszego lata), Inowłodzer przerwał milczenie, choć właściwie nic jeszcze nie powiedział. Ciężko się tylko podniósł z niskiego siedzenia, podszedł do nagrzanego kotła, wyciągnął zaczerwienione ręce i ogrzał je nad rozżarzoną fajerką. Rozkosz rozchodzącego się ciepła wywołała jęk:

– Oj, co za mróz!

Następnie z wewnętrznym zadowoleniem powiedział, jakby sam się pokonał w cichej wewnętrznej potyczce:

¹⁰ Tu Biszwat (hebr., dosł. 'piętnasty dzień miesiąca szwat') – w żydowskim kalendarzu religijnym dzień półświąteczny przypadający 15 szwat (styczeń/luty). W Izraelu wyznacza koniec zimy i początek pory opadów. Obecnie jest to dzień sadzenia drzew przez dzieci i młodzież.

– Jak sprawić, by być już starszym o cztery tygodnie?

Mówił jakby do siebie, a słowa dźwięczały w domu męskimi łzami. Załkał, aż dzieci się obejrzały.

– A ty co? – odezwała się zagubiona żona – chcesz poganiać czas? Nie martw się, umrzeć zdążymy... A ten kto żyje, dożyje wszystkiego. Cztery tygodnie to nie wieczność.

– Wiadomo, kłopoty nas nie ominą... – rzucił

– Nie skarż się, człowieku. Jakie ty masz kłopoty. Grzeszysz. Jesteś, dziękować Bogu, zdrowy. W domu chleba ni kartofli nie brakuje.

– Ja się skarżę? – oczy zaszyły mu mgłą – Nie skarżę się. Mogłoby być lepiej. Własna żona, rodzone dzieci mogłyby być lepsze.

– Znowu zaczynasz? To przecież twoje dzieci... Weź je do handlu, skoro tak cię korci. Zniszcz je. Przeszkadzam? Wesprą cię, pomocnicy! Ja zrobię, co w mojej mocy. Też mam iść z wami na ulice? To pójdę. Tylko sobie nie żałuj. – Mówiła Chana Rejza otwarcie, choć nie bez goryczy.

Przemowa żony sprawiała mu przyjemność. Było w niej zarówno pouczenie, jak i ukryte ciepło. Na koniec wszystko to przechodziło w nim w rozmyślanie, które tliło się niczym zdeptany płomień.

– Słuchaj Symcha – zwrócił się zniecierpliwiony do najstarszego, który kołysał się lekko nad kołowrotkiem. – Jutro zostawisz tę zabawkę i pójdziesz ze mną. Matka przygotuje ci ciepły podkoszulek i parę ciepłych kałesonów. Przy mnie wyjdiesz na ludzi bardziej niż przy tym tu...

Siedemnastoletni syn z wypukłym czołem i o twarzy tak bladej jak twarz jego matki odwrócił oczy od ojca ze złością i głucho wyrzucił z siebie:

– Nie chcę łązić po młynarzach, piekarzach, nie lubię... Będę uczył się na tkacza.

– Pracza – podchwycił ojciec do rymu. – Też mi zawód. Ludzie przy nim zdychają z głodu. „Weź torbę, chodź po domach, weź torbę i chodź po domach...” – śpiewają wszędzie czeladnicy tkaczy. To bardzo smutna piosenka, gdy tak ciągną nić w tę i z powrotem. Nie śpiewają tego ot tak, z radości. Tkacz to wieczny nędzarz. Wyjdź na ulice, usłyszysz tkaczki oplakujące zajęcie swoich mężów. Tkacz przyrzekał, że nigdy nie będzie miał grosza przy duszy. Chodzą bez butów, zżerają ich pluskwy... Mojemu synalkowi zachciało się być tkaczem!

– Nędzarz... – powtórzył chłopak – nie chcę być kupcem, zamarznąć lub spalić się na ulicy. Kupiec nie widuje domu. Przecież to wiem.

– Milcz! – wrzasnął ojciec. – Będzie jak chcę. Masz jeszcze za głupi rozumek. Jutro idziesz ze mną do miasta. Nikt cię nie pyta o zdanie.

– Nie pójdę... – wyburczał Symcha Bunim obrażonym głosem.

– Zobaczmy, kto wygra.

– Zobaczmy... – powtórzył po cichu chłopak.

– A ty – zwrócił się Inowłodzer do piętnastoletniego Chanana, ty będziesz pilnował, żeby w komórce był porządek. Uporządkujesz worki, wybierzesz podziurawione i je

dokładnie połatasz. Nie zaszkodzi, możesz być pomocny. Później, jak będą mielić mąka na święto, nie będziesz miał co robić. Po Pesach¹¹ też cię wezmę. Wyjdiesz na ludzi.

Przed spaniem Mosze chciał jeszcze pokrzepić chłopców dobrym słowem:

– Na święto uszyję wam woreczki i kupię buty. Kozaczki się wypastuje i odstawi na następną zimę, obyśmy dożyli jej w dobrym w zdrowiu.

* * *

Chłopcy przyzwyczajeni byli do kołowrotka i do ponurego domu znajdującego się na leżącej na uboczu, ponurej ulicy Groszowej. Miasta jeszcze nie widzieli, nie podnieciła ich jego wielkość, jego piękno. Przeciwnie, historie opowiadane przez ojca sprawiły, że miejsce to w ich oczach nie znalazło szczególnego uznania. Nic w nim takiego nadzwyczajnego. Synagoga na górze? Co w tym specjalnego? Przecież uczyli się w Torze¹², że takiej piękności jak świątynia nie ma już pod słońcem. Poza tym miasto nie jest tak daleko od domu. Już się kiedyś wybiorą z przyjaciółmi i wszystko sobie dobrze obejrzą. Ich młode serca nie pojmowały przemów ojca, że lepiej być kupcem i być wśród mądrych ludzi, można wówczas szybciej zarobić porządny pieniądz. Przeciwnie, wcale nie podobał im się sposób życia ojca. Przyglądając się jego bieganiu, jego niedbałemu chodowi, czuli się jeszcze bardziej związani z niewielkim mieszkankiem na odludziu wśród wymarłych pól. Pokochali niezgrabne, drewniane kółka, na które patrzyli jak małe dzieci na swoje lalki. Miasto z wielkimi kamienicami nie wzbudzało w nich ciekawości. Mając swoje siedemnaście i piętnaście lat synowie Moszego Inowłodzera byli bardziej związani i oswojeni z młodymi rzemieślnikami od sąsiadów niż ze swoim ojcem i jego wiarą w handel. Mosze Inowłodzer podszedł do nich:

– Dzieci, słuchajcie ojca, wyjdzie wam to na dobre...

I dodał ze złością:

– Ja będę kręcił kołem, a nie koło mną! Słyszycie!?

Wówczas dzieci odpowiedziały ojcu z uporem, niemal błagalnie: „Nie, my wolimy w domu”.

Przemówiły przez nie, jękając się, odwieczne marzenia Moszego Inowłodzera, jego chęć bycia kimś innym niż jest, pójścia inną drogą niż ta, którą podążał.

Mosze Inowłodzer nie potrafił teraz powstrzymać skomlenia swoich rozproszonych myśli – wiatraki, piekarze, sklepikarze, worki, ukryty majątek – tępiły jego słuch, zaciemniały umysł.

A najstarszy, Symcha Bunim, wyrывał się z rąk ojca.

¹¹ Pesach (hebr.; w literaturze chrześcijańskiej: Pascha) – najważniejsze i najstarsze święto żydowskiej upamiętniające wyzwolenie z niewoli egipskiej; rozpoczynało się 14 dnia miesiąca nisan (marzec–kwiecień) i trwało w diasporze 8 dni.

¹² Tora – Pięcioksiąg Mojżeszowy obejmujący: Księgę Rodzaju, Księgę Wyjścia, Księgę Kapłańską i Księgę Powtórzonego Prawa; jedna z zasadniczych części Tanach (Biblii Hebrajskiej). Poznawanie Tory i komentarzy do niej stanowiło zasadniczy przedmiot nauki żydowskich chłopców w chederze.

Na zewnątrz nastał nowy dzień: było tak szaro, tak niebiesko, jakby matka wywiesiła właśnie świeżo wyprane, wykrochmalone prześcieradła. Szaro, niebiesko...

Łóżko zatrzeszczało pod ciężarem ojca, który usiadł na jego krawędzi. Nałożył poplamione ubrania: ni to białe, ni czarne. Sapiąc wciągnął zniszczone, ciężkie kalosze i powitał dzień zwyczajowym westchnięciem. Kręcił się po domu, mrucząc do siebie pod nosem. Bardziej niż mruczenie rozchodził się w drzemiącej izbie odgłos jego chaotycznego, ciężkiego kroku. I tak, jak codziennie o świcie, gdy wstał, rozległo się głuche skrzypnięcie drzwi.

Gdy Inowłodzer załatwiał swoje potrzeby, Symcha Bunim szybko, niemal nieubrany, wymknął się z domu. Porzucił kołowrotek i dom rodzinny i nie pokaże się w nim, aż ojcu przejdzie złość.

A złość w ojcu wrzała i pieniała się latami.

Młodszy, Chanan, słuchał jednak ojca i uwijał się między workami w komórce, na dole, na pustym podwórku. Przy jedynym kołowrotku pracował tylko dwunastoletni Herszl.

W domu zrobiło się trochę luźniej. Za to z kątów wycierał smutek. Stół stał już w ciągu dnia na podłodze, tylko z łózek (przyzwyczajonych do stołu z dziwnie wykrzywionymi nogami i do Gitele cienkim warkoczem, z czerwoną wstążką w ptaszki) ziało przygnębieniem.

Kołowrotki wepchnięte pod łóżka na wysokich nogach, krzyczały nieszczęściem żywcem porzuconych.

Chana Rejza przewróciła się na drugi bok. Często płakała nad biednym synem, który opuścił jako dziecko dom i odszedł z niczym. Kto wie, gdzie się tuła, rozpaczała. Było jej też smutno z powodu kołowroteków, których brakowało jej oczom. Zdawało jej się, że zniknął kawałek porządnego życia, niemego, przemawiającego do niej turkocącą ciszą. W kobiecie wszystko się skarżyło.

SYMCHA BUNIM I JEGO PRZYJACIEL SZACHNA

Symcha Bunim był chłopcem nieśmiałym. Wyrwawszy się z rąk ojca nie wiedział, co ze sobą począć. Dobrze, że choć jego przyjaciel z ul. Ciemnej, czeladnik tkacki Szachna, ten z długimi nogami i wysoką szyją i zachrypniętym głosem, dzielił się z nim codziennie jedzeniem. „Dokąd się udasz? Zostań przy mnie. Coś się wymyśli!” Szachna siedział przy krośnie, strzelał wahadłowcem w tę i z powrotem, kołysał się nad niebieskim materiałem w paski, który wyrastał na przedpiersiściu. Symcha Bunim przyglądał się tej pracy, a serce waliło mu w poczuciu niepewności. Czuł, że ojciec go szuka, rwie się do niego z różgą i zaciśniętymi pięściami. Źle się będzie działo, jeśli go znajdzie. Chłopak przypominał sobie: ojciec jest dobry, nie szczędzi nawet dzieciom dobrego słowa, nie niszczy ich, jak inni ojcowie. Mosze Inowłodzer tylko poucza, ostrzega. Nawet nie zawsze coś mówi, kiedy nie podoba mu się zachowanie synów. Ale jak już napadnie na dziecko, wylewa na nie całą swoją złość. Płonie od wezbranego w nim gniewu. Wówczas nie jest do siebie podobny. Robi się czerwony niczym prosty chłop. Niczym ledwie trzymający

się na nogach pijak, w którego rozłuszczonych rękach tylko majta się lekko nóż, siekiera. Mosze Inowłodzer, jak już bierze się za bicie dzieci, nie robi tego po żydowsku, pejcem czy paskiem od spodni. Odwraca łaskę, która towarzyszy mu na co dzień w jego długich wędrówkach i „rączką” chłoszcze plecy, wali po głowie, podcina nogi. Krew tryska niczym z zarzynanego cielca. Po takim „porachunku” dzieci kładą się do łóżka poobijane z pokaleczonymi członkami, z połamanymi kośćmi. Długo nie wychylają nosa z domu wstydząc się śladów na twarzy. Gdy przez dom przejdzie taka burza, pozostaje w nim pełne obaw milczenie, przytłaczające oczekiwanie na coś złego, groźnego. Nie tylko „ocalone” dzieci boją się powiedzieć coś głośniejsze, czy też swobodnie się poruszyć. Również matka kręci się w milczeniu, jakby miała dostać nieoczekiwany cios w głowę, taki, który ścina z nóg.

Gdy majstrowa Szachny przyniosła do warsztatu przekąskę dla czeladnika, dwie pajdy chleba i garnczek kawy – ów połowę podsunął przyjacielowi. Symcha Bunim ociągał się, nie chciał wziąć. Szachna namawiał go, aż go przegadał. Choć cicho mu się naprzykrzało: „Bierz, bierz już”, wyglądało, jakby Symcha Bunim był nieobecny. Zdawało mu się, że jest daleko, bardzo daleko od domu, a nie w tym samym mieście. Rodzice nie wiedzą, co się z nim dzieje – myśli błąkały się w jego spletanym umyśle. W sercu pojawiło się dziwne uczucie. Zdawało mu się, że jest już porządnym czeladnikiem tkackim, zarabia sporo pieniędzy. Obok niego, na ławeczce kołysze się uczeń. To, że może już kogoś uczyć, sprawia mu przyjemność. Chwałą go: uczciwie zarabia na swój chleb. Niespodziewanie śle rodzicom list. Przeprasza, że w młodości nie był posłuszny. Nie żałuje jednak, że nie chciał być kupcem – pisze. Dość się naogłądał upokorzeń ojca w handlu. I żeby pocieszyć rodziców, których nie widział już wiele lat, dokłada pięciorubłówek: „Prezent od najstarszego brata dla jedynej siostrzyczki Gitele, oby żyła długo.”

Pogrążony w mglistych rozważaniach Symcha Bunim poruszał się na siedzisku razem z Szachną, który uwijał się rękami i nogami. Z pożądaniem w oczach śledził każdy ruch przyjaciela w dole i na górze. Wodził wzrokiem za rękami Szachny, zatopionymi w zwisającą przędzę i powstającą tkaninę, którą przesuwiał w tę i z powrotem – w prawo i w lewo. Drewniane czółenka, które zręcznie napędzał, przesuwano się z przeciągły „żżżż” w tę i z powrotem pomiędzy naprzeciwległymi ramkami. Od ramki do ramki ciągnęły się kolorowe nici, które za każdym naciśnięciem przez Szachnę „ładą” krzyżowały się w gęsty szeroki deszcz promieni z białych i czerwonych jedwabnych nitek, spadający z góry na jego czoło. Na oczach Symchy Bunima powstawała piękna tkanina. Zmęczony śledzeniem ruchów ręki Szachny wokół przedpierscia Bunim poczuł, że chce się zsunąć pod ławeczkę i długo obserwował taniec stóp Szachny na leżących nad podłogą wąskich drewnianych pedałach, które nawijały i zaplatały w sieci spletane nici. W górę w dół, w prawo, w lewo i od nowa. Chciałby tak siedzieć na palcach pod ławką i jak najdłużej przyglądać się miarowemu tańcowi Szachny na wąskich drewnianych listwach. Nie robił tego jednak. Symcha Bunim był wstydlivy. Zmieszany swoim własnym pomysłem, nieśmiało odsunął się nieco od Szachny i z góry patrzył na plataninę stóp wysokiego przyjaciela. Co więcej, nie podobało mu się beczynne siedzenie w tym obcym

domu. Tymczasem Szachna przerzucił się właśnie całym swoim ciałem przez gotowy materiał długie, szerokie niczym łopaty stopy zabrał z pedałów i jakiś czas wodził rękami po gładkim niebieskim i czerwonym strumieniu nici. Chłopiec nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Twarz mu płonęła mu ze wstydu. Głupio tak gapić się w okno, gdy cały dom pochłonięty jest pracą. Gdyby przerzucił się przez gotowy materiał tak, jak to robi Szochna, wywołałoby to powszechny wybuch śmiechu. Co robi? Jest mu ciasno, duszno. Spogląda na wypięty tyłek Szachny, wystający z rozdartych spodni i musi wyteńczyć wszystkie zmysły, by nie wybuchnąć dźwięcznym chichotem. Ledwie się powstrzymał. Rozejrzał się, nikt nie patrzy, ukradkiem więc szturcha przyjaciela:

– Co tam, Szachna?

– Zerwała się nitka osnowy. Trzeba ją założyć.

Innym znów razem interesuje go coś innego:

– Szachna, dlaczego raz naciskasz na pierwszy pedał, raz na trzeci a nie: raz, dwa, trzy, cztery?

– Nie zrozumiesz... – uśmiecha się młody czeladnik – to garni.

– Jakby naciskać na wszystkie po kolei, to źle?

Symchę Bunima ciekawiła tajemnica tańca stóp na znajdujących się przy samej ziemi przyciskach.

– Tak się naciska na jutę. Jeszcze się tego nauczysz.

Gdy majstrowa podała do krosna miszkę krupniku, Szachna wymusił szeroki uśmiech:

– Gospodyni da jeszcze jedną łyżkę.

Wyburczała coś i z daleka rzuciła jeszcze jedną blaszaną łyżkę.

Symcha Bunim znów się zawstydził, ale zjadł. Szachna ponownie podszedł do niego i go przyjacielsko upomniał: fajtłapa z ciebie, nie dasz sobie rady, wystarczy, że się zawstydzisz... Chłopak zarumienił się, przewrócił oczami, jakby mu się zakręciło w głowie i niepewną ręką podniósł łyżkę do ust. Po izbie się nie rozglądał, choć ciekawiło go, co się wokół niego dzieje. Patrzył tylko na Szachnę i na rozciągającą się przed nim tkaninę. Za oknem blask był przytłumiony. W niskiej izbie dzień stawał się coraz ciemniejszy, ciężki niczym ołów rozpostarł się nad wielkim pustkowiem pełnym drewnianych ram krosien. Również twarz Szachny zaszła cieniem.

Późno wieczorem, gdy oczy już spowiło zmęczenie wywołane przez płomień nafty, kołyszący się nieopodal na skrzypiącym stole, Szachna wyszedł odetchnąć od pracy. Krosno zaś stało niezgrabnie wśród zapadającej ciemności.

* * *

Przyjaciele spacerowali na zewnątrz. Na ulicy Groszowej, która leżała skulona pod mroźnym, nocnym niebem, Szachna umówił się z Symchą Bunimem że „dopiero koło szabatu odwiezie go do miasta do majstra”.

Później, w domu, czeladnik z kupki zwiniętych szmat zrobił legowisko dla siebie i dla Symchy Bunima. Zakopany w szmaty chłopak Inowłodzerów wdychał ciężką, duszącą woń zakurzonej wełny, surowego jedwabiu, parującego potu ściśniętych ciał.

Przez kolejne dwa dni Symcha Bunim z niecierpliwością oczekiwał szabatu, który miał go wybawić od ciemnej uliczki, z czyhającym na niego rozeźlonym ojcem. Tymczasem czeladnik Szachna dzielił się z nim chlebem i posłaniem i uczył go tkackiego alfabetu.

– Jeden – trzy, dwa – cztery – garn; jeden – dwa – juta...

I klócił się z gospodynią przez Symchę Bunima:

– Co to majstrową obchodzi? Łóżka mu nie dajecie, jedzenia też nie... Nie wasz problem. Widział kto taką jędzę? Pieni się, że siedzisz u mnie... Niech pęknie ze złości, bądźziesz u mnie, jak długo zechcę!

I obdarzył przyjaciela szerokim, pocieszającym uśmiechem.

– Nie szkodzi, idzie ku lepszemu, jeszcze się nauczysz podczas prac letnich...

Chłopcu tymczasem zmroziło krew w żyłach.

ULICA PIEPRZOWA

Ulica Pieprzowa rosła z impetem. Pierwszy dom „Niemca” z fajką, Heinricha Pfeffera, stał już teraz marny, skurczony, niczym zapomniany grzyb późną jesienią w lesie. Na smutnej ziemi szybko pojawiały się nowe domy: małe, wygodne, drewniane jak na ulicy Młynarskiej, z mrugającymi mieszczkańskimi oknami. Następnie duże kamienice stłumionym głosem krzyknęły w kierunku ogarniętego nieśmiałością niebieskiego lazuru: „Cicho, szacunek”. Ulica Pieprzowa szybko stała się wytworna, spokojna, dochodziły z niej jedynie domowe odgłosy. Codziennie na tę oto ulicę z żelazną szramą przybywały nowe, małomiasteczkowe powozy. Na środku drogi wylądowały pakunki z pościelą, rozpiechły się tabuny dzieci. W powietrzu niósł się krzyk matek i chlapanie maluchów. Zdarzyło się, że po dniu turkotu zardzewiałych kół skupisko rodzin miało schronienie na noc pod szeroką płachtą nieba rozciągającego się nad ulicą Pieprzową, bo w domach panował ścisk, a ulica Młynarska i sąsiednie uliczki były już gęsto zaludnione.

A ludzie kisili się na ulicy Pieprzowej. Domy były po brzegi wypełnione przybyszami, którzy bez przerwy ściągali z odległych miejsc w Królestwie Polskim. Były domy, w których gnieździło się po kilka rodzin a wszyscy jęczeli, gdy przychodziła pora kładzenia się spać i stękali, gdy trzeba było podnieść się z łóżka. Wszystkie członki dziadka, ojca i synów były splątane, kości obite. A pracować trzeba było od świtu do późnego wieczora; handlować na ulicy czy w kramie, żeby zapewnić chleb, mąkę, i mleko sąsiadowi, kuzynowi i obcemu, bo wszyscy pragnęli jedzenia.

* * *

Tuż przy ulicy Pieprzowej gapi się w niebo plac, który krzyczącą pustką wita każdą kobietę, każdego biedaka pragnącego zarobić grosz na koszu warzyw, wiaderku śledzi czy przy stoliku z wypiekami.

Gospodarzem tego targu był reb Jojne Pilcer. W spadku dostał ten pusty kawałek ziemi, ogroził go sztachetami, a pośrodku postawił sobie domek z gankiem. Prostý człowiek, jeździł po jarmarkach z własnym zaprzęgiem, a po drodze klepał kolejne psalmy.

Plac, niczym ziewający pysk, rozglądał się dookoła. Gdzieniedzie, jak jedyny ząb, pojawiała się kobiecina z mizernym towarem. Siadała taka przy płocie i czekała.

Reb Jojne Pilcer, człowiek dobrze zbudowany, o barczystej posturze i tłustych, zwisających bokach, mieszkał w domku z gankiem, stojącym na jego własnym, pustym targowisku. W mroźne zimowe dni, po Bożym Narodzeniu, nie wyjeżdżał już z domu. Siedział w swoim domu, klepał psalmy na swój własny sposób, grzał się przy ciepłym piecyku i smucił się patrząc na plac, gdzie uboga kobiecina marzła nad kilkoma pokurczonymi jabłkami.

– Spójrz no Cywio, jakie to nieludzkiej, że człowiek tak się naraża. Idź, daj jej choć jakiś poczętek...

Cywia, pochodząca z zanego domu, dobrze wykształcona, była posłuszna mężowi. Swoją giętką, smukłą figurę okryła mężowskim futrem z szopa i w drewnianych chodakach udała się do kobiety. Wzięła w garść dwa–trzy jabłuszka, twarde jak kamienie, i wcisnęła handlarce monetę:

– Bierście, zarobicie sporo.

Reb Jojne odłożył psalmy, czekał aż Cywia coś powie. Lecz żona była oszczędna w słowach. Ogrzała na płycie zamarznięte jabłuszko i podała mężowi: Posmakuj polskiej rodzynki...

– Rzeczywiście rodzynka: miękkie i słodkie.

Pełnymi, mięsistymi wargami wyszeptał wprawdzie błogosławieństwo nad owocem.

Po chwili odezwał się do żony:

– Wiesz co ci powiem? Trzeba tych ludzi wypędzić z placu... Oszczędzimy im zamarznienia na darmo. Jak nie będą mieli gdzie drzemać nad koszem owoców, poszukają sobie czegoś innego.

– Co masz do tych biednych ludzi? – powiedziała z wyrzutem. – Niech sobie radzą, jak umieją.

– Ze stania tu z niczym nic nie będą mieli – odpowiedział – mam pomysł, jak ich skierować na właściwy tor: zejdę na plac i ogłoszę: „Drodzy ludzie, nie możecie tu handlować za darmo. Dajcie szóstaka dziennie i stójcie sobie na zdrowie”. Jak się im będzie opłacało płacić szóstaka, będą mieli zajęcie, jak nie – czemu mam mieć udział w tym występku?...

* * *

I rzeczywiście nędzarze rozeszli się z placu Jojne Pilcera. Każdy znalazł sobie jakieś zajęcie.

A reb Jojne Bóg zesłał na plac lepszych kupców: Żydów, którzy z wszystkich zakątków Polski i Rosji pędzili owce do Łodzi.

Wieloletnią pustkę na placu wypełniło beczenie zwierząt, oderwanych od swoich stad.

Żydzi z ulicy Pieprzowej szybko tak się przyzwyczaili do nocnego zawodzenia owiec, że bez niego nie mogli zasnąć.

PLAC JOJNE PILCERA

Sprawa majstra dla Symchy Bunima była wciąż jeszcze niezłatwiona. Warsztaty były zajęte. Pracownik najemny próbował teraz zarobić na krośnię, ile się da, kując żelazo póki gorące. Każdy dzień to inwestycja. Bogacze z Wilków mogą w każdej chwili „podziękować”.

Tymczasem zima na dobre się zadomowiła z ciemnymi mglistym porankami i czarnymi gwieżdzistymi wieczorami. Nieustępliwa zima, która ciągnęła się z ostrymi, długotrwałymi mrozami i śniegami po kolano.

Te nieprzyjemne dni Symcha Bunim nadal spędzał w obcym domu. Niczym gorzką trawę zjadał kęs chleba, który życzliwie oddawał mu przyjaciel Szachna. Wieczorami, po pracy, młody czeladnik wyciągał Symchę Bunima i razem szli się przejść. Było zimno i wabiły ich tylko rozświetlone witryny sklepowe oraz zapalone latarnie uliczne. Przytuleni do siebie chłopcy idąc, rozglądali się wokół i rozmawiali o tym, co będą robić, gdy będą mieli wolny dzień. A wolne dni będą mieli, gdy przędza będzie przerobiona, a mistrz będzie musiał przywieźć z Wilków nową. Dziś to delikatna sprawa. Wilki nie śpieszy się tak w miesiącu szwat, rozumiesz? Po Pesach się rozkręca. A jak on, Szachna, będzie miał wolny dzień, z pewnością znajdzie mu majstra.

Szachna wślizgnął się do piekarni, kupił kilka bułek i wepchnął je do torby Inowłodzera.

– Nie będzie ci się nudzić.

Choć sam też pochodził z dalekiego sztetla, uważał się za tutejszego. Chodząc z Inowłodzerm mówił bez przerwy. Pokazywał każdy dom, każdy sklep i o wszystkim opowiadał, jakby znał te historie rodziców i dziadków mieszkających tu z dziada pradiada. To jest sklep ciastkarza Lejzera, to szynk Judla Krela, a tu plac Jojne Pilcera. Chcesz zobaczyć ruch – tu masz go pod dostatkiem! Z całej Polski, z najodleglejszych zakątków przyjeżdża się tu na handel.

Uwielbiał opowiadać o Jonjem Pilcerze. To prosty człowiek, ten Pilcer. Jego żona, pochodzi ze wspaniałego domu. W Gemarze¹³ obeznana, nosi cicit¹⁴ niczym mężczyzna, udała się do cara w Petersburgu, by odwołać rozporządzenie wymierzone przeciw bałuckim Żydom.

– Spójrz na ten kościółek – wskazał drewniany budynek wzniesiony na górze naprzeciw placu reb Jojne¹⁵. Z jego powodu chciano Żydom odebrać ten kąsek. Utrzymywano,

¹³ Gemara – część Talmudu, zbiór rabinicznych objaśnień i komentarzy do Tanach (nazwa utworzona od pierwszych liter tytułów części składowych: hebr. Tora, Newiim, Ketubim – Prawo, Prorocy i Pisma). Tanach, czyli kanon Biblii Hebrajskiej różni się od kanonu chrześcijańskiego pod względem układu i zawartości.

¹⁴ Cicit (hebr.) – frędzle, przymocowane do czterech rogów chusty modlitwnej (talit, w spolszczeniu: tałas), zakładanej przez Żydów na głowę i ramiona w czasie modlitwy, oraz do tałas kotn – rodzaju kaftana bez zapięcia noszonego na co dzień przez pobożnych Żydów pod ubraniem.

¹⁵ Pochodzący z drugiej połowy XVIII w. drewniany kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP przy placu Kościelnym. W 1888 r. został przeniesiony na ul. Ogrodową, gdzie stoi do dziś. Po rekonsekracji otrzymał jako patrona św. Józefa. Jest to najstarszy kościół łódzki.

że trzeba rozpędzić ten jarmark, ponieważ bezczęści święty dom Jezusa. Tak twierdzili donosiciele i nadszedł papier: oczyścić owczy plac. Koniec z żydowską pracą. Pisano prośby do policmajstra i gubernatora, ale i to nic nie dało. Dopiero Żydówka Pilcerowa, powstała, udała się do Petersburga i dopięła swego: „Żydzi handlują, bo muszą mieć chleb dla swoich małych dzieci i przynoszą korzyści cesarzowi i jego krajowi. Żydzi nigdy nie bezczęścili niczyjej wiary, bo ważna jest dla nich ich własna wiara”. Rozumiesz, jaki łeb ma ta kobieta...

Symcha Bunim rozdziawił usta i wytrzeszczył oczy: – Niesamowite!

Mijał smutny czas wypełniony bolesnym wyczekiwaniem dnia, gdy Szachna pozostanie bez osnowy, wyjdą wtedy na ulicę, wówczas najmie się u majstra.

Jego umysł chłonał tymczasem wszystko, co działo się na zewnątrz, co opowiadała majstrowa Szachny, co mówił przypadkowy gość.

* * *

Z głębokiej Rosji pędzono owce do Łodzi, puszczano je na placu Jojnego Pilcera, a żydowscy kupcy w juchtowych kamazach i czapkach z owczej skóry mieli pracę. Żyli z tego poganiacze bydła, rzeźnicy, szynkarze i wszyscy pracujących w barach. Podczas dużych mrozów handlarze owcami z daleka zatrzymywali się tu na długie tygodnie. Tu odpoczywali po długich podróżach i zrzucali z siebie jarzmo handlu. Mieli wymówkę przed Bogiem i przed ludźmi: drogi są nieprzejezdne. Głębokie śniegi zasypały szlaki, a chłop schował się w swojej mysiej dziurze. W Rosji zima jest jeszcze ostrzejsza, niemożliwe jest się tam dostać. W ogóle nie ma co robić. Tylko dzięki temu, że są „łebscy”, można przetrwać ogromne mrozy. Ceny towaru i tak się umocnią. Reb Jojne Pilcer nie wypędma. Przeciwnie, cieszy się, gdy rubel wpada mu do kieszeni.

– Spadku po dziadku na tym nie stracimy – z zadowoleniem zacierali ręce handlarze owiec.

– Końca nie widać!

– Masz jakąś radę – zwraca się jeden współnik do drugiego – woła najwyższego jest z nami...

I z pomocą najwyższego dniem i nocą gorączkowali się nad kartami i chlali, ile się da. Handlarze owiec pili duże czarki okowity, zagryzali pieczonymi gęsiami, przerzucali się dwudziestopiątkami niczym plewami i często rugali się wzajemnie. Tu już nie było współpracy. Przy karcianym stole liczyły się tylko zwinna szyja i chytre spojrzenie. Krzyczano, robiono raban przy każdym ruchu, który ktoś zrobił podczas kolejnego rozdania. Inni, którzy trzymali fason, pocili się tylko przy „oczku” w domu Jojnego Pilcera i poruszeni mruczełi niguny¹⁶. Nieraz zdarzało im się ocknąć w szynku nad jedzeniem, upojonym mocnym piwem. O nierobie Szaji, pobożnym handlarzu owiec, z zaczesanymi pejsami i stale rozchełstaną koszulą mówiono nawet, że tu, po sąsiedzku, wpadł w sidła grzechu z wystrojoną damulką podejrzaną o nieczne czyny. Choć widziano

¹⁶ Nigun (hebr.) – melodia (często bez słów) śpiewana podczas modlitw, forma pobożności rozpowsechniona w kulturze chasydzkiej.

też innych kupców, często zakradających się do garkuchni Wolfa Hersza, nie patrzono na nich tak krzywo, jak na reb Szaję. Nosił się bardzo po żydowsku, nie brał kęsa bez błogosławieństwa, a do Rosji jeździł nie jako kupiec, tylko jako chasyd, w długim palcie. Dlatego wzbudzał złość. Nawet jego wspólnicy uśmiechali się:

– Nie patrzy za jedną białogłową, tylko ciągle ma jakąś nową.

– Broń Boże – za zadawanie się z mężatką należy się kara.

I żartobliwie wywracali oczami.

Wyśmiewali się bardzo, i choć na miłości przyłapano również innych świętoszków, ludzi starszych, porządnych Żydów, nierób Szaja stał się wśród nich ofiarą dla czej gadaniny.

Choć panują ostre mrozy, nierób Szaja rozchełstany pod szyją i zdenerwowany bucha parą z ust niczym podgrzany kocioł: Puf! Puff!

Nierób Szaja, człowiek po czterdziestce z porządną gęstą brodą i gojskim nakryciem głowy, w mieście staje się z powrotem praktykującym Żydem. Zakłada czarny materiałowy kapelusz i robi się pobożny, choć pejsy pozostawia zaczesane. To z powodu zajęcia: spotyka się z różnymi ludźmi, z nieżydowskimi rzeźnikami i kupcami. Niepotrzebne są od razu spięcia. Tylko od garkuchni Wolfa Hersza on również nie stroni.

A jak do Wolfa Hersza, to już wiadomo, że nie chodzi się tam tylko po to, by zaspokoić głód. Prócz miseczek barszczu, dobrych grasiczek i wątróbki z siekaną cebulą, jest tam jeszcze coś. To oczywiście ściśła tajemnica, ale wszyscy wiedzą. Wystarczy spojrzeć na dobrze zbudowanego kucharza, żeby zrozumiał, wystarczy dać znak.

– Czego pan sobie jeszcze życzy? – to jego rutynowe pytanie.

– Może macie trochę gorzałki – waha się taki w obliczu własnej pokusy, która go tu przywiodła.

– Gorzała jest od chłopów, z takimi się nie zadaje – mówi Wolf Hersz z pełną, świecą twarzą.

– Mam na myśli coś ostrzejszego, żeby ogrzać kiszki.

– W monopolu! – unosi się kucharz w taśes kotn. – Jeszcze mi tu trzeba akcyzników!

Tak Wolf Hersz traktuje wszystkich gości garkuchni, dopóki są mu obcy i póki obce im są jego sekrety. Stali bywalcy oszczędzają sobie tych gier. Zjadają kawałek tłustej kiszki z makaronem, zapijają sześcioma szklaniami piwa, zwlekają się z miejsca, bekają przeciągle i kierują pijackie spojrzenie na stojącego przy ladzie zamyślonego Żyda. Wolf Hersz tylko potrząsa głową – to starczy. Ów wstaje, ponownie beka i przez drugie drzwi wchodzi na wąskie, drewniane schody. Tam znika na cały dzień, a czasem też zapomina wrócić do domu na noc.

Również nierób Szaja jest gościem garkuchni. Do ludzi z ulicy Pieprzowej szybko dochodzi każda nowina. A gdy zejdzie na bogatego kupca, wszyscy wszystko wiedzą, jakby byli naoczni świadkami.

– Wystrojona Strykowianka, specjalnie dla niego...

Mówią: Nikomu innemu nie pozwala na nią patrzeć. Stroi ją, ubiera.

– Żal żony i dzieci.

Pobożni mieszkańcy Bałut spluwali.

– Do diabła z nim.

Niektóre kobiety czyhały nawet, by mu wydrapać oczy.

Tylko młodym, roztropnym, udało się powstrzymać kąpane w gorącej wodzie kobiety.

– Słuchajcie... Wpadnie już w inne ręce – powiedział Wowa Gelbart, choć ubogi tkacz, cieszył się posłuchem.

– Dość mamy problemów i bez tego – wspomniał na gorzkie czasy, które nadeszły i oddalił się od zgromadzonych przed furtką placu Jojnego Pilcera.

– Trzeba nam jeszcze zaczynać z jednym z naszych – krzywili się tkacze z zachmurzonymi twarzami i ubodzy handlarze – jak i tak dość już trzeba wytrzymać od ichnich.

– Rozporządzenia państwowe – jęczą zebrani w kupie. – Żydzi niszczą, mówią, Żydzi szkodzą ich pracy, Żydzi robią wszystko za tanio...

– Tylko Żydzi, Żydzi – niech ich szlag trafi! – krzyczy jeden z biodrami przepasanymi sznurem. Żyd nie jest nawet zdolny do tego, by się męczyć się za nędzny kawałek chleba, Ruscy!

– Na każdego jest na świecie jakiś bat. Nawet Napoleona ujarzmiono, tylko Mikołajka¹⁷ lichu nie bierz! – mówi chłopak machając przy tym intensywnie rękami, by się ogrzać.

– Co można zrobić? Skoro nigdzie nie daje się Żydom zarobić. Nawet psubrat Żyd wykręca się od tego, by dać swoim zarobić na kawałek chleba, choć państwo rozkazało: goje mają dawać pracę gojom, nie Żydom... Tylko Żydzi mogą brać Żydów. I co? Jest tak? Jak życie ich tak dotknie, żydowskich bogaczy! Ale póki dusza w ciele, trzeba... A więc w taki sposób: niech będzie jak najtaniej, byle się dogadać...

– Nadeszły czasy Mesjasza... – twierdzi starszy Żyd – nie ma co rozmyślać, na Żydom nie wolno wyrzekać...

– A więc dlatego strefa dla Żydów¹⁸, dlatego bieda? Tu się nie pokazuj, tam nie łaż – mówi mydlarz ze Starego Miasta, który lepiej czuje się wśród mieszkańców Bałut niż tam, wśród snobów.

– Mędrzec! Strefa jest nie tylko dla nas, z Bałut. A co, Rawa, Sompolno, Brzeziny i Zgierz wychrzciły się? A w Kowalu i Nieszawie pusto? Wszędzie Żydzi żyją oddzielnie, wepchani do kąta. Co za czasy.

* * *

A gdzieś w minjanie tkackim kontynuowano:

– Słyszeliście, Żydzi? Nie bądźmy nędzarzami – odezwał się Zenwel z Opoczna ze spiczastą białą bródką, jak Jezus na kolorowych malowidłach. – Można już nawet być

¹⁷ Mikołajek – tu zapewne potoczne określenie cara rosyjskiego; realia powieści Okrutnego wskazują na okres, gdy na tronie Rosji zasiadał Aleksander II.

¹⁸ Rewir żydowski w Łodzi wyznaczony został w 1821 r. przez Józefa Zajączka. Obejmował teren Starego Miasta oraz ul. Wolborską i Podrzeczną. Stopniowo poszerzany w 1861 r. sięgał do pl. Kościelnego, ul. Franciszkańskiej i Północnej. Zniesiony został w 1862 r. przez Aleksandra Wielopolskiego, niemniej jednak teren ten dalej był zamieszany przede wszystkim przez ludność żydowską.

Żydem, byle z dużymi sakwami. Tacy dla nich są ludźmi. Cisza. Opowiem wam ładną historię: Hillelowi Zalcmanowi, który mieszkał przy stawie, wolno już mieszkać wśród Niemców i Polaków. Wyciągnął zaskórniaki i czarno na białym podpisał, że postawi dom, dwupiętrową kamienicę.

– Ależ z ciebie mądrała – rzuca inny biedak ostre słowa – skoro już jesteśmy przy tym, idę i ja po moje bogactwa.

– Niech cię Bóg broni – żartuje Zenwel – zaklinam Cię, byś tego nie robił! Najprzód musisz, tak jak Zalcman, zostać chłopem, udać się do Starej Wsi, kupić kawałek ziemi, zaorać to razem z innymi staromiejskimi mieszczanami, którzy mają długie wasy i krzyże na szyjach. Wówczas będziesz już wystarczająco dobry, zostaniesz kupcem, będziesz sprzedawał czarną bawełnę, taniej niż inni. Dopiero wtedy się zastanowią...

– A ty złotko po rusku i niemiecku umiesz pisać?

– Czy znam rosyjski? Co za pytanie – miesza się Zenwel – raz dwa umiem powiedzieć „K'czortu materi”¹⁹, nawet po polsku idzie mu jak po maśle: „Cholera, psiakrew!”²⁰

– I kapotę sobie podetniesz i brodę zgolisz? Tak, właśnie tak, dobry bracie! – odpowiada Dawidowi Kinckerowi – mieszkańcem głównej ulicy nie stajesz się ot tak, bo się nazywasz Mosze Ajzik... Możesz być wdzięczny, że cię wpuszczono na Bałuty.

– Naprawdę dobrze gada – potakuje kilku – wypędza się biedaków do miejsc, z których przybyli! Strażnicy chodzą po domach i szukają nędzarza! Skądżeś przybył? Bierz tobołek i biegnij. Życie ich zawsze będzie marne. Nawet Bałuty są dla takich zamknięte... Łódź, mówią Niemcy, których tu sprowadzono, musi być bogatym, czystym miastem... Żydzi są biedni i nieczyści, niech ich zeżrą robaki.

– Niech rok nieszczęść na mnie spadnie, jak on wie, co mówi!

Rozległ się głos handlarza mydłem.

Niemcy sporządzili umowę z burmistrzem Traegerem²¹, że będą mieszkać oddzielnie, nie będzie się ich mieszało z Żydami. „Żydzi przeszkadzają”, mówią. Jeśli nie, rzucą mu pod nogi list rozwodowy: opuszczą miasto, a magistrat straci na nich kupę forsy.

– Oj, oj, to nieszczęście jeszcze zaproszono do miasta, kupiono za pieniądze...

Uśmiech i powaga przeplatały się na twarzach rozmówców. Żydzi myśleli o problemach, które na nich spadły. Z drugiej strony tliła się w nich nieśmiała radość, że w górze, w biednym Radogoszczu, jednak osiedla się tak wielu Żydów. Już się tam tka

¹⁹ Przekleństwo rosyjskie, odpowiednik polskiego „Do diabła”.

²⁰ W oryginale po polsku.

²¹ Franciszek Traeger (1802–1880) – prezydent Łodzi w latach 1844–1862, pochodził z ewangelickiej rodziny niemieckiej. Prezentował skrajnie lojalistyczną postawę wobec władz rosyjskich (podjął w 1846 r. próbę zmiany nazwy Łodzi na Mikołajów, w 1861 r. wezwał wojska carskie, aby spacyfikować bunt łódzkich tkaczy), ale starał się jednocześnie o poprawę warunków życia w mieście oraz o przyłączenie Łodzi do kolei warszawsko-wiedeńskiej. Bałuccy Żydzi rozmawiający w powieści Okrutnego mieszają swobodnie fakty, przywołują zapewne tzw. Umowę Zgierską, podpisaną 30 marca 1821 r., a więc 20 lat przed rozpoczęciem w mieście rządów Traegera; umowa regulowała kwestie osadnictwa tkaczy niemieckich w Łodzi i zawierała (zniesione w późniejszym okresie) zapisy zabraniające Żydom osiedlania się w nowych osadach przemysłowych oraz inne ograniczenia. Zob. APŁ, Akta m. Łodzi, sygn. 5397a, k. 14–19; M. Bandurka, *Zgierz. Źródła do dziejów miasta w XIX i XX w.*, Łódź 1976, s. 28–35.

materiały, robi się buty, szyje koszule, piecze chleb, sprzedaje kwartę nafty i głowy śledzi. Gmina w Radogoszcu nawet nie myśli o tym, by bać się kamienia, który barbarzyńcy wrzucają przez okna synagogi, gdy Żydzi udają się na skargę do Pana Świata: Dlaczego tak, dlaczego tak... a serce płacze, by się zlitował, jak ojciec lituje się nad swoimi dziećmi i nakarmił ich, jak karmi robaczka w ziemi.

Lecz skrycie, w przepaściach drżącego serca Żydzi z bałuckich uliczek coraz bardziej zazdrościli bogaczom z Wilka, choć oni, nieboracy, oddali życie diabłu: bezwstydnie odcięli się od żydowskości, ubrali się po niemiecku, pozbyli wszystkich żydowskich znaków – zostali, oby to nas nie spotkało, bez brody i bez okragłego kaszkieciu. Trudno.

– Rozporządzenia państwowe.

Innym było jeszcze „lżej na duszy” mimo tego przewrotu:

– Lepszy Żyd bez brody niż broda bez Żyda

– Najważniejsze, byle uniknąć piekła za życia.

Młody Inowłodzer nasłuchiwał się świata, a jego świat nasiąknął wonią dzikiego, nierozpoznawalnego, ślepego losu żydowskiego. A ponieważ jego wewnętrzna pustka wypełniła się bólem, Symcha Bunim nie odczuł długo wyczekiwanej ulgi spowodowanej tym, że jego przyjaciel Szachna wreszcie znalazł dla niego majstra.

Było to dokładnie naprzeciwko placu Jojnego Pilcera, przepelnionego życiem i smutkiem Bałut. [...]

Z OPOWIEŚCI TKACZY

Następnego dnia rano Mendel zaprowadził ucznia do Nisena, żonatego czeladnika.

Tak jak w ciągu tygodnia, również w szabat Nisen miał na sobie znoszone palto z wypchanymi, połatanymi łokciami. Z zimna również po domu chodził w wierzchnim nakryciu z postawionym jedwabnym kołnierzem.

W facytce Nisena czuć było jeszcze ostry zapach przypalonego czulentu²². Ceglany piecyk w rogu izby krzyczał zdartym wapnem, nieogrzanym glinianym wnętrzem. Szybki jedynego okna były zamarznięte, nie były jednak pokryte kwiatkami, lecz ciężko opancerzone nieustępliwym, zmrożonym śniegiem, który w blasku dnia mienił się na niebiesko.

Nisen był nie tylko mędrcećm wśród czeladników, był również dobry. Ucieszył go widok młodych tkaczy. Szybko wysunął spod stołu drewnianą ławkę i zaprosił ich, by usiedli.

– Szkoda – spieszył się, by ugościć ich choć jednym ciepłym słowem – że nie ma już herbaty.

Czuł się niezręcznie z tym, że nie ma czym podjąć przybyszy. Zagubionym wzrokiem spojrzał na żonę.

²² Czulent (jid.) – tradycyjna potrawa żydowska przygotowywana zwyczajowo na szabat, rodzaj długo gotowanego gulaszu (przygotowywanego w piątek przed szabatem). Najczęściej przygotowywana z mięsa i warzyw lub w wersji mlecznej z makaronem na słodko.

– Może trzeba kazać rozpałcić ogień – odzywa się kobieta, która z powodu zimna, siedzi wraz z dziećmi w łóżku. – Idź, zawołaj gojkę! – prosi męża, a dzieci wypychają piąstki do otwartych buzi, patrząc wstydliwie to na ojca, to na gościa.

Nisen, niski, szczupły, z dużą czarną głową, jak ktoś, kto ledwo się wykaraskał z choroby angielskiej²³, podnosi się dziwacznie i przemieszcza się niczym ruchoma plama tuszu. Nie trwa to długo i wraca nie z gojką, a z gojkciem, który pali w piecyku.

– Zbrodnia, jakem żyw! – mówi Mendel widząc, jak szabat-goj dostaje kawałek chały – też bym mógł napalić w piecu.

– A do tego taniej – uśmiecha się Nisen i zaczyna się krzątać wokół stołu, wokół niskiej skrzyneczki ze zwisającymi łańcuszkami, pełniącej tu rolę mebla – szafki na szkła, na małe torebeczki i pudełeczka, wypełniające ubogie gospodarstwo.

– Dajcie spokój! – rozeźliła się żona Nisena – co to za żarty. Niech Bóg strzeże, by Żyd mówił takie rzeczy.

– To nie żarty – odpowiada Mendel. Mówię na poważnie. Czegoś mi ubędzie, jak napalę w piecu? Dajcie mi tylko zapalki, zapalę lampę. – Mendel podnosi się z ławki, by udowodnić, że nie jest to czcza gadanina.

– Nie, nie... Nie u mnie w domu. Broń Boże! – przestraszyła się kobieta. – Nie chcę być ukarana taką przewiną!

Oby się to nigdy nie zdarzyło. I już się jej przypomniała jakaś opowieść – Pewien Żyd pozwolił komuś w szabat u siebie w domu robić takie błazenady, napalono w piecu a następnego dnia, dosłownie następnego dnia, gospodarz tego przybytku, oby nas to ominęło, oby to ominęło każdy żydowski dom, złamał rękę... tfu, tfu, tfu!

– I bez tego zapewne złamałby rękę. Pisane było nieszczęście, to i tak się stało. – Nie odpuszcza Mendel.

– Widzisz – odzywa się Nisen – a głuchemu Abramkowi nie pisane takie „szczęście”.

– Czego chcecie? – miesza się żona – to porządny Żyd, przestrzega żydowskich przykazań. Co się należy Bogu, jest Boga, a co ludziom – ludzi. Modli się, obmywa się do posiłku, odmawia błogosławieństwa i pracuje jak Żyd.

– To ma być Żyd? – nie zgadza się Nisen – morderca, Krezus... Pieniądze są dla niego ważniejsze niż żydostwo. Żal, tacy Żydzi psują chleb na świecie.

– Nie módl się o niczyj koniec – poucza go żona. – Każdy pies znajdzie swój kres. Pan Świata nie daruje nikomu. Każdy otrzyma swoją część.

– Tymczasem sypie pieniędzmi, ten głuchy idiota. Fabrykantem mu się zachciało być, szycha. Sobie jedzenia żałuje, a i nas dręczy: jeszcze, jeszcze..., ile by się nie zrobiło gotowych tkanin, jemu mało. Cmentarz będzie dla niego za mały, paskudnik... Poganiam nas do utraty tchu, a kromki chleba żałuje.

Mendel też nie może zrozumieć, czemu żona Nisana szuka usprawiedliwienia dla głuchego. Jednym tchem wyrzucił z siebie całą złość na majstra i szybko się zatrzymał. Gorączka uderzyła mu do głowy.

²³ Dawniej jako „chorobę angielską” określano krzywicę.

– Wiadomo, że to szycha. – Baka do Nisana. Cieszy się, że złego gospodarza wzięto tu w cztery ognie.

Symcha Bunim siedzi skulony w sobie. Byłby wdzięczny, gdyby sam ogłuchł. Przynajmniej nie musiałby słuchać wszystkich tych niecných rzeczy. Może by tak nie musiał życia doświadczać. Piękne rozrywki ma w ten szabat. Lepiej poszedłby na rynek, popatrzył na piękną synagogę nad stawem, wemknąłby się tam, własnymi rękami otworzyłby wspaniałe drzwi z kolorowymi Gwiazdami Dawida. Żal daremnego bałamuctwa, żal.

Poczuł pod rękami wilgotne ciepło. Nie płakał jednak. Nawet nie przyszło mu to do głowy. Bo i czemu miałby płakać? Nie głoduje, nie tuła się po ulicy. Trafiał do porządnego człowieka. Trudno, będzie użyteczny i nie zdarzy mu się nic złego. Niech sobie gadają o Abramku, ile chcą – jego to nie obchodzi. „Nie wolno dać sobie odebrać nadziei – przyszły mu na myśl słowa, które ojciec zawsze powtarzał mamie w czasie trudności – będzie jeszcze dobrze, będzie jeszcze wspaniale, Chano Rejzo...”. I dźwięczy mu w uszach głos reb Moszego Inowłodzera, pełen miłości i skrywanych łez. Oczami wyobraźni Symcha Bunim zobaczył, jakby przez mgłę, dom przy ul. Groszowej. Tata w butach pokrytych mąką i z białą przykurzoną brodą, która mocno podkreśla jego głęboko czarne, błyszczące oczy, dobre i złe zarazem. Zależy, jak ojciec patrzy. W tej jednak chwili oczy ojca są łagodne, ciepłe. Iskrzą serdecznymi ognikami. Jego słowo skierowane do mamy jest również świetliste, ciepłe. Serce wypełnia kojąca mowa ojca po sobotnim śnie. Ulica Groszowa leży spokojna wśród otaczających pól. Nawet komórka z workami śni spokojnym snem. Nikt nie przekracza progu magazynu. Gecele jest już dużym chłopcem. Ojciec przesłuchuje go z czytania z tygodnia. Akurat jest fragment *Bereszit*²⁴. Rozbrzmiewa w nim melodia towarzysząca nauce Tory, którą chłopiec powtarza za ojcem: – *Bereszit* – Na początku – *bara* – stworzył – *Elohim* – Bóg: Na początku Bóg stworzył – *et haarec* – ziemię.

– Nie, nie – ocknął się – teraz idzie *Wajikra*. – Przygryza wargi i rozbrzmiewa w nim przerywany głos: *Wajikra* – zawołał – *al* – do – *Mosze* – do Mojżesza – *wejidaber Adonai* – i Bóg przemówił – *alaw*...

Przeniósł się daleko, daleko aż na ulicę Biblijną. Dom rodziców wypełniały zapachy świętego szabat.

Znienacka wyrwany został z otchłani wyobraźni. Złotą nić przerwał rozzuchwalony krzyk Mendla.

– I pokonali go, krwio piję!...

– To dla niego za mało! Musi leżeć i pokutować za takie rzeczy. Tak powinien skończyć ten człowiek! – Zaperzył się również czarny Nisan. – Trzeba było mu połamać ręce i nogi, a nie tylko sprawić, że kuleje!... Taki drań! – uczeń widzi, że czeladnik nie może uspokoić rozbudzonej złości.

²⁴ Fragment *Bereszit* – początek Księgi Rodzaju, której tekst otwiera słowo *Bereszit* ‘na początku’.

– Przestań już, Nisen. Nie gadaj głupot. Jak tak można, to nie przystoi. Tu siedzi chłopiec.

Miała na myśli Symchę Bunima, choć ów nie dawał o sobie znać. Siedział na stronie i milczał jak kamień, aż jego mrukowatość wprowadziła przygnębiający nastrój. Rozgrzani mężczyźni mimochodem rozglądali się, szukali chłopca. Zapomnieli o nim w trakcie całego zamieszania.

– Nie szkodzi. Niech też wie, w jakie wpadł ręce – wmieszał się Mendel. – Żeby nie chodził po omacku. Czekajcie, cierpliwości – mówi i macha rękami, jakby chciał przygotować miejsce dla swoich sprawiedliwych sądów.

Symcha Bunim był oszołomiony. Wydawało mu się, że chcą go przybić. Serce miał ściśnięte, w głowie kotłowało mu się niczym w pustej stodole, znalazł się pośrodku dziko wyjących wiatrów.

Co tu się nagle wydarzyło w trakcie tej rozmowy. Skąd to wzburzenie wśród swoich – tego Symcha Bunim nie pojmował. Mendel wrzeszczy, Nisen kipi ze złości, kobieta przerywa im w pół słowa, syczy złość, wyje krwawe ludzkie poczucie niesprawiedliwości, a jemu, Inowłodzerowi, puchnie od tego mózg, płoną mu uszy.

Czuł na sobie ciężar, obcy ciężar. Siedzenie stało się dziwnie niewygodne. Spuścił oczy, nie mógł patrzeć tym ludziom w twarz. W czerwonych chmurach gasło zimowe słońce szybko wnosząc do izby wieczór. Ogień na piecu tlił się jeszcze blado. Czajnik cienko śpiewał czerwoną emalią i ogrzewał późny wieczór. Raptem krzyk jakby uwiązał w ciemności. Zapadła dręcząca cisza.

W facjacie cieniem położyło się niespodziewane ciężkie milczenie. Dzieci, bliskie płaczu, niespokojnie kręciły się w pościeli. Również żona Nisena tęskniła za ciepłem domowym. Dusząca cisza, która zapanowała wśród siedzących, napędziła jej strachu. Szczyknęła męża.

– Nisen?... Nisen! – I rękami szukała go w ciemności.

– Mówisz coś?

– Ładnie podejmujesz swoich gości.

– Też mi problem! To przecież swoi – i ruszając rękami wokół, jakby chciał znaleźć kogoś w pobliżu, dodał – następnym razem będzie lepiej.

I znów cisza zawisła w powietrzu między skulonymi, ogarniętymi niepokojem ludźmi w ciemności.

– Powiedz choć słowo – prosi nagle – porozmawiaj z tymi młodymi ludźmi.

– Porozmawiamy przecież

– Jest tak smutno

– Chcesz atmosfery domowej? Wstydz się! Dzieci są mądrzejsze od matki. Przykro mi! – kpi z niej. – Może mam zatańczyć?

– Oj, tańcz sobie, tańcz! Jak się ma takiego pracodawcę jak ten głuchy baran, można tańczyć – słowa kobiety pełne były głębokiego bólu. Nagła myśl, że nie ma czym podejmować gości, nie była przyjemna. Trzeba trząść się nad każdym groszem, dzielić go

na pół, by jakoś sobie poradzić, trzeba sobie odejmować od ust – wszystko w niej płacze – a „tacy” – ma tu na myśli pracodawców męża – „żyją z jej krwi, z krwi jej dzieci”.

– Baran na moją głowę! Baran! – To świnią, padalec! – krzyczy Nisen jakby wyrwany ze snu. A w domu dopiero teraz widać naprawdę bezładny wieczór – można z głodu zdechnąć u jego stóp.

Pustka tonie w ogromnej ciemności, drga i jest dziwnie naładowana przepętnionym żądzą sapaniem, tak że siedzący tu ludzie zdają się być kawałkami mgły. Mendel podrywa się z pytaniem:

– Pamiętacie opowieść o uczniu Senderze?

– Kto nie pamięta? Wnuki będą ją pamiętać – słowa Nisena są jakby żywe, przesiąknięte bólem.

– Czy to nie jakiś złoczyńca, rozbójnik? – wybucha znów Mendel.

– A co za różnica? Wszystkie psy ujadają tak samo. Żaden z majstrów nie jest lepszy. Wszyscy chcą pochłonąć świat.

– To ci nowina!

– Widzisz, a taka niedołęga, taki głupek ma głowę by przygarnąć pieniądze.

Słowa padają niczym gromy, urywają się i znów rozlewa się zachmurzona ciemność, znów zapada przytłaczające milczenie przerwane przez skrzek żony:

– Opowiedz o złodzieju Abrahamie, opowiedz...

Ma na myśli męża, który zatonął gdzieś w wezbranej płataninie cieni, a nie w letnich chmurach z dziecinnych opowiadań. Jej Nisenowi nieobcy jest ból, wie, jak go saczyć, tak jak topi się piękną świeczuszkę na chorągiewce w Simchat Tora²⁵.

Również Mendel podchodzi do Nisena:

– Ciekawe. Chcę bardzo usłyszeć o tym głupcu, no, już!

* * *

Nisena nie widać w utrzymującym się bezkształtnym cieniu. Z pojawiających się tu na poddaszu gdzieś tam szczelin, rozlega się brutalny krzyk, zdaje się, potwora, którego nagle tam wprowadzono.

– Sender był chłopcem porządnym, spokojnym. Matula trzęsła się nad nim, jak to nad jedynakiem. „Poruszyłam niebo i ziemię, przemierzyłam pola i lasy, jeździłam do dobrych Żydów, aż go wymodliłam” – żaliła się, żegnając się z synem, zostawiając go u Abramka Barana na naukę. Pojechała do domu ze złamanym sercem, a Sender o zielonych oczach, obdarty, został na ulicy Pieprzowej. Pod gołym niebem nie byłby tak огоłocony, jak u głuchego. Abraham Baran był wówczas jeszcze świeżo upieczonym tkaczem. Ledwie przybył z okolic Lublina, a już pragnął zostać bogaczem. O czwartej nad ranem budził chłopca, wyrwał go ze snu niczym rybkę z wody. Chłopiec trząsł się z zimna jak osika. Nie zdążył przetrzeć oczu, a już się wiercił przy krośnie. Wynalazł dla niego gładką różgę i jazda! Mały jesteś u mamusi, u mnie trzeba dać z siebie. Jak

²⁵ W czasie nabożeństwa związanego ze świętem Simchat Tora dzieci powiewają chorągiewkami, na których zatknięte są jabłka z płonącymi świeczkami.

się należy, mrucał głuchy głab. W trakcie pracy musiał jeszcze zanieść do chederu najstarszego syna Abramka. Dzieciak był ciężki niczym przeżarty cielak. Cienkie nóżki Sendera ugiwały się pod ciężarem byczka, który na nim jechał. Pewnego razu Sender nie dał rady nieść go przez całą drogę, bękart rozryczał się, wpadł w złość, niech Bóg przed czymś takim broni. Tak już był przyzwyczajony, że mu się nosi tyłek. Wieczorem, gdy Sender przyniósł czabana do domu przez ciemne, błotniste drogi, ten na nowo zaczął jęczeć. Matka zapytała go wówczas, dlaczego płacze. Ojciec również nadstawił głuche ucho: „Hm, co się stało Szejndl?” Koniec był taki, że zamiast kolacji związano Senderowi ręce i nogi, i żołnierskim pasem obito ciało. Chłopiec rzucał się pod uderzeniami, które zostawiały na jego ciele sine i czarne pręgi. Krzyki niosły się aż pod niebiosa, lecz nie zmiękczyły serca majstra i majstrowej. Synalek głuchego, przez którego zrobiła się cała ta chryja, piał z zachwytu całą swoją przeżartą twarzą. Tym teatrem Abramek sprawił radość swojemu synowi, a w dzikim zaciętrzewieniu nie słyszał krzyku kobiety: Dość, dość Abram... Już wystarczy tym razem.

Przez kilka dni Sender leżał jak sparaliżowany, nie mógł ruszyć się z miejsca. Wycieńczone ciało jeszcze bardziej się wysuszyło, jego zielone oczy mocno błyszczały na chudziutkiej twarzy. Strach było na niego patrzeć.

Gdy w końcu nieco do siebie doszedł i znów zaczął pracować, nie chciał już ciągać synka majstra do chederu. „Weźcie belfra... ja jestem tkaczem”... – bronił się. Majster wpadł w szał: „Co za bezczelność, co za tupet” – burczał przez cały dzień niczym krowa. Majstrowa również się unosiła: „Taki śmieć, narzeka na moje dziecko. Niech mu oczy wyjdą!” Z tego też powodu pozwoliła mu dostąpić zaszczytu wyniesienia wszystkich kublów z nieczystościami, położyła go spać na gołej ziemi, żałowała kawałka chleba:

– Figę z makiem ode mnie dostanie – głodzeniem chłopca studziła wezbraną złość.

Innym razem Sender zaparł się: co tydzień ma dostawać czystą koszulę, jeśli nie, nic nie będzie robił. Od tej chwili nie będzie słuchał, póki jego prośba nie zostanie spełniona. Chłopiec myślał widocznie, że jest w domu. Zdołał już zapomnieć morderczy atak, który zastąpił mu niedawno kolację.

Majstrowa wyklinała go:

– Patrzcież no na tego wszarza, jak ze mną rozmawia! Choroba ci w głowę, a nie koszula...

Sender nie odpowiedział, jakby nie słyszał złorzeczenia. Milczał uparcie, a w jego milczeniu rozchodziła się cała nienawiść do tej zgrai, która cieniem położyła się na jego przyszłość. Kto tylko miał Boga w sercu, dręczył go, przykładął rękę, by pomnożyć cierpienia. Był coraz bardziej zawzięty. W sobotę wieczorem nie chciał zejść do pracy przy krośnie:

– Chcę czystą koszulę – bełkotał. – Zżerają mnie robaki.

– Patrzcie tylko na moje nieszczęście – głuchy trząsł się ze złości – schodzisz na dół robić swoje, jak nie, ubiję cię jak kotleta. – I rozwrzeszczał się jak opętany.

Uczeń nie ruszył się z miejsca. Nie idzie. Koszulę! Niczym rzucony kamień Abramek zerwał się od swojego krosna, zdarł z chłopca kurtkę, zdjął spodnie, ściągnął koszulę. Zostawił go jak go pan Bóg stworzył:

– Wynoś się z mojego domu! – wrzasnął.

Chłopcu stanęło serce. Uszy ogłuchły ze strachu i oszołomienia. Zwiślały ociężałe, żałosne, śmiertelnie blade. Dusilo go w gardle. Nie łyż go cisnęły od wewnątrz, tylko rodzaj skurczu, który mógł wyrwać go całkowicie z problemów. W tej chwili naprawdę nie widział swojej jawnej nagości. Okrucieństwo odczuwał jak ostre palenie, które rwało, boleśnie dręczyło jego obumarłe ciało. Być może ów chłopiec przeżył wówczas obce uczucie płomieni piekielnych. Wolałby, jak sądzę, umrzeć, bo spazmatycznie krzyczał, przeciągle zawodził.

Nagi i upokorzony Sender pochylił się do ziemi, by podnieść spodnie. W jego zastygłym mózgu zalanym ciężką krwią odżyła w tym momencie odwieczna myśl ciemżonych: lepiej uciec z pożaru takiego życia... lepsza nagła śmierć. Dobrobyt u reb Abramka niech przypadnie jego dzieciom!

Słyszycie? Schylił się, ale kreatura o głuchej twarzy i z wlepionymi w niego oczami chwyciła i odrzuciła jego spodnie. Pacuszki, którą ten miał ze sobą, również mu nie oddała. Ogarnięta niemocą, na granicy omdlenia, wypchnęła chłopca z domu. Głuchy niegodziwiec sprofanował w uczniu to, co najwrażliwsze, najbardziej strzeżone w człowieku – jego nagość.

Gorący wiatr jak w hucie, gdzie się pompuje cienkie formy szklane, buchającym podmuchem poruszał ciemność. W milczeniu siedzących dosłownie słychać było napięcie.

– Oj, czegoś takiego bym nie wytrzymał! – rozległ się z oddali głos Mendla.

– Nie chciałbym się znaleźć w skórze tego chłopca... – wyjęczała żona Nisena.

W oczach Symchy Bunima zebrały się gorące łzy, które paliły mu skórę twarzy: co za okrucieństwo!

Nagi chłopiec tułał się po ulicy. Ze wstydu siedział skulony: głowę wsadził między kolana, plecy pochylone. Szczęście, że noc była ciepła. Rankiem sąsiedzi znaleźli go drzemiącego na gołej, błotnistej ziemi za domem. Zlitowali się nad nim ludzie, dali mu parę starych spodni, jakąś koszulę i przydużą kurtkę. Wyglodzony odnalazł później czerwonego Icchaka, który poszedł dochodzić w jego imieniu sprawiedliwości. Rudy Icchak z twarzą gęsto pokrytą piegami, wyciągnął swe nogi w kapciach i zaczął pisać podanie do burmistrza. Abraham Baran z ulicy Pieprzowej 6 na oczach ludzi okropnie zhańbił ucznia tkackiego, Sendera Harfę, pisał. Sender Harfa nie ma nic, jest sierotą i jego, Icchaka Hamera z ulicy Młynarskiej numer 7 prawem jest bronić bezbronnej duszyczki. W związku z tym prosi o surową karę dla pozbawionego ludzkich uczuć Abrama Barana. Na własne oczy widział jego okropne postępowanie, widzieli je też inni, którzy mogą zaświadczyć. Wówczas głuchy Abramek pobiegł do głowy miasta, sypnął pieniędzem, by zatrzeć sprawę. Złoto i srebro nawet bękarta oczyszczą... Burmistrz chciał sprawić, by biedny Sender odwołał zarzuty względem majstra. Wezwał chłopca i chciał go zmiękczyć. Trafił jednak na opór... To oczywiście wzbudziło w nim złość na małego Żydka i dopiął swego w inny sposób: rozkazał aresztować poszkodowanego. Policja smagała Sendera biczami i stale pytała: „Masz coś do Abrahama Barana, czy nie”? – „Tak!” – krzyczał

Sender wijąc się z bólu i nie chciał zrezygnować z oskarżenia okrutnego reb Abrama. Widząc, że i batem żandarmi nic nie wskórają, chłopca związano sznurkiem i wrzucono do piwnicy więziennej.

– Leż i się męcz...

Gdy wieść o tym doszła do cechu tkackiego, jego członkowie postanowili opuścić miasto. Niech to okrutne miasto szuka innych czeladników! Nie chcą być u takiego mordercy, jakim jest burmistrz Łodzi. Zwrócili się więc do niego: „Szanowny panie, wydaj nam paszporty. Chcemy wyjechać do innych okolicznych miejsc”.

Widząc prośbę wszystkich podpisanych czeladników tkackich burmistrz rozkazał:

– Osadzić wszystkich w więzieniu, też buntownicy!!!

I rzeczywiście zamknięto ich na dwie doby. Nie szczędzono im też bicia i pouczeń.

A brązowo-siny Sender, biedaczyna, zachorował. Mordował się jeszcze przez kilka lat, które dane mu było przeżyć. Miał krótki oddech, kręgosłup mu się kruszył. Wiadomo było, że są to skutki pobicia. Wyglądał jak starzec i młodo udał się wachać kwiatki od spodu.

W facyjacie Nisena panowała gęsta ciemność. Wszystkim opadły głowy. Pogrążeni w myślach w losie Sendera rozpoznali siebie. Ciężko było na sercach. Tylko Nisen wyprostował się, stanął w bladym blasku okna i poruszony stukał w szybę. W izbie rozszedł się głuchy dźwięk jak od uderzania w twardą tablicę. W wyziębionej pustej przestrzeni szeptała głucha żałoba.

Przełożyła z jidysz Anna Szyba

Pinkus Minc

Urodził się w 1895 r. w Strykowie. Rodzina w 1896 r. przeprowadziła się do Łodzi. W latach 1909–1912 uczęszczał do szkoły Jarocińskiego. W czasie I wojny światowej wstąpił do antysyjonistycznego, socjaldemokratycznego Bundu, stając się z czasem członkiem lokalnych władz partii. Zaangażowany w ruch robotniczy, był współzałożycielem tzw. Kombundu, organizacji o charakterze komunistycznym. Za wystąpienie na wiecu krawców odbywającym się w Łodzi w styczniu 1924 r. został postawiony w stan oskarżenia. Procesu uniknął, ukrywając się kilka lat przed policją. Złapany w 1928 r. został postawiony przed łódzkim sądem i skazany na cztery lata ciężkiego więzienia z pozbawieniem praw obywatelskich. W 1929 r., po uwolnieniu z więzienia, wyjechał do Pragi. Od 1938 r. ponownie działał w Bundzie. W latach 1937–1951 mieszkał we Francji, działając w żydowskich organizacjach kulturalnych, a po wybuchu wojny – w ruchu oporu. W okresie międzywojennym jego żoną była Rahel Lipstein, poetka związana z łódzką awangardą jidyszową. W 1952 r. Minc zamieszkał w Argentynie. Został tam członkiem władz Bundu oraz działaczem żydowskich organizacji. Zmarł w Buenos Aires w 1962 r.

Jeszcze w Polsce zaczął publikować w czasopiśmie budowskich. Mieszkając we Francji, pisywał do lokalnych gazet żydowskich. W latach 1952–1962 był wydawcą budowskiego tygodnika „Undzer Gedank” [Nasza myśl] w Argentynie. Jest autorem książki poświęconej ruchowi komunistycznemu w Polsce międzywojennej *Gesichte fun a falszer iluzje. Zichrojnes* [Historia fałszywej iluzji]. Wspomnienia] wydanej w Buenos Aires w 1954 r. oraz książek wspomnieniowych: *In di jorn fun jidishn umkum un widersztand in frankrajch. Perzenleche zichojnes* [W latach żydowskiej zagłady i oporu we Francji. Wspomnienia osobiste] oraz *Lodz in majn zikorn. Fragmentn fun majn kindhajt un jugnt* [Łódź w moich wspomnieniach. Fragmenty z dzieciństwa i młodości] wydane również w Buenos Aires w 1958 r.

Łódź w moich wspomnieniach. Fragmenty z dzieciństwa i młodości¹

PODWÓRKO PRZY NASZEJ ULICY

Gdy moi rodzice przybyli do Łodzi miałem zaledwie półtora roku, stąd też żadne inne miasto poza Łodzią nie jest związane ze wspomnieniami z mojego najwcześniejszego dzieciństwa. Wszystko, co sobie przypominam z lat dziecinnych, związane jest właśnie z tym miastem. To właśnie tutaj tak naprawdę ujrzałem Boży świat. Oznacza to: patrząc na Łódź, widziałem nie miasto dojrzałe i stabilne, ale proces jego powstawania i wzrostu.

Gdy byłem jeszcze małym dzieckiem, pozostającym pod wpływem biblijnych opowieści o stworzeniu świata, wydawało mi się, że na widocznym z naszego okna Lesie Konstantynowskim kończy się świat: gdzieś tam, po drugiej jego stronie znajduje się już ogród Edenu, w którym kiedyś, dawno temu żyli Adam i Ewa. Gdy umarł mój

¹ Pierwodruk i podstawa przekładu: P. Minc, *Lodz in majn zikorn. Fragmentn fun majn kindhajt un jugnt*, Buenos Aires 1958, s. 11–32, 69–80, 87–130, 141–190.

mały braciszek pewien byłem, że jego dusza znajduje się na tamtym świecie, to znaczy: po drugiej stronie lasu. W czasie zachodów słońca często widziałem z mojego okienka na poddaszu, jak czarny bór w nastającej ciemności zlewa się z niebem, stając się z nim jednością. Las Konstantynowski był dla mnie korytarzem do tamtego świata. Wierzyłem w to długo, aż pewnego dnia poszedłem do lasu z moimi przyjaciółmi, chłopcami z chederu i nabieraliśmy tam pełne kieszenie jagód i malin.

Ten gęsty las ze swymi jednakowymi, wysokimi drzewami był dla mnie w czasie, gdy zapuściłem się tam po raz pierwszy, niezwykle odkryciem. Wyobrażałem sobie, że jest on bardzo daleko od nas i aby do niego dotrzeć należy pokonać kto wie jakie rozlewiska i góry oraz doliny pełne najstraszliwszych węży i skorpionów. A tu, nie wiedząc nawet kiedy, znalazłem się nagle pośrodku tego lasu... Przy okazji okazało się, że ścieżki wiodące do niego zabudowane są domami i droga wydała mi się dosyć krótka...

W lesie suche liście miło szeleściły pod moimi nogami, a te same wysokie sosny ze swymi wiecznie zielonymi koronami, które z mojego okienka na poddaszu widziałem jako straszne, czarne, sięgające samego nieba głowy, w pochmurne dni niknące gdzieś w obłokach, okazywały się z bliska niewiele wyższe od naszej czteropiętrowej kamienicy czy innych budynków na naszej ulicy, ale również – i to było dla mnie wielką niespodzianką – nie były wyższe od kasztanowców na naszym podwórku, na które wdrapywałem się przecież bez cienia strachu.

I tak stał się las kawałkiem zwykłej rzeczywistości i częścią naszego miasta. Moje horyzonty się poszerzyły i wchłonęły w siebie ten do tej pory tak tajemniczy łódzki bór.

Jednak nie tylko las był w moim wczesnym dzieciństwie częścią zupełnie innego świata, pobudzając swą tajemniczością moją fantazję. Również mieszkanie ze swymi sprzętami, które mnie otaczały i których dotykałem, były dla mnie żywymi stworzeniami, które poruszały się i ożywały co jakiś czas w niektórych porach, szczególnie o zmierzchu i w nocy, gdy w pokoju panował półmrok (nasze mieszkanie na trzecim piętrze posiadało okna wychodzące na ulicę oraz na podwórze). W księżycowe noce na meblach i ścianie pokoju, którego okna wychodziły na ulicę, odbywała się gra światła i cieni. W takie noce rozświetlone księżycem część mebli oraz innych sprzętów w izbie połyskiwała jasnożółtą poświatą, podczas gdy inne rzeczy pozostawały zanurzone w ciemności. Po chwili obraz się zmieniał, te wcześniej skąpane w księżycowym blasku ciemniały i jakby znikały mi z oczu, podczas gdy te uprzednio „martwe” części wyposażenia teraz jakby ożywały i wypływały z ciemności, w której chowały się do tej pory. Na ścianach – to samo: wcześniej drżały tam cienie drzew rosnących na ulicy naprzeciwko naszego podwórka, a chwilę później na ich miejscu rozciągały się cienie doniczek z oleandrami i innymi roślinami, stojących obok okna i na parapecie.

O zmierzchu i w nocy, gdy na łódzkim niebie nie było widać księżyca, latarnie gazowe oświetlały swym mdłym blaskiem dużą część ulicy i naszego domu.

My, dzieci, siedzieliśmy zawsze wieczorami przy oknie, czekając aż pojawi się latarnik: chudy, wysoki goj z długim kijem w ręku, podobnym do piki, jakie mieli rosyjscy kozacy na koniach. W wielkim pośpiechu pociągał szpicem piki, a lampa zaczynała promieniować

zielonożółtymi strugami światła z dwóch białych „koszulek” jej czworokątnego klosza. Część ulicy stała się jasna, a żelazny słup, na którym wisiała lampa rzucał wąski, czarny cień. Ciągłe więc, czy to w księżycowe, czy też w ciemne noce, w naszej izbie rozgrywała się walka pomiędzy światłem a cieniem, a przedmioty w pokoju nabierały ostrych krawędzi. W każdym razie walka ta istniała w mej wyobraźni już od najwcześniejszego dzieciństwa – walka toczona w najbliższym otoczeniu, dookoła mnie, o zmierzchu, a szczególnie w nocy. Rozbudzało to i rozpalało moją fantazję, i nieraz napędzało mi wielkiego strachu. By przegnać panikę, posługiwałem się sprawdzonymi metodami na uspokojenie. Przede wszystkim – zamknąć oczy, a po drugie powtarzać bez końca werset „Wybawienia Twego czekam, o Panie!”² – coraz szybciej i szybciej. Od tego automatycznego i monotonnego powtarzania owego wersu mój umysł męczył się szybko i zasypiałem.

Sposobu tego nauczyłem się od mojego ojca. Przekazał mi jeszcze inny sposób na strach i poczucie zagrożenia. Powiedział mi kiedyś, że gdy będzie mi grozić jakieś niebezpieczeństwo na ulicy ze strony polskich czy niemieckich łobuzów, mam wyobrazić sobie Boskie Imię: J.H.W.H, a wtedy nic złego mi się nie stanie. Nie chodziło przy tym o to, by zobaczyć te litery tak, jak drukuje się je w Torze³ czy modlitewniku, lecz ujrzeć je jako płonące znaki. Jednak w nocy, gdy opadał mnie strach, nie chciałem wywoływać w mej wyobraźni płonących liter Niewymawialnego Imienia, gdyż byłoby grzechem robić takie rzeczy w łóżku. Dlatego też zadowalałem się powtarzaniem wersetu ze *Szma Izrael* [Słuchaj Izraelu], co również pomagało. Dowód – przecież zasypiałem. Zdarzało się jednak, że gdy tak leżałem z zamkniętymi oczami powtarzając ten werset, dawało się słyszeć nagle długi, przerażający dźwięk. Była to syrena fabryczna, która wdzieriała się coraz mocniej swym wyciem w późną noc. Wiedzieliśmy, co to oznacza: w jakiejś fabryce wybuchł pożar, i to całkiem niedaleko od nas. Raz, drugi, trzeci – wycie fabrycznej syreny niosło się po ulicy, napęniając nasze mieszkanie niepokojem. Budziliśmy się wtedy, jednak bez tumultu i paniki. Nic dziwnego, przywykliśmy już do takich alarmów. Otrząsaliśmy się ze snu, a moi starsi bracia, znawcy branży włókienniczej, zaczęli zgadywać, skąd pochodzi alarm i czyj to może być sygnał. Wywoływano nazwy sąsiednich fabryk i spierano się. Potem na niebie pojawiała się olbrzymia purpurowa luna z czerwonym iskrami tryskającymi wysoko w górę. Wtedy już było wiadomo, gdzie się pali. Z ulicy dochodziło dzwonienie wozów strażackich na wielkich, szerokich kołach i stukot końskich kopyt. Z okien widzieliśmy nerwową krzątaninę przy wozach strażaków w hełmach. Z sąsiednich domów wyglądali przestraszeni ludzie, tak jak my, przez nieoświetlone okna. Niebo czerwieniało coraz bardziej, a my czuliśmy już w powietrzu zapach dymu i rozgrzanej smoły. Moi bracia zgadywali, czyi strażacy właśnie przejeżdżają, Scheiblera czy Poznańskiego? Strażacy z Konstantynowskiej czy z Przejazdu⁴? Niebo powoli przygasało, ogień był już w końcu opanowany i ludzie znikali z okien. Uliczka

² Rdz 49,18.

³ Tora – zob. s. 39, przyp. 12.

⁴ Obecnie ul. Tuwima.

cichła i znów zasypiała. Rankiem sąsiedzi omawiali w bramie to wydarzenie. Wtedy już wiadano, kto się palił. Pytanie brzmiało tylko, czy strażacy tym razem nie przybyli za wcześnie, by ugasić ogień i czy pogorzelec dostanie z ubezpieczenia taką sumę pieniędzy, na jaką liczył. Byli w Łodzi tacy fabrykanci czy tkacze, o których z góry wiadano, że będą się palić, gdyż interesy w branży tekstylnej szły z każdym rokiem coraz gorzej.

Dla mnie jednak te pożary miały całkiem inne znaczenie. Później chodziliśmy oglądać ruiny. Często z fabryki zostawały tylko gołe ściany z powybijanymi oknami. Czasami z porozwalanych cegieł i żelastwa sterczał tylko sam komin. Z samego rana nie można było dostać się na miejsce pożaru, bo policja nie dopuszczała tam obcych ludzi, ale po kilku dniach można było już tam pójść. Z tego powodu najczęściej przekładaliśmy wyprawę w to miejsce na szabatowe popołudnie.

Nie wszystkie jednak sygnały zapowiadały pożar. W letnie dni lub w zimie, gdy na zewnątrz było już całkiem ciemno, syreny fabryczne gwizdały przenikliwie i wyły, nawołując w ten sposób robotników do pracy. Gdy tylko jedna przestawała, natychmiast zaczynała druga, często też wyło kilka naraz. Czasami nerwowo, czasami jakby prosząco, a czasami jakby nawoływały i groziły. Syreny fabryczne wypełniały w godzinach porannych naszą izbę, ponieważ mieszkaliśmy w okolicy, gdzie było wiele fabryk. Dlatego też ciągle było u nas słychać ich odgłosy: za dnia szum maszyn, rankiem sygnały syren. Zresztą nie tylko o poranku: o dwunastej, w samo południe i o szóstej wieczorem nasze ulice również wypełniały się gwizdem syren. I tak każdego dnia, poza niedzielami i polskimi świątami.

Gdy syreny się uciszały, słyszeliśmy nerwowe kroki robotników zmierzających do budynków fabrycznych. Szli młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety: smutna procesja niewyspanych ludzi, ubranych naprędce, z nieuczesanymi włosami pod tanimi kapeluszami i kwiecistymi chustami. Z kieszeni mężczyzn wystawały blaszane manierki, płaskie, białe, niebieskie – o pojemności jednej kwarty. Kobiety niosły w rękach biedne, podniszczone koszyki. Młodszy szli jeszcze żwawym krokiem, z podniesionymi głowami i rękami w kieszeniach. Starsi, zmęczeni i wymizerowani mężczyźni i kobiety przemykali się pod ścianami skuleni z zimna. Jest szósta rano. O tej właśnie godzinie rozpoczynała się praca w łódzkim zmechanizowanym przemyśle włókienniczym.

Gdy cichły ostatnie syreny, dziesiątki tysięcy robotników znajdowało się już za wielkimi, ciężkimi bramami łódzkich fabryk. Tak będzie do dwunastej w południe, gdy znowu rozlegnie się wycie fabrycznych syren obwieszczających przerwę obiadową. Bramy fabryk otwierają się i robotnicy znów mogą wyjść. Część z nich jednak zostaje na miejscu, ponieważ członkowie rodziny przynoszą do fabryki koszyki z jedzeniem, dzięki czemu robotnicy mogą trochę odpocząć i nie tracą czasu na wyjście na przerwę obiadową, która w sumie trwa tylko godzinę. Koło dwunastej snują się przed naszą bramą kobiety i dzieci z koszykami w rękach, w których znajduje się jedzenie dla ich mężów lub rodziców. Większość robotników je z manierek, które przynoszą ze sobą do pracy. Spora część tkaczy i mistrzów tkackich idzie na obiad do domów, gdyż mieszkają niedaleko od

fabryki. Gorzej jest w czasie deszczu lub mrozu, gdyż trzeba nosić te skromne posiłki do fabryki z daleka. Zdarzało się, że dzieci lub kobiety napadała łobuzerka, zabierając im jedzenie i strasząc.

Z czego składał się przeważnie taki polski robotniczy obiad? Z pajdy razowego chleba, garnka kartofli z kapustą okraszonych wieprzowymi skwarkami lub z zupy z odrobiną kaszy i kawałkiem kaszanki. Robotnicy siadali przeważnie z garnkami między kolanami i jedli ten obiad ze smakiem, a z wąsów skapywał im kapuśniak. Ocierali sobie wtedy te wąsy i jedli z apetytem, uważając, by nie uronić nawet kruszynki chleba.

Jako mały chłopiec miałem okazję obserwować polskich tkaczy podczas obiadu. Moi wujkowie mieli dużą tkalnię mechaniczną, w której pracowało wielu robotników. Mój starszy brat też był zatrudniony w tej fabryce, a gdy czasami nie mógł przyjść na obiad, zanosilem mu jedzenie. Fabryka znajdowała się daleko od naszego mieszkania, w chrześcijańskiej dzielnicy Łodzi, za parkiem Staszica. Za każdym razem, gdy musiałem tam iść, wystawiony byłem na duże niebezpieczeństwo, bo uliczna łobuzerka bez trudu rozpoznawała we mnie żydowskiego chłopca i często ścigał mnie grad kamieni i wyzwisk. Możliwe, że prześladowały mnie dzieci robotników pracujących w tej fabryce, jednak w samym zakładzie robotnicy nie przejawiali względem mnie żadnej wrogości. Takie dni, gdy musiałem odwiedzić fabrykę moich wujków, były dla mnie wielkim przeżyciem.

Nie rozumiałem, dlaczego łobuzeria prześladowuje mnie z taką nienawiścią i brutalnością. Wiedziałem jednak już wtedy, że świat chrześcijański Żydów nie lubi i mnie samego również nienawidzono. Wydawało mi się wtedy, że chrześcijanin to jakieś zupełnie inne stworzenie. Mieszkaliśmy na jednym podwórku, na jednej klatce, drzwi w drzwi z Polakami i Niemcami i my, dzieci, bawiliśmy się razem na dworze, wdawaliśmy w bójki, by potem na powrót zostać przyjaciółmi. I tak przez wszystkie te lata, a mimo to byliśmy inni i obcy, jakbyśmy zamieszkiwali dwa odrębne światy. Nasze były soboty, ich niedziele, nasze święta żydowskie, ich chrześcijańskie. Co prawda polskie i niemieckie dzieci z naszego podwórka znały wszystkie żydowskie święta, a w wieczór pesachowy⁵ zbierały się wszystkie przy ognisku, w którym palono chamec⁶ żydowskich mieszkańców. W Sukot⁷ pomagały znosić ławki i deski, lecz żydowskie dzieci czuły, że to byli goje, dzieci chrześcijańskie, które nie rozumieją znaczenia wieczoru pesachowego czy Sukot, na które czekaliśmy z takim utęsknieniem. Od najwcześniejszego dzieciństwa wiedzieliśmy już, że na wino używane do kiduszu⁸ nie może spojrzeć żaden goj, bo stawało się

⁵ Pesach – zob. s. 39, przyp. 11.

⁶ Chamec (hebr.) – dosł. zakwas. Produkty zbożowe, do przygotowania których używano zakwasu. W czasie święta Pesach zabronione było zarówno spożywanie, jak i posiadanie chamecu.

⁷ Sukot (hebr., dosł. 'szafasy') – jesienne święto w kalendarzu żydowskim, wypada w dniach 15–21 miesiąca tiszri (przełom września i października). Sukot trwa siedem dni i zamyka je Hoszana Raba ('Wielka Hosanna'), ostatni, najbardziej uroczysty dzień święta. W Polsce nazywane również świętem Kuczek lub świętem Szafasów. Na pamiątkę czterdziestoletniej wędrówki Żydów z niewoli egipskiej wierni powinni w okresie tego święta zamieszkać w zbudowanym specjalnie szafasie (suka).

⁸ Kidusz (hebr.) – modlitwa uświęcająca szabat, odmawiana nad kielichem lub specjalnym kubkiem kiduszowym z winem, które musiało być koszerne.

trefne, podobnie jak mleko, gdy nie było się obecnym przy udoju. Gdy chrześcijańska dziewczka szła z kurą do rzezaka, musiała przynieść od niego świadectwo koszerności. Od gojowskich dzieci oddzielała nas ściana. Wiedzieliśmy też, że strasliwym grzechem jest przyglądanie się kościelnej procesji na Boże Ciało, jak również patrzeć na krzyż czy chrześcijański pogrzeb.

Każdego roku przez naszą ulicę szła katolicka pielgrzymka do Częstochowy. Na jej czele kroczyli księża w białych szatach, a nad ich głowami kołysały się różne święte obrazy. Ulica oświetlona była w nocy światłem woskowych świec, niesionych w rękach przez pielgrzymów. Procesja ciągnęła się powoli ze śpiewem przez ulice Łodzi w kierunku Częstochowy, prowadzono nawet chorych i kaleki.

Nas taka procesja napawała wielkim strachem. Zamykano na głucho okna wychodzące na ulicę i moja mama nie pozwalała nikomu, nawet dzieciom, przy nich stać. Z jej wielkich, szarych, zawsze łagodnych oczu wзираła trwoga.

To samo działo się również podczas Bożego Ciała, gdy tłumy polskich wiernych wypełniały ulice swymi chrześcijańskimi procesjami i monotonnym śpiewem. W tym dniu również należało siedzieć w domu. Nie tylko w czysto polskich okolicach dzieci żydowskie nie były wtedy bezpieczne, również w naszej dzielnicy, gęsto zamieszkaney przez Żydów, nie dało się uniknąć napaści chuliganów.

Niedaleko od nas, na ulicy Benedykta⁹, pewien rzeźnik miał sklep mięsny. Od samego początku przyjęło się wśród nas, dzieci, że gdy się tamtędy przechodziło, należało splunąć. Pewnego razu zdarzyło się, że córka rzeźnika, dziewczyna w wieku 14–15 lat widziała, jak tamtędy przechodzę. Wybiegła z jatki, chwyciła mnie od tyłu i siłą wepchnęła do ust kawałek wieprzowiny. Zanim się zorientowałem, zdążyła już uciec, a ja czułem w ustach przerażający, podły smak. W domu nikomu o tym nieszczęściu nie powiedziałem, pobiegłem tylko szybko i dobrze wypłukałem sobie usta. Potem odmówiłem 10 ustępów z Psalmów i poszedłem do Wilker Szul¹⁰ na Zachodniej i dałem beznogiemu Żydowi, który tam siedział, kopiejkę jałmużny.

Niedaleko od nas, również na Benedykta, znajdowało się podwórze z wozownią i kuźnią. Mieszkał tam kowal i stelmach i podkuwano konie. Łodzianie to znani gapie, więc i ja stawałem pod drewnianym parkanem przy budynku i z wielkim zainteresowaniem przyglądałem się, jak podkuwa się konie. Pewnego razu nie zauważyłem, jak z kuźni podkradł się do mnie jakiś chuligan z żelazną łyżką ze smołą, którą chlapnął mi w oczy i jeszcze obrzucił wyzwiskami. Opadł mnie wielki strach i bardzo mnie bolało. Szybko pobiegłem do domu. W mieszkaniu zrobiło się wielkie zamieszanie i od razu zabrano mnie na pogotowie, które znajdowało się niedaleko od nas, na ulicy Promenady¹¹. Tam stary doktor przemył mi oko, opatrzył i uspokoił mamę, że nic mi nie będzie. I rzeczywiście tak było.

⁹ Obecnie ul. 6 Sierpnia.

¹⁰ Wilker Szul – synagoga na Wilkach (zob. s. 30, przyp. 9), zwana również „Synagogą Nowego Miasta”, zbudowana w latach 70. XIX w. przy ulicy Zachodniej 56 (obecnie nr 70), zniszczona przez nazistów w 1940 r.

¹¹ Obecnie al. Kościuszki.

Do niebezpieczeństw można się przyzwyczaić. Taka już ludzka natura. Można to zauważyć nawet już u dzieci. Niebezpieczeństwo ataku chuliganów nie powstrzymywało mnie od chodzenia po ulicach.

W naszym mieszkaniu było kilka pomieszczeń, gdzie stały ręczne warsztaty tkackie. Fabryka ta działała przez cały tydzień – do piątku po południu. Poza tym robota trwała nieprzerwanie, pracowano chałupniczo, jak się to wtedy nazywało. Znaczyło to, że chłopci z podłódzkich miejscowości zabierali towar do siebie, by go wykończyć na swych tkalniach i dostarczali go raz w tygodniu z powrotem. Wydawaliśmy towar wielu chłopom mieszkającym w Konstancynowie lub sąsiadujących wioskach. Zjawiali się u nas na podwórku co piątek ze swymi wiejskimi, wyłożonymi słomą wozami, wyładowywali towar i otrzymywali wątek i osnowę na następny tydzień pracy. Czasami chłop przywoził nam białą gęś, kurę, wiązkę ziół czy kartofle. Podłódzcy chłopci musieli w ten sposób dorabiać, by utrzymać się ze swych wiejskich gospodarstw. My, dzieci z podwórka, czekaliśmy na piątek, żeby zabrać się na wóz i podjechać kawałek. Dobrodusznymi chłopci nie przeszkadzali nam w tej rozrywce. Dla nas, dzieci, było to wielkie przeżycie, siedzieć tak na wozie, krzyknąć do konia „Wio! Wio!”, by szedł szybciej. Mój ojciec śmiał się ze mnie: jechać kawałek tylko po to, by potem wracać piechotą, co to w ogóle jest za przyjemność? Nie wiedział jednak, że nie tylko musiałem wracać piechotą, lecz również byłem narażony na niebezpieczeństwo oberwania jakimś kamieniem od polskich łobuzów. I rzeczywiście tak było: w jedną stronę, do Lasu Konstancynowskiego, jechaliśmy jak książęta, wyciągnięci na słomie. Wozy nie miały co prawda resorów i strasznie trzęsło na kamiennym bruku, ale i tak było miło. Przy lesie chłop się zatrzymywał i kazał wszystkim wysiadać. Jazda skończona. Wróciliśmy ulicą Konstancynowską przechodząc obok rosyjskich koszar i dalej chrześcijańskimi ulicami i nieraz się zdarzało, że oberwaliśmy od polskich chuliganów rzemieniem czy kamieniami zanim przedostaliśmy się na naszą ulicę. Jednak nas, maluchów, nigdy to nie odstraszyło od urządzania sobie wycieczek do lasu na chłopskich furach. Do niebezpieczeństw i do lania można się przyzwyczaić.

Nie tylko syreny fabryczne i strażacy śpieszący hałaśliwie do pożaru zakłócali spokój naszego domostwa. Raz na tydzień budziły nas wielkie długie powozy, które w środku nocy w zasnym, monotonnym rytmie ciągnęły przez łódzkie ulice. Były to wielkie fury, okryte plandekami, zniszczonymi i namokniętymi od deszczu i śniegu i wypłowiałymi od słońca. To żydowscy robotnicy nakładczy z okolicznych miasteczek transportowali swoje towary do łódzkich fabrykantów, od których brali robotę. Fury, zaprzężone w wymizerowane konie, ciągnęły co tydzień z Zelowa, Bełchatowa i innych żydowskich miasteczek w okolicach Łodzi. Fabrykant lub jego człowiek odbierał robotę. Sprawdzał towar, czy ma odpowiednią szerokość i długość, ważył go i obmacywał, czy nie jest zawilgocony oraz patrzył przez lupę, czy ma odpowiednią gęstość. Sprawdzanie to miało jeszcze jeden cel – kontrolowano, czy tkacz lub dostawca nie oszukiwał na wątku lub osnowie. Tacy dostawcy dla przemysłu tekstylnego zatrudniali tysiące żydowskich ręcznych tkaczy z okolicznych prowincjonalnych miasteczek, zarabiając w ten sposób na swe nędzne utrzymanie.

Wielu dostawców stało się z czasem samodzielnymi fabrykantami, a nawet wielkimi bogaczami. Było to w czasie, gdy Łódź rosła. Musieli jednak przejść przez długi okres jeżdżenia swymi furami z miasteczek do Łodzi i z powrotem, czy to w gorące lato, czy też w mroźną zimę. Nocami zakłócały te fury spokój na ulicach, za dnia zaśmiecały podwórka.

Także na naszym podwórku prawie co tydzień pojawiała się taka fura. Dwie pary koni, wychudzonych co prawda, lecz jednak koni, do których my, malcy, baliśmy się zbliżyć. Wyszukiwaliśmy długie żdźbła słomy i szturchaliśmy nimi końskie zady. Gdy te niekoszerne zwierzęta nic sobie z tego nie robiły, zaczepialiśmy je w bardziej brutalny sposób: kijem. Wtedy konie w końcu odwracały leniwie głowy, ukazując nam wielkie, ciemne i smutne oczy, smagając nas jednocześnie ogonami prosto po twarzach. Innym razem jeden podniósł kopyto i trzymał je tak w powietrzu. To, że koń może chlasnąć ogonem wiedzieliśmy jako chłopcy bardzo dobrze i nie baliśmy się, jednak przed końskim kopniakiem czuliśmy respekt i zostawiliśmy wóz w spokoju.

Gdy fura była załadowana surowcem – wątkiem i osnową – ruszała z miejsca ciężko z jękiem i skrzypieniem wielkich kół. Konie, wypoczęte i nakarmione owsem i sianem, szły teraz z nowymi siłami. Chrześcijański woźnica zatrzymywał się jeszcze przed „monopolem”, by gołać sobie „łyka” na drogę. Nie pił tak, jak było to w zwyczaju u Żydów – nie używał kieliszków do wódki i nie zagryzał. Schodził z kozła, kupował flaszkę z czerwoną plecionką, obcierał na kamieniu lak z główki i jednym uderzeniem dłoni wybijał korek z szyjki. Jednym łykiem woźnica opróżniał „monopolkę”, a ostatnie krople z flaszki i ze swych wąsów rozcierał na dłoni. Powtarzało się to kilka razy, aż w końcu brał w dłonie lejce i bat.

Konie były nakarmione i napojone, woźnica też. Wtedy ruszał w drogę. Nie śpieszył się jednak i nie gonił. Konie szły z wielkim ładunkiem ciężkimi, powłóczystymi krokami, a on ich nie poganiał. Miał wyliczone, ile będzie trwać droga i kiedy zajędzie do miasteczka. My, dzieci, również ruszaliśmy z miejsca: czepialiśmy się wozu jadąc tak przez parę przecznic, a woźnica nie mógł nas dosięgnąć swoim biczem.

Inni chrześcijanie wchodzili do bramy domu, gdzie mieścił się „monopol”, tam wybijali korek z flaszki, wypijali ją na miejscu i zaraz wracali do sklepu, żeby odebrać szóstaka, którego musieli wyłożyć za butelkę. W bramie na ziemi walała się masa korków od butelek. Polscy dorożkarze, bednarze, tragarze węgla z workiem pod pachą, furmani z batem – codzienni klienci monopolowego – prędko wchodzili w bramę z flaszką w ręce i za kilka minut można było ich już zobaczyć przy ladzie sklepowej odbierających kaucję za butelkę. Czasami pili we dwóch z jednej, pierwszy pociągał łyk, a potem patrzył, jak się sprawy mają. Jeżeli upił za mało, brał mniejszego łyka, a potem oddawał drugiemu.

Żydów nigdy nie widywano w bramie monopolowego, nawet żydowskich dorożkarzy czy tragarzy. Oni pili „lechaim”¹² w szynku. „Monopolki” miały naklejone etykiety, na których napisano, jak mocna jest wódka i ile jest jej w butelce. Było to napisane po

¹² Lechaim [hebr. dosł. ‘za życie’] – tradycyjny toast.

rosyjsku. Jednak klienci monopolowego nie znali rosyjskiego lub znali go bardzo słabo, orientowali się więc po kolorze plecionki na flaszce oraz jej wielkości. Zielona plecionka oznaczała, że to 90-procentowy alkohol, biała – 40-procentowy, żółta – 57, a czerwona – 95. Szerokie masy piły głównie czterdziestki.

PIJACY I PROSTYTUTKI NA NASZEJ ULICY

Spokój nocny na naszej ulicy zakłócali również pijacy, szczególnie w piątki wieczorami, po wypłacie. Włóczyli się po ciemnych, skąpo oświetlonych ulicach. Również nasza była w tamtych latach słabo oświetlona. Naprzeciwko naszego domu stała co prawda latarnia gazowa, jednak druga znajdowała się w znacznej odległości, więc gdy księżyc nie świecił, na ulicy panował półmrok. Pijacy, obdarci, lecz również porządnie ubrani, siadali naprzeciw naszego domu pod latarnią, rozmawiali, żartowali, śpiewali i gwizdali. Gdy zapadała cisza, nie trwała ona długo. Czasami słychać było odgłosy uderzenia, a zaraz potem przekleństwa i rozpaczliwe krzyki bitego. Kiedyś nawet strzał przerwał nocną ciszę. O dziwo! Nasz dom znajdował się o jakieś pięć minut drogi od głównej arterii miasta, ulicy Piotrkowskiej, no bo jak daleko jest z Wólczańskiej na Piotrkowską? Z Wólczańskiej na Benedykta? Przechodziło się obok domu Mikołaja Rozenbluma przy Promenady, a stamtąd na Piotrkowską było dosłownie kilka kroków.

A mimo to w tamtych czasach, w latach 1902–1903, można było na naszej ulicy zamordować w nocy człowieka i do rana nikt się nie dowiedział. Późną nocą kobiety bały się tamtędy chodzić, a i mężczyźni nie mogli być pewni swych portfeli czy zegarków.

Na naszej ulicy Wólczańskiej, na odcinku między Andrzeja a Benedykta (jak już wspomniałem), znajdowały się wielkie fabryki tekstylne, jak ta należąca do Niemca Kintzlera¹³, do Hirszberga i Wilczyńskiego¹⁴ itd. Po drugiej stronie Benedykta znajdowały się kamienice Niemca Kirchowa¹⁵ i piekarnia Lipińskiego. Jakby tego było mało, w domach przy naszej ulicy, pod numerem 40 i 60, niedaleko naszego domu znajdowały się „wesołe przybytki”. Skandale i burdy nocne brały swój początek w większości właśnie z tych „domków” i związane były z ich mieszkańcami.

Dziesięć minut od centrum miasta rozpoczynało się piekło, pasujące bardziej do jakiegoś zaułka na Bałutach. Co w tych „wesołych domkach” było, jako dzieci nie wiedzieliśmy. A nawet gdybyśmy wiedzieli, to jako siedmio-ośmioletnie dzieciaki z pobożnych mieszczańskich domów i tak byśmy tego nie zrozumieli. Dochodziły do nas jedynie niezrozumiałe odgłosy tego, co się w tym domkach działo. Ot, złapał mnie czasem jakiś kozak, czy rosyjski oficer za rękaw i kazał się prowadzić tam, gdzie „dziewuszki”-dziewczyny, pokazując przy tym nową kopiejkę. Wyrываłem się z jego rąk

¹³ Rudolf Kintzler (Kincler) był współwłaścicielem nieruchomości przy ul. Gdańskiej 78 i 80 oraz Wólczańskiej 53.

¹⁴ Założona w latach 70. XIX w. fabryka dziewiarska, od 1884 r. funkcjonująca pod nazwą Towarzystwo Wyrobów Trykotowych i Dziaonych Jakub Hirszberg i Wilczyński w Łodzi Spółka Akcyjna, położona przy al. Kościuszki 23/25.

¹⁵ Rajngold i Ida Kirchow byli właścicielami kamienic przy ul. Wólczańskiej 39 i 41.

i szybko uciekałem do naszego domu. Po ulicach włóczyli się podpici żołdacy. Przystawali pod naszym domem, oglądali go ze wszystkich stron, a potem szli dalej. Najwidoczniej nie tego domu szukali.

Na rogu Andrzeja, a szczególnie na rogu Benedykta i Wólczańskiej kręciły się po zmroku dziewczyny, żydowskie i chrześcijańskie, zatrzymywali się przy nich mężczyźni, by następnie zniknąć razem w domu, który sąsiadował z naszym.

Jakoś tak instynktownie zawsze się ich bałem i nigdy nie zaglądałem im w twarz. Były dla mnie jak złe cienie, stojące na rogu pod ścianą. Być może mój strach brał się stąd, że sąsiedzi z naszego domu mówili o tych dziewczynach jak o czymś złym. Bałem się ich jak demonów i innych zjaw, o których nasłuchiwałem się najstraszliwszych historii, czytanych nam przez moją starszą siostrę w zimowe wieczory z *Kaw Hajaszar* [Właściwa miara]¹⁶.

„Dziewczynki” doskonale wyczuwały strach, jaki wzbudzały w nas, dzieciach. Bardzo je to martwiło i złościły się na nas. Najgorsze były jesienne godziny, między 7 a 10 wieczorem. Wtedy obawiałem się wychodzić i pokazywać samemu na ulicy. Bałem się nawet wyjść po zakupy do pobliskiego sklepu.

Nie przyszło mi wtedy do głowy szukać analogii między ulicznymi dziewczkami a Tamarą z Tanach¹⁷, która przecież też stała na ulicy, by potem pójść z Judą¹⁸, czy też z prostytutką Rahab, która przechowała u siebie szpiegów¹⁹. Nie mówiąc już o porównaniach z innymi miejscami w Torze, mówiącymi o grzechu prostytutki, Boże uchwaj. Tamte prostytutki jakoś nie wzbudzały we mnie strachu ani wstrętu. Były przecież z zupełnie innego świata, rozpościerającego się za Lasem Konstantynowskim.

Pewnego razu zdarzyła się jednak rzecz, która wywarła na mnie wielkie wrażenie i zmieniła mój stosunek do tych ulicznych dziewcząt. Jedna z nich – pamiętam nawet jej imię: Chana – została zastrzelona w swoim pokoju. Zdarzyło się to w biały dzień, po południu. Strzały wywołały wielką panikę, zbiegli się sąsiedzi i przy bramie „wesołego domku” zebrał się spory tłum. Rozumie się, że my, dzieci, także przecisnęliśmy się w stronę bramy, a nawet do samego mieszkania. Stałem przy drzwiach i zauważyłem, że lustro zostało przestrelone kulą i popękało na wszystkie strony. Potem przyjechała policja i wygoniono nas, a bramę zamknięto.

Sąsiedzi, którzy wcześniej tak źle mówili o tych „nocnych ptaszkach”, kiwali teraz smutno głowami nad tym nieszczęśliwym zdarzeniem. Taka młoda dziewczyna, co za nieszczęście, biedaczka, toż to dziecko jeszcze prawie – mówili między sobą. Mówiono nam później, że policja zabrała ciało i gdzieś je pochowali. Kilka tygodni później do żydowskiego sklepu na naszej ulicy przyszła jakaś starsza kobieta z małego polskiego miasteczka i rozpytywała o tę zastrzeloną dziewczynę, Chanę.

¹⁶ Popularne dzieło moralizatorskie autorstwa Cwi Hirsza Kajdanowera (zm. 1712), wydane po raz pierwszy w 1705 r., doczekało się ponad 80 wznowień.

¹⁷ Tanach – zob. s. 39, przyp. 12.

¹⁸ Zob. Rdz 38.

¹⁹ Zob. Joz 2,1; 6,17–25.

Wypadek ten wzbudził we mnie wielką litość do tych czarnych cieni z naszej ulicy i mój strach przed nimi zupełnie zniknął. Być może było tak dlatego, że chodziły słuchy, jakoby miał ją zastrzelić rosyjski żołnierz. Jeżeli się je prześladowe i do nich strzela, to czego się tu bać?... Jednak w dalszym ciągu ich unikałem. Gdy jedna z tych prostytutek zawołała mnie kiedyś na ulicy: „Chłopcze, chłopcze!”, nie chciałem do niej podejść. Nie bałem się ich już więcej, ale nie chciałem mieć z nimi nic do czynienia.

Mimo że nasza ulica była tłumna i głośnie, zarówno za dnia, jak i w nocy, było tam miejsce, w którym panował spokój i porządek, a uliczne życie nie miało tam wstępu.

Dokładnie naprzeciwko naszego domu znajdował się bogato zdobiony, jednopiętrowy budynek, czy też raczej jednopiętrowy pałacyk, odgrodzony od ulicy szpiczastym, żelaznym parkanem z żelazną bramą²⁰. Można było tam wejść jedynie podstępem, dzwoniąc dzwonkiem wiszącym przy okienku koło wejścia.

Ta willa należała do jednego z najbogatszych łódzkich Niemców – Beyera²¹ – zięcia jednego z założycieli przemysłowej Łodzi – Ludwika Geyera²².

Pałac ten był związany z życiem mieszkańców naszej ulicy w szczególny sposób. Żona Beyera, córka Ludwika Geyera, była osobą bardzo prostą. Świadczył o tym nawet jej wygląd zewnętrzny – chodziła ciągle ubrana w znoszone robocze ubrania, niebieski kuchenny fartuch opinający jej pulchne ciało. Włosy nosiła upięte ciasno w kok, a czasami splecione w siwe plecione warkocze okalające głowę, i sprawiała wrażenie bardziej gospodyni, niż właścicielki bogatego domu.

Po drugiej stronie domu, aż do ulicy Promenady rozciągał się ogród, w którym trzymała krowy i miała duży kurnik.

Pani Beyer nie zatrudniała służby i sama prowadziła całe gospodarstwo. Poza pracami domowymi hodowała kury i mleczne krowy. Córka Geyera, milionerka, codziennie sama karmiła krowy i je doila, zajmowała się też kurami i czyściła kurnik. Cała ulica wiedziała, że Frau Beyer, czy też „Bauerka”²³, jak na nią wołali, kupuje obierki z kartofli dla swoich krów i daje kopiejkę za koszyk obierek, zawsze płaciła nowiutkimi, błyszczącymi monetami. Taka pasza dla krów kosztowała ją taniej niż owies czy siewka.

Mleka od tych krów córka Geyera nie zużywała w całości, sprzedawała je również żydowskim sąsiadom z ulicy. Dwa razy dziennie w pałacu Beyera można było dostać świeże, smaczne mleko prosto z udoju. Codziennie przed willą gromadziły się żydowskie kobiety z dziećmi, trzymające bańki lub rondelki i każda kupowała po litrze lub nawet pół litra, czy też, jak to się wtedy nazywało, kwartę lub kwaterkę mleka.

Chrześcijańskich służących po mleko nie wysyłano, więc często chodziłem tam na udój sam. Piękne, tłuste, błyszczące krowy stały tam odwrócone zadami w równym rzędzie i wyjadały z koryta żydowskie ziemniaczane obierki, madame Beyer zaś siedziała

²⁰ Neorenesansowa willa przy ul. Wólczarńskiej 36, wybudowana w latach 80. XIX w.

²¹ Józef Beyer (1837–1907), łódzki przedsiębiorca, właściciel składu desek.

²² Amalia Fanny Beyer (1841–1914) była córką Ludwika Ferdynanda Geyera (1805–1869), jednego z pionierów łódzkiego przemysłu tekstylnego, właściciela tzw. Białej Fabryki przy ul. Piotrkowskiej 284–286.

²³ Gra słów: niem. Bauer – rolnik.

na niskim zydelfku, trzymając między pulchnymi udami ceberek, do którego doła ciepłe mleko z pełnych, białych krowich wymion. Cieniutkie, długie strużki mleka tryskały spod jej palców prosto do skopka. Następnie z wielkiego glinianego garnka nalewała mleka, każdemu do jego naczynia i zapisywała kredą na tablicy, ile każdy wziął.

Rachunek płaciło się na koniec tygodnia. U Bauerki mleka nigdy nie brakowało. Miała w sprzedaży także jajka i kury, świeże wielkie jaja, hodowała bowiem specjalną rasę kur – czarne jak kruki z białymi główkami i purpurowo-czerwonymi grzebieniami.

Koguty były w kolorze czarno-granatowo-złotym. Strach było nawet patrzeć na takiego koguta, byli to prawdziwi zbójcy. Rzucały się na dzieci próbujące zaczepiać kury.

Bauerka wiedziała dobrze, kiedy jest Rosz Haszana i Jom Kipur²⁴ i przygotowywała się na wielki handel drobiem. Kupowano u niej kury i koguty na ofiarę Kapojres²⁵, jednak lepiej było nie zadzierać jej kogutami, bo byli to prawdziwi mordercy na miarę Amaleka²⁶. Gdy próbowano takim kręcić nad głową, wyrwał się i dziobał, nawet związany nie przestawał walczyć. Nie były to bowiem koguty, lecz prawdziwe cielaki, tak je Bauerka napasła zawsze przed Jamim Noraim.

Ze swojego wielkiego sadu sprzedawała smaczne jabłka i soczyste gruszki. Ta milio-nerka robiła pieniądze na wszystkim i gdy my, dzieci, pozwalaliśmy sobie w czasie udoju zerwać kilka malin czy winogrono, zawsze bardzo nas besztala.

Frau Beyer zawsze wiedziała, kiedy wypadają żydowskie święta i jak się to odbije na jej interesach z żydowskimi klientami. Wiedziała, że podczas wielkich świąt sprzeda mniej mleka, że na Pesach będzie duży problem z chamecem, i jak wielu Niemców w Łodzi umiała trochę mówić w jidysz, znała nawet kilka hebrajskich zwrotów. Mąż nie mieszał się do jej babskich interesów. Cierpliwie znosił w swym pałacu tłumy i hałas, który czynili groszowi klienci i każdego dnia spokojny i punktualny szedł do banku przy ulicy Ewangelickiej²⁷, gdzie był dyrektorem. Nosił czarną pelerynę i beret na głowie.

Niedaleko od Beyerów znajdował się pałac innego łódzkiego niemieckiego magnata – Kunitzera²⁸.

Na tej samej ulicy – z jednej strony bieda i prostytutka, z drugiej pałace i bogate podwórza. Taka właśnie była Łódź.

²⁴ Rosz Haszana (hebr.) – żydowski Nowy Rok przypadający na dwa pierwsze dni miesiąca tiszri (wrzesień–październik); z kolei na dziesiąty dzień tego miesiąca przypada Jom Kipur (hebr., dosł. 'Dzień Pojednania') – jedno z najważniejszych świąt żydowskich, o charakterze pokutnym; w czasie tego święta obowiązują ścisły post. Cały okres od Rosz Haszana do Jom Kipur ma niezwykle charakter, to Jamim Noraim (hebr. 'Straszne Dni'), poświęcone żalowi za grzechy, pokucie i oczyszczeniu.

²⁵ Kapojres (jid.), Kaparot (hebr., dosł. 'odkupienie') – zwyczaj oczyszczania z grzechów praktykowany przez niektórych Żydów w święto Jom Kipur, polegający na trzykrotnym kręceniu nad głową kurą (kobiety) lub kogutem (mężczyźni). Ptak był następnie zabijany, a jego mięso oddawane biednym. Obecnie coraz częściej drób zastępowany jest wreczkiem monet przeznaczonych na jałmużnę.

²⁶ Amalek – zgodnie z biblijnym przekazem syn Elifaza, wnuk Ezawa, przywódca plemienia Amalekitów (Rdz 36,16), wrogów Izraela pokonanych przez Jozuego pod Refidim (Wj 17,8–16).

²⁷ Obecnie ul. Roosevelta.

²⁸ Wybudowana w 1889 r. u zbiegu Benedykta i Promenadowej neorenesansowa willa zaprojektowana przez znanego łódzkiego architekta Hilarego Majewskiego. Jej właściciel, Juliusz Kunitzer (1843–1905), był przemysłowcem i działaczem społecznym, założycielem Widzewskiej Manufaktury.

SZABATOWE ULICE

W szabatowe poranki, nie mówiąc już o świętach, na łódzkich ulicach – od centrum po Stare Miasto i Bałuty – panowała jakaś dziwna cisza i spokój. Zupełnie inna niż podczas świąt chrześcijańskich, gdy wszystkie sklepy były zazwyczaj również zamknięte.

Jednak to właśnie w święta żydowskie i szabaty łódzkie ulice przybierały wyjątkowy, żydowski wygląd. Prawie wszystkie sklepy na ulicy Piotrkowskiej, głównej arterii miasta, jak również na sąsiednich ulicach, były wtedy zamknięte, a na wielkich, szerokich podwórzach, na których przez cały tydzień panował wielki zgiełk, zapadała cisza. Sklepy pozamykane były naглуcho, a świątecznie wypucowane żydowskie dzieci bawiły się na podwórkach.

Na Piotrkowskiej i na sąsiadujących z nią ulicach w wielu domach znajdowały się sztyble²⁹ chasydów z Góry Kalwarii czy Aleksandrowa, litwackie³⁰ salki modlitewne i mitnagedzkie synagogi³¹.

W letnie piątkowe wieczory lub sobotnie ranki po podwórzach niósł się słodki zaśpiew prowadzących modlitwy chasydzkich kantorów. Łódzki szabat rozlewał się po podwórkach i ulicach coraz dalej i dalej, w stronę Starego Miasta i Bałut, a miasto wydawało się zupełnie nieruchome.

Nie wszyscy religijni łódzcy Żydzi chodzili się modlić o tej samej porze. Mitnagedzi, Żydzi reformowani, kramarze, rzemieślnicy i zwykli ludzie chodzili na modlitwę już o dziewiątej rano, podczas gdy chasydzi w tym czasie dopiero wracali z mykwy. Podczas gdy ci pierwsi wracali już dostojnym krokiem ze swych synagog czy sal modlitewnych z woreczkiem na tałes pod pachą, otoczeni wianuszkami dzieci, chasydzi nerwowo biegli do sztybli, by załapać się jeszcze na godzinkę nauki, ponieważ w tych miejscach, w szczególności u chasydów z Góry Kalwarii modlitwy rozpoczynały się dopiero o jedenastej. Zwyczaj taki panował w czasach Sfata Emet³², później się to zmieniło.

Do południa w szabat i święta na żydowskich łódzkich ulicach panował wielki ruch. Nie był on jednak podobny do tego w dniu poprzedzające lub następujące po nich, gdy Łódź żyła i oddychała przemysłem tekstylnym, ze swymi rosyjskimi komiwojażerami, wekslami i bankructwami. Szabat był dla dużych i małych. Mężczyźni i kobiety szli na modlitwy, a potem grupowali się w kręgach przed domami, w których mieszkali i rozmawiali, kończąc jeszcze jakąś historię czy spór.

²⁹ Sztybel (jid., dosł. 'izba') – niewielkie zazwyczaj pomieszczenie używane przez chasydów do nauki oraz modlitwy.

³⁰ „Litwakami” nazywano Żydów pochodzących z zachodnich guberni rosyjskich, głównie z Litwy i Białorusi, gdzie w przeciwieństwie do ziem Królestwa Polskiego i Ukrainy nie przyjął się chasydyzm. Mieli oni nieco inne zwyczaje i sposób modlitwy. Migracja litwaków związana była z narastaniem w końcu XIX w. nastrojów antysemickich i wzrostem restrykcji wobec Żydów w cesarstwie rosyjskim.

³¹ Mitnagedzi (hebr., dosł. 'przeciwnicy') – określenie stosowane do przeciwników chasydów, zwolenników tradycyjnego judaizmu rabinicznego.

³² W tym okresie na czele chasydów z Góry Kalwarii stał Jehuda Arie Lejb Alter (1847–1905), nazywany od tytułu swej książki *Sfat Emet* [Język prawdy], trzeci cadyk z dynastii.

Ponieważ w szabat nie można było niczego nosić, tałesy i modlitewniki nosiły za swymi ojcami dzieci. Kobiety wieszały sobie przedmioty na szyi, a kluczyki do swych pulpitów w żeńskiej części synagogi przyczepiały do kolczyków³³. Jako dzieci mogliśmy nosić wszystko i zaiste w ten dzień cieszyliśmy się u dorosłych wielkim poważaniem³⁴.

Z CHEDERU DO SZKOŁY

Nie miałem zbyt wielkiej ochoty na chodzenie do chederu i wymawiałem się od tego obowiązku przy byle sposobności. Jak doszło do tego, nie wiem za dobrze, czy za sprawą mojego wujka, który przekonał moich rodziców, by posłali mnie do szkoły, gdzie zrobią ze mnie „człowieka”, czy też pod wpływem mojej starszej siostry, która bardzo upierała się przy tym, bym chodził do szkoły. Faktem jest, że w 1904 r. po wakacjach oddano mnie do rosyjskiej szkoły, która nie działała w szabaty i święta.

Przekroczenie szkolnego progu i pierwszy dzień w klasie wywarły na mnie wielkie wrażenie. Przede wszystkim byłem tam zupełnie obcy. Nie znałem nikogo z tej szkoły, nie było tam chłopców z naszego podwórka, ani nawet z naszej ulicy. W porównaniu z chederem klasa była prawdziwym pałacem! Wielka, wysoka i jasna sala z kilkoma oknami wychodzącymi na ulicę, ściany czyste i obwieszone mapami i rysunkami różnych zwierząt. Na podwyższeniu – katedra z krzesłem dla klasowego nauczyciela, a nad katedrą, na ścianie, wisiały obrazy: jeden przedstawiający rosyjskiego cara Mikołaja II z krótko ostrzyżonymi włosami na głowie i symetryczną bródką, a nieco dalej – przedstawiający cesarzową w małej koronie na głowie.

W klasie stały czyste ławki, każda na 4–5 osób, z miejscem w pulpicie na chowanie książek i zeszytów. Siedzieliśmy w tych ławkach, a gdy w klasie pokazał się nauczyciel, musieliśmy wszyscy razem wstać i pozdrowić go po rosyjsku: „Zdrowia wam życzymy, wasza Wielmożność”. Tak było za każdym razem, gdy nauczyciel lub dyrektor szkoły wchodził do klasy. Gdy przychodził inspektor lub inny urzędnik szkolny w mundurze ze złotymi guzikami, musieliśmy pozdrawiać go w inny sposób. Rano, jeszcze przed rozpoczęciem lekcji, musieliśmy wszyscy razem odmawiać po rosyjsku modlitwę do Boga i hymn na cześć cara Mikołaja, jego żony, jego matki i jego małego synka – Aleksieja, następcy tronu. Po lekcjach znów musieliśmy odmówić modlitwę dziękczynną do Boga. Cały ten porządek w szkole wywarł na mnie w pierwszych dniach bardzo silne wrażenie, było tu zupełnie inaczej niż w chederze, do którego uczęszczałem wcześniej.

Nauka trwała od wpół do dziewiątej rano do wpół do trzeciej po południu. Przez cały ten czas znajdowałem się w zupełnie innym otoczeniu. Nauczyciel, w przeciwieństwie do rebe³⁵, był jakby w pełni gojem. Bez jarmułki na głowie, bez brody i pejsów. Siedzieliśmy w ławkach, jedliśmy z gołymi głowami bez odmówienia błogosławieństwa. Nauczyciel

³³ Klucz lub inny przedmiot przymocowany do ubrania w sposób trwały traktowany jest jako część odzieży i nie podlega zakazowi przenoszenia w szabat, podobnie jak inne przedmioty związane na stałe z biżuterią (dozwoloną w szabat).

³⁴ Do 13. roku życia dzieci nie są zobowiązane do przestrzegania przykazań judaizmu.

³⁵ Rebe – zob. s. 25, przyp. 6.

mówił do nas wyłącznie po rosyjsku i z jego ust nie padało żadne słowo w jidysz, choć on sam był Żydem. Podczas lekcji służąca przynosiła mu na tacy śniadanie. Co takiego jadł nasz nauczyciel? Bułkę z masłem, wieprzowiną i serem, a do tego herbata z mlekiem³⁶. Gdy zobaczyłem to po raz pierwszy, zrobiło mi się niedobrze, gdyż przypomniał mi się kawałek wieprzowiny, którą chrześcijańska dziewczka wepchnęła mi siłą do ust. Nauczyciel odrywał jedną ręką kawałek bułki z masłem, kładł na to szynkę i zjadał pomalutku gryz za gryzem, popijając herbatą z mlekiem. I tak każdego dnia o dziesiątej rano. Za pierwszym razem szkoła wywarła na mnie wielkie wrażenie. Musiałem się przy tym bardzo wysilać, by zrozumieć, co mówi do mnie nauczyciel, bo mówił do dzieci tylko po rosyjsku i pisał na tablicy jedynie w języku rosyjskim. Gdy czytałem to, co napisał, rozumiałem więcej, niż gdy do mnie mówił.

Również sposób nauki i sam porządek w klasie był dla mnie wielką nowością. W chederze wszystko było inaczej. Także same przedmioty, których się uczyliśmy były inne. W chederze każdego dnia uczyliśmy się wycinku z Tory z komentarzem Rasziego³⁷, strony z Gemary lub Tanach, a od czasu do czasu trochę gramatyki. Tutaj zaś – zupełnie inne rzeczy – rosyjski, arytmetyka, wiersz na pamięć, przepisywanie do zeszytów tego, co było na tablicy itd. A przede wszystkim – dyscyplina: w czasie lekcji nie można było ze sobą rozmawiać, nie można było wstać ani wyjść z klasy bez pozwolenia. Gojowskie zwyczaje! Ale teraz – przerwa! Co godzinę – przerwa. Podczas pauzy na podwórku byliśmy znów pod opieką nauczyciela. W chederze nikt nie wiedział, co to przerwa. Tutaj pozwalano nam grać w piłkę, w chowanego lub gimnastykować się, skakać i bawić zupełnie swobodnie. Po jakimś czasie polubiłem szkołę i każdego dnia chętnie do niej chodziłem.

Tak, w moim ówczesnym życiu zaszła jeszcze jedna zmiana: do szkoły nie chodziłem w mojej długiej kapocie, jak do chederu, tylko nosiłem krótkie spodenki i fartuszek szkolny ze sztywnym kołnierzem. Tylko w szabaty musiałem na powrót zakładać moją długą kapotę, a dokładniej – w piątek wieczorem na powitanie szabatu i nosić ją do soboty wieczorem, do Hawdali³⁸.

Do chederu chodziłem jakieś pięć lat, to znaczy od czwartego do dziewiątego roku życia. Już po pierwszych tygodniach w szkole zupełnie rozwiało się i zniknęło zainteresowanie nauką w chederze. W ogóle nie myślałem o tym, czego jeszcze kilka tygodni wcześniej uczyłem się codziennie. Siedząc w klasie moje myśli nie uciekały do Gemary, Tory czy rebege w chederze. Tak jakby to wszystko w ogóle dla mnie przez

³⁶ Są to potrawy niekoszerne. Zgodnie z zasadami kaszrutu (koszerności) nie wolno jeść m.in. wieprzowiny oraz łączyć mięsa z nabiałem.

³⁷ Raszi, akronim utworzony od: Rabi Szlomo Icchak (1040–1105) – wielki autorytet rabiniczny, autor najpopularniejszego komentarza do Tory, który przedrukowany jest we wszystkich tradycyjnych wydaniach Biblii Żydowskiej (Tanach); komentarz ten chwalono za prostotę, która umożliwiała zrozumienie Tory nawet dzieciom.

³⁸ Hawdala (hebr., dosł. 'oddzielenie') – ceremonia oddzielenia szabatu lub innych świąt od dnia powszedniego. Odbывa się poprzez udzielenie błogosławieństw oraz zapalenie, a następnie zgaszenie specjalnej świecy hawdalowej splecionej z kilku mniejszych świeczek.

te lata nie istniało. W szkole czułem się dobrze i moja cała uwaga skierowana była na nowe przedmioty. Gdy dziś przypominam sobie tę zmianę, która zaszła wtedy w moim stosunku do chederu i w ogóle w moim stanie umysłu, staje się dla mnie jasne, że największy wpływ wywarły na mnie nie bardziej swobodne warunki nauczania, tylko w największym stopniu życiowe i praktyczne tematy materiałów do nauki w szkole oraz metody nauczania, tak różne w porównaniu z tymi z chederu. Tam uczono i objaśniano chłopcom, jeszcze pięcio-sześciolatniom dzieciom, rzeczy, które mój młody mózg i umysł nie były w stanie przyswoić lub rozumiałem je zupełnie powierzchownie, sucho, gdyż nie były dla mnie w ogóle interesujące (nie mówiąc o kilku wyjątkach). Metoda nauczania mełamedów³⁹ nie polegała na tym, by ułatwić zrozumienie jakiegoś zagadnienia, podczas gdy w szkole wszystko było inne. Zadanie arytmetyczne było dla mnie tak konkretne i praktyczne, że rozwiązywałem je z łatwością. Na przykład: ile materiału potrzeba na garnitur o takich i takich wymiarach, czy też: w jakim miejscu drogi spotka się dwoje ludzi, jeżeli każdy z nich idzie z taką i taką liczbą wiorst na godzinę? Lub: ile należy zapłacić wynagrodzenia robotnikowi tygodniowo, gdy dziennie otrzymuje tyle i tyle, itd. To były sprawy praktyczne i znaliśmy je z naszego codziennego życia. To samo było z nauką języka, geografią i innymi przedmiotami. W chederze natomiast mieliśmy do czynienia z materiałem, dla którego przyswojenia i zrozumienia wyteńczyć musieliśmy wszystkie siły naszej wyobraźni i fantazji. Gdy w szkole uczyliśmy się botaniki czy zoologii, mieliśmy przed oczami rośliny czy wypchane zwierzęta, a gdy mełamed objaśniał nam tekst Tory traktujący o roślinach czy zwierzętach, nie mieliśmy pojęcia, jak one naprawdę wyglądają w rzeczywistości. W ogóle cały system nauczania oraz stosunek nauczycieli do uczniów różnił się diametralnie. Z tego powodu w moim młodym mózgu nie powstała żadna synteza pomiędzy chederem a szkołą powszechną, pomiędzy pierwszymi początkami mojej religijnej edukacji a nauką świecką. Jak mgła rozwiała się biblijna atmosfera i klimat, w których wcześniej żyłem i marzyłem, a pomiędzy tymi dwoma etapami mojego życia wytworzyła się głęboka jak otchłań, sprzeczność. I im bardziej zagłębiałem się w nauki świeckie, tym więcej problemów w moim młodym umyśle wywoływała wiara i inny styl życia. W domu bardzo pilnowano tego, by w czasie burzy z piorunami lub tęczy odmówić odpowiednie błogosławieństwo i wierzono głęboko, że są to zjawiska natury mające olbrzymi związek z niebiańską opatrnością i jej wpływami na ziemię. Ja natomiast wiedziałem już wtedy, skąd biorą się te niebieskie zjawiska oraz że istnieje nawet specjalny instrument, potrafiący przewidzieć i przepowiedzieć, gdzie i kiedy pojawi się burza. Odmawiałem jeszcze błogosławieństwo w czasie grzmotu czy pioruna, jednak w głowie miałem już inne myśli związane z tymi zjawiskami przyrodniczymi. Moje wargi mamrotały jeszcze automatycznie to, w co już nie wierzyłem. I tak moje niedowiarstwo zaczęło się objawiać również przy innych okazjach. Spowodowało to, że moi rodzice zaczęli zwracać większą uwagę na moje zachowanie, ponieważ nie wierzyli już w moje religijne skłonności. Szedłem jeszcze w religijnym zaprzęgu, jednak bardziej za sprawą

³⁹ Mełamed – zob. s. 25 przyp. 5.

nacisku świata zewnętrznego niż wewnętrznej wiary. Nie byłem jeszcze na tyle dojrzały, by podnieść bunt przeciwko staremu stylowi życia i szedłem po linii najmniejszego oporu, zachowując się jak dawniej, jednak przy każdej sposobności wykręcałem się od religijnych obowiązków. Nie było dla mnie już istotne, że opuszczałem Minchę⁴⁰, a rano, gdy już bardzo się śpieszyłem „ścinałem” modlitwę, przeskakując całe strony w modlitewniku. Matka karała mnie, za każdym razem, gdy tak szybko odbębniałem modlitwy, ale to przeszło. Tak samo było z błogosławieństwami i innymi drobiazgami, jak obmywanie rąk itd.

Jak świt rozjaśnia się na horyzoncie po ciemnej nocy, a ptaki poczynają wyśpiewywać pierwsze trele, tak i w moim umyśle robiło się coraz jaśniej i poczęły się w nim formułować pierwsze bezbożne myśli. Jak w leśnych ostępach, nietkniętych ludzką stopą, stare dęby poczynają trzeszczeć przy pierwszym zetknięciu z długimi stalowymi piłami i błyszczącymi, ostrymi siekierami, tak i w naszym mieszkaniu rozpoczął się jakiś ruch. Bezbożność wdzierала się zewsząd, bo i moje siostry zaczęły zachowywać się swobodniej. Jest absolutnie pewne, że przez kilka tysięcy lat, od samego nadania Tory na Synaju żadne z poprzednich naszych pokoleń, czy to ze strony mojego ojca, czy też matki, nie poważyło się nosić przy sobie pieniędzy w szabat, czytać trefnych ksiąg⁴¹, a już na pewno pisać w tym dniu. Byłem pierwszy z naszej rodziny, który tak czynił, burząc to ogrodzenie świadomie i publicznie. W szabaty chodziłem do moich przyjaciół, których rodzice byli już świeccy, czy też jak się wtedy w Łodzi mówiło „niemieccy”, i często tam pisałem, czytałem i jadłem, choć ich kuchnia na pewno nie była koszerne, gdyż gospodyni chodziła z nieogoloną głową, a ojciec jako mistrz tkacki pracował również w szabaty. Jako pierwszy podniosłem ostrą siekiere na stare, głęboko zakorzenione dęby żydowskości w naszej rodzinie. Byłem pierwszym, który przestał nosić tradycyjną żydowską kapotę. Później moje odejście od tradycyjnego życia przebiegało już w bardziej systematyczny sposób.

Teraz gdy myślę o tym okresie w moim życiu, nasuwa mi się pytanie, czy miałem rację, tak lekceważąc tradycje, które przetrwały tysiące lat, wyśmiewając wiarę i sposób życia, za które poprzednie pokolenia zapłaciły tak wysoką cenę? Wtedy jednak nie myślałem jeszcze takimi kategoriami. Dzisiaj, gdy dzieli mnie od tego czasu pół stulecia – i to jakie pół stulecia! – patrzę na to wszystko nieco inaczej.

Szybko jednak straciłem zapal do nauki. Przez cały roku uczyłem się słabo, nie miałem ochoty na odrabianie lekcji w domu i dopiero rankiem, w wielkim pośpiechu, kończyłem to, czego nie skończyłem poprzedniego dnia. Jednak, gdy zbliżał się czas egzaminów i groziło mi niebezpieczeństwo pozostania na drugi rok w tej samej klasie, wziąłem się za robotę i wykonałem duży skok, nie tylko przechodząc do następnej klasy, lecz nawet z wyróżnieniem, czy też, jak to się wtedy nazywało, z „nagrodą”, którą była książeczka z bajkami dla dzieci Andersena, pięknie oprawiona, z wypisaną na okładce dedykacją, kto

⁴⁰ Mincha (hebr., dosł. 'ofiara') – w judaizmie modlitwa popołudniowa symbolizująca ofiarę świątynną, odmawiana przed zachodem słońca; jedna z trzech obowiązkowych modlitw codziennych

⁴¹ Za trefne książki uważano nie tylko książki np. nasycone erotyzmem, ale także książki świeckie, podejmujące tematy niezwiązane z religią.

i za co otrzymuje tę nagrodę. Wyróżnienia te były rozdawane na uroczystości w klasie, w obecności wszystkich uczniów, całego ciała pedagogicznego na czele z dyrektorem.

Moje pierwsze wyróżnienie dostałem, gdy miałem 10 lat, to znaczy po pierwszym roku chodzenia do szkoły. Było to dla mnie wielkie przeżycie. Każdego z nas (z tych, którzy otrzymali wyróżnienia) wzywano do biurka i nauczyciel odczytywał dedykację z okładki, a następnie wręczał nam prezent pośród uroczystej ciszy. Wyróżnieni uczniowie pozostali przy biurku, dyrektor wygłosił do uczniów przemowę, w której życzył nam dobrych wakacji, a następnie wśród wrzawy i harmidru rozbiegliśmy się do domów. Wróciłem szczęśliwy z moją „nagrodą”, jednak wydarzenie to nie zrobiło tam na nikim specjalnego wrażenia. W naszym domu nikt nie był do takich spraw przyzwyczajony. Moja nagroda wywołała większe zainteresowanie wśród naszych sąsiadów, którzy przyszli ją oglądać. Ja również bardzo szybko o całej sprawie zapomniałem.

Było to w połowie czerwca 1905 r., a w moim dzienniczku zapisano czerwonym atramentem, że mam się zgłosić do szkoły dopiero w połowie sierpnia. Czyli dwa miesiące wolnego. Bez szkoły i zadań domowych! Chociaż chodziłem do szkoły chętnie i nie opuściłem nawet jednego dnia, nie spóźniając się ani razu, to dla dziesięcioletniego chłopca było jednak lepiej przebywać przez całe lato na podwórku, czy na ulicy, niż w szkole. Ja i moi szkolni przyjaciele opracowaliśmy już plan, co też będziemy robić przez te letnie miesiące.

WOJNA ROSYJSKO-JAPOŃSKA

W Łodzi panowała ciężka atmosfera i wszędzie, gdzie się spotykano – czy to w salkach modlitewnych, czy wieczorami w izbie przy szklance herbaty, czy w „domowych” sklepikach – Żydzi rozmawiali tylko o jednym: o wojnie rosyjsko-japońskiej.

Mobilizacja dotknęła sporo żydowskich rodzin, odrywano ojców od żon i dzieci w ich domach. W naszej rodzinie, choć była bardzo rozgałęziona, nikt nie służył w armii i rzeczywiście nikogo nie zmobilizowano. Niektórzy tkacze, stukający na naszych ręcznych krosnach, musieli się jednak stawić. W szabatowe popołudnie mój starszy brat Josef wziął mnie na Rynek Nowego Miasta⁴², gdzie widzieliśmy rosyjskie wojsko i dużo koni, przywiązanych do drewnianych barierek na początku ulicy Średniej⁴³. Wszystkie były zwrócone łbami do barierek, a zadami w stronę magistratu, rezydencji potężnego prezydenta Pieńkowskiego⁴⁴. Gapiliśmy się przez cały czas na ten spektakl. Przybywali konno kozacy i zręcznie zeskakiwali z siodła, inni znów wskakiwali na nie w biegu. Stamtąd poszliśmy na inną ulicę, gdzie były koszary i znów zobaczyliśmy dużo żołnierzy na koniach i pieszo. Mówiono, że wszyscy jadą do Mandżurii. Stamtąd poszliśmy do pobliskiego domu modlitwy niedaleko Rynku Nowego Miasta, przy Średniej 17, należał on do Rubena Karpa, sekretarza łódzkiej gminy żydowskiej. Wybudował go na samym rogu swojego podwórka i każdego szabatu kaznodzieja miał tam kazanie.

⁴² Obecnie pl. Wolności.

⁴³ Obecnie ul. Pomorska.

⁴⁴ Władysław Pieńkowski (1846–1919), prezydent Łodzi w latach 1882–1914.

Ruben czy też Robert Karp był już starszym mężczyzną z siwą brodą. Na głowie nosił elegancki kapelusz. Zawsze siedział w pierwszym rzędzie przy wschodniej ścianie⁴⁵, a wszyscy okazywali mu wielki szacunek. Opowiadano, że Izrael Poznański bardzo go cenił i to on uczynił go sekretarzem gminy. Praca ta uczyniła go całkiem zamożnym i wybudował na swoim podwórku przy Średniej 17 dwie wielkie i długie oficyny i dom modlitwy.

Nie rozumiałem, co mówiono na kazaniu i ciągnąłem mojego brata za rękaw, żebyśmy już stamtąd poszli. Jakoś mi się cały ten kaznodzieja nie podobał. Byłem przyzwyczajony do naszego, z synagogi Wilker Szul, który mówił co prawda z litwackim akcentem, lecz jednak od serca i czasami nawet sam płakał podczas kazania, szczególnie w szabat, lub 7 dnia miesiąca adar podczas rocznicy śmierci Mojżesza. Ten kaznodzieja wydawał mi się jakiś taki zimny. Zostaliśmy jednak aż do minchy.

Najpopularniejszymi nazwiskami tamtych czasów były Kuropatkin⁴⁶ i Makarow⁴⁷, dwóch rosyjskich dowódców wojskowych, jeden sił lądowych ogromnej carskiej armii, drugi – rosyjskiej floty. Żydzi cieszyli się z lania, jakie Japończycy sprawiają carowi i po cichu modlili się o jego upadek. Opowiadano fantastyczne historie o tym, co dzieje się na carskim dworze.

Łódź pracowała dla rosyjskiego wojska. Naprzeciwko naszego podwórka znajdowała się duża fabryka tekstylna należąca do Hirszberga i Wilczyńskiego. Dniem i nocą produkowano tam na potrzeby armii. Zakład wytwarzał ciepłą bieliznę i kalesony. Wielkie fury podjeżdżały puste i wyjeżdżały wyładowane po brzegi. Towar, pakowny w wielkie paki, zrzucono z okna bezpośrednio na wóz lub spuszczano na linach. Bardzo się śpieszono. Każdego dnia napływały informacje jak najgorsze dla cara. Mały Japończyk zadaje Rosjaninowi śmiertelne ciosy, a generałowie Kuropatkin i Sztessel⁴⁸, jak sobie żartowano, nadają się co najwyżej na stolarzy do wyrobu nóg stołowych. Mówiono między sobą, że Japończycy biją Rosjan dlatego, że u Ruskich wszystko jest na sprzedaż. Zamiast kul wysyła się na front piasek, rosyjskie armaty nie strzelają, a wszystkim kieruje ręka Anglii. Mówiono jednak również, że gdy tylko przybędzie carska flota, Japończycy przegrają. Czekano długo na tę flotę, chcąc wiedzieć, co się wydarzy. Gdy w końcu jednak przybyła, okazało się, że Japończycy ją zatopili.

Zrobiło to wielkie wrażenie i chasydzi w sztyblu rozmawiali o tym nieustannie. Uważano nawet, że wszystko to dzieje się za sprawą niebios. O Japończykach zaś opowiadano niestworzone rzeczy. Mimo że tacy malutcy, mogą iść setki mil piechotą bez jedzenia i picia. Mają też takie armaty, że za jednym zamachem rozstrzelają swymi kulami całą rotę rosyjskich żołnierzy. Opowiadano też sobie, że wielu żołnierzy nie chce walczyć i sami się poddają. Miano na myśli Polaków. Wydawało mi się w tamtym czasie,

⁴⁵ Wschód wedle tradycji żydowskiej kojarzono ze stroną świata, gdzie znajdowała się Jerozolima, stąd miejsce przy ścianie wschodniej uznawano za szczególnie honorowe.

⁴⁶ Aleksiej Kuropatkin (1848–1925) – generał piechoty i Minister Wojny, obarczany odpowiedzialnością za klęskę Rosji w wojnie rosyjsko-japońskiej.

⁴⁷ Stepan Makarow (1849–1904) – rosyjski admirał, dowódca eskadry pacyficznej.

⁴⁸ Anatolij Sztessel (1848–1915) – komendant twierdzy Port Artur.

że Japończycy są podobni do Chińczyków, których już znałem z widzenia. W Łodzi Chińczycy chodzili po podwórkach z workami jedwabiu na plecach i zachwalali swe towary po rosyjsku „Szelkowyje towary, na bluzi nada”⁴⁹. Chodzili też od podwórza do podwórza z małpami na sznurku, które pokazywały różne „sztuczki”. Śpiewano nawet o tych Chińczykach piosenkę po polsku:

„Chińczyk goli łeb, długi warkocz ma”⁵⁰.

I rzeczywiście, na głowie mieli ciasno zaczesane włosy, błyszczące jak smoła i długi warkocz aż do kostek. A przy tym nie byli ci Chińczycy tak niskiego wzrostu, jak Japończycy.

O co tak naprawdę była ta wojna, nie za bardzo wiedzano. Stary chasyd z Kocka przekazywał wyjaśnienie zasłyszane na dworze cadyka w Górze Kalwarii, że wojna wybuchła o drobnostkę. Car Mikołaj powiedział „Ja, panie”, a japoński Mikado zrozumiał: „Japonię”.

Po mobilizacji im dłużej przeciągała się wojna, tym normalniejsze stawało się życie w mieście. O wojnie jeszcze rozmawiano, ale Żydzi dalej produkowali i handlowali. Chasydzi jeździli do swych rebe, wyprawiano szabaty i święta, ceremonie obrzezania i wesela. Szkoły pracowały normalnie i dla nas, dzieci, nic się z powodu tej wojny nie zmieniło.

W dni wolne, w jakiś sposób związane z wydarzeniami z życia carskiej dynastii, musieliśmy iść do synagogi „Dajczer Szul”⁵¹ i tam wysłuchać specjalnych modlitw głównego kantora Altermana, lub jego pomocnika, z towarzyszeniem pięknego śpiewu chóralnego. Potem ktoś miał dla nas, dziatwy szkolnej, krótką przemowę o znaczeniu tej uroczystości dla tronu rosyjskiego i dla ojczyzny. Oczywiście grano również na organach hymn rosyjski⁵².

Życie w szkole toczyło się całkiem normalnie, choć na froncie każdego dnia ginęli młodzi ludzie.

EPIZODY Z ROKU 1905 W ŁODZI

Sromotna porażka, jaką zaliczył carat w wojnie z Japonią wywołała u łódzkich Żydów wielką radość. Wszędzie mówiono tylko o tym, jak Japończycy utarli nosa carowi. Była to radość pomieszana w poczuciem zemsty za straszliwy pogrom w Kiszyniowie⁵³. Nasi tkacze śpiewali wtedy taką piosenkę:

⁴⁹ Ros.: Towary jedwabne, dobre na bluzki.

⁵⁰ Fragment kupletu z popularnej operetki *Gejsza* S. Jonesa (1896), wystawianej wkrótce po premierze także na ziemiach polskich, z tekstem Wincentego Rapackiego (syna).

⁵¹ „Dajczer Szul” [Niemiecka synagoga] – potoczna nazwa Wielkiej Synagogi, która znajdowała się przy ul. Spacerowej (obecnie al. Kościuszki); określenie odwołuje się do charakterystycznego dla idiolektu łódzkich Żydów nazywania zwolenników judaizmu reformowanego, „postępowego” i modernizacji kultury żydowskiej – „Niemcami”.

⁵² Inaczej niż w tradycyjnych synagogach, w postępowych można było grać na organach, również utwory świeckie.

⁵³ Inspirowany przez władze carskie pogrom w dniach 19–20 kwietnia 1903 r., w którym zamordowano 47 Żydów.

Posłuchaj Makarowie
(Myślisz, że jesteś w Kiszyniowie?)
Małe dzieci szlachtować kazałeś...

A refren szedł tak:

Wojska japońskie świat cały
Swymi żołnierzami zalały
I wszystkie świny przegnały...

Po tej klęsce na całym obszarze Rosji carskiej umocniły się ruchy rewolucyjne. Opowiadano sobie niestworzone historie o rosyjskich rewolucjonistach, a po cichu dodawano nawet, że są oni obecni nawet na dworze carskim i czekają tylko na odpowiedni moment, by obalić tyranię.

W naszych kręgach, czyli wśród chasydzkich kamieniczników, nienawidzono caratu, ponieważ prześladował on i uciskał Żydów oraz organizował krwawe pogromy. Władze carskie były niepopularne za ograniczenia narzucane Żydom oraz za pobór do armii, podczas którego trzeba było przy każdej okazji przekupywać dużych i małych urzędników, nie szczędząc im przy tym w skrytości ducha przekleństw i wyzwisk. Władze carskie wzbudzały w ludności żydowskiej nienawiść i drwinę. Jednak z naszej, mieszczańskiej strony wszyscy, poza niewielkimi wyjątkami, byli przeciwni czynnej walce z caratem, walce na barykadach czy strzelaniu do rosyjskich urzędników. Żydowskim środkiem obronnym od zawsze była dyplomacja, modlitwa do Boga, a w najcięższych przypadkach, gdy Żydom groziło naprawdę wielkie niebezpieczeństwo, ogłaszano posty publiczne i „wrywano groby”⁵⁴. W ostateczności pozostawał im jeszcze jeden środek: mogli opuścić kraj, gdy nie było już naprawdę innego wyjścia.

W kręgach chasydzkich w sposób negatywny odnoszono się do „chłopaków z ferajny”, jak wtedy nazywano żydowskich rewolucjonistów i socjalistów i ze strachu przed carskimi represjami i szykanami unikano z nimi jakichkolwiek kontaktów. Chasydscy Żydzi nie szanowali „ferajny” również z innych powodów: łamali publicznie szabat, chłopcy włączyli się z dziewczętami, Boże uchowaj, objęci, śpiewali piosenki i jedli trefne potrawy. Lecz przede wszystkim nikt nie wierzył, że ten czy inny czeladnik szewski lub tkacz jest w stanie obalić cara. Śmiano się więc z nich tylko: „Tuwie, dawaj bombę!”, czy „Przez taką córkę gęsiarki, czy pokojówkę zaraz będzie po Mikołaju!”. Kamienicznicy, kupcy czy fabrykanci byli zazwyczaj z czysto egoistycznych pobudek przeciwni dobrze zorganizowanemu ruchowi robotniczemu, zarówno politycznie, jak i zawodowo, ponieważ chcieli oni, na wzór zachodni, wywalczyć sobie lepsze zarobki, czy też warunki pracy.

⁵⁴ „Wrywanie grobów” (jid. *kworim rajsn*) – zwyczaj polegający na zwracaniu się do zmarłych z prośbą o interwencję w chwili zagrożenia.

Byli wrogo nastawieni do „ferajny” i ich rewolucyjnych wystąpień przeciwko carskiej władzy również przez to, że instynktownie czuli, że może się to źle skończyć dla wszystkich Żydów. Wierzyli jedynie w wypróbowane żydowskie środki walki o przetrwanie: od dyplomacji do modlitwy, twardo obstając przy zdaniu, że jedynie przyjście Mesjasza może wyzwolić Żydów z wygnania. Do tego czasu jednak należało cierpieć i nie występować z otwartą walką przeciwko władzy, bo może to Żydom przynieść jedynie jeszcze większe nieszczęście. Dlatego też nie należy się mieszać w żadne walki toczące się w danym państwie i wieść życie w odosobnieniu zgodnie z prawami i zwyczajami zawartymi w Torze i tradycji.

Gdy w żydowskiej rodzinie któregoś z dzieci wyrosło na rewolucjonistę, był to wielki wstyd i nieszczęście. Opór chasydzkich mieszczańskich kręgów w Łodzi przeciwko żydowskim rewolucjonistom był tak wielki, że chwalono naczelnego rabina, Eliahu Chaima Majzla⁵⁵ za deklarację uczynioną na rzecz carskiej policji, że kto z żydowskiej młodzieży nie nosi cicit⁵⁶, ten spiskuje przeciwko władzy; dlatego jeżeli policja złapałaby jakiegoś Żyda i podczas rewizji okazywało się, że nosi cicit, powinno się go puścić wolno.

Strach przed antyżydowskimi represjami, czy też przed pogromami, tak jak to miało miejsce w Kiszyniowie czy Homlu⁵⁷, a później w Białymstoku⁵⁸ i innych miastach przyczynił się do negatywnego nastawienia chasydzkiej ludności do rewolucji 1905 roku. Do „ferajny” inny stosunek miała żydowska biedota z ciasnych bałuckich uliczek. Tam „żydowski robotnik, bohaterski straceniec podnoszący sztandar wolności” cieszył się pełną sympatią otoczenia, a bałucki rabin nie mógłby sobie z pewnością pozwolić na to, co powiedział o „ferajnie” rabin Majzel. Oznacza to również, że przebudzenie rewolucyjne w Rosji, które ogarnęło całą Polskę, lecz w szczególności największy polski ośrodek przemysłowy – Łódź, usunęło wiele istniejących wcześniej barier, zarówno w samym życiu żydowskim, jak i pomiędzy żydowską a nieżydowską ludnością.

Pobożne oraz religijnie niezaangażowane kręgi wśród żydowskiej klasy pracującej zbliżyły się teraz bardzo do „wolnych” i „zorganizowanych” i razem z nimi uczestniczyły w strajkach i innych przedsięwzięciach, z drugiej strony zaś zaostrzały się podziały na biednych i bogatych, na żydowskich fabrykantów i wyrobników. Ten proces w miniaturowej formie zmanifestował się nawet w naszym własnym mieszkaniu. Miałem dwóch starszych braci, pracujących u członków naszej rodziny – wielkich łódzkich fabrykantów – i oni strajkowali razem z innymi robotnikami z fabryki. Wywołało to wielki gniew w rodzinie.

⁵⁵ Eliahu Chaim Majzel (1821–1912), od 1873 r. naczelnny rabin Łodzi.

⁵⁶ Cicit – zob. s. 45, przyp. 14.

⁵⁷ We wrześniu 1903 r. doszło w Homlu do pogrom, w którym zginęło około 10 osób.

⁵⁸ Pierwszy na ziemiach polskich pogrom miał miejsce w Białymstoku w dniach 14–17 VI 1906 r., zginęło 88 osób, zob. P. Korzec, *Pogrom białostocki w 1906 r. i jego polityczne reperkusje*, „Rocznik Białostocki” 1962, nr 3.

MY, DZIECI, UCZESTNICZYMY W STRAJKU SZKOLNYM

Gdy na naszych ulicach i podwórkach rozpoczęła się rewolucja 1905 roku, nawet tego nie zauważyłem. Wydawało się, że żyjemy tym samym trybem, jednak było inaczej. Chodziłem do szkoły na tej samej ulicy i w tych samych godzinach co kiedyś, jednak same ulice wyglądały jakoś inaczej, powietrze i ludzkie twarze były jakieś inne. Idę sobie na przykład jak zawsze z tornistrem do szkoły, a na ulicy znajduję trzy niewystrzelone naboje. Podnoszę je instynktownie, nie wiedząc nawet dlaczego i wsadzam do tornistra. W szkole na przerwie pokazuję je kolegom z klasy. Wszyscy tłoczą się dookoła mnie, zaczynają się przepychać, każdy chce je obejrzeć. Nikt się nie boi ich dotknąć. Zauważa to dyżurny nauczyciel, zabiera mi je i dostaję karę: mam zostać godzinę dłużej po lekcjach, sam w klasie.

Drugim razem podnoszę na ulicy ulotkę z proklamacją przeciwko carskiemu reżimowi i przynoszę ją do szkoły. Znowu zauważa to nauczyciel. Tym razem jednak nikt się do niej nie przyznał i wszystko rozchodzi się po kościach. Niezauważalnie znajdowaliśmy się pod wpływem niespokojnej ulicy i fermentu, który ogarnął już wtedy całą Łódź. Jednym z postulatów było wprowadzenie polskiego języka, literatury i historii do szkół z wykładowym językiem rosyjskim, gdzie po polsku nie można było mówić.

Prawdę mówiąc wtedy jako dziesięcioletni chłopiec pochodzący z chasydzkiej rodziny, nie rozumiałem znaczenia tego postulatu, a już na pewno nie widziałem konieczności przeprowadzenia strajku szkolnego, by ten postulat urzeczywistnić. Dopiero na apelu, który odbył się na podwórku szkolnym dla wszystkich dzieci, stało się to dla mnie trochę bardziej jasne. Wyjaśnił nam tę całą sprawę jeden z uczniów z naszej klasy, mój dobry przyjaciel. Nikt w apelu nie przeszkadzał i zebraliśmy się na podwórku wszyscy, około 200 uczniów ze wszystkich klas. Mówcy stali na skrzynce. Mówiono do nas po rosyjsku i po polsku. Mówcy przybyli do nas głównie z innych szkół. Z naszej szkoły był wśród nich Fajwel Garfinkel, uczeń z mojej klasy, którego znałem bardzo dobrze. Z początku nie za bardzo rozumiałem, po co ten cały strajk szkolny. Wiedziałem, że strajkują robotnicy, że stoją fabryki, ale żeby też szkoła – to było dla mnie niezrozumiałe. Fajwel Garfinkel jednak przekonał mnie swoją przemową, że i my musimy strajkować. A jak tego dokonał!? Miał płomienną przemowę, w której porównał władzę carską do faraona, władcy Egiptu, porównując dawny Egipt z dzisiejszą niewolą żydowską, z położeniem Żydów w dzisiejszej Rosji oraz rolą cara Mikołaja. Te analogie objaśniły mi sytuację i przekonały mnie, że z caratem należy walczyć (Garfinkel miał siostrę – bundystkę, Hanele Garfinkel. Była ona rzadkim typem żydowskiej rewolucjonistki i socjalistki. Kilka lat później poznałem ją w łódzkiej organizacji Bundu. Fajwel Garfinkel już w bardzo młodym wieku począł pisać wiersze, by później zasłynąć jako poeta, autor kilku tomików poezji. Zginął w łódzkim getcie)⁵⁹.

⁵⁹ Fajwel (Feliks) Garfinkel (1896–1944) – poeta i dziennikarz. Pozostawał pod wpływem romantyków niemieckich i rosyjskich. Publikował wiersze i poematy w łódzkiej prasie oraz czasopismach literackich. Wydał tomiki wierszy *Licht un szotn* [Światło i cień] (1920), *Bizn sof fun weg* [Do końca drogi] (1937) oraz poemat dramatyczny *Di klole* [Przekleństwo] (1923). W getcie łódzkim należał do grupy literackiej

Po przemowach wszyscy uczniowie uformowali wielki pochód i z książkami pod pachą, lub z tornistrami na plecach, rozeszliśmy się do innych szkół, by również tam przerwać naukę. Po drodze nikt nas nie zaczepiał, jednak gdy weszliśmy do szkoły przy ul. Średniej (do szkoły Jarocińskiego)⁶⁰ i zaczęliśmy na szkolnym podwórku skandować hasła przeciwko carskiemu reżimowi, brama nagle się za nami zamknęła. Przybyła policja i zaczęła nas rozganiać, a na nasze głowy i plecy spadły razy. Zaczęliśmy uciekać, niektórzy z książkami, niektórzy już bez książek, pobici i zastraszeni. Do domu wróciłem później niż zazwyczaj, a moja matka, całkiem już zrezygnowana, stała przed bramą naszego domu i wypatrywała sobie oczy. Gdy przyszedłem i ją zobaczyłem, spuściłem głowę, jakbym popełnił jakieś wielkie przestępstwo i z drżącym sercem wszedłem do mieszkania.

W domu wiedziano już, co tego dnia zaszło w szkole i moja mama oszczędziła mi wypytывania. Dała mi jeść, lecz nie odezwała się do mnie ani słowem.

Potem szkoły w Łodzi zamknięto na dłuższy czas. Takie były wymagania władz szkolnych. Dla mnie było to wielkie szczęście, że nie musiałem chodzić do szkoły, gdy wszystko dookoła kipiało i gotowało się, bo oznaczało to, że całymi dniami mogłem być na podwórku i na naszej ulicy w czasie tak wielkich wydarzeń.

ATMOSFERA NA ULICY

Gdy tak przypadkiem stałem w naszej bramie, przechodził akurat jakiś handlarz z workiem pod pachą i kilkoma ubraniami na ręku. Zatrzymał się obok sklepu, a ja zauważyłem na jego ręku szarą zniszczoną marynarkę, która przy wewnętrznej kieszeni miała dużą dziurę, jak od kindżału. Dookoła kanciastej dziury widoczne były jeszcze kropelki zaschniętej krwi, a z rozdartej podszewki zwisały zakrwawione nitki.

Z naszym podwórzem sąsiadowała piekarnia polskiego piekarza, Lipińskiego. Pracowała u niego chrześcijanka, niemowa. Po pracy lubiła przesiadywać na schodkach domu. Właśnie przejeżdżała rota kozacka na swych dzikich koniach, z ostrymi pikami w dłoniach. Gojka uczyniła w ich kierunku ruch ręką, jakby podnosiła pistolet do strzału. Jeden z kozaków podniósł swoją pikę i przebił tą niemą gojkę na wylot, zmarła na miejscu. Kozacy pojechali dalej, a na ulicy zapanowała panika. Co się stało? – pytano jeden przez drugiego w wielkim zamieszaniu, a potem wszyscy zaczęli biec do bram. W kilka minut ulica była jak wymarła, a wszystkie bramy zamknięte na głucho. Mnie wciągnął do sklepu kupiec z naszego domu, który również zamknął swój kram. Nadjechał jakiś wóz, który zabrał ciało zabitej gojki, a na naszej ulicy pojawił się nowy patrol kozacki. Strach było wystawić głowę, bo kozacy patrzyli po oknach, szukając nowej zaczepki. Do bram stróże wpuszczali tylko mieszkańców domów.

Miriam Ulinower. Deportowany do Auschwitz-Birkenau w sierpniu 1944 r., został tam zamordowany. Zob. B. Mark, *Umgekumene szrajber fun di getos un lagern* [Zamordowani pisarze z gett i obozów], Warszawa 1954, s. 161–163; polski przekład D. Dekiarta: <http://hebrajski.nazwa.pl/moje/mark.htm> (dostęp: 9.06.2022).

⁶⁰ Założona pod koniec XIX w. Żydowska Szkoła Rzemieślnicza „Talmud Tora”, od 1901 r. mieściła się przy ul. Średniej 46/48 (obecnie ul. Pomorska); szkoła powstała z inicjatywy żydowskiego fabrykanta Zygmunta (Szmula) Jarocińskiego.

Po kilku godzinach nerwów, strachu i niepokoju na ulicy było znowu normalnie, jak wcześniej. Innym razem na ulicy pokazali się robotnicy w grupach, przeganiając dorożkarzy i woźniców. „Strajk powszechny” – mówili do woźniców, a ci zacinali konie i rzeczywiście odjeżdżali. Również właścicielom sklepów polecono zamknąć interesy. Za grupami biegły gromady dzieci, również krzycząc na cały głos „Strajk powszechny!”. Nie robiłem tego ze strachu przed moimi rodzicami, pobiegłem więc na strych i z małego okienka wychodzącego na ulicę krzyczałem „Strajk powszechny!”, „Precz z samowładztwem!”, chowając się potem szybko za belką. Na podwórku śpiewaliśmy *Czerwony sztandar*⁶¹, wystawiając jednego z chłopaków na warcie przy bramie. Przyszedł jednak stróż z naszego domu i zagroził, że nas nauczy rozumu pasem, robiąc przy tym ruch ręką, jakby rzeczywiście ten pasek zdejmował.

Olbrzymie wrażenie wywarła na mnie „krwawa środa” w Łodzi⁶². Przez naszą ulicę uciekali ludzie z Piotrkowskiej, gdzie doszło do wielkiego starcia na barykadach. Z naszej bramy obserwowałem biegnących demonstrantów z zakrwawionymi twarzami. Spoceni, brudni, obszarpani, starali się zbiec przed policją i kozakami. Na ulicy zrobiło się już ciemno, a ludzie w dalszym ciągu uciekali w kierunku Starego Miasta i Bałut. Duże wrażenie wywarły na mnie też opowieści o ciężkich walkach w zakładach Kutnera⁶³. Mówiono, że miała tam miejsce prawdziwa masakra. Podobno z okien zwisały ręce i nogi, a ciała wały się po dziedzińcu fabryki. Opowiadano też, że carscy kozacy ładowali schwytanych robotników żywcem do worków, potem je zawiązywali i wrzucali do Wisły⁶⁴. Ja sam nie widziałem żadnych barykad na ulicach Łodzi, bo w naszej okolicy ich nie budowano, jednak obserwowałem robotników dźwigających drzwi, deski, beczki i kawałki żelaza z fabryk i śpieszących z nimi na barykady. Nie wiadomo, co może przynieść następny dzień i nikt już nie był pewien swojego życia – jakiś znajomy mojego ojca na przykład wyrzwał przez okno swego mieszkania i Kozacy go zastrzelili. Zdarzyło się też, że lokatorzy jednego z domów zastrzelili z powodu jakiejś kłótni znanego chasydzkiego bogacza Icka Josefa Kaca⁶⁵. Również wielki fabrykant Kunitzer został

⁶¹ W oryginale tytuł pieśni po polsku.

⁶² Z kontekstu wynika, że autor opisuje wydarzenia mające miejsce w czasie tzw. powstania czerwcowego (zwanego również łódzkim) w dniach 20–24 VI 1905 r. Środa przypadała 21 czerwca, wtedy to Rosjanie rozgromiły manifestację po pogrzebie robotników zabitych przez kozaków. Nocą z 22 na 23 czerwca wniesiono w Łodzi ponad sto barykad. Najkrwawsze walki miały miejsce na barykadzie na rogu ul. Wschodniej i Południowej (obecnie ul. Rewolucji 1905 roku). W historiografii jako „krwawą środę” określa się akcję bojową przeprowadzoną 15 VIII 1906 r. w kilkunastu miastach w Królestwie Polskim przez Organizację Bojową PPS przeciwko władzom carskim. W Łodzi doszło do m.in. ataku siedziby policji na rogu ulic Rozwadowskiej (obecnie ul. Zamenhofa) i Spacerowej (obecnie al. Kościuszki). Do środka wrzucono pięć bomb, z których trzy eksplodowały. Zginęło dwóch żołnierzy, a dwunastu policjantów i żołnierzy zostało rannych. Wojsko zabiło dwóch zamachowców i zraniło kilku przechodniów.

⁶³ Wybudowana pod koniec XIX w. fabryka wyrobów wełnianych Markusa Kutnera, mieszcząca się przy ul. Łąkowej 4. – Chodzi tu zapewne o wydarzenia, które miały miejsce 17 V 1907 r., gdy po napadzie bojówki na furgon pocztowy kozacy wtargnęli na dziedziniec fabryki i otworzyli ogień do znajdujących się tam robotników, zabijając 21 osób i raniąc kilkadziesiąt.

⁶⁴ Tak w oryginale.

⁶⁵ Chodzi prawdopodobnie o Icka Josefa Kaca, zm. 22 VI 1907 – zob. APŁ. Akta stanu cywilnego gminy żydowskiej w Łodzi, zgony r. 1907 akt 1031, archiwum Cmentarza Żydowskiego w Łodzi.

zastrzelony przez swoich pracowników⁶⁶. Mnożyły się akty terroru, zarówno ze strony policji, jak i robotników. Wybuchwały spontaniczne strajki i dochodziło do lockoutów. Zaczynało brakować jedzenia i ludzie poczęli gromadzić zapasy. Również u nas w domu przygotowywano rezerwy żywności. Moja matka kupowała worki mąki żytniej, tłuszcz i kartofle. Brakowało chleba, pieczono więc bułki i chałki. Chasydzi przestali wyprawiać uczty i Melawe Malka⁶⁷, gdyż nie można było chodzić późną porą po ulicach i nawet chasydzkie sztyble zaczęły świecić pustkami. Kto mieszkał daleko, nie przychodził na wieczorne modlitwy. Wieczorami często dochodziło do napadów rabunkowych, a elementy przestępcze zaczęły wykorzystywać zamieszanie panujące w całym mieście. Zaczęli pojawiać się szantażyści, grożący śmiercią w imieniu „organizacji”, jeżeli nie da się im pieniędzy, a zorganizowane bojówki robotnicze zaczęły zwalczać tych bandytów.

WALKA Z „WESOŁYMI DOMKAMI”

Jak już wcześniej pisałem, na naszej ulicy mieściło się wiele „wesołych domków”. Znajdowały się one po obu stronach naszego domu, przy ul. Andrzeja i ul. Benedykta, tam, gdzie Kozacy zadźgali niemą gojkę.

Nie wiedziałem dlaczego, lecz poczęto te przybytki zwalczać, i nie robiła tego policja, ale rewolucjoniści. My, dzieci z naszego podwórka, widzieliśmy, jak z ulicy przeganiano „dziewczynki”. Można było też dostrzec mężczyzn z gładko ogolonymi czerwonymi twarzami, którzy kręcili się po ulicy i przeszywali każdego świdrującym spojrzeniem. Byli to „maciornicy”⁶⁸ – mówiono na naszym podwórku, że trzeba się ich wystrzegać, bo można od nich dostać nożem. Pewnego popołudnia doszło do dzikiej bijatyki w jednym z sąsiednich domów w naszej okolicy. Z okien wychodzących na nasze podwórko wyrzucano pościel i dochodziły stamtąd straszne wrzaski i płacze. Mówiono u nas, że to przyszli PPS-owcy, żeby rozprawić się z maciornikami. Nasza sympatia było oczywiście po stronie PPS-owców. Wszystkie dzieci zaczęły rzucać kamieniami w te okna. Pewnego dnia podszedł do mnie jeden z tej ferajny i wepchnął do dołu z wodą, który znajdował się na naszym podwórku. Dół był głęboki, a woda zimna, sięgała mi aż po szyję. Uczepiłem się rusztowania, które w tej wodzie stało i trzymałem się go ostatkiem sił. Nadbiegła moja siostra i wyciągnięto mnie stamtąd, mokrego i całego siniego z zimna. Rozebrano mnie i szybko położono do łóżka, dobrze przykrywając. Leżałem tak wiele godzin, trzęsąc się cały z zimna i szcękając zębami. Moja matka zmyła mi głowę, choć dobrze wiadano, że to chuligani wrzucili mnie do tego dołu z wodą... Następnego dnia zrobiło mi się lepiej, a w szabat odmówiłem modlitwę za ocalenie, podczas której rozmyślałem, że właśnie tak pewnie czuł się Józef, wrzucony przez braci do dołu. Na szczęście tam nie było węży ani skorpionów.

⁶⁶ Juliusz Kunitzer (1843–1905) został śmiertelnie postrzelony w tramwaju 30 IX 1905 r. przez Aldofa Szulca i Stefana Jędrasa. Obaj należeli do PPS i nie byli robotnikami w fabryce Kunitzera.

⁶⁷ Melawe Malka (hebr., dosł. ‘odprowadzający królową’) – posiłek spożywany w sobotę wieczorem, uczta szabatowa.

⁶⁸ „Maciornicy” (w oryginale po polsku) – sutenerzy.

ŻYDOWSKA SAMOOBRONA

Do niezapomnianych przeżyć mojego dzieciństwa należą noce roku 1905, gdy w naszym mieszkaniu, podobnie jak w innych mieszkaniach, trzymano warty. W takich momentach podczas rewolucji 1905 roku rozchodziły się po Łodzi słuchy, że szykują się pogromy na Żydach. Tak mówiono u nas w domu, w sklepikach, w sztyblach. Gdzie by się nie poszło, wszędzie słyszano plotki o tym, że w Łodzi coś się szykuje. Ze strachem w oczach mówiły o tym kobiety, z westchnieniem – mężczyźni, i to zarówno chasydzi, jak i „reformowani”. Nie miałem jasnego wyobrażenia o tym, co może się stać, jednak żyłem w ciągłym strachu. Jeszcze mniej rozumiałem słowa „czarna sotnia”, o której mówili reformowani, czy „czarnosecińcy”⁶⁹, jak szeptali litwacy. Nie poprzestawano zresztą tylko na słowach, organizowano nocne warty i podejmowano inne środki, by bronić się przed pogromcami, którzy mieli zamiar napaść na żydowskie domy i mieszkania. W obliczu tego zagrożenia znikwały wszelkie podziały na chasydów i mitnagedów, reformowanych i litwaków, bogatych i biednych, fabrykantów i robotników. Wszyscy żydowscy lokatorzy stworzyli jedną wspólnotę. Nie wiem, jak wyglądało to w innych łódzkich kamienicach, jednak pamiętam dokładnie, jak my w naszym domu organizowaliśmy samoobronę, gdyż bardzo to przeżywałem.

Wszyscy lokatorzy kamienicy zebrali się pewnego wieczoru w naszym mieszkaniu i dyskutowali, jak organizować nocne warty i co robić w czasie napadu pogromców. Pito przy tym herbatę i zagryzano ciasteczkami. I choć lampy świeciły jasno jak w czasie świąt, wszyscy siedzieli w ponurych nastrojach. Nie słyszałem dokładnie, o czym mówiono, bo siedziałem w kręgu przyjaciół, którzy przyszli ze swoimi rodzicami i między sobą omawialiśmy kwestie samoobrony. Ustaliliśmy, że nie będziemy kładli się spać, tylko będziemy czuwać razem z naszymi rodzicami, że uzbroimy się w żelazne pręty, do kieszeni nakładziemy kamieni, a jeżeli się da, będziemy łać wrzątek na głowy pogromców. Siedzieliśmy tak w pokoju i snuliśmy plany o samoobronie, a w salonie odbywała się narada rodziców. Po zebraniu nastrój poprawił się nieco, a część towarzystwa zasiadła do kart, szczególnie młodzież, wśród nich – moi bracia. Zmęczone kobiety porozchodziły się po swych mieszkaniach, zaś mój ojciec i inni chasydzcy lokatorzy rozsiedli się nad książkami.

Drugiej nocy spotkano się już u kogoś innego, nie wszyscy, tylko pewna część, a potem zmieniano się: część pozostała w mieszkaniach, a część strzegła bramy. Pomiędzy lokatorami kamienicy byli i tacy, którzy mieli rewolwery i kindżały, tak przynajmniej szeptano sobie na ucho. Pierwsza noc minęła spokojnie i bardzo szybko zasnąłem z żelaznym prętem u boku. Obudziłem się już bez niego, ale byłem cały i nienaruszony.

Również przez następne noce nic się na naszej ulicy nie wydarzyło. W naszym mieszkaniu było cicho; jak dla mnie – nawet za cicho, bo rodzice poszli trzymać wartę

⁶⁹ Czarna sotnia, czarnosecińcy – w tym przypadku określenie odnosi się do skrajnie prawicowych bojówek dokonujących pogromów Żydów. Historycznie jest to nazwa ruchu politycznego z początku XX w. działającego w Imperium Rosyjskim, odwołującego się do radykalnie nacjonalistycznych i konserwatywnych haseł. Zwolennicy tego ruchu w pełni aprobowali ideę samowładztwa carskiego i opowiadali się za rusyfikacją wszystkich narodowości zamieszkujących Imperium.

do sąsiadów i nie chcieli mnie zabrać ze sobą. Żelazny pręt stracił w mych oczach na znaczeniu, bo spostrzegłem, że i tak nikt się ze mną nie liczy w całej tej samoobronie. Dopiero lata później, gdy poznałem heroiczną historię bundowskiej samoobrony zrozumiałem moralne i polityczne znaczenie tych wieczorów w naszej kamienicy.

MORD NA SYNU SILBERSTEINA. GENERAŁ KAZNAKOW ZOSTAJE GUBERNATOREM

Dokładnie tak samo, jak nie wiedziałem, kiedy zaczęła się rewolucja 1905 roku, nie wiedziałem też, kiedy się skończyła. W tamtych czasach nie myślałem w kategoriach dat kalendarzowych.

Przypominam sobie trzy epizody związane z końcem rewolucji. Strach, jaki zapanował w łódzkich mieszkaniach w związku z mianowaniem carskiego satrapy Kaznakowa⁷⁰ na gubernatora Łodzi, śmierć syna Silbersteina⁷¹ oraz śmierć łódzkiego kamienicznika Dawida Olszera⁷².

Historia z synem Silbersteina była następująca. Majer Silberstein, lub jak go później nazywano: Markus Silberstein był jednym z najbogatszych łódzkich fabrykantów. Jego majątek szacowano wtedy na dziesięć milionów rubli. Był skoligacony z największym łódzkim magnatem, Izraelem Poznańskim⁷³. Jeden z synów kierował wraz z nim jego ogromną fabryką tekstylną i jak to zwykle w takich przypadkach, był nienawidzony przez polskich robotników w niej pracujących. Walka pomiędzy robotnikami a Silbersteinem przyjęła tak ostrą formę, że postanowili oni zatrzymać go w fabryce tak długo, aż nie ulegnie ich żądaniom. Był on jednak człowiekiem niezwykle zaciętym i w żadnym razie nie chciał przystać na ich ekonomiczne postulaty. Robotnicy zrobili więc rzecz straszną: zamęczyli go na śmierć. Przekazywano sobie wtedy z ust do ust, że robotnicy kłuli go szpilkami, zmuszali do picia moczu i wyczyniali z nim jeszcze inne rzeczy. Podobno szczególnie okrutne były dla niego robotnice.

⁷⁰ Nikołaj Kaznakow (1856–1929) – gubernator wojenny Łodzi i guberni kaliskiej w latach 1906–1909. Zasłynął z bezwzględności w tłumieniu buntów robotniczych podczas rewolucyjnych wydarzeń lat 1905–1907.

⁷¹ Mieczysław Silberstein (1876–1907) – dyrektor należącej do jego ojca Markusa fabryki przy ul. Piotrkowskiej 242/250. W trakcie strajku robotników w sierpniu 1907 r. podjął decyzję o zamknięciu fabryki. Po negocjacjach uruchomił produkcję jedynie w części zakładu, a 13 września odmówił zapłaty wynagrodzenia za czas przestoju, w związku z czym został zatrzymany przez robotników wraz z najbliższymi współpracownikami w pakowni fabryki. Po kilku godzinach uwięzienia, ok. 18, gdy ostatecznie odmówił zapłaty, został śmiertelnie postrzelony przez jednego z pracowników. Na mocy wyroku sądu wojennego następnego dnia zostało rozstrzelanych siedmiu robotników i jedną robotnicę. Morderca, Edward Feller, zbiegł do Niemiec, gdzie go ujęto i skazano na śmierć, 700 robotników zesłano do Czelabińska lub skazano na roboty, natomiast ok. 130 robotników zamknięto w więzieniach.

⁷² Chodzi być może o Dawida Olszera (ok. 1862–1908) – właściciela cegielni na Marysinie, zob. APŁ Starszy Inspektor Fabryczny Guberni Piotrkowskiej sygn. 1764, APŁ RGP sygn. 3803A, archiwum Cmentarza Żydowskiego w Łodzi; brak jednak informacji o okolicznościach jego śmierci.

⁷³ Izrael Poznański (1833–1900) – największy łódzki przemysłowiec żydowski zwany „królem bawełny”. Właściciel fabryki przy ul. Ogrodowej (obecnie Manufaktura). Jego syn Maurycy był żonaty z córką Markusa Silbersteina, Sarą.

Lata później jako więzień polityczny siedziałem w areszcie z jednym z byłych robotników w fabryce Silbersteina, który był oskarżony o morderstwo jego syna i zesłany na wiele lat na katorgę na Syberię. Spytałem go z ciekawości, czy to prawda, że robotnicy znęcali się nad Silbersteinem w nieludzki sposób. On zaprzeczył wszystkiemu. Śmierć syna Silbersteina wywołała w mieście wielkie poruszenie i wielkie przygnębienie wśród łódzkich fabrykantów. To właśnie to morderstwo miało być przyczyną przyjazdu do Łodzi carskiego satrapy Kaznakowa. Od razu ogłosił stan wyjątkowy i zaczął rządzić w duchu innych carskich satrapów w Polsce, co oznaczało: nie żałował kul. W fabryce Silbersteina przeprowadzono masowe aresztowania, wielu aresztowanych wywieziono na Syberię, a kilku skazano na śmierć i zabito w Lesie Konstantynowskim. Rozszalał się dobrze znany carski terror.

W naszym mieszkaniu panował wielki niepokój. Nie wiedziano, jak się to wszystko skończy. Niepokój ten wzmógł się jeszcze za przyczyną strasznego przypadku Dawida Olszera, szanowanego łódzkiego kamienicznika. Kaznakow skazał go na śmierć przez powieszenie i nic nie pomogło. Nigdy nie zapomnę tego strasznego obrazu. Na ulicy Długiej⁷⁴, niedaleko od Konstantynowskiej znajdowało się carskie więzienie⁷⁵, w którym był też plac egzekucyjny dla polskich rewolucjonistów skazanych na śmierć przez Kaznakowa. Gdy szło się drugą stroną ulicy, można było zobaczyć wierzchołek szubienicy. Mój brat wziął mnie kiedyś, gdy byłem jeszcze dzieckiem, na ulicę Długą by mi pokazać szubienicę. I została ona w mojej pamięci do dziś. Na tej właśnie szubienicy powieszono, po raz pierwszy w Łodzi, Żyda, Dawida Olszera. Wywołało to oczywiście wśród łódzkiej ludności wielki gniew na Kaznakowa, a jednocześnie zasiało olbrzymi strach przed władzą. Takie słowa jak rewolucja, strajk stały się trefne w naszym otoczeniu i nikt więcej nie odważył się ich wymawiać. Któżby chciał wtedy nucić rewolucyjne pieśni?

Zajęło to nieco czasu, aż wrażenia z tych wydarzeń, śmierci Silbersteina i Olszera, zatarły się w pamięci i życie w moim otoczeniu znów zaczęło normalnie pulsować.

W domu kontynuowano życie w dawny, tradycyjny sposób, a i w szkole nie dało się odczuć, że coś się zmieniło: wprowadzono jedynie język polski jako przedmiot nauczania. Wspomnienia z wydarzeń 1905 roku szybko wyparowały z mojej pamięci z jeszcze innego ważnego powodu: wyprowadziliśmy się z ulicy Wólczańskiej i wynajęliśmy mieszkanie przy Cegielnianej⁷⁶ nr 5, zaraz przy ulicy Długiej, w wielkim domu zamieszkałym prawie wyłącznie przez Żydów.

ULICA CEGIELNIANA

Gdy opuściliśmy nasze mieszkanie przy Wólczańskiej i przeniesliśmy się na Cegielnianą, po raz pierwszy w moim życiu poczułem tęsknotę za wcześniejszym miejscem zamieszkania, z którym byłem bardzo silnie wewnętrznie związany. Przez pierwsze dni nie mogłem znaleźć sobie miejsca na nowym podwórku, na obcej dla mnie ulicy. Wydawać

⁷⁴ Obecnie ul. Gdańska.

⁷⁵ Więzienie wybudowano w latach 1883–1885; obecnie siedziba Muzeum Tradycji Niepodległościowych.

⁷⁶ Odcinek Cegielnianej, o której pisze Minc, to obecnie ul. Więckowskiego.

by się mogło, że to tylko kilka przecznic od naszego starego mieszkania, ci sami ludzie, ten sam język i styl życia, jednak wszystko było tu dla mnie przerażająco obce. Ciągnęło mnie do starego podwórka, do naszego mieszkania, do przyjaciół. Tęsknota była tak silna, że przez te pierwsze dni codziennie wieczorami chodziłem na Wólczańską, żeby udawać przed sobą samym i przed przyjaciółmi z tamtej ulicy, że wcale nie zniknąłem z tego podwórka. Brałem ze sobą chleb z masłem i serem – część mojej kolacji – i szedłem do poprzedniego mieszkania, na dawne podwórko, gdzie starym zwyczajem kończyłem kolację z przyjaciółmi. Trwało to przez kilka dni, aż poczęłem przyzwyczajać się do nowego otoczenia i przywiązywać do nowego podwórka.

Dom przy Cegielnianej 5 w porównaniu do podwórka przy Wólczańskiej 43 był w moich oczach o wiele większy. Wielkie, długie podwórze z dwoma wysokimi oficynami, na końcu którego znajdowały się stajnie graniczące z ogrodem. Zaczęło mi się to nawet podobać. Poza jednym lokatorem, praczką i stróżem na podwórzu mieszkali sami Żydzi, głównie mitnagedzi i litwacy, tylko nasze mieszkanie było chasydzkie. Nie było tam niemieckich ani polskich lokatorów i nie słychać było fabrycznych syren. Niosły się za to krzyki i śpiewne zawołania najróżniejszych handlarzy, którzy sprzedawali na podwórku owoce i warzywa. Po głosie rozpoznawałem, kto woła teraz „ogórki i jabłka!” – czy to ten Żyd w podartym chałacie z małą żółtą brodą i jego żona, pomagająca mu pchać wózek, czy handlarz warzywami z dwoma ciężkimi koszami, w których znajdowały się różne warzywa dla podwórkowych gospodyń. Czasami spotykali się oni – sprzedawca owoców i handlarz warzywami, ponieważ kobiety z podwórka lub służące, nie uporały się jeszcze z zakupami. Podwórze wyglądało wtedy jak mały „zielony rynek”. My, chłopcy, ustawialiśmy się zawsze, by pogapić się, jak handlarz warzywami odlicza z kosza mendle ogórków, pęczki cebul czy marchewek. Stosiki jabłek czy śliwek, pokrytych jeszcze rosą z wiejskich sadów wzbudzały w nas taki apetyt, że nie mogliśmy doczekać się chwili, gdy dostaniemy je do ręki od mamy.

Było to w sezonie letnich wyjazdów z miasta, który w Łodzi przypadał na lipiec. W szkole był to również czas wakacji i miałem dużo czasu, by żyć się z nowymi przyjaciółmi i otoczeniem. Zawierałem znajomości i odkrywały się przede mną wielkie możliwości najprzeróżniejszych zabaw i łobuzerki na podwórku.

Podwórze przy Cegielnianej 5 wyglądało w moich oczach jak całe miasto. Dzieciom wszystko wydaje się o wiele większe niż jest w rzeczywistości. Gdy po wielu latach poszedłem oglądnąć domy i podwórka, na których spędziłem wczesne lata mojego dzieciństwa wydały mi się one znacznie mniejsze, niż kiedyś. Dom – niższy i węższy, podwórze – mniejsze i krótsze. Jednak w tamtych czasach podwórko przy Cegielnianej ze swoimi zakamarkami i nieskończenie długimi szopami, które ciągnęły się wzdłuż oficyn aż do budynku frontowego, były dla mnie prawdziwym labiryntem. To samo wrażenie robiły na mnie skośne dachy tego domu. W budynku frontowym z jednej strony bramy znajdował się sklep z wonnościami, a z drugiej strony – jatka, koszerna rzeźnia z wielkimi polciami wołowiny i stosami zarzniętych kurczaków, które leżały lub wisały przy wejściu. Sklep z wonnościami prowadził biedny Żyd, wdowiec z dwójką dzieci: chłopcem

i dziewczynką. Jego kamizelka błyszczała na nim, jakby była zanurzona w oleju. Siedział w sklepie i wypatrywał klientów, albo stał przy drzwiach i gapił się na ulicę. Jego twarz była lekko podpuchnięta i poprętykana cienkimi niebiesko-czerwonymi żyłkami, nos – mięsisty i tak samo pożyłkowany – siedział na jego twarzy jak rozgnieciony kartofel. Bardzo lubił zażywać tabaki i miał jeszcze jedno przyzwyczajenie: dokładnie trzy razy dziennie szedł do ubikacji, która znajdowała się na drugim końcu podwórza. To była „ogólna” ubikacja i każdy lokator miał klucz od tego miejsca. Kramarz, rozumie się, też. Chodził tam zazwyczaj kręcąc tymi kluczami na palcu w jedną i z drugą stronę, taki miał zwyczaj. Gdy lokatorzy widzieli go na podwórku, wiedzieli dokładnie, która jest godzina. Był jak podwórkowy zegar. W tym czasie sklep oczywiście był zamknięty. Co bardziej niecierpliwi klienci, szczególnie służące, które miały w zwyczaju przesiadywać w sklepie gadając na cały głos, musiały chodzić na zakupy do sąsiednich sklepów.

Rzeźnik Herszel to był zupełnie inny typ. Najpierw miał do pomocy w jatce swą żonę, Rojze, silną kobietę o czerwonych policzkach i jasnych włosach. Tak się mówi – jasne włosy, ale tak naprawdę to nosiła jasną perukę. Gdyby miała „chodzić w swoich włosach”, któżby kupował u niej mięso⁷⁷? Niestety biedaczka zmarła bardzo młodo i pozostawiła swojego męża z małutkimi dziećmi. Sam Herszel Rzeźnik był niskim mężczyzną, chudym, z małą blond bródką. Jednak ten niewielki, chudy człowieczek miał na tyle siły, by podnieść wysoki, błyszczący topór nad kłosem do rąbania i rozcinać polcie mięsa, a nawet przerać szeroką i grubą kość udową. Nigdy nie używał piły, by przepiłować taką sztukę. W jatce ten malutki, wychudzony człowieczek wcale już nie wyglądał na takiego słabeusza. Potrafił zdjąć z wozu ćwiartkę wołu i powiesić ją na haku. Miał krzywe, platfusowate nogi i nieproporcjonalnie wielkie stopy. W tygodniu, przy kłocu, nie było tego jakoś specjalnie widać, jednak w poranek szabatowy, gdy szedł ze swym drobiazgiem na modlitwę, można było zobaczyć jego wielkie stopy i dziwny chód. Chodził dokładnie jak Charlie Chaplin na kinowym ekranie. Herszel, w odróżnieniu od innych rzeźników, miał miękkie serce i wielkie poważanie u biedoty, która nie unikała jego jatki. Zawsze dał komuś monetę, innemu kawałek mięsa lub drobiowe nóżki. Na szabat zawsze brał do stołu jakiegoś gościa.

Centralną postacią naszego podwórka był reb⁷⁸ Gecel Weis. Był to człowiek pękaty jak łożowa świeca, napakowany, o czerwonym karku i grubych, serdelkowatych palcach. Był już starszym mężczyzną, jednak całkiem żwawym i ciągle pełnym życia. Miał już zupełnie białe włosy, na jego brodzie i głowie nie było widać nawet jednego czarnego włoska. Jego głowa była tak biała, jakby ktoś wysypał na nią worek mąki. Miał zapuchnięte oczy, a w szparkach powiek ledwie widać było dwie niebieskie tęczęwki. Wyglądał jeszcze całkiem dobrze. Mieszkał na pierwszym piętrze i zajmował całkiem ładne mieszkanie. Powydawał za męża już prawie wszystkie córki. Z zawodu był pakowaczem, pakował towar, który fabrykanci musieli wysłać do swych klientów gdzieś daleko w Rosji.

⁷⁷ Brak peruki lub zakrytych włosów wskazywałby na nieprzestrzeganie zasad religijności, a więc w domyśle również koszerności.

⁷⁸ Reb – zob. s. 27, przyp. 8.

Pakowacz był wśród łódzkich Żydów bardzo popularnym zawodem, z którego można było całkiem nieźle wyżyć. Trzeba było jedynie mieć stałą pracę w jakiejś firmie tekstylnej. Z takim stanowiskiem pakowacz mógł żyć sobie całe lata, aż powydawał w spokoju wszystkie dzieci, by potem przekazać miejsce synowi lub zięciowi, był to bowiem zawód dziedziczony z pokolenia na pokolenie. Stary Gecel też już nie pracował. Jego miejsce zajęli jego synowie. Gdy się na nich spojrzało, można było sądzić, że to nie wiadomo jacy bogacze, tak elegancko byli ubrani. Taka posada pakowacza to wcale nie był drobiazg, a szczególnie w jednej z najstarszych łódzkich firm, u Abrama Prussaka!⁷⁹ Stary Gecel był, prawdę mówiąc, jeszcze pełen energii, ale do stania przy pakowarce i pakowania stalową taśmą, czy obwiązywania paczek sznurem już się nie nadawał. Jego oczy nie były jednak przyzwyczajone do wpatrywania się w drobne literki, a jego czerwony, masywny kark nie był nawykły do pochylania się nad książką. Był on uczciwym, ale prostym Żydem, znalazł więc inne zajęcie, które wypełniało mu wolne chwile za dnia. Pracę, która stała się jego największą pasją: zaczął hodować kury. Miał szopę na końcu podwórka i przerobił ją na kurnik. Zamocował grzędy, jedna nad drugą, a w drzwiach wyciął otwór, na tyle duży, że mogły przez niego wchodzić i wychodzić kury. Na noc zamykał ten otwór, aby koty albo jakieś inne stworzenia nie niepokoiły jego drobiu. Każdego dnia o poranku, punktualnie jak w zegarku, stary Gecel wstawał, by nakarmić swoje kury i wypuścić je z szopy. Nie trzeba było patrzeć na zegar. Gdy na podwórku pojawiał się staruszek z mlecznobiałą brodą i białym workiem pszenicy w ręce, wiedziano od razu, która godzina. Podchodził dostojnym krokiem do swej szopy, a ze środka od razu dawały się słyszeć głosy i gdakanie kur i kogutów, które przepychały się do drzwi, czekając, aż zaskrzypi klucz od kłódki oraz skoble. Nie karmił ich w szopie tylko na podwórku, gdzie stała też przygotowana już dla nich woda w naczyniach. Gdy Gecel otwierał drzwi, wybiegały z wielkich harmidrem, a niektóre zlatywały z grzędy bezpośrednio na podwórze i przysiadły na chwilę na swych tłustych kuprach. Rozumie się, że najwięcej zamieszania robiły koguty, starsze i młodsze. Gecel miał w zwyczaju trzymać jednego koguta na sześć kur. Bardzo lubił obserwować, jak koguty uganiają się za kurami i jak krążyły wokół nich z opuszczonymi skrzydłami tak długo, aż dopięły swego. Drób pozostawał na podwórku już do zachodu słońca. Potem znów przychodził z workiem i karmił je przed snem. Kury jadły i dziobały, aż stawały się zmęczone i ociężałe. Wyciągały wtedy szyje i spoglądały w stronę drzwi szopy. Potem ze środka dochodziło jeszcze gdakanie i hałas, aż kury umościły się na grzędach. Na koniec zapadała cisza. Gecel zamykał wtedy kurnik i wracał z workiem do domu. W worku znajdowały się wtedy jajka, które wybierał z koszy ze słomą stojących w szopie. Kury miał duże i małe, stare i młode. Na jajkach sadzał zawsze jedną kwokę. Twierdził, że kurczaków nie opłaca się hodować. Stare kury, które przestały znosić jajka wysyłał do rzeźnika i sam je zjadał. Nigdy nic nie sprzedawał, ani kur, ani jajek. W piątki po południu widywano Geclową siedzącą na balkonie, który wychodził na podwórze, ze

⁷⁹ Abram Prussak (1832–1884) – właściciel przędzalni wełny i tkalni wyrobów wełnianych przy ul. Długiej 137 (obecnie ul. Gdańska) oraz kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 5, członek zarządu Gminy Żydowskiej.

świeżą chałką w rękę, gdy wyjadała z glinianego garnka duszone kurze wątróbki. Była tak samo niska jak jej mąż, tylko znacznie od niego grubsza.

Gecel kochał swoje kury i dobrze znał ich charaktery. Gdy stałem z nim przed kurnikiem, pokazywał mi, która znosi dużo jajek, a która nadaje się lepiej do wychowywania kurcząt. Rozpoznawał to po ich oczach. Gdy kura miała żywe, błyszczące oczy była dobra dla kurczaków. I na odwrót, kura o tępym spojrzeniu i o leniwych ruchach nie nadawała się do tego. I tak przeprowadzał selekcję na swój własny sposób.

Pod wpływem Gecla i ja zainteresowałem się kurami. My również mieliśmy na podwórku szopę, niedaleko od szopy Gecla. Nie była ona co prawda taka wysoka i duża jak jego, ale miejsca w niej było dość. Moim celem było zebranie pół rubla i kupno takiego ostrego, łobuzerskiego koguta, który by załatwił koguty Gecla i panował nad nimi na naszym podwórku. Jak pomyślałem, tak zrobiłem. W piątek rano poszedłem na Zielony Rynek⁸⁰ i tam wśród chłopskich wozów wyszukałem żółtego koguta z oczami o ostrym spojrzeniu i wojowniczym temperamentem. Przez dłuższy czas obserwowałem go u chłopa w klatce, raz po raz macając się po kieszeni, czy w dalszym ciągu mam tą srebrną półrublówkę. Poprosiłem o tego koguta. Kosztował tylko trzy guldeny i jeszcze dostałem dziesiątaka reszty. Chłop chwycił koguta i żał mi się zrobiło, gdy zobaczyłem, jak złapał go za nogi koloru żółtego wosku i obwiązał je mocno wiechciem słomy. Kogut wyrwał się i nawet próbował dziobać moje ręce. Ja jednak byłem już nieco przeszkolony przez Gecla i nic sobie nie robiłem z jego protestów. Nauczył mnie on, że ptaka trzeba nieść przyciskając do siebie jego głowę i kuper. Tak też zrobiłem i rzeczywiście się uspokoił. Pełen dumy i triumfu patrzyłem teraz na jego błyszczące złotem i zielenią upierzenie i na pełną szyję z żółtymi piórami. Głowę miał wielką jak koło, za to grzebień – niewielki, ale ząbkowany, w formie korony, jakby rzeczywiście stworzony był do panowania nad Gecelowymi kurami i kogutami. Było to też dobre z innego powodu: w czasie walki z innymi kogutami nie będą one mogły atakować jego grzebienia i go oderwać, co często zdarzało się wśród kogutów bijących się aż do krwi. Miał ten kogut jeszcze jedną zaletę: na palcach swych łap miał mocne i ostre szpony. Wyglądały na bardzo silne, choć on sam nie miał nawet jeszcze roku. Szczęśliwy i pełen ukrytej nadziei wróciłem z rynku do domu.

W mieszkaniu nie powiedziałem nic, tylko od razu poleciałem do naszej szopy, gdzie już wcześniej miałem wszystko przygotowane. Chciałem najpierw poobserwować tego koguta przez kilka dni w zamknięciu, a jeżeli by mi się spodobał, wypuściłbym go na podwórko. Niech sobie Gecel gada, co chce, podwórko nie należy tylko do niego. Miałem też rozwiązanie na wypadek, gdyby kogut nie chciał pokonać Gecelowych kogutów: dam go mojej mamie i w ten sposób odzyskam pieniądze. Moja starsza siostra wiedziała o moich planach wojennych przeciwko panowaniu na naszym podwórku Gecelowych kogutów i to ona dała mi pieniądze na kupno. Gdy Gecel usłyszał z naszej szopy pierwsze pianie mojego koguta, stanął jak wryty. „W jaki sposób ten kogut dostał się do twojej szopy?”

⁸⁰ Obecnie jest to pl. Barlickiego.

– zapytał mnie. „Może to któryś z moich kogutów tam zbłądził?” Zwołał swoje stadko, które przybiegło do niego ze wszystkich stron, jak to zawsze miało w zwyczaju. Przeliczył je – są wszystkie. Wtedy znów usłyszał pianie koguta z naszej szopki oraz dochodzące stamtąd silne, młodzieńcze uderzenia skrzydeł. Spostrzegłem, że kogut usłyszał gdakanie kur po drugiej stronie drzwi, a w szczególności odgłosy kogutów, co rozpałiło w nim do czerwoności żądzę mordy. Dał więc znać, że tu jest. O, pomyślałem sobie, to ważna rzecz, nauczymy moresu Gecla i jego kury. Wszyscy moi przyjaciele z podwórka będą musieli zobaczyć ten spektakl, jak mój kogut pobije Geclowy drób. Gecel przysłuchiwał się, skąd dobiega pianie koguta i zaglądnął przez szparę do naszej szopy. „O, kogut” – powiedział do mnie – „twoja mama kupiła go na szabat?” – zapytał. Odpowiedziałem, że tak, więc się uspokoił, bowiem kogut zamknięty w szopce, który jest przygotowany do uboju, nie stanowił dla Gecla żadnego niebezpieczeństwa.

Wraz z moimi przyjaciółmi z podwórka opracowywaliśmy cały plan strategiczny, jak mój kogut pokona Geclowe. Istniało niebezpieczeństwo, że rzucą się na niego wszystkie naraz i wtedy bitwa będzie przegrana. Postanowiliśmy więc, że damy Geclowym kurom do jedzenia groch z wódką. Upiją się, a mój kogut pogoni je wszystkie na cztery wiatry. Nie byliśmy jednak pewni, czy kurom coś się nie stanie, a byłby to dla nas wielki grzech. Wiedzieliśmy, że karpie, którym da się trochę wódki, przeżyją. Z kurami nigdy czegoś takiego nie próbowaliśmy. Wymyśliliśmy więc inny plan. W poranek szabatowy Gecel chodził się modlić już o świcie, gdy my wychodziliśmy na modlitwę, u niego jadło się już świąteczny posiłek. Postanowiliśmy poczekać, aż pójdzie z tałesem się modlić, wtedy wypuścimy mojego koguta i zacznie się wojna z Geclowymi kogutami. Miał on ich cztery lub pięć.

Żeby wszystkie naraz nie rzuciły się na mojego, trzeba było to urządzić tak, by mój odbył swą pierwszą walkę z jego najsilniejszym kogutem, który rządził całym stadkiem na podwórzu. Gdy ten przegra, inne obleci strach i skapitulują. Tak postanowiliśmy na zebraniu „sztabu generalnego” przy studni, a potem rozeszliśmy się, gdyż zaczynał się już wieczór szabatowy. O świcie spotkaliśmy się znowu i wszystko wydarzyło się tak, jak sobie zaplanowaliśmy. Z mocno bijącym sercem otworzyłem drzwi do szopy i wypuściłem mojego koguta. Przez te kilka dni zdążył dobrze wypocząć i podjeść. Główny kogut Gecla nie miał pojęcia, że jego władza jest zagrożona i wkrótce rozstrzygnie się los jego niepodzielnego panowania nad wszystkimi kurami i kogutami, a jego dumny krok i beczelne pianie już niedługo, dosłownie za kilka minut się zakończy. Jego wierne kurki nie będą już więcej za nim biegać, okazując mu bezgraniczne oddanie i miłość, ponieważ jest najsilniejszy. Kury nie są przecież specjalnie inteligentne, są jednymi z głupszych stworzeń. Nieraz mogłem to zaobserwować.

Odgonił innych koguty, pozostawiając na placu jedynie najsilniejszego wraz z kilkoma kurami, damami jego haremu. Otworzyłem na oścież drzwi, jednak mój siłacz, mój wspaniały bohater za nic nie chciał opuścić szopy. Stał tylko na progu, zadarł

dumnie głowę i wyciągnął swą pełną szyję. Machnął skrzydłami, jakby chciał pokazać, kim jest. Zapiał donośnie, co sprawiło na kurach piorunujące wrażenie, a szczególnie na ich władcy i obrońcy, królu podwórka. Nie pozostał mu jednak dłużny i sam pokazał, co potrafi. Wyciągnął się jak struna, przez co wyglądał na większego niż w rzeczywistości, stając podczas piania na czubkach palców, a potem rzucił miazdzące spojrzenie w stronę mojego koguta, który cały czas stał na progu, obserwując, jakie wrażenie wywołało jego pianie na Geclowym kogucie i jego świcie. Potem koguty przestały pisać, przerywając wymianę not dyplomatycznych. Teraz gotowały się do walki. Zbliżyły się do siebie pomalutku, ostrożnymi kroczkami robiąc przy tym wrażenie, jakby chciały dziobnąć coś na ziemi, jedno dziobnięcie – jedno spojrzenie, a każde z nich jak ognista włócznia, ciśnięta w stronę przeciwnika. Trwało to wszystko może z minutę. Koguty próbowały wzajemnie oszacować swoje siły oraz przybrać najdogodniejszą pozycję do wyprowadzenia pierwszego ciosu. Zbliżały się tak jeden do drugiego, krok za krokiem. U nas, chłopców, kogucie manewry wywoływały olbrzymie podniecenie. Dosłownie płonęliśmy z ciekawości, już chcieliśmy ujrzeć finał, dowiedzieć się, kto będzie zwycięzcą w tej skomplikowanej grze pomiędzy dwoma kogutami. A one zbliżały się i oddalały.

Nagle rzuciły się jeden na drugiego, z wielkim impetem i żądzą mordy celując w głowy i grzebienie, aż zrobiło mi się ciężko na sercu. Jednak teraz walka musiała już odbyć się do samego końca. Mój kogut schwycił Geclowego za grzebień tak, że tamten nie mógł dosięgnąć grzebienia przeciwnika, ponieważ ten miał grzebień całkiem mały. Jedynie w dziobie trzymał kilka piór wyrwanych z głowy wroga i z trudem łapał oddech. Atak następował po ataku. Puszczaly się i znów stawały naprzeciw siebie, gotowe rzucić się sobie do oczu. Geclowy kogut broczył już krwią, a i mój miał podziobaną głowę. Sytuacja stawała się coraz poważniejsza: kogut Gecla był wykarmiony pszenicą i miał dużo sił do walki, mój zaś pochodził ze wsi, być może z jakiejś biednej chłopskiej rodziny, gdzie kogut sam musi się zatroszczyć o swoje wyżywienie. Jednak było już za późno na zmianę sytuacji.

Walka się rozpoczęła i musiało zapaść rozstrzygnięcie, do kogo będzie należeć podwórkowe królestwo. Geclowy kogut był cięższy, ale mój zwinniejszy i zgrabniej wyprowadzał ciosy. Kogut Gecla zaczynał już sapać z nadmiaru tłuszczu, który miał na sobie, i coraz trudniej przychodziło mu unikanie ciosów. Na koniec schował swą zakrwawioną głowę pod skrzydło mojego koguta. Był to znak, że mój zwyciężył. Wśród nas zapanowała radość. Geclowy kogut począł chwiać się na nogach, aż na koniec skapitulował, uciekł w kąt i schował głowę. Mój wojownik zapiał jeszcze na koniec, co prawda nieco drżącym głosem, lecz to on był prawdziwym zwycięzcą. Kury zasatyły w czymś w rodzaju konsternacji i gapiły się tylko swoimi oczkami. Inne koguty trzymaliśmy w dużej odległości od pola bitwy. Teraz jednak je uwolniliśmy. Jednak one same z siebie nie chciały nawet zbliżyć się do placu boju. Pokonany kogut wydawał z siebie dziwne odgłosy, dosłownie jęcząc z bólu. Pozostawiliśmy mojego koguta na podwórku

jeszcze przez dziesięć minut. Zapoznał się z kurami, jednak nie miał siły, by utrzymać się na swych drżących łapach, przez co nie wyglądał specjalnie apetycznie w kurzych oczach ze swymi powyrywanyymi z głowy i szyi piórami oraz zakrwawionym dziobem.

Pokonany kogut Gecla bał się wyjść ze swojego kąta, wystawiając tylko na podwórze swój tłusty, szeroki kuper. Z powrotem zagnaliśmy naszego koguta do szopy i zamknęliśmy za nim drzwi. Wojna się skończyła. Po południu, gdy Gecel przyjdzie z workiem jedzenia, wypuścimy naszego koguta, by zobaczył, co zostało z jego przedmiotu dumy. Poszedłem się modlić.

Gdy Gecel wrócił z modlitw, instynktownie wyczuł, że na podwórku coś zaszło. Z tałesem pod pachą podbiegł do szopy. Kury spostrzegły go i zaczęły biec za nim jak zawsze. Przypominało to fragment Izajasza „Wół rozpoznaje swego pana i osioł żłób swego właściciela”⁸¹. Z wołem miało to co prawda niewiele wspólnego – kury w żadnym stopniu nie były tak rozumne jak on, jednak do osła rzeczywiście można je było porównać, bo leciały za starym Geclem nie dlatego, że lubiły jego białą brodę, tylko jego worek z pszenicą.

Gecel spojrzał na swego ulubieńca, swą dumę i ciemno mu się zrobiło przed oczami. Co tu się stało, kto tak zmaltretował, tak urządził jego koguta? Podeszedł do naszej szopy, zaglądnął przez szparę i zobaczył, że mój też jest mocno poturbowany. Zaczął się domyslać, co tu się wydarzyło, nie wpadł jednak w szal, bo pomyślał sobie, że skoro mój jest zamknięty, oznacza to, że jego kogut go tak urządził i dlatego go zamknęto.

W domu nie wiadano nic o kogucie walce, która rozegrała się na podwórzu. Odczekałem, aż moi rodzice pójdą spać i będę mógł wyjść ponownie. Teraz miało się rozegrać prawdziwe przedstawienie, rano była tylko próba generalna.

W szabat na żydowskim podwórzu panowała cisza. „Przyjdzie szabat, przyjdzie odpoczynek”. Żydzi po czuleniu ucinają sobie drzemkę, a potem idą w gości lub gości przyjmują.

Również stary Gecel miał w zwyczaju spać po południu. Pod oknami na podwórzu stała ławka, na której lokatorzy, mężczyźni i kobiety w szabatowe popołudnie ucinali sobie pogawędkę. W tygodniu była ona okupowana przez dzieci. Po południu w szabat również Gecel tam przychodził. Gdy już usadowił się na ławce i spokojnie rozmawiał z sąsiadami, wypuściliśmy naszego koguta z szopy. Wyszedł z niej dumny i pełen powagi, stawiając pewnie krok za krokiem. Machnął skrzydłami i zapiał, co przyciągnęło ogólną uwagę. Gecel powstał i zaczął patrzeć, co się będzie działo. Był pewien, że jego kogut, król podwórza, nauczy mojego rozumu za tak bezczelne zachowanie, ale stało się najgorsze, co mogło się przydarzyć staremu Geclowi, który przez całe dziesięciolecia hodował kury i koguty. Jego kogut, zobaczywszy z daleka mojego „orła”, poddańczo spuścił ogon, cały się skurczył, stając się tylko własnym cieniem, niczym. I tak drżąc cały z wielkiego strachu, uciekł do kąta i tam starał się ukryć przed swym straszliwym przeciwnikiem. Gdy Gecel to zobaczył, twarz mu się wykrzywiła z troski, jego „podpuchnięte” powieki otworzyły się

⁸¹ Iz 1,3.

szeroko, a oczy były pełne strachu. Jego spojrzenie padło na mnie: wargi, białe jak kreda, drżały mu wraz z jego białymi wąsami, lecz nie powiedział ani słowa. Jakby przepaść się przed nim otworzyła, jakby niewyobrażalne nieszczęście spadło na jego głowę. Skurczył się tak samo jak jego kogut i jakby nieco schudł.

W domu w końcu dowiedziano się o koguciej walce i moim zwycięstwie nad starym Geclem. Moja matka była kategorycznie przeciwna temu, bym się włóczył po podwórku z kurami i powiedziała mi tonem nieznoszącym sprzeciwu, że w przyszły piątek kogut pójdzie pod nóż. Te 50 kopiejek za niego odda mi i mam się już nigdy więcej nie zadawać ze starym Geclem. On sam nic nie wiedział o wyroku śmierci, który został ogłoszony na mojego koguta i bardzo cierpiał, widząc, jak jego kogut ucieka ze strachu przed moim i chowa się po kątach. Jednak panowanie mojego koguta miało się ku końcowi. Nie chciałem powiedzieć o tym staremu, ale chyba i tak się dowiedział.

W piątek rano rzeczywiście odesłano mojego koguta do rzeźnika przy Wilker Szul. Zobaczyłem go już zarżniętego, z wyciągniętymi żółtymi łapami i otwartymi zgasyłymi oczami. Nie chciałem go nawet skosztować i byłem mu bardzo wdzięczny za zwycięstwo nad starym Geclem.

* * *

Na naszym podwórzu przy Cegielnianej 5 mieszkały trzy rodzaje żydowskich lokatorów: litwacy, mieszczenie – handlarze i rzemieślnicy, oraz chasydzi. Chciałem wspomnieć o kilku z nich: o litwakach Aronie, Bergmanie i Kopelzonie.

Lokator Aron już wtedy był modniszem z przystrzyżoną brodą. Pracował jako buchalter w największej łódzkiej firmie tekstylnej „Karol Scheibler”. Jedna jego wypowiedź pozostała mi w pamięci na długie lata. Jedyny synek lokatora Bergmana zlecił na dyfteryt i więcej nie wstał z łóżka. Fakt ten wywołał poruszenie wśród wszystkich mieszkańców. Na mnie wywarł on szczególnie wrażenie, bo chłopiec ten, Abramcie Bergman, był moim dobrym kolegą. Lokatorzy stali na podwórzu ze smutnymi minami, gdy nadszedł pedantycznie ubrany Aron o wysokiej, majestatycznej figurze i zawołał: „Za jakie grzechy Pan tego świata karze takie małe dziecko?” Jego słowa zapadły mi głęboko w pamięć i wiele razy o nich myślałem. Nikt mu nie odpowiedział i Aron, zamknięty w sobie, poszedł dalej.

Przeciwieństwem jego był Bergman. Pochodził z Białegostoku i widać było u niego całą białostocką prostotę. Był zupełnie różny od majestatycznego Arona, który wyglądał jak urzędnik państwowy wysokiego szczebla. Bergman chodził jak kaczka, nie chodził nawet tylko kuśtykał na swych krzywych nogach. Nie umiał mówić cicho i pomału. W jedną minutę potrafił wyrzucić z siebie olbrzymią ilość słów. Latem ciągle był spocony, zawsze obwieszony jakimiś pakunkami, zakupami do domu, wyglądał jak ktoś, kto śpieszy się w piątek wieczorem na daczę, do żony i dzieci. Umysł Bergman miał bystry, a pamięć – fenomenalną. Często modlił się w minjanie⁸² na naszym podwórku.

⁸² Minjan – zob. s. 18, przyp. 2

Zauważyłem, że nawet w Jamim Noraim Bergman nigdy nie używał machzoru⁸³. Wszystkie modlitwy i hymny znał na pamięć. Patrzyłem na jego usta i podziwiałem go, że tak dokładnie wszystko pamięta. Był nerwowy, pełen temperamentu i zawsze wyprzedzał prowadzącego modlitwę lub przekrzykiwał innych modlących. Był także biegły w literaturze religijnej, choć nikt go nigdy nie widział siedzącego nad książką. Dużo czasu spędzał za to nad szachownicą w kawiarni Wegeta przy ulicy Zielonej. Był świetnym szachistą i nawet podczas gry okazywał swój temperament. Gdy szło mu już dobrze i dawał mata przeciwnikowi, przewracał figurkę, odlaną z ciężkiego ołowiu aż drżały inne figury i wykrzykiwał z religijnym zaśpiewem:

Szach królowi, hosanna
Grasz jak fuszer, jak stara panna.

Bergman miał w zwyczaju dawać fory, oddawał wieżę, a i tak wygrywał. Niezwykle przenikliwy umysł miał ten litwak. Był pobożnym człowiekiem, ale nie przeszkadzało mu to posyłać córki do rosyjskiego gimnazjum, gdzie uczono się w szabat.

Interesującą postacią, pełną litwackiego racjonalizmu, był inny lokator naszego podwórka – Kopelzon. Mieszkał z nami po sąsiedzku przez ścianę i często słyszeliśmy, jak kaszle w nocy. Był już zupełnie zeświecczony. Podczas gdy Aron czy Bergman nie pozwalali sobie na palenie papierosów w szabat czy wnoszenie do domu wieprzowiny, Kopelzon nie miał z tym problemu. Miał skład węgla i całkiem nieźle na nim zarabiał. Litwacy trzymali się razem, nie tak jak polscy Żydzi. Jeżeli ktoś pochodził z jakiegoś miasta na Litwie, traktowano go jak „swojaka” i wspierano się wzajemnie. Również Kopelzon żył dobrze dzięki temu, że litwacy z najdalszych okolic kupowali węgiel właśnie u niego. Wielu bogatych litwaków, których stać było na kupno wozu węgla na zimę, czyniło to właśnie u Kopelzona, wspierając go w ten sposób. Przez to ten handlarz węglem mógł nie tylko zapewnić dzieciom europejską edukację, lecz nawet wstawić do mieszkania pianino i uczyć swe córki muzyki. Mimo swego heretyckiego stylu bycia i łamania publicznie szabatu Kopelzon chodził się modlić do synagogi w Rosz Haszana i Jom Kipur. Również u niego zauważyłem to samo, co u Bergmana – znał na pamięć wszystkie modlitwy. Był z niego prawdziwy litwak, strasznie uparty i nawet podczas przerwy w modlitwach podczas Jom Kipur szedł do siebie do mieszkania, by coś przekąsić⁸⁴.

Podczas szabatów i świąt całe podwórko rozbrzmiewało religijnymi melodiami. Około dziesiątej rano zaczynali śpiewać rzemieślnicy, mitnagedzi, koło jedenastej – litwacy, a koło dwunastej rozpoczynały się śpiewy chasydów. Najbardziej było to widoczne podczas Pesach i Sukes. Chasydscy lokatorzy kończyli swe modlitwy najpóźniej.

W szabatowe popołudnie rzemieślnicy i prości ludzie chodzili na spacer, albo odwiedzali rodzinę. Litwacy chodzili słuchać kaznodziei albo odmawiali psalmy,

⁸³ Machzor (hebr.) – modlitewnik zawierający modlitwy odmawiane w czasie świąt.

⁸⁴ Podczas Jom Kipur obowiązuje ścisły post.

a chasydzi uczyli się Pirke Awot⁸⁵, lub egzaminowali swoich synów, a potem zbierali się w sztyblach na Szalosz seudot⁸⁶. To samo można było zauważyć podczas ślubów na naszym podwórku. Gdy wychodziła za mąż córka Bergmana – wesele było zupełnie ciche, bez śpiewów i rozgardiaszu. Siedziano tylko, jedzono, pito i składano życzenia. Gdy mieszczański lokator wydawał córkę, jak na przykład stary Gecel Weis, rozgardiaszu i hałasu było trochę więcej, bo przyszło do niego sporo gości ze Starego Miasta i Bałut. Ale i to wesele nie ciągnęło się zbyt długo. Gdy jednak swoją córkę wydawał za mąż jakiś chasyd, było to wielkie wydarzenie. Przede wszystkim zabawa trwała przez całą noc, a muzyka i śpiewy nie pozwalały lokatorom zmruznąć oka. Wesele odbywało się nie tylko w mieszkaniu, lecz największa jego część przenosiła się na podwórko. Nie mówiąc już o chupie⁸⁷, która przyciągała uwagę nie tylko podwórza, lecz całej ulicy. Przychodziły pogapić się dzieci, i to nie tylko żydowskie, a nawet dorośli goje. Taka chasydzka chupa pod gołym niebem robiła olbrzymie wrażenie. Najpierw koło chupy robił się ścisk i zamieszanie. Potem schodzili się goście w swych szabatowych strojach, teściowie w jedwabnych kapotach i sztrajmelach⁸⁸, ze świeczkami hawdalowymi⁸⁹ w dłoniach, które kiwały się w takt głosu rabina odczytującego ślubny kontrakt. Goje byli poruszeni tym widokiem i krzyczeli „Olaboga, olaboga!”⁹⁰. Tańczono przed panną młodą i śpiewano oraz przepychano się, by jej pogratulować. Przy chupie stały dzieci, nawet całkiem małe, co tylko wzmagало ścisk. Potem udawano się z powrotem do mieszkania, gdzie stały zastawione długie stoły z różnymi smakołykami. Inaczej wyglądało wesele chasydzkie, inaczej mitnagedzkie, a inaczej litwackie, trzy zupełnie inne style bycia.

Mimo to pomiędzy różnymi rodzajami Żydów nie było wrogości, nawet jeden na drugiego nie patrzył z góry. Pewna separacja dawała się jednak zauważyć. Na przykład nie było w zwyczaju, by chasyd żenił się z litwaczką, to samo tyczyło się chasydów i mitnagedów. Żyło się między sobą w zgodzie, handlowało ze sobą, zapraszało do minjanu, gdy brakowało dziesiątego, jeden od drugiego mógł dostać nawet jakieś wsparcie, ale żyło się osobno. Chasydzi zawierali związki głównie między sobą, jeżeli nie było kogoś z tego samego miasta, brało się jako partię chasyda z innego miasta. Istniała jakaś bariera, ale niewielka, gdyż w poważnych momentach żydowskiego życia wszystkie podziały znikwały i tworzono zwartą społeczność. Tak było w chwilach zagrożenia pogromami w Łodzi, gdy czuwali wszyscy i byli bardzo solidarni. Tak było również później, w czasie procesu

⁸⁵ Pirke Awot (hebr., dosł. ‘Rozdziały Ojców’) – Nauki (lub: Sentencje) Ojców, dziewiąty traktat czwartego porządku Miszny, liczący pięć rozdziałów. Jeden z najważniejszych traktatów talmudycznych; prezentuje dorobek etycznej myśli żydowskiej w ciągu ok. 500 lat (od ok. 300 p.n.e. do ok. 200 n.e.).

⁸⁶ Szalosz seudot (hebr., dosł. „trzy posiłki”) – lekki posiłek spożywany w sobotnie popołudnie, celebrowany szczególnie przez chasydów.

⁸⁷ Chupa (hebr.) – w tradycji żydowskiej baldachim, pod którym zawierany jest związek małżeński.

⁸⁸ Sztrajmel – futrzana czapka (zwana również w spolszczeniu lisiurą), element tradycyjnego stroju żydowskiego, zwłaszcza świątecznego.

⁸⁹ Świeczki hawdalowe – zob. s. 73, przyp. 38.

⁹⁰ W oryginale po polsku.

Bejlisa⁹¹ i w chwili wybuchu I wojny światowej, gdy Rosjanie oskarżali łódzkich Żydów, że niszczą druty telegraficzne i służą Niemcom. Również w święta żydowskie, jak na przykład Jom Kipur czy Tisza Beaw⁹², dało się zauważyć żydowską narodową jedność. Później te momenty były coraz słabsze. Gdy jednak żydowskie dziecko bało się przejść przez ulicę, podchodziło do jakiegoś Żyda lub Żydówki i wyciągało rączkę. Nigdy nie podeszło do goja czy gojki. Dziecko instynktownie wiedziało, do kogo ma się zwrócić o pomoc. Nawet najmniejsze dzieciaki umiały już odróżnić Żyda od goja.

Oprócz kilkudziesięciu żydowskich lokatorów w naszym domu było tylko dwóch Polaków. Pierwszym był stróż z żoną i dzieckiem, a drugim – wysoki mężczyzna z grubymi żółtymi wąsami jak Piłsudski, który miał pralnię.

O ile goj jako stróż była sprawą zupełnie naturalną⁹³, to na polskiego pracza patrzyliśmy jak na kogoś obcego, co tylko przypadkiem zbłądził na nasze żydowskie podwórkę. W jego pralni przy długich stołach, przykrytych białymi obrusami, stały ubrane na biało dziewczyny i całymi dniami składały pranie, „naciągały” je, a ich twarze były tak samo białe, jak te obrusy na stołach, przy których stały. Pewnego razu ten goj z grubymi wąsami „wyciągnął nogi”, jak to się mówiło, czyli umarł. Leżał w swoim mieszkaniu ubrany w czarny garnitur, białą koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem i białe rękawiczki, tak opowiadały sąsiadki. Przyjechał karawan, a nas, dzieci, nie wypuszczano z domów. Trzeba było przecież zdjąć czapkę przed krzyżem, a nie wolno tego robić, więc lepiej było zostać w mieszkaniu. Karawan był biały, przed nim szedł ksiądz, również w białej koszuli i mamrotał jakieś niezrozumiałe słowa. Również rynsztoki na podwórku i na ulicy stróż posmarował białym wapnem. Pogrzeb mogłem oglądać tylko z balkonu.

Stróż z naszego podwórka był wysokim, chudym mężczyzną o zapadniętych policzkach, jak u suchotnika. Również jego oczy osadzone były głęboko w głowie. Jego czoło zlewało się z łysiną, ponieważ włosy na głowie miał bardzo rzadkie, podobnie jak zęby w ustach. Między jednym zębem a drugim była całkiem spora odległość. Były jednak bardzo widoczne, duże i żółte jak korzeń pietruszki. Dlatego też ciężko go było zrozumieć, gdy mówił. Lubił zaglądać do kieliszka, a w szabatowy poranek miał prawdziwe żniwa. On, jego żona i syn mieli pełne ręce roboty. Nie było co – obsłużyć tyle żydowskich mieszkańców w czasie tych kilku przedpołudniowych godzin. Chałkę z kawałkami ciasta i rybę wkładał do koszyka, ale zawartość kieliszków wlewał od razu w siebie. Pił bez przerwy, ale w ogóle się nie upijał, a dowodem na to było, że zawsze wiedział, dokąd i o której godzinie ma przyjść, by rozpalić ogień. Uczciwie zarabiał na swój chleb. Przez

⁹¹ Mieszkający w Kijowie Menachem Mendel Bejlis (1874–1934) został w 1911 r. oskarżony o mord rytualny. Proces Bejlisa, który odbył się dopiero w 1913 r., po dwóch latach od uwięzienia, w atmosferze narastającego, podsycanego przez instytucje państwowe antysemityzmu, ostatecznie jednak zakończył się wyrokiem uniewinniającym, a rozgłos, jaki procesowi towarzyszył, zapoczątkował falę krytyki antysemickiej polityki caratu.

⁹² Tisza Beaw (hebr. dosł. dziewiąty dzień miesiąca aw) – święto upamiętniające rocznicę zburzenia Pierwszej i Drugiej Świątyni Jerozolimskiej, uważane za najsmutniejszy dzień w żydowskim kalendarzu. Przypada w lipcu lub w pierwszej połowie sierpnia.

⁹³ Ze względu na konieczność pracy również w sobotę (szabat), stróżami nie mogli być religijni Żydzi.

cały tydzień ciężko harował na podwórku. Musiał co tydzień wymyć i wysypać piaskiem wszystkie schody, utrzymywać w czystości podwórze, wapnować rynsztoki, a ustępy wysmarować smołą, ponieważ szczury były dla lokatorów wielką plagą i dochodziło nawet do tego, że te „bachory”, jak je nazywały kobiety, chodziły bezczelnie po podwórzu, atakując małe kurczęta. My, chłopaki, także walczyliśmy ze szczurami i rzucaliśmy w nie kamieniami. Jednak główną walkę toczył z nimi stróż. Zwalczanie tych czworonożnych lokatorów postawił on sobie za punkt honoru. Zastawiał na nie pułapki i gdy udało mu się już schwytać takiego „bachora”, robił z tego na podwórku całe przedstawienie. Złapanego oblewał naftą i podpalał. Taka żywa pochodnia rzucała się na wszystkie strony, kurczyła, aż się całkiem zwęgliła. My, żydowskie dzieci, nie mogliśmy na to patrzeć i odwracaliśmy głowy. Stróż miał jeszcze inną radość w męczeniu szczurów. Złapanemu w pułapkę szczurowi wylupiał oczy i wypuszczał go na podwórko. „Bachor” rzucał się po omacku na wszystkie strony, a dziewczęta i kobiety bały się nawet ruszyć z miejsca. Rzucanie kamieniami w szczury, by je zabić albo zranić nie było dla nas, dzieci takie straszne. Zdarzało się, że szczur odwracał się łapami do góry od takiego uderzenia, lecz potem uciekał do swej nory koło szopy, albo krył się w kanale obok bramy, tak że nie widzieliśmy, jak zdycha. Ale męczyć je – tego znieść nie mogliśmy.

Stróż z podwórka miał też inne funkcje, jak na przykład otwieranie bramy po 11 w nocy, a w carskie święta ubierał się w szeroki biały fartuch i czapkę z błyszczącym daszkiem, na której lśniła metalowa blaszka z napisem „dwornik”. Musiał wtedy też wywieszać przed bramą dwie biało-niebiesko-czerwone flagi na znak święta. Tego dnia musiał też wywapnować rynsztok na ulicy przed domem.

Jeszcze w jednym przypadku stróż wapnował rynsztoki i smołował nieczyste miejsca na podwórzu. Było to wtedy, gdy miał przyjść ksiądz, by poświęcić pieczywo chrześcijan, które wypiekali na swe święta. Wszyscy goje z całej ulicy przynosili na nasze podwórko swoje wypieki, strucle i pasztety, a ksiądz, gruby, zażywny, o czerwonym karku, spryskiwał wystawione na podwórku pieczywo mrucząc przy tym jakąś modlitwę.

Najważniejszą funkcją stróża było jednak codzienne pompowanie wody dla mieszkańców. Była to bardzo ciężka praca. Na strychu stał wielki, czerwony, żelazny kocioł, w którym znajdowała się woda dla lokatorów domu. Z okienka na strychu wystawała rura, długa na metr i gdy zaczynała lecieć z niej woda, był to znak dla stróża, że kocioł jest już pełny i może przestać kręcić kołem od pompy. Zazwyczaj w pompowaniu wody do kotła pomagała mu jego żona i syn. To była bardzo ciężka praca, gdyż lokatorzy zużywali bardzo dużo wody i musiał tym kołem kręcić każdego dnia. Zdarzało się nawet, że mieszkańcy sami musieli schodzić z wiadrem do pompy, gdyż kocioł był już pusty. Zimą z wodą był duży problem, bo koło zamarzało, choć było owinięte słomą. Wtedy musiano nosić wiadrami wodę prosto z pompy do mieszkań. Latem, w gorące dni, chłopcy zakradali się na strych, zdejmowali drewnianą pokrywę kotła i zanurzali w nim swe spocone ciała. Stróż wiedział o tym, ale milczał. Oczywiście tę samą wodę używali później lokatorzy do picia i gotowania. Na szczęście chłopaki nie używali nigdy mydła. Wiele łódzkich urwisów zmieniał latem takie kotły w nielegalne baseny pływakie.

Na strychu znajdowała się wielka paczka z listami po polsku, niemiecku, żydowsku i rosyjsku. Były to listy ze starymi datami, z lat osiemdziesiątych–dziewięćdziesiątych, handlowe i prywatne, które lokatorzy wynosili na strych. Na kopertach były rosyjskie i niemieckie znaczki pocztowe. Nie interesowałem się w najmniejszym stopniu tymi znaczkami, lecz bardzo interesowały mnie listy, pisane na różowym lub bibułkowym papierze. Były tam listy o charakterze handlowym, z cyframi i cenami. Z długich i szerokich kartek można było robić latawce, lub węże i puszczać je, by fruwały w powietrzu. To mi się bardzo podobało. Między górami listów można było również znaleźć próbki materiałów w najróżniejszych kolorach. Tabliczki z próbkami były bardzo piękne, z nadrukowanymi figurkami zwierząt, wielkimi literami i ozdobnymi podobiznami kominów i fabryk najróżniejszych firm, wysyłających te „próbki bez wartości handlowej”. Często znajdowałem całe pakunki ze zszytymi razem kawałkami materiałów, oznaczonych w rogu małymi, białymi cyferkami. Nimi zajmowała się już moja młodsza siostra i jej przyjaciółki i szyły z nich różne ubranka dla swoich lalek. Dziewczynki zajmowały się głównie zabawą i tańcem w kółkach oraz odgrywaniem przy tym najróżniejszych scen, ilustrujących śpiewane piosenki, jak na przykład klejenie papierków, rozwieszanie prania, śpiewy na cześć królowej itd. Żydowskie dzieci miały dobry słuch muzyczny, zarówno dziewczynki, jak i chłopcy, w przeciwieństwie do polskich dzieciaków. Nic dziwnego, w żydowskich, a szczególnie w chasydzkich domach bardzo dużo się śpiewało. W szyblach prowadzący modlitwy szabatowe śpiewał sporą część z nich. Przy jedzeniu w szabatowy poranek śpiewano *zmires*⁹⁴. Podczas *Szalosch seudot* i *Hawdala* – również i nawet zwykłe codzienne modlitwy w tygodniu były śpiewane i łączone z serdecznymi *nigunami*⁹⁵. Tak było rano i tak było wieczorem, gdy odmawiano modlitwy *mincha* i *maariw*⁹⁶. Nawet w środku tygodnia po jedzeniu odmawiano większość błogosławieństw na melodie specjalnych *nigunów*, nie mówiąc już o modlitwach i *tchinot*⁹⁷ śpiewanych przez kobiety przy każdej okazji czy czytaniu każdego szabatu *Cene urene*⁹⁸ i innych pobożnych książek. Każda modlitwa miała w ustach pobożnej kobiety specjalny akcent, intonację i rytm. Przychodziło to z matki na córkę, a z córki na wnuczki. Widać to było w naszym mieszkaniu, które z pewnością nie należało do wyjątków. Melodie przechodziły w rodzinie z pokolenia na pokolenie, a obcy, siedzący przy stole w czasie *zmires*, nie znali ich. Tylko członkowie rodziny, nawet najdalsi, znali te *niguny*. Tak na przykład u nas w mieszkaniu, przy błogosławieństwach szabatowych i świątecznych śpiewano taki *nigun*, który śpiewali jeszcze nasi pradziadkowie, więc gdy przychodziło do błogosławieństwa, nie trzeba się już było zastanawiać, jaki *nigun* śpiewać. Od dzieciństwa

⁹⁴ *Zmires* – pieśni śpiewane w czasie szabatu i innych świąt żydowskich.

⁹⁵ *Nigun* – zob. s. 46, przyp. 16.

⁹⁶ *Maariw* (hebr. 'modlitwa wieczorna') – modlitwy wieczorne odmawiane między zmrokiem a północą.

⁹⁷ *Tchinot* – specjalne modlitwy dla kobiet.

⁹⁸ *Cene urene* (hebr. *Ceena u-reena*, 'wyjdźcie i spójrzcie') – popularne dzieło dydaktyczne w jidysz Jaakowa ben Icchaka Aszkenazego z Janowa (ok. 1550–1628), nazywane potocznie „Biblią kobiecą”, prezentujące w formie prostych przypowieści komentarze midraszowe do cotygodniowego czytania z Tory.

wiedziano, że śpiewa się nigun dziadka. W chasydzkich rodzinach śpiewano przez cały czas, a raz w roku nawet przez całą noc: w czasie Hoszana Raba podczas święta Sukot.

Nawet gdy dziewczęta podczas swych dziecinnych płaśów na podwórku śpiewały polską piosenkę, jej melodia i sam taniec też były żydowskie. Gdy klaskały w dłonie, przypominało to „klaskanego”, którego tańczyły nasze babki na weselach swych wnuczek i prawnuczek. Wiele lat później zobaczyłem dziewczynkę z naszego podwórka, która już jako babcia tańczyła na weselu swojej wnuczki i przypomniałem sobie, jak jeszcze jako małe dziecko płaśała w kółeczku na naszym podwórzu.

Z wysokiego strychu mogliśmy jako dzieci obserwować część Łodzi z jej wiecznie okopconymi kominami i pełnymi życia ulicami. Z krzywych daszków szop na naszym podwórzu można było zaglądać do ogrodu i zachwycać się pięknymi kwiatami i drzewami owocowymi. Dom pani Kipper przy ulicy Długiej, który sąsiedował z fabryką B. Waksa miał wielki ogród, ciągnący się aż do naszego podwórka. Jako dzieci wdrapywaliśmy się na daszki szopek, siadaliśmy na ich brzegach, spuszczać nogi na stronę ogrodu i nie niepokojeni przez nikogo siedzieliśmy tak całymi godzinami obserwując ten piękny zakątek z jego drzewami i ptakami. Niektóre kiście kwiatów rosły tak wysoko, że mogliśmy je dosięgnąć i nawet niektóre z nich zerwać. Jednak nie to było dla nas najważniejsze.

W Łodzi jak wiadomo nie było zbyt wielu parków, alei czy skwerów, na ulicach nie widywano trawy czy drzew. Gdy chciało się zobaczyć trochę zieleni, trzeba było iść spory kawałek aż do Parku Mikołajewskiego⁹⁹ lub wędrować aż do Lasu Konstancyńskiego. Nietrudno wyobrazić sobie więc, jaką atrakcję stanowił dla nas położony po sąsiedzku ogród Kipperera, chociaż nie można było do niego wchodzić. Mogliśmy jednak do woli wąchać jego zapachy i zaglądać do niego z dachów szopek, pokrytych pokruszoną, czarną jak smoła papą.

GMINA ŻYDOWSKA W ŁODZI

O łódzkiej Gminie Żydowskiej nie słyszało się zbyt wiele. W domu czy między sąsiadami czasami o niej rozmawiano, lecz jedynie w związku z jakąś śmiercią w rodzinie lub wyrażając niezadowolenie ze zbyt wysokiego podatku, zwanego „etatem”, który nakładano na jej członków. Dlatego zrozumiałym jest, że niespecjalnie Gminą się interesowałem. Jednak teraz wszystkie moje zmysły były zaprzątnięte tą właśnie instytucją.

Gdy powiedziałem w domu, że idę pracować do Gminy, przyjęto to z otwartą ironią. Jaki sens ma dla młodego człowieka praca w Gminie? Zajmowanie się spisami zmarłych, urodzin, sprawami organizacyjnymi? Dlatego w domu nikt nie wziął na poważnie mojej decyzji i rodzice sądzili, że to taki młodzieńczy kaprys i w niedługim czasie sam z siebie porzucę tę posadę.

Moi przyjaciele również robili sobie z tego żarty: „Będiesz grabarzem”. Inni znów wbijali mi szpilę: „No jasne, I.L. Perec¹⁰⁰ też był urzędnikiem w warszawskiej Gminie...”.

⁹⁹ Obecnie Park im. H. Sienkiewicza.

¹⁰⁰ Icchak Lejb Perec (1851–1915) – pisarz i działacz społeczny, jeden z twórców literatur w jidysz. Prowadził salon literacki w swoim mieszkaniu w Warszawie przy ul. Ceglanej 1. Bywali tu ludzie te-

Ja jednak wziąłem tę rzecz na poważnie i byłem wdzięczny losowi, że pozwolił mi być przez kilka lat urzędnikiem łódzkiej Gminy Żydowskiej.

Pracowałem tam w latach 1911–1915. W tamtym czasie mieściła się ona na Nowym Mieście¹⁰¹, w wielkim domu pod numerem 6, naprzeciwko ratusza. Gmina zajmowała lokal na pierwszym piętrze, którego okna wychodziły zarówno na Nowe Miasto, jak i na podwórze. Sam dom był kanciasty, z wysokimi oficynami, zamieszkanymi głównie przez Żydów – chasydów i mieszczań. Na podwórzu znajdowały się duże składy tytoniowe, a od frontu był sklep z tytoniem, należący do R. Rozenbluma z Warszawy. Plotkowano, że ów Rozenblum, bardzo zamożny człowiek, się wychrzcził, i rzeczywiście nie figurował on na listach płatników gminnego etatu. Z powodu olbrzymiej ilości tytoniu znajdującego się w magazynach na podwórku, czuło się tam ciągle zapach tytoniu, szczególnie przy otwartych oknach.

Lokal gminny miał dwa wejścia: jedno paradne, z bramy, przez przeszkłone drzwi, a drugie z podwórza. Wejście paradne było przeznaczone dla członków Dozoru i wyższych urzędników gminnych oraz dla miastowych bogaczy. Drugie – dla żydowskiej biedoty, różnego rodzaju oberwańców, członków Chewry Kadiszy¹⁰² i woźniców, którzy odwozili zmarłych na cmentarz. Przy wejściu paradnym stał goj z długimi szlacheckimi wąsami, uniformie z mosiężnymi guzikami i gdy ktoś zadzwonił, otwierał z ukłonem szeroko drzwi przed ważnym gościem. Przy tylnym wejściu nie stał nikt. Kto tamtędy wchodził, trafiał do sali, przedzielonej drewnianą barierką i drucianą siatką, w której było małe okienko dla żydowskiego portiera, stojącego po drugiej stronie i przyjmującego petentów, bez różnicy – kobiety czy mężczyzn. Dopiero gdy ten żydowski urzędnik uznał, że petenta można wpuścić do środka, otwierał przed nim drzwiczki, które automatycznie zamykały się za wchodzącym. Jeżeli nie musiano lub nie chciano wpuścić petenta do dalszych pokoi, pozostawał on w sali i musiał się zadowolić odpowiedzią otrzymaną od dyżurnego urzędnika. Nie był to zwykły urzędnik, którego spotkać można w różnych państwowych czy handlowych instytucjach, lecz Żyd w długiej kapocie, butach z cholewami, szeroko rozczesanej brodzie i imponujących pejsach, jednak bez kapelusza na głowie (tak życzyła sobie tego Gmina z powodu wiszących na ścianie obrazów z podobiznami carskiej rodziny). Rabini i personel religijny chodzili w jarmułkach. Członkowie dozoru, którzy byli zagorzałymi chasydami oraz wszyscy inni religijni Żydzi, którzy przychodzili na posiedzenia lub po prostu załatwić jakąś sprawę, byli bez czapek, czy też jak litwacy bez kapeluszy. Takie były przepisy od samego początku i wszyscy się dostosowywali.

Nie można powiedzieć, że łódzka Gmina, choć jedna z najbogatszych w Polsce, posiadała jakieś luksusowe wyposażenie, jakie spotykało się w innych instytucjach. Ta

atru i literaci. Dla wielu młodych pisarzy był autorytetem i doradcą. To pod jego okiem pierwsze literackie szlify zdobywali tacy pisarze, jak m.in. Szalom Asz, Alter Kacyzne, Hersz Dawid Nomberg, Icchak Majer Weisenberg.

¹⁰¹ Rynek Nowego Miasta, obecnie pl. Wolności.

¹⁰² Chewra Kadisza (jid. z aramejskiego, dosł. 'święte bractwo') – bractwo pogrzebowe działające we wszystkich gminach żydowskich.

część lokalu, której okna wychodziły na podwórze, była umeblowana bardzo ubogo: proste, drewniane stoły z długimi, twardymi ławami pod ścianami oraz drewniane regały na różne książki, które prowadziła Gmina, jak na przykład rejestr zmarłych, rejestr będących członkami Gminy płatników etatu itd. Na ścianie też wisiał wielki kanciasty regał, podzielony na skrzyneczki z literami rosyjskiego alfabetu, w których znajdowały się dokumenty osób zmarłych w ostatnim czasie: rosyjski paszport z czarną lub czerwoną okładką, akt urodzenia itd. Dokumenty te były niezbędne przy sporządzaniu protokołu do aktu zgonu, później zabierała je rodzina. Zdarzało się jednak, że zmarły nie miał nikogo. Wtedy paszporty leżały w skrzyneczkach przez pewien czas, a potem wędrowały do gminnego archiwum, będącego również czymś w rodzaju cmentarza – tylko dla dokumentów osób zmarłych samotnie.

Jak wspomniałem, tylna część lokalu gminnego był umeblowana bardzo skromnie. Stała tam jeszcze mała sofa, pokryta czarną ceratą, dla ludzi z Chewry Kadiszy, którzy tu czasem nocowali. Istniało jeszcze jedno miejsce, niewidoczne, coś w rodzaju ukrytej komnaty. Było to pomieszczenie, w którym przechowywano czarne całuny, których używali grabarze, gdy ktoś przychodził wezwać ich, by „odebrali” zmarłego, lub które brały ze sobą kobiety z Gminy, gdy wzywano je do tej pracy. Całunów tych, jak się dowiedziałem, nigdy nie wietrzono, a zdarzało się, że używano ich nawet kilka razy dziennie do „odbioru” nieboszczyka. W pomieszczeniu tym stała również skrzyneczka, w której zanoszono na cmentarz poronione płody lub martwo urodzone dzieci. Dodać należy, że jeden z dwóch pracujących w Gminie ludzi z Chewry Kadiszy, którzy zajmowali się „załatwianiem” spraw ze zmarłymi, miał jeszcze dodatkowe zajęcie. Każdego piątku skupował od chłopów, przyjeżdżających na Rynek Nowego Miasta, skórki zajęcy i królików. Naciągał je na ramki i suszył w tym samym pomieszczeniu, w którym znajdował się sprzęt do obsługi zmarłych. Wtedy zapach z tego pomieszczenia roznosił się po całym lokalu Gminy, ale nikt jakoś nie wiedział, skąd się on bierze.

Druga część biura Gminy była umeblowana już lepiej. Składała się z dwóch dużych salonów rozdzielonych szklanymi drzwiami, które można było rozsunąć, stwarzając w ten sposób dużą salę do zebrania. W salach tych znajdowały się piękne meble w starym stylu – niewysokie mahoniowe szafki ze szklanymi drzwiczkami i pięknie kutymi mosiężnymi zamkami. Na ścianach wisiały obrazy, a wśród nich portret największego łódzkiego bogacza i dobroczyńcy, Izraela K. Poznańskiego oraz, ma się rozumieć, obrazy z podobiznami carskiej rodziny. Było tam też kilka masywnych biur, szerokie i długie stoły do posiedzeń zarządu Gminy, a pod ścianami stały w rzędzie wypłatanе krzesła dla zebranych. Sekretarz Gminy, Paweł, czy też Perec Karp miał duży, miękki fotel, na którym zasiadał jeszcze jego ojciec, Ruben Karp, gdy zajmował to stanowisko. Salon oświetlały dwa ozdobne żyrandole, używane podczas posiedzeń zimowych zarządu Gminy. Z pomieszczeń tych przez pięknie rzeźbione, szerokie drzwi przechodziło się do innego salonu, w którym również od czasu do czasu odbywały się zebrania. W tym mniejszym saloniku, z wielkimi oknami wychodzącymi na Nowe Miasto przyjmowano

gości specjalnych, jak na przykład syna starego Poznańskiego, Morycy¹⁰³, czy milionera Szaję Rozenblatt¹⁰⁴ lub inne grube ryby łódzkiego przemysłu włókienniczego. Krzesła obciążone były białymi obiciami, a stół nakryty bogato wyszywanym obrusem. Na stolikach w rogach pokoju stały drogie wazy, a na ścianach wisiały obrazy olejne. Były tam również dwie stare szafy ze starodrukami i rosyjskimi kodeksami traktującymi o powstaniu gmin żydowskich w Rosji oraz jeszcze jedna, w staropolskim stylu, z książkami o gminach żydowskich w Polsce jeszcze przed rozbiorami. Szafy te były ciągle zamknięte i tylko sekretarz główny, Karp, miał do nich klucze. Wszystkie okna tego saloniku wychodziły na Nowe Miasto i musiano ciągle mieć zaciągnięte zasłony, ponieważ słońce zalewało je światłem. Dlatego panował tam zawsze półmrok. Wystarczyło jednak podnieść nieco brzeg długiej zasłony, by oczom ukazał się widok dużego okrągłego placu Rynku Nowego Miasta z budynkiem Magistratu, kościołem ewangelickim oraz sporym ruchem, który tam panował.

Rynek Nowego Miasta był centralnym punktem pulsujących życiem arterii miasta: ulicy Piotrkowskiej, Konstantynowskiej, Średniej i Nowomiejskiej. Przez plac przejeżdżały tramwaje we wszystkich czterech kierunkach. Panował tam zawsze duży ruch dorożek, fur i przechodniów, który trwał do 8–9 wieczorem. Potem plac cichł, aż w końcu zapadał w nocną drzemkę. W tych godzinach jego spokój zakłócał tylko duży zegar na budynku Magistratu z podświetlanym białym cyferblatem, który monotennie, lecz wystarczająco głośno wybijał godziny. W zakłócaniu ciszy nocnej pomagał mu dzielnie jego bliźniak, wielki zegar na budynku Banku Hipotecznego przy ulicy Średniej 19. Pomiędzy tymi zegarami była swego rodzaju zmowa. Gdy jeden kończył wybijać godziny, dawał o sobie znać drugi, mniej więcej z pięciominutowym opóźnieniem. Po kilku godzinach harówki przy stole do przyjmowania gminnych petentów przyjemnie było podejść do dużego okna wychodzącego na Nowe Miasto i zobaczyć przed sobą inny widok niż ten w Gminie i odetchnąć innym powietrzem niż zaduch, jaki panował w lokalu. Przy okienku dla odwiedzających nieraz trzeba było wysłuchiwać gorzkich płaczów opuszczonych biednych wdów z sierotami, wczytywać się w stare pożółkłe papiery, by odszukać nazwisko czy datę urodzenia jakiegoś Żyda, zmarłego nie wiadomo ile lat temu, lub nawdychać się kurzu ze starych rosyjskich kodeksów, by odnaleźć odpowiedni paragraf. Wystarczyło jednak zrobić kilka kroków, a oczom ukazywał się zupełnie inny widok, szczególnie w piątkowe poranki. Wtedy można było zobaczyć kolorową Polskę, prawdziwą polską wieś z łódzkich okolic. Roilo się tam od chłopów i chłopek, którzy przywozili na sprzedaż swe wiejskie produkty. Ludzie, konie, bydło i drób mieszały się tam z owocami i warzywami. Z okien Gminy ujrzyć można było piękny barwny obraz, który przyciągał wzrok i oczarowywał zmysły. Piątkowy targ był jak obraz, który artysta – sam lud – kunsztownie wymalował.

¹⁰³ Moryc (Maurycy) Poznański (1868–1937) – najmłodszy syn Izraela Poznańskiego. Fabrykant, działacz społeczny i polityczny.

¹⁰⁴ Szaja Rosenblatt (1841–1921) – właściciel kompleksu fabrycznego (tkalnia, bielnik, farbiarnia) między ulicami Długą, Karola, Pańską i Radwańską. Po 1945 r. teren wraz z budynkami został przekazany nowo powstałej Politechnice Łódzkiej,

Praca w Gminie jednak wzywała i trzeba było wrócić do spowitej półmrokiem sali, pokoiku zmarłych oraz do rozhisteryzowanych i pełnych zwątpienia petentów, którzy przybyli tu szukać pomocy lub po prostu wylać żal ze swego zgorzkniałego serca.

W działalności łódzkiej Gminy przed I wojną światową panował wewnętrzny porządek oparty na porach roku. Inaczej wyglądało to zimą, inaczej latem, inaczej wiosną i inaczej jesienią. Jeden tylko aspekt pozostawał niezmienny: praca Wydziału Pogrzebowego, czyli Chewry Kadiszy, która zawsze miała co robić. Żydzi umierali zawsze i nie było dnia w tygodniu, w którym Anioł Śmierci nie kosiłby swoją kosą. Jednak latem było mniej przypadków śmierci niż zimą, a wiosną – mniej niż jesienią. Oprócz, ma się rozumieć, wyjątkowych lat, gdy w mieście szerzyły się epidemie. Nie było takiego dnia w tygodniu, oprócz oczywiście szabatu, żeby do Gminy nie przychodziły dziesiątki ludzi w sprawie pogrzebu, wystawienia macewy lub po prostu po informacje o zmarłych członkach rodziny, by dowiedzieć się, kiedy zmarli i w jakim miejscu ich pochowano. Niedzielami i późną jesienią pracowano w Wydziale Pogrzebowym nawet po zmroku. Zimowe piątki były bardzo krótkie, dlatego od popołudnia poprzez szabat zdążyła się zawsze nabrać duża liczba zmarłych, szczególnie podczas zimnych dni, gdy buszował tyfus. Liczba nieboszczyków w takie niedziele dochodziła do 30, podczas gdy przeciętnie, w spokojnych miesiącach, nie było ich więcej niż 5–8, a w gorszych dniach – do 10, wliczając w to poronienia i urodzone martwo dzieci, dla których również należało mieć świadectwo zgonu i zgodę na pochówek na cmentarzu. Co zrozumiałe, proporcjonalnie największa liczba zgonów była udziałem łódzkiej biedoty: Starego Miasta i Bałut. Nie tylko dlatego, że biedacy stanowili większość łódzkiej społeczności, lecz również dlatego, że w biednych dzielnicach panowała nędza i głód, ścisk w mieszkaniach i straszliwe warunki sanitarne były tam naprawdę nieludzkie.

Trzeba było na własne oczy zobaczyć te ulice i zaułki, domki i mieszkania, w których żyły żydowskie rodziny. Od czasu do czasu zdarzało mi się odwiedzać te podwórka i izby. Warunki życia łódzkiej ludności robotniczej, czy też po prostu biedoty, były przerażające, szczególnie oczywiście zimą – uliczki z małymi, w większości drewnianymi domkami, które od lat już nie widziały nawet kropli świeżej farby. Często na podwórzach tych domków stała jeszcze jedna lub dwie oficyny, zbudowane z czerwonych, nieotynkowanych cegieł. Mieszkania – małe i przepełnione młodymi, starymi i dziećmi. Latem dzieciaki same wychowywały się dworze, a starcy żażywali świeżego powietrza przed bramami lub na podwórkach, o ile na nich nie pracowano. Zimą jednak drzwi były zamknięte z powodu dotkliwego zimna i wszyscy gnieździł się w ciasnocie izb. W Łodzi nie było kanalizacji ani instalacji wodnej. Wszyscy lokatorzy musieli więc chodzić „na dół”, na podwórko. Toalety były zamarznięte i zasypane śniegiem i nie można było do nich dojść nie wystawiając się na niebezpieczeństwo poślizgnięcia. Woda również często zamarzała w rurach i ci, co mieli ten przywilej posiadania wody w mieszkaniach i zlewów musieli często zimą nosić wodę ze studni na podwórku, czasem nawet z drugiego podwórza. Jeżeli rury nie były dobrze owinięte słomą i zabezpieczone przed mrozem, często pękały. Na schody niebezpiecznie było wchodzić z powodu dzieci, które

przynosiły co prawda wiadro, lub czajnik wody, ale połowę po drodze rozlewały. Również pomyje, które wynoszono na podwórze, rozlewały się na schodach. Okna na klatkach schodowych często miały powybijane szyby i gdy złapał tęgi mróz, rankami na schodach i na korytarzach było bardzo ślisko. Panował tam straszny smród, aż niedobrze się robiło. W takich „higienicznych” warunkach oraz straszliwej nędzy, panujących na Bałutach i Starym Mieście, bryłka węgla czy kropla mleka były istnym luksusem, nie mówiąc już o doktorze czy kupnie lekarstw, czy może dziwić fakt, że tyfus czy dyzenteria szalały w zimowe miesiące w biednych, zimnych i ciemnych mieszkaniach?

Jeżeli ktoś zmarł na chorobę zakaźną, musiano natychmiast wysłać karawan, ponieważ rodzina nie mogła długo trzymać zmarłego w mieszkaniu. Zagrożenie dla sąsiadów było zbyt duże. Wysyłano więc wóz, zanim jeszcze dopełniono wszelkich formalności. W sali przedpogrzebowej niebezpieczeństwa zarażenia już nie było i rodzina przychodziła na pogrzeb później. W niedzielę rano w Wydziale Pogrzebowym panowało zawsze wielkie zamieszanie. Wszyscy chcieli być jak najszybciej obsłużeni i aby to osiągnąć, uciekano się nawet do kłamstw. Oczywiście urzędników Gminy nie dało się tak łatwo oszukać. Często zdarzało się, że z powodu dużej „frekwencji” musiano wyprawiać pogrzeby nawet wieczorami, by zmarły nie leżał w mieszkaniu u rodziny. Wywożono go więc na cmentarz i zostawiano do rana w tamtejszej kostnicy. Jednak i latem zdarzały się okresy, gdy liczba zgonów, szczególnie wśród dzieci, była bardzo duża. Działo się tak z powodu szalejącego duru brzuszego. Mówiono, że bierze się to ze złej wody, która była w Łodzi, lub z antyhygienicznych warunków życia panujących w letnie miesiące.

Latem w piątki kończono pracę nieco przed błogosławieństwem świc. Zdarzało się jednak, że właśnie w momencie, gdy zamykano lokal, wpadała jakaś wzburzona i zapłakana Żydówka i żądała, by wysłać karawan, bo umarło jej dziecko. Jest lato, a ona mieszka w małej izdebce z gromadką dzieci. Jest już jednak późno, skąd wziąć teraz karawan, który znajduje się daleko na Starym Cmentarzu, a tu zaraz trzeba zapalać świece. Jednak żadne słowa nie pomagają, kobieta bije się pięściami po głowie i wrzeszczy, że nie odejdzie, póki nie wyślą karawanu. W końcu stanęło na tym, że jeden z dwóch ludzi z Chewry Kadiszy weźmie dorożkę i pojedzie do kobiety, ubierze dziecko tak, żeby wyglądało jak żywe i zawiezie je na cmentarz. Ludzie z Chewry Kadiszy mieli swoich dorożkarzy, którym mogli powierzyć taką robotę. Jednak biedna kobieta nie miała pieniędzy na opłacenie dorożki, więc my, personel wyłożyliśmy pieniądze, pod warunkiem, że dostaniemy je w niedzielę z powrotem. Kobieta uspokojona poszła więc do domu czekać na dorożkę.

Inny przypadek zdarzył się z żydowską prostytutką, która zmarła w polskim szpitalu na chorobę zakaźną. Zatelefonowano do gminy w piątek po południu, że jeżeli nie odbierze się zaraz zwłok, zostaną one pochowane na polskim cmentarzu. Zmarła nie miała nikogo, wysłaliśmy więc karawan do szpitala i odwieźliśmy ją na żydowski cmentarz. Na taką kategorię zmarłych przeznaczone było na cmentarzu specjalne miejsce, gdzie ich chowano i nikomu nie przyszło nawet do głowy, żeby nie zezwolić na chowanie prostytutek czy alfonsów na żydowskim cmentarzu.

WYDZIAŁ POGRZEBOWY W GMINIE

Był to najaktywniejszy wydział i z finansowego punktu widzenia najważniejszy. Prowadził go osobiście sekretarz Gminy P. Karp, a jego pomocnikiem był Jankiel Majerowicz. Obaj mieli wielkie poważanie i znali praktycznie całą Łódź, a przynajmniej jej najzamożniejsze kręgi. Karp był typem łódzkiego żydowskiego asymilatora ze wszystkimi cechami urzędnika instytucji dobroczynnych. Otrzymał świeckie wykształcenie i opanował biegle trzy języki: polski, rosyjski i niemiecki. Również w jidysz mówił płynnie, jak każdy łódzki Żyd. Jednak jak przystało na asymilatora, traktował on ten język jak „żargon”, którym posługują się tylko zacofane masy żydowskie. Dlatego oficjalnie w kontaktach z klientami Gminy używał zawsze polskiego i tylko z Żydami w kapotach i z pejsami oraz z prostym ludem rozmawiał w jidysz. Nienawidził jidyszowych gazet i nie chciał ich nawet wziąć do rąk. Gdy mówiono mu, że w „Lodzer Togblat” atakują Gminę, wpadał w gniew i zaczynał wyklinać „żargonową” prasę. Jednak po cichu chciał się dowiedzieć, co tam pisano. Groził, że gdy tylko w Gminie pojawi się jakiś reporter z tej gazety, zrzuci go ze schodów. Były to jednak tylko groźby, gdyż najbardziej znany w tym czasie łódzki reporter, Gecel Ajzner, wpadał do nas do kancelarii gminnej kilka razy w tygodniu i dostawał ode mnie dane statystyczne o liczbach zgonów w ciągu tygodnia oraz inne wiadomości z życia Gminy.

Drugim człowiekiem po Karpie, który zajmował się Wydziałem Pogrzebowym, był Jankiel Majerowicz. Również on, podobnie jak Karp, był właścicielem kamienicy, tyle że na Starym Mieście. Traktowano go jednak jako zubożałego bogacza, bo w Gminie nie pracował honorowo, tylko za pensję. O ile Karp wiódł się całkiem z niemiecka, po asymilatorsku, a w jego mieszkaniu nie prowadzono już koszernej kuchni, o tyle Majerowicz był chasydem, choć już z przyciętą brodą. Chodził ubrany bardzo czysto, z laską i w białych rękawiczkach. Nosił czarny płócienny kapelusz ze wstążką. Mieszkał na rogu Zgierskiej i Staromiejskiej i Żydzi z tej okolicy często przychodzili do niego załatwiać różne gminne sprawy.

Oprócz tych dwóch urzędników gminnych do Wydziału należeli jeszcze: Zygfryd Lande, Józef Monic, Hejman Moszkowicz i Ezra Szykier.

Zygfryd Lande¹⁰⁵ należał do kręgu żydowskich asymilatorów. Mówił w łódzkiej mieszaninie jidysz i niemieckiego i był człowiekiem bardzo roztargnionym. Mówiono, że to jego roztargnienie brało się stąd, że jego jedyny syn był psychicznie chory. Lande nadzorował również żydowski dom dla umysłowo chorych i przytułek, które znajdowały się na Starym Cmentarzu przy ulicy Wesołej, niedaleko od Starego Miasta. Zajmował się tym z dobroci serca, być może dlatego, że to właśnie jego spotkało takie nieszczęście. Krzyczał na biedaków, ale w końcu im ustępował. Był właścicielem dużego domu przy Piotrkowskiej 7 oraz dużym akcjonariuszem łódzkiego banku, miał więc sporo czasu, który mógł poświęcić sprawom Gminy. Przychodził tam codziennie. Był urodzonym

¹⁰⁵ Zygfryd Lande (1855–1935) – właściciel kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 7, działacz Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości.

łodzianinem i znał całą masę ludzi. Wołano na niego zdrobniale „Zyguś Lande”. Znał także całą masę kawałów i często, gdy targował się z klientem o sumę, którą żądał za miejsce do pochówku, rzucał jakiś żart, z którego sam się śmiał.

Interesującą figurą był członek Dozoru Józef Monic. Był to starszy już człowiek z ogolonymi policzkami i długimi siwo-żółtymi, polskimi wąsami. Był wysoki, miał szlachetną twarz i jasnoniebieskie oczy i ze swą figurą oraz ubiorem – sztywnym kapeluszem, kołnierzykiem i muszką wyglądał na polskiego szlachcica. On również mówił łódzkim niemiecko-jidysz i był wielkim formalistą. Nie ufał nikomu i z każdej decyzji żądał spisania protokołu. Lata wcześniej miał wielki sklep żelazny, jednak później go zlikwidował i żył z wielkiej kamienicy, którą miał przy Piotrkowskiej nr 10. Rodzina Moniców również należała do łódzkich asymilatorów i jak wszyscy asymilatorzy bardzo szanował on przedmioty kultu. Od niego usłyszałem raz uwagę pod moim adresem, która zabrzmiała bardzo dziwnie, jednak potem się spełniła. Pewnego razu do lokalu wdarła się grupa bezrobotnych i żądała wsparcia. Józef Monic wysłał woźnego, by zawołał policję. Bardzo mnie to zmartwiło i wyrwało mi się, że nie powinien tak robić. Na to Monic powiedział mi zdenerwowany: „Jesteś rewolucjonistą i skończysz w więzieniu”. I lata później jego proroctwo się spełniło.

Hejman Moszkowicz był najbardziej zaangażowanym członkiem Wydziału Pogrzebowego. Mieszkał niedaleko od gminy, na ulicy Nowomiejskiej, gdzie miał też sklepik z puchem i pierzem. Gdy wszyscy członkowie Wydziału wyszli już z gminy, posyłano właśnie po niego, by podpisać dokumenty pogrzebowe. Należał do łódzkich „Niemców” i mówił mieszaniną niemieckiego i jidysz. Z jego wyglądu zewnętrznego można by wnioskować, że należał do asymilatorów. Był wysokim, zażywnym i wesołym „mieszczaninem” z gładko wygoloną twarzą i siwymi bokobrodami, jak u stangreta w karecie Poznańskiego. Te bokobrody były jego wielką dumą. Nie miał dzieci i cały swój wolny czas poświęcał cmentarzowi i jego potrzebom. Wraz ze swoją żoną, również w typie żydowskiej Niemki, z tłustymi, wysoko zaczesanymi włosami na głowie, zwieńczonej kokiem, jeździł często dorozką na cmentarz, aby zobaczyć, czy wszystko tam w porządku. Podróże te, rozumie się, opłacał z własnej kieszeni. Każdego dnia do południa przychodził do gminy, choćby nie wiem, jak lało i grzmiało – niemiecka punktualność i dyscyplina, choć pochodził z terenów Polski, położonych niedaleko pruskiej granicy.

Bardzo sympatyczny był reb Ezra Szykier¹⁰⁶, również członek Wydziału Pogrzebowego. W tamtym czasie miał już ponad siedemdziesiąt lat, ale trzymał się bardzo dobrze. Był wysoki, miał piękną, smukłą figurę, bujną patriarchalną brodę i brązowe oczy pod gęstymi brwiami, przez co wyglądał bardzo dostojnie, przyciągając na ulicy spojrzenia przechodniów. Kto go znał, pozdrowiał go z szacunkiem: „Dzień dobry, reb Ezra”. Mieszkał niedaleko gminy, na rogu Nowomiejskiej i Północnej. Stała tam jego potężna kamienica, na parterze której znajdował się jego słynny skład z winem. Piwnice domu pełne były beczek i butelek z winami, a w sklepie zawsze było pełno klientów, szczególnie w przededniu świąt. Ezra Szykier był wielkim bogaczem, ale nosił się bardzo skro-

¹⁰⁶ Ezra Szykier żył w latach 1842–1922.

mnie, a w jego mieszkaniu panowała ojcowska atmosfera. Mieszkał na pierwszym piętrze swej kamienicy, nad sklepem, zajmując duże mieszkanie, zastawione szafami i kredensami, w których błyszcząły *besaminki*¹⁰⁷, świeczniki szabatowe i chanukowe¹⁰⁸, kandelabry, wielkie i kanciaste tace oraz spora ilość zastawy stołowej z nożykami do owoców i kielichami.

Mogłem dobrze przyjrzeć się jego salom i salonom, gdyż od czasu do czasu odwiedzałem go w sprawach gminy lub przynosiłem do podpisania papiery. Nie był chasydem, w domu zasiadał na swym patriarchalnym krześle w jedwabnej jarmułce, a nie, jak mieli w zwyczaju chasydzi – w aksamitnej. Pejsy miał ostrzyżone na krótko. Był typem łódzkiego kamienicznika, który ściśle przestrzegał zasad judaizmu, ale do żadnego rebeego nie jeździł.

Przed domem Szykiera codziennie ustawiała się kolejka biedaków, Żydówek i Żydów, która ciągnęła się od bramy aż na schody, prowadzące do kuchennego wejścia. Służba miała przykazane przez panią Szykier¹⁰⁹ (kobietę średniego wzrostu o dobronasnej twarzy i tureckim szalu zarzuconym na plecy), by dawała biedakom coś do jedzenia. Ezra Szykier przychodził do gminy codziennie, zajmując się „załatwianiem zmarłych” lub wysłuchiowaniem prośb potrzebujących. Jak już wspominałem, dziennie było około dziesięciu zgonów, w niedzielę – dwa razy tyle lub więcej. Dozorcy z tego wydziału nie zajmowali się wszystkimi zgonami, tylko tymi z bogatszych rodzin, które stać było na wykupienie miejsca pochówku. Mieli oni dwa zadania: ustalić wysokość opłaty oraz wyznaczyć miejsce dla osób, które mogły je opłacić. W tym celu ustawiono przy ścianach stoły, na których znajdowały się wielkie i grube księgi, zawierające cały plan nowego cmentarza żydowskiego. Jego powierzchnia podzielona była na kwartały, poprzedzielane alejami lub uliczkami, tworzącymi prostokąty z miejscami pochówku. Kwartały oznaczone były literami rosyjskiego alfabetu. Fragmenty już wypełnione były przekreślone. Jeżeli ktoś zarezerwował sąsiednie miejsce, również oznaczano je na planie jako zajęte. Dzieci chowano w specjalnych miejscach, podobnie jak kobiety, z wyjątkiem „Niemców”, którzy mieli groby rodzinne. Były miejsca honorowe, miejsca dla zwykłych ludzi oraz dla biedoty. Do honorowych miejsc zaliczały się takie, na których pochowani byli rabini, wielcy uczeni lub szanowani chasydzi. „Niemców” chowano w specjalnej alei, oczywiście w centralnym miejscu, chasydów i bogaczy oraz zwykłych robotników – w specjalnych miejscach.

Poza samym pogrzebem nie było nigdy większych trudności. Dozorcy znali prawie wszystkich szanowanych ludzi w mieście i szybko decydowali, gdzie kogo pochować. Trudniej było wyznaczyć sumę za miejsce. Przeważnie działało się to tak, że gdy zmarł jakiś szanowany człowiek albo bogacz, dowiadywano się o tym natychmiast i nie czekając

¹⁰⁷ *Besaminka* – puszka na wonności używana podczas ceremonii *Hawdali*.

¹⁰⁸ Świecznik chanukowy – dziewięcioramienny świecznik używany podczas święta Chanuka obchodzonego przez osiem dni począwszy od 25 dnia miesiąca *kislew* (listopad–grudzień) na pamiątkę ponownego poświęcenia Świątyni Jerozolimskiej po zbezczeszczeniu jej przez Antiocha IV (II w. p.n.e.). Jednym z głównych elementów święta jest zapalenie świec na świeczniku chanukowym.

¹⁰⁹ Sara Szykier, z domu Poznańska, urodziła się w 1843 r. w Kowalu.

na posiedzenie wydziału, jego członkowie telefonicznie porozumiewali się między sobą co do wysokości sumy. Z łódzkimi asymilatorami i niemieckimi Żydami negocjacje odbywały się bardzo łatwo i szybko. W tych sferach się nie targowano. Przy chasydach i kamienicznikach sprawa była trudniejsza – gmina wyznaczała sumę, ale rodzina zawsze próbowała coś utargować.

Minimalna cena za miejsce pochówku wynosiła 18 rubli. Bogatsi musieli zapłacić 36, a niektórzy nawet sto. Powyżej stu rubli była już kategoria bogaczy, co nie oznaczało, że nie żądano tysiąca, a nawet pięciu tysięcy rubli. Zdarzało się to jednak tylko w przypadku łódzkiej „śmietanki”. Ponadto należało również zapłacić za karawan. Pogrzeb pierwszej klasy odbywał się „rzeźbionym” karawanem. Był to czarny pojazd o rzeźbionych ściankach na kołach z gumowymi oponami, zaprzęgnięty w parę czarnych koni ze srebrną uzdą. Taki pojazd dawano tylko bogatym „Niemcom”. Chasydzi i kamienicznicy takiego karawanu nie chcieli.

Druga klasa nie miała już rzeźbionych ścianek i drzwiczek i była cała przykryta czarnym płótnem. Chewra Kadisza nazywała go przez to „płóciennym karawanem”. Również konie przykryte były czarnymi derkami, ale nie miały srebrnej uprzęży. Taki karawan był znacznie tańszy niż ten pierwszej klasy.

Trzecia klasa była dla pospólstwa – czarny lakierowany karawan, zaprzęgnięty w zwykłe konie. Często taki karawan ciągnął tylko jeden koń, a czarna derka na nim była nieco sfatygowana. Miał on też koła na żelaznych obręczach, przez co podskakiwał na kamiennym bruku. Również woźnica był inny.

Karawanem pierwszej klasy powoził Josel Cac – szef woźniców. Swoją funkcję odziedziczył jeszcze po ojcu. Był wysoki, gruby, z czarnymi, płonącymi oczami, których wystraszyć by się mógł sam Anioł Śmierci. Siedział w czarnej liberii i czarnym kapeluszu na wysokim czarnym koźle i z wyższością trzymał w swych dłoniach w czarnych rękawiczkach srebrne, szerokie, błyszczące lejce, jadąc powolutku, tak jak pasuje to przy niemieckich pogrzebach.

Karawanem drugiej klasy również powoził woźnica imieniem Josel, jednak już bez honorowego przezwiska, jak ten pierwszy. Nie był też tak odświętnie ubrany. Nosił co prawda czarny płaszcz i pelerynę, jednak były one już dość mocno zniszczone. Gdy przesuwał kapelusz, na jego głowie ukazywała się łysina.

Karawanem trzeciej klasy powoził zwykły furman, którego chałat był przewiązany zwykłym paskiem. Czasami śmigał nim też konie po zadzie, gdy te szły zbyt leniwie.

Do wydatków na pogrzeb gmina doliczała także całuny, które szyto w domu zmarłego, lub na cmentarzu. Była też specjalna taksa za czuwanie przy zwłokach.

W gminie było dwóch zatrudnionych na stałe urzędników, którzy zajmowali się zarówno osobami, które przychodziły załatwiać sprawy związane z pogrzebem, jak i „znoszeniem” zmarłych – wynoszeniem trumny i odmawianiem przy tym psalmów. Jednym z nich był Abraham Heber, dobrze zbudowany Żyd z piękną białą brodą, który pełnił tę funkcję już od wielu lat, „znosząc” zmarłych i „przykrywając”, czyli zapewniając im światło oraz inne rzeczy niezbędne do pogrzebu. Pochodził on z bardzo szanowanej

rodziny, jego ojcem był reb Mordechaj Gabaj, którego imieniem nazwano jedną z ulic na Starym Mieście. Reprezentował on prawdziwy typ człowieka z Chewry Kadiszy: zawsze po „załatwieniu” trupa – wyniesieniu go, okryciu czy zapaleniu świeczki u jego wezgłowia – szedł na kielicha. Gdy zaś nie miał „pracy”, także szedł na kielicha, by się nie nudzić. W okolicy gminy była żydowska knajpa. Tam Abraham Heber miał swoje specjalne miejsce, a pić potrafił solidnie. Jego współnikiem był drugi grabarz w gminie, Szlojme Lederman. Panowała między nimi taka cicha wojna. Jeden mówił na drugiego, że pije za dużo. Jednak młodszy – Szlojme – nie mógł wygryźć starszego kolegi z szynku.

Gdy umarł jakiś biedak, pracy przy nim nie było zbyt wiele. Wszystko dostawał za darmo, nawet karawan, gdy rodzina nie miała pieniędzy, by zapłacić rubla i 50 kopiejek. Karawan był oczywiście trzeciej klasy, za darmo dawano również całun. W komórcie za lokalem gminnym był cały skład białego płótna. Pytano żałobników, jak wysoki był zmarły i czy był gruby, aby wiedzieć, ile łokci płótna będzie potrzebne na całun. Na początku cała ankieta odnośnie do fizycznych cech zmarłego wprawiała mnie w zawstydzenie. Dla kobiety zmarłej w połogu trzeba było szyć specjalny całun (z kapturem i innymi dodatkami).

Zmarłymi kobietami zajmowały się dwie stare członkinie Chewry Kadiszy: Chawa i Bajla. Przychodziły codziennie rano do gminy i czekały w pomieszczeniu za drucianą siatką. Również one miały czarne derki, z którymi chodziły do zmarłych kobiet, aby uczynić im ostatnią posługę. Często siedziały nad zwłokami przez całą noc. Same zresztą wyglądały jak żywe trupy. Chawa miała szeroką, sinawą i złą twarz z kilkoma dużymi czarnymi pieprzykami i dwojgiem małych, mętnych oczu. Była otyła i nalana i miała bardzo grube nogi, przez co cały czas skarżyła się, że nie może chodzić. Druga z nich, Bajla, była bardzo ruchliwa i miała niebieskie, wylupiane oczy. Z górnej wargi oraz z pieprzyków na twarzy sterczały jej czarne, sztywne włosy. Obie kobiety nosiły czepki, a na plecach czarne, grubo tkane szale. Obie lubiły wypić kielicha i często były podchmielone. Oczywiście do biedaków nie chodziły. Za to często po pogrzebie szły za bogatymi niemieckimi Żydami, by wyprosić dla siebie ubrania po zmarłych.

Pierwszą „śmietankę” z bogatych zmarłych spijała gmina i jej urzędnicy; po niej rabinat, a potem dopiero sam cmentarz ze swym sztabem grabarzy, kantorów, płaczków i innych żebraków. Formalności związane z pogrzebem były skomplikowane i wymagały sporo biegania i zawracania głowy. Z reguły najpierw przychodziło się do Wydziału Pogrzebowego w gminie, by zameldować, że ktoś umarł oraz otrzymać informacje, co robić dalej. Gdy przychodził jakiś biednie ubrany człowiek, dostawał wskazówki, jak załatwić wszystkie niezbędne formalności. Gdy jednak przychodził jakiś bogacz, brali go w swoje ręce Abraham i Szlojme i załatwiali wszystko za niego. Oczywiście potem wystawiali mu za to słony rachunek. Gdy umierał wielki bogacz, sam Karp załatwiał za rodzinę wszystkie formalności, a potem, po pogrzebie, wystawiał rachunek. Wspomnieć należy, że martwo narodzone dzieci grzebano bez żadnych papierów, tylko na podstawie zaświadczenia z gminy. Gdy zarządca cmentarza dostawał takie zaświadczenie, grzebał dziecko. Obcięte ręce czy nogi (po operacji) również grzebano, jednak bez żadnych formalności.

STARY I NOWY CMENTARZ

W Łodzi były dwa żydowskie cmentarze – stary i nowy. Na starym od lat już nikogo nie chowano¹¹⁰. Był dowodem na to, jak szybko rozwinęła się dzielnica żydowska. Znajdował się dokładnie w jej centrum, o minutę drogi od gęsto zamieszkałych żydowskich uliczek, jak Lutomska czy Ogrodowa. Przed laty cmentarz znajdował się na uboczu, daleko od miejsca, w którym koncentrowało się osadnictwo żydowskie. Dziwnym trafem uliczka z małymi starymi domkami prowadząca do cmentarza nazywała się Wesoła. Na cmentarz mówiono „dobre miejsce” albo „dom życia” i może dlatego uliczkę nazwano właśnie w ten sposób. Cmentarz nie był wielki i widać było, że pierwsi żydowscy ojcowie miasta nie mieli wizji Łodzi jako przyszłego największego centrum przemysłu tekstylnego w Polsce czy nawet w Rosji i najbogatszego miasta w Kongresówce. Na starym cmentarzu panowała absolutna cisza, ponieważ rzadko kto odwiedzał tamtejsze groby. Duże, stare drzewa chroniły nagrobki przed deszczem, wiatrem i zimnem, a ich napisy opowiadały o ludziach, którzy przybyli do Łodzi ze wszystkich zakątków Polski, Litwy i Rosji. Na cmentarzu był spokój, choć tylko o kilka minut drogi życie tętniło i przelewało się na łódzkich ulicach. Tylko raz w roku stary cmentarz ożywał. Było to w wieczór przed Jamim Noraim, gdy masowo odwiedzano groby.

Niedaleko od cmentarza był położony dom i schronisko dla umysłowo chorych¹¹¹. Miejsce to i sam zakład omijano z daleka, ponieważ był prawdziwym piekłem na ziemi. Przynajmniej na mnie zrobił takie wrażenie, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy. W zakładzie przetrzymywano chorych umysłowo, nieuleczalnych wariatów, których rodzice i krewni już dawno się wyrzekli. Był on utrzymywany przez gminę, a z powodu braku miejsca nie wszyscy chorzy mogli być tam przyjęci. Istniał jeszcze jeden taki zakład, poza Łodzią, jednak był on urządzony w sposób bardzo nowoczesny¹¹².

Zakład dla umysłowo chorych gminy składał się z prostego domu z zakratowanymi oknami, a „wychowawcami” i „doktorami” byli po prostu Żydzi i goje dysponujący odpowiednią siłą. Nie stosowano żadnych terapii. Trzymano tam po prostu dziesiątki chorych, mężczyzn i kobiet w warunkach urągających wszelkiej higienie i karmiono głodowymi racjami. Pilnowano ich tylko, żeby sobie nic nie zrobili, albo nie uciekli z zakładu. Byli wśród nich cisi, melancholijni chorzy, ale również całkiem dzicy, którzy swoim wyciem rozdzielali serca nielicznych odwiedzających. Byli też tacy, którzy zostali opętani manią wielkości oraz ludzie w ekstazie religijnej, powtarzający całymi dniami wersety z psalmów.

¹¹⁰ Stary cmentarz żydowski znajdował się na Bałutach przy ul. Wesołej. Założony został w 1811 r., a ostatni pochówek miał na nim miejsce prawdopodobnie w 1922 r. Rozebrany częściowo w czasie II wojny światowej, zlikwidowany ostatecznie w 1949 r. w czasie przebudowy ul. Zachodniej. Nowy cmentarz przy ul. Okopowej otwarto w 1892 r.

¹¹¹ Szpital ten mieścił się w dawnym domu przedpogrzebowym przy ul. Wesołej.

¹¹² Autor wspomina o otwartym w 1902 r. Szpitalu dla Psychicznie i Nerwowo Chorych w podłódzkiej miejscowości Kochanówka, będącym w tym okresie jednym z najnowocześniejszych szpitali tego typu w Europie.

Jedna prześliczna dziewczyna, z czarnymi aksamitnymi oczami stała przy kracie i prosiła mnie, bym ją wypuścił, ponieważ dziś jest jej ślub. Jej piękne czarne włosy spływały na smukłe ramiona. Miała na sobie porwaną i wystrzępioną bluzkę, a spod dziurawego ubrania wyglądało nagie ciało. Zatrzymałem się i patrzyłem na nią z daleka. Prosiła, bym ją stamtąd zabrał, gdyż chce do swego narzeczonego. Widząc mój brak reakcji, napłuła mi w twarz i dziko się roześmiała.

Nieco dalej, przy drugiej kracie stała starsza kobieta z ogoloną głową. Iskała się jak małpa... Obrzucała przy tym przekleństwami strażnika zakładu, wołając, że chce go zabić.

Kierownikiem zakładu był reb Berisz Kuperminc, człowiek o poważnej twarzy, uczony chasyd, choć nieco oświecony, który pokazał mi zakład, ostrzegając mnie, bym nie zbliżał się do chorych, bo mogą zrobić mi krzywdę. Z okna niósł się gorzki płacz. Berisz Kuperminc tłumaczył mi, że niektórym chorym, gdy mają akurat atak, trzeba zakładać specjalne kaftany bezpieczeństwa i trzymać w izolatce. Uwalniano ich dopiero, gdy się uspokoili. Byli wśród chorych tacy, z którymi można było nawet dłużej porozmawiać nie zauważając, że są psychicznie chorzy. Dopiero przy jakiejś drobnostce albo dziwnym komentarzu można było się zorientować.

Pierwszy raz w życiu widziałem taki zakład z chorymi. Wrażenie było przygnębiające. Nie rozumiałem, dlaczego trzyma się najniebezpieczniejszych z najniebezpieczniejszych właśnie na cmentarzu. Nie wiedziałem jednak też, co można zrobić, by tym chorym jakoś ulżyć w ich gorzkim losie. Byłem jeszcze w wieku, gdy na wszystkie strony życia patrzy się młodym, naiwnym i niedoświadczonym spojrzeniem.

Zupełnie inaczej wyglądał cmentarz na Marysinie pod Łodzią. Przede wszystkim trzeba było przejść ładnych kilka kilometrów, by do niego dotrzeć, ponieważ zajmował on olbrzymią powierzchnię, której w mieście nie można byłoby zdobyć. Miał on nowoczesne budynki, jak dom przedpogrzebowy z miejscem do obmywania zwłok i wielką salą dla odwiedzających, kancelarię i domy mieszkalne – już to robiło wielkie wrażenie, nie mówiąc już o samym cmentarzu ze swą bramą, alejkami i kwartałami, bogatymi, kunsztownie rytymi i zdobionymi nagrobkami z rzadkich kamieni. Inaczej wyglądały alejki, na których pochowano zmarłych chasydów i mieszczan, a inaczej część dziecięca. Szczególnie wyróżniał się grobowiec rodziny Poznańskich. Był to wielki budynek z miedzianą kopułą i kamiennymi ornamentami. Wewnątrz niego znajdowały się kamienie nagrobne zmarłych. Gmina utrzymywała specjalnego ogrodnika, który zajmował się bogatymi niemieckimi grobami i pilnował, by zawsze były wysprzątane i pokryte świeżymi kwiatami. Ów ogrodnik, Galin¹¹³, zięć zarządcy cmentarza, był z zawodu agronomem. Oprócz ogrodnictwa zajmował się też rolnictwem i uprawiał wolne polacie ziemi należące do cmentarza. Zarabiał dobrze, gdyż oprócz wynagrodzenia z gminy dostawał też miesięczne wypłaty od rodzin, których groby utrzymywał w porządku. Galin zatrudniał kilku Polaków jako pomocników ogrodnika. Sam zresztą wyglądał na Polaka, ze swymi gojskimi wąsami

¹¹³ Abram Galin urodził się w Grodnie w 1875 r. Ożenił się z Ruchlą Kalińską (ur. w Łodzi w 1890 r.), córką Mosze Kalińskiego. Para dochowała się trzech córek – Sary (ur. 1911), Reginy (ur. 1908) i Anny (ur. 1913). Zmarł prawdopodobnie w 1943 r.

i ubiorem. W przeciwieństwie do niego główny zarządca cmentarza, Mosze Kaliński był pobożnym człowiekiem i pochodził z „rodowitych łódzian”, jak nazywali siebie dumnie starzy łódzianie¹¹⁴. Był on wysoki, barczysty i miał gęstą, żółtawą, nieco tylko przyszyrzoną brodę, na nosie zaś okulary w złotej oprawce. Na cmentarzu przebywał dzień i noc. Nie tylko dlatego, że tam mieszkał wraz ze swą liczną rodziną, lecz przede wszystkim dlatego, że praca pochłaniała go bez reszty. Musiał pamiętać, ile grobów przygotować i na jaką godzinę, dbać o czystość na cmentarzu i nadzorować cały ogromny personel. Poza pracą pisemną, czyli rejestracją zgonów musiał również mieć pod kontrolą wystawione pomniki, ponieważ przed postawieniem nagrobka należało przedstawić gminie jego model oraz treść napisu na nim. Na cmentarzu każdego dnia pracowali kamieniarze i murarze, którzy stawiali nagrobki i których również należało pilnować.

Poza tym Mosze Kaliński jako zarządca cmentarza musiał pełnić funkcję przyjmującego odwiedzających, którzy przybywali z najróżniejszych miast w Polsce, Rosji, a nawet z zagranicy, by zobaczyć słynny łódzki cmentarz. Kaliński skarżył się, że codziennie robi pieszo dziesiątki kilometrów. Był to jednak bardzo miły człowiek, z prawdziwie żydowskim sercem otwartym na ludzkie nieszczęścia. Zgadzał się na prośby żałobników i organizował pogrzeby zimą nawet późnym wieczorem, choć ciężko było wykopać grób, gdyż ziemia była całkiem zamarznięta, a grabarze mieli za sobą cały dzień ciężkiej pracy. Choć był człowiekiem, który przestrzegał koszerności i wszystkich żydowskich przepisów religijnych, w jego mieszkaniu panowało wolnomyślicielstwo. Jego rodzina miała nastawienie syjonistyczne, a kilkoro dzieci wyjechało do Izraela, wtedy jeszcze Palestyny. W jego mieszkaniu można było znaleźć książki i gazety w jidysz i porozmawiać na tematy literackie. Jego najstarszy syn był moim szkolnym kolegą.

Mosze Kaliński zwykł był odwiedzać wszystkie żydowskie organizacje filantropijne, jak na przykład Linas Hacedek¹¹⁵, Linas Hacholim¹¹⁶. Znało go mnóstwo ludzi, a on swoim zachowaniem bardziej sprawiał wrażenia żydowskiego bogacza niż zarządcy cmentarza. Oprócz oficjalnej pensji dostawał też sporo datków od bogatych łódzkich fabrykantów, którzy raz do roku przychodzili odwiedzać groby swoich krewnych.

Oprócz zarządcy Kalińskiego i jego zięcia, ogrodnika Galina, na cmentarzu mieszkali dziesiątki ludzi, zatrudnionych przy „ostatniej posłudze” albo przy pracach polowych. Należy do nich zaliczyć również ich żony oraz stróżów, co wraz z dziećmi dawało całkiem sporą osadę.

¹¹⁴ Mosze (Hersz) Kaliński (1864–1945) – jego pierwszą żoną była Roza z domu Pantyl, z którą miał dziesięcioro dzieci. Po jej śmierci w 1912 r. ożenił się z Roją Itką z d. Kemglowską. Kierował Nowym Cmentarzem Żydowskim w Łodzi, gdzie mieszkał wraz z rodziną, był również członkiem Zarządu Gminy Żydowskiej. W roku 1936 wyjechał do Izraela i tam zmarł.

¹¹⁵ Linat Hacedek (hebr., dosł. ‘uczciwy nocleg’) – tradycyjna żydowska organizacja dobroczynna zajmująca się pomocą chorym oraz zapewnieniu noclegu potrzebującym.

¹¹⁶ Linat Hacholim (hebr., dosł. ‘nocleg dla chorych’) – łódzka organizacja dobroczynna, pełna nazwa: Żydowskie Towarzystwo Pomocy Biednym Chorym „Linas Hacholim”; zajmowała się opieką medyczną dla najbiedniejszych. Miała siedzibę przy ul. Południowej (obecnie ul. Rewolucji 1905 roku) nr 19.

Na cmentarzu oraz przy wejściu wprost roilo się od żebraków, kalek i naciągaczy. Często bywali oni agresywni, szczególnie w miesiącu elul¹¹⁷.

Na cmentarzu istniała także synagoga, a nawet mały szynk, w którym o każdej porze można było dostać coś do jedzenia i do picia. Główną klientelą byli oczywiście grabarze, którzy byli dobrotliwymi i wesołymi ludźmi, sypiący powiedzonkami i żartami. Stali oni przecież, dzień w dzień, dosłownie na granicy życia i śmierci i widzieli w głębokich grobach, które sami wykopali, koniec ludzkiego życia. Pewnie dlatego ich chęć do życia była tak silna. Szczególnie jeden z nich utkwiał mi w pamięci. Nazywał się Lejbuś Lipski¹¹⁸. Niewysoki, lecz barczysty człowieczek z szeroką twarzą i gęstą blond bródką. Dłonie miał spracowane od noszy pogrzebowych i łopaty, a gdy komuś w żartach uściśnął dłoń na powitanie, to tamten aż dostawał odcisków i długo Lejbusia wspominał. W swej młodości, gdy go poznałem, był wesołym człowiekiem i podobnie jak życie kochał też mocniejsze trunki. Przed kierownictwem okazywał olbrzymi respekt, lecz gdy tylko się odwrócili, małpował ich i przedrzeźniał tak, że nie można było powstrzymać się od śmiechu. Wszyscy bardzo Lejbusia lubili i wybacжали mu te żarty. Nawet zapalony asymilator Karp zaczął go i prosił, by opowiedział o „Niemrach”. Wtedy Lejbuś odgrywał scenkę, jak damy wycierają sobie noski oraz co zasymilowani mówią po kadiszu nad otwartym grobem.

Pewnego razu miała miejsce rozmowa telefoniczna pomiędzy Lejbusiem a sekretarzem gminy Karpem. Ktoś przyszedł do niego, by się poskarżyć, że Lipski wziął ponownie pieniądze za karawan – rubla i pięćdziesiąt kopiejek. Karp zadzwonił na cmentarz i poprosił Lejbusia do telefonu:

– Lejbuś, czy to prawda, że wziąłeś rubla i pięćdziesiąt kopiejek za karawan?

Na co Lejbuś:

– Nie słyszę, co pan mówi, panie Karp, strasznie szumi w słuchawce i nie słyszę ani słowa.

Karp zezłościł się strasznie, a wtedy Lipski mówi:

– Panie Karp, chciałem o coś zapytać, zobaczmy, czy pan usłyszy: Kiedy da mi pan dawno już obiecaną podwyżkę?

– Tak Lejbuś, rzeczywiście nic nie słyszę przez ten telefon!

BLOK CHASYDZKO-ASYMILATORSKI W GMINIE

Oprócz wspomnianych wyżej dozorców, którzy przychodzili do gminy każdego dnia, by zajmować się „załatwianiem” zmarłych, byli też i tacy, którzy pojawiali się, a i to nie zawsze, jedynie raz w tygodniu, w niedziele, na posiedzeniach zarządu. Należeli do nich Adolf Dobranicki, Jakub Warchiwker, Tuwia Bialer i Jakub Wojdysławski. Kilkudziesięciu takich łódzkich bogaczy – asymilatorów i chasydów, faktycznie rządziło gminą, liczącą sobie w przededniu wybuchu I wojny światowej jakieś dwieście tysięcy dusz. Na

¹¹⁷ Elul (hebr.) – ostatni miesiąc żydowskiego roku, przypadający na sierpień/wrzesień.

¹¹⁸ Właśc. Lejbuś Lipiński, zob. Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta miasta Łodzi, Łódzka Gmina Wyznaniowa Żydowska 84.

ważniejsze posiedzenia przychodził też Maurycy Poznański, Szaja Rozenblatt, Stanisław Zilbersztajn, Zygmunt Jarociński, dr Józef Zaks, Sztilerman, B. Waks, Tanchum Basz, Benjamin Winer, Szmelke Pilicer, Szlomo Budzyner, Wolf Makower, Jakub Szeps, Pinkus Lichtenberg i inni. Struktura gminy miała antydemokratyczny, klerykalno-filantropijny charakter i panował w niej duch kolesiostwa i protekcji.

Wybory do gminy były demokratyczne tylko częściowo. Prawa wyborcze posiadali jedynie ci, którzy zapłacili etat, czyli podatek na religijne potrzeby gminy oraz drugą opłatę, tak zwany „podatek szkolny” – na utrzymanie żydowskich szkół, znajdujących się pod kontrolą ogólnej carskiej inspekcji szkolnej, w których obowiązkowym językiem nauczania był rosyjski.

Kto płacił te dwa podatki, miał prawo wyborcze w gminie oraz mógł wybierać miejskiego rabina. Jeżeli mnie pamięć nie myli, płaciło ten etat jakieś trzy tysiące Żydów. Najniższa stawka wynosiła łącznie za obie te pozycje cztery ruble rocznie, a najwyższa mogła wynieść i kilka tysięcy. Każdy z podatników miał co prawda takie samo prawo głosu, lecz tylko i wyłącznie oni mogli głosować. Przeważająca część łódzkiej ludności żydowskiej nie miała kompletnie żadnego wpływu na skład kierownictwa gminy oraz jej działania.

Z owych trzech tysięcy uprawnionych w wyborach uczestniczyła tylko niewielka część, więc faktycznie rządził gminą blok klerykalno-kapitalistycznej oligarchii wspieranej przez kilku urzędników, czyli inaczej blok milionersko-asymilatorski oraz chasydscy bogacze wspierani przez duchowieństwo.

Blok ten ze swej strony był całkowicie zależny od władz carskich. Nienawidził on żydowskich idei świecko-narodowych, żydowskiej kultury i słyszeć nie chciał nawet słowa „socjalizm”. Żydowski socjalista działał na dozorców jak czerwona płachta na byka. Również litwaków nie darzył ów blok sympatią, byli bowiem synonimem myśli oświeceniowej i żydowskiego przebudzenia narodowego, które w znacznej mierze przybierało formy syjonistyczne. Sam syjonizm również był trefny w oczach bloku asymilatorsko-chasydzkiego. Mówiąc o chasydach mam na myśli w pierwszej linii zwolenników cadyka z Góry Kalwarii, którzy zarówno w Łodzi, jak i w całej Kongresówce byli najsilniejszym i najbogatszym odłamek chasydyzmu. W przeciwieństwie do nich zwolennicy cadyka z Aleksandrowa, również bardzo w Łodzi szanowani, skłaniali się bardziej ku litwakom, tworząc wraz z nimi znaczącą siłę. Chasydzi z Góry Kalwarii trzymali z asymilatorami, z Aleksandrowa zaś szukali sojuszników politycznych wśród Żydów litewskich, rozumie się religijnych, nie, broń Boże, świeckich. Taki układ sił widoczny był szczególnie podczas wyborów łódzkiego rabina w 1912 roku. O tym jednak później.

Lata całe, aż do I wojny światowej przewodził łódzkiej gminie ów blok asymilatorsko-chasydzki, bazując na „wzajemnej pomocy”. Chasydzi mieli wolną rękę w sprawach religijnych w gminie, a asymilatorzy – w sektorze filantropii. Litwacy wywierali swój wpływ za pośrednictwem naczelnego rabina w Łodzi i jego najbliższego otoczenia, wywodzącego się właśnie z litewskich mitnagedów.

W warunkach mocno rozproszonego żydowskiego życia religijnego to właśnie beit midrasz¹¹⁹, synagogi, chasydzkie sztyble i bractwa były centrami aktywności społecznej, kontroli i krytyki rządzących i reprezentatywnych ciał żydowskich. Życie społeczne było w tamtym czasie znacznie bardziej intensywne niż dziś, gdy w znacznym stopniu uległo ono zeświecczeniu.

Jeżeli nie zaistniały jakieś ważne okoliczności, jak choroba, czy nieobecność w mieście, wszyscy religijni i pobożni Żydzi zbierali się dwa razy w tygodniu w swej synagodze, beit midraszu, bractwie czy sztyblu. Który Żyd – kupiec, rzemieślnik czy robotnik nie pójdzie w szabat na minjan? W piątki wieczorem przed szabatem oraz w szabatowe poranki przed modlitwami lub w przerwach między nimi, dyskutowano o najważniejszych sprawach, zarówno żydowskich, jak i ogólnopolitycznych. Każde ważne wydarzenie w gminie było przez wszystkich szeroko komentowane. Owe centra religijne były najważniejszymi punktami wsparcia życia społecznego tamtych czasów. Asymilatorzy i „Niemcy” takich punktów nie mieli. Do synagogi chodzili rzadko, najczęściej w Rosz Haszana czy Jom Kipur, ewentualnie na jakiś ślub czy bar micwę – to wszystko. Synagoga nie była dla nich centrum religijno-towarzyskim, za pomocą którego mogli uprawiać kontrolę i krytykę społeczną. Byli przez to bardzo rozproszeni i zatomizowani, jeżeli chodzi o sprawy żydowskie. Gdy chcieli coś zdziałać na płaszczyźnie żydowskiej, co wynikało z ich konserwatywnego stylu życia, musieli czynić to przez swoich przedstawicieli. Żyli jeszcze jednak resztkami dawnych czasów, gdy byli związani wieloma nićmi z żydowskim sposobem życia, wielu bowiem spośród owych asymilatorów, poza nielicznymi wyjątkami, było łódzkimi Żydami w drugim lub trzecim pokoleniu. Z tego powodu nie zdarzały się wśród nich małżeństwa mieszane, jak to miało miejsce w wilhelmińskich Niemczech czy w innych krajach Europy Zachodniej. Procesy asymilacji trafiały jednak wśród nich na korzystny grunt z powodu ich oddzielenia od społeczeństwa żydowskiego.

Punktami zbiorczymi dla chasydów, z Góry Kalwarii, Aleksandrowa, Sochaczewa, były sztyble, dla litwackich mitnagedów – synagogi. Gdy przychodziło do liczenia głosów owych chasydzkich i mitnagedzkich grup w życiu łódzkiej gminy, opierano się na liczbie sztybli i synagog, które każda strona miała pod swoim wpływem, nie istniała żadna inna miara.

Większość sztybli była nazwana nazwiskiem największego bogacza w sztyblu. Nie największego chasyda czy uczonego, tylko najbogatszego chasyda. W sztyblu mógł się modlić nawet największy mędrzec i najbardziej pobożny chasyd, lecz z tym się nie liczono. Na przykład sztybel na Piotrkowskiej 88 nosił nazwisko Mosze Arona Winer, największego chasydzkiego łódzkiego bogacza, bo właśnie tam się modlił wraz ze swymi dziećmi. Sztybel przy ulicy Pomorskiej 118 nosił nazwisko Jakuba Wojdyłowskiego, również dlatego, że on się tam modlił. Tak samo sztyble Chaima Jankiela Wiślickiego, Bława czy Muchnickiego, Makowerów, Mosze Rogozińskiego, Szmuela Piotrkowskiego,

¹¹⁹ Beit midrasz (hebr., ‘dom nauki’) – jedna z tradycyjnych instytucji żydowskich, miejsce, gdzie spełniano obowiązek religijny studiowania Tory, zazwyczaj wyposażone w księgozbiór, z którego można było swobodnie korzystać; beit midrasz najczęściej związany był z miejscem sprawowania kultu i modlitwy.

Ichhaka Josefa Kaca, Pinkusa Lichtenberga itd. Tak samo działało się i w litwackich synagogach: synagoga Sendera Dyszkińska, synagoga Jedlickiego, synagoga Kissynsa i inne.

Na największych zebraniach zwoływanych przez dozorców kierowano się listami najbogatszych płatników etatu oraz stosunkiem sił pomiędzy różnymi sektorami religijnymi, czyli mieszczańskimi, chasydzkimi i litwackimi Żydami (podzielenymi na rejony: Stare Miasto, rejon Geyera, rejon Scheiblera) oraz synagogami i shtyblami. Tak było w przypadkach, gdy chodziło o ważne akcje o znaczeniu ogólnym, w przeciwieństwie do tego w kwestiach określania sposobu zarządzania gminą zwoływano zebrania branżowe, na przykład: zebranie ważnych fabrykantów tekstylnych, handlarzy obuwia, branży drewnianej, dyrektorów banków, kamieniczników oraz innych grup gospodarczych spośród płatników etatu.

Takie sekcje branżowe zwoływały również swoje zwyczajne zebrania, na których sporządzano listy płatników etatu z każdej z branż i ustalano dla każdego z nich, ile ma płacić rocznie na potrzeby religijne gminy oraz na wydatki szkolne. Sekcje te nie kontaktowały się z podatnikami, tylko wyznaczały bez ich wiedzy poszczególne sumy. Istniał przy tym cały olbrzymi system protekcji. Każdy członek komisji miał swoich protegowanych, których starał się opodatkować jak najniższą sumą. Z drugiej jednak strony system branżowy i tak był krokiem naprzód w porównaniu z tym, co działało się jeszcze kilka lat wcześniej. Wtedy podatki wyznaczał Karp osobiście, biorąc jako podstawę listy z poprzednich lat lub wysokość opłat poszczególnych płatników.

Zdarzało się często, że egzekutor przychodził po podatek do Żyda, który w międzyczasie zbiedniał i nie mógł zapłacić sumy, którą na niego nałożono jeszcze w czasach, gdy wiodło mu się dobrze. Sekcje branżowe miały jedynie głos doradczy i nie mogły decydować, ostatecznie słowo należało do dozorców lub sekretarza gminy, Karpa. Również Jankiel Majerowicz rościł sobie prawo do zmiany ustalonych podatków i to w sposób bardzo oryginalny. Wydrapywał nożykiem nałożoną sumę i wpisywał inną wedle swego uznania. Dozorcy mieli prawo do podwyższenia lub zredukowania podatku. Przychodzili do mnie czasami dozorczy z karteczką w ręku, na której widniały nazwiska protegowanych płatników etatu, wtedy wydawałem im księgę podatkową, a oni własnoręcznie skreślali sumę widniejącą w rubryce i na jej miejsce wpisywali swoją. Z 40 rubli na cele religijne robili na przykład 30, czy nawet 20, to samo działało się z cyframi na cele szkolne. Wpisywali przy tym z boku pierwszą literę swego nazwiska, żeby wiadano kto dokonał zmiany. Oczywiście można było to robić tylko w czasie, gdy księgi podatkowe znajdowały się w gminie, czyli zanim wysłano je do guberni do Piotrkowa celem zatwierdzenia. Po zatwierdzeniu cała sprawa przechodziła w ręce magistratu, który zbierał podatki od członków gminy. Zdarzało się często, że do gminy wpadała kobieta z płaczem, że wyrządzono jej krzywdę. Opodatkowano ją sumą zbyt wysoką, której nie mogła zapłacić i egzekutor okleił jej meble karteczkami, grozi jej licytacja. Jeżeli okazywało się, że była to prawda, jeden z urzędników szedł do magistratu i tam na miejscu anulował licytację, uwalniając kobietę od podatku. Pewnego razu przyszła do gminy starsza kobieta, cała ubrana na czarno, cichym krokiem podeszła do sekretarza i jeszcze cichszym tonem

zwróciła się do niego, wręczając czerwoną karteczkę. Jej mąż był dyrektorem dużego przedsiębiorstwa, lecz zmarł przed kilkoma miesiącami, a ona nie była w stanie zapłacić podatku, który na nią nałożono jeszcze za życia męża. Mówiła piękną polszczyzną i po niemiecku. Przyjęto ją dobrze i prośbę spełniono. Sekretarz Karp odprowadził ją do drzwi, a nawet pocałował w rękę na pożegnanie.

Zdarzały się też liczne przypadki nadużyć. Bogaci Żydzi, którzy dopiero co przybyli do miasta i nikt ich nie znał, wykręcali się od płacenia etatu, a nawet chcieli, by ich zmarłych bliskich chować na cmentarzu za darmo. Jeden taki przypadek pamiętam bardzo dokładnie. Był gorący piątek w miesiącu tamuz¹²⁰, gdy najbogatsi łódzcy Żydzi jeździli do Karlbadu, Franzesbadu, Ciechocinka lub Durskiennik. Co piątku prawie wszyscy zamożni wyjeżdżali za miasto, do Wiśniowej Góry lub innych letnisk. Całą pracę gminy kierował wtedy sekretarz, a czasami ja, jego pomocnik. Praca w tych letnich miesiącach polegała głównie na obsłudze zgonów lub wydawania zaświadczeń dla chorych w szpitalu Poznańskiego¹²¹. W takie piątki do południa na miejscu znajdował się prawie cały personel (pojęcie oficjalnego urlopu nie było jeszcze wtedy znane), a popołudniami do szóstej–siódmej musiałem zostawać ja, jako najmłodszy, wraz z dyżurnym członkiem Chewry Kadiszy.

Zdarzyło się, że pewnego popołudnia pojawił się w gminie starszy Żyd, który przyniósł papiery o śmierci swego ojca i prosił, by jeszcze przed szabatem zabrać zmarłego z domu i go pochować. Było jeszcze trochę czasu na zorganizowanie pogrzebu, zadzwoniłem więc do kierownika, Mosze Kalińskiego, w tej sprawie i powiedziałem mu, by przygotował miejsce pod pochówek zmarłego. Posłano także człowieka na stary cmentarz przy ulicy Wesołej, gdzie stały wozy, z poleceniem by Josel Cac wysłał wóz trzeciej klasy, ponieważ Żyd ów zadeklarował, że jest biedny i nie może zapłacić za miejsce, za wóz jednak zapłaci i sam kupi całun pogrzebowy. Człowiek ten, z lekko już posiwiałą brodą, lecz zdrowym, rumianym obliczem, nie sprawiał wrażenia swym ubraniem, że jest zamożny ani nawet lepiej sytuowany. Sprawdziłem księgi podatkowe, by się dowiedzieć, czy w nich figuruje i jakie sumy płaci i okazało się, że jego nazwisko nie jest w gminie znane. Mieszkał nieco za Targiem Geyera¹²², przy drodze na Pabianice, a jako że było już późno i trzeba było wysłać wóz bardzo daleko, nie robiłem żadnych trudności i wydałem mu zaświadczenie pogrzebowe dla Mosze Kalińskiego. Później okazało się, że ten Żyd był wielkim bogaczem, miał kilka domów i placów, ale nic o nim nie wiadano. Pamiętać należy, że Łódź była miastem migracji i znano tylko osoby mieszkające tu od dawna lub wyróżniających się właścicieli domów. Było jednak dużo osób, tradycyjnych Żydów i asymilatorów, którzy mieli całkiem spore dochody, a nie wiadano o nich całymi latami. Jeżeli umarł ktoś z ich rodziny – stara matka czy dziecko, dawali, ile się od nich zażądało. Jednak gmina nie wiedziała, ile zażądać. Dopiero później orientowano się, że miano w rękach wielkiego

¹²⁰ Tamuz – miesiąc kalendarza hebrajskiego przypadający na czerwiec–lipiec.

¹²¹ Szpital im. Leonii i Izraela Poznańskich wzniesiony w latach 1885–1890 przy zbiegu ul. Północnej i Targowej (obecnie ul. Sterlinga); obecnie Szpital Kliniczny im. Seweryna Sterlinga.

¹²² Tak nazywano Górny Rynek w Łodzi (obecnie pl. Reymonta).

„szczupaka”, lecz go wypuszczono. Na pociechę pozostawał jedynie fakt, że gdy pojawiał się w gminie następnym razem, by otrzymać zezwolenie na postawienie nagrobka, można było solidnie z niego zedrzeć.

System protekcji funkcjonował również w przypadku pogrzebów. Gdy umierał jakiś wielki chasydzki bogacz, rodzina szła do mieszkania chasydzkiego dozorczy i ustalała z nim na miejscu zarówno sumę za miejsce pochówku, jak i za pogrzeb. Asymilatorscy dozorczy zatwierdzali w takich przypadkach ustalenia chasydów. W innych przypadkach, gdy należało na przykład wyznaczyć zarządcę szpitala, chasydzi zgadzali się na kandydaturę asymilatorów. Jedna ręka myła drugą, a i tak często obie pozostawały brudne. Szczególnie wyraźnie widać było pomoc asymilatorów dla chasydów (tych z Góry Kalwarii) podczas wyboru rabina, gdy poparli oni rabina Trajstmana na stanowisko naczelnego rabina po śmierci Eliahu Chaima Majzla¹²³.

POMOC SOCJALNA W GMINIE

Pomoc socjalna gminy dla biednej ludności żydowskiej była bardzo skąpa i nosiła wszelkie znamiona obrzydliwej filantropii. Któż jest w stanie opisać wszystkie te obrazy i szykany, które musieli znieść potrzebujący, gdy już musieli zwrócić się o pomoc do gminy? Ileż to łez przelano w lokalu gminnym, w przedpokoju przy zakratowanej barierze na Nowomiejskiej nr 6? Ileż bolesnych i zrezygnowanych spojrzeń zawisło na okienku, przez które miała przyjść pomoc dla chorego dziecka czy biednej rodziny w zimie?

Łódzka społeczność była wielka, mocna i pełna energii, co roku rosła i bogaciła się. Jednak jak wielka była bieda tych, na których barkach łódzki fabrykant budował swą fortunę?! Gruźlica i śmiertelne choroby wśród biednej ludności żydowskiej – to były koszty poboczne, które łódzcy tkacze musieli ponieść na rzecz gwałtownego wzrostu największego centrum tekstylnego w Rosji. Za to bogate żydowskie damulki odpłacały się mu mizerną i uwłaczającą gminną filantropią. Owszem, istniała również inna instytucja filantropijna, która zajmowała się pomocą żydowskiej biedocie. Była to organizacja Dobroczynność, która pozostawała wyłącznie w rękach asymilatorów. Każdego dnia rozgrywały się tam dantejskie sceny. Woźny wyrzucał biedaków, którzy zbyt natarczywie prosili o pomoc. Za biurkiem siedział urzędnik, który już samym swym wyglądem wzbudzał strach wśród biednych Żydówek w perukach i starszych kobiet w chustach. Nie był to bowiem urzędnik, tylko zbójca. Na głowie miał wielką łysinę, która zlewała się z jego wąskim, lekko wypukłym czołem. Jego wielkie zielone oczy były osadzone głęboko w oczodołach i swym blaskiem i spojrzeniem przerażały tych, którzy przyszli, by wylać żale swego zgorzkniałego serca.

Miał ostry nos, a zwisająca gruba dolna warga odsłaniała w jego ustach rząd żółtych zębów, zaciskających się z wielkiego gniewu. Miał długie dłonie z wąskimi, kościstymi palcami. Na jednym z nich znajdował się sygnet z rubinem. Gdy już się uśmiechnął, wywoływało to obrzydzenie połączone z drżeniem. To był prawdziwy mefistofelesowski uśmiech.

¹²³ Eliahu Chaim Majzel (1821–1912) był rabinem w Łodzi od 1873 r. do śmierci,

Mnie traktował z szacunkiem, ponieważ przychodziłem do niego w imieniu gminy i zawsze podejmował mnie tym swoim uśmiechem. Jednak uzyskać u niego cokolwiek: wsparcie, czy pożyczkę, których udzielała Dobroczynność, było bardzo ciężko. Nie chciało mu się nawet palcem kiwnąć, by zrobić coś dobrego i na wszystkich biedaków patrzył jak na oszustów i łajdaków, zdemoralizowanych ludzi, którym się nie chce pracować. W tamtych latach Dobroczynność pod jego rządami była prawdziwą doliną łez dla łódzkich żydowskich biedaków, którzy zmuszeni byli do niej przychodzić. Jednak i ten urzędnik nie miał lekkiego życia. Obsypywano go najwymyślniejszymi wyzwiskami i nienawidzono, jak pobożny Żyd wieprza. Gdy biedacy widzieli go popołudniami idącego na swych chudych nogach, z czarnym kapelusikiem na głowie, posyłali za nim najgorsze przekleństwa i omijali go szerokim łukiem, byle tylko nie widzieć jego znienawidzonej mordy. Do Dobroczynności nie chodziłem za często, jednak wystarczyło być tam jeden raz i przez kilka minut przypatrywać się scenom rozgrywającym się w poczekalni dla petentów w siedzibie organizacji przy Zachodniej 20, gdzie siedział ten urzędnik, by już na cały dzień mieć przed oczami smutny i oburzający obraz filantropii w wydaniu łódzkich bogaczy. Gorzki był los biedaka w bogatej Łodzi, gdy nie miał za co kupić lekarstw, czy zapłacić komornego za następny kwartał. Któż opisze nieszczęście żydowskich mieszkań, w których zarówno matka, jak i córka – rozkwitająca piękność – leżały chore na gruźlicę, pod kuchnią nie było napalone, a garnki były puste? To był prawdziwy ocean trosk i cierpienia pod powłoką blichtru i złota.

Taka właśnie była Łódź w latach poprzedzających I wojnę światową. Widziałem i czułem tą biedę każdego dnia przez wiele lat i obraz ten otworzył mi oczy na świat kapitalizmu i uczynił gotowym na idee socjalistyczne, które stały się moją nową wiarą.

* * *

Działalność dobroczynna, czy też pomoc filantropijna dla łódzkiej biedoty przybierała najróżniejsze formy. Największa część pomocy szła na chorych. W tamtym czasie jedynym szpitalem będącym pod opieką gminy był szpital Poznańskiego, leżący w sąsiedztwie popularnego łódzkiego ogrodu Helenów. Dla tak wielkiej osady jak Łódź nawet tak wielki szpital był za mały i chorzy musieli czekać nieraz bardzo, bardzo długo na przyjęcie. Szpital Poznańskiego utrzymywał się z datków bogaczy i subsydiów, które gmina każdorazowo ustalała w budżecie na leczenie chorych.

Każdy chory, który chciał się dostać do szpitala na koszt gminy (byli też i tacy, co sami płacili za łóżko szpitalne i leczenie), musiał przynieść od gminy karteczkę, że należy go przyjąć bezpłatnie. Aby taką karteczkę otrzymać, chory lub jego rodzina musieli otrzymać certyfikat od lekarza szpitalnego, że leczenie w zakładzie jest konieczne oraz dowód, że rzeczywiście nie mogą zapłacić kosztów leczenia szpitalnego.

Największa frekwencja była na oddziale chorób płuc, prowadzonym przez wybitnego łódzkiego specjalistę, dr. Seweryna Sterlinga. Był on wielkim fachowcem w tej dziedzinie, a jednocześnie zagorzałym asymilatorem. Można było z nim jednak wytrzymać, ponieważ był człowiekiem o wysokiej kulturze osobistej i prawdziwym Europejczykiem.

Nieszczęście jednak polegało na tym, że na oddziale Sterlinga bardzo rzadko było jakieś wolne łóżko i należało czekać całymi tygodniami. Często chorzy na płuca sami przychodzili, by prosić o karteczkę do szpitala i niebezpiecznie było brać od nich nawet dokumenty, gdyż można było się zarazić. Pluli krwią w swe brudne chusteczki do nosa i byli bladzi jak ściana. Najbardziej wzruszały mnie młode dziewczyny, być może dlatego, że miały bardzo szlachetne, doprawdy święte twarze z białą przezroczystą skórą. A może dlatego, że siedziały w poczekalni z ogniem gorączki w oczach, zapadniętymi piersiami, lecz cichutko jak gołąbki i w ogóle nie pchały się do okienka. Już z daleka można było zobaczyć w ich dłoniach biały paperek od Sterlinga, a ja rozpoznawałem jego charakter pisma i wielkie litery jego lekarskiego podpisu. Jeden rzut oka na taki papier wystarczał, by zrozumieć, o co chodzi.

Często do szpitala szło się nie po to, by się wyleczyć, a po to, by mieć gdzie przebywać w długie zimowe miesiące, gdyż w zimie frekwencja była zdecydowanie większa.

Podobne zjawisko można było zaobserwować w Łodzi również w więzieniach. Gdy po latach miałem to „szczęście” się w nich znajdować, zaobserwowałem, że w podczas zimy frekwencja w więzieniach rosła. Złodzieje i inny element przestępczy woleli przezimować w więzieniu, gdzie dostawali darmowe łóżko i coś do jedzenia, niż marznąć i głodować na wolności.

Dokładnie jak w Dobroczynności był urzędnik, który rzucał strach na biedotę, a kobiety i starcy nie nazywali go inaczej, jak „zbójem”, również w szpitalu Poznańskiego był człowiek, którego chorzy śmiertelnie się obawiali. Był to wysoki, barczysty Żyd ze śnieżnobiłą brodą i ostrym, świrdującym spojrzeniem. Wołano na niego „gospodarz”. Przyjmował chorych, których wysyłałiśmy z karteczką do szpitala. Za jego plecami wołano na niego „morderca”. Zwyczajnie nie mógł dać sobie rady z tłumami chorych i stąd brał się gniew na niego. Czasami siłą musiał opróżnić łóżko, by ktoś inny mógł zostać przyjęty. Chory i jego rodzina nie rozumieli tego i dlatego tak go nienawidzono. U biedoty miano „gospodarz” wywoływało panikę. Na takim stanowisku należałoby być chyba Hillelem Starszym¹²⁴. Gmina ze swego budżetu łożyła nie tylko na chorych ze szpitala Poznańskiego, lecz również na chore dzieci.

W Łodzi nie było żydowskiego szpitala dla dzieci, a jedyną taką instytucją dla wszystkich mieszkańców miasta był szpital „Anny Marii”¹²⁵ w gojowskiej dzielnicy przy ulicy Przędzalnianej. Był on duży i nowocześnie wyposażony, a wybudował go inny łódzki magnat tekstylny – Karol Scheibler.

Gdy biedne żydowskie dziecko musiało iść do szpitala „Anny Marii”, gmina pokrywała koszty jego leczenia płacąc z góry, inaczej by go nie przyjęto. Niełatwo było z kasy gminnej uzyskać środki na biedne, chore żydowskie dziecko. Rodzice musieli mieć sporą protekcję, by dozorczy z pomocy społecznej wyasygnowali taką sumę. Pieniądzy nie powierzano jednak ojcu czy matce dziecka, lecz urzędnik gminny jechał z rodzicami

¹²⁴ Hillel Starszy (przełom I w. p.n.e. i I w. n.e.) – babiloński rabin i autorytet prawny znany ze swej łagodności.

¹²⁵ Obecnie Ośrodek Pediatriczny im. dra Janusza Korczaka.

do szpitala i tam je wpłacał. W tym gojowskim szpitalu był zupełnie inny porządek. Absolutna cisza panowała przy wejściu i w całej kancelarii, nie tak jak w szpitalu Poznańskiego, gdzie kłębił się tłum, zarówno w samym szpitalu, jak i na podwórku. Żydzi to jednak lud wschodni i kochają się tłoczyć dosłownie wszędzie.

Również urzędnicy szpitala dziecięcego sprawiali zupełnie inne wrażenie. Starsze kobiety o dobrodusznym, miękkim spojrzeniu i wielkiej kulturze, odnosiły się do pacjentów cierpliwie i uważnie. Część z tych kobiet w kancelarii miała już siwe włosy, jednak mimo to były ruchliwe i energiczne. Nie miało dla nich znaczenia, że ktoś był Żydem, Polakiem czy Niemcem i traktowały wszystkich tak samo.

Gmina musiała również ponosić koszty leczenia żydowskich kobiet chorych na choroby weneryczne, znajdujących się w szpitalu przy ulicy Tramwajowej¹²⁶. Na szczęście wśród Żydów nie było wiele takich przypadków.

Szpital ten przedstawiał sobą straszny obraz. Widziałem go raz, tylko z zewnątrz, gdy musiałem załatwić jakąś sprawę w kancelarii szpitalnej. Chore kobiety i mężczyźni wyglądali przez okna. Mieli straszne twarze z gnijącymi nosami.

Gmina musiała też ponosić koszty leczenia Żydów w innych szpitalach poza Łodzią. Gdy jakiś łódzki Żyd leżał w szpitalu w innym polskim mieście i nie mógł pokryć kosztów, do gminy przychodził rachunek z tego szpitala wraz z pismem towarzyszącym z magistratu, w którym gmina była wzywana do pokrycia kosztów. Warto podkreślić, jak pracowała ta biurokratyczna machina. Zazwyczaj sekretarz, Karp, nie śpieszył się z zapłatą za leczenie łódzkiego Żyda w obcym szpitalu. Rozpoczynała się długa i nudna korespondencja w tej sprawie. Najpierw Karp żądał od magistratu, który wysłał wezwanie, jednoznacznego dowodu na to, że chory rzeczywiście był łodzianinem. Zanim zostało to stwierdzone i potwierdzone zeznaniami świadków, mijało sporo czasu. Później, gdy już się to potwierdziło, żądał on od magistratu jednoznacznego dowodu, że chory, za leczenie którego należało zapłacić, rzeczywiście był biedny i gmina musi na niego łożyć. To znów musiało być potwierdzone przez dwóch mieszczan z danego miasta, którzy chorego znali. Gdy również to zostało przeprowadzone, miał Karp dalsze pytania, na przykład, czy jakiś krewny chorego nie mógłby za niego zapłacić? I tak dalej. Akta tego chorego rosły i rosły, a cała sprawa ciągnęła się latami. Gdy Karp nie mógł znaleźć już więcej wymówki, odpowiadał, że w budżecie gminy na dany rok nie przewidziano takiej sumy i należy z tym poczekać do następnego roku budżetowego. Jednak w większości przypadków udawało się odnaleźć członków rodziny chorego, którzy pokrywali koszty leczenia.

Gmina zajmowała się ponadto jeszcze jednym rodzajem pomocy chorym. Osobom z klasy średniej, którym lekarz przepisał pobyt w zagranicznych kurortach (Karlsbadzie, Franzesbadzie i innych) lub operację w Wiedniu czy Berlinie, a które nie miały wystarczających środków na pokrycie niezbędnych wydatków na leczenie, gmina wystawiała list w języku niemieckim skierowany do odpowiedniej gminy w Niemczech czy Austro-Węgrzech, w którym Zarząd gminy prosił izraelicką gminę wyznaniową o pomoc

¹²⁶ Nieistniejący obecnie szpital im. św. Marii Magdaleny przy ul. Tramwajowej 13 i 15.

biednemu „współwyznawcy”. Należy to podkreślić: miejscowe gminy w Niemczech czy Austrii respektowały takie rekomendacje i chorzy wraz z towarzyszącymi im członkami rodzin otrzymywali tam niezbędną pomoc. Dowodem na to były liczne prośby o takie rekomendacje, które spływały do gminy szczególnie w miesiącach letnich.

W niektórych przypadkach gmina wypłacała również pomoc w gotówce. W latach kryzysu gmina była wręcz zalewana przez tłumy bezrobotnych tkaczy, którzy żądali i domagali się wsparcia. Często dochodziło do skandali. Głodujący bezrobotni tkacze wdzierali się do gminnego salonu i rozsiadali się na miękkich, pokrytych białym płótnem fotelach, zakładali nogę na nogę, ukazując przy tym swe porwane skarpetki i z wielką odwagą domagali się wsparcia. W takich przypadkach dozorczy rozpierzchali się jak wróble pozostawiając bezrobotnych na głowie urzędników.

Pewnego razu, gdy moiżni sobie poszli, pewien bezrobotny o bladej twarzy i długiej żółtej brodzie, nieco już wcięty, wszedł na stół pokryty zielonym płótnem i wygłosił przemowę, w której zobrazował piekło, które oczekuje łódzkich dozorców na tamtym świecie za ich twarde serca. Karp zazwyczaj z nimi negocjował i jako się dogadywał – po pół rubla na głowę i po sprawie.

Pewnej zimy bezrobotni żądali węgla. Doszło do dzikiego skandalu i Karp przez telefon wezwał policję z najbliższego cyrkułu. Gdy tylko policja się pokazała, bezrobotni natychmiast dali nogę. Następnego dnia rano wysłali do gminy swe żony z dziećmi na rękach i przy boku. Karp dostrzegł, że sytuacja nie wygląda najlepiej, polecił mi więc sporządzenie listy wszystkich obecnych i wypłacił każdej rodzinie po rublu.

Specjalna akcja pomocowa odbywała się podczas święta Pesach: mace dla żołnierzy służących w armii. W tamtych czasach nie znano jeszcze zorganizowanej pomocy dla najbiedniejszych, jak to było praktykowane później w czasach niepodległej Polski. W czasach carskich dawano po prostu biednym mace. W gminie znajdowały się listy takich osób, które pomocy będą potrzebować. Każdego roku przybywali jednak nowi potrzebujący i komisja Dozoru obradowała przed Pesach do późna, a w gminie przyjmowano prośby o pomoc.

Zwyczaj dawania pomocy na Pesach bardzo mi się podobał, ponieważ nie pozostawiano nikogo bez paru rubli wsparcia, a w gminie panował przedświąteczny nastrój. A może i dlatego, że wiosna wdzierwała się wszystkimi szparami do zatęchłych pokojów i pachniało nowym życiem.

Z otwartych okien piętro wyżej niósł się słodki nigun mełameda, czytającego traktat *Pesachim* wraz z uczniami: „W święto Pesach, gdy nastanie wieczór, niech człowiek nic nie je, aż się ściemni”¹²⁷. Nawet stare szafy z archiwalnymi księgami i pożółkłymi, zakurzonymi rejestrami zmarłych nabierały jakiegoś innego wyglądu. A może nastrój wśród urzędników gminnych był lepszy przez to, że zatrudnione w niej osoby otrzymywały różne świąteczne gratyfikacje? Wypłacano pieniądze i pomoc w naturze: talony na darmowe mace, otrzymane od łódzkich piekarzy itd. Każdy schodząc ze schodów jeszcze

¹²⁷ *Pesachim* – traktat Talmudu omawiający tematy związane ze świętem Pesach.

raz przeliczał trzymane w ręce pieniądze, patrzył z ciekawością na zieloną papierową asygnatę na trzy ruble, lub na wielkie srebrne ruble z podobizną Mikołaja Drugiego. Rozumie się, że wśród beneficjentów byli i tacy, którzy mieli „czerwone nosy”. Ci od razu udawali się do szynku, by spełniać pesachowe toasty, zagryzając makaronikami od Zeliga.

Wspomnieć należy również piękną tradycję łódzkiej gminy żydowskiej, polegającą na wysyłaniu wsparcia pesachowego żydowskim żołnierzom z Łodzi, służącym w armii rosyjskiej, rozrzuconych gdzieś daleko po całym obszarze carskiego imperium. Kiedy dokładnie zapoczątkowano tą tradycję, nie wiem. Powiadają, że wprowadził ją stary Izrael Poznański. Wszyscy pochodzący z Łodzi żołnierze żydowscy mieli prawo otrzymać od gminy trzy ruble jako prezent na Pesach. Rozumie się, że tylko ci, którzy zwrócili się do gminy i przekazali jej swoje adresy oraz pułk, w którym służyli, mogli otrzymać te trzy ruble. Gmina nie wierzyła jednak rodzinom, że wyślą tą zapomogę na Pesach. Żądali od nich adresów żołnierzy i sami wysyłali im pieniądze pocztą. W takich przypadkach nie mogło dojść do nadużyć. Wiele rodzin jednak nie znało rosyjskiego, przekręcało adresy, myląc nazwy rosyjskich miejscowości, pułku czy też rot, w których służyły ich dzieci. Musiano więc przynosić list od żołnierza do rodziny lub inny dokument z prawidłowym adresem. Jednak i żołnierze nie zawsze potrafili dobrze pisać i adresy często były zapisane w taki sposób, że ciężko było je odczytać. Często krewni przynosili fotografie jakiejś grupy żołnierzy, wśród których znajdowały się ich dzieci. Niektóre fotografie były nawet śmieszne. Stoi na przykład taki żydowski żołnierz w carskim szynelu i czapce z daszkiem na głowie i dwa palce ma wsunięte za guzik szynelu. Stoi tak wyciągnięty jak struna, jakby stał przed samym dowódcą i tylko uśmiecha się delikatnie pod wąsem. Inny – stoi ze swym instrumentem, fletem przy ustach, służąc zapewne w orkiestrze wojskowej. I podają ci żołnierze jakieś straszne nazwy miejscowości: Czelabińsk, Ałma Ata i inne takie miejscowości, o których krewni nawet nie wiedzą, gdzie się znajdują. My sami często nie wiedzieliśmy. [...]

W 1912 roku łódzka gmina podjęła jeszcze jedną akcję pomocową, o zupełnie innym charakterze. By zlikwidować częste wizyty bezrobotnych tkaczy w siedzibie gminy, skontaktowano się z gminą wyznaniową w Katowicach i zapytano, czy nie byłoby możliwe znalezienie dla części tkaczy pracy w śląskich kopalniach węgla. Odpowiedź była pozytywna i poczęto rejestrować wszystkich bezrobotnych, którzy dobrowolnie chcieli pojechać do pracy w niemieckich kopalniach. Zgłosiło się kilkadziesiąt osób i gminny urzędnik Olszer (jego ojca kazał powiesić carski satrapa Kaznakow) pojechał z tą grupą do Katowic. Nie pamiętam, czy z drogi zawrócili wszyscy, czy tylko część, w każdym razie był to pierwszy i ostatni eksperyment z wysyłaniem żydowskich bezrobotnych do Niemiec.

Przypomina mi się jeszcze jedna działalność gminy, choć trudno ją zaliczyć do pomocy społecznej: sprzedaż miejsc w staromiejskiej synagodze przed Jamim Noraim¹²⁸. Nie było dla mnie do końca jasne, dlaczego w innych synagogach miejsca sprzedawali posługacze,

¹²⁸ Sprzedaż miejsc w synagodze była jednym z zasadniczych źródeł dochodów pozwalających na jej utrzymanie.

a jedynie w synagodze staromiejskiej było to nadzorowane bezpośrednio przez gminę. Synagoga przy al. Kościuszki nie była pod zarządem gminy, choć otrzymywała subsydia, podobnie jak staromiejska. Dwaj kantorzy synagogi: Alterman i Baj¹²⁹ byli zatrudnieni na etacie w gminie tak samo jak kantor synagogi staromiejskiej przy ulicy Wolborskiej. Jednak właśnie tak się to odbywało. [...] Synagoga była duża (i bardzo piękna), więc sprzedaż trwała przez kilka dni. Dla mnie była to bardzo przyjemna atrakcja. Po pierwsze dlatego, że codziennie musiałem chodzić na Stare Miasto, gdzie bywałem dość rzadko, a po drugie dlatego, że miałem możliwość bliższego zapoznania się z mieszczańskimi Żydami modlącymi się w tej przepięknej synagodze. Był to stosunkowo nowy budynek, z szerokimi schodami wejściowymi oraz licznymi pomieszczeniami dla administracji oraz naczelnego posługacza, który tam mieszkał. Synagoga była bardzo piękna w środku, z bogato zdobionym sklepieniem i olejnymi malowidłami na ścianach. Aron kodesz i bima¹³⁰ były znacznie większe, niż w innych łódzkich synagogach, a schody wejściowe – majestatycznie szerokie. Oświetlenie w świąteczne wieczory było tak oślepiająco mocne, że nie tylko zalewało wszystkich strumieniami światła, lecz prawie prześwietlało, przenikało na wylot. [...]

Staromiejska synagoga kierowana była przez Szmula Freilicha, głównego posługacza. Pochodził on ze Staszowa, małego polskiego miasteczka, lecz zdążył już nabrać wielkomiejskich manier. Gdy zachodziła taka potrzeba, potrafił mówić w łódzkim niemieckim. Mieszkał wraz z rodziną w samej synagodze. Był słabeuszem, cierpiał na astmę. Gdy zaczynał kaszleć, jego wielkie jasne oczy robiły się wilgotne, pojawiały się na nich czerwone żyłki i zdawało się, że zaraz mu wyskoczą. Jego siłą było to, że znał wszystkich modlących się, dlatego też siedział przy stole, gdzie sprzedawaliśmy miejsca przed Jamim Noraim.

Przy sprzedaży było kilka trudności. Pierwsza – należało wiedzieć, ile wziąć za dane miejsce, jak wysoko je oszacować. Druga – na poszczególnych miejscach tak dopasować sąsiadów, by nie wynikła z tego jakaś sprzeczka czy obraza, ponieważ nie każdy chciał mieć za sąsiada przypadkowego kamienicznika. Jeszcze ciężiej było z miejscami na babińcu. Wybierano miejsca, jak przebiera się w pięknych bułeczkach z kosza piekarza. Dopasowanie sąsiadów i porównanie cen wymagało sporo czasu i wysiłku. Trzecia trudność wynikała z praw już nabytych, wynajęcie miejsca, do którego jakaś kobieta lub mężczyzna mieli już prawo, czy to nabyte osobiście, czy odziedziczone, było niemalże przestępstwem. Często dochodziło do całkiem ostrych sprzeczek o miejsce, do którego było już nabyte wcześniej prawo. Modlący się, kobiety i mężczyźni ze Starego Miasta, nie akceptowali ludzi z gminu. Łatwo można było usłyszeć jakieś ostre słowo, ludzie byli

¹²⁹ Hilel Alterman (1850–1934) oraz Salomon Baj (1862–1940) byli cenionymi kantorami synagogi przy al. Kościuszki. Zob. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny*, t. 1, Łódź 2001.

¹³⁰ Aron kodesz – szafa ołtarzowa w postaci ozdobnej drewnianej skrzynki służąca do przechowywania zwójów Tory, czyli rodafu. Jeden z najważniejszych elementów wyposażenia synagogi. Bima – podwyższone miejsce w centrum synagogi, z którego odczytywana jest Tora.

zapalczywi i gotowi urządzić wielki skandal, jeśli miejsce zostało sprzedane komuś innemu. Jednak posługacze z tej synagogi, którzy również zasiadali za stołem, znali wszystkich bardzo dobrze, gdyż sami pochodzili z tej okolicy i łatwiej im było opanować sytuację. Zasiadał na przykład za stołem posługacz Abraham Warszawski, powszechnie szanowany mieszczanin (właściciel fabryki wody sodowej), jeden z Lubochińskich, Fischerów, na sam widok których można było się wystraszyć, zasiadał Wróblewski, bardzo pobożny Żyd, fabrykant cukierków, który podczas zamieszania przy stole mówił cicho i spokojnie, jakby każde słowo kosztowało go talara. [...]

Głosy ludzi, drobiu i bydła, zapachy warzyw i owoców, wszystko to mieszało się w wąskich uliczkach, na których tłoczyli się przechodnie śpieszący ze sprawunkami na święta do domów. Rzemieślnicy wynosili na rynek i przed swe zakłady wyprodukowane przez siebie towary, które przygotowali na święta: stare i nowe ubrania, buty – duże i małe, nieprzebrane morze rzeczy. Otwarte były sklepy kolonialne i widać w nich było bogate damy ze służącymi, obładowanymi koszami i pakunkami. Również żebracy i biedacy mieli przed świętami swój sezon. Wszystko to razem tworzyło barwny obraz żydowskiego handlu i życia, żydowskich obyczajów koncentrujących się wokół staromiejskiej synagogi w jednym z największych centrów żydowskich w Polsce. Tramwaj ledwo się przeciskał przez tłum, który wyległ na Nowomiejską czy Zgierską i sprawiał wrażenie obcego ciała, które nie pasuje do żydowskiego dnia miesiąca elul w Łodzi.

Posługacze w synagodze, Lubochiński i Warszawski za honorowy obowiązek poczytywali sobie zaproszenie nas, urzędników na kieliszek czegoś mocniejszego i przekąskę. Odmówić nie było można, ponieważ była to tradycja trwająca u nich już przez wiele lat. Oczywiście „przekąska” była to tylko z nazwy. W rzeczywistości przygotowywano dla nas wielki stół zastawiony różnymi żydowskimi smakołykami i kilkoma fiaskami wódki. Staromiejscy posługacze mieli mieszczańskie i bogate mieszkania. Ich dzieci nie mieszkaly daleko od rodziców i panowała tam prawdziwie żydowska atmosfera. Pito i winszowano sobie, znów pito i znów to samo. Stara babcia siedziała na brzegu łóżka i kiwała głową. Pamiętała jeszcze czasy, gdy Łódź była wioską, a pochodziła z tej samej miejscowości, co Poznański, z Kowala. Teraz, mówiła, gdy nastały tramwaje, nie wychodzi na miasto, ruch uliczny sprawia, że czuje się zupełnie zagubiona. Za stołem życzo sobie, byśmy dożyli następnego roku. Czas ucieka i nie wiadomo kiedy znów jest miesiąc elul, znów wystawiane są stoły i tłoczą się przy nich ci sami mieszczanie. I tak rok za rokiem aż do wybuchu I wojny.

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

Szymon Dżigan

Urodzony w 1905 r. aktor i komik znany z ról w przedwojennych żydowskich filmach, przedstawieniach teatralnych i kabaretowych granych w jidysz. Często występował z Izraelem Szumacherem (1908–1961), z którym stworzył jeden z najbardziej znanych jidyszowych duetów komediowych XX w. Po wybuchu II wojny światowej uciekł na wschód. Od 1942 r. przebywał w obozie pracy w Taszkencie. W 1948 r. wrócił do Polski, a w 1950 wyemigrował do Izraela. Wspomnienia pochodzą z książki *Der kojech fun jidiszn humor* [Siła żydowskiego humoru] wydanej w Tel Awiwie w 1974 r. Dżigan zmarł w 1980 r.

Siła żydowskiego humoru¹

POLSKA

Łódź, Bałuty, Zawiszy 32 – tam się urodziłem i tam spędziłem moje lata dziecięce. Tamto podwórze – było jak całe żydowskie miasteczko. W kamienicy mieszkali najrozmaitsi ludzie: krawcy, szewcy, tkacze, ślusarze, handlarze itp. Znajdowała się tam piekarnia, skład węgla, mleczarnia, a nawet burdelik. Brakowało jedynie aptekarza i lekarza.

Podwórze wraz ze wszystkimi budynkami należało do znanego bałuckiego kamienicznika – Niemca Kramera, który mówił w jidysz z hebrajskimi wstawkami i miał w głowie kalendarz z datami wszystkich żydowskich świąt. Ceglany budynek frontowy zamieszkiwany był przez „arystokrację”. Budynki stojące wewnątrz, na podwórzu, były drewniane i w nich mieszkali biedacy, wśród których również znajdowali się Żydzi o różnej pozycji społecznej, między innymi rzemieślnicy i drobni handlarze, ledwo-łedwo, ale z godnością, zarabiający na życie. Byli także biedacy, domokrażcy, kataryniarz itp. W najbliższej okolicy mieszkało kilkuset Żydów i cała kupa dzieci. Dzieci nie znały różnic społecznych i bawiły się razem, podczas gdy ich rodzice, dbając już o swój status społeczny, przyjaźnili się tylko z równymi sobie.

Pośród tych dzieci biegających po podwórzu wyrosli w przyszłości pisarze, nauczyciele, malarze i rewolucjoniści najrozmaitszej maści. W późniejszych, dorosłych latach spotkałem w kręgach literacko-artystycznych mojego przyjaciela z podwórka – Szymona Lublinera, malarza i dziennikarza, który jako chłopiec był kimś w rodzaju przywódcy w naszej dziecięcej podwórkowej republice. Szymeł był silny, potrafił się bić, a ponadto mógł się uczyć, bo jego ojciec był rabinem. Z jakiegoś powodu chodził ubrany w biały chałacik, a na głowie nosił coś w rodzaju lisiury². Swoim wyglądem mocno wyróżniał się spośród pozostałych dzieci, ale pod każdym innym względem był taki jak wszyscy i należał do przywódców podwórka.

¹ Pierwodruk i podstawa przekładu: Sz. Dżigan, *Der kojech fun jidiszn humor*, cz. 1: *Pojlin*, Tel Awiw 1974, s. 19–141.

² Lisiura – zob. s. 97, przyp. 88.

Mój ojciec należał do tych bogatszych na Zawiszy 32. Mieszkaliśmy w ceglany, frontowym budynku i tam, rzecz jasna, mieliśmy sklep. Ojciec był prostym człowiekiem, niedysiejszym żołnierzem służącym w rosyjskim wojsku (odbywając służbę wojskową, dotarł aż do Taszkientu). Po zakończeniu służby został pisarzem leśnym i tam poznał moją mamę, która była córką kupca handlującego lasami z Tomaszowa. Po ślubie sam wziął się za handel – otworzył na Zawiszy 32 sklep z wszelakim dobrem, a jego głównymi klientami zostali Niemcy z wiosek pod Łodzią. W sklepiku było wszystko – od igły po brony, od cukierków i chałwy po stroje ślubne dla młodej pary. Matka zajmowała się drobnymi klientami, a ojciec – tymi większymi. Dla nas, dzieci, oboje mieli mało czasu³.

Ojciec prowadził proste życie, ale lubił dyscyplinę. To zamięłowanie wyniósł ze służby w carskim wojsku. Wobec nas, dzieci, nie był zbyt surowy. Co prawda przez cały tydzień miał dla nas mało czasu, ale za to w szabat nie pozwalał nam się bawić z kumplami na podwórku. „Macie ich przez cały tydzień” – powtarzał. Nie było mowy o tym, by mu się przeciwstawić. Dobrze, że w szabat po południu ucinął sobie drzemkę, gdyż wówczas mogliśmy wykraść się na zewnątrz, aby wziąć udział w wojnach, które były największymi atrakcjami naszych dziecięcych lat.

Od dziecka rosłem w poczuciu, że w pewnym sensie jestem wybrany, to znaczy: że jestem kimś z wyższego poziomu drabiny dziecięcej społeczności. Było tak, gdyż silniejsi i starsi chłopcy dopuszczali mnie do swoich spotkań, które odbywały się nocą, kiedy małe dzieci już spały. Tego zaszczytu dostępowałem nie dlatego, że mój ojciec był bogatym gospodarzem i punktualnie płacił mełamedowi, ale dlatego, że w sklepie mojego ojca były smakołyki – chałwa, czekolada i cukierki, które moi przyjaciele bardzo lubili. Dostarczałem im tego towaru, kupując sobie w taki sposób ich względy. Moim ochroniarzem był Szymeł Lubliner, to dzięki niemu należałem do najwyższych elit i mogłem patrzeć z góry na dzieci w moim wieku.

Najważniejszym przywódcą wśród chłopców był Abramek Złodziej. Dlaczego tak go nazywano, nie wiem. Wiem tylko, że nie bał się żadnego goja, ani żadnego psa. Był generał-gubernatorem podwórza i przywódcą wszystkich naszych wojen z chłopakami z innych podwórek i ulic. Drugi po nim był syn piekarza – w piekarni jego ojca spotykaliśmy się podczas naszych zebrań. Dostał tego zaszczytu z powodu swojego talentu do opowiadania fantastycznych historii o czarownicach, księżętach, żebrakach itp. Opowiadał nam o zatonięciu Titanica, barwnie malując, jak sam się uratował z tej katastrofy. I chociaż wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że nigdy nie opuścił naszego podwórza, wierzyliśmy w każde jego słowo. Opowiadał nam na przykład o rzeziach, jakich Anglicy dokonali na Burach, a wówczas okazywało się, że on sam ocalał kilka tysięcy spośród tych, których Anglicy chcieli zamordować.

Z wczesnego dzieciństwa najlepiej pamiętam wojny, które chłopcy wiedli w szabatowe popołudnia, kiedy niczego się nie bali, bo rodzice ucinali sobie świąteczną drzemkę. Każde podwórce miało swoją armię, armie były nazywane nazwami państw, które właśnie odgrywały jakąś rolę w polityce. Stąd się wzięły armie – turecka, rosyjska, a później

³ Szymon miał siostry Esterę (ur. 1901), Rudę (ur. 1908) i Surę (ur. 1912) oraz brata Szoela (ur. 1910).

japońska. Byliśmy uzbrojeni w kije oraz kamienie i walczyliśmy jak lwy. Po takiej wojnie wracaliśmy do domów potłuczeni i posiniaczeni. Ale zadowoleni, że zdobyliśmy Władystok (sąsiednie podwórze). W naszych bitwach odbijała się geografia, o której rozmawiali dorośli. Innym razem znowu doświadczaliśmy smaku porażki, ponieważ nasi przeciwnicy, Rosjanie, ponownie podbili Mandżurię.

W przedstawieniu zagrałem po raz pierwszy wówczas, gdy dzieci z naszego podwórza wystawiły sztukę teatralną w stajni, która była częścią mleczarni (należała do mleczarza). Była to sztuka *Dawid na pustkowiu*, która właśnie szła w żydowskim teatrze. Reżyserem został Abramek Złodziej. Rozdzielił role, zapoznał każdego z tekstem i pokazał, jak chodzić i gdzie stać. Musiałem przynieść ze sklepu ojca wielką ilość przekąsek, aby dostąpić zaszczytu odegrania roli owieczki w stadzie króla Dawida. Moje zadanie nie było skomplikowane. Od czasu do czasu miałem jedynie wraz z innymi owcami zawołać: „Beee”.

Samo przedstawienie, do którego długo żeśmy się szykowali, zostało wystawione podczas święta Purim⁴. Wpuszczono dzieci z naszego podwórza i z innych podwórz (z tego powodu zawarto zawieszenie broni między armiami). Każde dziecko, które chciało obejrzeć sztukę, musiało przynieść coś do jedzenia albo jakąś przekąskę. Po przedstawieniu wszyscy aktorzy zasiedli do uczty purimowej przygotowanej z przyniesionych przysmaków.

Z samego przedstawienia pamiętam, że Dawid trzymał w ręku łuk, zaś czeladnik piekarza, który grał Goliata, był ubrany w worek po mące, a na głowie miał mosiężny rondel. Uzbrojono go w wałek zamiast dzidy i w stolnicę zamiast tarczy. Wedle wskazówek reżysera nie musiał się tymi sprzętami posługiwać, za to miał pamiętać, aby upaść, kiedy Dawid rzuci w niego sławetnym kamieniem.

My, owce ze stada Dawida, rozbiegliśmy się na cztery strony, okryci wywróconymi na lewą stronę owczymi kozuchami i chustami. My nie widzieliśmy publiczności, a publiczność nie widziała nas. Jak już wspomniałem, jedynym naszym zadaniem było zabiec od czasu do czasu. Byłem bardzo ciekawskim i niespokojnym chłopcem, tak więc owo rozproszenie się na cztery strony i leżenie pod owczym kozuchem szybko mi się znudziło i w pewnym momencie podniosłem kozuch, aby rzucić okiem na publiczność. Ujrawszy grupę dzieci na sali, których jaśniejące oczy spoglądały w naszym kierunku, zabeczałem zupełnie niezgodnie z planem reżysera, sam nie wiem, dlaczego. Był to oczywiście przełomowy moment sztuki i moje „Beee” wywołało u małych widzów salwy gromkiego śmiechu. Kiedy usłyszałem, jak się śmieją, zacząłem beczeć na poważnie i robić grymasy. Jednym słowem skradłem przedstawienie, a mój sukces był ogromny. Konsekwencje tego sukcesu były jednak gorzkie: zaczęto na mnie wołać „Szymbel Beee”.

To, że dzieci nazywały mnie tym przezwiskiem, było wystarczająco nieprzyjemne i bardzo mnie przygnębiało. Ale zdarzyło się coś jeszcze gorszego. Na naszym podwórzu

⁴ Purim (hebr., dosł. ‘losy’) – święto upamiętniające biblijną historię ocalenia Żydów opisaną w Księdze Estery; jedno z najradośniejszych świąt w kalendarzu żydowskim, w czasie którego zakazany był jakikolwiek post i żałoba; radość wyrażano m.in. poprzez maskarady i organizowanie przedstawień teatralnych; święt przypadało 14 dnia miesiąca adara (luty–marzec).

mieszkał nauczyciel, który miał córkę o imieniu Roza. W naszych dziecięcych oczach ta Roza była prawdziwą królewną. Wyobraźcie sobie, że miała kręcone blond włosy i niebieskie oczy, a do tego chodziła odświętnie ubrana nawet w środku tygodnia. Dziewczynka, która, mieszkając na Bałutach, ośmielała się mieć na imię Roza, oczywiście nie robiła niczego złego, a jedynie stała przy oknie i wyglądała na podwórko. Rzecz jasna, my, wszyscy chłopcy z podwórka, byliśmy w niej zakochani i wszystko, co robiliśmy, wszystkie sztuczki i popisy, których dokonywaliśmy, były dla niej. Stała nam przed oczyma za dnia i w nocy, i wszystkie nasze rozmowy i pogawędki kręciły się wokół niej. Abramek Złodziej zapewniał nas wszystkich, że niebawem przespaceruje się z Rozą po podwórzu, ale nic z tego nie wyszło. Ja też sobie wmówiłem, że Roza patrzy na mnie inaczej niż na pozostałych chłopców i byłem pewien, że czuje do mnie coś specjalnego. Jednak wyobraźcie sobie mój ból, gdy ta Roza, przechodząc pewnego dnia z matką przez podwórze, zawołała na mój widok: „Szymele Beee”! Aż pociemniało mi w oczach, zwłaszcza, że wszyscy chłopcy wokół słyszeli, jak zwraca się do mnie tym przezwiskiem, które w jej ustach brzmiało wyjątkowo szyderczo.

Dzisiaj wiem, że podwórze na Zawiszy 32 było szare i ubogie. Jednak w dziecinnych latach stanowiło ono centrum mojego barwnego świata. Każde najmniejsze wydarzenie było wstrząsem i bardzo nas zajmowało, rozmawialiśmy o nim całymi tygodniami. Z reguły mieszkańcy podwórza wcześniej chodzili spać i wcześniej wstawali do pracy albo do swoich interesów. Bardzo często na podwórzu słychać było śpiewane w czasie pracy przez tkaczy i krawców piosenki – najczęściej ludowe bądź zaczerpnięte z repertuarów żydowskich teatrów. Melodie często się zlewały i przenikały do mojego serca. Później nasłuchiwałem się na podwórzu pieśni rewolucyjnych, które milkły w niejeden piątek wieczorem, gdy podwórze z nagle otaczali żandarmi, którzy chcieli złapać uczestników tajnego zebrania odbywającego się gdzieś w sekretnym miejscu. Pamiętam, że czasami nawet słychać było strzelaninę, a raz kula trafiła jedną kobietę

Mój dziecinny podwórkowy raj trwał aż do pierwszej wojny światowej, gdyż wówczas ojciec opuścił Bałuty („To nie dla nas” – powiedział) i osiedlił się na Wilkach⁵, na ulicy Dzielnej⁶, gdzie kupił dom i otworzył delikatesy. Zaczęło się dla nas nowe życie. Koniec z chederem, koniec z wojnami, koniec z zebraniem w piekarni i koniec z opowieściami snutymi przez syna piekarza. Zaczęliśmy uczęszczać do szkół, również okolica była nowa i pojawili się całkiem nowi przyjaciele.

* * *

Jednak również po przeprowadzce z Bałut na Wilki nie całkiem straciłem kontakt z podwórzem na Zawiszy, a moje częste wypadki do miejsca, gdzie spędziłem wcześniejsze lata dzieciństwa, pozwoliły mi szerzej spojrzeć na tę ubogą dzielnicę. O ile wcześniej znałem jej podwórza, które były podobne do mojego, teraz zacząłem dostrzegać ulice, ruchliwe życie, specyficzny hałas i jedyny w swoim rodzaju koloryt. Rzecz jasna,

⁵ Wilki – zob. s. 30, przyp. 9.

⁶ Obecnie ul. Narutowicza.

w tamtym czasie poznałem nie tylko Bałuty, ale też inne części miasta Łodzi, do których miałem teraz o wiele lepszy dostęp.

Bałuty składały się z tysiąca takich podwórz, jak to na Zawiszy. Ale były tam też podwórza zupełnie inne od naszego i to właśnie tam bieda była znacznie gęstsza, by tak rzec – bardziej naga; również element ludzki był bardziej jednolity, bardziej odstrasający i bardziej podejrzany. Były na Bałutach uliczki i podwórza wypełnione na wskroś ludźmi należącymi do najniższej warstwy społecznej, potocznie zwanej „elementem”. Mieszkali tam złodzieje, alfonsi i ich narzeczone, najrozmaitsi kasiarze i chwaci, którzy nosili kaszkiety o lśniących daszkach nasuniętych na oczy albo zawadziacko przekręconych na bok. Pomiędzy nimi często żyli dorożkarze, na których ludzie półświatka spoglądali z pogardą, albo nieokrzesani tragarze niemający do czynienia z grubszymi pieniędzmi, a mimo to wdychający po cichu, że muszą żyć razem z tym szemranym towarzystwem, za dnia i w nocy pilnując swoich dorastających córek...

Bałuty były jedynie przedmieściem Łodzi, a mimo to znajdowało się tam wszystko, co musi posiadać całe miasto: więksi i pomniejsi kupcy, niezliczona ilość rzemieślników rozmaitych fachów, a zwłaszcza – bałuccy tkacze, których warsztaty napępniały całą okolicę swoim monotonnym stukotem – tą najbardziej charakterystyczną muzyką. Możliwe, że gdyby pokusić się o badania statystyczne, okazałoby się, że zajmujący się rękodzielnictwem bałuccy Żydzi wcale nie stanowili większości wśród ciężko pracujących ludzi w okolicy, ale takie właśnie rodziło się wrażenie – że większość bałuckiej społeczności żydowskiej stanowią tkacze. Nazwa „Bałuty” od razu kojarzyła się z ciemną izbą, w której warsztat tkacki zajmuje trzy czwarte powierzchni zwykle jednopokojowego mieszkania. Kolejne skojarzenie to Żyd w rozpiętym małym tałasie, siedzący od rana do późnej nocy przy warsztacie i przerzucający czołenko tam i z powrotem, podczas gdy w kącie izby, obok pieca, stoi jego żona i gotuje ubogi posiłek, zaś z garnka wydobywa się i rozpełza na całą przestrzeń gęsta para wraz z zapachem przypalonego oleju.

Warsztat tkacki i jego monotonna muzyka dominowały nad Bałutami, chociaż tam mieszkaly, jak już wspomniałem, tysiące rzemieślników, kupców i ludzi o nieokreślonych profesjach. Wszyscy oni żyli na swoich odrębnych podwórzach, a spotykali się na bałuckich ulicach i uliczkach. Tam znajdowały się sklepy, targowiska, knajpy, apteki, gojowskie urzędy itp. Tam handlowano, jeżdżono tramwajami i dorożkami, a także gromadzono się w małych grupkach na trotuarze, gdy wydarzyło się coś niezwykłego. Tam kieszonkowcy pracowali w tłumie, co chwilę unieszczęśliwiając jakiegoś prowincjonalnego Żyda czy Żydówkę. Tam spacerowano wieczorami, odwiedzano „ferajnę” albo – nie przymierzając – chadzano modlić się w licznych szulach, sztyblach i okolicznych beit midraszach⁷.

Bałuccy Żydzi lubili w wolnych chwilach spędzać czas na ulicach i uliczkach swojej dzielnicy. Dorastające dziewczęta „spacerowały” po wąskich chodnikach, a ich umyte naftą włosy błyszczały w promieniach zachodzącego słońca. Dorosłe panny z książkami w dłoniach przekrzykiwały się z czeladnikami, którzy kręcili się w tę i z powrotem z zawieszonymi na ramieniu śmiesznymi laseczkami. Jedna strona rozmawiała z drugą

⁷ Szul, sztybel, beit midrasz – określenia domów nauki i modlitwy.

nie wprost, przerzucano się mądrymi powiedzonkami jak piłeczkami, dopiero później zbliżano się do siebie i zawierano znajomość. A kiedy dziewczyna poczuła, że chłopiec „myśli poważnie”, umawiała się z nim na drugie spotkanie. Gdy relacje takiej pary stawały się już całkiem poważne, udawano się na cmentarz przy ulicy Brzezińskiej, albo szło się do Wilka na deptak, który znajdował się przy ulicy Piotrkowskiej. W późniejszych latach na bałuckich uliczkach pojawiły się również rewolucyjne giełdy, na których młodzież w czarnych koszulach i z wielkimi grzywami spotykała się niby przypadkiem, przy okazji potajemnie przekazując sobie niebezpieczne sekrety. Starsi Żydzi, rzemieślnicy, tragarze, rzeźnicy i furmani spotykali się w szynkach przy szklarnicy piwa i misce bobu. Każde rzemiosło miało swój szynk, również półświatek miał swoje knajpy, gdzie często dochodziło do bitek, nierzadko z użyciem noża. W takich lokalach odbywały się złodziejskie *dintojry*, które potrafiły się ciągnąć całymi tygodniami, aż do finału, jakim były przeprosiny i uroczystość zadośćuczynienia, podczas której pochłaniano stado pieczonych gęsi, a także wypijano morze wódki i całe beczki pienistego piwa.

Ubogie Bałuty zaopatrywały całą Łódź w robotników fabrycznych, handlarzy podwórkowych, żebraków, domokrażców, katarzyniarzy, sztukmistrzów i śpiewaków ulicznych. Wczesnym rankiem oni wszyscy udawali się na szerokie ulice miasta, a wieczorem wracali ze swoim dziennym zarobkiem. Inna część bałuckich mieszkańców udawała się na szerokie miejskie ulice dopiero wtedy, gdy zapadał zmrok. To byli działacze robotniczy, inteligenci, którzy szli albo jechali do swoich organizacji. Młodzi chłopcy i dziewczyny wieczorami chadzali na wykłady albo na przedstawienia teatralne, a wraz z nimi na szerokie, miejskie ulice wychodziły też kobiety o wątpliwej reputacji, a także mężczyźni, którzy czerpali zyski z podejrzaney nocnej pracy.

Bałuty wydały wielu żydowskich pisarzy i również były przez nich opisywane. Jednak nikt nie zdołał przekazać pełnego i różnorodnego obrazu dzielnicy. Była ona jak morze, którego nikt nie jest w stanie wyczerpać, ja również tego nie potrafię.

Od kiedy wyprowadziliśmy się z Zawiszy na Dzielną, bliżej zapoznałem się także z innymi częściami miasta Łodzi: z Rynkiem Wodnym, Zielonym Rynkiem, Rynkiem Domokrażców, Lasem Konstantynowskim. Stopniowo zacząłem odczuwać szczególność i specyfikę każdej z tych okolic. Byłem też częstym gościem łódzkich ogrodów miejskich, gdzie spotykała się żydowska młodzież. Chłopcy i dziewczyny wpadali tam na siebie niby przypadkiem, ale zamiast dać wyraz swoim romantycznym uczuciom, rozmawiali o polityce, literaturze, angażując się w dyskusję o tym, jak naprawić świat. Było tak w czasach I wojny światowej i tak pozostało również później, po wojnie, za czasów państwa polskiego. Istniała tylko jedna różnica, bo wcześniej trzeba było strzec się szpicla carskiej ochrony, a później – tajnego agenta polskiej policji politycznej. Konieczność konspiracji nie stłumiła jednak młodzieńczego żaru, temperamentu i chęci zmiany porządku świata. Ja – dorastający chłopak – doświadczałem tej młodzieńczej burzy, mając oczy i uszy otwarte. Już wówczas wiedziałem, że nie wystarczy tylko być, lecz że nieustannie należy dążyć do tego, aby kimś się stać...

* * *

Wybuchła I wojna światowa. Koło fortuny w naszym domu potoczyło się w kierunku biedy. Wielki sklep mojego ojca zaczął się kurczyć z dnia na dzień, aż stał się pusty i nie było już co sprzedawać. Nie mając alternatywy, ojciec sprzedał dom i przejadaliśmy go piętro po piętrze.

Pewnego razu, kiedy mieliśmy skonsumować drugie piętro, ojciec powiedział do matki: „Mirlo, nasze dzieci już nie mogą się uczyć w szkole. Niedługo zjemy dach i będziemy spoglądać w niebo, a tymczasem nasz dom pójdzie do piachu. Tak więc proponuję, aby dzieci nauczyły się zawodu. Grunt to mieć jakiś fach. Z fachem w rękę nie zginą”.

Przejąłem się położeniem moich rodziców i chętnie wziąłem się za naukę krawiectwa. Skończyły się moje wędrówki po ulicach z przyjaciółmi. Skończyła się nauka w szkole, a tym samym mój udział w przedstawieniach teatralnych, które tam organizowano pod hasłem „Dzieci dla dzieci”. Stałem się czeladnikiem młodego mistrza krawieckiego, który zaczął uczyć mnie fachu w ten sam sposób, w jaki nauczano go lata temu, to znaczy, zamiast uczyć się trzymania igły w rękę, musiałem najpierw być służącym, niańką dla dzieci, posłańcem przy rozmaitych okazjach, tragarzem itp., itd.

Moje późniejsze doświadczenie przekonało mnie, że najgorsi majstrowie, najwięksi wyszukiwacze swoich czeladników i uczniów, to młodzi gospodarze, którzy, zanim się ożenili i poszli na swoje, sami byli robotnikami, i to bardzo rewolucyjnymi. Taki właśnie był mój pierwszy majster, u którego wykonywałam wszelakie prace za darmo, do późnego wieczoru. Harowałam jak trzy służące, niańczyłam jego dziecko, froterowałam podłogę na błysk i nieustannie biegałam na posyłki. Moje ówczesne gorzkie życie jednak miało słodkie chwile. Bywało tak w piątek wieczorem, kiedy dostawałam niewielką zapłatę i zanosilem ją do domu, by przekazać ojcu. To była chwila dobra dla mnie, jednak dla mojego taty był to gorzki czas, ponieważ doskonale wiedział, w jaki sposób zarabiam te marne pieniądze.

Z czasem zacząłem się buntować przeciwko majstrowi. Gdy posyłał mnie gdzieś, znikałem na całe godziny. Miałem przy tym najrozmaitsze wymówki, że nawet dziecko w kołysce zdawało się chwytać mnie za rękę, poznając się na moich grubych kłamstwach. W obliczu tego, że majster i majstrowa ciągle zmuszali mnie do sprzątanía izby, zamiast nauczyć nawlekania igły, nagle wszystkie naczynia, szkło i wazony zaczęły się rozbijać przy każdym moim dotknięciu i poruszeniu. Stałem się takim niezdara – dziecko ciągle wypadło przy mnie z kołyski, talerze leciały mi z rąk i rozpadały się na tysiąc kawałków. Zdarzyło się też, że na suknie garniturowym, które mój majster dostał od swoich klientów, nagle pojawiły się tłuste plamy. Pewnego razu zapaliły się nawet firanki w oknie i wybuchł pożar, aż musiano wezwać straż pożarną.

Majster mnie przeklinał, groził, że mnie przegoni, ale mimo tego trzymał mnie dalej i dalej mnie wykorzystywał. Powód był prosty: ile bym szkód nie wyrządził, wynagradzała mu je moja praca. Harowałam za trzy służące, a do tego byłem jeszcze niańką dla dziecka i chłopcem na posyłki dla żony. Pracowałam od ósmej rano do dziewiątej wieczorem.

Kiedy rano spóźniłem się chociaż o minutę, wygłaszał płomienne mowy jak na masowym zebraniu. Wieczorem, w porze powrotu do domu, nie wygłaszał już płomiennych przemówień, lecz po cichutku przesuwiał zegar do tyłu i dopóki nie skończyłem tego, co on lub jego żona mi zlecili, więc zegar za nic w świecie nie chciał wybić godziny fajrantu. Od tego momentu znienawidziłem „wyrastanie na ludzi” u kogoś takiego i to mi zostało na całe życie.

Ostatecznie się z nim rozstałem. Pewnego razu, gdy spóźniłem się o całą godzinę, odprawił mnie, a ja – poszedłem sobie. I już więcej nie chciałem do niego wracać, choć przyszedł do mojego ojca, pragnąc go przekonać, że zrobi ze mnie ludzi. Ojciec jednak widział i dobrze wiedział, czego się przez cały ten czas nauczyłem, jaka mam znajomość fachu. Podzielał więc moje zdanie, że już nie powinienem do niego wracać.

Mój drugi majster był biedakiem. Wrócił z Ameryki wyciśnięty jak cytryna. Jednak szył dobrze i szybko, tak więc u niego faktycznie nauczyłem się fachu. Problemem było jednak to, że mój drugi majster zamiast pracować lubił gadać o polityce. Z czasem stałem się dobrym partnerem do jego nie kończących się politycznych dyskusji, więc zamiast szyc spodnie, na które czekał klient, godzinami sprzeczałyśmy się na temat strategii na wojennych frontach, wymienialiśmy rządy w rozmaitych krajach, wiedliśmy spory na temat tras statków wojennych, nie mogąc dojść do konsensusu, co jest ważniejsze dla wygrania wojny: armaty czy statki podwodne.

Był to, jak już wspomniałem, czas wojny. Niemcy już dawno zajęli Łódź i wyczyścili ją dokładnie z każdej rzeczy, którą można było zjeść. Czyścili chłopskie spichlerze z ziaren pszenicy i żyta, wywożąc je z kraju, a także rekwirowali worki mąki albo kaszy gryczanej od żydowskich sklepikarzy. Już od dawna w mieście nie widziano ani cukru, ani tłuszczu. Mosiężne klamki zniknęły wyrwane z drzwi, a kto miał samowar, musiał go ukryć, ponieważ inaczej Niemcy wysłaliby go do swoich fabryk w celu przetopienia na armatę. Materiały na ubrania bardzo straciły na jakości, a skóra zupełnie znikła. Pojawiły się drewniane trepy, które podczas chodzenia stukały jak purimowe grzechotki na Hamana⁸.

Łódź głodowała, jadając przydziały na „kartki”, życie stało się bardzo ciężkie. A przecież właśnie w tamtym czasie wzrosła żydowska aktywność społeczna, mnożyły się rozmaite organizacje i partie, o których za czasów cara Mikołaja nie można było nawet marzyć. Powstawały stowarzyszenia robotnicze, biblioteki, koła kształceniowe i organizacje sportowe, które nadały nowe tempo życiu łódzkich Żydów, a zwłaszcza życiu żydowskiej młodzieży w tym mieście.

Zanıło się na to, że będę dobrym rzemieślnikiem i już niebawem mógłbym zarabiać dwa razy tyle, ile zarabiałem u mojego „upolitycznionego” majstra, ale oto pewna sprawa pchnęła mnie na inną drogę. W kręgach żydowskiej młodzieży w Łodzi sport stał się wówczas bardzo popularny, tak więc i mnie bardzo wciągnął, odciągając od krawiectwa

⁸ W przededniu święta Purim w synagodze odczytuje się Księgę Estery, gdy pada imię planującego wymordowanie Żydów i zdemaskowanego przez Esterę Hamana, zgromadzeni podnoszą wrzawę, używając specjalnych grzechotek i kołatek.

Ze sportem na żydowskiej ulicy sprawa miała się tak: z reguły żaden żydowski ojciec nie chciał słyszeć o tym, by jego dziecko zajmowało się taką rzeczą, jak gimnastyka, ale ponieważ niemieccy fabrykanci w mieście założyli organizację sportową dla swoich synów i córek, to żydowscy fabrykanci i kupcy nie mogli postąpić inaczej niż tylko pójść w ich ślady. I rzeczywiście, wkrótce narodziło się łódzkie Żydowskie Towarzystwo Sportowe i Turystyczne „Bar Kochba”⁹, którego pierwszymi członkami byli bogaci synalkowie mogący sobie pozwolić na taki luksus, ale które z biegiem czasu musiało również przyjąć szturmującą do drzwi młodzież z naszego środowiska, taką jak ja.

Ja ze swojej strony byłem zakochany w sporcie, od kiedy po raz pierwszy zobaczyłem uliczny przemarsz zawodników „Bar Kochby” podczas święta Lag ba-Omer¹⁰. Kilku-dziesięciu młodych chłopców i dziewcząt o promiennych twarzach, o szczupłych, prostych, wysportowanych ciałach, maszerowało wówczas łódzkimi ulicami przy wtórze orkiestry, która podążała na przedzie, grając marsza, w rytm którego nogi same poruszały się w tanecznym rytmie. Chłopcy byli ubrani w białe spodnie i dokładnie takie same białe koszule z rozpiętymi i rozłożonymi kołnierzykami. Dziewczeta miały na sobie błękitne spódniczki, białe bluzki i sportowe buty, i wszyscy – zarówno chłopcy, jak i dziewczeta – mieli na rękawach biało-niebieskie opaski z gwiazdą Dawida. Ponad ich głowami łopotały na wietrze biało-niebieskie chorągwie, a z ich ust dobiegał radosny śpiew. Widząc ich jaśniejące oblicza, stałem jak zaczarowany. Wielki Boże, pomyślałem, czy to są nasi żydowscy chłopcy i dziewczeta, którzy boją się szejgeców¹¹ i psów? Byli dla mnie odkryciem i chciałem być jednym z nich. W wyobraźni każdy z tych chłopców był dla mnie Bar Kochbą albo jednym z dawnych legendarnych Machabeuszów¹².

Zapisałem się do Towarzystwa Sportowego i całkiem szybko stałem się dobrym sportowcem, a potem jeszcze lepszym piłkarzem. Moje pragnienie, aby czymś się wyróżniać z otoczenia, znalazło możliwość satysfakcjonującego zaspokojenia. Oczywiście już wówczas nie myślałem o krawiectwie, wręcz przeciwnie, musiałem szukać rozmaitych wymówek, aby skończyć pracę godzinę wcześniej i biec do Towarzystwa. Rzecz stała się jeszcze trudniejsza, kiedy zacząłem uczestniczyć w niedzielnych meczach piłkarskich, stając się niemal podporą żydowskiej drużyny futbolowej, która płaciła mi za udział w meczu dwa razy tyle, ile przez cały tydzień zarabiałem u mojego majstra. W pewnym sensie byłem chyba pierwszym półprofesjonalnym piłkarzem w żydowskiej Łodzi.

⁹ Właśc. Łódzkie Żydowskie Towarzystwo Gimnastyczno-Sportowe „Bar Kochba”. Nazwa upamiętniała zbrojne wystąpienie Żydów przeciwko Cesarstwu Rzymskiemu w latach 132–135 n.e. pod wodzą Szymona Bar Kochby.

¹⁰ Lag ba-Omer (hebr., dosł. ‘33 dzień omeru’) – święto żydowskie upamiętniające dzień uwolnienia od zarazy, która w starożytności dziesiątkowała ludność żydowską. Tego dnia uczniowie nie mieli zajęć, organizowano wycieczki i zabawy.

¹¹ Szejgec (szajgec) – łobuz, hultaj; najczęściej pejoratywne określenie młodego nie-Żyda bądź osoby odstępującej od judaizmu.

¹² Machabeusze – przywódcy żydowskiego powstania w latach 167–160 p.n.e. skierowanego przeciw rządzącej w Syrii, której podlegała w tym czasie Palestyna, dynastii Seleucydów. Po śmierci pierwszego przywódcy Matatisza wodzem powstańców został Juda Machabeusz, a po nim – Szymon Machabeusz.

Aby w niedzielę nie pracować i móc uczestniczyć w rozgrywkach piłkarskich, musiałem wymyślać rozmaite wymówki dla mojego drugiego majstra. Zacząłem od tego, że mu opowiedziałem smutnym głosem, że zmarł mi dziadek i muszę iść na pogrzeb. Gdy majster przyjął tę wymówkę, na drugi tydzień przyszła kolej na babcię, która, biedna, nie chciała żyć na tym świecie bez dziadka. Potem, zmiłuj się Boże, nieszczęście spadło na moich wujków i ciotki, kuzynów i pozostałych krewnych. Majster, miłośnik polityki, nie połapał się wcale, że wszyscy moi krewni jakby się zmówili, aby umierać piątek, aby ich pogrzeby wypadały w niedzielę, kiedy odbywały się mecze piłkarskie.

Trwało to tak długo, aż majster pewnego razu spotkał się z moim ojcem i z całą powagą przekazał mu wyrazy współczucia, że anioł śmierci tak okrutnie obchodzi się z jego rodziną, co tydzień zabierając kogo innego. Gdy ojciec zaczął się dopytywać, co ma na myśli, prawda wyszła na jaw jak oliwa na wodzie.

Kiedy wieczorem wróciłem do domu, ojciec wymierzył mi siarczysty policzek i powiedział: „Jeśli w najbliższą niedzielę nie pójdziesz do pracy, to naprawdę weźmiesz udział w pogrzebie, ale swoim własnym”. Z moim ojcem nie było żartów. Cóż więc czynić? W sobotę po południu ma się odbyć mecz, ale beze mnie imprezy nie będzie. Jednym słowem najbliższej niedzieli nie było pogrzebu, ale gdy tak siedziałem u majstra w izbie i pracowałem, nagle pojawiło się trzech młodzieńców, którzy zaczęli go przekonywać, że zorganizowano strajk krawców i abym nie stał się łamistrajkim, to muszę szybko pójść z nimi. Zadzierać ze strajkującymi mój majster nie chciał, więc polecił mi, abym poszedł z pikietą, dodając, że jeśli chodzi o niego, jest gotów poprzeć wszystkie żądania komitetu strajkowego.

Oszukać ojca nie było już tak łatwo, ponieważ on dobrze wiedział, czym się zajmuję w niedzielę. Jednak pogodził się z tym, ponieważ pieniądze, które dostawałem za udział w zawodach piłkarskich, przewyższały najlepszą płacę krawieckiego czeladnika. Jednocześnie przykazał mi, abym poszukał nowego majstra, ponieważ żał mu się zrobiło naiwnego Żyda, który dawał się wodzić uczniowi za nos. Tym sposobem trafiłem do trzeciego majstra przy ulicy Konstantynowskiej¹³. Było to akurat zimą, więc problem z meczami piłkarskimi chwilowo odpadł. Ale zaczął się nowy, i to o wiele gorszy, gdyż mój nowy majster był miłośnikiem teatru i marzył o tym, aby zostać aktorem. To zadecydowało o moim dalszym losie.

* * *

Zanim przejdę dalej, muszę uczynić pewną dygresję i opowiedzieć o czymś, co miało związek z moją ówczesnym działalnością sportową, ale jeszcze bardziej z żydowskim życiem w Łodzi.

Wcześniej wspominałem o moim pierwszym spotkaniu z żydowskimi sportowcami na łódzkiej ulicy. Dokąd maszerowali owi sportowcy tamtego poranka przy dźwiękach muzyki? Szli na święto turystyki w Helenowie, aby wziąć udział w imprezie, którą zorganizowały tam żydowskie instytucje dobroczynne. Później, kiedy sam byłem już

¹³ Obecnie ul. Legionów.

jednym ze sportowców, często brałem udział w takich wydarzeniach. Ale teraz chcę opowiedzieć nie o imprezie, lecz samym Helenowie i o tym, jaką rolę odgrywał ten park w życiu ubogich łódzkich Żydów.

Łódź była szarym, zadymionym miastem bez śladu drzewa czy trawy. Nie miała rzeki, a brudny rynsztok, od którego nazwę przyjęła, był jedynie źródłem smrodu wyczuwalnego na milę.

Więc teraz wyobraźcie sobie, że właśnie w tym szarym zakopconym mieście znajdował się browar, którego właściciel, Niemiec Anstadt¹⁴, posiadał wielki park z drzewami bez liku i zielonymi łąkami, a nawet z rzeczką, po której można było pływać łódkami. Przed laty ten wielki park przeszedł na własność miasta, po czym stopniowo, powoli został podbity przez ludność żydowską spragnioną odrobiny zieleni i czystego powietrza.

Ogród Anstadta, później nazwany Helenowem, już w moim dzieciństwie był znany i stał się częścią żydowskiego życia w Łodzi. W piątek rano bałuccy Żydzi spoglądali w niebo, aby zgadnąć, czy następnego dnia będzie piękna pogoda. Piękna pogoda oznaczała bowiem, że będzie można iść na spacer do Helenowa, a przyjemnością szabatowego spacerowania po Helenowie żyła połowa miasta.

Kiedy z bożą pomocą faktycznie przydarzyła się w szabat piękna pogoda, ciągnęły do Helenowa tłumy Żydów ze wszystkich części miasta, a zwłaszcza z Bałut. Szli tam starzy i młodzi, mężczyźni, kobiety i dzieci. Wyruszały rodziny, podwórza, ulice. Kolorowy tłum ludzi ciągnął śpiesznie do „ziemi obiecanej”, aby tam, na łonie natury, spędzić kilka godzin z dala od ciasnych uliczek i dusznych mieszkań, gdzie latem umierano z duchoty.

Jak ongiś Żydzi z Egiptu, tak łódzcy Żydzi wędrowali do parku w Helenowie obciążeni paczkami i workami, wiadrami i koszami, w których niesiono jedzenie i picie. Niektórzy wpadali na pomysł, aby wieźć prowiant w wózkach dziecinnych wypakowanych piernikami, pieczonymi kaczkami, jagodziankami i garnkami pełnymi bobu. Tu i tam niesiono na ramionach beczułki z piwem i bańki z domową lemoniadą – ku pokrzepieniu serc. Ścisk był wielki i stawał się jeszcze większy, kiedy tłum docierał do bramy wejściowej. Tutaj działy się sceny dantejskie, niemal tratowano ziemię. Każdy chciał jak najszybciej przekroczyć próg raju, więc w tym ścisku przewracano wózki dziecięce, wysypując w piach bób, wylewając napoje na ziemię, a czasami nawet zdzierając peruki z damskich głów¹⁵ albo rozmazując nadzienie jagodzianek na ubraniach kobiet i mężczyzn.

Kiedy już szczęśliwie przedostano się do środka, do ogrodu, rozpoczynano wyścig, aby zająć co lepsze miejsca. Każdy chciał siedzieć na ławce naprzeciwko orkiestry, która miała po południu dać koncert. Większość i tak nigdy tej orkiestry nie słyszała, tymczasem

¹⁴ Karol Anstadt (1801–1874) – założyciel pierwszego przemysłowego browaru w Łodzi. Przylegający do browaru park, rozciągający się w obrębie ulic Północnej, Smugowej i Źródłowej, został założony w 1881 r. przez synów Karola i nazwany Helenowem od imienia żon braci (Ludwika – Heleny z Nestlerów i Zenona – Heleny z Lemmów).

¹⁵ Religijne Żydówki są zobowiązane po ślubie zakrywać bądź golić włosy na głowie. Nakaz ten spełniają nosząc chusty oraz peruki.

jednak żartowano na jej temat, strzelając dowcipami na temat dyrygenta, dowodząc, że ma „nadzwyczajną siłę” i że jest wart „medalu z kalarepy”.

Młodzież chodziła do drugiego ogrodu, tam gdzie znajdowała się woda, po której pływano łódkami. Na wodzie kołysał się łabędź, który chyba już dawno przestał reagować na szabatowy żydowski zamęt. To naprawdę wielki cud, że ten zrezygnowany ptak nie uduślił się od zapachów, które unosiły się nad wodą w gorące dni.

Gdy nadszedł wieczór, starsi ludzie i dzieci wracali do domu. Z wielkim smutkiem opuszczali ogród, pełni jednak wiary w to, że zaczerpnęli świeżego powietrza na cały tydzień. Natomiast młodzież zostawała tam dopóty, dopóki jej nie przegoniono. Siedzano na trawie, grano w fanty, loteryjkę i flirt. Rozdawano zadrukowane karteczki flirtowe z numerkami. Każdemu numerowi odpowiadała jakaś deklaracja albo intymne pytanie, na które miał odpowiedzieć ten, kto otrzymał kartę z owym numerem. Zdarzały się sytuacje *qui pro quo*, które doprowadzały do niepotrzebnych nerwów. Na przykład jakiś chłopiec posyłał dziewczynie karteczkę flirtową z wyznaniem: „Chciałbym się z panią bliżej poznać”. Ale jeśli błędnie podał numer, dziewczyna odczytywała na przykład takie pytanie: „Czy chce mieć pani dużo dzieci?” Rzecz jasna, urażona dziewczyna nazywała flirtującego chłopca „grubianinem” i dochodziło do sprzeczki, którą uciszyć pomagali obecni.

W późniejszych latach owo szabatowe spędzanie czasu w Helenowie miało już bardziej zorganizowany charakter. Żydowskie instytucje filantropijne i inne stowarzyszenia organizowały tam imprezy z bogatym programem, a zabawa odbywała się dla celów charytatywnych. Grała orkiestra pod batutą znanego dyrygenta i rozmaite miejscowe talenty pokazywały tam swoją sztukę. Modne stało się deklamowanie poezji. I tak oto na estradzie pojawiał się jakiś domorosły talent i, wymachując rękami jak człowiek tonący w wodzie, wykrzykiwał: „Co myślicie, że jestem psem? Jestem lwem”. Tłum natychmiast reagował, krzycząc: „Fatalnie, niezdara. Poznański ma komin, a ten ma lwa”. Jednak ów utalentowany człowiek nie dawał sobie w kaszę dmuchać i dalejże doprowadzać tłum do szewskiej pasji. W taki oto sposób spędzano czas, czerpiąc wielką radość z rozrywki.

Z większym szacunkiem tłum odnosił się do występów sportowców, którzy od czasu do czasu pojawiali się tam. Wówczas faktycznie było co oglądać i ludzie cieszyli się, dając się porwać fali narastającego zachwyty. Często brałem udział w występach sportowców, a z czasem nawet dostąpiłem zaszczytu bycia ulubieńcem tłumu. Prawdę mówiąc, miałem wielką satysfakcję z tych występów, a również moi bliscy cieszyli się wraz ze mną. Jednak wisiało nad nami swoiste przekleństwo: za każdym razem, kiedy braliśmy udział w zawodach sportowych w Helenowie, niebo – rankiem jasne i pogodne – wieczorem zaczynało się chmurzyć i zanim zdołaliśmy doprowadzić nasz program do końca, spadał ulewny deszcz. Wybuchała panika, tratowano się nawzajem, biegano jak w czasie pożaru i ogród szybko pustoszał. Wracaliśmy do miasta upokorzeni i przemoczeni na wylot. Zamiast sukcesu był posmak porażki, a piękne sportowe ubrania wisiały na nas jak brudne szmaty...

* * *

Mój trzeci majster był, jak mówiłem, młodym mężczyzną, który miał słabość do teatru. Znał nazwiska wszystkich łódzkich aktorów i sam chciał zostać aktorem. Najlepiej odgrywał sceny ze sztuki *Jesziwe bocher* [Student jesziwy] albo *Geld, libe un szand* [Pieniądze, miłość i hańba]¹⁶. Jego żona rwała sobie włosy z głowy, krzycząc, że się rozwiedzie z zaleńcem, a także opowiadała, jak pewnej nocy nieomal ją udusił. Było to po powrocie z teatru, gdzie widział Juliusza Adlera¹⁷ grającego Otella.

Majster ów bardzo mi się podobał i szybko znalazłem z nim wspólny język. O ile jeszcze wtedy nie myślałem o aktorstwie, to przecież miałem już jakiś związek z samą grą aktorską. Było to tak: miałem wtedy przyjaciół i przyjaciółki, którzy należeli do koła dramatycznego przy ugrupowaniu Poalej Syjon Lewica¹⁸. Ni stąd ni zowąd okazało się, że mam zdolności do parodiowania rozmaitych ludzkich typów. Doszło do tego, że naśladowałem jakąś postać, a publiczność miała odgadnąć, o kogo chodzi. Ci, którym nie udało się zgadnąć, mieli płacić karę, a gdy nikt nie zgadł, wówczas to ja musiałem płacić.

W kole były dwie osoby, które wyspecjalizowały się w wygłaszaniu monologów. Jedna wygłaszała monologi na tematy bieżące, a druga czytała monologi Szolem Alejchema. Obaj monologisci zrobili na mnie wielkie wrażenie, a zwłaszcza ten, który prezentował teksty Szolem Alejchema. Zacząłem czytać książki tego pisarza i nagle ujrzałem świat na nowo. Wszystko, co mnie otaczało, zaczęło ujawniać swoją komiczną stronę, dzięki komizmowi lepiej i dokładniej rozpoznawałem rzeczywistość wokół siebie. Pewnego razu zaryzykowałem i przeczytałem monolog Szolem Alejchema, ale nic z tego nie wyszło. Dopiero wtedy intuicyjnie pojąłem, że monologów tego pisarza nie należy czytać, lecz wygłaszać, że każdy jego monolog należy prezentować z perspektywy konkretnego typu ludzkiego lub postaci. Więc ponownie zaryzykowałem i wygłosiłem jego monolog tak, jakby go wygłosił mój ojciec – sukces był ogromny. Ponownie intuicyjnie wyczułem, że przy prezentowaniu monologu należy złapać kontakt z publicznością, reagować na jej śmiech, a nawet śmiać się wraz z nią. Odnosiłem coraz większe sukcesy i nazwisko moje stało się znane w moim otoczeniu, gdzie zaczęto mnie postrzegać jako przyszłego artystę.

W tamtym właśnie czasie trafiłem do trzeciego majstra, tego zakochanego w teatrze. Pod jego wpływem zacząłem przede wszystkim chodzić do teatru. Zostałem mistrzem wchodzenia do teatru na gapę, przez „ślepe drzwi”, i w ten sposób wprowadzałem tam wszystkich moich przyjaciół. Istniały tylko niebo, ziemia i teatr. Koniec był taki, że sami założyliśmy nowe koło dramatyczne, które wystawiało już prawdziwe sztuki teatralne,

¹⁶ Popularne utwory sceniczne Izzydora Żołotarewskiego (1875–1945), zaliczane do żydowskiego repertuaru „szundowego”, mało ambitnego. Zob. M. Bułat, *Krakowski teatr żydowski*, Kraków 2006, s. 94.

¹⁷ Juliusz Adler (1880–1950) – aktor, grał głównie role w filmach i przedstawieniach teatralnych w języku jidysz, w drugiej dekadzie XX w. był także dyrektorem teatru Scała w Łodzi, dla którego napisał kilka operetek. Od 1920 r. mieszkał w Stanach Zjednoczonych, ale często przyjeżdżał do Europy na gościnne występy.

¹⁸ Poalej Syjon Lewica – ugrupowanie syjonistyczne o charakterze lewicowym, zbliżone ideologicznie do komunizmu. Postulowało utworzenie w Palestynie żydowskiego państwa narodowego opartego na ideach socjalistycznych.

a nie tylko same monologi. Wciągnąłem mojego majstra do koła dramatycznego, za co jego żona życzyła mi wiecznego pobytu w piekle.

Z powodu miłości do teatru zacząłem zaniedbywać sport, chociaż wciąż jeszcze zajmowałem się futbolem. Nie starczało mi godzin w ciągu doby, ponieważ miałem na głowie i sport, i koło dramatyczne, a także krawiectwo, i do tego jeszcze musiałem czytać książki, ponieważ bez czytania i bez znajomości nazwisk znanych pisarzy nie było się wówczas poważanym człowiekiem.

Czytanie książek i poznawanie znanych pisarzy było w tamtym czasie dla młodych ludzi oczywistością. W czasie rozmowy młody człowiek bezwzględnie musiał rzucić jakieś słowo o książce albo wspomnieć nazwisko Lwa Tołstoja, Victora Hugo czy Heinricha Heinego. Często można było usłyszeć dziewczynę mówiącą do swojego partnera: „To mi przypomina myśl, którą wyczytałam u Juliusza Słowackiego, który mówi, że jabłko pada niedaleko od jabłoni”. Na to chłopiec odpowiadał jej, dowodząc tym samym, że nie wypadł kozie spod ogona: „Jak to powiada Victor Hugo? Stara miłość nie rdzewieje”. Pamiętam, jak pewnego razu jakiś chłopak z naszej grupy zaimponował wszystkim, wymieniając nazwisko Rabindranatha Tagore i od tego czasu wszyscy mówili o tym poecie. Łamano sobie język i krztuszono się, wymawiając jego imię, ale należało choć kilka razy wspomnieć je podczas rozmowy, mimo że mało kto miał pojęcie, co ten poeta napisał.

* * *

Dostałem się do kolejnego majstra. Nazywał się Milner i znała go cała Łódź. Przede wszystkim słynął jako doskonały fachowiec i ubierał się jak angielski lord. Był krawcem męskim i wszystkie żydowskie aktorki zamawiały sobie u niego spodnie¹⁹. My, czeladnicy, z wielkim podnieceniem opowiadaliśmy sobie niezwykle historyjki o tym, co się dzieje w przymierzalni, gdy zostaje sam na sam z aktorkami, aby wziąć z nich miarę albo dopasować szyte ubranie. Prawda jest taka, że faktycznie był Don Juanem, a jego powodzenie wśród kobiet było ogromne.

Pamiętam, jak pewnego razu Klara Jung, która była w Łodzi na występach gościnnych, przyszła, aby uszyć sobie parę spodni. Wszedł z nią do przymierzalni, a my, czeladnicy, staliśmy za drzwiami i śpiewaliśmy jej popularną piosenkę: „Spójrz tylko, jak lecą ptaki”. Nasz przystojny jak lord majster miał zwyczaj przeklinać soczyście jak woźnica i faktycznie zaraz wyszedł, by nas ochrzanić za to, że przeszkadzamy mu w pracy, bo gdy śpiewamy pod drzwiami, Klara Jung nie chce się rozebrać, jak należy, aby można było zdjąć z niej miarę. Po latach, kiedy będąc w czasie wojny w Związku Sowieckim, trafiłem na wieczór z Klarą Jung, przypominałem jej ten epizod. Stwierdziła, że nie pamięta tego wydarzenia, ale mojego przystojnego majstra Milnera wspominała bardzo dobrze.

Teatrem żyliśmy również w warsztacie Milnera. Wśród czeladników byli dobrzy śpiewacy, więc całymi dniami śpiewaliśmy chóralnie piosenki z repertuaru żydowskiego

¹⁹ Pracownia krawiecka Henryka Milnera mieściła się przy ul. Piotrkowskiej 38. Zwyczaj noszenia przez kobiety spodni był w tym czasie rzadki, stąd umiejętność szycia spodni nie była powszechna wśród krawców.

teatru. Naprzeciwko naszego okna znajdowała się żydowska restauracja, do której ludzie przychodzili, aby słuchać pięknego śpiewu krawieckich czeladników. Kiedy dowiedzieliśmy się o tym, wystosowaliśmy prośbę do właściciela restauracji, a on ją spełnił: każdego dnia przysyłał nam talerze z pięknymi porcjami pipków, wątróbki i innych przysmaków, a my w zamian kontynuowaliśmy nasze chóralne śpiewy ku uciesze jego gości.

* * *

Przeskakuję teraz do późniejszych czasów. Byłem już znanym, a nawet uznanym w Polsce aktorem, a wśród przyjaciół miałem pewnego bogacza, który bardzo lubił grać w kasynie w ruletkę. Pewnego razu ten mój przyjaciel, Szelme miał na imię, zabrał mnie do kasyna w Sopocie, gdzie zaczął mnie nakłaniać, abym spróbował szczęścia przy stole gry. Bronilem się, dowodząc, że nigdy nie zajmowałem się hazardem, ale on na to rzekł: „Dżigan, co ci szkodzi? Usiądź i zagraj. Jak przegrasz, to pójdzie na moje konto, a jeśli wygrasz, będziesz miał satysfakcję. Korzystaj z okazji, bo drugiej takiej nie dostaniesz”.

Usiadłem przy stole jak pan, a mój przyjaciel Szelme położył przede mną stos pieniędzy, o jakich nawet nie śniłem. Nie pamiętam, czy wygrałem, czy przegrałem, natomiast pamiętam, że naprzeciwko mnie wisiało na ścianie ogromne lustro. Podnoszę oczy i widzę w lustrze, jak do sali wchodzi mój majster Milner. Ubrany jak zawsze z niezwykłą elegancją, w jednej ręce szapoklak, rękawiczki w drugiej, a na piersi lornetka polowa. Wyglądał jak angielski lord, który szykuje się do obserwacji wyścigów konnych i w drodze na derby wpadł do kasyna. W lustrze widziałem, że Milner zbliża się do mojego stołu, zdałem sobie więc sprawę, że niedługo dojdzie do interesującego wybuchu. I tak się stało – kiedy Milner podszedł do stołu i ujrzał mnie oraz kupę pieniędzy, które leżały przede mną jak gdyby nigdy nic, klasnął w dłonie i zawołał: „Szmaju (nie mówił do mnie Szymonie, lecz Szmaju), a niech mnie licha!”, po czym, jak to było w jego zwyczaju, wyrzucił z siebie serię grubych, soczystych przekleństw. Być może zrobiłby się skandal, ale przy stole siedziało właśnie kilku znanych łódzkich fabrykantów z żonami, którzy roześmiali się, zobaczywszy angielskiego lorda przeklinającego jak woźnica w soczystym jidysz. Zaraz też wszyscy zgromadzeni wybuchli śmiechem, a wraz z nimi mój majster. Kiedy fala histerycznego śmiechu nieco opadła, powiedziałem głośno do Milnera, aby wszyscy usłyszeli:

– Majstrze, na pohybel wszystkim pieniądzom i całej wygranej, wobec tego, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy – że ci wszyscy arystokraci rozumieją jidysz i są doskonałymi znawcami soczystych jidyszowych przekleństw...

* * *

W roku 1924 łódzkie Towarzystwo Sportu i Turystyki „Bar Kochba” świętowało swoje dziesięciolecie. W ciągu dnia odbył się przemarsz sportowców Piotrkowską, z której to okazji Żydzi zamknęli sklepy i wyszli na zewnątrz, aby podziwiać żydowskie dziewczęta i chłopców, którzy dumnie i rytmicznie maszerowali główną ulicą przy dźwiękach orkiestry. Również goje zatrzymywali się i patrzyli z zaskoczeniem na dziwnych „żydków”, zupełnie niepodobnych do przerażonych i nerwowych ludzi, których zwykle widzieli

wokół siebie. Entuzjazm żydowskiej ludności, która stała na chodnikach, przypatrując się marszowi, rósł z minuty na minutę, a w powietrzu rozbrzmiewały okrzyki zachwytu pod naszym adresem. Już sam fakt, że goje, a między nimi również policjanci, stoją cicho i patrzą ze szczególnym uznaniem na nasz przemarsz, dawał żydowskim obserwatorom ogromną satysfakcję, a wraz z ich entuzjazmem rosły z wielkiej radości też ich serca.

Byłem jednym z maszerujących. Zostałem oczarowany tą panującą dookoła świąteczną atmosferą. Ale mój nastrój stał się jeszcze bardziej podniosły, kiedy ujrzałem ojca, starego rosyjskiego żołnierza, stojącego na chodniku z rozpromienionym obliczem, szukającego mnie wzrokiem pomiędzy maszerującymi sportowcami. Kiedy mnie dostrzegł i kiedy się z nim wyrównaliśmy, zszedł z chodnika, dołączył do nas, idąc brzegiem ulicy młodym, rytmicznym krokiem. Zauważyłem, że zależy mu na tym, abym zobaczył, jak idzie z nami, nie odstając od nas ani na krok.

Wieczorem, po zakończeniu zawodów sportowych w Helenowie, w jednej z łódzkich restauracji odbył się bankiet, na którym były obecne najważniejsze osobistości świata łódzkich Żydów, jak również delegacje z innych miast. I choć jako sportowiec, który zdobywa wyróżnienia, byłem wśród gości zaproszonych na to przyjęcie, to jednak kierownictwo „Bar Kochby” zażądało ode mnie, abym zabawił publiczność kilkoma numerami parodystycznymi, którymi już wówczas zasłynąłem w mieście. Po kolacji i po wszystkich przemowach wielkodusznie wziąłem się za „sprzedaż mojego towaru”: z miejsca sparodiowałem mówców, którzy uroczyście otwierali tę jubileuszową uroczystość, naśladując ich głosy, dialekty i charakterystyczne ruchy. Sukces był ogromny. Publiczność śmiała się do łez z moich parodii i zaimprovizowanych tekstów, których komizm chyba polegał na tym, że jedno słowo nie pasowało do drugiego.

Po tym zaimprovizowanym występie podszedł do mnie poeta Mosze Broderson²⁰, który jeszcze wówczas nosił swój sławny monokl. Popatrzył na mnie okiem znawcy i powiedział głosem sędziego, który wydaje wyrok: „Młody człowieku, twoje miejsce jest na scenie!”

Kim jest Mosze Broderson, wiedziałem, bo któż w Łodzi tego nie wiedział? Dlatego też znieruchomiałem zaskoczony i w pierwszej chwili odebrało mi mowę. Jednak wkrótce przyszedłem do siebie i zapytałem: „Ot tak, prosto z boiska sportowego na scenę?”

A kiedy zobaczyłem, że Broderson nie rozumie mojego pytania, wyjaśniłem: „Czy istnieje studio teatralne, w którym młody człowiek może nauczyć się sztuki aktorskiej?”

Broderson milczał przez chwilę, a potem rzekł: „Nie ma takiego studia, ale jeśli potrzebujesz szkoły, aby nauczyć się sztuki teatralnej, musisz ją sam stworzyć. Tak, stworzyć. Umów się z utalentowanymi młodymi ludźmi, takimi jak ty, i załóżcie studio, a ja wam pomogę”.

²⁰ Mojżesz, Mosze Broderson (1890–1956) – związany z Łodzią poeta, dramaturg, reżyser i autor, jedna z najważniejszych postaci łódzkiego żydowskiego środowiska artystycznego w okresie międzywojennym. Współtwórca awangardowej grupy Jung Idysz oraz pierwszego żydowskiego teatru marionetek Chad Gadja [Kozłatko] i teatru małych form Ararat.

Podczas naszych późniejszych spotkań Broderson wyłożył mi całą tę sprawę bardziej szczegółowo. „Żydowski teatr”, mówił, „znajduje się w zupełnie odmiennej sytuacji niż teatr innych narodów. One mają swoje kraje, ich państwa rozdają subsydia, utrzymują szkoły artystyczne i teatr. My nie mamy niczego poza dobrą wolą i utalentowanymi ludźmi. Musimy wszystko stworzyć sami, ponieważ nikt się o nas nie zatroszczy. Młodzi, utalentowani Żydzi muszą pamiętać, że jeśli nie ja, to kto?”

Po kilku miesiącach powstało studio teatralne, z którego narodził się później eksperymentalny teatr Ararat. Było to wtedy, gdy występy Habimy²¹, a także rosyjskiego teatru kabaretowego „Niebieski ptak”²² elektryzowały żydowski świat kulturalny w Polsce, a zwłaszcza młodych żydowskich odbiorców, którzy marzyli o tym, aby związać swoją przyszłość z teatrem. Czytaliśmy i rozmawialiśmy między sobą o najnowszych występach żydowskiego teatru kameralnego w Moskwie pod dyktando Aleksandra Granowskiego i powoli zaczynaliśmy wierzyć, że przed nami, młodymi, utalentowanymi ludźmi, stoi wielkie zadanie, jakim jest zrewolucjonizowanie szablonowego żydowskiego teatru i otwarcie nowego rozdziału młodej świeckiej kultury jidysz.

Wówczas poznałem już wiele polskich i niemieckich scen, nie mogłem więc nie zauważyć głębokiej różnicy albo raczej głębokiej przepaści, jaka istniała między ich grą sceniczną, a tym, co się działo na naszej scenie. U nich aktorzy mówili w sposób naturalny, pojawiali się na scenie jako ludzie, wyrażali uczucia milczeniem i swoimi słowami. A u nas przeciwnie – na scenie krzyczano gromkim głosem, szaleńczo wymachiwano rękami i nogami, a zamiast mówić – deklamowano. U nas wystawiano idiotyczne sztuki z „tańcem i śpiewem”. Papierowe dekoracje, które przedstawiały salon, ogród albo nawet księżyc i niebo, przy każdym ruchu chwiały się i kiwały, jakby odmawiały modlitwę *Szmone esre*²³. I chociaż dobrze wiedziałem, że również w tych byle jakich sztukach grywali niezwykle utalentowani aktorzy, wybitni śpiewacy i tancerze, którymi mogłaby się poszczycić niejedna światowa scena, to jednak czułem niechęć do zawodowego teatru żydowskiego z tamtej epoki i z młodzieńczym entuzjazmem wierzyłem, że nowy teatr musi zacząć od samych początków, budując wszystko od nowa.

Musiało minąć odpowiednio wiele czasu, abym mógł pojąć, że zawodowi aktorzy żydowscy nie są do końca winni tej mizarii naszego teatru i że rozmaici artyści raz za razem próbowali wynieść go na wyższy poziom. Jednak, niestety, teatr żydowski nigdy nie był przez nikogo wspierany, działając jedynie dzięki wpływom z kasy biletowej. I właśnie dlatego musiał się dopasowywać do gustów publiczności. Gust żydowskiej publiczności teatralnej nigdy jednak nie sprzyjał stymulowaniu aktorów, nie mówiąc o wspieraniu ich w realizacji pragnień, by tworzyć lepszy, ludzki teatr. Tak było wtedy i, niestety, tak pozostało do dziś.

²¹ Teatr żydowski powstał w 1912 r. w Białymstoku i kontynuujący działalność po I wojnie światowej w Moskwie, od 1928 r. występujący w krajach europejskich. Od 1928 r. siedzibą teatru jest Tel Awiw.

²² Kabaret „Niebieski Ptak” został założony w 1921 r. w Berlinie przez rosyjskich emigrantów.

²³ *Szmone esre* (hebr., dosł. ‘ósem [błogosławieństw]’) – obok *Szema Izrael* jedna z dwóch głównych modlitw w judaizmie, element codziennych żydowskich nabożeństw.

Nie piszę tutaj historii żydowskiego teatru i nie jest moim zadaniem opowiadanie o wszystkich próbach, które były podejmowane, aby wznieść go na wysoki poziom. Próby te, jak wiemy, były bardzo liczne, a wśród nich należy wymienić też próbę stworzenia teatru kabaretowego Azazel²⁴. Teatr ten naprawdę wniósł świeży powiew na żydowską scenę, ale sama próba się nie powiodła, ponieważ opierał się on na starych aktorach, którzy do tego eksperymentu wnieśli całą pleśń i szablonową rutynę starego teatru. Azazel miał dobrych tekściarzy (jednym z najważniejszych był, oczywiście, Mosze Broderson), dobrych muzyków, dekoratorów, a nawet reżyserów, ale to wszystko nie pomogło, ponieważ ograniczenia starego teatru rzutowały na próbę grania w nowy sposób i koniec był taki, że teatr musiał się zamknąć, gdyż nie zadowalał ani starych widzów, ani młodych, którzy marzyli o rewolucji na całej linii...

* * *

Kiedy moi przyjaciele i krewni usłyszeli, że mam odbyć służbę wojskową, bardzo mi współczuli i pytali, czy nie mam jakichś możliwości, aby się z tego wykręcić. Nie rozumiałem, dlaczego mi współczują i nawet byłem zły z powodu tych mrzonek na temat unikania służby. Byłem młodym, zdrowym chłopakiem, zahartowanym dzięki sportowi, byłem obywatelem państwa polskiego – dlaczego więc miałbym nie spełnić mojego obywatelskiego obowiązku? Dlaczego miałbym się od niego wykręcać?

Niestety, już po kilku tygodniach pobytu w wojsku poczułem, że moi przyjaciele i krewni mieli rację. W koszarach panowała nieznośna atmosfera. Najniżsi rangą żołnierze, w których rękach się znajdowaliśmy, zatruli nam życie, znęcając się nad nami sadystycznie, aby tylko nas upokorzyć. Żołnierze ci, niepiśmienni chłopcy, chamscy i okrutni do tego, uwzięli się na każdego, kto potrafił trzymać pióro w ręku, rozkazując mu wykonywać najbrudniejszą robotę. Jeszcze gorsza była sytuacja żołnierzy narodowości żydowskiej: szydzono z nich, jakoby Żydzi nie potrafili być żołnierzami, nazywano szyderyczym przezwiskiem „Jojne Karabin”, przysparzając rozmaitych kłopotów, aby jeden czy drugi żydowski chłopak, który służył w polskiej armii, przeklął dzień swoich narodzin.

Pod wpływem tych antysemitcko nastawionych wrogów mój polski patriotyzm szybko wyparował i straciłem jakąkolwiek ochotę, aby bronić kraju, którego wojsko tak brutalnie naruszyło moją ludzką i żydowską godność.

Zapomniałem wspomnieć, że gdy ukończyłem dwadzieścia jeden lat, stanąłem przed komisją poborową, która miała orzec, czy nadaję się do służby wojskowej. Uznano mnie za zdolnego, przydzielono kategorię A i stwierdzono, że odbędę służbę w najcięższej jednostce wojskowej saperów konnych. Jakby jeszcze tego było mało, miałem służyć dwa i pół roku w przeciwieństwie do żołnierzy innych jednostek, którzy służyli tylko osiemnaście miesięcy.

²⁴ Azazel – żydowski teatr miniatur i kabaret działający w latach 1926–1931.

Wówczas biłem się jeszcze z myślami, czy mam zostać profesjonalnym aktorem. Ale kiedy zadecydowałem o tym, że muszę uwolnić się od służby wojskowej, postanowiłem, że te dwa i pół roku, które miałem spędzić w wojsku, poświęcę na naukę aktorstwa. Kalkulacja była prosta: te dwa i pół roku i tak były jakby nie moje, więc poświęcę je na teatr. Byłoby świetnie, gdyby się okazało, że mam szansę zostać aktorem. A jeśli nie, to przecież miałem dobry fach w rękach, więc niczego nie stracę.

Po trzech miesiącach pobytu w wojsku nie tylko zwolniono mnie ze służby, ale wręcz mnie wyrzucono. Można nawet powiedzieć, że moi wyżsi rangą przełożeni byli przeszczęśliwi, pozbywając się mnie. Załatwienie zwolnienia ze służby wojskowej oczywiście nie przyszło ciężko – po prostu odpowiednim zachowaniem starałem się ich przekonać, że jestem wariatem. A przy tym rozmaitymi logicznymi argumentami chciałem dowieść moim oficerom, że to nie ja, lecz oni są wariatami. Ponieważ jednak stanowili większość, a ja byłem w mniejszości, stanęło na tym, czego oni chcieli.

Swoją drogą wystarczyłoby, gdyby mnie tylko zwolniono, a nie wyrzucono. Ale kiedy usłyszałem, że chcą mnie zwolnić jako wariata, poszedłem do moich oficerów z pretensjami i całkiem słusznie stwierdziłem, że do służby zaciągnięto mnie zdrowego, z kategorią A. To, że teraz zwalniają mnie jako wariata, oznacza przecież, że zwariowałem w wojsku. Tak więc należy mi się odszkodowanie i to słuszne, takie na całe życie. Ten argument przekroczył, jak to mówią, miarę, więc mnie wyrzucono z koszar bez żadnych ceregieli.

Jak by nie było, swój pierwszy aktorski egzamin zdałem oczywiście nie na scenie, lecz w życiu. Po tym udanym sprawdzianie wróciłem do Łodzi i zabrałem się do pracy w studiu teatralnym, które jakiś czas temu zostało zamienione w teatr Ararat.

To, czego i jak nauczyliśmy się, oraz jak pracowaliśmy w owym studiu teatralnym, interesuje tylko ludzi z branży. Przede wszystkim postawiliśmy akcent na eksperyment. Oczywiście nauczyliśmy się wszystkiego, co wiązało się z grą aktorską, ale twardo postanowiliśmy nikogo nie naśladować w naszej działalności scenicznej, nie kierować się korzyściami finansowymi i za żadną cenę nie występować z aktorami, którzy przesiąknęli już duchem zawodowego teatru żydowskiego. Te zasady zaczęliśmy urzeczywistniać w nowo założonym eksperymentalno-awangardowym Araracie, który nie tylko odegrał wielką i decydującą rolę w moim życiu, ale także stał się ważnym zjawiskiem w historii teatru żydowskiego w Polsce, oddziałując swoim nowym tonem i nową formą nawet wówczas, kiedy już dawno nie istniał...

* * *

Prapremiera, którą zainaugurowaliśmy działalność Araratu, nosiła tytuł *Glat koszer* [Absolutnie koszerne]. W nazwie teatru i w tytułach pierwszych programów było tyle nowości i niezwykłości, jeśli chodzi o relacje teatralne w owym czasie, że już tylko o tym można by napisać dysertację, która wyjaśniałaby odważny, nowatorski krok, jaki uczyniliśmy w ówczesnym żydowskim świecie teatralnym.

Żydowscy teatromani wiedzieli, że sztuki, które noszą tytuł: *Mąż mojej żony* albo *Naręczona trzech naręczonych*, czy wręcz *Hancia w Ameryce*, *Amerykański Litwak* itd., to operetki z tańcem i śpiewem, podczas których widzowie śmieją się i płaczą, a przede wszystkim – co najważniejsze – bawią się, ile wlezie. Kiedy grano *Chasię naręczoną*, *Mirele Efros*, *Przysięgę*, *Rzeź* itp., wszyscy wiedzieli, że to obrazy z „życia wzięte”, dramaty, z których można czerpać naukę moralną, jakiś morał. Sztuki z serii „serc”, jak na przykład *Złamane serce*, *Serce, które tęskni*, *Serce matki* należały do amerykańskich melodramatów, przy których płakano jak bobry. Dramaty takie *Uriel Acosta*, *Rozbójnicy*, *Ojciec* należały do lepszego repertuaru i były grane raz w tygodniu, głównie na aktorskich benefisach. Ale żeby sztuka nazywała się *Absolutnie koszerne* i miała być grana przez teatr, który zwie się Ararat, tego jeszcze widziano. Wydawało się wręcz, że teatr nie będzie grał w jidysz, lecz po turecku.

Nie muszę wspominać, że my wszyscy, studenci, muzycy, dekoratorzy, reżyserzy, kierownicy i przyjaciele nowo narodzonego Araratu drżeliśmy z ekscytacji, pracując nad przygotowaniami do premiery. Sama premiera odsunęła na bok wszystkie wydarzenia światowe, żyliśmy jedynie oczekiwaniem dnia, w którym się odbędzie. Nie byłem pod tym względem żadnym wyjątkiem, ale mimo wszystko miałem jeszcze czas i ochotę wędrować po łódzkich ulicach, by przysłuchiwać się temu, co mówi naród na widok afiszy, które rozwieszono na ścianach budynków jak należy. Na jednej z najbardziej ruchliwych ulic w dzielnicy żydowskiej spotkałem przy naszym afiszu kilku mężczyzn, którzy gorąco spierali się na temat zagadki, jaką był nasz nowy teatr. Pewien mężczyzna wywnioskował z napisu na plakacie, że teatr kabaretowy to jest chyba teatr dla dzieci²⁵. Inny, większy znawca zdaje się, zlekceważył swojego poprzednika, dowodząc, że „klejne kunst” jest też dla „dużych ludzi”, a dowodem na to jest fakt, że również Azazel wystawiał „klejne kunst” (kabaret), i to dla dorosłych. Na to wmieszał się trzeci obywatel, mówiąc, że przykład z Azazelem nie jest dobry, ponieważ tam grali artyści, a tutaj grają studenci. Na to czwarty zawołał, że pierwszy raz słyszy, aby studenci bawili się w teatr. Ogólny wniosek był taki, że to na pewno jakaś afera. Najlepszy dowód, że zamiast napisać na afiszu, kto jest gwiazdą, piszą o jakichś autorach: Broderonie, Lejwiku, Nadirze, Perecu. Słyszeliście o takich aktorach? Dlaczego boją się napisać, że są aktorami, a zamiast tego określają się dziwnym terminem „autorzy”? Nie, to się nie uda. Żydowska publiczność zna się na takiej gadce. Tu nie ma frajerów.

Na innej ulicy ujrzałem przy afiszu chasyda. Czytał afisz i śmiał się. Zapytałem go, dlaczego się śmieje, a wówczas mi odpowiedział: „Obym tak był zdrów! Gdy zobaczyłem napis »Absolutnie koszerne«, pomyślałem, że otworzono nową koszerłą restaurację, albo że to jest odezwa rabinów na temat koszernego mięsa. W końcu jednak okazuje się, że to o teatrze. Czego to nie wymyślą ci pajace, heretycy! Chcą przyciągnąć religijnych Żydów do trefnego materiału, więc piszą »Absolutnie koszerne«”. Żyd splunął na afisz i odszedł.

Prawdę mówiąc, spotkałem przy afiszu również młodych żydowskich robotników, inteligentów. Ci ludzie zupełnie inaczej czytali ogłoszenie: z radością, z pewną dumą.

²⁵ W jidysz teatr kabaretowy to *klejne kunst*, czyli dosłownie ‘mała sztuka’.

Nazwali aktorów „naszymi ludźmi”. Odczytując nazwisko każdego pisarza, które widzieli na afiszu, wybuchali taką radością, jakby mieli spotkać dobrego znajomego. Delektowali się przy tym słowami „awangardowy”, „eksperymentalny”, dając do zrozumienia, że to rewolucja, o której nie wolno mówić otwarcie...

* * *

Premiera sztuki *Glat koszer* odbyła się 25 listopada 1927 roku w Białej Sali hotelu Manteuffla²⁶.

Nie muszę chyba mówić, że pamiętam tę premierę w najdrobniejszym szczególe. Często nie pamiętam tego, co robiłem dwa dni wcześniej, ale tego, co się działo ze mną tamtego wieczoru, nigdy nie zapomnę.

Po drugim gongu na sali zapadła ciemność. Poeta Mosze Broderon wychodzi przed kurtynę i wygłasza krótkie przemówienie w uroczystym tonie, ale z ogromną ilością dziwnych, obcych słów. Kończy. Konferansjer po raz ostatni nerwowo zaciąga się papierosem. Słysząc trzeci gong, więc daje znak gojowi, aby podciągnął kurtynę. Pracownik teatralny, chrześcijanin, żegna się i mówi „Połamania karku” (to takie aktorskie błogosławieństwo), po czym kurtyna idzie w górę. Konferansjer wygłasza słowo wprowadzające, rzuca żarty, ale publiczność siedzi bez ruchu i bez cienia uśmiechu. Dopiero po pierwszych numerach lód zaczyna topnieć, ale dalej jest ciężko. Doświadczamy pierwszego rozczarowania: numery, które, jak się nam wydawało na próbach, miały zaciekać publiczność, zostają przyjęte chłodno i dopiero zainscenizowane piosenki ludowe rozgrzewają widzów. To pierwsza lekcja na temat niespodzianek w teatrze i kapryśnego gustu widzów; pierwsza lekcja o tym, że nie zawsze publiczności podoba się to, co podoba się aktorom – i w co się gorąco zaangażowali, myśląc, że wywołają na sali trzęsienie ziemi.

Po pierwszej części płoniemy z ciekawości, chcąc się dowiedzieć, jak wypadliśmy w oczach publiczności, ale Broderon chyba zapowiedział, aby nikogo nie wpuszczać za kulisy, więc czujemy się tak, jakbyśmy byli gdzieś za morzem. Nie mając wyboru, koncentrujemy się na tym, co mamy zrobić w drugiej części, i czynimy zakłady, który numer został lepiej, a który gorzej przyjęty przez widzów.

Ulegam dziwnej przemianie. Na próbach płońałem, porywałem wszystkich swoim temperamentem. Teraz, w czasie premiery, jestem zimny jak lód. Nie mam po prostu czasu myśleć o sobie, o mojej grze, ponieważ jestem całkiem zanurzony w obserwowanie przedstawienia. Z przedziwną trzeźwością i chłodem widzę wszystkie niedociągnięcia, wszystkie defekty, które zaburzają pełnię spektaklu, i zapisuje w pamięci to, co trzeba będzie poprawić albo w ogóle usunąć z kolejnych przedstawień. Taki zwyczaj pozostał mi do dzisiaj, chociaż nauczyłem się, że tego, co widzi się podczas pierwszego przedstawienia, nigdy się nie zobaczy na próbie generalnej.

Aktorzy zwykli mówić, że im lepiej idzie próba generalna, tym gorzej gra się na premierze. Podczas premiery wielu aktorów traci, jak to się mówi, „ciało”, zapominają

²⁶ Hotel Adolfa Manteuffla mieścił się przy ul. Zachodniej 43.

frazy i tracą kontrolę nad sobą. Wchodzą i odchodzą w niewłaściwym kierunku, zaczynają mówić nie w porę, sztywnieje im język, tracą głos. Mężczyznom drżą kolana, kobietom falują biusty, jakby miały gorączkę. Śpiewacy zaczynają fałszywym tonem albo zbyt wysoko, albo zbyt nisko, i do tego za nic w świecie nie potrafią wpaść w rytm muzyki granej przez orkiestrę. Podczas premiery dekoracje się chwieją lub przewracają. Rewolwer nie chce strzelać, a wtedy, kiedy już dawno powinno być po strzale, oczywiście rozlega się głośnie trach! Rewolwer wystrzelił. Takie drobiazgi czasami mogą przerwać całe przedstawienie, zniszczyć wszystkie sceniczne efekty i doprowadzić do tego, że aktorzy się będą śmiać tam, gdzie powinni płakać... Można powiedzieć, że pojąłem tę sprawę zaraz na prapremierze Araratu i od tamtej chwili na każdej premierze czuwałem, starając się, aby przy kolejnych przedstawieniach takie czy inne defekty się nie powtarzały.

Wreszcie druga część przedstawienia się skończyła. Kurtyna opadła. Aplauz tym razem był bardzo uroczysty. Cały zespół wychodzi na scenę, oklaski rosną, stają się coraz bardziej entuzjastyczne. Zauważam jednak, że gorące brawa pochodzą od członków rodzin i przyjaciół naszych aktorów. Subtelni znawcy z pierwszych rzędów również klaszczą, ale o wiele bardziej powściągliwie.

Publiczność rozeszła się, aktorzy zmyli makijaż, a Broderson poleca, aby wszyscy przyszedli na kawę do Astorii. Widzimy, że jest bardzo rozemocjonowany, a kiedy pytamy go, co to znaczy, odpowiada jednym słowem „Bims”²⁷. Z tego „bimsu” wnioskujemy, że jest zadowolony, i to dodaje nam otuchy. Przebijając się, słyszymy, jak Henoch Kon, kompozytor, chodzi po garderobach i mówi do każdego: „Przyjaciele jutro przed południem – próba muzyczna. Półfinał brzmiał jak p... w mosiężną patelnię”.

* * *

Idziemy do Astorii.

Tym, czym kawiarnie Café du Dome albo La Rotonde kiedyś były dla artystycznego świata w Paryżu, kawiarnia Astoria była przed wojną dla żydowskiej bohemy w Łodzi. To prawda, że za dnia ten lokal, usytuowany na rogu Piotrkowskiej i Śródmiejskiej²⁸, był zajęty przez kupców, fabrykantów i maklerów, obradowano tam na temat handlu na wielką skalę, jednak wieczorem kupcy i klienci znikali, a kawiarnię zajmowali zupełnie inni osobnicy. Ściany i kelnerzy, którzy przez cały dzień słuchali rozmów o wełnie, cukrze, skórze itp., teraz słuchali rozmów o sonetach, metaforach, ekspresjonizmie, impresjonizmie, choreografii, naturalizmie itp. Jak by nie było, gwar w kawiarni trwał niemal przez trzy czwarte doby, brzęczało tam jak w ulu.

Kawiarnia Astoria należała do pewnego człowieka, który wcześniej wcale nie zajmował się sztuką kawiarnianą, lecz w ostatnim czasie usatkwował się i prowadził w bardzo dys-tyngowany sposób²⁹. Na jego temat krążyło po Łodzi wiele dowcipów i warto opowiedzieć

²⁷ Użyte przed Brodersona słowo kojarzy się z jidyszowym *pims*, *pimshole* ‘coś najwyższej jakości’.

²⁸ Obecnie ul. Więckowskiego.

²⁹ W *Księdze adresowej miasta Łódź i województwa łódzkiego 1938–1939* jako właściciel Astorii figuruje B. Finkelstein. Z wielu wspomnień wynika jednak, że barwną postacią opisaną przez Dżigana jest Szaul Bernheim. Od 1933 r. był też dzierżawcą teatru Scala przy ul. Śródmiejskiej 15 (obecnie

choć jeden z nich. Tenże właściciel kawiarni dzierżał teatr na Śródmiejskiej i posiadał tam swoją stałą lożę. Pewnego razu przyjeżdża Szaliapin i daje koncert w tym teatrze na Śródmiejskiej. Wszystkie bilety zostały, oczywiście, wyprzedane i kiedy prokurator miasta Łodzi chce wejść na koncert, za żadne skarby nie może kupić biletu. Ktoś mu poradził, aby zwrócił się do dzierżawcy teatru, może ten odstąpił mu dwa miejsca w swojej loży. Prokurator bierze słuchawkę do ręki, dzwoni do właściciela kawiarni i pyta:

– Halo, czy tu mówi pan B.?

– Tak – odpowiada mu pan B.

– Tu mówi główny prokurator miasta Łodzi.

Nim jednak dokończył, B. pyta go płaczliwym głosem:

– Główny prokurator? Dlaczego?

No tak, przecież właściciel kawiarni już od wielu lat prowadzi się po ludzku, więc dlaczego nagle przypomniał sobie o nim prokurator?

Tenże właściciel kawiarni w latach trzydziestych wyjechał do Izraela, gdzie przyjęto go niezbyt dobrze, dając mu odczuć, że ludzie o jego przeszłości nie są tam pożądanymi. Mimo tego wrócił do domu, do Łodzi, zachwycony Ziemią Świętą, chwając się swoimi wizytami w jaskini Machpela i u pramatki Racheli³⁰. Tylko że według niego grób matki Racheli znajduje się w Mirunie³¹, gdzie jest również grób cadyka reb³² Meira Baal Hanesa³³. Tel Awiwem był zachwycony, natomiast nie bardzo podobała mu się Jerozolima, gdzie obiecano mu pokazać ruiny dawnej świątyni, ale pokazano mu jedynie ścianę³⁴, przy której odmawia się modlitwę maariw³⁵.

Warto dodać, że ten właściciel kawiarni był zupełnym analfabetą i może dlatego darzył wielkim szacunkiem ludzi, którzy umieją trzymać pióro w ręku. Kiedy jeden z jego krewnych próbował go zbuntować przeciw pisarzom, którzy przychodzą do kawiarni i niewiele płacą, odparł gniewnie: „Co ty mówisz? Takich ludzi mam obrażać? Gdybyś ty widział, jak oni czytają i piszą...”.

Astoria słynęła ze swojego właściciela i ze swojej herbaty. Tak smacznej herbaty, jak tam, nigdzie nie można było dostać.

ul. Więckowskiego). Adam Ochocki wspominał, że w Łodzi znanych było trzech braci Bernheim. Herman (Hersz) był właścicielem baru „A la Fourchette” przy ul. Piotrkowskiej 62, a Szlama – hotelu „Monopol” przy ul. Zawadzkiej 7 (obecnie ul. Próchnika). Por. A. Ochocki, *Dawne hotele łódzkie*, „Odgłosy” 1986, nr 50 z 15 XII, s. 7.

³⁰ Jaskinia Machpela (Makpela) leży w Hebronie (obecnie jest to teren Autonomii Palestyńskiej). Według Biblii Abraham miał tam pochować swoją żonę Sarę. Rachela, żona patriarchy Jakuba, matka dwóch pokoleń Izraela (Józefa i Beniamina) jest według tradycji biblijnej pochowana w Betlejem.

³¹ Mirun, obecnie Meron – miejscowość w północnym Izraelu; od XIII w. miejsce pielgrzymek Żydów ze względu znajdujące się tam grobowce słynnych rabinów.

³² Reb – zob. s. 27, przyp. 8.

³³ Meir Baal Hanes (Meir Cudotwórca) – rabin Meir był żydowskim mędrcem żyjącym w czasach Miszny (przed III w. n.e.). Uważano go za jednego z największych Tanaitów (nauczyciele prawa ustnego, mędrcy aktywni w początkach naszej ery) czwartego pokolenia.

³⁴ Ściana płaczu (hebr. Hakotel Hamaarawi, dosł. ‘Mur Zachodni’) – pozostałość po zburzonej w 70 r. Świątyni Jerozolimskiej, najświętsze miejsce judaizmu.

³⁵ Maariw – zob. s. 100, przyp. 95.

Jak powiedziałem, za dnia w Astorii przesiadywali kupcy i fabrykanci, a nocą – pisarze i artyści. Pośród łódzkich kupców i fabrykantów było jednak wielu takich, którzy mieli całkiem bliskie związki z literaturą i sztuką. Wielu z nich było działaczami kulturalnymi, niektórzy sami pisali, inni byli mecenasami artystów, a pomiędzy nimi byli również tacy, którzy utworzyli tak zwany komitet społeczny naszego teatru.

I faktycznie często zdarzało się, że w piątek w ciągu dnia, kiedy kupcy i fabrykanci siedzieli nad mlecznym czulentem³⁶ (który również był specjalnością Astorii) i gorączkowo rozmawiali na temat interesów, jeden nagle wołał do drugiego przy sąsiednim stoliku: „Czytałeś już w »Hajnt« *Chumesz-lider* Icyka Mangera³⁷?”. Na co pewien przedsiębiorca przy trzecim stoliku głośno informował, że wielką przyjemność sprawiła mu lektura wiersza Rejzli Żychylińskiej³⁸ w „Folkscajtung”. Kolejny pytał, kim jest ten nowy poeta Siemiatycki³⁹, który wydaje się być kimś bardzo ważnym. I w taki oto sposób społeczność kupiecka i fabrykancka w mgnieniu oka przechodziła od zagadnień handlowych do literatury i ci, którzy dopiero co zajmowali się wełną, widzewskim płótnem, kościanymi grzebieniami albo wełną czesankową, teraz gorąco dyskutowali na temat poezji, artykułu J.M. Najmana czy felietonu Barucha Szefnera⁴⁰.

Jednak w ciągu dnia o literaturze i sztuce rozmawiano w Astorii tylko raz na jakiś czas – w piątki. Za to wieczorem rozmawiano o tych kwestiach codziennie, przez cały tydzień. Przy naszym stoliku siedziała grupa rewolucjonistów, którzy przerzucali się cytataми z Marksa, Engelsa, Lenina i Kautskiego na temat tego, jak przemienić świat. Przy drugim stoliku siedzieli działacze legalnych i półlegalnych związków zawodowych, uprawiając swoją partyjną politykę. Przy trzecim dyskutowano o żydowskim teatrze, wypowiadając swoje zdanie na temat aktorów dających gościnne występy czy obgadując przybyłe z Ameryki subretki. Odsądzano od czci i wiary Juliusza Adlera, który ulepszył Szekspira, nie oszczędzano nawet Morewskiego⁴¹, który akurat poróżnił się z zespołem Wilner Trupe⁴² z powodu liter na afiszu.

Duszą tego towarzystwa był Mosze Broderson, którego ze względu na egzotyczne ubranie nazywano „księciem polskiego Manchesteru”⁴³, albo „żydowskim Majakowskim”. Broderson ze swoim monoklem, bokobrodami *à la* Puszkina, ogromnym sygnetem

³⁶ Czulent – zob. s. 50, przyp. 22.

³⁷ Icyk Manger (1901–1969) – wybitny żydowski poeta i pisarz tworzący w języku jidysz.

³⁸ Rejzla Żychlińska (1910–2001) – pochodząca z Gąbina koło Płocka żydowska poetka.

³⁹ Chaim Siemiatycki (1908–1943) – żydowski poeta liryczny związany z Wilnem; zginął w masowej egzekucji w podwileńskich Ponarach.

⁴⁰ Baruch Szefner (1896–1977) – urodzony w Tomaszowie Mazowieckim dziennikarz i felietonista związany z partią Bund.

⁴¹ Abraham Morewski (1886–1964) – aktor, reżyser, pisarz, tłumacz i działacz kultury, przed wojną związany był z Wilner Trupe.

⁴² Wilner Trupe [Trupa Wileńska] – najslawniejszy zespół teatralny w międzywojennej Polsce wystawiający sztuki w języku jidysz, działał w latach 1916–1935.

⁴³ „Polski Manchester” to określenie Łodzi używane powszechnie w okresie, gdy była ona wielkim ośrodkiem przemysłu włókienniczego, w dwudziestoleciu międzywojennym ukazywał się nawet w Łodzi wydawany w jidysz tygodnik dla przedsiębiorców „Ilustrirter Pojliszer Manczester”.

z kameą na palcu – faktycznie przyciągał uwagę wszystkich, dzięki czemu był niezwykle popularny. Przy jego stoliku zawsze można było spotkać malarza Icchaka (Wincentego) Braunera, który nieustraszenie opowiadał swoje fantastyczne historie, zwłaszcza o zakochanych w nim polskich hrabiankach, które przez niego odbierały sobie życie. Broderson twierdził, że w Polsce nie ma tylu hrabianek, ile Brauner wyprawiał na tamten świat z powodu romantycznych uczuć. Innym razem Broderson twierdził, że Brauner kupił wielki kawał ziemi za Łęczycą, aby miał gdzie grzebać te hrabianki, które z jego powodu zastrzeliły się mieczem, powiesiły na pajęczynie i otruły rosołem. Brauner śmiał się ze wszystkimi, po czym zaraz opowiadał nową historię o kolejnej zakochanej hrabiance – i była to wspaniała opowieść w typie historyjek barona Münchhausena, pełna fantazji i artystycznego zabarwienia.

Często przebywał w Łodzi znany malarz Jankiel Adler, jako trzeci przesiadując przy tym samym stole. Ponieważ nieustannie widywano ich razem, nazwano ich „trzema muszkieterami”. Zobaczyć ich trzech spacerujących razem po łódzkich ulicach było faktycznie czymś zachwycającym. Broderson – wysoki, w futrzanej czapie, z długimi, gęstymi bokobrodami – wyglądał jak żydowski Hamlet. Szedł w środku. Z jednego boku podążał Jankiel Adler z czerwonymi uszami, w granatowym garniturze galowym, białych getrach nasuniętych na buty. Po drugiej stronie maszerował Brauner w zielonym pruskim stroju myśliwskim, w pumpach i złotych skórzanych sztybletach do kolan. (Twierdził, że garnitur ten dostał od hrabiego Zamoyskiego za portret, który namalował jego żonie.) Nic więc dziwnego, że patrzono w ślad za nimi, a dziewczyny to wręcz pożerały ich oczami. Byli barwni i egzotyczni na tle szarych, zadymionych ulic fabrycznego miasta Łodzi.

Przy ich stole w Astorii często siadywał kompozytor Henocho Kon – utalentowany muzyk o mało muzycznym głosie. Broderson często mawiał do swoich barwnych przyjaciół: „Panowie, naszkicujcie jakąś pomyslową dekorację, ja napiszę słowa, a Henocho napisze muzykę”. Malarze szkicowali projekty na serwetkach, Broderson pisał teksty na innych serwetkach, a Henocho Kon zapisywał nuty. Wiele wspaniałych numerów kabaretowych, wiele arcydzieł dla Araratu, które potem stały się znane w całej Polsce, powstało właśnie w ten sposób. Kiedy wspólne improwizacje się udawały, Broderson przywoływał właściciela kawiarni i uroczyście mówił: „Panie B., każ podać kufel bawarskiego piwa temu malarzowi ze Strykowa⁴⁴, który jest profesorem düsseldorfskiej Akademii Sztuki. Każ również podać kieliszek tokaju temu kompozytorowi z Ozorkowa, którego piosenki śpiewa się w całej Polsce. Nie zapomnij również o kieliszku staropolskiego miodu dla tego oto pogromcy niewieścich serc, dobrze znanego wśród polskich szlachcianek”. Właściciel kawiarni śmiał się: „Z tego wszystkiego, o co prosicie, możecie dostać tylko po szklance herbaty. Pozostałe rzeczy zapiszę na karteczce i wyślę do apteki, aby zapytać, czy tam tego nie mają”.

Nieopodal stolika Brodersona siedzieli młodzi poeci, którzy mówili coś cichymi, rozmarzonymi głosami, urywając swoje myśli w pół słowa. Mieli swoje pretensje do niego, ale byli szczęśliwi, że okazuje im zainteresowanie i przyjaźń. Nawet Izrael Rabon,

⁴⁴ Jankiel Adler urodził się w Tuszynie.

jego największym przeciwnik, również był gotów rzucić się na pewnego warszawskiego pisarza, który przybył z wizytą i wyrażał się o Brodersonie w lekceważący sposób.

Niektóre stoliki zajmowali też aktorzy. Przeważnie widywano tam gwiazdy amerykańskie, które trzymały się blisko dziennikarzy, pragnąc nakłonić ich do napisania o nich kilku dobrych słów. Owi gwiazdorzy – mężczyźni i kobiety – mieli szeroki gest, częstowali ludzi prasy herbatą i sernikiem, wzywając kelnera w taki sposób, aby wszyscy widzieli ich brylantowe pierścienie na palcach. Przy innych stolikach siedzieli młodzi adepci sztuki aktorskiej, którzy marzyli o graniu w lepszym teatrze i w lepszym repertuarze. Z jakiegoś powodu oni wszyscy, mówiąc, mocno akcentowali spółgłoskę „r”, dlatego też nieustannie słyszało się: „Rrrrewolucja”, „Rrrrrrrrrrrrepertuar”, „Rrrrmain Rrrrolland”, „Zbrrrrodnia i karrra”...

Rzecz jasna, pomiędzy stałymi gośćmi bywali w kawiarni młodzi chłopcy i dziewczyny, którzy dyskutowali o czymś, czego sami jeszcze nie znali... O literaturze, teatrze, malarstwie... Tacy bogaci synalkowie z czasem żenili się, a córeczki wychodziły za mąż, po czym każde z nich wyrastało z głupot. Jednak na razie kręcili się wokół ludzi bohemy, płacili za kawę albo herbatę młodym, wschodzącym talentom, które nie śmierdziały groszem. Niejednokrotnie, gdy nie miał kto płacić, a młode talenty siedziały i medytowały nad pustymi stolikami, podchodził do nich kelner Seliger (mąż żydowskiej aktorki) i mówił: „Przyjaciele, ilu was jest? Cztery sztuki? Zamówcie dwie herbaty. Ja stawiam! Ale pod warunkiem, że napijecie się na spółkę. Niech właściciel widzi, że elektryczności nie wykorzystuje się na próżno...”.

* * *

Do tejsz Astorii przywołał nas Broderson po prapremierze, którą zainaugurowaliśmy działalność teatru Ararat. Gdy tam weszliśmy, wydało mi się, że wchodzimy do sali weselnej. Przy stołach już czekali przyjaciele z gratulacjami. Nastrój był bardzo podniosły, a nawet stawał się z minuty na minutę coraz podnioslejszy, uroczystszy. Kalman Kabaker, mecenas i wielki miłośnik Brodersona, który mówił łódzką niemczyzną, zaproponował, abyśmy zsunęli wszystkie stoliki i wznieśli toast. Tymczasem członkowie Araratu zaczęli nucić chasydzki nigun⁴⁵, który zaraz został podchwycony przez wszystkich zgromadzonych, po czym – nie wiadomo jakim sposobem – śpiew zamienił się w taniec i tańczyliśmy z takim żarem i zapałem, że aż przewróciliśmy stoliki i odsunęliśmy je na bok. Właściciel kawiarni zamknął drzwi, nie wpuszczając ludzi z ulicy, a nad kawiarnią unosił się ekstatyczny rytm chasydzkiego tańca, który w swojej spontaniczności o wiele bardziej był sztuką teatralną niż wszystkie wyreżyserowane produkcje sceniczne. Taki zachwyt, taką ekstazę, taką radość widziałem jedynie u „martwych chasydów”⁴⁶, którzy podczas tańca wyzwalali się z ciał i odpływali w owe wysokie niebiosy pobożności, w których człowiek zbliża się do swojego Stwórcy.

⁴⁵ Nigun – zob. s. 46, przyp. 16.

⁴⁶ „Martwi chasydzi” – zwolennicy cadyka Nachmana z Braclawia (1772–1810), którzy w przeciwieństwie do innych grup chasydzkich po śmierci swego mistrza nie obrali sobie nowego.

Rozśpiewany, roztańczony, z żarem we wszystkich kończynach, zdołałem jednak szepnąć do Mosze Brodersona, którego dłoń spoczywała na moim ramieniu.

– Widzisz, Broderson, takiego tańca, takiej prawdziwej, nieudawanej radości zabrakło w pierwszym programie naszego Araratu...

* * *

Minęło dwa i pół roku, które miałem odsłużyć w wojsku, a które, jak już wspominałem, poświęciłem teatrowi, aby się przekonać, czy mam szansę zostać aktorem. Teraz ten dylemat już dla mnie nie istniał. Dobrze już wiedziałem, że nie chcę być kimś innym. Oczywiście zapracowałem też na nazwisko, stałem się ulubieńcem publiczności i zdobyłem popularność w całkiem szerokich kręgach. Moi przyjaciele sportowcy odnosili się do mnie z szacunkiem. Zyskałem nowych przyjaciół, pisarzy, malarzy, aktorów, a nawet działacze społeczni i prasowi krytycy teatralni szukali już mojego towarzystwa, uznając mnie za wschodzącą gwiazdę.

W życiu prywatnym zaszła wielka i decydująca zmiana. Ojciec za żadne skarby nie chciał się pogodzić z myślą, że będę aktorem, i niemal wygnał mnie z domu. Nie pomagały prośby matki ani jej łzy. Ojciec uparł się przy swoim, twierdząc, że za hańbę, na jaką naraziłem go w oczach rodziny, nie ma przebaczenia, chyba że zrezygnuję z aktorstwa i wrócę do fachu krawieckiego. A na to, oczywiście, nie mogłem się zgodzić.

Gdy Mosze Broderson dowiedział się o mojej sytuacji, od razu zdecydował, że będę mieszkał u niego, i tak też się stało. Przeniósłem się do niego i mieszkalem tam dobrych kilka lat. Ten czas, który spędziłem blisko Brodersona, miał wielki wpływ na moje życie. Wzbogacił mnie duchowo, a w kwestii „ruszania głową” postawił na nogi.

Broderson był ciekawym rozmówcą. Jego kalambury były znane wszem i wobec. Gdy w Polsce modne stały się najrozmaitsze nowe „izmy”, Broderson powiadał: „Gdy się jest – to się jest, gdy się nie istnieje, to nie pomogą żadne izmy”⁴⁷. W tym miejscu przypominają mi się obchody z okazji jubileuszu pewnego żydowskiego pisarza. Nie wypadły szczególnie dobrze. Broderson później powiedział, że trzeba mu złożyć radosne kondolencje⁴⁸. Poeta ten miał niezwykle dar tworzenia humoru słownego. Jeśli zaś chodzi o humor sytuacyjny, rzecz wypadła już nieco gorzej.

Mosze Broderson był prawdziwym członkiem bohemy i człowiekiem o zmiennych nastrojach. Miał w domu psiaka, a ponieważ nie płacił za niego należnego podatku, zajęto mu pianino. Przez rok czy dwa Broderson każdego ranka po przebudzeniu od razu szedł do urzędu skarbowego. Tam opowiadał polskiemu urzędnikowi jakiś dowcip, a ten przesuwał licytację pianina o kolejny dzień. Pewnego dnia jednak nie poszedł do urzędu i pianino zostało sprzedane, aby pokryć zaległości podatkowe za psa.

⁴⁷ W oryginale: *Iz men – iz men, iz men niszt, helfn niszt kejn izmen* – nieprzetłumaczalna gra słów oparta na kalamburze: *Iz men* ‘gdy się jest’ i *izmen* ‘izmy’.

⁴⁸ Kolejny kalambur Brodersona: oryginalne powiedzenie *menachem ewel zajn* [„składać kondolencje”] zamienił na *menachem juwel zajn*, gdzie słowo *juwel* oznacza „radość, tryumf”.

Miał łatwość pisania, pisywał zwłaszcza nocą, kiedy położył się do łóżka i zgasił światło. Na nocnym stoliku leżało kilka kartek, które w ciemnościach zapisywał swoim wielkim, czerwonym piórem. Wstając na drugi dzień, odczytywał mi to, co wcześniej zapisał. Pewnego razu wczesnym rankiem słyszę, jak przeklina i to, rzecz jasna, po rosyjsku. Co się stało? W piórze wiecznym nie było atramentu, a on pisał nim przez całą noc. „Akurat tej nocy tak mi się dobrze pisało” – skarżył się.

W domu Brodersona zaznajomiłem się z największymi żydowskimi pisarzami, którzy przybywali do Łodzi z Warszawy, Wilna czy z zagranicy. Tam również spotkałem młodych pisarzy, których wziął pod swoje skrzydła i którzy później pięknie się rozwinęli. Tam również poznałem największych aktorów z kraju i zagranicy, jak i w ogóle mnóstwo ciekawych ludzi, którym mogłem przyglądać się z bliska.

Broderson bardzo przyjaźnił się z malarzami i rzadko kiedy pozwalał powiedzieć o nich złe słowo. Na temat pisarzy potrafił często zmieniać zdanie, ale z umiarem i tylko w określonych ramach. Z aktorami rzecz miała się zupełnie inaczej. Szale aktorskiej wagi huśtały się w jego umyśle w górę i w dół. Oto na przykład widział jakiegoś aktora grającego w jednej sztuce i mówił o nim, że jest taki czy siaki, by za trzy dni, ujrzawszy go w innej sztuce, dowodzić, że jest nic nie wart. Gdy jakiś aktor mu się nie podobał, nie mówił, że człowiek ten nie ma talentu, ale że ma syfilis. Gorszego epitetu niż ten nie znał. Pewnego razu miał zaangażować śpiewaczkę dla Araratu. Pytam go: „Zaproponowałeś jej angaż?” „Nie” – odpowiada. „Dlaczego?” „Po pierwsze” – mówi – „nie potrafi śpiewać, a po drugie ma syfa...”. Dlaczego obdarzał ludzi o zawodzie aktora tą właśnie okropną chorobą, nigdy się nie dowiedziałem. Prawda jest taka, że jeśli chodzi o teatr, miał większe ambicje, niż jeśli chodzi o poezję...

Był człowiekiem o zmiennych nastrojach i często też zmieniał zdanie, ale chętnie mu wybaczano wszystkie słabości i kochano go za jego *esprit*, humor, umiejętność zachwywania się innymi. W końcu wiadano, że jest poetą, a dla poetów nawet Zeus był łaskawy.

Ararat ukończył dwa lata. Jako młoda scena przez te dwa lata przeszliśmy najrozmaitsze choroby wieku dziecięcego. Jak to było wówczas w modzie, nieustannie handlowaliśmy „izmami”, jak jeden „izm” na tak, to drugi na nie. Futuryzm, ekspresjonizm, naturalizm, realizm. Dawaliśmy widzowi zielone brody, niebieskie spodnie, żółte kapoty. Łaziliśmy po drabinach, skakaliśmy po stołach, wyczynialiśmy niebezpieczne koziołki, nic nie mówiąc i nie poruszając się normalnie, lecz wszystko na próżno. A na każde słowo – setki min, każdemu zdaniu towarzyszyły tysiące zwariowanych ruchów. Rezultat? Mimo tych wszystkich wymyślnych efektów scenicznych nasze położenie było nieefektywne. Prasa nas chwaliła nas ostrożnie, ale kasa świeciła pustkami...

Przysięgliśmy sobie, zakładając nasz teatr, że nie będziemy zwracać uwagi na okienko kasowe. Ale zaczęło mnie dręczyć pytanie: co się tam dzieje? W Łodzi była dobra publiczność teatralna. Dlaczego nas nie odwiedza? Dlaczego teraz publiczność przychodzi do nas rzadziej niż na pierwsze programy? Czy to nie jest znak, że rozczarowaliśmy widzów? Że zboczyliśmy z drogi, którą powinniśmy podążać?

W ostatnim czasie spotykałem się ludźmi z różnych kręgów, byłem zajęty próbami, po przedstawieniu spędzałem czas z pisarzami, aktorami, ze zwykłymi łódzianami, a więc z tymi, którzy chadzali do teatru, nie miałem kontaktu. Dlatego postanowiłem wyjść na ulicę, aby poszukać odpowiedzi na pytanie, które mnie nurtowało.

Pewnego pięknego, słonecznego dnia zorientowałem się, że jestem obok bramy domu na Piotrkowskiej 38, w którym znajdował się warsztat mojego byłego majstra Milnera. Bijąc się z myślami, postanowiłem jednak zejść do niego, aby zobaczyć się z moją dawną kompanią, czeladnikami krawieckimi.

Kompania przyjęła mnie z radością, jakbym przyniósł im los wygrany na loterii. Widzicie, krzyczał jeden do drugiego, nie zapomnieli o nas. I zaraz zaczęło się przerzucanie powiedzonek, dowcipami. Jeden zaproponował, abym siadł przy maszynie. „Uwierz mi”, rzekł, „będziesz u nas pracował łżej i zarabiał więcej niż w teatrze”. Drugi ujął się za mną, mówiąc, że skoro oderwałem się od swoich artystów, aby się zobaczyć ze starymi kolegami, to... „To wcale nie jest dobry znak”, podchwycił trzeci. Gdy już się trochę uspokoił, zapytałem, czy byli w Araracie i czy widzieli nasze przedstawienia? Gdy otrzymałem odpowiedź pozytywną, rzekłem poważnie: „No, jeśli tak, chcę usłyszeć wasze zdanie, ale mówicie prawdę, bez owijania w bawełnę – walcie prosto z mostu”.

Popatrzyli po sobie. Potem prasowacz odstawił żelazko, pozostali zatrzymali maszyny i zaczęło się jedyne w swoim rodzaju sympozjum teatralne w warsztacie krawieckim.

Jak podczas każdego sympozjum przytaczano tu rozmaite opinie. Wedle jednej jeśli chcemy coś poprawić w naszym teatrze, to powinniśmy stać się teatrem dla klasy robotniczej i budzić ducha walki społecznej. Drugi sądził, że to niebezpieczna droga, ponieważ policja i cenzura nas zaduszą. Dlatego musimy się trzymać z daleka od polityki. Trzeci dowodził, że mamy obowiązek oswajać publiczność ze sztuką ambitną. Jednak wszyscy zgodzili się, że powinniśmy być takim teatrem, który jest inny od pozostałych żydowskich scen, a zwłaszcza – musimy wiedzieć, czego chcemy, bo teraz chyba sami nie wiemy, dlaczego gramy tak, a nie inaczej.

– Szmaju, obyś tak spuchł jak pierzyna – ni stąd ni zowąd usłyszałem głos mojego byłego majstra Milnera, który akurat nadszedł i przez dłuższą chwilę przysłuchiwał się naszej rozmowie niezauważony. Soczyście zaklął i od razu przeszedł do rzeczy: „Nie znam się na waszych zagranicznych słówkach »eksperymentalny« i »awangardowy«. Ale powiedz mi tylko, Szmaju – tu, w moim warsztacie, byłeś komikiem pełną gębą, pękaliśmy ze śmiechu, słuchając twoich powiedzonek i oglądając twoje parodie. Czym się, do licha, stałeś w teatrze – tancerzem? Gimnastykującym się śpiewakiem? Kiedy Żyd przychodzi do teatru, to chce zapomnieć o swoich problemach. Pragnie odrobiny radości. Niechaj więc sobie będą te, jak to mówicie, »akrobacje«, ale czy one nie mogą być wesołe? Czy wykonując akrobacje, aktorzy muszą chodzić po scenie, jakby byli na pogrzebie? Posłuchaj mnie, Szmaju, grajcie jak ludzie, mówicie jak ludzie, śpiewajcie jak ludzie. Dajcie widzom odrobinę radości. Niechaj Żyd, który przychodzi do was, pośmieje się odrobinę ze swoich kłopotów. No dobrze, chcecie akrobacji, to niech również będą, ale

z smakiem, z sercem. Wejdźcie w położenie prostego Żyda i nie zwracajcie mu głowy »choreografią« ani innymi waszymi wymysłami”.

Coś zaczęło mi świtać i po pewnym czasie, kiedy udało mi się zbadać opinię żydowskich miłośników teatru w Łodzi na temat naszego Araratu, byłem pewien, co bezwzględnie powinniśmy zrobić, aby wejść na drogę, jaką powinien kroczyć taki teatr, jak nasz.

* * *

W trzecim roku istnienia Araratu w teatrze zaszły istotne zmiany. Zarzuciliśmy wszystkie modne „izmy” i szczególną uwagę zwróciliśmy na grę aktorską, w ten sposób otwierając drogę dla utalentowanych jednostek, które do tej pory ginęły w kolektywnych scenach masowych, w których wszyscy policjanci wyglądają tak samo. Sam Broderson, wcześniej wielki zwolennik scen zbiorowych, w których nie było widać pojedynczych artystów, teraz zaczął dowodzić, że teatr to aktor i że wszystko w teatrze powinno zmierzać do tego, aby ten aktor – dusza sceny – mógł się ujawnić. Akcent został położony – nie jak wcześniej na dziwne dekoracje czy zaskakujące, ale modne kostiumy i deklamacje chóralne – lecz na grę aktorów, na indywidualność jednostki.

Przez cały czas istnienia Araratu grono aktorów było płynne. Wielu artystów odeszło, pojawili się nowi, stałe było jedynie małe jądro, na którym wspierało się trwanie teatru. Wraz z nową zmianą w roku 1930 również i w tym jądrze pojawiło się pęknięcie. Niektórzy uważali, że nowa droga jest właściwa, ale część była przeciw niej. Zwyciężyli ci pierwsi i teatr został przeorganizowany pod względem aktorskim. Odeszli ci, którzy czuli, że nie mają szansy zaistnieć jako aktorzy twarzą w twarz z widzami, a na ich miejsce przybyli nowi z własnymi twarzami, środkami i talentem, które były odpowiednie dla naszej sceny.

Wraz ze zmianą sposobu grania zmieniło się również podejście do repertuaru. Teatr postawił na humor, bieżącą satyrę, skecze i obrazki, które były bliskie rzeczywistości, w jakiej żyli polscy Żydzi. Wraz z piosenkami ludowymi, które wystawialiśmy poddając je pewnej stylizacji, Broderson stworzył również wiele błyskotliwych numerów muzycznych w żydowskim stylu. Wprowadziliśmy do naszego programu również elementy rewiowe, a były to żydowskie tanga, które miały w sobie i romantykę, i groteskę. Piosenki te, śpiewane solo, albo w duecie, tercecie czy kwartecie, szybko stały się szlagierami i zaczęły rozbrzmiewać we wszystkich warsztatach, śpiewano je na wszystkich domowych uroczystościach, a żydowscy klezmerzy grali je nawet na weselach. Ararat naprawdę stał się popularny. Dowcipy i powiedzonka z monologów oraz skeczy powtarzano w rozmaitych kręgach, a z naszych żartów śmiali się zarówno inteligenci, jak i prości mieszkańcy Łodzi.

Jeszcze jedną nowość wprowadziliśmy do naszego teatru: zaczęliśmy się posługiwać łódzkim dialektem, co jeszcze bardziej zbliżyło nas do publiczności.

Wysoką pozycję w Araracie zajmowałem od pierwszego dnia istnienia teatru, ale tak naprawdę znany i lubiany przez szeroką publiczność stałem się po tym przekształceniu. Doszło tego, że właściciele firm handlowych zaczęli się domagać, abym, wygłaszając swoje

monologi, w jakimkolwiek sposób wspominał o ich towarach. Za wymienienie, rzekomo przypadkiem, nazwy pewnej firmy obuwniczej nosiłem najpiękniejsze i najlepsze buty. Gdybym tylko wspomniął słówkiem o znanej firmie produkującej krawaty, od razu zostałbym zaopatrzony w najpiękniejsze i najdroższe z nich.

Pamiętam pewne wydarzenie. Dwie firmy handlujące kapeluszami – Kapelusznik i Abramowicz – nakłoniły mnie, abym nieoficjalnie zareklamował ich kapelusze. Raz miałem wspomnieć, że Kapelusznik ma w asortymencie kapelusze marki Huckel, a za drugim razem, że Abramowicz posiada kapelusze marki Habig. To wystarczyło sprzedawcom kapeluszy i za to otrzymałem po dwa kapelusze każdej marki. Właściciele zapewne wiedzieli, że nie marnują pieniędzy i że się im to opłaci.

Pewnego razu obsługa przynosi mi za kulisz dwa kapelusze z karteczką „Jestem na sali. Kapelusznik”. Wchodzę na scenę, wygłaszam monolog i szukam miejsca, w które mógłbym wcisnąć dowcip o kapeluszach marki Huckel sprzedawanych przez firmę Kapelusznika. Ale jak za szatańskim podszeptem mówię: „Kupiłem u Abramowicza kapelusz marki Habig i...” – szybko się połapałem, że popełniłem błąd, ale było już za późno. Trudno jest cofnąć słowo.

Podczas przerwy Kapelusznik przychodzi za kulisz, lecz nim cokolwiek zdążył powiedzieć, mówię do niego: „Proszę mi wybaczyć, to był mój błąd. Proszę zabrać kapelusze”. Ale Kapelusznik nie chce o tym słyszeć. „Panie Dżigan”, mówi, „nie jestem na pana zły. Wie pan co? Zrobię z panem inny interes – dostanie pan te dwa kapelusze, a także kapelusze dla wszystkich aktorów na dokładkę, ale niech pan zrobi to samo z Abramowiczem”. I faktycznie, gdy Abramowicz przy najbliższej okazji był w teatrze, opowiedziałem jak gdyby nigdy nic, że byłem w sklepie firmowym Kapelusznika i tam kupiłem dwa kapelusze marki Huckel. Jednak z Abramowiczem nie poszło mi już tak gładko, ponieważ gdy tylko usłyszał, że reklamuję jego konkurenta zamiast niego, to, biedak, tak zaniemógł, że trzeba było przerwać przedstawienie i wezwać pogotowie.

* * *

Wszystko szło wspaniale. Nasz nowy i zrekonstruowany program odniósł wielki sukces i to nie tylko, jak to mówią, moralny, ale też materialny. Po raz pierwszy aktorzy otrzymali godną wypłatę, a w kasie teatru wciąż pozostała niezła sumka jako żelazny zapas na dalsze przedstawienia

Jednak szatan spiskował przeciw nam, nasyłając na nas znanego reżysera Dawida Hermana, który przekonał Brodersona, aby wystawił na deskach Araratu sztukę Osipa Dimowa *Bronx-express*. Broderson napisał do niej kilka piosenek, a Dawid Herman podjął się reżyserii. My, aktorzy, nie byliśmy szczególnie zadowoleni z tego układu, widząc, że szykuje się wielka kłapa, ale szacunek dla Hermana i Brodersona kazał nam milczeć i brać udział w próbach.

Dawid Herman miał „dziurawe” palce. Postawił dekoracje z takimi konstrukcjami, które przysporzyłyby problemów finansowych nawet teatrowi państwowemu. Zainstalował projektory i dziwne, małe maszyny dla efektów świetlnych, które Krezusa

zamieniłyby w biedaka. Zamieszkał na koszt teatru w najdroższym hotelu i jadł w najlepszych restauracjach, tak że bardzo szybko po naszych rezerwacjach finansowych nie pozostał nawet ślad, a Mosze Broderson musiał jeszcze podpisywać weksle na kostiumy i inne rekwizyty, aby w końcu mogła się odbyć premiera.

To, co miało miejsce podczas tej premiery, nie zdarzyło się jeszcze nigdy w całej historii żydowskiego teatru. Po pierwszym akcie usłyszeliśmy wielki hałas na widowni, ale nie wiedzieliśmy, co się tam dzieje. Dopiero gdy na początku drugiego aktu kurtyna poszła w górę, ujrzeliśmy przed sobą wzburzony tłum, który stał zamiast siedzieć. Zaraz też rozległy się pierwsze okrzyki: „Chcemy Araratu! Chcemy Brodersona! Niech Herman idzie sobie do Trupy Wileńskiej!” Jednak na tym się nie skończyło. Publiczność była coraz bardziej wzburzona, a wielu widzów wdrapało się na niezbyt wysoką scenę, by tam dokonać prawdziwego pogromu – porozwalali dekoracje, porozbijali reflektory i przegonili aktorów. Rzecz jasna, o graniu drugiego aktu nie było już mowy. *Bronx-express* Hermana już dalej nie pojechał.

Dawid Herman tej samej nocy uciekł z Łodzi. Z całego przedstawienia pozostało jedno tango, które jest śpiewane do dzisiaj przez żydowskich aktorów na całym świecie. Jednak nikt nie wie, skąd pochodzi ta piosenka i nikt nie ma pojęcia, ile kosztowała...

* * *

Dzień po przerwaniu przedstawienia zwołaliśmy ogólne zebranie kolektywu. Broderson bił się w piersi, zwalając wszystko na Dawida Hermana, który „potrafi swoimi sterylnymi koncepcjami teatralnymi zrujnować świat”. Podsumował nasze położenie. Sytuacja, co oczywiste, była opłakana – aby utworzyć nowy program Araratu, potrzeba było czasu i pieniędzy. Pieniądzy nie było, a poza tym nikt nie miał chęci wracać do pracy po takiej sromotnej klęsce.

I właśnie wówczas, gdy byliśmy tak przygnębieni i nikomu nie chciało się nawet gadać, zabrałem głos i z jakimś rodzajem wewnętrznej pewności zacząłem wszystkich pocieszać. Wezwałem moich towarzyszy, aby nie tracili odwagi, dowodząc, że klęski są w teatrze czymś normalnym, raz się jest na wozie, raz pod wozem. Co prawda nie ma teraz o tym mowy, by dalej grać w Łodzi, ale przecież dysponujemy skarbem repertuaru scenicznego, którego społeczność żydowska poza Łodzią jeszcze nie widziała. To znaczy, że teraz nie powinniśmy szukać nowego repertuaru i nowych programów, lecz musimy poszukać nowych widzów. Dlatego naszą ambicją powinny być występy w Warszawie. Bo Warszawa to przepustka do żydowskiego świata. Tutaj, w Łodzi, pławimy się we własnym sosie, tutaj jesteśmy znani, ale trzydzieści kilometrów poza Łodzią nikt o nas nie słyszał, bo prasę łódzką czytuje się tylko w Łodzi. Co innego w Warszawie. Jeśli zagramy w Warszawie, staniemy się sławni w całej Polsce, a wówczas świat stanie przed nami otworem.

Moje słowa dodały wszystkim otuchy. W oczach zebranych pojawiły się znowu iskierki, na każdej twarzy na nowo rozbłysła przygaszona nadzieja.

Dwa dni potem Mosze Broderson wyjechał do Warszawy, aby tam zaaranżować nasze występy gościnne.

* * *

Jednak granie w Warszawie nie było taką prostą sprawą. Broderson natrafił na wielkie trudności ze strony Związku Aktorów Żydowskich, który był przeciw naszym występom, ponieważ nie byliśmy zawodowymi aktorami i nie należeliśmy do tej organizacji.

Wiedzieliśmy, że Związek robi nam trudności, ponieważ w jego władzach zasiadało kilku żydowskich aktorów, którzy sami grywali w Warszawie w programach rewiowych. Ale ta wiedza nam nie pomagała. Związek Aktorów twardo obstawał przy swoim, że przede wszystkim powinniśmy zdać egzaminy, aby uzyskać członkostwo stowarzyszenia, i dopiero wówczas, jak już będziemy jego członkami, otrzymamy prawo grania w stolicy, o ile, rzecz jasna, stowarzyszenie uzna to za możliwe.

Po długich pertraktacjach, do których Broderson zaangażował po naszej stronie znanych pisarzy i działaczy kultury, ostatecznie uzyskaliśmy zgodę na występy w Warszawie przez krótki czas, w którym również powinniśmy zdać egzaminy, aby uzyskać członkostwo Związku.

Pozwolono nam zagrać w sierpniu, miesiącu najgorszym dla żydowskiego teatru, bo wtedy właśnie publiczność wyjeżdża na wakacje. Mieliśmy grać w teatrze Skala, który znajdował się w okolicy nieuczęszczanej przez żydowską inteligencję. Mimo tego przystaliśmy na wszystkie warunki i z wielkim entuzjazmem zaczęliśmy przygotowywać się do pierwszych występów w stolicy Polski.

Premiera była bardzo uroczysta. Dyrektor Ryba wraz ze swoimi współnikami – aktorami Mosze Lipmanem i Sandlerem – wystąpili w garniturach, a Mosze Broderson przyjął szanownych gości w czarnym smokingu i z monoklem w oku. Elita żydowskiej Warszawy przybyła jak na świąteczną paradę, ponieważ żydowska prasa w Warszawie poświęciła nam „na kredyt” parę artykułów pióra uznanych pisarzy. Z Łodzi przybyło kilku członków naszego komitetu teatralnego, jak i również cały szereg „chasydów” Araratu. Żartowali, że przyjechali na mecz Łódź–Warszawa.

Nasze występy w Warszawie okazały się rewelacją.

Dla mnie osobiście występy w Warszawie były punktem zwrotnym w całej karierze artystycznej. Już podczas samej premiery moje ambicje rozpały się i powiedziałem do siebie: „Szymonie, pokaż, co potrafisz. Musisz być więcej niż dobry, musisz sięgnąć szczytów”. Szczyty osiągnąłem zaraz potem – podczas mojego pierwszego monologu. Wygłaszając go, poczułem, że władam publicznością, koncentruję na sobie całą jej uwagę. Zacząłem wówczas improwizować, wtrącając do tekstu głównego własne dygresje, aż poczułem, że nawiązałem z widzami bezpośredni kontakt. Zapomnieli, że są w teatrze, nie wiedząc, czy to ja z nich żartuję, czy też śmieję się z samego siebie. Dopiero kiedy skończyłem monolog i znalazłem się za kurtyną, pomachawszy wcześniej na pożegnanie swoją czerwoną chusteczką, rozległ się taki aplauz, który niemal rozsądził ściany sali teatralnej. Oklaskom i okrzykom nie było końca. Mogłem sparafrazować znane powiedzonko „Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem” na „Przybyłem, zagrałem, zwyciężyłem”.

Jeszcze dzisiaj, gdy spotykam warszawiaka, słyszę: „Pamiętam cię, Dżigan, z czerwoną chusteczką”. Czerwona chusteczka, mała żydowska czapeczka i długa kapota stały się moimi emblematami, takimi „trademarks”, z którymi pożegnałem się dopiero po wybuchu II wojny światowej.

Warszawiacy jeszcze dzisiaj pamiętają z tamtych czasów mój pierwszy monolog *Kłopoty z jojo*. Jojo to japońska gra, która na jakiś czas opanowała pół świata. Gdzie by się nie pojechało, widziało się, jak młodzi i starzy rzucają w górę i w dół piłeczkę nawleczoną na gumkę. Kiedy pojawiłem się na scenie – Żyd z brodą, w długiej kapocie, z małą, okrągłą jarmułką na głowie i czerwoną chustką zatknietą za pasek – i zacząłem podrzucać jojo w górę i w dół, już niczego nie musiałem mówić, ponieważ publiczność od razu wybuchła śmiechem. Potem opowiedziałem widzom, że nakładałem tefilin⁴⁹ wraz z jojo, po czym odsłoniłem lewą rękę, do której czarną gumą niczym rzemieniem było przywiązane jojo. Gdy chciałem zobaczyć, która jest godzina, to z kieszonki na piersi wyjąłem jojo, które wisiało na złotym łańcuszku. Opowiedziałem, jak to moja żona wkłada jojo do czulentu zamiast ziemniaków. Zaś moja córka urodziła bliźniaki – dwa jojo, a mój szwagier nie może mieć dzieci, bo nie lubi jojo...

Nasz sukces znalazł odbicie w recenzjach, które ukazały się w warszawskiej prasie żydowskiej. O naszym przedstawieniu i o naszej pełnej entuzjazmu grze pisano w takich superlatywach, jakich do tej pory jeszcze nie słyszeliśmy. Jeśli chodzi o mnie samego, nie miałem się, oczywiście, na co skarżyć – wychwalano mnie pod niebiosa i to do tego stopnia, że moich przyjaciele mieli do mnie pretensje: „Dżigan, cóż za idealny z ciebie aktor!”

* * *

Podczas występów zdałem egzaminy na członka Związku Aktorów. Sprawa nie była dla nas specjalnie trudna. Trochę musieliśmy się pomęczyć nad kwestiami teoretycznymi, dzięki czemu jednak odpowiedzieliśmy wystarczająco dobrze na pytania dotyczące literatury, historii, historii teatru żydowskiego itp. Sporo tego typu rzeczy uczyliśmy się w naszym studium i znaliśmy je też z innych źródeł. Tak czy siak – zaliczyliśmy egzaminy.

Zapamiętałem związane z tym pewne ciekawe wydarzenie. W naszym teatrze był aktor, który nazywał się Motl Kon. Wołano na niego „Gruba Głowa”. Nie zajmował wysokiego miejsca jako artysta, ale zajmował się pracą techniczną na scenie, administracją itp. I oto tenże Motl Kon również przystąpił do egzaminu, a pierwsze pytanie dotyczące kwestii teoretycznych brzmiało: „Kim był Izrael Aksensfeld⁵⁰?”. W komisji egzaminacyjnej zasiadali aktorzy i pisarze, a wśród ich: Szlojme Mendelson⁵¹, dr Icchak Schiper⁵²,

⁴⁹ Tefilin (hebr., dosł. ‘przedmioty modlitewne’) – dwa skórzane czarne pudełeczka z fragmentami Tory przywiązane przez dorosłych mężczyzn do czoła i lewej ręki na czas codziennych modlitw.

⁵⁰ Izrael Aksensfeld (1787–1868) – jeden z pierwszych pisarzy tworzących w jidysz. Wspomniana w tekście powieść została opublikowana w 1861 r. w Lipsku.

⁵¹ Szlojme Mendelson (1896–1948) – pedagog i publicysta piszący w jidysz.

⁵² Icchak (Ignacy) Schiper (1884–1943) – prawnik, historyk, jeden z twórców nowoczesnej historiografii polskich Żydów, poseł na Sejm Ustawodawczy i Sejm I kadencji.

dr Weichert⁵³ i inni. Kiedy Szlojme Mendelson zapytał Kona o to, kim był Aksenfeld, autor oświeceniowej satyry antychasydzkiej *Dos szternitchl* [Opaska], byliśmy pewni, że Kon nie będzie umiał odpowiedzieć. Motl Kon jednak nie stracił animuszu i pewny siebie zaczął mówić: „O, Aksenfeld, wielka postać... ważna osobistość... on, można powiedzieć, dokonał tego, czego wielu przed nim i po nim dokonać nie zdołało... Chociaż trzeba też powiedzieć, że w jednym względzie przewyższył go Mendel Waksenberg...”

Na to dr Schiper rzekł do Mendelsona, który był przewodniczącym komisji egzaminacyjnej: „Panie Mendelson, przecież pan widzi, że egzaminowany orientuje się w temacie... Za pół godziny mam posiedzenie... dlatego proponuję...”

Koniec był taki, że już więcej Kona nie pytano, więc i on uzyskał potwierdzenie, że nadaje się na członka Związku Aktorów Żydowskich.

Gdy egzaminatorzy rozeszli się i zostaliśmy sami, Broderson podszedł do Kona i zapytał:

– Gruba Głowo, co ty tam nazmyślałeś? Kim jest ten lepszy od Aksenfelda Mendel Waksenberg?

Na to Motl Kon odpowiedział ze stoickim spokojem:

– Mendel Waksenberg to blacharz, który mieszka na naszym podwórzu. Bez obrazy, ale on ma trzynastoro dzieci i w tej materii z całą pewnością jest lepszy niż wasz Aksenfeld...

* * *

Ponownie myślę o losie aktorów żydowskich w porównaniu z sytuacją ich kolegów na innych scenach narodowych. W innych narodach, gdy aktor osiągnie sukces albo wręcz wielki sukces, ma zapewnioną pracę na scenie i nie brakuje mu angażów. U nas, na żydowskiej ulicy, było jednak zupełnie inaczej. Faktycznie odnieśliśmy w Warszawie wielki sukces, wzięliśmy – można rzec – miasto szturmem, wywołując zachwyt, ale gdy minęło sześć tygodni naszego grania w Skali, nikt nie zaproponował nam angażu i dalszego grania. Żydowskie sale teatralne w Warszawie były zajęte przez stałe trupy, które miały pozwolenie na granie w tym mieście, a my z Araratu – mimo całego naszego sukcesu – zostaliśmy na lodzie, że nic, tylko krzyczeć wniebogłosy.

Taki jest los aktora! Dopóki gra to żyje. Gdy jest na topie, to publiczność jest gotowa nosić go na rękach. Gdy przestaje grać, przestaje też istnieć. Po jakimś czasie nawet ci, którzy jeszcze wczoraj mu się kłaniali, przestają go rozpoznawać.

I jeszcze jedna rzecz – w teatrze sukces jest spoiwem zespołu. Dopóki przedstawienia dobrze idą, trupa trzyma się razem i niespełnione ambicje „pokrzywdzonych” usuwają się na bok. Gdy jednak granie się kończy albo gdy przedstawienia zaczynają iść źle, wówczas odżywają wszystkie zranione uczucia i plenią się intrygi. Zaczyna się nieunikniony podział trupy, który prowadzi do zniszczenia teatru i rozmaitych tragicomicznych, dziwacznych przypadków.

⁵³ Michał Weichert (1890–1967) – reżyser teatrów żydowskich, teatrolog i krytyk literacki.

Po tym, gdy zostaliśmy w Warszawie bez stałego miejsca, w naszym Araracie zaczął się ten sam problem, co we wszystkich innych żydowskich trupach teatralnych.

Nasz teatr podzielił się, jedni odeszli, by grać w profesjonalnych teatrach małe, nic nieznaczące role, a inni wyjechali na tournée po prowincji.

W czasie tych chudych dni, które nadeszły po wielkim sukcesie naszych pierwszych występów gościnnych w Warszawie, zwrócił się do nas impresario teatralny z propozycją, abyśmy pojechali grać w miastach i miasteczkach centralnej Polski. Warunki były bardzo skromne, poza tym ostrzegano nas, że tenże impresario ma „długie ręce”, jednak nie mając wyboru, przystaliśmy na jego propozycję. I chociaż graliśmy, jak to się mówi, przy pełnej sali, musieliśmy skończyć występy dwa tygodnie przed terminem. Stało się tak, ponieważ nie zobaczyliśmy ani grosza, a kiedy upomnieliśmy się u impresaria o naszą część zysku, przedstawił nam fałszywe rachunki, z których wynikało, że to my musimy mu jeszcze dopłacić nie wiadomo ile.

Zaraz po zakończeniu tego tournée wróciliśmy do Łodzi i tam zaczął się dla mnie czas wegetacji, który ciągnął się ponad dwa lata. Podejmowaliśmy rozmaite próby, zwracaliśmy się we wszystkich kierunkach, na nowo się organizowaliśmy i rozwiązywaliśmy. Znaleźliśmy się na pustyni i nie potrafiliśmy z niej wyjść. To najgorsze dwa i pół roku w mojej karierze teatralnej i zawsze, gdy sobie o nich przypominę, dziwię się, jak je przetrwałem, nie porzucając teatru na zawsze.

Oczywiście nie chodziliśmy całkiem goli i bosi. Od czasu do czasu wyjeżdżaliśmy na „zdobyczne” przedstawienia na prowincji. Robiliśmy nawet dłuższe objazdy w odległych miejscach. Ale wielkiej radości takie tournée nam nie sprawiały, a często wręcz byliśmy zadowoleni i szczęśliwi, że mamy kilka groszy na bilet powrotny do Łodzi.

W ten sposób odwiedziliśmy Lwów i inne galicyjskie miasta. Nazwa Ararat była tam znana tylko nielicznym przedstawicielom inteligencji i kilku pisarzom, i chociaż prasa bardzo nas chwaliła, na niewiele się to zdało – publiczność nie dopisywała.

We Lwowie po raz pierwszy poczułem głód. Również tam spędziłem jedną noc pod mostem, ponieważ nie było czym zapłacić za hotel. Koniec był taki, że wysłałem telegram do pewnego przyjaciela w Łodzi, aby przyjechał nas zbawić i zabrać do domu. Przyjaciel przybył, spędził z nami dwa dni i odjechał z powrotem do Łodzi. A my kontynuowaliśmy tournée, a trwało ono około trzynastu miesięcy. W końcu wróciliśmy do Łodzi z niezłą ilością recenzji prasowych, ale biedni jak mysz kościelna. Uratowała nas tylko jedna rzecz – byliśmy młodzi i wokół nas zbierała się młodzież, więc czas płynął nam wesoło, chociaż w kieszeni były pustki.

Po wszystkich tych objazdach pozostały zawarte znajomości, przyjaźnie i wspomnienia, częściowo intymne, oraz takie, które wiążą się z teatrem. Chciałbym tu opowiedzieć o kilku takich teatralnych ciekawostkach, które pozostały w mojej pamięci. Pragnę tylko dodać, że kilka lat później, gdy już mieliśmy ugruntowaną pozycję w Warszawie, jeszcze kilka razy odwiedziliśmy Lwów, Wilno, Białystok i inne miasta w kraju, ale wówczas już bilety na nasze przedstawienia były wyprzedane dwa tygodnie wcześniej, a my naszymi zarobkami i sukcesami niejednej żydowskiej trupie teatralnej spędziliśmy sen z powiek.

* * *

A zatem zacznijmy opowieść o szeregu ciekawych wydarzeń na prowincji.

Gdy tylko zakończyliśmy przedstawienia w Warszawie, ja i Szejne Miriam⁵⁴ pojechaliśmy na występy do Grójca. Jak to się stało, że akurat tam? Było to tak: w orkiestrze teatru Skala grał pewien skrzypek, który był z pochodzenia grójczaninem. On to zaproponował nam, abyśmy we dwójkę pojechali na występy do jego rodzinnego miasta, a tym, co zarobimy, podzielimy się we troje.

Zakończywszy występy w Warszawie w niedzielę rano, w poniedziałek mieliśmy już występować w Grójcu. Przybywszy na miejsce, pytamy owego skrzypka, czy sprzedają się bilety, na co on odpowiada nam półgębkiem. Widzimy, że coś tu nie gra, ale nie mamy pojęcia, o co chodzi.

Wieczorem przychodzimy do sali teatralnej, w której mamy występować, i widzimy przy schodach do teatru wielki tłum. Wchodzimy do kasy, w której siedzi nasz skrzypek, i dowiadujemy się, że nie sprzedano ani jednego biletu. „O co chodzi?” – pytamy, a skrzypek zaczyna coś dukać, dławiąc się słowami. Wychodzimy więc na zewnątrz, do ludzi, którzy stoją przed teatrem, i słyszymy następującą rzecz – tłum nie wierzy, że my to my, to znaczy, że ja to Dżigan, a Szejne Miriam to Szejne Miriam.

Dlaczego tłum w to nie wierzy? Jest coś na rzeczy. Warszawskie gazety żydowskie ukazywały się na prowincji o jeden dzień później. Ale ponieważ nie wypadało, aby Żyd na prowincji kupował gazetę z wczorajszą datą, drukowano specjalne wydanie, na którym gazeta dzisiejsza w Warszawie miała jutrzejszą datę, to znaczy: datę z następnego dnia. Teraz można sobie wyobrazić, co nastąpiło: Żydzi w Grójcu dostali warszawską gazetę niedzielną z poniedziałkową datą i w tej gazecie przeczytali anons, że dzisiaj Ararat gra tam swoje ostatnie przedstawienie, a przy tym było jeszcze napisane, że w przedstawieniu tym biorą udział Dżigan i Szejne Miriam. Rzecz jasna, grójcecy Żydzi wywnioskowali z tego, że ktoś chce ich tutaj wyprowadzić w pole i zamiast prawdziwych warszawskich aktorów podsuwa im kogoś innego. No, ale czy Żydzi dadzą się oszukać? Z całych sił, rzecz jasna, próbowaliśmy wyjaśnić grójczanom tę pomyłkę, ale bez skutku. „Nie jesteśmy prowincjuszami”, twierdzili, „nas na pewno nie podejdziecie. Dżigan i Szejne Miriam są w Warszawie”.

Poszedłem do skrzypka i powiedziałem mu: „Przepadło. Skoro jednak już tu jesteśmy i już wydaliśmy pieniądze, to wpuść ich wszystkich do teatru, a później zobaczymy”. Byłem pewien, że gdy tylko znajdziemy się na scenie i zaczniemy prezentować nasz program, przekonamy ich, że my to... my. Jednym słowem, pojawiłem się na scenie ze swoim monologiem. Strzelałem dowcipami jednym za drugim i... nic. Żeby choć jedna osoba się uśmiechnęła. Ledwo dokończywszy monolog, zszedłem ze sceny w śmiertelnej

⁵⁴ Szejne Miriam, właśc. Sonia Broderzon, z domu Mandelbaum (1903–1980) – żona Mojżesza Broderzona. Tancerka, aktorka, pianistka. Autorka wspomnień *Majn lajdns-weg mit Mosze Broderzon. Di milchome hot gedojert far undz zibecn jor... (Zichrojnes)* [Moja droga przez mękę z Moszem Broderzonem. Wojna trwała dla nas 17 lat... (Wspomnienia)] wydanych w Buenos Aires w 1960 r. Po śmierci męża wyjechała do Izraela.

ciszy, po czym zobaczyłem, że za kulisami Szejne Miriam śmieje się i płacze. Nie, nie wyjdzie na scenę. „Idź”, mówi, „powiedz im, że zrobiło mi się słabo i że nie możemy kontynuować”... Zmusiłem ją, aby wyszła na scenę. Zatańczyła swój sławny taniec chasydzki – i znowu nic. Nikt nie ruszył ręką. Co robić? Nagle coś mi przyszło do głowy... Szybko wpadłem na scenę i w dramatycznej pozie, ze spuszczonym wzrokiem, zwróciłem się do publiczności: „Szanowni widzowie z Grójca! Ponieważ, jak widzę, nie jesteście prowincjuszami i nie da się was oszukać, muszę się wam przyznać, że nie jestem Dżiganem, a moja partnerka nie jest Szejne Miriam. Oni faktycznie grają dzisiaj w Warszawie”.

W tym momencie publiczność wstała i zaczęła krzyczeć: „Właśnie tak powinniście mówić od razu. Prawdę powinniście byli powiedzieć”.

Nakazałem dłonią, aby się uciszyli, po czym mówiłem dalej: „Tak, nie jesteśmy prawdziwymi Dżiganem i Szejne Miriam, ale jesteśmy ich najlepszymi naśladowcami. Dżigan i Szejne Miriam nigdy w swoim życiu nie przybyliby do Grójca, dlatego chcieliśmy wam pokazać ich kunszt. Więc teraz niechaj będzie, jak chcecie. Dostaliśmy już swoją zapłatę za przedstawienie, ale żal nam waszego rodaka. Wierzymy, że grójczanie nie pozwolą, aby dwoje żydowskich aktorów zostało zawstydzonych i aby ich ziomek stracił swoje ciężko zarobione pieniądze”.

Po dłuższej chwili usłyszeliśmy okrzyki: „Grajcie dalej, kupimy bilety!” Zarządziłem więc dziesięciominutową przerwę, która przeciągnęła się do dobrych trzydziestu minut, w czasie których skrzypek sprzedał wszystkim bilety. Skrzypek przyszedł potem za kulis, płacząc z radości. „Zróbcie wszystko”, prosił, „aby byli zadowoleni. Wy już nigdy więcej nie zobaczycie Grójca, ale ja tu mieszkam”...

Zaczęliśmy nasze przedstawienie od początku. Podczas mojego monologu publiczność pękała ze śmiechu, w czasie tańca chasydzkiego wykonywanego przez Szejne Miriam grójczanie wpadli w taki zachwyt, że oklaskom nie było końca. Przedstawienie wypadło tak dobrze, że poproszono nas, abyśmy zagrali jeszcze jedno. Grójczanie, bardzo zadowoleni z tego, że nie pozwolili się oszukać, stwierdzili: „Oczywiście, że to nie Dżigan i nie Szejne Miriam, ale tak dobrze ich naśladują, że Dżigan i Szejne Miriam nie zrobiliby tego lepiej...”.

Po kilku dniach opowieść o naszym występie w Grójcu została opisana we wszystkich warszawskich gazetach żydowskich. Połowa Polski śmiała się z niej, a na pamiątkę pozostało powiedzonko: „Obyś nie był jak ten z Grójca...”.

* * *

A oto jeszcze jedna przygoda:

Graliśmy kiedyś w małym miasteczku, gdzie większość ludzi nie wyróżniała się nadzwyczajną inteligencją, ale byli tam serdeczni i prostoduszni żydowscy chłopcy i dziewczęta, którzy – jak się przekonaaliśmy – okazywali wielki szacunek przewodniczącemu miejscowej biblioteki, traktując go jak swojego duchowego przywódcę.

Kiedy graliśmy nasze numery z piosenkami ludowymi, to wszystko było w porządku, wręcz widzieliśmy, że sprawiają one publiczności radość. Ale zauważyliśmy, że w sali nikt nie odważa się zaklaskać, zanim nie zacznie bić brawo sam przewodniczący. Dopiero kiedy on dawał przyzwolenie, jako pierwszy wyrażając aplauz, wszyscy pozostali już mogli wyrazić swój gorący entuzjazm.

I oto zagraliśmy humorystyczny skecz, przy którym publiczność zaczęła się spontanicznie śmiać, a wówczas przewodniczący wstał, wyciągnął rękę w kierunku sceny, dając znak, abyśmy na chwilę przerwali grę, po czym zwrócił się do swoich miejscowych dzieci duchowych, mówiąc, co następuje:

– Towarzysze i towarzyszki! Bardzo proszę pamiętać o tym, że tutaj nie gra się śmieci, lecz prawdziwą sztukę. Ze sztuki nie należy się śmiać... Dlatego bardzo proszę, aby nie zawstydzali artystów i nie przynosić hańby naszemu miasteczku!

Dalsza część przedstawienia przebiegła już gładko. Publiczność zmuszała się do tego, aby nie parsknąć śmiechem, tak więc w sali panował nastrój żałoby jak podczas święta Tisza Beaw⁵⁵.

Po przedstawieniu zabrałem głos, dziękując publiczności za to, że nie zawstydziła nas, artystów, i sztuki jako takiej...

* * *

Miałem przyjaciela, który nieustannie dowodził, że jeśli chce być komikiem, to muszę najpierw postudiować teorię humoru.

– Dowcipy, które opowiadasz na scenie – powiedział mi wówczas – są absolutnie niespójne z teoretycznego punktu widzenia.

– Ale przecież publiczność się śmieje – próbowałem się bronić.

Mój przyjaciel skrzywił się, jakbym mu podał żabę do połknięcia. – Po co mówisz mi o publiczności? Po co wyskakujesz tu z jej poglądami? – odpowiedział mi z politowaniem.

– Publiczność śmieje się, bo nie zna teorii...

I choć uwagi mojego przyjaciela wydawały się śmieszne, to jednak z czasem spostrzegłem, że dowcip to wcale nie jest taka prosta sprawa. Z czasem przeczytałem wiele poważnych książek na temat humoru i dowiedziałem się, że odpowiedzi na pytanie, dlaczego ludzie się śmieją, szukały tęgie głowy, filozofowie, psychologowie itp.

Ale przy okazji dowiedziałem się też, że żadna teoria na temat humoru nie znalazła wyjaśnienia dla ludzkiego śmiechu.

Mój sukces jako komika uświadomił mi, że nie ma stuprocentowych dowcipów, to znaczy takich dowcipów, które rozbawiałyby każdego.

Dowcip jest jak krzywe zwierciadło, które ukazuje prawdziwe relacje w lustrze groteski, ale tam, gdzie nie zna się prawdziwych relacji, o jakich opowiada żart, to jego groteskowe odbicie absolutnie nie jest śmieszne i nikt się wówczas nie śmieje.

⁵⁵ Tisza Beaw – zob. s. 98, przyp. 92.

Ludzie lubią się śmiać, ale nie lubią, kiedy się ich wyśmiewa. Jeśli ktoś myśli, że śmieją się z niego, zaraz traci poczucie humoru i najlepszy żart przystaje go śmieszyć.

Na szczęście widzowi w teatrze zawsze się wydaje, że komik na scenie szczydzi z kogo innego, nie z niego, kiedy jednak połapie się, że aktor śmieje się z niego, przestaje się śmiać.

Osoby publiczne, które ze względu na swoją popularność chcą, aby komik im kibicował, też nie życzą sobie, aby swoim dowcipem dotykał on istotnych rysów ich charakteru czy zachowania. Jeśli komik jednak to uczyni, kupuje sobie wroga na całe życie.

Wielokrotnie zdarzyło mi się wygłaszać na scenie monologi, które zawierały w sobie prawdziwe perły dowcipu, ale publiczność nie śmiała się, po czym nagle, gdy rzuciłem jakimś wcale nieśmiesznym słowem, wybuchali salwami śmiechu.

Przypomina mi się pewien epizod z czasów, o których właśnie opowiadam. Graliśmy w jakimś miasteczku na polskiej prowincji. Wystawialiśmy humorystyczny program, który wszędzie odnosił wielki sukces i wywoływał niekończące się napady śmiechu.

Ale w tamtym miasteczku nie śmiano się.

My, aktorzy, wychodziliśmy ze skóry, robiliśmy wszystko, aby widzowie się zaśmiali, ale oni, choćbyś strzelał do nich z armaty, chyba sobie poprzysięgli nie śmiać się, no i się nie śmiali.

Panie Wszechświata, o co tu chodzi? Nawet, jeśli są głusi i nie słyszą, co mówimy, to przecież powinni się śmiać choćby z naszych ruchów, min, dziwactw, którymi sypaliśmy jak z rękawa.

Kiedy nadeszła pora mojego monologu, przyszła mi do głowy dziwna myśl.

Mosze Broderson zwykle pisywał do programów Araratu wstęp, w których za pomocą wyszukanych, wzniosłych słów oraz zabaw lingwistycznych wyjaśniał nasze cele i kierunek teatralnych działań.

Wstępy Brodersona utrzymane były w uroczystym tonie i naszpikowane – zgodnie z ówczesną modą – obcymi słowami, a ich styl – tak zawikłany i pełen sztuczek, że nawet inteligentni ludzie skarżyli się, że nie wiedzą i nie rozumieją, o co w nich chodzi.

Tak więc – zamiast wygłaszać swój monolog, postanowiłem przeczytać publiczności w owym miasteczku taki właśnie wstęp.

Zacząłem: „Odwaga, śmiałość, idealizm, ekstatyczne podejście do egzystencji – to smar dla trybów kultury, to esencja wprawiająca życie w ruch”.

Gdy przeczytałem tę górnolotną frazę, na sali rozległ się pierwszy śmiech.

Kiedy czytałem dalej: „Komec alef – o! Komec bejs – bo! Komec gimel⁵⁶ – go! Zielone brody, czerwone brody, niebieskie brody? Dziwolągi przykryte ubraniem? Dziwadła w ramach?”, publiczność śmiała się już głośno, słyszać było nawet histeryczny, piskliwy chichot kobiet.

⁵⁶ Komec alef, komec bejs, komec gimel – wymowa pierwszych liter alfabetu hebrajskiego ze znakiem diakrytycznym komec, odczytywanym w wymowie aszkenazyjskiej jako „o”.

Jednak zupełnie nie potrafię oddać słowami tego, jaki atak śmiechu ogarnął publiczność kiedy przeczytałem kolejny passus:

„Obnażony z wewnętrznej religijności i, oczywiście, z atmosfery wzniosłości, zakorzeniony w monotonno-rudymen tarnej atmosferze codziennego trudu, by przeżyć i przetrwać, podczas gdy kościelna liturgia (nawiasem mówiąc, najstarsza forma teatralnej ekspresji) rozbrzmiewa w osamotnionych modlitwach świątynnych – stoi człowiek współczesny przed najstraszniejszym niebezpieczeństwem, jakim jest życie bez święta, stoi przed zagrażającą ciału – i co gorsza, również duszy – straszną groźbą utonięcia w szarości środy”.

Sala teatralna oszalała. Wybuchy śmiechu przetaczały się przez nią jak grzmoty. Z oczu widzów płynęły łzy, wszyscy rechotali tak, że aż brakowało im tchu.

Zszedłem ze sceny przy wtórze takich oklasków, które mogłyby rozerwać niebios.

I do dzisiaj nie wiem, dlaczego bardzo poważne słowa Brodersona dokonały tego, czego nie mogły dokonać teksty najlepszych humorystów, z którymi wówczas współpracowaliśmy...

* * *

W końcu, dwa lata po naszych pierwszych występach w Warszawie, pojawili się w Łodzi dwaj znani żydowscy przedsiębiorcy teatralni ze stolicy. Byli to pan dyrektor Ryba, człowiek w jedwabnych rękawiczkach, i Meir Winder, człowiek, który potrafił dokonać niemożliwego.

Warszawscy dyrektorzy byli dobrze poinformowani na temat stanu naszego teatru. Wiedzieli, że chociaż formalnie Ararat jeszcze istniał, to faktycznie już nie żył pełnią życia, lecz wegetował. Graliśmy na głębokiej polskiej prowincji, od czasu do czasu dając kilka przedstawień w Łodzi, lecz nie szykowaliśmy już nowych premier i byliśmy w stanie rozsypki.

W takich okolicznościach warszawscy dyrektorzy odważyli się złożyć nam propozycję, za którą jeszcze dwa lata temu wdrapalibyśmy im oczy i przegonili zawstydzonych.

Jaka to była propozycja? Wedle oferty mieliśmy się połączyć z Bandą, która wystawiała w Warszawie programy rewiiowe⁵⁷, ale to połączenie (nazywali je „fuzją”) przypominało anegdotę o owym kielbaśniku, który produkował kielbasę pół na pół z koniny i z mięsa kanarków, choć tak naprawdę do każdego produktu dodawał pół konia i pół kanarka.

Zaproponowali nam, aby część naszych aktorów, dwóch lub trzech, przystąpiła do Bandy, by grać w jednym z najpiękniejszych teatrów w centrum Warszawy.

I chociaż Ararat faktycznie już nie istniał, to jednak większość członków naszego zespołu zdecydowanie zaprotestowała się przeciw tej propozycji. Wprawdzie warszawscy dyrektorzy jeszcze nie wspomnieli, kogo z nas chcieliby zaangażować do przeprowadzenia tej fuzji, ale większość członków, którzy czuli i wiedzieli, że nie są kandydatami na aktorów grających w Warszawie, argumentowała gorączkowo, że nie możemy tego

⁵⁷ Jidisze Bande – żydowski warszawski teatr kabaretowy występujący w Polsce i za granicą w latach 1932–1939.

uczynić. Trzymali się zasady „wszyscy albo nikt”, którą doskonale opisuje stare, znane powiedzenie o psu ogrodnika, co ani sam nie zje, ani drugiemu nie da. No bo jeśli Ararat ma zatonać, to niechaj pociągnie za sobą wszystkich aktorów bez wyjątku.

Przez jakiś czas Broderson zajmował neutralne stanowisko w tej kwestii. Twierdził, że zaproponowana fuzja jest tak naprawdę „robieniem grandy z Bandy” i nie opowiadał się za propozycją, ponieważ wszyscy wiedzieli, że jego stanowisko jako dyrektora artystycznego tej połączonej trupy jest pewne. Nie wypowiadał się również przeciwko niej, ponieważ dobrze wiedział, że to na razie jedyna szansa na uratowanie tego, co się da.

W tej sytuacji to ja byłem tym, który wypowiedział się jasno i otwarcie za propozycją warszawskich dyrektorów. Moje argumenty były następujące: nasz teatr faktycznie już przestał istnieć i dziś lub jutro jego członkowie rozproszą się we wszystkie strony. Warszawski świat teatralny jest twierdzą, której nie uda się nam wziąć atakiem frontalnym. W takiej sytuacji musimy przenikać do tej twierdzy pojedynczo, aby zdobyć ją od środka. Byłem pewien, że jestem w stanie to zrobić.

Późniejsze wydarzenia dowiodły, że miałem rację. Tylko przez rok graliśmy w Warszawie połączeni z Bandą. Kolejnego roku z pomocą tych samych dyrektorów ponownie otworzyliśmy Ararat i przenieśliśmy do Warszawy kilku tych przyjaciół ze starej trupy, którzy byli wolni i mieli ochotę grać na nowych warunkach.

Tak było po jakimś czasie. Tymczasem jednak mieliśmy trudną przeprawę z warszawskimi dyrektorami, którzy nam narzucili swoje warunki. Zgodnie z nimi do połączonego warszawskiego teatru rewiewego i kabaretowego mieli dołączyć: Mosze Broderson jako dyrektor artystyczny oraz aktorzy: Szymon Dżigan i Szejne Miriam.

Do ostatniej minuty targowaliśmy się z dyrektorami z Warszawy, aby dokooptowali do nowej trupy jeszcze kilku aktorów ze starego Araratu. Na koniec poinformowałem ich, że za nic w świecie nie pojadę grać do Warszawy, jeśli nie dadzą mi możliwości występowania w repertuarze humorystycznym. Powiedziałem, że będę występował nie tylko z monologami, lecz również w skeczach, a do tego potrzebni mi są dwa aktorzy z dawnej trupy: Szmuel Goldsztajn i Izrael Szumacher. Po długich targach musiałem przystać na propozycję dyrektorów, którzy zgodzili się dołączyć tylko jednego aktora. Los padł na Izraela Szumachera, który w ten oto sposób stał się moim wieloletnim partnerem scenicznym.

* * *

Jak już wspomniałem, stało się tak, jak przewidziałem. Po roku grania w Warszawie mała grupa aktorów z Araratu tak się wybiła, zyskała tyle uznania w oczach znawców i stała się tak popularna wśród publiczności, że w kolejnym sezonie dyrektorzy teatralni postanowili oddać scenę w nasze władanie. Wówczas uwolniliśmy się od resztek Bandy i przyjęliśmy do zespołu kilku aktorów z dawnego Araratu, a także zaangażowaliśmy kilku młodych, utalentowanych artystów, którzy nigdy z nami wcześniej nie grali. W ten sposób życie Araratu zostało przedłużone o kolejne dwa lata – aż do 1934 r., kiedy wróciliśmy z naszej podróży zagranicznej i otworzyliśmy nowy teatr kabaretowy, albo raczej Teatr Dżigana i Szumachera.

* * *

W 1935 r. wyjechaliśmy na tournée po Europie Zachodniej. Historia tej podróży jest bardzo ciekawa. Pewien działacz społeczny, brat znanego łódzkiego adwokata Józefa Wajcmana, uparł się, że musimy zaprezentować naszą sztukę całemu światu. Był pewien, że nie tylko odniesiemy wielki sukces moralny, ale że wyjazd również podreperuje nas pod względem materialnym. Skąd jednak wziąć pieniądze na wydatki związane z przygotowaniem do podróży? Wówczas to brat adwokata Wajcmana sprzedał dom, który miał w Łodzi, i dzięki jego pieniądżom mogliśmy wyjechać.

Nasz sukces moralny faktycznie był wielki. Pisali o nas z zachwytem hrabia Wołkoński, Tristan Bernard i inni wielcy krytycy teatralni. Na naszych premierach bywali Mark Chagall, Nahum Aronson i jeszcze wielu innych przedstawicieli artystycznego i intelektualnego Paryża. Taki sam sukces odnieśliśmy w Londynie, w Belgii i wszędzie tam, gdzie się pojawiliśmy. Prawda jednak była taka, że choć wróciliśmy do Polski z niezłym bagażem recenzji, to po sprzedanym domu nie pozostał ani grosz. Nasz mecenas nie miał do nas za to pretensji, a nawet jeśli by miał, to nie byłoby ich komu przekazać, ponieważ właśnie ten pełen sukcesów wyjazd doprowadził do ostatecznego rozpadu Araratu. Dlaczego tak się stało, długo by opowiadać – to historia bardzo typowa dla zawodu aktorskiego, ale niezbyt ciekawa dla czytelnika.

Jeśli już mowa o recenzjach, to warto wspomnieć o następującym fakcie: w roku 1929 przybył do Polski Alfred Kerr, bóg niemieckiej krytyki teatralnej. Po powrocie do Berlina napisał książkę o teatrze w Polsce. Nadmienił w niej, że poznał tam trzy teatry, o których warto pisać. Pierwszy to Teatr Polski z Jaraczem, drugi – Teatr Reduta z Osterwą, a trzeci – teatr Ararat z Szymonem Dżiganem.

Kłamstwem byłoby powiedzieć, że ta wzmianka nie była dla mnie powodem do dumy. Byłaby to fałszywa skromność, która często jest dużo gorsza niż przechwałki.

* * *

Kiedy po powrocie z naszych zagranicznych wojaży otworzyliśmy Teatr Dżigana i Szumachera, Hitler, oby jego imię było przeklęte, był od dwóch lat przy władzy, udowadniając, że całkiem poważnie myśli o Żydach to, co zawarł w swojej trefnej książce *Mein Kampf*, chociaż sami Żydzi jeszcze wówczas nie chcieli uwierzyć, że ten człowiek faktycznie jest zdolny do urzeczywistnienia swoich morderczych i szalonych wizji.

Nadzieja pomagała Żydom żyć, ale ona też niejednokrotnie ich zwiodła... Należy jednak dodać, że nawet gdyby Żydzi w Polsce na poważnie wzięli znaki zapowiadające niebezpieczeństwo, jakie miało im grozić ze strony Hitlera, nic by to nie dało, bo nie mieli dokąd uciec: wielki świat zatrzasnął drzwi i bramy przed żydowskimi imigrantami i nawet droga do Izraela była zamknięta przez wymagane certyfikaty⁵⁸. O jakiejś masowej emigracji z Polski i tak nie można było myśleć.

⁵⁸ Od 1920 r. terytorium Palestyny było zarządzane przez brytyjskie władze cywilne (Brytyjski Mandat Palestyny). Brytyjskie władze mandatowe przydzielały Żydom certyfikaty na określoną liczbę imigrantów, którzy w danym okresie mogli przybyć i osiedlić się w Palestynie.

W tamtych czasach Hitler dopiero stawiał pierwsze kroki na drodze do podbicia i zniewolenia świata, poruszając się chwilowo po terenach, które kiedyś były niemieckie. Ale pod jednym względem trucizna hitleryzmu przekroczyła wówczas granice Niemiec i przeniosła się do Polski: jad antysemityzmu zaczął zatruwać państwo polskie cztery–pięć lat wcześniej, niż Hitler dokonał tego w sposób militarny.

Antysemityzmu nigdy nie trzeba było w Polsce długo szukać, ale kiedy Hitler umocnił swoje rządy w Niemczech, a ówczesne polskie władze, w pewnej mierze wbrew swojej woli, zaczęły prowadzić wobec niego politykę przyjaźni, nienawiść do Żydów w kraju zyskała nowe formy wyrazu i nową, niebezpieczną treść. Z jednej strony sam rząd zaczął praktykować rodzaj antysemickiej polityki na polu ekonomicznym, a z drugiej – dość szybko rozkwitł i rozrósł się na uniwersytetach chuligańsko-bandycki antysemityzm, a napady na Żydów na ulicach stały się zjawiskiem powszechnym i nie trzeba było długo czekać na wybuch antyżydowskich pogromów w rozmaitych miastach i miasteczkach, które rząd chciał uciszać procesami przeciw obywatelom żydowskim, rzekomo obrażającym polski naród.

Żydzi żyli nadzieją. Mieli zaufanie do świata, że ten prędzej czy później weźmie się za niemieckiego szaleńca i odrąbie mu bestialskie łapy. Każdy wierzył, że kiedy Hitler upadnie, a wówczas również antysemityzm w Polsce otrzyma śmiertelny cios i powróci normalne, ludzkie życie. Wielkie żydowskie masy, które nie miały możliwości wyjazdu na zachód, za ocean, żyły taką właśnie nadzieją, podtrzymywaną przez większość żydowskiej inteligencji. Powszechnym hasłem było wzmacnianie żydowskiej odwagi i umacnianie wytrwałości, aby nie dopuścić do psychicznego załamania narodu i zaprzestania walki o prawa, które należały się jego członkom jako obywatelom tego kraju.

Jakkolwiek taki sposób myślenia może się nam dzisiaj wydawać fałszywy, to jednak faktem było, że wówczas, kiedy jeszcze nikt nie potrafił przewidzieć Treblinki i Auschwitz, nawet syjoniści stali na takim stanowisku i tylko jednostki miały odwagę mówić głośno, że to przegrana walka i że należy z Polski uciekać jak z pożaru.

* * *

Jeśli chodzi o podtrzymywanie żydowskiej odwagi i wspieranie Żydów, aby nie załamali się psychicznie, a także o prowadzenie psychologicznej walki obronnej, to należy przypomnieć, że oni zawsze mieli wypróbowany na to sposób: śmiech, sławny żydowski śmiech, który kpi z wrogów i nie pozwala, aby ich siła i okrucieństwo zapanowały nad żydowskimi duszami.

Za taką właśnie robotę wzięliśmy się w nowo utworzonym Teatrze Dżigana i Szumachera, który powołaliśmy do istnienia w Warszawie w roku 1935. Postawiliśmy w nim na bieżącą satyrę polityczną, obśmianie i wyśmianie wszelkiej maści antysemitów oraz asymilatorów, którzy nie tylko drzwiami, ale i oknami wciąż jeszcze włączają na czworaka tam, gdzie ich nie chcą.

Już w czasie naszego pierwszego programu żydowska Warszawa zadrżała: nasze antynazistowskie żarty i kpiny z miejscowych antysemitów dostały skrzydeł i rozpoczęły

swój lot przez całą Polskę. Żydzi pocieszali swoje rozgoryczone serca naszym śmiechem, umacniając się w wierze, że przetrwamy również i te złe czasy.

Współwystępowali z nami – a potem stali się naszymi stałymi współpracownikami – dwaj humoryści, pisząc dla nas jak najbardziej aktualne kawałki humorystyczne: Josef Szymon Goldsztajn i, za przeproszeniem żywych i umarłych, Szymon Nudelman. Często dochodziło do tego, że co wieczór wygłaszaliśmy ze sceny nowe dowcipy na temat aktualnych wydarzeń. To, o czym zasmucony, zatroskany Żyd rano czytał w gazecie, wieczorem słyszał w naszym teatrze widziane przez pryzmat satyry i kpiny. Cenzura nie mogła sobie z nami poradzić, ponieważ w miejsce jednego dowcipu, który cenzor wykreślił, wygłaszaliśmy później inny, nowy. Oczywiście żydowscy wielbiciele teatru w Warszawie wiedzieli, że kilka dni po premierze przybywa cenzor z nożycami i wycina z programu co ostrzejsze żarty. Więc biegli na nasze premiery i na pierwsze przedstawienia po cenzorskiej interwencji. Płacono za bilety najwyższą cenę, a koniki, odsprzedając je, zarabiali na niezłe życie. Często w czasie pierwszych przedstawień zarabiali więcej niż my przez cały miesiąc grania.

Z tamtych programów przypomina mi się skecz, który nosił tytuł *Ostatni Żyd w Polsce*. Spełniło się życzenie antysemitów i Polska stała się wolna od Żydów. Ale wówczas Polacy zaczęli się rozglądać i stwierdzili, że jest źle. Ustał handel. Gospodarka podupadła. Życie kulturalne i rozrywkowe – zamarło. Antysemickie bandy studenckie włóczą się i nie mają kogo bić. Tam, gdzie była kawiarnia Ziemiańska, znajduje się teraz przedsiębiorstwo pogrzebowe. Co robić?

Ale oto znajdują Żyda, który nieco zamarudził podczas akcji opuszczania Polski i dopiero teraz zbiera się, aby wyjechać z kraju. Przychodzą do niego delegacje rządowe prosić, aby nie wyjeżdżał. Studenci organizują wiece, aby nie pozwolono wyemigrować ostatniemu Żydowi. Wyprawia się dla niego bankiet, gra żydowską muzykę. Żyd stawia warunek – chce kawałek nadziewanej ryby⁵⁹ i porcję czulentu. Polskie radio zwraca się do mieszkańców kraju z apelem, aby stawiała się osoba, która potrafi zrobić te potrawy, Żydowi obiecuje się gwiazdkę z nieba, a koniec jest taki, że człowiek ów dostaje od polskiego rządu medal Polonia Restituta. Mężczyzna bierze medal i przypina go do pewnego miejsca poniżej pleców, a kiedy odwraca się plecami do publiczności, ta widzi, że już od jakiegoś czasu wisi tam Krzyż Zasługi. Reflektor oświetla oba medale i wszyscy na scenie śpiewają mu znaną polską piosenkę „Sto lat”.

Z powodu tego skeczu faktycznie mieliśmy wiele problemów ze strony cenzury i ze strony władz, i niemal cudem uniknęliśmy obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej oraz procesu za obrazę polskiego narodu i polskiego państwa.

* * *

Wielki sukces odniósł monolog o księdzu Trzeciaku. Ów ksiądz antysemita wykreował się na znawcę Talmudu, pragnąc na podstawie tej swojej rzekomej wiedzy dowieść, że

⁵⁹ W jid. *gefilte fisz* – tradycyjna potrawa żydowska jedzona w szabat i święto Pesach. Wśród Żydów mieszkających na terenach Polski często był to karp.

Żydzi są szwindlarzami i zdrajcami ojczyzny itd., itp. Wprowadziliśmy więc księdza na scenę, gdzie sypał cytatami ze świętych pism i tłumaczył je w taki sposób, że Żydzi trzymali się za brzuchy ze śmiechu. Książd Trzeciak jest zadowolony ze swojej wielkiej znajomości Talmudu i z tajemnic, które tu ujawnił, więc schodzi ze sceny jako zwycięzca, ale zanim zejdzie, przystaje w pozie Napoleona, puka się palcem po czole i mówi: „Do tego trzeba mieć żydowską kiepe! Jak to mówią w Talmudzie? Acha, *toches*, trzeba mieć niezłą *toches*”⁶⁰.

Odgrywaliśmy też scenę, jak to niemiecki feldmarszałek Goering i minister spraw zagranicznych Beck udają się na polowanie do lasu. Robi się ciemno, słychać strzały, po czym gdy nastaje świt, nadbiega myśliwy i krzyczy do Becka: „Panie ministrze, panie ministrze, Goering został zastrzelony”. Beck wpada w panikę i woła: „Popeliłem błąd, myślałem, że to dzika świnia”.

Satyra polityczna stała się, jak powiadają, głównym filarem Teatru Dżigana i Szumachera i to jej ów teatr ma do zawdzięczenia swój niesłyszany sukces. Ale również nie zaniedbaliśmy innego gatunku żydowskiego humoru, np. dialogu *Ejnsztejn – Wejnsztejn*: rozmowy pomiędzy mną a Szumacherem. Poza tekstami Goldsztajna i Nudelmmana wystawialiśmy również humoreski Nadira, Szolem Alejchemy. Staraliśmy się również w każdym programie zamieścić perły żydowskiej liryki. Byliśmy pierwszymi, którzy wystawili fragmenty *Chumesz-lider* Icyka Mangera. Wielu poetów, jak na przykład Mosze Broderson, Mosze Szymel, Icchak Perlow, Z. Segalowicz, Icchak Kacnelson, Chaim Siemiatycki i inni, pisało piosenki specjalnie dla naszych przedstawień, do których kompozytorzy tacy jak, Dawid Bajgelman, Szajewicz i inni tworzyli muzykę. Po jakimś czasie piosenki te były śpiewane w całej Polsce, później słyszeliśmy je w Rosji, i nawet dzisiaj śpiewa się je na całym świecie. Pewna piosenka napisana dla nas do muzyki Dawida Bajgelmana i wykonywana przez Minę Bern, uległa później, w wileńskim getcie, metamorfozie, po czym weszła do zbioru pieśni z getta wileńskiego jako przykład tamtejszej twórczości ludowej (chodzi o piosenkę *Ci darfes azoj zajn* [Czy musi tak być?] ze słowami Icchaka Janasowicza).

Również w łódzkim getcie pojawili się monologisci *à la* Dżigan, którzy wygłaszali moje teksty z warszawskich czasów, naśladując mój styl, głos, a nawet nosząc taki sam, jak mój, żydowski strój sceniczny – czerwoną chustkę, długą kapotę i jarmułkę.

Po kilku latach czas i żydowski los wykpił nasze ówczesne próby ucieczki w śmiech, ale tymczasem robiliśmy to, co mogliśmy i co uważaliśmy za właściwe. Żyliśmy i śmiało się, choć teraz wiemy, że w naszym przypadku spełniły się słowa pewnej piosenki ludowej: „Tato, ty się śmiesz? Ach, biada, biada twojemu uśmiechowi!”

* * *

Powiadają, że tego, co już się wydarzyło, nawet sam Bóg nie może wymazać. Człowiek, rzecz jasna, nie jest panem swoich wspomnień i nie może im rozkazać, aby

⁶⁰ Toches (jid. z hebr.) – dupa.

mu przywodziły na myśl co innego niż to, co przeżył. Dlatego muszę opowiadać o tym, co pamiętam, choć dzisiaj wydaje mi się to niezrozumiałe i często muszę sprawdzać moją pamięć, pytając się jej – czy tak było naprawdę?

Tak, to był smutny czas, kiedy Hitler odnosił jedno zwycięstwo za drugim, pokonując Europę Chamberlaina i Daladiera, a pętla wokół żydowskiej szyi zaciągała się coraz bardziej. Był to czas, kiedy antysemityzm w Polsce szalał, mnożyły się ekscesy i pogromy, a w życiu publicznym coraz częściej mówiono o tym, że należy się pozbyć trzech milionów Żydów, wysyłając ich na Madagaskar... A jednak nie miało to żadnego wpływu na codzienne życie polskich Żydów, którzy, jak zazwyczaj, pracowali, handlowali, żenili swoje dzieci, budowali nowe gniazda rodzinne, podróżowali i zapelniali teatry oraz inne miejsca rozrywki. Oczywiście dostrzegano niebezpieczeństwo, pojmowano powagę sytuacji, ale życie szło swoim normalnym torem, a pragnienie radości i wola używania nie malały ani o włos, a może nawet były większe niż w spokojnych czasach.

Jak to było możliwe? Czy byliśmy ślepi, głusi i otumanieni, nie dostrzegając ostrzegawczych znaków czasu? Nie mam odpowiedzi na to pytanie, mogę jedynie powiedzieć, iż być może właśnie czując podświadomie, że wyrok jest już wydany i że już nie unikniemy swojego losu, chcieliśmy zakrzyczeć to przeczucie, zagłuszyć je i wyprzeć. Nadmiernie podnieceni chcieliśmy przegnać smutek, strach i przerażenie, które zagnieździły się głęboko i bardzo nas dręczyły. Byliśmy jak statek, który tonie, a im głębiej się zanurza w otchłaniach zagłady, tym głośniejszą i radośniejszą gra na nim orkiestra...

Były to pozornie najradośniejsze lata w moim życiu osobistym. Byłem młody, miałem nazwisko znane w całej Polsce, dobrze zarabiałem, otaczali mnie przyjaciele i zdrajcy obu płci. Czegoż mi brakowało? Jak każdy Żyd wiedziałem, że czas jest niedobry, a przyszłość zagrożona, ale jak każdy Żyd w Polsce nie wyciągałem z tej wiedzy żadnych wniosków. Z natury optymistą, przeganiałem od siebie czarne myśli, nie pozwalałem, aby nade mną zapanowały. Najlepszym środkiem do tego było właśnie otumanianie się, podtrzymywanie radości wszelkimi metodami. Byłem młody i chciałem używać życia, chciałem korzystać ze wszelkich możliwości, które mi ono podsuwało.

My, to znaczy Szumacher i ja, mieliśmy wokół siebie towarzystwo, z którym, jak to się mówi, mogliśmy konie kraść. Do południa spotykaliśmy się w eleganckich warszawskich kawiarniach i wieczorem, po przedstawieniu – w najdroższych warszawskich restauracjach, najczęściej, rzecz jasna, w restauracji Metropol, która znajdowała się pod lokalem Związku Pisarzy i Dziennikarzy Żydowskich przy Tłomackiem 13. W kawiarniach i restauracjach zawsze dobiegał gromki śmiech od naszych stolików, ale żeby jeszcze bardziej podnieść poziom dobrego humoru, zaczęliśmy się zabawiać w robienie sobie psikusów, wyczynianie wszelkiego rodzaju kawałów, w co wkładaliśmy całą naszą energię i... wielkie pragnienie, aby się zapomnieć.

Przy naszych stolikach siadywali najlepsi i najwięksi żydowscy pisarze, dziennikarze i działacze społeczni z Warszawy, ale do stałych członków grupy należeli znani dziennikarze Mosze Elenbojm (były konferansjer Araratu), Elje Lerman i poeta-rysownik Chagi, właściciel zakładu cynkografii, w którym wszystkie redakcje warszawskich czasopism

jidyszowych zamawiały odbitki. Człowiek ten (Ch. Goldberg⁶¹) był największym amatorem robienia dowcipów. Jego pomysły w tym względzie były niemal niewyczerpane i trzeba dodać, że jeśli chodzi o ich realizację, to nic nie mogło go powstrzymać, nic też nie było dla niego za drogie.

Goldberg miał pewną wadę – swoje sztuczki praktykował również na członkach naszej grupy. Niejeden raz padłem ofiarą takich dowcipów i o jednym chciałbym tu, rzecz jasna, opowiedzieć.

Polsko-żydowskie czasopismo „Nasz Przegląd” ukazywało się w każdą niedzielę z dodatkiem ilustrowanym. Pewnej takiej niedzieli siedzę sobie w restauracji Piccadilly w pobliżu teatru Nowości, gdzie wówczas graliśmy, i jem obiad, a wówczas wchodzi sprzedawca gazet i wręcza mi, jak zwykle, czasopisma w jidysz oraz „Nasz Przegląd”. Wertuję gazety w jidysz, a potem po polsku, zaglądam do dodatku ilustrowanego. Nagle moje spojrzenie pada na jakieś zdjęcie i w tym samym momencie robi mi się ciemno przed oczyma, a w uszach zaczyna szumieć jak we młynie.

Zanim jeszcze się zorientuję, co to zdjęcie przedstawia, czytam znajdujący się pod nim podpis. A tam, nie mniej ni więcej, stoi, co następuje: „Dżigan i Szumacher biorą udział w orgii”, zaś w kolejnym zdaniu: „Policja prowadzi dochodzenie”.

Zbulwersowany tymi informacjami patrzę na zdjęcie, na którym widzę siebie i Szumachera siedzących przy stole zastawionym butelkami i kieliskami. Na naszych kolanach siedzą nagie kobiety w wyuzdanych pozach, a z boku stoi Cygan ze skrzypcami i gra.

Robi mi się gorąco, a zaraz potem zimno. Odsuwam talerz zupy i proszę kelnera o szklankę zimnej wody. Wypiwszy szybko wodę, zaczynam myśleć o tym, co właśnie ujrzały moje oczy.

Tak, było dla mnie jasne, że fotografia jest montażem, który ktoś sprytnie zaaranżował. Dociera do mnie również, kto to zrobił: nasze towarzystwo z Goldbergiem na czele. Ale do wszystkich diabłów! Tym razem posunęli się za daleko. To bardzo słaby żart, a nawet wielkie świństwo. Bo wyobrażacie sobie, jakie wrażenie taka fotografia robi na warszawskich Żydach? Co powie publiczność? Co powie żydowska ulica? I co na to powie moja dziewczyna? Mogą się wydarzyć niezłe hece. Teraz nie będę mógł nikomu spojrzeć w oczy, no bo jak wyjaśnić każdemu, że cała ta historia nigdy nie miała miejsca i jest jedynie dowcipem grupy przyjaciół? Kto mi w to uwierzy? Jak wytłumaczyć się przed wszystkimi, że to nieprawda, że to kłamstwo?

Ech, jak tylko dorwę Goldberga! Nie wyjdzie żywy z moich rąk! Jak on to zrobił? I skąd, do licha, wziął Cygana?

Próbuję wymazać nożem tę fotografię ze strony. Ale się nie da. Proszę sprzedawcę gazet, aby dał mi jeszcze jeden egzemplarz „Naszego Przeglądu”, i też znajduję tę samą fotografię w dodatku ilustrowanym. Mój Boże, co robić? Kelner przynosi mi butelkę, ale każę ją zabrać z powrotem, wymawiając się problemami żołądkowymi. W głowie mi

⁶¹ Chaim Goldberg (1890–1943) – grafik, rysownik, był także autorem książek dla dzieci i powiastek humorystycznych.

kręci się jak na karuzeli, zdenerwowany myślę: No tak, to koniec mojej kariery teatralnej. Żydowska publiczność przecież rozerwie mnie na strzępy, i to z jakiego powodu? Z powodu głupiego żartu, słabego kawału!

Moje pierwsze postanowienie to: uciec z Warszawy. Trzeba się ukryć przed ludźmi... Dopóki sprawa sama się nie wyjaśni.

Wołam kelnera, daję mu gruby banknot i zapominam wziąć reszty. Biegnę do domu spakować walizki. Nawet przez chwilę nie przychodzi mi do głowy, aby się rozmówić z Szumacherem, który przecież jest taką samą ofiarą, jak i ja.

Poruszam się z prędkością błyskawicy. Ale zatrzymuję się przy Leszno 2, by kupić jeszcze jeden „Nasz Przegląd”. Wchodzę do bramy, otwieram dodatek ilustrowany i znów nie wierzę swoim oczom. Po fotografii ani śladu... Nagle rozumiem już wszystko i kamień spada mi z serca. Robi mi się tak lekko i dobrze na duszy, że zaczynam się śmiać w cały głos. W bramie stoi matka synkiem. Słyszę, jak dziecko zwraca się do niej: „Mamo, uciekajmy, to wariat”.

Wracam do Piccadilly, a wchodząc do środka, spotykam już całą grupę. Okazuje się, że byli tam cały czas i przypatrywali się, jak zareaguję na fotografię w gazecie. Towarzystwo przyjmuje mnie gromkim hura. Jest z tego kupa śmiechu. Widzieli, jak kupiłem gazetę i jak, dostrzegając fotografię, ocierałem pot z czoła. Jak odsunąłem zupę i prosiłem o szklankę zimnej wody. Widzieli, jak kupiłem drugą gazetę i próbowałem zeskrobać nożem obrazek. Widzieli również, jak dałem kelnerowi banknot i nie wziąłem reszty. Mieli tu prawdziwe przedstawienie. Rzecz jasna, nie mogli mi czytać w myślach, ale dobrze zdawali sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje.

Nadchodzi kelner i pyta mnie ze śmiechem, czy ból brzucha już mi przeszedł. Również on, jak się okazuje, był wtajemniczone w ten spisek. A intryga była całkiem prosta: Goldberg jako właściciel zakładu cynkografii zrobił montaż naszych zdjęć i zdjęć nagich kobiet, fałszywego szampana na stole i Cygana grającego na skrzypcach. Potem poszedł do drukarni, w której wydawano „Nasz Przegląd”, a ponieważ we wszystkich drukarniach żydowskich miał dobrych znajomych, udało mu się namówić ich, aby wstawili tę odbitkę do dodatku ilustrowanego w miejsce innej fotografii i aby wydrukowali tylko pięć egzemplarzy. Dał je sprzedawcy pracującemu przy restauracji Piccadilly, u którego zawsze kupuję prasę, przykazując mu, aby sprzedał je tylko mnie, nikomu innemu. Rzecz jasna, sprzedawca gazet wypełnił swoje zadanie, a co było później, już wiadomo.

Jak to mówią, najadłem się strachu, a także sporo nerwów, ale musiałem robić dobrą minę do złej gry, śmiejąc się wraz z przyjaciółmi. Obiad zjedliśmy już razem, a ja w dowód uznania za dobry żart musiałem zapłacić za wszystkich. Goldberg był bardzo zadowolony i ostrzegł, że szykuje nowy dowcip, jakiego jeszcze nie było, od kiedy Warszawa jest Warszawą, a Dżigan i Szumacher są Dżiganem i Szumacherem.

Rozeszliśmy się wieczorem, a ja udałem się do teatru, aby grać. Gdy wszedłem za kulisy, jeden z pracowników scenicznych przekazał mi, że w warszawskich popołudniówkach żydowskich znajduje się informacja o pogromie, który wydarzył się w jakimś sztetlu, którego nazwy dzisiaj nie pamiętam. Nagle opadł mnie głęboki smutek i poczułem, że

coś się tu nie zgadza. Nasz beztroski śmiech, nasza szalona radość tego dnia w ogóle nie pasowały do rzeczywistości, która nas otaczała...

* * *

Nieco wcześniej, właśnie w tym czasie, o którym opowiadam, otworzyły się przede mną nowe wrota do sławy aktorskiej i działalności artystycznej. Chodzi o film. Ja i Szumacher mieliśmy już na swoim koncie główne role w kilku filmach, dostaliśmy też kolejne propozycje grania głównych ról w szeregu nowych. Ludzie z branży filmowej i reżyserzy przepowiadali nam wielką przyszłość w tej dziedzinie.

Graliśmy wtedy w filmie, który był produkowany w studio znajdującym się niedaleko Placu Teatralnego i kawiarni IPS. Był to lokal, w którym spotykali się przedstawiciele warszawskiej elity artystycznej, znani polscy pisarze, aktorzy, a także wysocy rangą wojskowi.

Ponieważ pracowaliśmy w nieodległym studio filmowym, często zachodziliśmy do owej kawiarni, gdzie byliśmy traktowani z szacunkiem (prawdopodobnie z powodu napiwków, które zostawialiśmy tamtejszym kelnerom). Zarówno gospodarze kawiarni, jak i kelnerzy byli niezwykle uprzejmi, zwracając się do nas „Nasze żydowskie gwiazdy filmowe”.

Pewnej niedzieli wchodzimy do kawiarni i spotykamy tam Moszego Brodersona i Jankiela Adlera. Widzimy, że obaj są trochę zdenerwowani. Zanim zdołaliśmy spytać o przyczynę ich niepokoju, Jankiel Adler mówi: „Dżigan i Szumacher, stawiam wam butelkę szampana, ale pod jednym warunkiem – że przyjdziecie do tej kawiarni ubrani jak tradycyjni Żydzi, to znaczy w długich kapotach, z jarmułkami na głowie i z długimi brodami”.

Chcemy wiedzieć, co kryje się za tym żądaniem, więc Broderson pokazuje nam ostatni numer polskiego tygodnika „Wiadomości Literackie”. Tam znajduje się artykuł znanego polskiego pisarza Antoniego Słonimskiego, w którym jest napisane, że polscy Żydzi ze swoim dziwnym przyodziewkiem nie powinni się pchać do polskich kawiarni, a zwłaszcza do miejsc, do których chodzą Polacy. Do tego autor szydzi z żydowskich strojów, zachowania itd.⁶²

Antoni Słonimski, osobistość poważana przez polską opinię publiczną, bardzo często zwracał się do polskich sił reakcyjnych i antysemitów w sposób ostry i zjadliwy. Polscy reakcyoniści i antysemita jednak nie zapomnieli, że to wnuk Chaima Zeliga

⁶² Antoni Słonimski (1895–1976) – poeta, prozaik, publicysta, członek Skamandra, najgłośniejszej i najbardziej wpływowej grupy literackiej dwudziestolecia międzywojennego, stały współpracownik związanego z tą grupą, opiniotwórczego tygodnia „Wiadomości Literackie” (1924–1939). Słonimski, zagorzały zwolennik idei oświeceniowego racjonalizmu, w swoich felietonach i publicystyce dawał niekiedy zjadliwą krytykę tradycji kulturowych i religijnych Żydów, w czym można widzieć echo wewnątrzżydowskiej krytyki własnej tradycji w duchu Haskali, ale, jak pokazuje wspomnienie Dżigana, w realiach Polski międzywojennej taka krytyka wzmocniała też – paradoksalnie, gdy wziąć pod uwagę żydowskie pochodzenie samego Słonimskiego – nastroje antysemityczne narastające zwłaszcza w latach 30.

Słonimskiego⁶³, który, chcąc wobec nich podkreślić swoją polskość, od czasu do czasu atakował również Żydów, udzielając im rad, w jaki sposób mają się „europeizować”.

Artykuł Słonimskiego wytrącił nas z równowagi, choć, między nami mówiąc, my również uważaliśmy, że powodowani snobizmem żydowski obywatel nie powinien się pchać tam, gdzie patrzy się na nich z szyderstwem i pogardą. Żydzi mogą pouczać się pomiędzy sobą, ale jednak zupełnie czymś innym jest wygłaszanie takiej krytyki w polskiej gazecie ku uciesze i satysfakcji antysemitów.

– Sami między sobą – stwierdził Broderson – możemy sobie mówić, dokąd mamy prawo chodzić, a dokąd nie. Ale wygłaszanie takich żądań pod adresem Żydów publicznie pachnie dyskryminacją, chęcią zamknięcia ich w getcie.

Przyjeliśmy propozycję Jankiela Adlera. Wróciliśmy do studia filmowego, ucharakteryzowaliśmy się i przebrali za *szadchenów*, żydowskich swatów – zgodnie z wymogami roli, jaką wówczas graliśmy. Warto zauważyć, że byliśmy ubrani czysto, schludnie i z pewną elegancją. Mieliśmy na sobie żydowskie kapoty, jarmułki, nasze brody były porządnie uczesane, a w rękach trzymaliśmy parasole.

W takim właśnie stroju wszedłem do kawiarni jako pierwszy. Lokal ten był tak zbudowany, że korytarz oddzielała od sali szklana ściana, przez którą goście w środku mogli obserwować wszystko, co się działo na zewnątrz. Skierowałem się do szatni, oddałem parasol i poprosiłem o numer. Ale goj, który tam siedział, był zdezorientowany, nie wiedział, co zrobić z takim dziwnym gościem. Niebawem kierownik sali zauważył przez szybę, że jakiś Żyd w kapocie chce wejść do środka, więc wyszedł do mnie na korytarz. „Proszę wybaczyć”, powiedział, „kawiarnia nie jest dla ludzi pańskiego pokroju. Lepiej żeby pan poszedł do dzielnicy żydowskiej, tam, gdzie będzie się pan czuł lepiej”.

Odpowiedziałem mu z nie mniejszą uprzejmością: „Przepraszam pana bardzo, ale skoro już tu jestem, to czemu mam iść tam?”. Kierownik sali pomyślał chwilę i rzekł: „Ponieważ tu, u nas, wszystko jest trefne (niekoszerne)”. „Nie szkodzi”, ja na to, „chcę tylko napić się herbaty, a ją można pić wszędzie”.

W tej samej chwili nadszedł Szumacher, również przebrany i ucharakteryzowany na *szadchena*. „Jezus Maria”, zawołał kierownik, „inwazja żydowska!”, i polecił zamknąć drzwi, nie wpuszczając Szumachera. Wykorzystałem to niewielkie zamieszanie i wszedłem do sali. Siadłem przy pierwszym lepszym stoliku i patrzyłem, jak Mosze Broderson i Jankiel Adler obserwują w napięciu tę scenę. W kawiarni zapanowała konsternacja. Niektórzy spoglądali na mnie z krzywymi uśmieszkami, jakby chcieli zapytać: „Jakim cudem zablądził tutaj ten Żydek?”. Inni patrzyli chmurnie, cedząc między zębami: „Już nie będzie się można przed nimi ukryć”. Damy chichotały i kiwały blond główkami, szturchając jedną drugą i pokazując sobie to dziwne stworzenie. Nie podeszedł do mnie żaden kelner.

⁶³ Chaim Zelig Słonimski (1810–1904) – żydowski pisarz, matematyk, astronom i wynalazca, autor wielu prac z tych dziedzin, wybitny reprezentant idei Haskali (żydowskiego Oświecenia) na ziemiach polskich, m.in. w 1862 r. zaczął wydawać hebrajskojęzyczny tygodnik „Hacefira” [Jutrzenka], który miał propagować wśród Żydów zdobycze nauk ścisłych.

Niedaleko siedziało dwóch zakonników w brązowych sutannach, przepasanych plecionymi sznurami, które miały na końcach troczki. Na ich ogolonych głowach spoczywały takie malutkie śmieszne mini-mycki. Do tego obaj mieli całkiem niezłe brody. Ci dwaj mnisi nikogo nie szokowali, nikomu nie przeszkadzało to, że tu siedzą, i nikt się temu nie dziwił. Tylko ja, w mojej czystej kapocie, z białym kołnierzem i czarnym krawatem, wywołałem tyle zamieszania i zdziwienia, jakby ujrzeli jakieś dziwaczne zwierzę z dżungli.

Nie mogłem długo siedzieć, ponieważ wszystko się we mnie gotowało. Wyszedłem z kawiarni, a na zewnątrz spotkałem Szumachera. „No”, zapytał, „wygraliśmy szampana?” „Nie”, odpowiedziałem, „czuję się tak, jakbym musiał wypić olej rycynowy, aby oczyścić się z tego doświadczenia”.

Prawdę mówiąc, w całej tej sprawie mocno mnie zdenerwowały nie tyle uwagi gojów, ile postawa tych kilku Żydów, którzy byli w kawiarni. Widziałem, jak opuszczają głowy, przyglądając się podłodze, i przysięgłbym, że byli bardziej wściekli na mnie za moją odwagę niż część goszczących tam gojów.

Szybko poszliśmy do studia, aby zmyć makijaż i przebrać się w nasze codzienne ubrania, po czym wróciliśmy do kawiarni. Szatniarz powitał nas głośnym „Uszanowanie”. Usiedliśmy przy stoliku Brodersona i Jankiela Adlera, zaraz też wyrósł przy nas kierownik sali. „Ach, szkoda”, powiada, „szkoda, że panowie się spóźnili. Z pewnością byście się uśmiali. Proszę sobie wyobrazić, że dwóch Żydów w długich kłopotach chciało wejść do kawiarni. Podejrzewam, że to była żydowska demonstracja w odpowiedzi na artykuł pana Słonimskiego”.

Odpowiedziałem mu w sposób chłodny i opanowany: „Panie kierowniku, większa szkoda, że pan nas nie poznał. Tych dwóch Żydów, których nie chciał pan wpuścić, to byliśmy właśnie my – ucharakteryzowani i przebrani zgodnie z wymogami naszej roli. To nie była żadna żydowska demonstracja. Żydzi w kapotach i z brodami wcale nie rwą się, aby przychodzić do pańskiej kawiarni. To tylko my dwaj chcieliśmy wypróbować waszą polską uprzejmość i waszą polską tolerancję”.

Kierownik stracił rezon, zaczął się jękać, po czym szybko zniknął. Krzyknąłem w ślad za nim:

– Panie kierowniku, niech pan opowie o tym wydarzeniu panu Słonimskiemu, a zarazem niech mu pan przekaże pozdrowienia od jego dziadka, którego – zgodnie z jego artykułem – również by nie wpuszczono do tej kawiarni...

* * *

W pierwszych miesiącach roku 1939 zaczęły krążyć pogłoski, że przyjaźń między Polską a Niemcami została naruszona. Póki co, nie mówiono o tym głośno, ani też nie pisano w żadnej gazecie, a przecież pogłoski te rozprzestrzeniały się ze skutecznością, wobec której cenzura polskiego rządu była bezsilna.

Rzekoma przyjaźń między Polską a hitlerowskimi Niemcami trwała kilka lat, a polscy włodarze robili wszystko, by przypodobać się niemieckiemu szaleńcowi, pewni, że tym

sposobem odwrócić jego uwagę od terenów, które kiedyś były niemieckie, a po I wojnie światowej zostały przyłączone do Polski.

Na początku roku 1939, kiedy Hitler rozpoczął okupację Czechosłowacji na mocy układu monachijskiego, którego architektem był Chamberlain, zaczęto mówić, że niemiecki władca przypominał sobie o swoich dawnych żądaniach wobec Polski, opisanych przezeń w książce *Mein Kampf*.

Im bliżej wiosny owego roku, tym więcej mówiono o nadchodzącej wojnie między Niemcami i Polską. W kwietniu–maju już było widać, że polskie wojsko znajduje się w stanie gorączkowych przygotowań. Przeprowadzano pierwsze częściowe mobilizacje rezerwistów, a także pierwsze próbne alarmy obrony przeciwlotniczej i zaciemnianie miast.

Polska żyła gorączką nadchodzącej wojny, ale Żydzi jeszcze bardziej niż politycy drżeli z obawy na myśl o niej, doskonale znając antysemickie nastawienie Hitlera. Społeczność żydowska w Polsce nie mogła oczekiwać niczego dobrego po jakiegokolwiek wojnie, ale po tej mogła się spodziewać wszystkiego, co najgorsze.

Jak zwykle w takiej sytuacji znalazło się odpowiednio wielu optymistów, którzy twierdzili, że wojny nie będzie. Jedni utrzymywali, że Polska w ostatniej minucie odda Niemcom wolne miasto Gdańsk i korytarz, dzięki czemu uniknie konfrontacji militarnej. Drudzy posuwali się jeszcze dalej, zapewniając, że wojny nie będzie właśnie dlatego, że Polska będzie mocno obstawać przy swoim i nie ugnie się przed niemieckimi żądaniem. Hitler zobaczy, że jego szantaż był niczego niewart i zrezygnuje z konfliktu zbrojnego.

Żydowski optymizm w kwestii uniknięcia wojny wspierał się przede wszystkim na sowieckiej Rosji. Komunistyczna Rosja i nazistowskie Niemcy to byli przecież dwaj najgorsi wrogowie. No bo czyż Moskwa pozwoli, aby Hitler umocnił się jeszcze bardziej, wchłaniając Polskę, a tym samym tak bardzo zbliżając się do jej zachodnich granic? Było jasne, że nie może na to pozwolić. A skoro tak, to znaczy, że Hitler, wypowiadając wojnę Polsce, będzie musiał wypowiedzieć ją również Rosji, a na to się nie odważy; nie pozwoli mu na to dowództwo niemieckiej armii.

Dzień, w którym nagle ogłoszono, że Mołotow i Ribbentrop podpisali ów niesławny i haniebnny pakt o nieagresji, był dla polskich Żydów prawdziwym Tisza Beaw – dniem żałoby. Po tej wstrząsającej informacji każdy już wierzył, że wojna jest nieunikniona.

W tamtym czasie polski rząd dalej prowadził swoją antyżydowską politykę ekonomiczną, ale dziki antysemityzm ulicy został nieco utemperowany. Teraz należało zapewnić sobie przyjaźń krajów Europy Zachodniej, a pogromy i ekscesy antysemickie by w tym nie pomogły.

Jeszcze jedna sprawa – nieco złagodziła cenzura. Można już było mówić i pisać krytycznie pod adresem Niemiec hitlerowskich – rzecz, której wcześniej pilnowały tysiące oczu.

Wykorzystaliśmy te powiewy złagodzonej cenzury w naszym teatrze, wystawiając program, który był pełen kąśliwych tekstów satyrycznych pod adresem hitleryzmu. Żydzi nie mieli już wówczas głowy i serca, aby chodzić do teatru, ale w naszym teatrze

publiczność wciąż jeszcze dopisywała. Przychodzono, aby wyśmiać wroga, a tym samym, może podświadomie, zyskać wrażenie, że jego możliwości nie są takie straszne. Działo się tak, jak zawsze w podobnych przypadkach: pozbawieni wyboru tworzyliśmy sobie iluzję i wierzyliśmy w nie.

Im późniejsze lato, tym realniejsze stawało się zagrożenie wojną. Pisano i mówiono już o niej w sposób otwarty, zaczęto też czynić pewne przygotowania. W sierpniu tamtego roku władza zaapelowała do ludności, aby kopała rowy przeciwlotnicze w parkach i na miejskich skwerach. Owe rowy miały zapewnić ochronę przeciwko niemieckim czołgom, a także służyć jako schronienie przeciw niemieckim nalotom. Nic dziwnego, że Żydzi z wielkim zapałem i oddaniem uczestniczyli w tych pracach.

Właśnie występowaliśmy w Krakowie. Był 25 sierpnia. Na początku przedstawienia otrzymaliśmy apel od polskiego rządu, aby wezwać naszą publiczność do kopania rowów przeciwlotniczych w okolicy teatru. W czasie przerwy zwróciliśmy się do widzów, aby wraz z nami, aktorami, udali się do tych prac. I faktycznie – razem z naszą publicznością przez godzinę kopaliśmy z oddaniem, a po tej godzinie wraz z widzami wróciliśmy do teatru, gdzie dokończyliśmy program.

Gdy stałem na skwerze przy teatrze z łopatą w ręku i kopałem te rowy przeciwlotnicze, doświadczałem dziwnych myśli. Czy nie kopimy tutaj grobu dla niepodległej Polski; dla żydowskiego życia w tym kraju? – pytałem sam siebie. Tak. Dobrze wiedziałem, że tutaj, w niepodległej Polsce, życie nas nie oszczędzało, że raz za razem doświadczaaliśmy trudnego losu. Ale jakkolwiek by nie było, mieszkaliśmy tu, pracowaliśmy, tworzyliśmy, a także doświadczaaliśmy osobistych i społecznych radości. Czy teraz nie nadchodzi koniec tego wszystkiego? Pod panowaniem Hitlera, dobrze zdawałem sobie z tego sprawę, doświadczymy o wiele, wiele gorszych problemów, a nasza naga, ludzka egzystencja będzie zagrożona.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, nie miałem najmniejszego pojęcia, że kopiąc te rowy na ulicach polskich miast, rozpoczęliśmy rozdział, który później, w czasie niemieckiej okupacji w Polsce, doprowadził do największych okrucieństw w naszej historii. Niestety, owo kopanie grobów dla nas, polskich Żydów, nie skończyło się wówczas, w przededniu wojny. Niestety, wtedy dopiero się zaczęło. Niebawem, gdy tylko naziści weszli do Polski, rozpoczęła się seria wywózek setek i tysięcy Żydów z miast i miasteczek na pola i cmentarze, gdzie zmuszano ich, aby kopali groby, które miały się stać miejscem ich wiecznego spoczynku po tym, gdy masowo ginęli od niemieckich kul. Ten system mordowania naziści praktykowali przez całą okupację. Nawet wówczas, kiedy w ich rękach już były fabryki śmierci w Treblince, na Majdanku i w Auschwitz.

Następnego dnia po zakończeniu przedstawienia w Krakowie mieliśmy grać w Krynicy Zdroju. Jednak nastrój już był taki, że odwołaliśmy występ i szybko wróciliśmy do Warszawy.

Stolica była już wówczas zaciemniona. Dla wszystkich stało się jasne, że wojna jest nie do uniknięcia. Los został już przypieczętowany.

Musiałby się wydarzyć cud, aby wojna nie wybuchła. Ale cud się nie wydarzył. W nocy z czwartku na piątek, 1 września 1939 r., nadeszła wiadomość, że Rada Najwyższa komunistycznej Rosji potwierdziła pakt Stalina i Hitlera, a w godzinach porannych niemieckie samoloty zdążyły już zbombardować Warszawę. Hitler rozpoczął wojnę bez jej formalnego wypowiedzenia.

Po raz ostatni kurtyna Teatru Dżigana i Szumachera opadła w niepodległej Polsce dnia 25 sierpnia w Krakowie. Po kilku dniach uniosła się kurtyna nad tragedią, której tytuł brzmi – II wojna światowa, a której straszliwe konsekwencje my, Żydzi, odczuwamy do dziś...

Przełożyła z jidysz Magdalena Ruta

Mojżesz Puławer

Urodzony w 1903 r. aktor i reżyser związany z teatrem Ararat. Żonaty z aktorką Rutą Pakulą. Po wybuchu wojny znalazł się w łódzkim getcie, gdzie w 1940 r. kierował osiemnastoosobowym zespołem Awangarda, złożonym z młodych, utalentowanych aktorów i tancerzy. Reżyser licznych i popularnych w getcie rewii – spektakli dla dzieci i przedstawień w resortach pracy. Przeżył getto, Auschwitz i obozy pracy. Po wojnie wyjechał do Izraela. Autor znakomitego opracowania w języku jidysz *Gewen iz a getto* [Było sobie getto] (1963), szeroko omawiającego działalność teatralną i artystyczną w łódzkim getcie. W 1972 r. opublikował w Tel Awiwie książkę *Ararat un lodzer tipn* [Ararat i łódzkie indywidualności], opartą na własnych wspomnieniach, ale także na materiałach z archiwum Araratu (przechowywanego obecnie w Israeli Center for the Documentation of the Performing Arts Uniwersytetu w Tel Awiwie), подарowanych przez konferansjera i aktora Araratu, Kazanowera (pseudonim sceniczny Mojżesza Kosmana). Dzięki dostępowi do tych materiałów Puławer mógł przedrukować teksty Brodersona, programy, recenzje pierwszych przedstawień oraz relacje zaangażowanych w działalność teatru osób. Brak informacji na temat ostatnich lat życia Puławera, nie udało się również ustalić daty jego śmierci.

Ararat i łódzkie indywidualności¹

KOŁA DRAMATYCZNE W ŁODZI

Największe łódzkie skupisko zakładów tkackich znajdowało się w okolicach Bałut. Co druga rodzina zarabiała w ten sposób na życie. Były dwie kategorie tkaczy – tacy, którzy wyrabiali rozmaite towary i tacy, którzy wytwarzali pluszowe kołdry, obrusy, szale i inne artykuły z pluszu.

Byli tkacze, którzy mieli w domu jedno krosno, inni mieli kilka. Ci, którzy posiadali więcej niż jedną maszynę, nazywani już byli małymi fabrykantami...

Latem można było przez otwarte okna usłyszeć śpiew pracujących czeladników albo praktykantów. Z niektórych okien dało się słyszeć piosenki ludowe. Z innych dochodziły piosenki ze starych operetek. Śpiew rozbrzmiewał w takt uderzeń maszyny tkackiej. Miało się wrażenie, że wszyscy razem śpiewają.

Praktykanci i czeladnicy, którzy przez cały dzień przy pracy śpiewali lub recytowali, wieczorami chodzili na spotkania stowarzyszeń albo kółek, do których należeli. W czasie tych spotkań śpiewali bądź recytowali wiersze naszych ulubionych poetów, a od czasu do czasu kółka organizowały wieczorki artystyczne u tych tkaczy, którzy mieli większe domy.

Kiedy miał się odbyć taki wieczorek, trzeba było przesunąć krosno w kąt, a następnie przygotowywano się do występu...

¹ Pierwodruk i podstawa przekładu: M. Puławer, *Ararat un lodzer tipn*, Tel Awiw 1972, s. 74–78, 88–91, 98–122, 132–134, 143–152, 154–156, 171–175, 186–190, 192–199, 242–247. O ile nie zaznaczono inaczej, autorką przekładu poszczególnych fragmentów tekstu Puławera jest Julia Makosz.

W jednym z dużych domów, przy ul. Żurawiej 13, miał kiedyś miejsce występ, na który zostałem zaproszony. Wśród uczestników był chłopak o nazwisku Szmul Goldsztajn. Prezentował monolog *Cores fun radio* [Radiowe troski] J. Tunkela². Ubrany był w długi płaszcz, nosił bródkę, kapelusz, a w ręku miał wielką laskę. Ta laska była trochę za długa. Wszystko to razem było tak komiczne, że wszyscy natychmiast zaczęli się śmiać. Każdy jego ruch był coraz zabawniejszy i od razu się czuło, że chłopak ma talent.

Tamtego wieczoru zaprzyjaźniliśmy się i zaczęliśmy się częściej widywać. Szmul Goldsztajn wiele razy odwiedzał mnie w moim domu. A kiedy już przychodził, od razu wiedziałem, że dziś się trochę pośmieję.

Pewnego razu Szmul mnie zaskoczył. Przyszedł z wielkim psem, niewiele mniejszym od niego samego. Kiedy pies wszedł do mieszkania, zaraz położył się koło drzwi, a ja sobie pomyślałem: „No to dzisiaj już nie będzie wychodzenia z domu”. Ale Goldsztajn odczytał moje myśli i od razu mnie uspokoił. Powiedział do mnie: „Ten pies nauczony jest leżeć przy drzwiach”.

Oczywiście jak zwykle Goldsztajn zaczął naśladować swoich wujków i ciotki, kuzynów i sąsiadów. Dzięki jego parodiom poznałem całą jego rodzinę. O takie przedstawienie Goldsztajna nie trzeba było długo prosić.

W swoim kółku Szmul Goldsztajn był najważniejszą osobą. Kółko przekształciło się później w Koło Dramatyczne im. Szolema Alejchema i rozpoczęło próby do *Doktora* tegoż autora, jak również innych recytacji i inscenizowanych piosenek ludowych.

Członkami koła byli wówczas: M. Tompaner, Sz. Wajc, J. Szifer, bracia Cefrow, Rodenberg, Sz. Goldsztajn. Śledziłem karierę Szmula Goldsztajna i cały czas pozostawaliśmy w kontakcie.

Jakiś czas potem Mosze Broderson zaczął pracować nad utworzeniem w Łodzi studia teatralnego. W gazetach pojawiały się anonse, że młode zdolne dziewczęta oraz chłopcy mogą stawiać się na egzamin. Ma się rozumieć, że Szmul Goldsztajn ze swoim kółkiem przyszedł na przesłuchanie. Inne kółka także się stawiały. Goldsztajn zdał egzamin jako jedyny ze swojej grupy.

Wkrótce studio rozpoczęło swą zwyczajną działalność, poczynawszy od prób rozmaitych jednoaktówek, lekcji literatury jidysz, tańca, lekcji plastyki itp. Goldsztajn zaczął uczęszczać na lekcje. Ale z jednej rzeczy nie był zadowolony – wszyscy inni członkowie grupy byli od niego wyżsi, on był najniższy.

Mosze Broderson wysłuchał Goldsztajna i powiedział mu: „Wie pan, Goldsztajn, nie musi pan przychodzić tu codziennie, może pan przychodzić, kiedy pan chce”. I Szmul Goldsztajn od czasu do czasu mógł też występować w swoim kółku dramatycznym i realizować się artystycznie ze swoimi przyjaciółmi.

Goldsztajn do dziś nie może zapomnieć, że to ja byłem pierwszym, który nazwał go „panem Goldsztajnem”. Wszyscy inni nazywali go „Szmul”, nie „Goldsztajn”. To była dla niego nowość.

² Josef Tunkel (1881–1949) – urodzony w Bobrujsku na Białorusi pisarz i humorysta żydowski, znany pod pseudonimem „Der Tunkeler” („Ciemny”). Współpracował z żydowskimi kabaretami, m.in. z Azazelem. Po wybuchu wojny przedostał się do Stanów Zjednoczonych.

A kiedy założyliśmy teatr Ararat, Szmul Goldsztajn należał do zespołu i wcale mu nie przeszkadzało, że nie jest wysoki... Przeciwnie, widziano w nim bardzo zdolnego aktora.

Kiedy Goldsztajn wstąpił do Araratu, Szifer i Wajc przejęli jego obowiązki w kółku, kierowali działalnością dramatyczną grupy, organizowali wieczorki, wyjazdy do miasteczek pod Łodzią. Goldsztajn miał duży sentyment do swojego kółka i kiedy tylko miał odrobinę wolnego czasu, dołączał do swojej dawnej grupy, choć na co dzień grał już wtedy w Araracie.

Było to w roku 1930. W teatrze Ararat odbył się strajk. Brali w nim udział członkowie: Mina Bern, Lea Zilber, Mania Peterman, Izrael Szumacher, Jakub Rejnglas, Mosze Nelken, Szmul Goldsztajn, Mosze Puławer. Domagaliśmy się, żeby wypłacano nam choć niewielką gażę. A odpowiedź przyszła do każdego z nas listownie: nie stać nas na to. Oczywiście oburzeni członkowie wystąpili z Araratu. Pozostali jedynie: Szejne Miriam Broderson, Dolska, I. Rozenberg, Motl Kon, Sz. Dżigan. Członkowie, którzy pozostali dokooptowali nowe osoby. Byli to: I. Frid, A. Altman, I. Szifer, A. Wajc, którzy zastąpili tych, którzy odeszli z teatru³.

Ci, którzy wystąpili z Araratu, zaczęli szukać możliwości grania gdzie indziej. W tym samym czasie poznaliśmy się z dyrektorem I. Blacherem i jego zastępcą Kabakiem. Dyrektor Blacher wiedział, że odeszliśmy z teatru Ararat. Zaproponował nam, że pojedzie z nami na tournée. Oczywiście chwyciliśmy się tego planu. Słyszeliśmy, że Blacher już organizował tournée polskim gwiazdom. Złożyliśmy trupę, w skład której wchodził: Fania Rubino, Dora Rubino, Izrael Szumacher, Szmul Goldsztajn, Mosze Puławer. Herc Rubin był kierownikiem muzycznym. Wyjechaliśmy na tournée po okolicznych miejscowościach. To było zimą. Podróż zaczęliśmy pechowo. W każdym miasteczku, do którego przyjechalśmy, prześladował nas jakiś pech.

W jednym z miasteczek był pożar, w innym nie było światła w teatrze, więc publiczność nie przyszła. W miejscach, gdzie udało się zagrać, szanowny dyrektor Blacher nie zapłacił podatku. My o tym nie wiedzieliśmy, a procenty z wpływów, które dostaliśmy od Blachera nie wystarczały na jedzenie. Zaczęliśmy głodować. Musieliśmy jednak grać, aż do wygaśnięcia kontraktu.

Pewnego pięknego dnia czekano na nas w garderobie i zabrano nam w zastaw nasze zegarki, biżuterię, które mieliśmy ze sobą. Przeżyliśmy naprawdę ponure tournée i zaczęliśmy rozumieć, co inni aktorzy opowiadali o swoich głodowych trasach.

Był to pierwszy wyjazd, w którym braliśmy udział. Cierpieliśmy głód, zimno, a nadal musieliśmy grać. Takie doświadczenie niełatwo się zapomnina. Po powrocie do domu z głodowego tournée byliśmy przybici i wyczerpani. Każdy z nas pomyślał sobie: „Nigdy więcej!”. Ale doszliśmy do siebie i wola grania ponownie stała się silna. Rzeczy, które od nas zabrano, odzyskaliśmy. Dyrektor musiał zapłacić podatki, które był winny. A my znów zaczęliśmy snuć plany o graniu spektakli.

³ O kłopotach finansowych Araratu pisze także w swoim wspomnieniu Szymon Dżigan, zob. s. 156 i nast.

KOŁO DRAMATYCZNE UNDZER WINKL

Koło dramatyczne Undzer Winkl [Nasz kącik] przeszło długą i ciężką drogę. Członkowie wywodzili się z różnych innych kółek i grywali już sztuki teatralne w okolicach Łodzi. To pozwoliło im nabrać sporo rutyny. Osoby, które potem znalazły się w Undzer Winkl, posiadały więc już spore doświadczenie sceniczne, stąd też grupa stała się prawdziwym kołem dramatycznym ze stażem. Później zaczęli wystawiać również poważną literaturę dramatyczną. Ich repertuar składał się z takich sztuk, jak: *Dybuk* Szymona Anskiego, *Di teg fun undzer lebn* [Dni naszego życia] Leonida Adrejewy, *Puste kreczme* [Pusta karczma] Pereca Hirszbajna i *Der dorfjung* [Wiejski chłopiec] Leona Kobrina.

Członkowie koła uważali się już za aktorów, choć się z tym na co dzień nie afiszowali. Ale prawda była taka, że rzeczywiście byli bardzo zdolni. Po tym, jak już objeździli wiele miasteczek i zagrali szereg przedstawień, doszli do wniosku, że są gotowi, by wystawiać sztuki w Łodzi. Mieli swojego impresario, który wynajął na tydzień budynek teatru Urania mieszczący się przy ulicy Cegielnianej, niedaleko ulicy Piotrkowskiej. Od razu przystąpiono do przygotowania dekoracji, kostiumów i innych rekwizytów. I zaczęto od *Dybuka* Sz. Anskiego.

Jak wiadomo, Łódź była miastem, w którym działało wiele kół dramatycznych. Z samych tych kół przychodziła na przedstawienia ogromna publiczność, a teatr naprawdę huczał od braw. *Dybuk* odniósł wielki sukces.

Kolejnymi przedstawieniami były *Der dorfjung*, *Puste kreczme* oraz *Di teg fun undzer lebn*. Zaczęli odnosić sukcesy. Reżyserem w Undzer Winkl był w tamtych latach uzdolniony A. Becher. Później rozegrała się wielka tragedia z udziałem jednego z członków Undzer Winkl, J. Szwidera. Był on z jednym najzdolniejszych w owym kole dramatycznym. J. Szwider pragnął zostać profesjonalnym aktorem. Dlatego zaczął się przygotowywać do egzaminu w Związku Artystów Scen Żydowskich w Warszawie.

Szwider pojechał do Warszawy i wkrótce stanął się na egzaminie, jednak go nie zdał. Po powrocie do Łodzi był zawiedziony i załamany. Z zawodu był dobrym krawcem i nieźle zarabiał. Ale teatr był całym jego życiem. Niepowodzenie na egzaminie w Warszawie odbiło się mocno na jego zdrowiu psychicznym. Nie potrafił już pracować w swoim wyuczonym zawodzie. Całe dnie siedział w domu i nie chciał z niego wychodzić. Pewnego razu, wieczorem, spakował do walizki kilka rzeczy i wyszedł z domu. Poszedł do filharmonii przy ulicy Narutowicza, gdzie wystawiano akurat spektakl w jidysz. Dostał się do sali, wszedł na scenę i zaczął odgrywać rolę Hamleta, wykrzykując: „Być albo nie być?...”.

W teatrze powstało spore zamieszanie. Aktorom, którzy byli w tym momencie na scenie nie było łatwo Szwidera z tej sceny ściągnąć. Trzeba było siłą wyprowadzić go z sali. Po tym przykrym incydencie Szwider popadał w coraz większy obłęd. Koniec był taki, że trzeba było go umieścić w szpitalu dla umysłowo chorych. Kiedy go tam odwiedziłem, nie odezwał się ani słowem. A widać było, jak jego dzikie oczy poruszają się szybko i ciągle czegoś szukają. Zrobiło to na mnie bardzo silne wrażenie. Kiedy wyszedłem z tego szpitala, byłem mocno poruszony tym, co zobaczyłem.

Przez długi czas nie mogłem się uwolnić od widoku Szwidera. Ten szpital znajdował się pod Łodzią. Trzeba było jechać tam tramwajem. Niedługo potem Szwider uciekł ze szpitala. Biegł przez pola, lasy i błota, aż dotarł do domu. Skąd znał drogę do domu, tego nie wiem do dzisiaj. Kiedy wrócił był niemal nie do rozpoznania. Był przemoczony, umazany potem i błotem. Wtedy już wszyscy musieli widzieć, że dla Szwidera nie ma już nadziei. Byłem właśnie w jego domu, gdy ponownie zabierano go do szpitala. Przyszedłem, żeby go zobaczyć i żeby wspomóc go dobrym słowem, albo czymś innym. I nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy go zabierali. Kiedy Szwider zobaczył ludzi ze szpitala, którzy po niego przyszedli, ze wszystkich sił wykrzyczał:

– Są tu! Są tu!

I chciał się przed nimi ukryć. Ci ludzie musieli użyć siły, by go wyprowadzić i odwieźć do szpitala. Ojciec i siostra Szwidera byli kompletnie załamani, podobnie jak ja. W 1936 roku Szwider opuścił szpital i został umieszczony na dobre w dużym gospodarstwie rolnym za Łęczycą, niedaleko Łodzi. Pracowali tam ludzie umysłowo chorzy.

Ale Szwider był już wtedy nie do poznania. Przedwcześnie stał się całkowicie siwy, jak gołąb. A w 1939 roku niemieccy mordercy zajęli Łódź i zabili wszystkich umysłowo chorych. Szwider był jedną z pierwszych ofiar Niemców.

Szwider miał wielki talent. Z pewnością mógłby być z niego dobry aktor. A przy tej okazji wspomnijmy wszystkich zdolnych i młodych chłopców i dziewczęta, którzy poświęcali swój wolny czas i energię, mimo ciężkich warunków materialnych oddając się żydowskiej sztuce teatralnej. Undzer Winkl był w tamtym czasie jednym z najlepszych kół dramatycznych w Łodzi. Wspomnijmy również nazwiska członków Undzer Winkl. Byli to: A. Raszelbach, L. Ajzman, E. Bok, J. Szwider, W. Brzerzyński, H. Strawczyński, B. Żak, A. Abramowicz i H. Szwarcberg.

DAWID BAJGELMAN – KOMPOZYTOR ARARATU

Dawid Bajgelman⁴ był dzieckiem żydowskiego teatru. Jego rodzice pochodzili z Ostrowca – małego miasteczka w guberni radomskiej. Po przybyciu do Łodzi zaczęli grać w żydowskim Teatrze Wielkim (*A Grojser Teater*). Była to rodzina muzyków, a Dawid był ze wszystkich najzdolniejszy. Grając w żydowskim teatrze Dawid pokazał swój talent kompozytorski i jakiś czas później został dyrygentem Teatru Wielkiego mieszczącego się przy ul. Konstantynowskiej 20.

Dawid był najstarszym dzieckiem w rodzinie. Jego brat, Abraham, był niezłym pianistą. Było jeszcze dwóch braci – Szlomo i Heniek – obydwaj byli skrzypkami. Jednym słowem – rodzina muzyków.

Często bywałem w domu Bajgelmanów. Gdy byłem dzieckiem zabierali mnie ze sobą do teatru. Był to mój pierwszy kontakt z żydowskimi aktorami i muzykami.

⁴ Dawid Bajgelman (1888–1944) – znany kompozytor i dyrygent związany z Łodzią, autor wielu popularnych piosenek. Komponował także po zamknięciu w getcie łódzkim. Zmarł po deportacji do Auschwitz w podobozie w Gliwicach.

Dawid był nie tylko dyrygentem w żydowskim teatrze; pisał również muzykę do różnych sztuk. Jako kompozytor był niezwykle ceniony. Jego melodie brzmiały bardzo ludowo. Potem Dawid ożenił się ze znaną aktorką charakterystyczną Haną Foderman⁵. Mieli syna Pińka, który także został muzykiem – saksofonistą.

W późniejszych latach, po powstaniu teatru Ararat, Dawid Bajgelman został kompozytorem teatru. Pracowaliśmy tam razem.

Dawid Bajgelman doskonale wpasował się w nurt muzyki ludowej. Wiele z jego melodii stało się szlagierami, jak np. *Der jidiszer wald-gazlen* (Żydowski rozbójnik), *Waser treger* (Nosiwoda), *Frajlin Majtl* (Panna Majtl), *Balut-balet* (Bałucki balet), *Menachem Mendl*, *Cigajner* (Cygan), *Jidn szmidn* (Żydzi kowale) i inne.

Łódzka publiczność nuciła te melodie przy pracy, w sklepach i na targu.

Dawid Bajgelman stworzył setki melodii, które były śpiewane na całym świecie. Jego młodszy brat, Abraham, pianista, również napisał muzykę do kilku numerów granych w teatrze Ararat, a Szlojme Bajgelman kierował orkiestrą Araratu.

Los chciał, że Dawid Bajgelman, z żoną i dzieckiem⁶ oraz swoim bratem Szlojme i jego żoną znaleźli się w łódzkim getcie, które zostało zamknięte w 1940 r.

Jakiś czas później założono orkiestrę symfoniczną, której dyrektorami byli: znany dyrygent – profesor Ryder⁷ oraz Bajgelman. Profesor Ryder dyrygował orkiestrą podczas koncertów symfonicznych, a Dawid dyrygował, gdy grano żydowskie melodie ludowe.

W tym samym czasie powstało duże studio aktorskie, które potem stało się łódzkim teatrem gettowym. Dawid Bajgelman pracował tam jako kierownik muzyczny. Studio stało się kulturalnym centrum muzyki, śpiewu i teatru.

Był czas, kiedy niemieccy mordercy chcieli, by w getcie grano spektakle teatralne i żeby odbywały się koncerty. W 1943 roku Niemcy zakazali wszelkich kulturalnych przedsięwzięć i wszystkie tego typu miejsca zostały zamknięte⁸. W sierpniu 1944 roku rozpoczęto likwidację łódzkiego getta.

Żona Dawida Bajgelmana, Foderman, zmarła nagle przed wysiedleniem. Dawid razem z kilkoma członkami swojej rodziny został wywieziony z getta do Auschwitz.

Kiedy Dawida Bajgelmana nie było już wśród żywych, gestapo dowiedziało się, że był on muzykiem, a oni wtedy potrzebowali człowieka, który potrafiłby kierować orkiestrą. Niestety Dawida Bajgelmana już nie było.

⁵ Hana Bajgelman, z d. Foderman/Faderman (ur. w 1888 w Warszawie, zmarła w łódzkim getcie) – aktorka występująca w żydowskich teatrach warszawskich i łódzkich.

⁶ Pinkus Bajgelman (1916–1981), syn Dawida i Hany, przeżył wojnę w ZSRS i wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.

⁷ Teodor Henryk Ryder (1881–1944) – pianista i dyrygent pochodzenia żydowskiego. Współpracował z Filharmonią Warszawską, następnie od 1919 r. dyrygował Łódzką Orkiestrą Symfoniczną oraz Radiową Orkiestrą Symfoniczną. Pracował również jako pedagog w łódzkim Konserwatorium Muzycznym. Po deportacji z łódzkiego getta został zamordowany w Auschwitz.

⁸ Informacja nieścisła. Koncerty i rewie organizowane były w getcie w Domu Kultury, mieszczącym się przy ul. Krawieckiej 3 i działającym oficjalnie w ramach żydowskiej administracji getta. Władze niemieckie tolerowały te koncerty do września 1942 r., kiedy po deportacji dzieci i osób starszych (tzw. Wielka Szpera), Dom Kultury został przeznaczony na zakład pracy. W 1943 r. ponownie zaczęto organizować spektakle, przede wszystkim jubileuszowe rewie.

Pewnego dnia otoczono wszystkie bloki w Auschwitz, i zaczęto wyprowadzać ludzi. Wśród wyprowadzonych był też Szlojme Bajgelman, kierownik orkiestry Araratu. Bardzo się ucieszyłem na jego widok i powiedziałem do niego: „Nie odchodź, zostań ze mną”.

Noc była bardzo ciemna i straciliśmy się z oczu. Nie wiedzieliśmy, gdzie nas prowadzą. Każdego z nas ogarnęło dziwne uczucie. Coś się dzieje, być może niedługo nie będzie już nas wśród żywych. Prowadzono nas pod strażą karabinów, aż doszliśmy do miejsca, gdzie stały wagony. Wtedy odetchnęliśmy z ulgą, odkrywając, że jeszcze nie mamy zginąć.

Z rodziny Bajgelmanów pozostał syn Dawida, który mieszka w Kalifornii oraz brat Dawida, Henoch, który mieszka w Nowym Jorku.

Nikogo innego z tej rodziny już nie ma.

IZA HARARI (WAJNBURG)

Iza Harari (Wajnberg) była jeszcze uczennicą, gdy ujawnił się jej talent do tańca. Wykorzystywała każdą okazję do publicznych występów tanecznych.

Iza Harari rozpoczęła swoją prawdziwą taneczną karierę w teatrze Ararat w Łodzi. Pierwszym jej tańcem był chasydzki numer *Puszek-tanc* [Taniec z puszką], który od razu okazał się sukcesem. W późniejszych programach Araratu wykonywała różne numery oparte na motywach chasydzkich.

Z Izy Harari było niezłe ziółko. Niejednokrotnie potrafiła komuś przygadać, aż poszło mu w piętę⁹. A wszystko to robiła z uśmiechem, jakby nikomu nie chciała sprawić przykrości. Była bardzo szczerą wobec innych i ludzie właśnie za to ją lubili.

Henryk Jabłon był pierwszym kompozytorem, który zaczął współpracować z Araratem, był też kierownikiem muzycznym teatru. Henoch Kon dołączył przy drugim programie. Jabłon widział, że Iza Harari jest bardzo zdolna i naprawdę sporo jej pomagał. Pisał dla niej chasydzkie utwory. Iza Harari była w teatrze Ararat tancerką-solistką.

W zespole Araratu były też inne kobiety chcące tańczyć na scenie. Oczywiście prowadziło to do konfliktów i w zespole kobiecym często dochodziło do tarć, co psuło atmosferę.

Iza Harari była bardzo zadowolona z tego, że tańczy w teatrze Ararat i osiąga sukcesy. Ale z powodu tarć, które się tworzyły, była bardzo rozgoryczona. I tak tańczyła z tym rozgoryczeniem, aż przyszedł moment, gdy odeszła z Araratu i wyjechała do Warszawy.

Wyjeżdżając do Warszawy, Iza Harari zmieniła imię i nazwisko na: Jehudit Berg¹⁰. Występowała w Jung Teater [Teatr Młodych] i tam spotykała wielu uzdolnionych ludzi. Z Jung Teater nawiązała stałą współpracę i była zachwycona tworzeniem dla nich choreografii. Ta praca naprawdę jej się podobała.

Wśród uzdolnionych ludzi, jakich spotkała był pewien chłopak – Feliks Fibich, jeden z najzdolniejszych. Jehudit Berg – nauczycielka i Feliks Fibich – uczeń po jakimś czasie zostali parą i zaczęli razem tańczyć. Kiedy wybuchła wojna, obydwoje uciekli do Rosji,

⁹ W oryginale pojawia się tu jidyszowy odpowiednik tego polskiego frazeologizmu, w przekładzie dosłownym: „aż poczuł pod żebrami”.

¹⁰ W dokumentach w języku polskim imię zapisywano jako: Judyta.

gdzie się pobrali. Dołączyli do trupy Dżigana i Szumachera, razem nimi wyruszyli na tournée po Rosji, gdzie osiągnęli duży sukces.

Jakiś czas później, kiedy Dżigan i Szumacher zostali w Rosji aresztowani, trupa się rozpadła. Jehudit Berg i Feliks Fibich zorganizowali wówczas grupę taneczną i zaczęli występować w różnych rosyjskich teatrach.

Kiedy przyjechali do miasta Aszchabad, niespodziewanie miało tam miejsce trzęsienie ziemi. Całe miasto zostało zniszczone. Jehudit Berg i Fibich widzieli, jak poważna jest sytuacja i nie wiedzieli, co zrobić. Ale Fibich szybko zaczął działać.

Ich sytuacja materialna wkrótce się zmieniła. Po krótkim pobycie w Aszchabadzie postanowili udać się w podróż powrotną do Polski, co nie było takie łatwe. Zrobili jednak, co było możliwe i wkrótce dotarli do kraju¹¹. Natychmiast zabrali się do pracy. Jeździli na koncerty, które cieszyły się dużym powodzeniem. Współpracowali też z różnymi polskimi teatrami.

Będąc w Polsce, zorientowali się, że nie mogą tu pozostać. Antysemickie rozruchy w różnych częściach kraju skłoniły ich do jak najszybszego opuszczenia Polski. Polska była wówczas piekłem dla każdego Żyda, który powrócił żywy z Auschwitz albo z Rosji. Polacy, widząc Żyda, który wrócił, od razu pytali go, w jaki sposób przeżył, po czym mówili: „Uciekaj stąd, jeśli życie ci miłe...”. Setki Żydów zostały w Polsce zabite w pogromach. Feliks Fibich i Jehudit Berg powiedzieli sobie: „Trzeba szybko się spakować i wyjechać z tej krwawej ziemi, gdzie Niemcy zaczęli, a Polacy skończyli czynienie jej *judenrein*”.

Feliks Fibich i Jehudit Berg wyjechali z Polski do Francji. Kiedy dotarli do Paryża, ich nastroje się poprawiły. Od razu zaczęli snuć plany i zwrócili się do różnych organizacji z prośbą o zorganizowanie im koncertów.

Udało im się to i zaczęli tańczyć. Ich położenie zdecydowanie się zmieniło na lepsze. Ale to nie Francja była miejscem, w którym mieli pozostać.

Zaczęli robić nowe plany i myśleć o złotej krainie – Ameryce. Jak pomyśleli, tak zrobili. I tak dwójka artystów, Feliks Fibich i Jehudit Berg, dotarła do złotej krainy. Zamieszkali w Nowym Jorku. Tam pracowali nad nadaniem nowoczesnej formy tańcowi chasydzkiemu. F. Fibich zawdzięczał żonie to, do czego doszedł jako tancerz i choreograf¹².

CZTERECH MOJŻESZÓW

Mojżesz (Mosze) Broderson był bardzo lubiany przez łódzką publiczność. Był świetnym poetą, współpracownikiem „Łodzer Folksblat”, a później także jednym z założycieli rewiowo-kameralnego teatru Ararat. Występował w spektaklach, w których czytał swoje wiersze. Miał znakomity głos i doskonałą dykcję.

¹¹ Do Polski ze wschodu powracały wówczas tysiące osób, pokonując wiele trudności, nie tylko komunikacyjnych. Parze udało się dotrzeć do Łodzi najprawdopodobniej już w 1946 r., skoro wzięli udział w filmie *Mir, lebnegeblibene* [My, którzy przeżyliśmy], który powstawał od września 1946 r. do kwietnia 1948 r.

¹² Judith Berg (1905–1992) i Feliks Fibich (1917–2014) wyjechali do Nowego Jorku w 1950 r. Para opracowywała choreografię do przedstawień z motywami żydowskimi i do programów telewizyjnych.

Mosze Broderson był serdecznym i przyjaznym człowiekiem. Kiedy się z nim rozmawiało, nie można było się od niego oderwać. Był też wielkim miłośnikiem teatru.

Broderson miał bardzo dobrą prezencję. Był wysoki, miał czarne włosy i długie bokobrody.

Był czas, kiedy teatr Habima chciał go zaangażować jako aktora. Oczywiście Mosze Broderson nie miał ochoty stać się zawodowym aktorem.

W Łodzi Broderson był bardzo ceniony, a po założeniu Araratu publiczność polubiła go jeszcze bardziej.

Już wtedy całym sercem oddany był Araratowi. Potrafił siedzieć całą noc i przygotowywać materiały do dziesięciu albo dwunastu numerów w programie, nad którym akurat pracowaliśmy. Następnego dnia rano przynosił te materiały do teatru, gdzie robiliśmy próby.

Byłem wówczas reżyserem w Araracie. Kiedy przychodził dzień premiery, można było dojrzeć Moszego Brodersona w ostatnim rzędzie. Siedział tam i trząsł się, być może bardziej niż sami aktorzy, drżał o każdego, kto był akurat na scenie.

Kiedy jakiś skecz, monolog albo numer muzyczny osiągnął sukces, jego pochmurny wyraz twarzy zniknął, a w jego miejscu pojawiał się uśmiech. Kiedy Mosze Broderson przychodził za kulisy, wykrzykiwał:

– Dobrze, bardzo dobrze!

A jego twarz promieniała z radości.

Drugi Mosze w teatrze Ararat to Mosze Kazanower (Kasman)¹³, który był pierwszym konferansjerem. Mosze Kasman, inteligentny i rozsądny młody człowiek, miał prawdziwą talent sceniczny. On także był przez wszystkich lubiany. Zawodowo Mosze Kasman był pracownikiem drukarni. Jego konferansjerka była jednak zbyt poważna. Dowcipy zazwyczaj nie wychodziły mu zbyt dobrze.

Mimo wszystko dobrze wypadł na scenie. Był też dobrym aktorem w rolach dramatycznych, dlatego Mosze Broderson napisał dla niego dramatyczny numer *J'accuse* [Oskarżam], w którym Kasman z sukcesem odgrywał główną rolę.

W numerze *J'accuse* brali również udział Szejne Miriam Broderson, Mosze Nelken, Mosze Puławer i Jakub Rejnglas.

Mosze Kasman pełnił także inne funkcje w teatrze. Był tym, który gromadził archiwum teatru Ararat. Kasman był również dobrym kolegą. Później wyjechał do Paryża, skąd w czasie wojny został przez nazistów deportowany.

Trzecim był Mosze Nelken, który przejął konferansjerkę po Kasmanie. On także nie był najlepszym konferansjerem, choć trochę mniej sztywnym niż Mosze Kasman. Na scenie prezentował się pięknie. Zawsze brał udział w numerach muzycznych. Miał dobry głos. Był też oddanym przyjacielem. Mosze Nelken pozostał w łódzkim getcie razem ze mną. Pracował tam jako nauczyciel i nie zajmował się już teatrem. W sierpniu 1944 roku został wywieziony z łódzkiego getta.

¹³ Mosze Kasman (1899–?) – aktor i konferansjer. Po wojnie wyjechał do Izraela. Jego zbiór materiałów i fotografii dotyczących Araratu posłużył Puławerowi do napisania książki.

Kiedy byłem w obozie Wüstegiersdorf, dowiedziałem się, że w okolicznym obozie znajduje się Mosze Nelken¹⁴. Przygotowywałem wtedy obozowe przedstawienie. Dochodziły do mnie głosy, że w tamtym kacie przebywają też członkowie mojego studia, z którymi pracowałem w getcie łódzkim. Nie traciłem więc czasu. Zwróciłem się do głównego pisarza obozowego, niejakiego „czarnego Maksa” (tak go nazywano), który miał możliwość sprowadzenia kilku osób do nas. Jednak Moszego Nelkena w tamtym obozie nie było, w związku z tym, oczywiście, nie można było go ściągnąć. A ci, których udało się sprowadzić, by mogli z nami wystąpić, musieli wrócić do swojego obozu zaraz po przedstawieniu.

Chciałem, żeby już z nami zostali, jednak nie było to możliwe, ponieważ jeden z nich zostawił w obozie ojca i nie chcieli rozstawać się ze staruszkiem.

Wtedy odbyło się w naszym obozie wielkie przedstawienie. Cała publiczność odziana w pasiaki siedziała na ziemi i w czasie spektaklu każdy z widzów mógł na chwilę zapomnieć o troskach i o śmierci, która czyhała na każdego z nas.

A my, aktorzy, staliśmy na scenie zrobionej z beczek i desek. Śpiewaliśmy i tańczyliśmy. Występ zakończyliśmy odśpiewaniem *Hatikwy*¹⁵. Publiczność resztkami sił śpiewała z nami.

A czwartym Mojżeszem był Mosze Puławer.

HENOCH KON – KOMPOZYTOR I KONFERANSJER

Henoch Kon nie był nową postacią w kręgach muzyki żydowskiej. Zasłużył się już w tworzeniu muzyki poważnej, chasydzkiej i ludowej. Jego pieśni i motywy stały się znane w całym żydowskim świecie.

Henoch Kon ukończył z wyróżnieniem studia kompozytorskie w konserwatorium w Niemczech.

Kiedy wrócił do Łodzi, dawał lekcje śpiewu. Wówczas skupił wokół siebie grupę młodych i zdolnych śpiewaków i śpiewaczek.

Kiedy w Warszawie powstał teatr miniatur Azazel¹⁶, Henoch Kon został w nim zatrudniony, oczywiście jako kierownik muzyczny. Tworzył wspaniałe utwory, które publiczność od razu podchwytowała i nuciła potem w domu i na ulicy. Pisał również muzykę do sztuk teatralnych, które z wielkim powodzeniem wystawiała Wilner Trupe¹⁷.

Henoch Kon był dobrym znajomym Moszego Brodersona, malarza Icchaka Braunera, aktora Jakuba Adlera¹⁸ oraz Marka Szwarca. Stanowili oni zżytą ze sobą grupę pisarzy, malarzy i muzyków.

¹⁴ Obóz Wüstegiersdorf należał do kompleksu obozowego Gross-Rosen, gdzie rzeczywiście przebywał Nelken i gdzie zmarł.

¹⁵ *Hatikwa* (hebr. ‘nadzieja’) – pieśń, która od 1897 r. była hymnem Światowej Organizacji Syjonistycznej, a następnie stała się hymnem państwowym Izraela.

¹⁶ Azazel – zob. s. 146, przyp. 24.

¹⁷ Wilner Trupe – zob. s. 152, przyp. 42.

¹⁸ Zapewne pomyłka Puławera: Jakub Adler (1855–1926) to wybitny aktor z pionierskiego okresu sceny jidyszowej na ziemiach polskich, ale przyjacielem Brodersona i Braunera był jego imiennik, malarz Jankiel (Jakub) Adler (1895–1949).

Henoch Kon słynął również jako świetny gawędziarz. Potrafił doskonale opowiadać dowcipy. Pewnego razu, gdy Azazel przyjechał do Łodzi na gościnne występy, zdarzyło się, że Godik, który był konferansjerem¹⁹, nagle się rozchorował. Nie było nikogo innego, kto mógłby poprowadzić konferansjerkę i zapowiadać publiczności kolejne numery.

Zespół Azalela wiedział, że Henoch Kon jest dobrym kawalarzem i że ludzie śmieją się z jego żartów. Postanowiono więc, że podczas owego wieczoru, gdy Godik był chory, Henoch Kon będzie występował jako konferansjer. Gdy mu to zaproponowano, Kon poczuł się dość zakłopotany. Ale potem, gdy już chwilę to przemyślał, zgodził się, jednak postawił jeden warunek: to będzie tylko ten jeden jedyny wieczór.

Kiedy nadeszła owa chwila, gdy Henoch Kon miał wyjść na scenę i stanąć przed kurtyną na miejscu konferansjera, nagle poczuł się tak, jak nie czuł się nigdy w całym swoim życiu. Dopadła go ogromna trema, cały się trząsł i za nic nie potrafił otworzyć ust. Wydawało mu się, że ciemność sali chce go pochłoniąć.

Ale po chwili wziął się w garść. Zaczął opowiadać pierwszy dowcip. Jednak publiczność się nie śmiała. Również podczas kolejnych żartów widzowie pozostali niewzruszeni i w żaden sposób nie chcieli się zaśmiać. Kiedy Henoch zszedł ze sceny i wszedł go garderoby, wyglądał jakby był martwy.

Tego wieczoru Henoch Kon przyrzekł sobie, że już nigdy w życiu niczego podobnego nie zrobi. Sam nie mógł sobie poradzić z tym niepowodzeniem i nie potrafił o nim zapomnieć. Odkrył, że to nie takie proste stać przed publicznością i opowiadać kawały w taki sposób, żeby ludzie się śmiali. O tym wydarzeniu Henoch Kon potem zwykł opowiadać:

„No, co tu dużo mówić? Zachciało mi się konferansjerki! Mogę wam powiedzieć, Żydzi, że to nie jest takie proste, jak się ludziom wydaje. Stanie tamtego wieczoru przed publicznością, która nie chciała się śmiać, było dla mnie niezłą lekcją, którą na długo zapamiętam”.

Tak Henoch Kon opowiadał swoim znajomym, którzy nie byli w Azazelu tamtego wieczoru, kiedy zastępował Godika. A mówił to w pełnym niuansów łódzkim jidysz, który był mu bardzo drogi.

Kiedy Henoch Kon przejął kierownictwo muzyczne w Azazelu, szybko dostrzegł, że ma do czynienia z grupą utalentowanych ludzi, z którymi można wiele osiągnąć. Podobało mu się ich podejście do małych form teatralnych.

Z pełnym zapałem zabrał się do swojej pracy muzycznej. Czuł, że ma tam z kim pracować. Szybko przewidział wielki sukces teatru miniatur Azazel. Wtedy były tam takie talenty, jak Ola Lilith²⁰, Władek Godik i wielu innych.

¹⁹ Władysław Jakub Godik (1892–1952) – polsko-żydowski aktor, piosenkarz i reżyser. W Teatrze Azazel występował w latach 1920–1928. Do wybuchu wojny grał w teatrach żydowskich. We wrześniu 1939 r. uciekł na wschód. W 1942 r. wstąpił do Armii Czerwonej. Od 1945 r. grał w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi, a od 1946 r. w Teatrze Polskim w Warszawie. Tam też zmarł.

²⁰ Ola Lilith, właśc. Łaja Cederbaum/Cederowska (1906–1980) – aktorka i piosenkarka grające w językach polskich, jidysz i angielskim. W 1935 r. wyjechała na stałe do Stanów Zjednoczonych, gdzie kontynuowała karierę. Zmarła w Miami Springs.

Ola Lilith była naprawdę ogromnie utalentowana. Kiedy wychodziła na scenę, publiczność była oczarowana. Jej śpiew, podobnie jak ona sama, był świeży i nowy, inny od wszystkiego, co się do tej pory słyszało. To samo było, kiedy Władek Godik pojawiał się jako konferansjer, *master of ceremonies*, jak to się określa w Ameryce. Zawsze robił na publiczność ogromne wrażenie. Miał też w repertuarze monolog, który wygłaszał z wielkim powodzeniem.

Po pewnym czasie Władek Godik i Ola Lilith się pobrali, co nie było korzystne dla teatru²¹. Zaraz zaczęły się różne zakulisowe intrygi. Władek uważał, że to on i jego żona są jedynymi gwiazdami Azazela. Koniec był taki, że po pewnym czasie obydwoje odeszli z teatru.

Henocha Kona bardzo przeżył odejście Oli Lilith i Władka Godika. Robił wszystko, co było w jego mocy, żeby ta dwójka artystów pozostała w Azazelu. Rozmawiał z Godikiem i prosił, by ten zrozumiał, że on, Godik, nie może tego zrobić, że swoim odejściem zrujnuje wszystko, w co włożono tak wiele ciężkiej pracy i że to będzie niedobre nie tylko dla teatru, ale także dla nich samych, dla Lilith i Godika. Ale Władek miał jedną odpowiedź:

– Nie zostaniemy tu!

Władek Godik był dziwnym człowiekiem. W życiu prywatnym mówił wyłącznie po polsku, nawet w Związku Artystów Scen Żydowskich nie można było od niego usłyszeć ani jednego słowa w jidysz. Nigdy nie siedział przy stole z innymi aktorami. Ciągłe spacerował po całej sali tam i z powrotem. Z natury był bardzo nerwowym człowiekiem.

Odejście Godika i Lilith faktycznie było ciosem dla Azazela. Godik i Lilith zaczęli podróżować z koncertami po Polsce. Gdzie tylko się pojawili, bilety na występy były wyprzedawane, a koncerty odnosiły wielki sukces. Teraz Godik był już przekonany, że razem z żoną podjęli dobrą decyzję. Ale dla teatru Azazel ich odejście było początkiem końca.

Po jakimś czasie dyrektorem Azazela został Józef Strugacz²². Przyciągnął on kilku innych aktorów i ułożył program bez Oli Lilith i Władka Godika. Następnie Strugacz wraz z nowym zespołem wyruszył na tournée po Polsce.

Nowy program Strugacza składał się z numerów Araratu oraz Azazela, jak *Jidn szmidn*, *Der waser-treger*, *Frejlin Majtel* i inne. Premiera odbyła się we Lwowie. Ale nowy program nie odniósł wielkiego sukcesu.

Wtedy Józef Strugacz postanowił objechać ze swym teatrem małe miasteczka wokół Lwowa. Gwiazdami nowego Azazela byli: Józef Strugacz, Malwina Rapel i J. Suzanowicz. Innymi aktorami byli: A. Potaszyński, pani Fuks i kilku innych. I chociaż Józef Strugacz nie był dobrym dyrektorem i powodowała swoimi decyzjami duże straty materialne, nie chciał zrezygnować z zaszczytu bycia dyrektorem.

Po tym, jak zespół Azazela miał już za sobą występy w wielu miasteczkach Polski, przybył także z kilkoma przedstawieniami do Łodzi.

²¹ Lilith i Godik występowali we wszystkich czterech programach Azazela, co najmniej do marca 1927 r.

²² Józef Strugacz (1893–?) – aktor, reżyser i scenarzysta; zginał w czasie Zagłady w nieznanych okolicznościach.

IZRAEL SZUMACHER

Teatr Ararat właśnie domykał swój pierwszy program, kiedy w drzwiach pojawił się chłopak – szczupły, z kręconymi włosami i w szkolnej czapce. Nosił okulary, które ciągle poprawiał na nosie, by leżały właściwie... Spojrzał na mnie i się przedstawił:

– Moje nazwisko Izrael Szumacher – i zaczął opowiadać: – Właśnie ukończyłem gimnazjum i miałem zamiar wyjechać do Niemiec, do studia teatralnego. Tylko że skoro teraz powstał teatr Ararat pod kierownictwem znanego poety Moszego Brodersona, pomyślałem, że powinienem najpierw przyjść do was i z wami porozmawiać. Prawdę mówiąc nie myślałem o teatrze żydowskim, no ale skoro tu tworzy się młoda, utalentowana grupa, chciałbym z wami współpracować.

Jako że byłem wówczas reżyserem, a ten młodzieniec – Izrael Szumacher, zrobił na mnie nie najgorsze wrażenie, porozmawiałem z Mosze Brodersem i postanowiliśmy przyjąć chłopca do teatru.

Cały program był już prawie zamknięty, ale w rewii, którą przygotowywaliśmy została jeszcze jedna mała rola do obsadzenia, była to rola policjanta. Powiedziałem więc do Szumachera: „Jest niewielka rola policjanta. Jeśli pan chce, może pan tę rolę zagrać, a w kolejnym programie będzie pan brał udział w różnych numerach”. Izrael Szumacher nie był zachwycony, jednak zgodził się i odpowiedział: „Wezmę tę rolę”. Tak oto Izrael Szumacher wstąpił do teatru Ararat.

W gimnazjum, które ukończył Szumacher, dyrektorem był dr Fallek²³ – dobry znajomy Moszego Brodersona. Dr Fallek powiedział Brodersemowi, że bardzo ceni Szumachera. Chłopiec poradził się z nim w sprawie wyjazdu do Niemiec, gdzie chciał dołączyć do jakiejś grupy teatralnej. Fallek doradził, by przed podjęciem decyzji o wyjeździe Szumacher wybrał się do Araratu, bo może mu się tam spodoba. W ten sposób Izrael Szumacher zaczął pracować w teatrze Ararat.

Nie był zbyt zadowolony z małej roli, którą miał do zagrania. Ale pomyślał sobie: „Zobaczmy, co będzie w drugim programie”. W kolejnej rewii występował już w wielu numerach. Na próbach do tego programu czuło się, że to już nie jest ten cichy, wstydlivy Szumacher, jakim z początku się wydawał.

Szumacher z natury był nerwowy, zazdrośny, a także cyniczny. Należał do tych, którzy wszystko wiedzą i umieją najlepiej. W pierwszych programach Araratu było więcej śpiewu i tańca. Szumacher nie był najlepszym tancerzem i to go po cichu bolało. Jako że zawsze wszystko wiedział i umiał lepiej od innych – wkrótce zaczął podkopywać harmonię w zespole. Już wtedy umiał podburzać pewnych członków zespołu tak, że powstały dwa obozy, a jedni na drugich nie mogli patrzeć. Tak manewrował, że wciągnął w tę grę także

²³ Wilhelm Fallek (1887–1941) – doktor praw, nauczyciel, krytyk i historyk literatury. Pracował jako polonista w I Gimnazjum Męskim Towarzystwa Żydowskich Szkół Średnich przy ul. Magistrackiej (obecnie ul. A. Kamińskiego). W listopadzie 1939 r. przedostał się do Brodów, gdzie został kierownikiem szkoły powszechnej. Zginął latem 1941 r. zamordowany przez hitlerowców w zbiorowej egzekucji ludności żydowskiej pod Brodami.

Dżigana i obydwaj zaczęli zachowywać się podobnie. Szumacher robił to, co mu się opłacało. Intrygi, które tworzył, wyraźnie sprawiały mu przyjemność. Taką miał naturę.

Szumacher przestał już myśleć o zostaniu niemieckim aktorem. Kiedy dochodziło do jakiejś dyskusji, Szumacher na zmianę zaciskał i prostował palce i stawał się kłębkim nerwów: jak tak może być, że ktoś inny też coś wie. Dosłownie nienawidził każdego, kto również miał coś do powiedzenia. Kłócił się ze wszystkimi, nawet z Brodersem. Taką sobie Szumacher obrał drogę i taką podążał.

Można powiedzieć, że pomiędzy Dżiganem a Szumacherem przebiegł czarny kot. Przepaść między nimi była tak duża, że przerodziło się to z czasem w nienawiść. Nie było jej widać na pierwszy rzut oka, ponieważ w duecie odgrywali oni komiczne scenki z zabawnymi dialogami i to ich trzymało razem, ale tylko na scenie.

Grałem wówczas w Warszawie z Dżiganem i Szumacherem. Wiele razy pytałem Dżigana: „Jak możesz z nim pracować?” A w odpowiedzi słyszałem: „Interes tego wymaga”.

Był czas, kiedy nawet w ciągu dnia w kawiarni unikali spotkania i tylko w czasie występów byli w stanie przebywać w swoim towarzystwie. W ten sposób pracowali aż do wybuchu II wojny światowej. W takim nastroju jeździli z gościnnymi występami po Rosji, a także siedzieli tam w więzieniu. Po wyjściu z więzienia wrócili do Polski, by dawać przedstawienia. Występowali także w Niemczech, a potem również we Francji. Z Francji udali się do Argentyny, a stamtąd razem do Izraela. A tam zaczęły się prawdziwe tarcia.

O ile dotąd mieli do siebie nawzajem odrobinę scenicznego zaufania, tak w Izraelu zupełnie ono zniknęło. Po jakimś czasie Dżigan zdecydował się porzucić swego scenicznego partnera i tak też się stało. Dżigan wyjechał i zaraz przystąpił do robienia programu, a Szumacher zaczął grać w teatrze. Po raz pierwszy Szumacher grał w sztuce teatralnej i było mu to obce. I rzeczywiście na tym poległ. Dżigan, ze swojej strony, podążał nadal swoją udeptaną ścieżką i wystawiał rewię, oczywiście z młodym zespołem. Ta rewia osiągnęła wielki sukces. Szumacher już wtedy nie czuł się zdrow, a rozłączenie z Dżiganem i niepowodzenie w graniu w teatrze przyczyniło się do jego poważnej choroby.

ŁÓDZKI „HAZOMIR”

Towarzystwo literacko-muzyczne „Hazomir” [Słownik] z Łodzi zajmowało w żydowskim życiu kulturalnym zaszczytne miejsce. „Hazomir” prowadził rozbudowaną działalność – organizowano koncerty, występy solistów, towarzystwo miało także swoją własną orkiestrę oraz kółko dramatyczne.

Dyrygentem „Hazomira” był nieustrudzony I. Fajwiszys, który kierował chórem oraz orkiestrą. Solistami byli członkowie towarzystwa: J. Krapienik – sopran, A. Korn – tenor liryczny, E. Joskowicz – bas. Przy okazji różnych świąt występował także słynny kantor Mosze Kusewicki.

Kółko dramatyczne działające w ramach „Hazomiru” wystawiało sztuki Szolema Alejchemy, I.L. Pereca i Mendeley Mojcher Sforima. Reżyserem był I. Moszkowicz, który

w Łodzi był dość dobrze znany. Był on jednym z reżyserów, którzy przed założeniem Araratu współpracowali z łódzkim studiem teatralnym. I. Moszkowicz był niezwykle oddany swojej pracy. Bardzo lubił reżyserować. Wyreżyserował *Masoes Binjamin haszliszi* [Podróże Benjamina Trzeciego] Mendele Mojcher Sforima, które odniosły wielki sukces i były grane przez długi czas. Fiszman, który wyróżnił się w tej sztuce, był ze mną blisko zaprzyjaźniony i chciałem go wciągnąć do teatru. Wiedziałem, że Fiszman ma talent, ale on wtedy miał o pracy w teatrze inne zdanie i powiedział mi: „Co będzie, jak zostanę aktorem? Zarobku i tak z tego nie będę miał. Nie chcę odchodzić z mojej pracy”.

Fiszman przychodził na każdą premierę w teatrze Ararat. Zawsze po przedstawieniu miał coś do powiedzenia. Oczywiście stale krytykował, a ja odpowiadałem, że z czasem poprawimy błędy. „Nie zapominaj – zwykłem mu mówić – że dopiero zaczęliśmy i wkrótce na pewno znajdziemy właściwą drogę”. Ale z jego krytyki zawsze wyczuwałem, że on czuje się nieco winny, że nie dołączył do zespołu Araratu.

Robiliśmy nowe programy, a każdy z nich osiągał duży sukces. Publiczność przychodziła masowo. Wśród widzów był też Fiszman, który był zachwycony, tak samo jak wszyscy inni. Fiszman byłby z pewnością wygraną dla Araratu. Ale on się pogodził z pozostaniem w kółku dramatycznym. Lubiał teatr i było dla niego pewnym pocieszeniem, że ma możliwość występowania w różnych sztukach, że mógł się w nich trochę wyżyć artystycznie.

Drugim uzdolnionym członkiem „Hazomiru” był J. Jano. Ten lubił grać wyłącznie role intrygantów. To była jego słabość, może dlatego, że w życiu również był z niego kawał cynika. Ale ogólnie Jano był fajnym chłopakiem i wyróżniającym się członkiem kółka dramatycznego w „Hazomirze”.

W. Grinberg był trzecim spośród uzdolnionych w kółku dramatycznym. Był wysoki i miał dobrą figurę. Posiadał dźwięczny głos i doskonałą dykcję. Gdy rozmawiało się z Grinbergiem o kółkach dramatycznych, zawsze słyszało się, że jego „Hazomir” jest najlepszy. Inne kółka dramatyczne dla niego w zasadzie nie istniały. Rozmowy na ten temat szybko przeradzały się w sprzeczkę. Ale trzeba przyznać, że był on bardzo utalentowany.

„Hazomir” skupiał wokół siebie wspaniałą publiczność, która masowo przychodziła na koncerty i przedstawienia.

Wielkim sukcesem okazał się koncert, na którym wykonano IX symfonię Beethovena. Publiczność szturmowała salę. Był to jeden z większych osiągnięć towarzystwa „Hazomir”, a łódzka publiczność długo pamiętała ten koncert.

HUMORYSTA OBARŻANEK

Jakub (Jankiel) Obarżanek był dobrym pisarzem i humorystą. Współpracował z łódzkim dziennikiem „[Najer] Folksblat” i przyjaźnił się z Mosze Brodersonem. Obarżanek kierował humorystyczną częścią gazety. W każdy piątek publikowano jego komiczne scenki o tym, jak kobiety rozmawiają między sobą, jak robią zakupy na szabat itp. Oczywiście kobiety te opowiadały sobie przy tym trochę plotek i ploteczek.

Dużym powodzeniem cieszył się felieton Obarżanka *Piniele Mazek*, który ukazywał się w każdy piątek na łamach „Folksblat”. Piniele Mazek z ulicy Wąskiej na łódzkich Bałutach był uosobieniem młodzieńca, który całe dnie przebywał na ulicy, czepiał się każdego i każdemu przygadywał. Nie bał się nikogo. Do dzisiaj jego imię jest chętnie przywoływane. Gdy spotyka się łodzianina, który kiedyś mieszkał przy ulicy Wąskiej na Bałutach, zaraz wam się przedstawi:

– Jestem Piniele Mazek z ulicy Wąskiej.

Tak popularny był felieton Obarżanka.

Ulica Wąska była naprawdę małą uliczką, z małymi domkami pełnymi żydowskich dzieci. Mieszkało tam wielu żydowskich tkaczy. Zbliżając się do ulicy Wąskiej można było usłyszeć rytmiczne uderzenia ręcznego krosna.

Obarżanek bardzo lubił tę uliczkę i często ją odwiedzał. Stamtąd czerpał inspiracje do swoich humorystycznych scenek. Rozmawiał z dziećmi, kobietami i z każdym, kogo tam spotkał. W jego komicznych dialogach można było rozpoznać język ulicy Wąskiej.

Obarżanek sam był zabawną osobą, w sposobie bycia i w ubiorze. Nie był zbyt wysoki. Jego ruchy i gesty były nieco sztywne. Swoją kapelusz nosił na bok, „na bakier”, jak mówiło się po polsku, a jego duże oczy zawsze były roześmiane.

W 1927 r. został założony Teatr Rewiowo-Kameralny Ararat. Obarżanek prędko do nas dołączył i zaczął pisać dla Araratu różne teksty. Na przykład jego rewia *Di alte sztot* [Stare miasto] nafaszerowana była satyrą na łódzkich działaczy społecznych i sprawy polityczne. Każdemu przygadywał, każdy dostał co mu się należało. Rewia *Di alte sztot* wywarła na mieszkańcach Łodzi spore wrażenie.

Po popularnym felietonie *Piniele Mazek*, który osiągnął sukces w łódzkim „Folksblacie”, doszła pełna sukcesów rewia *Di alte sztot* w Araracie. Popularność Obarżanka rosła z dnia na dzień. Bardzo się z tego cieszył. Często przychodził za kulisy z uśmiechem zadowolenia. Był urzeczony młodymi entuzjastami z Araratu. Jego oczy błyszczały z radości.

Z czasem zespół Araratu się rozrósł i doszli tacy humoryści, jak: I.Sz. Goldsztajn, M. Nudelman, czy Josef Tunkel, którzy zaczęli podsyłać materiały do spektakli. Wszystkie ich teksty świetnie nadawały się dla Araratu. Siłą rzeczy Obarżanka było już mniej w programach. Nie podobało mu się to. Dlatego coraz rzadziej widywano go w naszym teatrze.

Teksty, które dostawaliśmy od innych pisarzy, wystawialiśmy przez jakiś czas, jeżeli tylko były odpowiednie. Zatem w każdym programie pojawiały się utwory różnych pisarzy. Ta różnorodność była przyczyną końca wielkiego sukcesu Araratu.

Obarżanek czuł się urażony, kiedy z monologu albo którejś ze scenek jego autorstwa wycinaliśmy jakiś dowcip, który według nas nie bardzo pasował, a w miejsce usuniętego fragmentu wstawialiśmy inny, który uznaliśmy za bardziej odpowiedni. Obarżanek nie mógł zaakceptować tej myśli, że nie wszystkie jego dowcipy, które są dobre dla czytelników jego rubryki humorystycznej w „Folksblacie”, nadają się dla widzów Araratu. Nie widział różnicy między drukowanym dowcipem, a takim, który mówi się ze sceny.

Ale pomimo wszystkich tych pretensji, Jakub Obarzanek pozostał oddanym przyjacielem Araratu i zawsze miał dobre słowo do powiedzenia o naszym teatrze rewiewym.

TEATR MARIONETEK

A. Tabak był młodym, uzdolnionym artystą, uczniem znanego malarza Icchaka Braunera. Przyjaźniłem się z nim. Spotykaliśmy się w kawiarni Astoria w Łodzi, która często odwiedzana była przez pisarzy, malarzy i aktorów. Siedziało się tam przy stolikach, piło herbatę i prowadziło dyskusje.

W Astorii Tabak zwykle zaczynał rysować na papierowych serwetkach karykatury różnych osobistości.

Pewnego razu, gdy siedzieliśmy wspólnie przy stole, powiedziałem:

– Może moglibyśmy stworzyć teatr marionetek.

Tabakowi pomysł ten przypadł do gustu. Zwołaliśmy posiedzenie grupy i każdemu ten plan spodobał się tak dalece, że wszyscy chcieli pomóc w jego realizacji. Zaczęliśmy kupować materiały, a Tabak natychmiast wziął się do pracy. Tabak pracował wtedy u malarza Braunera, i właśnie tam zaczął robić lalki.

Lalki przedstawiały postaci ze świata polityki, jak np.: W. Żabotyński, dr Herzl, dr Chaim Wajcman, Chamberlain, Hitler, Mussolini i inni. Teksty pisał Mosze Broderson.

Przygotowania trochę trwały. Kiedy wszystko było gotowe, zaczęliśmy szukać miejsca, gdzie można by było zacząć grać.

Wiedzieliśmy, że dyrektor Celmajster prowadzi przy ulicy Piotrkowskiej kawiarnię, która znajduje się w ogrodzie. Zwróciliśmy się więc do niego. Wysłuchał nas i wyjaśnił, że nie może się na to zgodzić.

– Gdyby to było po polsku, zaakceptowałbym to – powiedział nam – niestety nie mogę tego zrobić, jeśli to ma być w jidysz. Dziewięćdziesiąt procent moich gości to nie-Żydzi.

Oczywiście nie zrezygnowaliśmy, jednak nie mogąc znaleźć innego miejsca, gdzie moglibyśmy zacząć, postanowiliśmy odczekać. Spakowaliśmy lalki do dwóch dużych walizek i odłożyliśmy je w moim domu. Cały plan zawisł w powietrzu. Na razie, do wybuchu wojny, grałem z Araratem. Kiedy wróciłem do domu z Krakowa, czuło się już wszystkie jej zwiastuny.

Gdy wszedłem do domu, moje pierwsze spojrzenie padło na walizki z lalkami. Poczułem niepokój. To nie była drobnostka – lalka Hitlera, lalka Mussoliniego, a i ja sam grałem Hitlera na scenie.

Przed oczami pojawiły mi się obrazy tego, co się ze mną stanie. Zacząłem się zastanawiać, co zrobić z lalkami? Odpowiedź przyszła natychmiast: połamać na kawałki i wyrzucić! Przypomniałem sobie jednak, że mamy małą piwnicę, która jest bardzo niska i ciężko jest do niej wejść. To było dobre miejsce, by wrzucić tam lalki. Podeszedłem do walizek i je otworzyłem. Dostzegając maski Hitlera i Mussoliniego zadrżałem. Miałem

przecucie, że muszę się tego jak najprędzej pozbyć. Tej samej nocy wszystko zniknęło. Nazajutrz dopytywałem się, gdzie jest Tabak. A on był już w wojsku polskim.

W getcie łódzkim dowiedziałem się, że Tabak był wśród tych żołnierzy w okolicach Lublina, których niemieccy mordercy nie chcieli wziąć w niewolę. Zamiast tego zawieziono ich pociągami do miejsca, gdzie kazano im wyjść z wagonów i ruszyć biegiem przed siebie. Setki żołnierzy zaczęły biec pod gradem kul z karabinów maszynowych. Wśród poległych był także młody, utalentowany artysta A. Tabak.

ASTORIA, BRUDNY SZMUL I ICH STALI GOŚCIE

Kawiarnia Astoria, która znajdowała się przy ulicy Piotrkowskiej, róg Cegielnianej, była miejscem spotkań aktorów, pisarzy, malarzy, muzyków i działaczy społecznych. Jeśli chciało się kogoś spotkać po przedstawieniu, po koncercie albo po odczycie trzeba było przyjść do Astorii. Za dnia było to także miejsce spotkań kupców. Wieczorami wszystkie stoliki były zajęte przez pisarzy, malarzy, członków partii. W późniejszych godzinach przychodzili aktorzy i wówczas robiło się radośnie na sercu.

Można było tam zobaczyć, jak przy jednym ze stolików właśnie powstaje karykatura, przy innym zdarzało się wysłuchać odczytywanego wiersza, który jeszcze nie został wydrukowany. W Astorii spotykała się żydowska inteligencja, można było się tam napić szklaneczki najlepszej herbaty, przy stolikach prowadzono dyskusje i żartowano, a stałych bywalców, którzy przesiadywali tam do późnych godzin – nie sposób było się pozbyć. Byli jakby przygwożdżeni do tego miejsca. Astorię odwiedzali także goście spoza Łodzi, bo tam można było spotkać, kogo tylko się chciało.

W Astorii często widywało się Moszego Brodersona, Icchaka Braunera czy Henocha Kona. Można było podejrzec, jak Brauner rysuje, jak Mosze Broderson pije herbatę, albo jak się śmieje, pali papierosa i zaczyna kaszleć. Osoby siedzące wokół Braunera zaśmiewały się do łez z jego karykatur. Śmiech słychać było aż na ulicy.

Najpierw wymieniano się miejscami przy stolikach: aktorzy dosiadali się do pisarzy, a pisarze do aktorów i robiło się wesoło. Hałas stawał się coraz większy, aż właściciel Szaul Bernheim zaczynał rzucać spojrzenia na stolik. Często podchodził, pochylał się nadstawiając ucha, a potem odchodził.

Szaul Bernheim nie wywodził się z dobrego środowiska. Choć z jego wyglądu w okularach można było pomyśleć, kto wie... że wszystko było świetnie. Ale kiedy zaczynał mówić, już wiadomo było, skąd pochodzi...

Niezależnie od tego wszystkiego Astoria przyciągała wielu gości.

Niedaleko Astorii, w budunku przy Zawadzkiej 4, znajdowała się restauracja, którą nazywano Brudnym Szmulem. Restauracja wcale nie była brudna. Po prostu tak ją nazywano. Sam Brudny Szmul wyglądał, jakby nigdy nie spał. Restauracja była otwarta do trzeciej-czwartej nad ranem. Żona Szmula, wysoka i piękna, pomagała mężowi i kierowała całym interesem. Znała swoich gości, dla każdego miała dobre słowo i od czasu do czasu rzucała spojrzeniem na męża, żeby się szybciej uwijał. Czuło się, że on drży przed jej spojrzeniami.

Przyjeżdżało się z daleka, żeby załapać się na wyżerkę u Brudnego Szmula. Ryby, flaczki, czulent²⁴, galareta zagryzana wielką, miękką bułką i smacznym chlebem – to wszystko miało smak raju, a ci, którzy tam przychodzili, stale przyprowadzali znajomych i razem ucztowano aż do nocy.

Spotykała się tu przede wszystkim bohema. W późnych godzinach nocnych można tam było zobaczyć aktorów lub pisarzy, którzy zabierali się do pracy – jedzenia. A jako że potrawy były tam naprawdę bardzo smaczne, jedli je z wielkim apetytem.

A kiedy wszyscy byli bardzo zapracowani jedzeniem, w drzwiach pojawiała się postać z nadętą twarzą, z rozbieranymi oczami i sterczącym brzuchem. Wszystkie spojrzenia kierowały się w jej stronę. Był to Chaim Wodnik.

Chaim Wodnik był Żydem, mędrce, wielkim znawcą żydowskiej literatury, dobrym znajomym Szaloma Asza. Gdy Szalom Asz przybył do Łodzi, nie widać było nigdzie Chaima Wodnika. Spędzał on z pisarzem całe dni, a gdy Szalom Asz wyjechał, Chaim Wodnik zaczął znów się pokazywać, cały rozpromieniony. Czuło się, że dobrze na niego działało spędzanie czasu z jego przyjacielem Szalomem Aszem.

Kiedy spotykało się Chaima Wodnika, zawsze nucił on jakąś melodię z symfonii, a jego twarz była rozświetlona z radości.

Chaim Wodnik miał żonę i syna. Żony nigdy się nie widywało, ale syna owszem. Chaim nie miał dobrego mniemania o swoim synu, a syn nie miał dobrego mniemania o ojcu.

Chaim Wodnik miał w gronie znajomych wielu chasydów, którzy go cenili. Był znany jako ten, który wielu chłopców z jesziwy sprowadził z prostej drogi. Wyczekiwał na nich w pobliżu jesziwy i kiedy studenci wychodzili, zaczynał z nimi dyskusje. Tak długo z nimi rozmawiał, aż stawali się jego chasydami, a Chaim Wodnik zawsze miał im coś do opowiedzenia.

Gdy chciało się spotkać Chaima Wodnika, wiadomo było, że można na niego trafić u Brudnego Szmula. Chaim przesiadywał tam przy stoliku i z zapalem toczył dyskusje do późnych godzin nocnych. A po zamknięciu restauracji nie szedł prosto do domu. Podchodził do ulicznych dziewczyn, które kręciły się za rogiem i rozmawiał z nimi, wypytując je o to, jak zarabiają na chleb.

Chaim wysłuchiwał ich i odchodził zasmucony. Pomrukując jakąś melodię, znikał wśród łódzkich uliczek. Był jedną z ciekawszych osób, jakie spotykało się na ulicach Łodzi.

Drugą ciekawą postacią był Lejb Anarchista²⁵. Niewysoki, wychudzony, zwykle nie dojadł, nie dosypiał, chodził z rozczochanymi, długimi włosami. Jedno jego oko lekko

²⁴ Czulent – zob. s. 50, przyp. 22.

²⁵ Lejb Anarchista, właśc. Lejb Berkenwald (1898?–1941?) – barwna postać w środowisku łódzkiej żydowskiej bohemy artystycznej. Autor pamiętnika, polski przekład: *Memuary albo okruchy z życia Lejba*, tłum. A. Jakimyszyn-Gadocha, [w:] *Sztetl, szund, bunt i Palestyna. Antologia twórczości literackiej Żydów w Łodzi (1905–1939)*, red. K. Radziszewska, D. Dekiert, E. Wiatr, Łódź 2017, s. 240–265. Szczegółowe informacje o życiu Lejba zob. P. Laskowski, *Bunt i melancholia. Obraz życia anarchisty w „Memuarn fun Lejbn”*, „Autobiografia” 2020, nr 1 (14), s. 185–215.

zezowało. Nie było pieśni robotniczej albo piosenki ludowej, której Lejb by nie znał. Wyśpiewywał je całym sercem i duszą. Wszyscy go lubili, nie bacząc na to, że nie jest on dobrze ubrany ani zbyt czysty. Lejb znał na pamięć całe rozdziały naszych klasyków. Pamięć miał naprawdę doskonałą.

Niedaleko Brudnego Szmula, przy ul. Południowej 7, znajdowała się mała kawiarnia. Nazywała się Pod Szklanką, a jadło się w niej dania bez mięsa: ryż z mlekiem, ziemniaki, kluseczki z mlekiem oraz placki. Było to miejsce spotkań miłośników placków.

Kawiarnia Pod Szklanką była znana w Łodzi. Spotykała się tam bohema i osoby związane z ruchami lewicowymi, a także wielu przyjaciół Chaima Wodnika. Również Lejb Anarchista był tam częstym gościem. Kiedy wchodził, przyjaciele natychmiast zapraszali go do stolika. I od razu zaczynały się dyskusje dotyczące rozmaitych zagadnień. A gdy dyskusja się kończyła, Lejb zaczynał śpiewać bliskie swemu sercu pieśni ludowe i robotnicze, które wszyscy podchwytywali.

Lejb Anarchista był wielkim entuzjastą teatru Ararat. Nie przepuścił ani jednego programu. Siedząc na przedstawieniu cały był pochłonięty melodiami. Po spektaklu zawsze miał każdemu coś do powiedzenia.

Pod Szklanką widywało się wielu studentów, którzy chętnie tam przychodzili. Lejb ich znał i czuł się wśród nich jak ryba w wodzie. Miał dobry kontakt ze studentami, dużo z nimi rozmawiał i śpiewał im swoje ulubione piosenki.

Lejb nie przychodził do Astorii. Tam było dla niego zbyt elegancko. Często stwierdzał krytycznie: „To jest przecież człowiek z Astorii”, i to już wyrażało wszystko.

Był serdecznym przyjacielem i wszyscy znajomi mieli z nim dobre relacje.

Lejb pisał także wiersze i często je czytał Pod Szklanką. Swoje wiersze zawsze nosił ze sobą. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka, z czego żyje, gdzie pracuje. Lejb więcej dyskutował niż pracował. Ale każdy miał do niego sentyment.

Lejb nie przejmował się tym, że nie jest dobrze ubrany, że nie zawsze jest ogolony. Dla niego najważniejsze było czytanie wierszy, które wcześniej napisał. Gdy tylko spotykał jakiegoś znajomego, zaraz zaczynał mu czytać jeden ze swoich wierszy, nie pytając nawet, czy ten chce słuchać.

Lejba znali wszyscy. Gdy się uśmiechał, myślano, że się złości – tak zmieniała się jego twarz. Ale on był serdeczny, towarzyski i wszyscy chętnie z nim spędzali czas. A kiedy on spotykał kogoś z Araratu, zaraz zaczynał śpiewać jakąś piosenkę z teatru.

Stale widywano go z pakunkiem wierszy pod pachą. Wszędzie je ze sobą nosił i myślał o lepszym jutrze, które ma nadejść...

ŻYDOWSCY MUZYKANCI PODWÓRKOWI W ŁODZI

Kapela podwórkowa składała się zwykle z czterech muzykantów: pierwszych skrzypiec, drugich skrzypiec, klarnetu oraz sfatygowanego bębna i dwóch poobtłukiwanych talerzy. To był cały skład „orkiestry”, którą usłyszeć można było na łódzkich podwórkach. Nikt nie wiedział, skąd przybywają, ani kim są. Ich wygląd i odzienie były różnorakie: czapki

z błyszczącymi daszkami, zielone kapelusze, niektóre zawzione, inne nieco za duże; może nawet specjalnie się zakrywali, by nikt ich nie mógł rozpoznać.

Gdy taka „kapela” przybyła na podwórko, by dać swój „koncert” – grajkowie rozglądali się najpierw uważnie na boki, oceniając również spojrzeniem okna – czy będzie się opłacać... Gdy przywódca kapeli widział, że podwórko nie jest specjalnie zamieszkałe, nie grali. Na gęsto zaludnionych podwórzach grali jak najbardziej. Repertuar takich kapeli składał się z rosyjskich romansów, piosenek z żydowskich teatrów oraz szczypty muzyki cygańskiej, po której publika dosłownie się obliżywała. Oczy muzykantów zwrócone były na wyglądających przez okna ludzi.

I oto z okien zaczynają spadać monety zawinięte w kawałki papieru. Zbierał te grosze zawsze bębniarz, w pośpiechu wpychając je do kieszeni i wrzeszcząc po polsku: „Dziękuję, dziękuję!”. Potem skrupulatnie odwijał monety z papierków, w które były zawinięte. Muzyka graków niosła się jeszcze przez chwilę przez podwórze, jednak gdy wszystkie monety spoczywały już w kieszeni bębniarza, dawał on na boku znak. Przerywali w trakcie melodii i wynosili się na inne podwórko. Kapeli przez cały czas towarzyszyła przygodna publiczność, idąca za nią od podwórka do podwórka. Oni niestety nie należeli do ofiarodawców...

Ta publiczność była jednak dla muzykantów bardzo ważna. To właśnie podążająca za nimi grupka stwarzała odpowiednią atmosferę na każdym podwórku. Ich obecność świadczyła, że grajkowie cieszą się powodzeniem...

Gdy przybyli na następne podwórko, pierwszy skrzypek ustawił się w pozie, mającej jego zdaniem świadczyć o nie wiadomo jakim mistrzostwie. Jednak pierwsze dźwięki, jakie się rozległy, wcale nie rzuciły publiki na kolana. Bębniarz zadudnił z całych sił tak głośno, że przestraszyli się sami grajkowie. Pierwszy skrzypek zgromił perkusistę wzrokiem, a ten spuścił z tonu.

Były również takie kapele, które nie chciały grać po podwórkach. Grali na pięknych i bogatych ulicach Łodzi. Grupy takie składały się wtedy z więcej niż czterech osób. Mówiono, że zarabiali całkiem nieźle. Byli lepiej ubrani niż podwórkowi muzykanci. Nosili ciemne okulary, by nie można było ich rozpoznać. Byli wśród nich profesjonalni muzycy, nie jacyś tam grajkowie. Niektórzy dopiero na starość musieli się imać takich zajęć, jak granie na ulicy, inni byli na tyle rozczarowani życiem, że pogodzili się ze swym losem ulicznego muzykanta.

Kapele z różnego rodzaju muzykantami wyrastały w Łodzi jak grzyby po deszczu. Stare składy kapel mieszały się z nowymi, wielu opuszczało jedną kapelą i przechodziło do innej, tak że w końcu nikt nie wiedział, kto jest „stary”, a kto „nowy”. Jednak gdy taka kapela zaczynała grać, przechodnie na ulicy zatrzymywali się, by posłuchać ulubionych melodii, a to skłaniało ich do rzucania większych monet.

Każda kapela miała swoje ulice, na których grała. Każda miała też swojego solistę, na którego wszyscy spoglądali z szacunkiem. Po całym dniu ciężkiej pracy polegającej na graniu i włączaniu się z miejsca na miejsce po łódzkich ulicach, wymęczeni muzycy kierowali swe kroki do szynku – tam następowało rozliczenie. Każdy otrzymywał swoją

dolę. Po rozliczeniu część szła do swych rodzin, a ci, którzy zostali, udawali się do swoich kochanek, które już na nich czekały. Wychylano jeden kieliszek za drugim...

O poranku znów można było spotkać te uliczne kapele, włączące się po łódzkich ulicach oraz posłuchać tych samych melodii. Jedynie dzwonienie łódzkich tramwajów zakłócało od czasu do czasu muzykę kapeli i fragmenty melodii zawisały w powietrzu jakby niedograne do końca...

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

ŚLEPY MAKŚ

Na łódzkich podwórkach i ulicach, wśród różnych ulicznych śpiewaków pojawiali się często akrobaci, zonglerzy, połykacze mieczy i starzy cyrkowcy, których kariera w cyrkach wędrownych już się zakończyła. Zwykle przynosili ze sobą kawałek starego, wysłużonego dywanu, mały bębenek i wspólnie z jakimś starym kataryniarzem wędrowali po łódzkich podwórkach robiąc za kilka groszy sztuczki i akompaniując sobie na bębenu. Z takiego podwórkowego koncertowania i robienia sztuczek żyły setki ulicznych śpiewaków.

Można ich było zobaczyć także na wszelkich placach targowych. Chłopi i straganiarze chętnie oglądali „sztukmistrzów” i rzucali im grosz albo dwa.

Swego czasu zaczął się pokazywać na ulicach ślepiec z harmonią w towarzystwie skrzypka. Ten skrzypek był w młodości dobrym muzykiem, a na starość musiał zarabiać na chleb, chodząc po ulicach i podwórkach i grając.

Ów ślepiec nazywany był Ślepym Maksem²⁶. Śpiewał i przygrywał sobie na harmonii. Ślepy Maks śpiewał od serca i cieszył się dużym zainteresowaniem wśród podwórkowej publiczności. Wykonywał melodie ze spektakli teatralnych oraz piosenki rosyjskie. Wielokrotnie wyciskał ze słuchaczy łzy.

Publiczność podążała za nim ulicami. Ślepy Maks miał też człowieka, który go prowadził. Kiedy wchodził w trzech na jakieś podwórko, ślepy Maks pytał cicho swojego przewodnika: „Jaszke, czy to jest duże podwórko?” Jeżeli Jaszke odpowiadał, że tak, wtedy zaczynało „spektakl”, a jeżeli podwórko było małe, wówczas kapela dwóch muzyków szła dalej szukając większego. Ślepy Maks śpiewał całą duszą i sercem tak, że miało się wrażenie, że on wypłakuje pieśń. Publiczność stała zdumiona i czekała. Czeladnicy piekarscy, tkacze, kapelusznicy, szczotkarze – wszyscy przychodzili go słuchać. Przerywano pracę na parę minut, by posłuchać rzewnych pieśni ślepego Maksa.

Ślepy Maks naprawdę dużo zarabiał. Pieniądze, które rzucano mu z okien albo dawano, przewodnik wkładał do torby ślepego Maksa, a elastyczne palce Maksa macały monety w worku. Czuł i wiedział, ile zarobił na danym podwórku.

Po skończonym dniu pracy ślepiec i jego dwóch pomocników szli do pewnej knajpy. Gdy siadali, Maks wysypywał pieniądze z worka i sam liczył dzienny zarobek. Każdemu

²⁶ Identycznego pseudonimu używał legendarny łódzki gangster Menachem Bornsztajn (1890–1960), ale nie był niewidomy.

dawał umówioną część. Później wypijali sznapsa, przegryzali czymś i skrzypek wychodził. Jaszke odprowadzał ślepego Maksa do domu.

Maks miał rodzinę – żonę i dwoje dzieci. Przychodząc do domu ściągał z siebie harmonię zawieszoną na pasie, który przez cały dzień wrzynał mu się w plecy i odstawiał ją do kąta na szafkę. Maks miał swoje krzesło, na którym zawsze siadał. Jego dwie córeczki przychodziły pomagać tacie. Jedna zabierała buty, które tata zdjął, druga przynosiła pantofle, a żona przygotowywała kolację. Maks dobrze zarabiał, w domu niczego nie brakowało, a dzieci chodziły ubrane po pańsku.

Córeczki bardzo tatę kochały, a on był zadowolony z takich oddanych dzieci, które pomagały swemu ojcu na każdym kroku. Kiedy Maks zjadł kolację, brał swoją najlepszą przyjaciółkę – harmonię i próbował nowe pieśni, na których będzie mógł zarabiać. Maks wiedział, że ludzie lubią słuchać jego śpiewu i gry. Czuł to dzięki pieniądзом, jakie zarabiał każdego dnia, grając na podwórkach.

W tym samym czasie na podwórkach łódzkich ulic pojawił się niski brunet w ciemnych okularach, śpiewający wspaniałym tenorem. Chodził po tych samych podwórkach, co Ślepy Maks. Ów mężczyzna w okularach był mocnym ciosem dla wszystkich innych podwórkowych śpiewaków i wytworzyła się swego rodzaju konkurencja. Inni śpiewacy nie szkodzili zarobkowi Ślepego Maksa, ale gdy przychodził ten w okularach, podwórko robiło się czarne od ludzi. Publiczność mówiła, że w teatrze tak nie śpiewają. Przechodnie na ulicach rozmawiali tylko o śpiewaku w ciemnych okularach.

Nikt nie wiedział skąd on pochodzi. Ludzie mówili, że nosi ciemne okulary, żeby nie zostać rozpoznanym. Wszyscy podwórkowi śpiewacy po pracy spotykali się razem w knajpie. Ponieważ ślepy Maks czuł, że tamten śpiewak jest największą konkurencją, pewnego razu zaczął go. Powiedział, że tamten nie powinien występować na tych samych podwórkach co on, że powinien wziąć inne ulice.

Śpiewak w okularach wykrzyczał: „Ulica z podwórkami jest dla wszystkich”. Kłótnia przerodziła się w bójkę. Złapano za noże, a pierwszym, który to zrobił, był Ślepy Maks. Przeciwnicy Ślepego Maksa zauważyli to i byli pewni, że go zwyciężą. Maks pierwszy rzucił się na rywala, przypadkowo trafił i porządnie go dźgnął. Maks wyszedł na podwórko, a przeciwnicy za nim. Maks dobiegł do płotu i uciekł. Cały półświatek zawrzał – ślepiec nie tylko potrafi kogoś dźgnąć, ale jeszcze do tego uciec.

Ślepy Maks naprawdę odstraszył innych śpiewaków, wszyscy wiedzieli, że lepiej z nim nie zadzierać, bo to bardzo ryzykowne, więc chociaż był ślepy, nie wchodziło mu już w drogę.

Kiedy Ślepy Maks przychodził na podwórko śpiewać, pozostali śpiewacy szli na inne ulice. Łódzcy śpiewacy podwórkowi występowali na dziesiątkach ulic i podwórek, a każdy śpiewał i grał na swój sposób.

Przełożyła z jidysz Julia Makosz

BERKE – ŚPIEWAK PODWÓRKOWY Z LASKĄ

Berke o szerokich barach, z ciągle uśmiechniętą twarzą i chrapliwym głosem był zdrów jak dąb, jednak często mu było do płaczu. Berke płakał ze swoją bardzo małą żoną na ulicy Prywatnej na Bałutach, niedaleko od wielkiej i długiej ulicy Aleksandrowskiej. Płakali praktycznie wszyscy mieszkańcy ulicy Prywatnej.

Po powrocie z wojska potężny Berke postanowił grać na katarynce na łódzkich podwórkach. Zwykł być prowadzać ze sobą wychudzoną i trzęsącą się małpkę o zastygłych w przerażeniu oczach.

Berke z katarynką i małpką nie zarabiał zbyt wiele na utrzymanie, więc gdy jego mała żona, Rywcia, z peruką na głowie i dużymi kolczykami spoglądała na Berkego, robił się jeszcze mniejszy niż jego malutka żona.

Gdy Berke wracał po całym dniu pracy z katarynką i małpką, Rywcia, jego mała żona, już z góry wiedziała, że nie zarobił ani grosza. Takimi słowami witała go od progu:

– Berke! Jak długo jeszcze będziesz się szwendał z katarynką i małpką?

Wysoki, silny Berke zmieniał się w jagniątko.

Prawie bezgłośnie prosił ją miękkim głosem: Rywciu, laleczko moja, pójdę śpiewać na podwórko i przyniosę ci całą torbę pieniędzy!

Berke obiecał to swojej żonie już dawno, jednak wreszcie postanowił na poważnie zabrać się do roboty. Wziął swoją grubą laskę i powiedział:

– Rywciu, widzisz tę grubą laskę? Ona mi bardzo pomoże w pracy.

Berke miał dobrze, bo już miał przetarty szlak. Chodził przecież dawniej po podwórkach ze swoją katarynką i małpką i fantazyjnie zawiązaną chustą na szyi, teraz też będzie chodził na te same podwórka, tylko będzie śpiewał.

– Mam przecież piękny głos – powiedział do swej Rywci. – I znam mnóstwo piosenek. – I poszedł Berke ze swoją laską jak muzykant ze skrzypcami. A laska ta bardzo pomogła mu śpiewać, jak również przeganiać łobuzów biegających za nim po ulicach i chcących wiedzieć, gdzie Berke podział katarynkę z małpką.

Kiedy Berke wchodził na podwórko, gdzieś na Bałutach, najpierw wyglądał na siebie ubranie, brał laskę mocno w dłoń, jakby była ona czymś w rodzaju kamertonu. Najpierw uderzał laską w takt o kamienie, a dopiero potem zaczynał nucić piosenkę – samą melodię, bez słów. Nucił ją Berke jak chciał, jak mu przyszło do głowy. To był jego pierwszy numer. Zanim zaczął swój drugi numer, rozejrzał się najpierw dobrze na wszystkie strony. Gdy zobaczył, że ludzie wyglądają z okien, zwracał wzrok w ich stronę i zaczynał swój drugi numer. Ale to już była piosenka ze słowami:

Dziewczynka z chałką
Miała złotą lalkę
Oj dana, oj dana,
Oj dana, oj dana, miała.

I Berke jeszcze dalej mruczał swym chrapliwym głosem, uderzał swą grubą laską do taktu o kamienie. A śmiechy i okrzyki dzieci, które przybiegły i towarzyszyły Berke od jednego podwórka do drugiego, rozbrzmiewały po ulicach i zaułkach Bałut.

Berke ze swą roześmianą twarzą zobaczył, że odniósł sukces. Rzucano mu przecież z okien pieniądze. Spostrzegł, że ludzie się śmieją i że tłum jest zadowolony, i postanowił uraczyć publikę wielkim numerem. Ale on był już po polsku, ponieważ na podwórkach, gdzie zwykł występować, mieszkali też Polacy. Polska piosenka Berkego szła tak:

Oj tarada,
No jednej duch
A to panienka
Patrzy mi na brzuch.

Kończył Berke tę piosenkę dzikim śmiechem, z całej siły uderzając laską w kamienny bruk.

Wszystkie piosenki, które Berke śpiewał na podwórkach, miały ten sam rytm, zmieniał jedynie słowa, mrucząc melodię swoim chrapliwym głosem. Śpiewał, jak mu przyszło na myśl. Jego melodie więc za każdym razem były inne. Z dnia na dzień Berke stał się znany na całych Bałutach. Nie dawano mu po prostu przejść przez ulicę.

Gdy ktoś go przedrzeźniał, przekręcając jego piosenkę *Dziewczynka z chałką*, Berke złościł się i zaczynał wywijać swoją grubą laską.

Były i takie podwórka, na które nie wpuszczano Berka, ponieważ podczas występów ganiał, wymachując swą laską.

Gdy Berke kończył dzień śpiewania, przemierzając całe Bałuty z jednego krańca do drugiego, jego uśmiechnięta twarz śmiała się jeszcze bardziej, spieszył do domu do swej Rywci, niecierpliwie wyczekującej swojego męża.

Berke nie chodził śpiewać na podwórka położone blisko miejsca, gdzie sam mieszkał. W pierwszym okresie nikt w jego okolicy nie wiedział nawet, że Berke został śpiewakiem podwórkowym, choć wszyscy wiedzieli, że chodzi z katarynką i małpką. Jednak gromadka urwisów, która biegała za śpiewakiem podwórkowym, dowiedziała się, że Berke śpiewa po podwórkach piosenkę *Dziewczynka z chałką*, zaczęła za nim biec i pokrzykiwać: „Dziewczynka z chałką”.

Berke, ma się rozumieć, nie pozostawał im dłużny, okładał ich swoją dużą laską i przeklinał najgorszymi wyzwiskami.

Miał on zwyczaj opuszczać swe mieszkanie każdego dnia wcześniej rano, tak żeby nikt nie widział, jak wychodzi i żeby dzieci za nim nie biegle. Znał na pamięć swe ulice i podwórka i szybko się wprawiał w nową profesję.

Kiedy przychodził na podwórko, gdzie mieszkali bogatsi ludzie, nie zaczynał swojej stałej melodii bez słów, lecz śpiewał *Dziecięce lata i Rumuńskie wesele*. Za każdym razem Berke śpiewał te piosenki inaczej, jak mu akurat przyszło do głowy. Zmieniał słowa i śpiewał tak:

Dziecięce lata
Aj, piękne dzieci,
Dasz mi całusa
W buźkę.

Laska towarzyszyła mu do taktu, uderzając o kamienie brukowanego podwórka. Rozgardiasz, śmiechy i okrzyki ogłuszały stojących tam słuchaczy. Tłum się śmiał i rzucał drobne. Berke w mig łapał lecące monety i szybko wkładał do kieszeni. Zawsze jednak kończył swój koncert podwórkowy „Dziewczyną z chałką, która ma złotą lalkę”. Kiedy dzień pracy się kończył i gotował się do powrotu do domu, kupował wszystko, co najlepsze. Szczególnie w piątek kupował świeżutką rybę, najpiękniejszą, ślicznie zapieczoną chałkę i najdroższy kawałek mięsa. Wszystko pakował do woreczka, który ciągle nosił ze sobą. Kiedy Berke wracał do domu, jego mała Rywcia z wielką peruką i wielkimi kolczykami niecierpliwie na niego czekała. Berke udawał się szybko do stołu i wytrząsał cały zarobek z drobniakami, które się nazbierały podczas całego dnia pracy. Na twarzy Berkego, który liczył monety, rozlewała się radość. Podobnie było u Rywci. A on zadowolony, pomrukiwał swym chrapliwym głosem.

Przełożyła z jidysz Krystyna Radziszewska

KATARYNIARZE

Na graniczącej z ulicą Aleksandrowską ciasnej uliczce Pieprzowej tłoczyły się piętrowe drewniane domki. Mieszkania od frontu i kramiki były w większości zajęte przez prostytutki, w średnim wieku lub już podstarzałe. Kiedy się tamtędy przechodziło i niechcący zahaczało wzrokiem o taki kramik albo o któreś okno, rzucały się od razu w oczy dzban, miska, ręcznik i parawan. Nie można było przejść w spokoju. Zewsząd dochodziły wołania: „Chodź, chłopcze, chodź kochany!” Niemłode kobiety, w chustach narzuconych na jedno ramię, ze szminką na pomarszczonych wyblakłych twarzach, przebiegłe wabiły każdego przechodnia, aż go chwyciły za poły.

Na tej samej uliczce ulokowali się również kataryniarze ze swoimi instrumentami. Mieli charakterystyczny strój: czapki z lśniącem daszkiem, lniane luźne koszule, czarne spodnie z dodatkiem koloru i wysokie buty.

Rano wychodzili do pracy niosąc na plecach katarynki. Szeroki skórzany pas opasywał im pierś i podtrzymywał instrument oraz skrzynkę z wróżbami, barwnymi ptakami – papugami, i białymi świnkami morskimi. Siedziały na poprzeczce skrzynki, a od chodu człowieka rzucało nimi na wszystkie strony. Każdy kataryniarz miał swój rewir, z którego czerpał po kilka groszy zarobku.

Wielu z nich miało też żony. Pomagały im w pracy, robiąc sztuczki z ogniem i wyciągając z ust kolorowe wstęgi. Potem brały czapkę męża i zbierały rzucane z okien grosiki, zawinięte w papier. Inni kataryniarze prowadzili ze sobą dzieci. Gdy przychodzili na podwórka, dzieci rozkładały jakąś szmatę, wywijały koziołki, robiły przeróżne wygibasy, chodziły na rękach. Na końcu zbierały pieniądze. Ludzie dawali wtedy więcej,

litując się nad biednymi dziećmiakami zmuszonymi robić łamańce, by zarobić kilka groszy. Były wychudzone, wycieńczone całodziennymi wyczynami.

Kataryniarz wypłacał dniówkę matce lub ojcu dziecka. I tak dzieciaki poniewierały się od rana do wieczora po łódzkich podwórkach i robiły sztuczki. A następnego ranka zaczynał się nowy dzień chodzenia na rękach, skoków i wykręcania młodych kończyn.

Była też inna kategoria kataryniarzy: u tych kupowano wróżby, by dowiedzieć się, co przyniesie los. Świnka morska wyciągała karteczkę, a kataryniarz podawał ją osobie, która zapłaciła uprzednio kilka groszy.

Kiedy rozlegały się pierwsze tony katarynki, w oknach pokazywały się młode twarze: służące pracujące u bogatych gospodyń. Każda z dziewcząt chciała jak najszybciej znaleźć się na podwórzu i wyciągnąć wróżbę, żeby dowiedzieć się, czy będzie w życiu szczęśliwa, bogata czy biedna. Bo na karteczce było ze szczegółami wypisane, czy zakocha się w niej bogacz, ile będzie miała dzieci... wszystko to można było wyczytać z wróżby wyciąganej przez białą świnkę morską. Dlatego dziewczyny szybko wybiegały z wiadrami odpadków do śmietnika, po czym dopadały do katarynki, każda chciała pierwsza wyciągnąć szczęśliwą wróżbę. Z karteczkami w rękach biegły z bijącym sercem po schodach, chciały już być w mieszkaniu, żeby gospodyni na nie nie nakrzyczała. Później kładły się do łóżek i puszczały wodze fantazji: wyobrażały sobie, jakie będą bogate, jakie ładne dzieci urodzą, że nie będą musiały pracować u obcych, tylko same zostaną paniami i inni będą je obsługiwać. W uszach rozbrzmiewały im jeszcze dźwięki katarynki, zasypiały z nadzieją zacerpniętą z przychylnej wróżby i śniły dobre sny o przyszłości.

Były dwa pokolenia kataryniarzy: starsze, coraz słabsze, i młode, powoli zastępujące rodziców. Starsi mieli przedtem inne fache: pracowali jako złodzieje kolejowi lub uliczni albo alfonsi. Ale w pewnym wieku brakło już sił na wieloletnie odsiadki, szukano więc nowych zarobków, jak katarynki z papugami i białymi świnkami morskimi, wyciągającymi wróżby dla dziewczyn i chłopaków. Zawsze jakieś źródło utrzymania na stare lata. A kiedy nogi odmawiały już posłuszeństwa i nie można było dłużej taszczyć na plecach katarynki, nowe pokolenie zaprzęgało się do pracy z ojcowskim instrumentem. Ojciec dawał synowi-następcy lekcje, jak należy się uśmiechać do frajerów podchodzących po karteczkę z wróżbą. Uczył, że kiedy ludzie rzucają z okna grosika czy dwa w papierku, trzeba się uśmiechnąć i skinać głową.

Nowe pokolenie też już miało młodych pomocników do robienia sztuczek. Wśród kataryniarzy byli bardzo ładni chłopcy, o których córki kataryniarzy biły się na noże.

Czarny Fajwke był przystojniakiem z ciemną gęstą czupryną i długimi bokobrodami. Nosił ładną kolorową koszulę z kołnierzykiem do podbródka, a z boku głowy miał kok, na którym opierała się czapka z lśniącem daszkiem. Wszyscy, nawet dziewczyny, które przychodziły wyciągnąć wróżbę, oddaliby za niego życie, taki był piękny. Kiedy zjawiał się ze swoją katarynką, jego lakierowane wysokie buty błyszczały na całe podwórze. A gdy wracał wieczorem do domu, ojciec już na niego czekał i niecierpliwie wypytował: „Fajwke, jak ci dziś poszło, dużo było frajerów?” – „Dziś, tato, był dobry dzień. Jak tylko wyszedłem z domu, zobaczyłem garbusa z białym koniem, więc wiedziałem już, że dzień

będzie udany, i się sprawdziło, jak Boga kocham. Frajerki i frajerzy walili ze wszystkich stron, sypali pieniędzmi i rozchwytywali wróżby. Mogę ci powiedzieć, tato, że nawet świnka morska się zmęczyła tym wyciąganem karteczek”.

Fajwke miał dziewczynę, córkę Iczego Nosacza. Kochali się. Jak tylko Fajwke wracał do domu z ulicy, zaraz się mył, stroił, zjadał coś na chybcika, i szedł zobaczyć Bejlusię, swoją najpiękniejszą Bejlusię.

Bejlusia była blondynką z wielkimi czarnymi oczami. Już czekała na swojego ukochanego Fajwke. Chodził z nią do kinematografu i kupował jej karmelki, które uwielbiała. Była strasznym łakomczuchem. Icze Nosacz, jej ojciec, tak ją właśnie nazywał: „Bejlusia łasuch”. Matki nie miała. Umarła młodo, w połogu, tak więc to Bejlusia była w domu gospodynią i zawsze miała w zanadru kilka groszy. Mogła dzięki temu trochę podjadać i kupować sobie w sklepiku karmelki, ciasteczka z makiem, marmeladki. Ale najbardziej lubiła lody. Fajwke o tym wiedział i kiedy wracał z pracy, Bejlusia już czekała na swojego Fajwkusia, co jej kupuje wszystko, na co ma ochotę.

Dla Bejlusi sobota był najlepszym dniem. Razem z Fajwkim chodzili wtedy na Grabinki, do lasku. Spotykali się tam wszyscy kataryniarze, i tacy, co chodzą i robią sztuczki, i ci od skrzynek z wróżbami. Wszyscy w sobotę zbierali się w lasku i każdy przynosił a to pieczoną kaczkę, a to gęś, kilka beczulek piwa, sznaps, solony groch z bobem, śledzie... Robił się wielki bal. Kataryniarze siedzieli osobno. W lasku zbierało się kilkaset ludzi, również kobiety i dzieci. Były tam też inne grupy, ale nie mieszały się z kataryniarzami.

Mężczyźni w czapkach z lśniącem daszkiem, w wysokich butach i barwnych koszulach, kobiety też ubrane na kolorowo, zabierali się do jedzenia i picia. Wielu przynosiło harmonijki i bębni, więc po jedzeniu tańczono kamarinską i inne tańce. Śpiew i muzykę słyszeć było z daleka.

Fajwke i Bejlusia byli dobrymi tancerzami, więc wszyscy na nich patrzyli i tylko czekali, kiedy tych dwoje wreszcie zabierze się do tańca. Bo kiedy już zaczynali, nie mogli przestać. Harmonijki grały, towarzystwo tańczyło, wszyscy sobie trochę popili, więc każdy chciał się pokazać, robiło się gorąco. Bez bójek nie obyła się żadna sobota, w końcu trzeba się było trochę wyżyć.

Fajwke był ze swoją najpiękniejszą Bejlusią (tak o niej mówił: „Moja Bejlusia jest najpiękniejsza na świecie”), a Bejlusia ze swoim Fajwkim, który tak ją kochał i dawał jej tyle słodczy. Oboje usuwali się w jakieś ustronne miejsce i Fajwke tak mocno obejmował swoją Bejlusię, że aż krzyczała: „Fajwke najdroższy, zadusisz mnie, nie ciśnij tak!”. „Tak cię kocham, że zwariuję, Bejlusiu!” A Bejlusia nie wypuszczała z rąk jego czarnej czupryny, całowała go i tuliła. „Mój Fajwke, mój piękny Fajwke”... Ich ręce i ciała spletały się, stawały się jednym...

Sobota była dla nich najpiękniejszym, najlepszym dniem tygodnia. Zawsze jej wypatrywali.

Noc zapadała, całe towarzystwo kataryniarzy zaczynało się zbierać do domu, pakowano przyniesione rzeczy: kołdry, chusty, na których siedziano, puste beczułki i butelki po

piwie, garnki. Fajwke i Bejlusia wracali jako jedni z ostatnich. Fajwke żałował, że sobota się tak szybko skończyła.

A nazajutrz rano kataryniarze znów wyprawiali się na ulice ze swoimi instrumentami, skrzynkami, barwnymi papugami. Nad ulicami Łodzi znów unosiły się urywane, monotonne dźwięki katarynek.

Przełożyła z jidysz Natalia Krynicka

ULICA PIEPRZOWA

Ulica Pieprzowa zamieszkała była przez furmanów, rzeźników, handlarzy owocami oraz nielicznych tkaczy. Pieprzowa wychodziła na plac Jojne Pilcera, dlatego wśród jej mieszkańców można było spotkać naprawdę wielu handlarzy owocami. Mieli oni swoje stoiska na placu targowym, gdzie stali przez okrągły rok.

Była to mała uliczka. Wąska z piętrowymi, drewnianymi domkami i oknami dachowymi. Było też kilka murowanych domów trzypiętrowych. Największy, pięciopiętrowy dom należał do Niemca Kramera, który był właścicielem wielu budynków na Bałutach.

W letnie wieczory prawie wszyscy mieszkańcy mieli zwyczaj wychodzić przed swoje domy i rozmawiać do późnych godzin nocnych. Dzieci grały w guziki, w klipę, albo w hacie. Długo słychać było hałas i krzyki. W piątki przed domami siedziało się nieco dłużej, ponieważ w sobotę można było trochę dłużej pospać. Jeśli sobota była piękna i ciepła, spacerowano do Radogoszcza, albo do parku, by zażyć trochę świeżego powietrza. Można było także załapać się do kinoteatru Flora mieszczącego się przy ulicy Zawadzkiej 22. Najpierw wyświetlano tam film, a potem występowali żydowscy aktorzy. W tamtym czasie w teatrze Flora występował wspaniały komik charakterystyczny Szlojme Kutner, a także aktor Balbirski. Teatr miał również w pobliżu ogródek, a przed budynkiem stały czterdziesto-, pięćdziesięcioletnie drzewa. W lecie było to dla mieszkańców Bałut piękne miejsce. Żydowska publiczność przychodziła oczywiście w piątek wieczorem, w sobotę i trochę w niedzielę. Przynoszono ze sobą całe torby jedzenia. Kiedy zaczynał się film, słychać było odgłos łupania pestek dyni, które widzowie ze sobą przynosili. Gdy na ekranie pojawiali się zli ludzie, albo intryganci, publiczność reagowała krzykiem, rzucaniem łuskami, pluciem, a kiedy wyświetlano scenę radosną, publiczność przeżywała z bohaterami każde wydarzenie – hałasowano, tupano, klaskano i gwizdano. Po sobotnich przedstawieniach trzeba było przyjechać wózkiem i wywieźć śmieci, które publiczność zostawiała w teatrze. Aktorzy, którzy występowali w teatrze Flora nieźle zarabiali. Widzowie bardzo lubili ich występy i masowo wypełniali teatr. Ulubieńcem był Szlojme Kutner, który później wyrósł na jednego z najbardziej uzdolnionych komików.

W czasie wojny, gdy Teatr Wielki przy ulicy Konstantynowskiej został zamknięty, jego trupa zaczęła dawać przedstawienia w teatrze Flora. Mieszkańcy Bałut przychodzili wówczas do teatru jeszcze liczniej. Wtedy już nie wyświetlano żadnych filmów, tylko grano sztuki i publiczność była zachwycona. To nie było co – wielka trupa z Teatru Wielkiego przyszła na Bałuty i wystawia sztuki. To był wielki zaszczyt dla ludności Bałut.

Mieszkańcy ulicy Pieprzowej dzielili się na biedotę i klasę średnią. Była to niemal całkowicie żydowska uliczka. Wyjątkiem byli stróże, którzy byli gojami.

W niedzielę, kiedy stróże udawali się do kościoła, widywano ich zgromadzonych w jedną grupkę przed kościołem. Rozmawiali ze sobą o tym, że Żydy mają wszystko, a oni, stróże, nic, a do tego jeszcze muszą Żydom usługiwać. Ale o tym wszystkim rozmawiali tylko między sobą, mówić tego głośno się bali, ponieważ ulicę Pieprzową zamieszkiwali żydowscy rzeźnicy, dorożkarze, handlarze z placu Jojne Pilcera, zdrowi Żydzi, którzy mogliby im oddać, gdyby się ich zaatakowało. O tym stróże z ulicy Pieprzowej dobrze wiedzieli. I gdy słyszano na podwórku, że coś jest nie w porządku, że ktoś atakuje Żydów, mieszkańcy Pieprzowej nie pozostawali w domach. Wychodzili na ulicę z drągami, orczykami, lub metalowymi kijami i chuligani dostawali nauczkę. Kiedy wybuchła I wojna i wszyscy mężczyźni zostali zmobilizowani, a zostały tylko kobiety, sytuacja na ulicy Pieprzowej trochę się zmieniła. Pozostali tam stróże i stróżki nieco podnieśli głowy. Ale kobiety z Pieprzowej dawały sobie radę i nie pozostawały dłużne. Stróże musieli zamknąć usta.

W czasie, gdy Łódź była otoczona przez armię niemiecką, a armia rosyjska szukała drogi by się przebić, rosyjskie wojsko załało Bałuty. Miejsce, gdzie Rosjanie chcieli się przedrzeć była ulica Brzezińska. Podwórka były więc pełne rosyjskich żołnierzy, a ulice zastawione taborami, armatami i karabinami maszynowymi. Kobiety bały się wystawić głowy na ulicę. Spoglądały, każda przez swoje okno. Trwało to kilka tygodni, a głód stawał się coraz większy, bo ludzie nie mogli wyjść z domu. Ostre mrozy, jakie wtedy panowały jeszcze pogarszały sytuację. Nie było czym palić.

Wiele osób przekradało się przez drugą stronę podwórka. Przechodzili przez płoty i biegli do swoich bliskich do miasta. Wszystkie miejsca publiczne były pełne rannych żołnierzy przywiezionych z frontu. Ulicami wciąż przewożono zmarłych na wozach taborowych. Ludzie biegali jak szaleni, szukali, gdzie można kupić cokolwiek do jedzenia. Kupowało się wszystko, co tylko można było dostać: spleśniały groch, stare krupy, zaśmierzdlą mąkę, otręby, z których można było upiec placki. Jedzono placki i popijano garnuszkami herbaty, do której dorzucano pół kostki sacharyny. I jedzono to z wielkim apetytem. Głód tak przygnębiał ludzi, że nie myśleli aż tak bardzo o mężach i o synach, którzy wyjechali na wojnę.

Kiedy rosyjscy żołnierze przedarli się przez szosę brzezińską i opuścili miasto, weszła armia niemiecka i zaczęto wydawać chleb na kartki. Oczywiście zrobiło się trochę łatwiej, ale nie całkiem. Początkowo zaczęły się pokazywać towary, które ludzie mieli gdzieś poukrywane. Wtedy „dobrzy Niemcy” wszystko rekwirowali i zabierali, i ze wszystkich zrobili biedaków. Każdy otrzymywał kartki na chleb. Gdy ludzie już dostali coś do jedzenia, przypominali sobie o swoich bliskich, którzy byli na wojnie i zaczęli ich opłakiwać. Niektórzy płakali z radości, gdy wojna się zakończyła i drogie im osoby wróciły do domu. A inni do konca życia rozpaczali za bliskimi, którzy już nigdy nie powrócili.

Ulica Pieprzowa zyskała nowe oblicze. Krzyków i lamentów było coraz mniej, choć brakowało ojców, synów, braci, szwagrów, zięciów, a bliscy wciąż ich opłakiwali. Nieliczne krzyki, jakie można było usłyszeć pochodziły od dzieci. Ale one szybko zapominają. A do tego, gdy dzieci już trochę dorosły, rzeczywiście zapominały.

Nie zapomnieli starsi, bo każdy kogoś stracił. W letnie wieczory nadal siedziano przed domami na ulicy Pieprzowej, ale ze smutkiem na twarzach. I z westchnieniem w sercu wspominano bliskich, którzy zginęli na wojnie.

Przełożyła z jidysz Julia Makosz

Ichhak Goldkorn

Urodził się w 1911 r. w Szydłowcu. Uczęszczał do szkół religijnych, odebrał też świeckie wykształcenie u prywatnych nauczycieli. W 1930 r. zamieszkał w Łodzi, gdzie pracował jako elektryk. W czasie wojny ukrywał się, a po jej zakończeniu wyjechał do Monachium, gdzie pełnił funkcję sekretarza Związku Pisarzy Żydowskich. W 1951 r. wyjechał do Kanady, gdzie zmarł w 1988 r. Pierwsze wiersze, jak sam potem twierdził, opublikował pod pseudonimem w piśmie I.M. Weisenberga „Undzer Hofnung” [Nasza Nadzieja]. W latach 1931–1936 publikował w „Najer Folksblat”. W 1938 r. wydał poematy *Nokturns* [Nokturny]. Po wojnie publikował wiersze, eseje o literaturze żydowskiej oraz teksty wspomnieniowe, które ukazywały się w Toronto, Montrealu, Tel Awiwie oraz Buenos Aires. Prezentowany tekst pochodzi z książki wydanej w 1963 r. w Tel Awiwie.

Łódzkie portrety. Zamordowani pisarze języka jidysz i inne postacie¹

MOSZE BRODERSON

Mosze Broderon to najbardziej znane nazwisko w przedwojennej, żydowskiej Łodzi. Kiedy przybyłem tam w roku 1930, było już po wszystkich burzach: tych artystycznych i tych sprowokowanych – skończyła się działalność grup Chaliastre², Jung Idysz³ itd. Ale Broderon wciąż jeszcze zajmował znaczącą pozycję, będąc najważniejszym łódzkim poetą. Wyglądał imponująco, nawet wówczas, gdy już nie nosił puszkiniowskich bokobrodów, ani swego rodzaju nowoczesnej wielobarwnej szaty – wyzywająco ekstrawaganckiego stroju rodem z artystycznej bohemy, z wyszytymi i wymalowanymi na koszuli wszelakiego rodzaju kwiatami i czarnymi świecidełkami.

Imponująca była przede wszystkim jego szczupła, wysoka postać. Podłużna, śniada twarz miała nie tylko romantyczny, ale i romański wyraz. Kto go nie znał, mógł go wziąć za jakiegoś włoskiego arystokratę. A gdy jeszcze widziało się go idącego ulicą Piotrkowską przyodzianego w futro z postawionym kołnierzem – bo nosił to ciepłe okrycie od jesieni do późnej wiosny – można było ulec wrażeniu, że to jakiś zamożny arystokrata z południowego kraju spaceruje ubrany tak ciepło dla ochrony przed niesprzyjającym klimatem.

¹ Pierwodruk: Ichhak Goldkorn, *Łódzer portretn. Umgekumene jidysz szrajber un tipn*, Tel Awiw 1963, s. 19–33, 58–83, 202–206, 115–127, 156–161, 177–183.

² Chaliastre (jid. ‘hałastra’) – awangardowa grupa artystyczno-literacka działająca w Warszawie, powstała ok. 1922 r. wokół czasopisma „Ringen” [Kręgi] wydawanego przez Michała Weicherta. Wśród członków grupy znaleźli się m.in.: Perec Markisz, Melech Rawicz, Mojżesz Broderon, Izrael Jozua Singer, Dawid Hofstein, Menachem Kipnis.

³ Jung Idysz (1918–1921) – awangardowa grupa jidyszowa składająca się z literatów, malarzy oraz twórców teatru. Jedną z najważniejszych postaci w grupie był Mojżesz Broderon. Członkowie grupy Jung Idysz chcieli na nowo zdefiniować żydowską tożsamość przez powiązanie jej z jednej strony z żydowską tradycją i językiem jidysz, z drugiej – z nowoczesnym stylem życia i modernizmem w sztuce. Artyści wydawali pismo o tej samej nazwie.

Popularność Brodersona w Łodzi można było wyjaśnić jego różnorodną działalnością – był bowiem poetą, dziennikarzem, autorem scenicznym, kierownikiem artystycznego teatru kameralnego i, ogólnie rzecz biorąc, siłą napędową łódzkiego świata kultury jidysz. Poza tym postacią znaną w świecie była również jego żona Szejne Miriam, artystka z teatru Ararat.

Pewnego razu – wzorem młodych autorów – postanowiłem dokonać literackiego „napadu”, kradnąc mu nieco czasu, aby posłuchał kilku wierszy, które chciałem mu odczytać ze specjalnego kajetu.

Napisawszy wcześniej liścik, przybyłem do jego domu przy ul. Zawadzkiej 49⁴, gdzie wtedy mieszkał. Kilka wierszy, które mu przeczytałem, przyjął z entuzjazmem. Zapewnił mnie, że „będę pisarzem”.

Niedługo potem polecił opublikować jeden z tych utworów w dzienniku „Najer Folksblat”, z redakcją którego współpracował jako autorytet w sprawach literackich. Pod tekstem umieszczono odredakcyjny komentarz: „Icchak Goldkorn jest młodym łódzkim poetą robotniczym. Tym utworem debiutuje w naszej gazecie”.

Co prawda chwilę wcześniej zadebiutowałem dwoma wierszami *Gicher drej zich maszindl* [Szybciej pracuj, maszynko] i *Bet zich baj dir majn mider blik* [Proszę cię zmęczonym wzrokiem] w „Undzer Hofnung” [Nasza Nadzieja] Weisenberga⁵, ale utwory te opublikowałem pod pseudonimem. Oczywiście tym razem Broderson odwiódł mnie od ukrywania swojego nazwiska. Jak by nie było, wiersz wydrukowany wraz z uwagą od redakcji w „Najer Folksblat” robił wielkie wrażenie – nawet jeśli nie w łódzkim świecie literackim, to w każdym razie na samym autorze.

Po redakcyjnej pracy w gazecie, wypadającej przeważnie wieczorem, Broderson zwykle spędzał czas w kawiarni Astoria na rogu ulic Piotrkowskiej i Śródmiejskiej. Zbierała się tam elita żydowskiej Łodzi: pisarze, aktorzy, malarze, dziennikarze oraz zwykli Żydzi związani z handlem i przemysłem, ale za to obdarzeni subtelnym smakiem i życzliwym stosunkiem do nowoczesnej kultury żydowskiej. Tam też, przy tym samym stoliku, szacowano kursy obu walut – tej duchowej i tej finansowej, tj. manuskryptów i skryptów dłużnych. W Astorii bywali Mejlech Rotbart, Dawid Mojmac, Ch. Kojfman (jedna z pierwszych ofiar gestapo w Łodzi), Abram Kon (brat widzewskiego magnata Oszera Kona) i dziesiątki innych majątnych miłośników jidysz. W kółku artystów rej wodził malarz Icchak Brauner ze swoimi prześmiewczymi improwizacjami i anegdotami, które miały posmak fantastycznych opowieści rabiego Bar Chany⁶.

Poza wyżej wymienionymi byli też inni stali bywalcy – przedstawiciele bohemy, tacy jak Herszl Zohar, Mosze Lojfer i inne satelity literackich gwiazd.

⁴ Obecnie ul. Próchnika.

⁵ Informacja, którą trudno zweryfikować. Jedyne znany obecnie numer redagowanego przez Icchaka Meira Weisenberga dwutygodnika „Undzer Hofnung” pochodzi z 1926 r. Nie wiadomo, czy czasopiśmo to ukazywało się wcześniej.

⁶ Raba bar Chana – żydowski uczony mieszkający w Babilonii w 2 poł. III w. n.e. Przypisywane są mu, zebrane w traktacie *Baba Batra*, fantastyczne opowieści o przygodach, jakich miał doświadczyć w czasie podróży morskich i na pustyni.

Pośród tego swojskiego, barwnego tłumu znajomych, w blasku pięknych luster, w kłębach papierosowego dymu, który unosił się nad stołami z białego marmuru, jak król pośród swojej armii siedział Mosze Broderson. Odzywał się raczej rzadko, w przeciwieństwie do Rabona, który nieustannie improwizował – rzucając od czasu do czasu jakieś powiedzonko, złośliwy i dwuznaczny kalambur albo krótką, ale celną uwagę, a wszystkie niezwykle dosadne i barwne.

Jednym ze stałych bywalców kawiarni był Mosze Lojfer, atletycznie zbudowany, ale astmatyczny mężczyzna około czterdziestki. I z wyglądu, i z natury przynależał raczej do sfery mieszczańskiej. Był zafascynowany żydowską inteligencją. Gdy znajdował się w grupie, często w dziwny sposób prosił o poczęstowanie go papierosem. Nawiązując do tematu prowadzonej rozmowy, używał rozmaitych pojawiających się w niej nazw i wyrażeń w miejsce słowa „papieros”. Gdy na przykład ktoś przy stoliku mówił o Tolstoju, pytał: – „Powiedz no, masz może jednego »tolstoja«?” Albo: „Rzuciłbyś mi jedną metodę dialektyczną”. Z powodu astmatycznego kaszlu musiał nieustannie pluć, zużywając w ciągu kilku godzin spędzonych w kawiarni całe mnóstwo serwetek. Nie wiem, w jaki sposób doszło do tej improwizacji, ale kiedyś Broderson wyróżnił właśnie jego, przekładając na hebrajski nazwisko Mosze Lojfer – jako Mosze Rac⁷.

Z czasem aforystyczny talent Brodersona stał się znany w całej Polsce. Pamiętam, jak kiedyś przeczytałem w dziale kroniki wileńskiego „Der Tog”, że Broderson nazwał Goebbelsa – oby imię jego i pamięć zostały wymazane! – „Josef hazadek”⁸...

* * *

Sądzę, że wyrażenie „talent aforystyczny” odnosi się nie tylko do „ustnej Tory” Mosze Brodersona, ale chyba również do tej „pisanej”⁹. Chociaż byłoby zbyt dużym uproszczeniem nazwać go jedynie słownym szermierzem.

Nie zgadzam się z krytykami, którzy redukuje jego twórczość literacką do samej deklamacyjności, napuszenia i błazenady, choć wszystkie te cechy charakteryzują w dużej mierze jego dzieła.

Obecna w ostatnio publikowanych tekstach tendencja niektórych autorów, by negować fenomen Brodersona, jest w swoim lekceważącym podejściu jeszcze bardziej niesprawiedliwa. Swego czasu podobną przesadą było nadmierne wychwalanie jego poetyckich zdolności – jak to miało miejsce na przykład w przypadku dra Maksa Bienenstocka¹⁰, który wygłaszał na polskiej prowincji specjalne odczyty o twórczości

⁷ *Lojfer* to w jidysz ‘biegacz’ – *rac* to po hebrajsku ‘biegnie’.

⁸ Gra słów, zamiast Josef hacadok (Józef Sprawiedliwy, określenia kojarzące się z postacią Józefa z Księgi Rodzaju, który zasłynął jako sprawiedliwy wiekoroządca w Egipcie) jest Josef hazadek [Josef Zadek].

⁹ Nawiązanie do biblijnej postaci Mojżesza, który zgodnie z tradycją żydowską przekazał narodowi wybranemu na Synaju dwie Tory – pisaną (zob. s. 39, przyp. 12) oraz ustną (Talmud).

¹⁰ Maks (Maksymilian) Bienenstock (1881–1923) – pisarz, krytyk literacki i tłumacz tworzący w języku polskim, niemieckim oraz jidysz, działacz syjonistyczny. Mieszkał i pracował m.in. w Wadowicach, Stryju i we Lwowie, gdzie zmarł. Jest autorem wnikliwej recenzji twórczości poetyckiej Brodersona: *Nowe prądy w literaturze młodożydowskiej. Mojżesz Broderson*, „Nowe Życie” 1924, nr 6, s. 349–367.

poetyckiej Brodersona. Nie chcę tutaj dawać wyczerpującej i ostatecznej oceny jego wielostronnego talentu literackiego. Chwalić lub krytykować autora można już na podstawie tylko jednej książki; jednak pełna ocena krytyczna może być wydana dopiero wówczas, gdy „sędzia” zapozna się ze wszystkimi „dowodami” i uwzględni „alibi oskarżonego”. Niniejsze słowa zostały napisane na podstawie kilku zbiorów poezji, tomiku jednoaktówek i czytanych już jakiś czas temu innych wierszy.

W istocie patos nie był naturalną cechą poezji Mosze Brodersona. Poeta modli się niczym przyodziany w dwa rzemienie tefilin¹¹ – jednym na głowie, a drugim na ręce, która jest blisko serca. Czyste, melodyjne słowo jest rodzajem sejsmografu rejestrującego głęboko ukryte, wewnętrzne drgania emocjonalne. Brodersonowi brakowało tego pierwiastka emocjonalności, która ujawnia się w oryginalnych obrazach i dźwiękach. Ostatnio czytałem jego wstęp do zbioru wierszy *Bagajsterung* [Zachwyt]¹²: „Z serca łopotem wyśpiewuję światu te moje pieśni – odgłosy światowych i mych własnych krwawych kataklizmów – zachwytu” i muszę przyznać, że tego ostatniego właśnie w niej nie znalazłem. W rezultacie książkę zamknąłem – bez zachwytu.

Ale nawet w jego bombastycznych utworach o charakterze deklamatorskim i publicystycznym wciąż jest obecny pierwiastek intelektualny, element czystego rozumu.

* * *

Początek lat dwudziestych, ten okres przypadający tuż po wojnie, był czasem, który stał się kanwą dla popisów słownych Brodersona, zupełnie różnych od jego debiutu książkowego *Szwarcę fliterlech* [Czarne iskiarki] z 1913 roku. Na polach bitew poległy nie tylko niezliczone masy ludzkie, ale także wzniosłe marzenia i ideały ludzkości. Miejsce wielkich imperialistycznych wilków zajęły małe nacjonalistyczne szakale, które ustępowały tym pierwszym jedynie rozmiarami zębów, ale nie apetytem. Zewsząd beczelnie błyskał stalowy bożek industrializacji, niosąc kulturze gwałtowną śmierć.

Broderson w udany sposób określił ducha tego czasu jako „pijanego trzeźwością Jego Ekscelescję Głupca”. Sądzę, że ten podstawowy ton humanistyczny, zabarwiony romantyczną rewolucyjnością, jest jednym z głównych elementów twórczości Brodersona w ogóle.

[...]

Rzecz jasna również w grach słownych, jak w każdej grze, podejmuje się ryzyko; w grze słownej chodzi o sens, który często staje się zbyt niejednoznaczny. Ale granie, a nawet przegrywanie, jest tym „czymś”, co porywa i co zwie się „sztuką”.

Jak kapryśne dziecko, które nagle porzuca wybudowane przez siebie „pałace”, Broderson zburzył nagle swoje wyczelowane pod względem formalnym utwory nawałą wolnego wiersza. Uczynili to również niemal wszyscy poeci tamtej epoki burzy i naporu

¹¹ Tefilin – zob. s. 162, przyp. 49.

¹² Tomik Brodersona wydany w Warszawie w 1921 r.

w poezji jidysz: Uri Cwi Grinberg¹³, Perec Markisz¹⁴ i inni. Jednak wolne wiersze posiadają, mimo braku rymu i matematycznie rytmu, wewnętrzną muzykę i metrum, które pojawiają się wraz z surową, ale majestatyczną rytmiką elementów natury, co nie było częste w twórczości Brodersona. W multiinstrumentalnym chórze poezji jidysz poeta ten – wraz z innymi twórcami grupy Chaliastre – grał na „trąbie”. Nie zostali oni jednak trubadurami jidyszowej liryki, lecz – by tak rzec – jej „trąbadurami”. Rzecz jasna, wszystkie instrumenty, kiedy tylko gra się na nich właściwie, są potrzebne w tej skomplikowanej orkiestrze, jaką jest literatura.

* * *

Nazwisko Brodersona jest mocno związane z rozkwitem i rozwojem w Polsce żydowskiego teatru miniatur. Był literackim przywódcą teatrów rewiiowo-kameralnych: Azazel¹⁵, Ararat, a także teatrzyków marionetek Chad Gadja¹⁶ i Bałaganajden [Bałanganajdy]¹⁷, które działały w Łodzi przez dwadzieścia lat tuż przed wielką katastrofą. Owe teatry miniatur stały na wysokim poziomie, dzięki czemu zasłynęły szeroko poza granicami miasta. W latach trzydziestych dorobek literacki Brodersona w istocie składał się przede wszystkim z repertuaru rewiiowego pisanego dla teatrów, a zwłaszcza ze szczególnego gatunku dramatycznych jednoaktówek – tzw. dramoletów. W tamtym czasie poezja była dla niego zajęciem dodatkowym, uprawianym od czasu do czasu. I tak – poza przypadkowymi utworami – krótko przed Zagładą opublikował jedynie narodowy poemat apologetyczny *Jud* [Żyd].

W roku 1936 Broderson opublikował kilka miniatur dramatycznych pt. *Forsztelungen* [Przedstawienia]. To zbiór krótkich etiud dramatycznych, zawierających skondensowany sens wydobyty z rozmaitych wydarzeń oraz życiorysów postaci znanych z historii ogólnej i żydowskiej, a także z historii literatury – zbudowanych na kanwie problemów, które dotyczyły Żydów i samej żydowskości¹⁸. Poza miejscem, akcją oraz elementami atmosfery i charakterami, które są podstawą każdego dramatu, zredukowano w tych dziełach wszelkie inne elementy dramatyczne. Poprzez nienaturalne przeskokki w akcji poeta

¹³ Uri Cwi Grinberg (1894–1981) – pochodzący z Galicji poeta tworzący w jidysz oraz po hebrajsku. Od 1947 r. mieszkał w Izraelu (Palestynie). Uznany za jednego z najważniejszych poetów izraelskich. Był również czynnym politykiem i posłem do Knesetu w latach 1949–1951.

¹⁴ Perec Markisz (1895–1952) – rosyjski i żydowski pisarz, poeta i dramaturg. Współzałożyciel grupy awangardowej Chaliastre [Hałastra]. Został skazany na śmierć i stracony w moskiewskim więzieniu na Łubiance wraz z innymi członkami Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, których proces był jednym z najbrutalniejszych objawów kampanii antysemickiej w ostatnich latach życia Stalina. Nb. przeżywający od wojny w ZSRS Broderson również padł ofiarą tej kampanii: został aresztowany i trafił do łagru.

¹⁵ Azazel – zob. s. 146, przyp. 24.

¹⁶ Chad Gadja [Kozłatko] – teatr marionetek powstały w Łodzi w 1922 r. z inicjatywy Brodersona. Kukielki były wykonywane przez Ichhaka Braunera, a muzykę komponował znany łódzki kompozytor Henoch Kon.

¹⁷ Bałaganajdy – kabaret pod kierownictwem artystycznym Brodersona działający pod koniec lat 30.

¹⁸ W oryginalne: *jidyszskajt* – termin używany do określenia szeroko pojętej kultury i zwyczajów Żydów mówiących w jidysz.

przechodzi do puenty: fatum żydowskiej martyrologii. W etiudach pojawia się lekki patos, ale nie czuje się tutaj retorycznego deklamatorstwa. Dialogi oddziałują swoim naturalnym tonem. Za pośrednictwem rozmaitych postaci historycznych i literackich poeta wyraża uczucia i rozbudzoną świadomość narodową. W zbiorze znajdują się m.in. następujące dramolety: *Szajlok lacht* [Szajlok się śmieje], *Salve benedicte* [łac. Witaj, błogosławiony], *Heinrich un Lorelei*, *Zint Pilatus* [Od czasów Piłata].

W dramoletach dochodzi do głosu znaczący przełom przeżywany przez żydowską inteligencję w przededniu zagłady narodu. Po 150 latach tak zwanej emancypacji, liczonej od Wielkiej Rewolucji Francuskiej, z teutońskiego lasu wypełzły brunatne monstra i napełniły Europę straszliwym echem swojego bestialskiego ryku. Wówczas Mosze Broderson przeżywał swoje drugie „wtajemniczenie” – w poznanie żydowskiego losu.

Tymi „przedstawieniami” dramatu żydowskiego losu i kilkoma dziełami na ogólne tematy Broderson na swój dyskretnie elegancki, rzekłbym – rewiowy – sposób przywdział w teatralną szatę poetyckie impulsy i medytacje. Ujarmiona została w nich jego zwykła retoryczna gadatliwość, dominuje tu raczej planowanie architektoniczne – od fundamentu, jakim jest prolog, po zwieńczenie epilogiem. I w ten sposób autor wierszowanych proklamacji i manifestów zdołał się dostać na literacki parnas prześladowany przez wrogów, którzy odmawiali mu poetyckiego talentu.

* * *

Broderson był bardzo aktywny w łódzkim żydowskim życiu kulturalnym, ale nie bacząc na liczne zajęcia, miał czas na rozmaite imprezy literackie i kulturalne. Często brał udział w porankach i wieczorkach literackich organizowanych dla młodych autorów, a także w wieczorach dyskusyjnych na tematy ogólne i związane z kulturą żydowską.

Sympozja te organizowano w ostatnich latach przed Zagładą, kiedy działał cały szereg instytucji kulturalnych takich jak Żydowskie Towarzystwo Krajoznawcze, Klub Inteligencji Żydowskiej i Towarzystwo Przyjaciół JIWO¹⁹. W programie niektórych wieczorów padały pytania na popularne tematy, na które odpowiadano wierszem. Improwizatorem oczywiście był Broderson. Czasami taki wieczór w mgnieniu oka zamieniał się w gorący wiec polityczny.

Pewnego razu – około roku 1936 – w lokalu łódzkiego ŻTK odbyło się jedno z takich spotkań. Przy stole przydialnym zasiadali wówczas przedstawiciele żydowskiej elity w Łodzi, a między nimi byli nestor dziennikarzy Szaja Uger²⁰ i działacz syjonistyczny

¹⁹ Żydowskie Towarzystwo Krajoznawcze – powstałe w 1926 r. największe w Polsce okresu międzywojennego żydowskie stowarzyszenie grupujące turystów i krajoznawców. Broderson wygłaszał dla członków łódzkiego oddziału ŻTK odczyty na tematy literackie, anonsowane w łódzkiej prasie. Kluby Inteligencji Żydowskiej powstały w latach 30. XX w. w wielu miastach polskich. Łódzki oddział Klubu miał swoją siedzibę przy ul. Piotrkowskiej 86. Towarzystwo Przyjaciół Żydowskiego Instytutu Naukowego w Łodzi powstało w 1930 r. Siedzibą było mieszkanie Józefa Żelkowicza przy ul. Gdańskiej 10. Zadaniem instytucji było wspieranie badań inicjowanych przez działające w Wilnie od 1925 r. Żydowskie Towarzystwo Naukowe JIWO.

²⁰ Szaja Uger (1873–1939) – pisarz, redaktor i wydawca, działacz społeczny. Był wydawcą gazety „Łodzer Togblat”, w której publikowało wielu żydowskich poetów i pisarzy łódzkich.

M.Ch. Rumkowski, któremu później przeznaczone było odegrać rolę Przełożonego Starszeństwa Żydów w łódzkim getcie²¹. Głos w dyskusji zabrał między innymi wielki żydowski malarz Jankiel Adler, który był kosmopolitą, a zarazem politycznym analfabetą. Ten znany mistrz pędzla z niewinnością artystycznego *enfant terrible* wyrzucił z siebie ostre, obraźliwe sformułowanie „wulgarny cjonizm” (mieszkający w Düsseldorfie Adler mówił nieco z niemiecka). No cóż, tylko tego brakowało: Rumkowski podskoczył na miejscu i, niezwykle wzburzony, ostro zareagował na epitet Adlera, w proteście opuszczając salę. Jak zwykle wybuchła kłótnia. Ale powoli wrócił spokój, gdy Broderon wygłosił swoje rymowane odpowiedzi na różnego rodzaju głupkowate pytania typu: „Jak będzie wyglądać żydowski teatr za 500 lat” itp.

Wyraźnie pamiętam zwłaszcza wieczór dyskusyjny przygotowany przez Towarzystwo Przyjaciół JIWO, który odbył się w sali ORT-u²² przy Wólczańskiej 27. Zebrał się tam niezły tłum przedstawicieli kultury żydowskiej w Łodzi, a wśród nich pisarze starsi i młodszy, gościnni mówcy, był też znany krytyk literacki I. Rapoport. Dyskutowano na tematy literackie. I. Rapoport z reguły występował na literackich procesach w roli oskarżyciela. Sądzę, że najlepiej można scharakteryzować sposób, w jaki uprawiał krytykę, określając go jako naśladowcę naszych starych mędrców, którzy radzili: „Nie patrz na dzban, ale na to co w nim jest”²³. Rapoport nie obawiał się określić i etykiety proveniencji literackiej. I, rzecz jasna, podczas tamtego wieczoru dokuczył – by nie wymieniać nazwisk – „temu” pisarzowi języka jidysz, mówiąc: „Kiedy czytam książkę, chcę się stać bogatszy niż byłem; tymczasem kiedy czytam książkę w jidysz, staję się jeszcze uboższy niż byłem!...”. Broderon w odpowiedzi uczynił dygresję osobistą, która wychodziła poza ramy dyskusji na temat problemów literackich. Rapoport odpowiedział w typowy dla siebie ostry sposób, również wplatając pomiędzy argumenty natury merytorycznej żartobliwy przytyk *ad personam*: „...nawet, gdy się jest tak wysokim jak Og, król Baszanu²⁴...”. Jednak, jak to zwykle bywa wśród literackich adwersarzy, incydent ten szybko przycichł i dyskusja wróciła na swoje naturalne tory, skupiając się na wymianie opinii.

Jak wielka była popularność Broderona w Łodzi, widać było podczas akademii zorganizowanej ku czci dwudziestolecia jego twórczości literackiej. Uroczystości odbyły się w filharmonii – największej sali koncertowej w Łodzi. Wystąpił wówczas szereg znanych żydowskich pisarzy – miejscowych i z Warszawy. Wielka sala była przepełniona (wcisnęło się tam 12 tysięcy osób!). Nastrój – uroczysty i podniosły. Jubilat osobiście deklamował

²¹ Mordechaj Chaim Rumkowski (1877–1944) – łódzki działacz społeczny i syjonistyczny. Po wybuchu wojny wyznaczony przez władze niemieckie na stanowisko Przełożonego Starszeństwa Żydów. Funkcję tę pełnił również w powstałym w lutym 1940 r. getcie łódzkim. Zamordowany w Auschwitzu.

²² ORT – Organizacja Rozwoju Twórczości Przemysłowej Rzemieślniczej i Rolniczej wśród Ludności Żydowskiej w Polsce nazywana też Towarzystwem Popierania Pracy Zawodowej i Rolniczej wśród Żydów oraz Towarzystwem Szerzenia Pracy Zawodowej i Rolnej wśród Żydów (dawniej „ORT”) – organizacja stawiająca sobie za cel popieranie i rozwój wykwalifikowanego rzemiosła i rolnictwa wśród Żydów.

²³ Pirke Awot (zob. s. 97, przyp. 85) 4,20.

²⁴ Og, król Baszanu – postać biblijna, król Amorytów (zob. Lb. 21,33).

fragment swojego poematu *Ilia Muromiec*²⁵, którego tytuł zrymował z wyrażeniem *jesurim-lec* [„błazen cierpienia”]. Ale w tej atmosferze wielkiego entuzjazmu tłumy, w sali wspaniale udekorowanej obrazami muz, po tych wszystkich uroczystych przemowach, już właściwie nie było istotne, co czytał. Takiej wielkiej żydowskiej manifestacji kulturalnej nigdy wcześniej ani nigdy później nie widziałem. Kilka tygodni potem, w lutym 1934 roku, ukazał się specjalny numer „Literarisze Bleter” ku czci jubilat²⁶.

* * *

Broderson był poetą swojego czasu nie tylko dlatego, że wyrażał chaos wojen, rewolucji i wstrząsów epoki przejściowej, ale także w tym sensie, że, świadomie i nieświadomie, ulegał wpływowi nowoczesnych szkół poetyckich – rosyjskiego symbolizmu, ekspresjonizmu, a nawet futuryzmu, którego rzecznikami byli Marinetti i Majakowski²⁷.

W bogactwie swojego bombastycznego idiomu poetyckiego dał przykłady tylu form, że często mieliśmy do czynienia z ich mieszaniną. Trudno powiedzieć, które z jego utworów wyszły, a które jeszcze wyjdą zwycięsko z próby czasu. Jednak jest pewne, że reprezentował swoisty styl i że pozostawił w naszej poezji wielobarwny artystyczny bukiet wierszy. Już samymi mistrzowskimi, zabawnie wdzięcznymi wierszykami i bajeczkami dla dzieci zasłużył na miejsce na parnacie literatury jidysz.

* * *

Jesienią 1939 roku, kilka tygodni po wybuchu wojny, Broderson przeszedł do rosyjskiej strefy okupacyjnej. W czasie wojny przebywał w Moskwie. W roku 1940 ukazał się tam, zapisany w ortografii sowieckiego jidysz²⁸, jego wiersz opiewający to miasto w dniu 1 maja.

No cóż, zniknięcie z oswobodzonej Moskwy tego poety, jak w ogóle wszystkich pisarzy sowieckich języka jidysz, było tragicznym zaprzeczeniem treści jego rymowanego

²⁵ *Ilia Muromiec* – jeden z najważniejszych staroruskich bohaterów, obrońca Rusi Kijowskiej. Jego postać stała się synonimem siły fizycznej i umysłowej połączonej z uczciwością i wiernością ojczyźnie. Nie jest znany poemat Brodersona pod takim tytułem.

²⁶ „Literarisze Bleter” [Karty Literackie] – tygodnik wydawany w Warszawie w latach 1924–1939, uznawany za najważniejsze pismo literackie w jidysz w tym okresie. Goldkorn błędnie datuje numer poświęcony Brodersonowi – był to numer 2, który ukazał się z datą 12 stycznia 1934 r.; znalazły się w nim m.in. artykuły J.M. Najmana, I. Mangera, J. Turko oraz wywiad z Brodersonem i kilka jego wierszy.

²⁷ Tommaso Marinetti (1876–1944) – poeta włoski, jeden z twórców i propagatorów futuryzmu w Europie Zachodniej. Włodzimierz Majakowski (1883–1930) – rosyjski poeta i dramaturg, autor futurystycznych manifestów poetyckich (1910–1913), po 1917 r. zwolennik rewolucji bolszewickiej i przemian społecznych w Rosji, które opisywał z optymizmem i patosem w propagandowych poematach; popełnił samobójstwo.

²⁸ W latach 20. przeprowadzono w ZSRS reformę ortografii jidysz polegającą na wprowadzeniu fonetycznego zapisu hebraizmów oraz likwidacji kilku hebrajskich liter używanych jedynie w zapożyczeniach z tego języka.

wiersza. Zamiast jednego Der Nistera²⁹ wszyscy żydowscy poeci stali się tam *nistorim* [ukrytymi], a wraz z nimi również ten najbardziej wojowniczy – Mosze Broderson³⁰.

Przełożyła z jidysz Magdalena Ruta

MIRIAM ULINOWER

Po raz pierwszy widziałem Miriam Ulinower w 1937 r. Odwiedziłem ją w jej mieszkaniu przy ulicy Narutowicza 11. Wówczas poetka zrobiła na mnie ogromne wrażenie swoją ujmującą osobowością. Zdarza się często, że widzisz sławną osobistość i masz ochotę zawołać: „A więc to jest Noemi”?...³¹ Dzieje się tak, gdy widzisz tylko to, co zewnętrzne, a wszystkie wdzięki oraz głębia, która przenika jej czyny, myśli i dzieła, są jakby zamknięte i nie ujawniają się. Zdarza się również, że nic niemówiąca fizjonomia sławnej (lub uchodząca za taką) osobowości w istocie wyraża prawdę...

W przypadku Miriam Ulinower zupełnie inaczej wypadła konfrontacja wyobrażenia o poetce z rzeczywistością. Już wcześniej czytałem trochę jej wierszy, a wśród nich kilka drukowanych w piśmie „Der Os”³². Pamiętam szczególne wrażenie, jakie wówczas zrobił na nas perłowy sznur jej poematów, które wyrażały prawdziwą tęsknotę za tym, co idylliczno-patriarchalne w żydowskim życiu. Wśród tych utworów był jeden, zatytułowany *Gewen an os in alef-bejs* [Była sobie litera w alfabecie], w którym poetka w typowy dla siebie – uroczy i czuły – sposób opiewała literkę „jud” za jej skromność – wyjaśniając alegorycznie, że za tę właśnie skromność mała literka dostąpiła zaszczytu nazwania narodu jej imieniem. Tak, wygląd zewnętrzny tej delikatnej poetki zrobił na mnie takie samo wrażenie, jak jej poezja. Widziałem przed sobą sympatyczną kobietę w średnim wieku, o niezwykle szlachetnych rysach twarzy i oczach jaśniejących dobrocią. Zresztą jej zasadniczymi cechami były szlachetność, wyrażająca się w słowach, manierach i całej postaci, oraz jakaś łagodność, uroczą naiwność, która emanowała z jej dzieł i całej osoby.

Ulinower bardzo ciepło odnosiła się do młodych kolegów – nawet tych początkujących; czytała ich opublikowane utwory, oceniając wyrozumiale i z życzliwością.

²⁹ Der Nister, właśc. Pinchus Kahanowicz (1881–1950) – pisarz żydowski. Od 1926 r. mieszkał w Charkowie. Aresztowany w czasie stalinowskich prześladowań twórców żydowskich, zmarł prawdopodobnie w więziennym szpitalu.

³⁰ Esej ten został napisany zanim Broderson – kandydat na tamten świat – został uwolniony z sowieckiego zesłania, co nastąpiło we wrześniu 1955 roku. Przybywszy do Warszawy, zmarł tam 17 sierpnia 1956 roku [przypis Ichhaka Goldkorna].

³¹ Rt 1,19.

³² „Der Os. Cajtszrif far szene literatur” [Litera. Miesięcznik literacki] – pismo literackie ukazujące się w latach 1936–1939 (13 numerów). Często określa się je jako „pismo Rabona”, choć oficjalnie redaktorem był najpierw malarz Hersz Szylis, a od 1939 r. – Josef Baruch Szczawiński. Pismo było przede wszystkim miejscem prezentacji utworów młodych, debiutujących twórców, ale publikowano w nim również poetów uznanych, takich jak np. Ulinower. W każdym numerze zamieszczano czarno-białe reprodukcje grafik i obrazów żydowskich twórców.

Zachwycała się wierszami i opowiadaniem Trojanowa³³, Smolarza³⁴, Hofmana i innych. Unikala mówienia o swojej twórczości i w ogóle nie stawiała swojej osoby w centrum rozmowy. A to znak subtelnej kultury: nie pozwalała dybukowi *ego* na nieustanne mówienie, lecz dać rozmowie rozwijać się w sposób swobodny w kierunku wzajemnej wymiany opinii na tematy ogólne. Naprawdę nie podkreślała swojego „ja”, unikając podczas rozmów towarzyskich przykrej manieri mówienia głównie o sobie: „Ja powiedziałam...”, „Ja napisałam...” itd. Była prawdziwą indywidualnością, wzniosłą i pełną godności. Tymczasem zazwyczaj bywaliśmy świadkami tego, jak niektórzy literaci wygłaszają uroczystym tonem swoje małe i niezwykle banalne prawdy – na wzór filistra udręczonego „wielkimi” problemami swojej codzienności.

* * *

Miriam Ulinower zadebiutowała w literaturze jidysz tomikiem wierszy *Der bobes ojcer* [Skarbczyk babuni], który ukazał się w 1920 r. w Warszawie. We wstępie do tego zbioru Dawid Fryszman³⁵ napisał między innymi takie słowa:

„Czyż to nie cud? Wokół nas nowo żydowska poezja pokazuje swoje sztuczki, a tu nagle ujawnia się nieoczekiwane talent poetycki – taki żywiołowy, taki prawdziwy i taki – żydowski...”

I czy nie było to cudem – moglibyśmy zapytać – że właśnie on, surowy, czasami wręcz nadgorliwy krytyk literacki, ten strażnik granic naszej literatury, dał glejt tej młodej poetce?

Ale gdy zaczęto czytać jej wiersze, pojęto wielki zachwyt krytyka. Nie na darmo ten „prokurator”, którego recenzje uchodziły za „akty oskarżenia”, zamienił się w „obrońcę”. W utworach Ulinower przejawiał się oryginalny, idylliczny urok tradycyjnej żydowskiej społeczności i czystej, ludowej naiwności, przedestylowany przez medium artystycznego języka, który oddziaływał swoją prostotą. Z jej wierszy emanowały sentymentalna idylla, biel obrusów, blask srebrnych lichtarzy i płomień szabatowych świec.

W darowanym nam przez tę subtelna poetkę zbiorze *Der bobes ojcer* został przedstawiony koloryt żydowskiej obyczajowości ludowej, zapach żydowskich świąt, szabatów – z których szara codzienność czerpała swoje światło, ciepło i wzniosłość. Jaśniej w nim jakiś tajemniczy blask srebra: srebrnych świeczników chanukowych³⁶, kubków

³³ Mosze Trojanow, właśc. Mosze Trojanowski (1906–1942) – poeta i pisarz piszący w jidysz. Urodził się w Dąbrowie Górniczej, ale po ukończeniu jesziwy zamieszkał w Łodzi. Pracował jako robotnik i nauczyciel hebrajskiego. Pod pseudonimem Misza Trojanow opublikował w 1933 r. opowiadanie *In karachod* [W tańcu], w 1936 r. tomik poezji *Umetike horizontn* [Smutne horyzonty], a w 1938 r. kolejny tomik *Der nacht antkegn* [Naprzeciw nocy]. W tym samym roku przeniósł się z żoną do Otwocka. Po wybuchu wojny trafił do getta w Warszawie. Został zamordowany w Treblince.

³⁴ Mosze Josef Smolarz (1907–1942) – prozaik jidyszowy; osierocony w dzieciństwie przeniósł się do Łodzi; wydawnictwo „Der Os” wydało zbiór jego opowiadań *Hejm un fremd* [Dom i obczyzna], Łódź 1937. Zamordowany w Treblince.

³⁵ Dawid Fryszman (Friszman) (1858–1922) – żydowski poeta, prozaik, krytyk, tłumacz tworzący w języku hebrajskim.

³⁶ Świecznik chanukowy – zob. s. 109, przyp. 108.

kidusowych³⁷, besaminek³⁸, koron na Torę³⁹, rozbrzmiewa tęskne echo pieśni zmires⁴⁰ nuconych w piątkowy wieczór, dźwięk słów pieśni *Przybywaj oblubienico* śpiewanych podczas uczyty szabatowej oraz modlitwy *Boże Abrahama*.

Miriam Ulinower opublikowała niewiele. Poza pierwszym zbiorkiem wydrukowano w prasie zaledwie kilka jej wierszy. Była jednak płodna; miała gotowy do wydania cykl *Szabes lider* i inne. Jednak, o ile pamiętam, publikacje te nie ukazały się. Nie wiem, dlaczego poetka tak długo nad nimi pracowała, by ostatecznie nie wydać swoich późniejszych dzieł poetyckich w formie książkowej. W każdym razie z pewnością to strata dla poezji jidysz, którą jeszcze mogła być wzbogacić kolejnymi skarbami swojego bogatego serca.

Miriam Ulinower przeżyła getto łódzkie, a zmarła podczas jednego ze straszliwych wysiedleń. Niechaj jej pamięć będzie błogosławiona!

Przełożyła z jidysz Agata Reibach

MOSZE JOSEF SMOLARZ

Mosze Josef Smolarz pochodził z Chmielnika w guberni kieleckiej. Urodził się w roku 1907 (jego rodzice umarli bardzo wcześnie). Do Łodzi przybył na początku lat dwudziestych. Zaznał ciężkiego losu studenta jesiwy. Potem wyuczył się zawodu tandeciarza i wraz z dwoma młodszymi braćmi pracował w domu jako krawiec. Rozpoczął pisanie i stał się częścią środowiska literackiego w roku 1926. W tym czasie istniało w Łodzi kilka znanych kawiarni literackich: Astoria na rogu Piotrkowskiej i Śródmiejskiej, gdzie przychodzili starsi literaci oraz Pod Szklanką, gdzie przychodzili młodszy. Były dwie żydowskie gazety codzienne, nie licząc tych, które nie działały długo, oraz duża biblioteka zwana „Wielką Biblioteką” przy ulicy Południowej 20, biblioteka im. Borochowa przy Zachodniej oraz Biblioteka im. A. Ajzenszlosa. Było też dwóch starszych i znanych powszechnie żydowskich literatów: Icchak Kacnelson i Mosze Broderson, do którego mieszkania pielgrzymowali młodszy pisarze z Łodzi oraz innych miast i miasteczek.

Jednak gdy wspominam „środowisko literackie” mam na myśli przede wszystkim i w pierwszej kolejności mieszkanie Mendla Gelbarta (obecnie w Izraelu) przy Kilińskiego 23, gdzie przez prawie dwadzieścia lat funkcjonował salon literacki dla większości młodych pisarzy czy też po prostu inteligencji. Nie patrząc na to, że „salon” ten składał się z jednego pokoju i wydzielonej drewnianą ścianką kuchni, był to ulubiony punkt spotkań łódzkiej młodzieży literackiej, która znajdowała tam nie tylko przytulną, niewymuszoną i przyjazną atmosferę, lecz również przyjacielską pomoc, słowem i czynem. Dodać należy, że to właśnie w tej cudownej izbie wyklął się literacko i intelektualnie cały szereg utalentowanych młodych pisarzy, jak Misza Trojanow, Josef Smolarz, Alter Hofman i inni.

³⁷ Kubki kidusowe – zob. s. 63, przyp. 8.

³⁸ Besaminka – zob. s. 109, przyp. 107.

³⁹ Korona na Torę (hebr. keter) – część rytualnego ozdobienia zwoju Tory, na który oprócz korony składa się płaszcz (hebr. meil), dwie ozdoby na drążki symbolizujące jabłka granatu (hebr. rimonim) oraz tabliczka (hebr. tas); korona wykonana jest najczęściej ze srebra, nierzadko wysadzana drogimi kamieniami.

⁴⁰ Zmires – zob. s. 100, przyp. 94.

Ze Smolarzem spotkałem się po raz pierwszy właśnie w domu Gelbarta. Było to na początku zimy 1931 r. Byłem wtedy jeszcze „prowincjuszem”, do Łodzi przybyłem jesienią 1930 r. z mojego rodzinnego miasteczka Szydłowca. Debiutowałem wtedy dwoma wierszami w „Undzer Hofnung” Weisenberga, pod pseudonimem „Żak Spartanin”. Smolarz wtedy jeszcze niczego nie opublikował, lecz pisał już wtedy zarówno poezję, jak i prozę. Zrobił na mnie olbrzymie wrażenie. Był brunetem średniego wzrostu, chudym, z ciemnobłądą, owalną twarzą o ostrych rysach, na której wyróżniała się para gorejących, ciemnych oczu, lekko zagubionych, o głębokim duchowym wyrazie. Gdy uśmiechał się lub śmiał, cały wyraz jego twarzy koncentrował się w jednym spojrzeniu, które było, podobnie jak cała jego postać, zawsze interesujące i intrygujące. Już wtedy był młodzieńcem bardzo czytany, a dzięki swej wytrwałości i bystremu umysłowi posiadał jako samouk szeroką wiedzę, również w języku polskim, dzięki któremu zapoznał się z klasykami światowej literatury. I tak jak w świecie, z którego pochodził było w zwyczaju posługiwać się w rozmowie cytataми autorytetów rabinackich – on używał dla podparcia swych idei cytatów ze swych ulubionych klasyków.

Jak już wspomniałem, Smolarz z zawodu był tandeciarzem, szył na maszynie ubrania dla sklepów z tandetą. Praca ta była jednak dla niego bardzo ciężka. Przede wszystkim był niebezpiecznie słaby z natury. Poza tym wykonując tak ciężką pracę przez dziesięć–dwanaście godzin dziennie nie mógł się oddawać pracy twórczej – czytaniu i pisaniu, będących duchowym towarem ludzi intelektu. Smolarz często wykorzystywał swój ascetyczny wygląd, byle tylko nie musieć iść do swego małego pokoiku na czwartym piętrze przy Wschodniej 4, gdzie miał pracownię. Czasem wspierali go jego bracia, tu – „mecenasi”, innym znów razem jakiś przypadkowy zarobek. Szedł do pracy dopiero wtedy, gdy „woda sięgała mu już do nosa”, gdy bracia nie mogli mu już pomóc, „mecenasi” się wykruszyli i nie było dodatkowego źródła zarobku. Popracowawszy tak przez parę tygodni czy miesięcy, Smolarz porzucał pracę i wracał do bohemy. Zaoszczędzone pieniądze wystarczały na jakiś czas przy napiętym budżecie.

Zdarzało się czasami, że gdy Smolarz chciał (lub musiał) iść do pracy, żadnej pracy dla niego nie było. Wtedy próbował zarabiać na akwizycji. W tamtym czasie ja również byłem bezrobotny. Wyruszaaliśmy wtedy razem „o świcie”, czyli koło południa, by chodzić po domach z kalendarzami żydowskich organizacji dobroczynnych. Wieczorem robiliśmy bilans: jeden sprzedany kalendarz za dwa złote, 20% prowizji – 40 groszy zarobku. Za te pieniądze kupowaliśmy bilet tramwajowy w drodze powrotnej – ze swym towarem zapuszczaliśmy się daleko na peryferia, na „rynek Geyera” – i kilka papierosów. Wychodziliśmy na tym jeszcze gorzej niż przysłowiowy lis w winnicy.

Smolarz, jak wielu innych marzycieli przybyłych z małych miasteczek, często musiał lawirować między Scyllą a Charybdą pracy zarobkowej i bezrobocia i z trudem utrzymywał się na powierzchni. Codzienne trywialne problemy z żywnością i odzieniem schodziły jednak jakby na dalszy plan. Spędzałem w tamtym okresie dużo czasu ze Smolarzem, na długich spacerach za miasto lub w towarzystwie.

Rozmowa z nim była wielką przyjemnością. Był w nim ogień zachwyty i lód ścisłego umysłu. Mówił językiem obrazowym, pełnym błyskotliwych porównań, częściowo bazujących na idiomatycznym słownictwie ludowym, a częściowo na własnych improwizowanych metaforach, jego wypowiedzi przesiąknięte były niespotykaniem żywym, gorzkim i ostrym humorem. Jego sposób wypowiedzi, podobnie jak cały jego sposób bycia, działały jednocześnie przyciągająco i odpychająco.

Skomplikowany charakter Smolarza wyrażał się również w jego egocentryzmie w czasie naszych przyjacielskich spotkań u Gelbartów, gdzie często spędzaliśmy piątkowe i sobotnie wieczory na początku lat trzydziestych. W tym niewielkim pokoju przy Kilińskiego 23 spotykało się wielu młodych pisarzy oraz innych osób zainteresowanych wartościami duchowymi. Poza „stałymi bywalcami”: Smolarzem, Trojanowem, Hofmanem, Najbergiem oraz później bardzo znanym nowelistą Sz. Berlińskim, młodymi poetami: Janasowiczem, Helpnernem, Kuperszmidtem, Ciechanowskim oraz autorem niniejszych słów przychodzili również literaci Szajewicz, Garfinkel oraz różne kolorowe postacie z bohemy: Herszele „Zohar”, Josel Wodnik i inni. Od czasu do czasu na stole pojawiała się wódka, zawsze panowała miła atmosfera i intelektualna ekscytacja. Gelbart zabawiał towarzystwo swoimi rozmowami, pełnymi duchowego bogactwa i ekspresji. Pani Gelbart śpiewała pięknie i serdecznie melodyjne, delikatne i przesiąknięte wielopokoleniowym smutkiem pieśni ludowe A. Rejzena, Dawida Ajnhorna oraz pełne temperamentu i motywów społecznych piosenki Morisa Rozenfelda i innych żydowskich poetów. Serwowano poczęstunki. W powietrzu snuły się kręgi aromatycznego papierosowego dymu oraz delikatne eleganckie myśli i sentencje zebranych. O czym tam nie dyskutowano? Socjalizm – anarchizm – literatura: światowa i żydowska, Schopenhauer i Nietzsche, Goethe i Tolstoj, M.L. Halpern i Dawid Bergelson, wolna miłość i freudyzm. Rozmowy na te i inne tematy dyskutowanci przeplatali cytatami z klasyków i wzbogacali anegdotami.

Na koniec rozmowy cichły, rozpyływały się jak niebieskoszary dym z papierosów w przestrzeni pokoju. Pozostawał jedynie świąteczny nastrój i echo emocji wywołanych przez chwytające za serce piosenki tak pięknie śpiewane przez panią Gelbart:

Przybyłem tu jako biedak z daleka
 Obcy jest dla mnie dawny Bóg
 Obcy jest dla mnie język

Mała brzózko, pomódl się i za mnie...

Z ulicy Kilińskiego, po której bez ustanku ciągnęły wozy towarowe, auta i tramwaje, dochodziły tu, do pokoju na trzecim piętrze jedynie tępe odgłosy i dźwięki, mieszające się z modlitewno-tęsknymi tonami *Brzózki*. Smolarz chętnie brał udział w tych ożywionych rozmowach, przerywanych poczęstunkiem podawanym przez gospodynię lub jakąś melodią. Sam również podśpiewywał trochę piosenek; jego nastrój błyskawicznie się jednak zmieniał, jak słoneczne niebo, które zasnuwa się ołowianą zasłoną z chmur.

Dookoła – pieśni, śmiechy, interesujące rozmowy, jednak Smolarz pograżał się w straszliwym smutku. Z jego oczu wyzierało coś ciemnego, straszego. Nieprzenikniony mur obcości wyrastał nagle i oddzielał go od otoczenia – aż do końca. Co działo się w umyśle tego chłopaka? Jakie straszliwe obrazy z dawno już minionych nocy i dni wyłaniały się z jego pamięci?

Po kilku naszych spotkaniach Smolarz przeczytał mi swój wiersz pod tytułem *Pośród ruin* – rodzaj literacko-filozoficznego credo nihilizmu i pesymizmu, z którego kilka wersów utkwiło mi w pamięci:

I po cóż mówisz wśród klaskania ekstatycznego:
„Zaznałem go!”

Chodź człeku, gdzie ruin pustka
Z ostatnią pieśnią na ustach:
Znikła pociecha,
Znikąd odkupienia nie doczekasz!

Również wiersze, które później publikował w czasopismach „Cwiszn Mojern” [Między Murami], „Literarisze Bleter” [Kartki Literackie] i innych, posiadały ten sam ciemny, melancholijny ton. Można było znaleźć tam takie zwroty, jak: „Godziny wiją się jak bandaże”, „Domy, drzewa wypatrują mnie z drwiną” i podobne.

* * *

Gdy ferajna młodych pisarzy wyprawiała się na Piotrkowską, znów robiło się wesoło. Często spotykaliśmy tam kolegów: Joachimowicza, Iwana czy Bryksa. Oceny książek, ludzie, wydarzenia pojawiały się w rozmowie z błyskotliwą łatwością, właściwą towarzystwu młodych literatów. Beztroska atmosfera „wolnych ptaków” objawiała się w ten właśnie sposób.

Od czasu do czasu zbieraliśmy się u naszych literackich „kolegów po fachu”, w których obfitowała Łódź – w mieszkaniu Berka i Feli Gutman. Był to miniaturowy domek przypominający chatkę wrózek z dziecięcych bajek. Berek był młodym człowiekiem ze szlachetną, melancholijnie zamyśloną twarzą. Wrażenie to potęgowały jeszcze jego oczy, wiecznie zasnutę mgłą egzystencjalnego smutku zmieszanego z polskim romantycznym mistycyzmem. On i jego żona Fela pracowali w jakimś biurze. Podczas naszych biesiad literackich, odbywających się w atmosferze lekkiej i wesołej, nie zapomniano oczywiście o pisarskich „obowiązkach”: wazeniu i mierzeniu swych talentów...

Około roku 1934 w sytuacji materialnej Smolarza zaszła pewna zmiana. Dzięki staraniom naszego przyjaciela Gelbarta dostał się na „utrzymanie” pewnego oryginalnego filantropa nazwiskiem Karnowski – bardzo ciekawej postaci. Był on już wtedy ponad 80-letnim starcem, kawalerem. Gdy był młodszy, pracował jako nauczyciel wyższej matematyki i miał wielu uczniów z bogatych i ubogich domów, którzy później z wdzięczności za naukę pomogli mu z własnej kieszeni uzyskać tytuł doktora. Wdzięczni

uczniowie rewanżowali się swemu nauczycielowi wszystkim, co najlepsze, do ostatniej chwili. Pomoc, którą otrzymywał, rozdzielał Karnowski dalej pomiędzy potrzebujących. Jego mieszkanie na trzecim piętrze przy Piotrkowskiej 25 zmieniło się w instytucję dobroczynną. U jego stołu zawsze siedziało przy obiedzie przynajmniej z dziesięć osób. Karnowski nie zadowalał się jedynie goszczeniem odwiedzających, sam dla nich również gotował na swój niezwykle sposób: bogaty obiad złożony z najlepszych produktów, gotowany w jednym garnku, z którego każdy brał tyle, ile potrzebował.

Smolarzowi udało się tam otrzymać również miejsce do spania. Został w ten sposób na trzy lata uwolniony od trosk materialnych – do śmierci gospodarza. Dobry stary filantrop nie wymagał od lokatora za swe hojne dary żadnych dowodów wdzięczności i nie przejawiał żadnych wielkopańskich kaprysów, utrzymując przez cały czas przyjacielską i serdeczną atmosferę. Lokatorowi stawiał tylko jeden warunek: miał przychodzić na nocleg nie później niż o dziewiętej wieczorem. Ze strony Karnowskiego nie był to żaden kaprys, ze względu na swój podeszły wiek chodził po prostu wcześniej spać. Dla Smolarza był to oczywiście niespecjalnie przyjemne wymaganie, lecz musiał się dostosować. Jasnym jest, że nie istnieje absolutna wolność. Zamiast przychodzić punktualnie do pracy, musiał kłaść się punktualnie spać. Tak czy tak przez trzy lata Smolarz miał u miłego i dostojnego staruszka swój drugi dom.

W tym czasie Smolarz zaczął publikować w różnych gazetach i czasopismach. Debiutował opowiadaniem *Bajm ofenem kejwer* [Przy otwartym grobie] w „Wochenschrift far Literatur” [Tygodnik Literacki], który ukazywał się w Warszawie. Wydrukował też kilka wierszy w „Cwiszn Mojern”, w którym publikowali swe wiersze liczni młodzi łódzcy poeci.

W sumie debiutował już wcześniej, w roku 1931 w „Literarisze Bleter”, ale w konkursie literackim pod pseudonimem Becael. Poza tym zaczął publikować opowiadania w łódzkim „Najer Folksblat”, redagowanym przez Mosze Brodersona i Ch.I. Brzustowskiego. Jak mieli to w zwyczaju debiutanci literaccy, młody pisarz i poeta pozostawał w znacznym stopniu na słodkim rauszu bycia wydawanym. Pamiętam, jak raz spacerując z przyjacielem Gelbartem ujrzeliśmy z daleka Smolarza z czerwoną różą w butonierce. Przyjaciół wyjaśnił mi wtedy, że Smolarz jest pod wielkim wrażeniem faktu, że londyński „Cajt” [Czas] przedrukował jego nowele z łódzkiego „Najer Folksblat”.

Smolarz był włączoną nie tylko ze społecznego punktu widzenia, lecz również duchowego. Często zmieniał swe ideały; włączył się po drogach i ścieżkach idei i z dynamiką intelektualnego wagabundy nigdzie nie mógł się ustabilizować. Przez te dziesięć lat, gdy go znałem, przewędrował on z bohemicznego anarchizmu, filozofii dekadencjonalnej, nitscheizmu, mistycyzmu – poprzez „lewactwo” – do ogólnego sceptycyzmu i wiary w sztukę. Transformacje ideologiczne odbywały się przy tym czasami w iście ekspresyjnym tempie. Pamiętam, jak raz, siedząc Pod Szklanką, zobaczyłem Smolarza wchodzącego z kilkoma „postępowymi” kolegami i niosącego pod pachą *Materializm historyczny* Bucharina. Wyraziłem swe zdziwienie lekko kpiarskim tonem, gdyż jeszcze całkiem niedawno Smolarz skłaniał się ku mistycznemu ujęciu świata zabarwionemu

ascetyzmem spod znaku św. Franciszka z Asyżu. Całkiem niezły skok! Ale to właśnie go charakteryzowało. Smolarz zmienił dialektykę wiary na wiarę w dialektykę. Dwa lata później „materializm historyczny” Smolarza sam należał już do historii...

[...]

W roku 1937 po opublikowaniu kilku noweli w czasopiśmie „Der Os” [Litera] Smolarz wydał swój pierwszy i jedyny tomik z opowiadaniem *Heim un fremd* [Dom i obczyzna]. Książka ukazała się w wydawnictwie Os. W tym samym czasie przeprowadził się też do Warszawy, gdzie zupełnie poświęcił się zawodowi literata. Było to jednak głównie możliwe dzięki zarobkom jego żony-pielęgniarki – a nie jego działalności literackiej.

Książka *Heim un fremd* liczy 95 stron i składa się z 11 opowiadań, z których cztery mają charakter autobiograficzny: *Der hengl lamp* [Wisząca lampa], *Der tog* [Dzień], *Tojt* [Śmierć] oraz *Curik fun bejs ojlem* [Powrót z cmentarza] (opowiadanie to zostało po wojnie włączone do antologii prozy pod redakcją J.J. Trunka i Arona Cajtlina⁴¹). Opowiadania napisane były w pierwszej osobie i malują obrazy i sceny – jedna ciemniejsza od drugiej – z życia biednego sieroty w małym polskim miasteczku. Opowiadania te nie koncentrują się na przedstawieniu typów czy postaci, lecz nastroju i podstawowych tonów na ogólnym ciemnym tle beznadziejnej egzystencji małomiasteczkowej „klasy handlarzy powietrzem” czy też jeszcze ciemniejszego i tragiczniejszego losu marniejącej rodziny starszej wdowy z dziećmi.

[...]

Tak, zagubienie i osierocenie – oto krąg, w którym poruszają się postaci opisywane przez Smolarza. Sztanca jego ciężkiego, kamiennego dzieciństwa odcisnęła się na jego późniejszej twórczości, zarówno na poezji, jak i na prozie. Nie zdołał on – podobnie jak dziesiątki innych, wymordowanych przez przeklętych hitlerowców młodych pisarzy – wyjść poza pierwotny krąg tematyczny, w którym objawił swój początkujący, lecz bardzo obiecujący talent.

Smolarz rozpoczął wierszami i przeszedł do prozy. To dziwne, jak oba te gatunki mieszały się u niego w przedziwnym *qui pro quo*. W jego wierszach przeważał element prozatorski, w jego nowelach zaś brakowało prozatorskiej „stateczności”, formującej kreska za kreską typy i figury.

Bieda i szczególnie egocentryzm – te dwie zjawy prześladowały Smolarza i ściagały go również w Warszawie, dokąd przeniósł się w roku 1937. Obracał się tam co prawda w towarzystwie młodych pisarzy oraz inteligencji, zgrupowanej wokół słynnego pisarza I.M. Weisenberga, lecz człowiek może czuć się wewnątrz samotny, nawet jeżeli pozornie znajduje się w towarzystwie. Tak właśnie było ze Smolarzem. W związku z tym przypomina mi się następująca, nieco dziwna scena, której byłem świadkiem podczas jednej z moich wizyt w Warszawie.

⁴¹ A. Cajtlin, J.J. Trunk, *Antologie fun der jidiszer proze in Pojln: cwiszn bejde welt milchomes (1914–1939)* [Antologia prozy jidyszowej w Polsce: okres międzywojenny (1914–1939)], Nowy Jork 1946.

Na Nowy Rok 1938 roku urządzono zabawę taneczną, w której wzięli udział żydowscy pisarze oraz wybrane miejscowe towarzystwo. Tańczono parami. Pomiędzy nimi młody człowiek, który puścił się w tany z... samym sobą, obracając się wokół własnej osi i robiąc przy tym nieco zamieszania. To był oczywiście Josef Smolarz, który nieco na pokaz wykonywał parodię własnej samotności.

* * *

Jak dowiedziałem się później, Smolarz próbował wyrwać się z żelaznego nazistowskiego uchwytu, jednak mu się nie poszczęściło. Ukrywał się na granicy, potem mieszkał i cierpiał przez pewien czas w warszawskim getcie, skąd wraz z żoną przedostali się do Będzina. Jeden z jego młodszych braci, który był w getcie łódzkim otrzymał przez pocztę gettową list od Smolarza z 10 markami, który miał służyć jako dowód na to, że żyje. Było to jego ostatnie pozegnanie, więcej nikt o nim nic nie słyszał.

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

ALTER HOFMAN

Ze szczególną czułością piszę te linijki o jednym z członków grupy młodych łódzkich pisarzy, która pozostała – poza pewnym wąskim kręgiem – prawie zupełnie nieznana: Alterze Hofmanie. Był jednym z najbardziej utalentowanych z całej młodej literackiej plejady w latach międzywojennych. Jednak uczucie pietyzmu względem niego nie wzięło się u autora tych słów jedynie z powodu wybitnego talentu literackiego Hofmana, a głównie z powodu szeregu niespotykanych i cennych cech oraz przymiotów intelektualnych, które wyróżniały go jako niezwykłą osobowość w naszym kręgu. Urodził się w roku 1909 w małym miasteczku w województwie kieleckim. Jego ojciec był wziętym krawcem. Gdy Alter był jeszcze dzieckiem, jego rodzina wywędrowała do Łodzi i osiedliła się przy ul. Zgierskiej niedaleko Rynku Bałuckiego. Mieszkali w charakterystycznym bałuckim mieszkaniu: drewniany parterowy dom o kilku izbach. Tam jego ojciec miał swój warsztat, przy którym pomagał mu Alter, będąc jego „czeladnikiem”. Lubił swoją pracę, jednak gdy został pisarzem nie miał już dla niej tyle czasu. W rozmowach ze mną często powtarzał: „Krawiectwo to intelektualny zawód”. Stało to w jawnej sprzeczności do nastawienia naszego kręgu młodych literatów, którzy pracę traktowali jako karę za grzechy spadającą na następne pokolenia w wyniku fatalnego apetytu Ewy.

Sądzę, że pogodzenie się Altera z pracą fizyczną nie było jedynie wynikiem jego filozoficznej, stoickiej natury, a również tego, że charakter otoczenia, w którym pracował był inny niż ten, przez który większość z nas cierpiała fizyczne i psychiczne katusze. My pracowaliśmy jako proletariusze, zaś mistrzem i przełożonym Hofmana był jego ojciec. Była to praca o właściwościach patriarchalno-idyllicznych, bez pilnujących i poganiaczy, panów i nadzorców. Nie do końca wierzę w maksymę Rousseau: „Człowiek urodził się wolnym”, jestem jednak pewien, że w człowieku istnieje naturalne i świadome dążenie do wolności. Być może praca nie jest ani błogosławieństwem, ani przekleństwem, a jedynie

koniecznością, która zmienić się może albo w pierwsze, albo w drugie – w zależności od okoliczności. W każdym razie wolne, samodzielne działanie w idyllicznych warunkach pracy samodzielnej lub z bliską osobą nie ma w sobie nic z niewolniczego poczucia zależności, którego doświadczają proletariusze, na których ciąży fizyczna wręcz presja strachu, poddaństwa, traum i kaprysów. Już sama konieczność przebywania dniem i nocą w towarzystwie najróżniejszych typów ludzkich jest dla wrażliwego człowieka nieznośnym ciężarem. [...]

Już w samej fizjonomii, zachowaniu i manierach Altera Hofmana było coś szlachetnego i delikatnego, skromnego i subtelnego. Był młodzieńcem średniego wzrostu, brunetem z dziwnie bladą, owalną twarzą, którą często oświecał uśmiech. Zza okularów w grubych rogowych oprawkach wзираła para głębokich, czarnych oczu, które nadawały jego twarzy myślący i natchniony wyraz. Był raczej cichy i milczący, jednak wrażliwy i obdarzony niezwykle zmysłem obserwacji. Przysłowie „cicha woda brzęgi rwie”⁴² było jak gdyby stworzone z myślą o nim. Wypowiadał się w szczególny sposób – krótkimi zdaniami i frazami, pełnymi jednak treści i wyrazu. [...] W jego figurze było coś mechanicznie sztywnego, a w jego sposobie bycia coś zimnego, jakiś chłodny dystans. Jednak gdy go poznałem lepiej, zrozumiałem, że to tylko zewnętrzna powłoka jego osobowości. Wewnątrz niego pulsowało życie i pracowały fizyczno-motoryczne siły krytycznego myślenia i zachowania. [...]

Rzadko widywałem Hofmana w towarzystwie – zarówno w bliskich mi kręgach literackich, jak i w Bibliotece im. Borochowa, którą odwiedzał dość często. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział go w towarzystwie dziewczyny. Zrozumienie i polubienie Hofmana wymagało kultury i wysoko rozwiniętego intelektu, co było wśród płci pięknej, szczególnie z szerokich kręgów mieszczańskich, przymiotem niezbyt popularnym. [...]

Podczas moich częstych spotkań z Hofmanem rozmawialiśmy dużo, jak to mają w zwyczaju początkujący literaci, o sprawach ogólnych związanych z literaturą i życiem. Mówię „my”, lecz Hofman przeważnie odpowiadał lakonicznymi zdaniami, które w niewielu słowach mówiły bardzo wiele. Podczas naszych długich spacerów po Alei Kościuszki lub w Parku Staszica nie oszczędzaliśmy nikogo i niczego, oceniając wszystko z naszego punktu widzenia, będącego mieszaniną młodzieńczego naiwnego idealizmu oraz krytyczno-racjonalistycznego pojmowania świata. Nasze rozmowy zawsze były pełne humoru i lawirowały pomiędzy codziennością a problemami sięgającymi stratosfery. Szczególnie Hofman był pełen poczucia humoru, które objawiało się piorunami uśmiechów i gromami śmiechów. Taki grom był oczywiście „hofmanowski” – cichy, głęboki i przytłumiony.

Gdy spotykaliśmy się czasem na kawie czy na jakimś literackim wieczorku w domu przyjaciół, Hofman był przeważnie w dobrym nastroju, zachowując swą delikatną kulturalną rezerwę i kontemplacyjne wyciszenie. Wyróżniał się tym spośród otaczających

⁴² W oryginale jidyszowy podobnie brzmiący odpowiednik polskiego przysłowia, w przekładzie dosłownym: „cicha woda robi głębokie dziury”.

go osób, z wesoło rozgadanego towarzystwa, rozochoczonego kieliszkiem alkoholu, gdzie każdy, korzystając z takiej okazji, próbuje przelicytować drugiego jakimś żartem. On był wyspą milczenia i ciszy – w rozgłoszonym morzu potyczek słownych, dowcipów i śmiechu.

Hofman zadebiutował w 1936 roku w łódzkim czasopiśmie „Der Os” opowiadaniem pod tytułem *Frost* [Mróz]. Z jego naturą, zupełnie pozbawioną przebojowości, chyba nie wydałby nic drukiem, gdyby nie „Der Os”, które otwierało drzwi młodym talentom. Opublikował w tym czasopiśmie chyba tylko dwie nowele – wyżej wymienioną i jeszcze jedną, w numerze 4.

Nowele przyciągnęły uwagę łódzkiego środowiska literackiego. Były napisane lekkim, lapidarnym stylem, bazującym na silnym naturalizmie, który przerażał się w delikatny, oryginalny impresjonizm. [...] Obie nowele wywołały duże wrażenie. Na łódzkim literackim firmamencie zajaśniała nowa gwiazda. W Pod Szklanką, w Windzor i innych kawiarniach literackich, gdzie ustalano „kurs” słownej waluty, wyceniono twórczość Hofmana bardzo wysoko. Nawet Chaim Wodnik, cyniczna postać bohemy, który prawie wszystkich rozmięniał na drobne, chwalił nowele młodego prozaika i zadeklarował się jako prawdziwy miłośnik talentu pisarza. Gdy tylko wymieniano nazwisko młodego twórcy, ten oryginalny błazen przestawał wyczyniać swoje sztuczki. Jego ulubionym numerem była fraza: „Sokołowa przeczytaj i zrozum!”, którą zazwyczaj zawstydział młodych pisarzy. Wewnątrz był jednak Wodnik, jak wielu innych błaznów, postacią tragicznie smutną, a jego błazenada była tylko rodzajem pancerza, który nosił na zewnątrz... Trochę z przekory, trochę z powodu duchowej higieny.

Przy całym swym ciepłym i przyjacielskim stosunku do młodych twórców czasopismo „Der Os” nie mogło być jednak regularną trybuną dla debiutantów. Przede wszystkim, z powodu skąpych środków finansowych, czasopismo ukazywało się 6–7 razy do roku. Poza tym publikowali w nim również pisarze z Warszawy, Wilna i innych miast. Hofman, ze swą naturalną powściągliwością, nie szturmował bram obleganej wówczas twierdzy literackiej (kilka jego opowiadań wydrukowano też w innych czasopismach). Mimo to pewne kroki podjął: wydał książkę z opowiadaniem. Ukazała się ona w 1939 roku, na dwa tygodnie przed wybuchem wojny. Co za szczęście dla książki! Została wydana, jak mi się zdaje, przez wydawnictwo Os, w którym wychodziły różne książki starszych i młodszych autorów. Książka nosiła tytuł *Gefuremte kojches* [Sformowane siły] – tytuł być może zbyt pretensjonalny jak na debiut młodego skromnego pisarza. [...]

Owego fatalnego poranka pierwszego września 1939 roku – początku strasznego okresu w historii żydowskiej – wraz ze snami, tęsknotami i nadziejami na szczęście i pokój milionów ludzi zniweczone zostało również pragnienie wyrażenia samego siebie wielce obiecującego prozaika – Altera Hofmana. Udało mu się przez te dwa tygodnie przed wybuchem wojny wysłać kilkadziesiąt egzemplarzy swej książki różnym przyjaciołom literackim w Łodzi, jednak przerwał mu to ów straszny dzień, w którym nowoczesne anioły zagłady – niemieckie bombowce – rozpostarły swe straszliwe skrzydła nad pięknym jesiennym polskim niebem sięgając swym pełnym furii warkotem śmierć i zniszczenie.

W środę szóstego września, gdy polskie władze opuściły miasto, dziesiątki tysięcy mieszkańców – w większości Żydów – mężczyzn, kobiet i dzieci, udało się na nieznaną w nowoczesnej historii wygnanie. Łódzkie ulice zamieniły się w rwące ludzkie strumienie płynące w kierunku szosy brzezińskiej – w kierunku Warszawy.

Hofman myślał tylko jak ocalić od zagłady nakład swojej książki, który w ogóle nie został rozesłany. Przez te kilka razy, gdy widzieliśmy się od wybuchu wojny – a widzenia stawały się coraz trudniejsze – opowiadał mi o planie ratowania swojej książki: zapakowania ich w żelazne skrzynie i zakopania w ziemi, na podwórku domu. Wydaje się, że przeczuwał, a może przewidywał ogrom nadchodzącej katastrofy. W każdym razie więcej o planie Hofmana nie słyszałem. Tragiczne wydarzenia zaczęły rozgrywać się w szybkim tempie i nie wiem, czy udało mu się zrealizować jego szalony plan.

Wiosna 1944 w getcie w Litzmannstadt. Codziennie umierają setki osób, z głodu, chorób i wyczerpania. Wśród nich był również mój drogi, kochany przyjaciel Alter Hofman. Jak mi przekazał naoczny świadek, mój kolega, widział go umierającego z głodu na łóżku w mieszkaniu jego rodziców przy ulicy Zgierskiej. Kolega przyszedł go odwiedzić. Drzwi były jednak zamknięte. Gdy zajrzał przez okno, ujrzał tragiczny obraz wymalowany przez strasznego malarza samouka, który prześcignąłby nawet stu Goyów – codzienność w getcie.

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

CHAIM WODNIK

Łódź była miastem barwnym i pełnym kontrastów. Odzwierciedlał to już choćby sam układ ulic: na Piotrkowskiej obok 4–5-piętrowych kompleksów domów stały drewniane parterowe chatki, obok fabryk z najnowocześniejszymi systemami maszyn – zakłady z prastarymi środkami produkcji, jak prymitywne tkalnie ręczne, obok wyjątkowego dobrobytu i luksusu – biedne kwartały w północnej części miasta na czele z Bałutami – dzielnicą biedoty.

Tę barwną różnorodność widać było również w strukturze społecznej, przede wszystkim na żydowskich ulicach: bogacze, którzy dorobili się majątku w jedną noc obok żebraków z dziada pradziada. Rozgałęzione i mocno zakorzenione żydowskie życie religijne, z rabinami, uczonymi w Piśmie i instytucjami religijnymi: jesziwami, szkołami, beit midraszami, chasydzkimi sztyblami⁴³ sąsiadowały z centrami sceptycyzmu i herezji (przez dłuższy czas, do końca lat dwudziestych ukazywało się tu nawet antyreligijne, „wolnomyślicielskie” czasopismo)⁴⁴. W opozycji do praktycznego i energicznego świata fabrykantów, kupców i komiwojażerów – artystyczna warstwa literatów, malarzy, muzykantów żyła w świecie, w którym dzień zamieniał się w noc, a noc w dzień. To tam właśnie, w warsztatach ducha i wyobraźni tkano błękitną przędzę snów, tam w małych mansardach z wysokimi oknami wyczarowywano światy z kolorów i dźwięków. Tam

⁴³ Określenia domów nauki i modlitwy.

⁴⁴ Chodzi zapewne o miesięcznik „Der Frajdenker” [Wolnomyśliciel], który ukazywał się w Łodzi w latach 1926–1928.

artystyczna jednostka czuła się wolna. Jak mówił Hamlet Szekspira: „Ja bym mógł być zamknięty w łupinie orzecha i jeszcze bym się sądził panem niezmierzonej przestrzeni”⁴⁵.

Pomiędzy tymi dwoma sferami znajdował się tak charakterystyczny dla Łodzi krąg bohemy. Była to barwna i liczna grupa jednostek, z której każda miała jakąś wyróżniającą ją, mniej lub bardziej charakterystyczną cechę. Był wśród nich mistyk i uczony Herszele „Zohar”, kibic Mosze Lojfer, inteligent Josel Garcewicz, Lejb Anarchista i wielu innych.

Do najoryginalniejszych indywidualności z tego kręgu zaliczał się bez wątpienia Chaim Wodnik. Poznał mnie z nim na początku lat trzydziestych jego syn Josel, który był jego potomkiem również w sensie duchowym, również należał do bohemy i włóczył się po ojcowskich manowcach.

Wodnik ojciec był średniego wzrostu, dobrze zbudowany, o brązowej twarzy i zaciśniętych ustach buldoga. Powoli znikał już z horyzontu – zarówno wiekowego (miał koło 60 lat), jak i towarzyskiego, gdyż wszystko stawało się coraz bardziej racjonalistyczno-produktywistyczne. Jednak w dalszym ciągu tryskał przenikliwym humorem, żartami, był pełnym temperamentu rozmówcą na wszelkie możliwe tematy. [...] Specjalnie mówię „rozmówcą”, gdyż typ „monologisty” jest niestety najbardziej rozpowszechniony wśród humanistów. [...]

Podczas naszego pierwszego spotkania się rozmowa zeszła na temat Anatola France’a. Senior łódzkiej bohemy wykazał się wielką znajomością dzieł i osoby tego znanego francuskiego pięknoducha, którego ironiczny sposób wyrażania się oraz swoisty urok bardzo przypadły mu do serca.

Widywałem Wodnika od czasu do czasu w kawiarniach literackich, gdzie słuchano go z zainteresowaniem i strachem – z powodu jego ostrych replik, które krążyły później wśród rozmówców.

* * *

Chaim Wodnik przybył do Łodzi w czasie, gdy nowoczesna żydowska kultura dopiero kielkowała – jakieś pół wieku wcześniej. Pochodził z Kutna, znanego z dynastii rabinackiej⁴⁶ oraz Szaloma Asza⁴⁷. Nosił się jeszcze wtedy tradycyjnie po żydowsku – długa kapota i kapelus. Był biegły w zawłościach Talmudu i wykazywał się wielką przenikliwością w dyskusjach z mędrkami ze Starego Miasta, wiecznie „odwracając kota ogonem”. Ożenił się młodo i niedługo po tym, jak urodziło się jego pierwsze i jedyne dziecko, opuścił rodzinę. Nie zerwał z nią jednak więzów całkowicie – do ostatniej chwili przychodził do domu w piątki, by zmienić ubranie.

⁴⁵ *Hamlet*, akt II, scena 2 (tłum. J. Paszkowskiego).

⁴⁶ Mowa zapewne o dynastii chasydzkiej założonej przez Izraela Joszua Trunka (1820–1893), który był autorytetem rabinicznym i autorem komentarzy do Talmudu (wybitny pisarz Jechiel Jeszaja Trunk to jego prawnuk).

⁴⁷ Szalom Asz (1880–1957) – pisarz, dramaturg i eseista, jeden z najbardziej znanych autorów piszących w jidysz, dwukrotnie nominowany do Nagrody Nobla. Jego spuścizna literacka obejmuje kilkadziesiąt powieści, dramatów i zbiorów nowel.

Z czasem ten oryginał z Kutna pożegłował z morza Talmudu na ocean literatury światowej, w której znalazł oparcie dla swej wiecznie wątpliwej i buntowniczej mentalności – w dziełach „protestantów” ze wszystkich epok: Epikura, Lukrecjusza, Diogenesa po Woltera, Heinego i France’a. To była jego zmodernizowana Halacha; jego mistrzami stali się Beethoven, Maeterlinck, Hamsun, Perek i inni.

W czasie poprzedzającym I wojnę światową Wodnik po długich diogenesowskich poszukiwaniach człowieka odnalazł go w końcu w osobie znanego... Adasia z Nowego Miasta – polskiego „profesjonalnego” pijaka i ulicznika. Nie tylko zaprzyjaźnił się z nim i spędzał większość czasu, lecz nawet się z nim fotografował – gestem tym nie tylko demonstrował swą naturę wagabundy, lecz również swą bezczelność i zrzućenie jarzma „opinii publicznej”: żydowski inteligent, który brata się z polskim rysztykowskim pijakiem! Jednak Wodnik ze swym ostrym językiem, który czał się za zaciśniętymi jak u buldoga wargami, nie liczył się wcale z reakcją na swą bezczelność, wszystkich krytykantów wyśmiewał lub odpłacał się im w drwiną.

Jako religijny włóczęga pomieszkiwał na kwaterach u znajomych. Żył się u różnych bogatych Żydów, którzy wspomagali go, oczarowani mocą jego wymowy. Każdy z nich zapraszał go na obiady i zaopatrywał w niezbędne środki pieniężne. Z początku pomieszkiwał u „szalonego rabina” – cudaka, który udzielał znachorskich porad naiwnym kobietom.

Pewnej nocy Wodnik poczuł we śnie, jak ktoś chwyta go za gardło. Obudził się i ze strachem ujrzał dziwną scenę: przed nim stał „rabin” z nożem rzeźnickim w ręce i odmawiał błogosławieństwo. Na stole leżały pomarańcze i paliły się świece. Wtedy „rabin” powiedział do oniemiałego ze strachu Wodnika: „Skoro obudziłeś się we właściwym czasie, nie zarżnę cię, będziesz jadł pomarańcze”. Nie czekając na okazję zjedzenia pomarańczy przeniósł się Wodnik na kwaterę do Majera Zaca, popularnego na Starym Mieście żydowskiego restauratora. Szybko stał się u niego stałym bywalcem, wygłaszając kazania dla gości – swego rodzaju słowne desery po dobrym posiłku, a publika – woźnice, tragarze i uliczni handlarze aż się obliżywała. W zamian za to gospodarz nie liczył „mówcy” za posiłek.

Jeżeli chodzi o tak zwanych mecenasów, Wodnik miał swoją własną strategię. Często nie przychodził mimo zaproszenia, uważając że „nie można im pokazać, że się jest od nich zależnym, gdyż w ten sposób traci się swą niezależność i wolność”. Oczywiście przy takiej taktyce zdarzało mu się jadać dwa obiady dziennie, a innym razem pościć przez dwa dni.

Na kilka lat przed wybuchem I wojny światowej Wodnik stał się bezdomny, z powodu likwidacji jego kwatery. Potem znalazł nowe schronienie i przez dwanaście lat mieszkał w izbie u Szmula Trybownika przy ulicy Kamiennej⁴⁸. Ten ostatni był znany jako najbardziej leniwy człowiek w Łodzi. Jego żona porzuciła go, zostawiając z dwójką dzieci. U Trybownika, który miał tylko jedną pasję – gadanie – izba zawsze pełna była najróżniejszych typów: inteligentów, artystów, czy zwyczajnych gości. Siedzano przy stole i rozmawiano. Oczywiście Wodnik, rozmówca *par excellence* znalazł tam żywną

⁴⁸ Obecnie ul. Włókiennicza.

glebę dla swego talentu. Wychwalał geniuszy światowej literatury oraz... Adasia, swego najlepszego przyjaciela. W kontraście do tej gorąco rozdyktowanej grupy – lecz nie do jej przedziwnego charakteru – stał sąsiad, stary, ubrudzony mąką Żyd, piekarz, który grzał się spokojnie przy piecu i milczał. Jedynie od czasu do czasu przerywał „wysokie” rozmowy, zwracając się do któregoś ze zgromadzonych z odwiecznym pytaniem: „Powiedzcie mi proszę, na czym polega siła kobiety?”

W wolnym czasie, po rozmowach, Wodnik prezentował swój kunszt retoryczny – jak dawni sofści – w lokalach publicznych, a szczególnie w kawiarniach, gdzie wypytywał wszystkich o wszystko: religijnych – o naukę Pisma, maskilów⁴⁹ – o ich rozumienie Smoleńskiego, Sokołowa, Fryszmana czy Pereca. Kończył zazwyczaj swym wieloznacznym powiedzonkiem: „Sokołowa przeczytaj i zrozum!”... Wielu nowoczesnym żydowskim pisarzom odmawiał talentu. Miał wielki sentyment do włóczęgów oraz upadłych dziewcząt z prowincji, dla których pisał listy do ich rodzin.

Przyszła jednak czas, że i u Trybownika skończyła się możliwość kwaterunku. A było to tak: Trybownik był administratorem domu. Właściciele wyjechali na pewien czas za granicę i jego wyznaczyli na zarządcę. Gdy wrócili, ciemno im się zrobiło przed oczami: wszystkie mieszkania były zrujnowane od deszczu z przeciekającego dachu, którego administrator oczywiście ani razu nie kazał wyremontować. Salon Trybownika się rozpadł. Od tego czasu do końca lat dwudziestych Wodnik pomieszkiwał w różnych izbach gdzieś na poddaszach. Nie mogąc już być dalej lwem salonowym, pozostał najostrożniejszym i najbardziej elokwentnym kibicem kawiarnianym, posługującym się językiem jak ostrym, obosiecznym mieczem. Gdy już przypuścił szarżę słowną na swą ofiarę, niemalże siekał ją na kawałki.

Przypomina mi się w związku z tym pewien epizod: w kawiarni przy Południowej 8 siedzi przy stoliku Wodnik, otoczony kilkoma stałymi bywalcami. Nagle zwraca się do jednego, niskiego, przysadzystego jegomościa o tłustej, nalanej i odpychającej twarzy: „Posłuchaj, czy tobie nie robi się słabo od samego siebie?”

Wydaje mi się jednak, że cynizm Wodnika, jak wielu inteligentów, był bardziej intelektualny niż naturalny. Zazwyczaj w takim przypadku ich cynizm ma podwójne znaczenie: to mocny pancerz chroniący przed światem zewnętrznym i jednocześnie kryjący przed złym spojrzeniem głęboko ukrytą w nich isierkę naiwności i wiary...

Pamiętam, jak zachwycał się, czytając w czasopiśmie „Der Os” dobre opowiadania debiutanckiego pisarza Altera Hofmana. Pod tym lodem tlił się jakiś płomycek.

W ostatnich latach przed wielką światową rzezią Wodnik radował się potomstwem – literackim i bohemicznym, wśród którego był również jak wspominałem, jego syn jedynek, Josel.

W pierwszych dniach nazistowskich rządów pierwszymi, którzy odczuli owo brutalne uderzenie byli intelektualiści, artyści i ludzie bohemy. W jeden z takich dni Wodnik

⁴⁹ Maskil – zwolennik wywodzącego się z Niemiec żydowskiego Oświecenia (Haskala), które w swym programie miało integrację Żydów z miejscowymi społecznościami, unowocześnienie edukacji oraz poszerzenie jej o przedmioty świeckie. W Łodzi maskile często nazywani byli „Niemcami”.

został schwytany przez SS i skierowany do pracy przy rozładunku ciężarówek. Po pracy wrócił do swego mieszkanka na poddaszu przy ulicy Gdańskiej i powiesił się, jakby chciał swym wyciągniętym językiem wypowiedzieć ostatni sąd o świecie zmienionym w dżunglę i o ludziach zmienionych w drapieżniki.

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

HERSZELE „ZOHAR”

Mało kto znał jego prawdziwe nazwisko. Przydomek wziął się, jak łatwo można się domyślić, od *Księgi Zohar*⁵⁰. Nazywano go tak, bo miał skłonności do mistyki, a w mistycznym ogrodzie literatury żydowskiej i światowej osiągnął najwyższy stopień zrozumienia – *sod*, poziom tajemnicy⁵¹. W rozmowach często używał wyrażen i sentencji z tej księgi kabalistycznej. Z czasem przydomek tak do niego przylgnął, że nikomu nie przychodziło na myśl, że nie jest to jego nazwisko, tak naturalnie się to wymawiało: Herszele „Zohar”. W okresie, który jest kanwą moich wspomnień, był mężczyzną około czterdziestoletnim, średniego wzrostu, fizycznie słabym. Twarz miał okrągłą, osobliwie ciemnego koloru. Czarne, wyraziste oczy miały melancholijny wyraz. Ale znikał on, kiedy twarz Herszele rozjaśniał jego specyficzny śmiech, serdeczny i prostoduszny. Nie była to wprawdzie jasność w dosłownym znaczeniu tego słowa: jego usta były prawie bezzębne, sterczało w nich tylko kilka popsutych, ruszających się, szerniałych zębów i pieńków, jak zwęglone resztki drzew po pożarze lasu. Ale duch ma w sobie siłę, która rozświetla materię. I kiedy Herszele „Zohar” śmiał się z własnego lub cudzego pomysłu, rzucając przez chwiejące się zęby uwagę „He, co?”, czuło się wręcz blask *or-haganuz*, mistycznego „ukrytego światła”⁵², przedzierającego się przez niezbyt świetlistą, fizyczną barierę.

Po sposobie chodzenia Herszele, nawet nie znając go osobiście, można było odgadnąć jego pozycję społeczną. Po łódzkich ulicach, czy tych ruchliwych, czy cichych, chodził zawsze w ten sam sposób: powoli, szabatowo uroczyście, z rękami założonymi do tyłu, kołyszając się w prawo i w lewo.

Tak mógł chodzić tylko człowiek, który oderwał się od normalnego porządku tego świata, od codziennej harówki i oddał się żywiołowi wolności, urzekającej włóczędze. Jak prawie wszyscy członkowie bractwa niebieskich ptaków, był kawalerem bez kamienia młyńskiego u szyi (według obrazowego wyrażenia talmudycznego *rechaim al cawaro*⁵³).

Kwestia utrzymania, jak innych włóczykijów z odpowiednim „stażem”, niezbyt Herszele kłopotowała. W Łodzi było wielu zamożnych Żydów, wspierających takich jak on. Ci „mecenasi”, jak ich nazywano, wyznawali zasadę *Jehi bejtecha patuach lirwacha*⁵⁴

⁵⁰ *Sefer ha-Zohar* [Księga blasku], trzynastowieczna księga kabalistyczna.

⁵¹ Przywołanie tradycyjnego, pięciostopniowego systemu interpretacji Tory. Inicjalne spółgłoski nazw poszczególnych metod interpretacyjnych tworzą słowo *pardes*, oznaczające ogród mistyczny.

⁵² Ukryte światło, które Bóg stworzył na samym początku i przeznacza dla sprawiedliwych na tamtym świecie.

⁵³ Dosł. „kamień młyński u szyi”, wywodzące się z Talmudu (traktat Kiduszin 29b) określenie żony.

⁵⁴ *Pirke Awot* 1,5.

– „Niech dom twój będzie szeroko otwarty” oraz *Jehi bejtecha bejt waad lachachamim*⁵⁵
– „Niech twój dom będzie miejscem spotkań mędrców”.

Herszele miał zresztą niewielkie potrzeby. Przypomina mi się w związku z tym następujący epizod: siedząc raz z nami w wegetariańskiej restauracji przy Południowej 8, Herszele zamówił zupę, zjadł ją, po czym zaczął z rozmysłem nucić oraz kołysać głową na prawo i lewo z zaciśniętymi wargami, jak to miał w zwyczaju. Oczekiwaliśmy na jakieś objawienie, coś, co wyjaśniłoby jego nagły zachwyt. Ale ku naszemu zdumieniu Herszele w końcu powiedział: „Hm, no wiecie – zupa, hm, hm”.

Przypomniało mi to jedną z pięknych historii rabiego Nachmana z Braclawia, o biednym szewcu, który chcąc włożyć swoje stare, tanie ubranie, powiedział do żony: „Podaj mi futro!”, a chcąc zjeść kawałek zwykłego chleba – „Podaj mi chałkę!”. Kiedy myślę teraz o osobowości Herszele „Zohara”, wydaje mi się, że charakteryzowały go dwie cechy: dobroć i medytacja. Dobroć Herszele była kryształowa, wywodziła się z czułego serca, a uzasadnienie znajdowała w umyśle, w „najwyższych rejonach”.

Chociaż Herszele sam był słaby i chorowity, nie żałował wysiłku, kiedy trzeba było komuś pomóc. Mimo że sam materialnie był zależny od innych, miał szlachetną odwagę, by ludzi w potrzebie polecać swoim zamożnym dobroczyńcom. Kiedy jakiś młody poeta wydawał tomik wierszy, Herszele grał rolę łącznika między „producentem” a „konsumentem”. Jego dobroć była idealna, *szeejna tluja bedawar*⁵⁶, od niczego niezależna, *szelo al menat lekabel pras*⁵⁷ – bezinteresowna. Najszlachetniejsze czyny, jeśli pochodzą z niskiego wyrachowania, zostają przez nie skażone. Tymczasem idealizm Herszele był powszechnie uznany.

Jeśli chodzi o jego skłonność do medytacji, to jak już wspominałem, świadczył o niej nawet jego przemyślany, refleksyjny chód. Głęboko zakorzeniony w starożydowskiej literaturze religijno-filozoficznej, Herszele był również mocno zainteresowany literaturą współczesną, europejską i żydowską, której dużo czytał. Ale nie można go określić mianem człowieka książki. Książka była dla niego raczej bodźcem do obserwacji i przemyśleń. A obserwatorem był trzeźwym, krytycznym, osądzał ludzi i rzeczy ze szczególną dociekliwością. Miał wyostrzony zmysł dostrzegania tego, co zasadnicze, istotne i w ludziach, i w zjawiskach. Rzadko się mylił. Szczególnie blisko przyjaźnił się z Miszą Trojanowem. Z matczyną czułością roztaczał nad nim opiekę, zarówno nad jego życiem prywatnym, jak twórczością. Dobrze trafił ze swoim oddaniem i miłością do tego pobożnego żydowskiego poety o rosyjsko brzmiącym nazwisku: Trojanow był jednym z najszlachetniejszych i najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem.

Herszele „Zohar” był postacią barwną i skomplikowaną. Jego życie duchowe – rozmyślanie, kontemplacja – było szczególnie intensywne. Nawet podczas okolicznościowych rozmów w kawiarni jego czujna myśl i fantazja nie spoczywały.

⁵⁵ Pirke Awot 1,4.

⁵⁶ Pirke Awot 5,16.

⁵⁷ Pirke Awot 1,3.

Pamiętam, jak raz w letni wieczór staliśmy z kilkoma przyjaciółmi przed wejściem do kawiarni Pod Szklanką. Nagle przechodzi obok nas młody człowiek w cywilnym ubraniu, z karabinem na ramieniu. Zapewne członek jakiejś organizacji szkolenia wojskowego. Dla nas wszystkich był to nieprzyjemny widok. W jego postawie wyrażał się cały charakter: okrucieństwo i maszynowy chłód, na podobieństwo narzędzia mordu, które tak dumnie niósł na ramieniu. Ale jeszcze silniej niż na resztę z nas, widok ten podziałł na Herszele, wprowadzając w ruch sprężyny jego umysłu i emocji. Był człowiekiem głęboko etycznym – jakby przypadkiem zabłądził do naszego pokolenia członek sekty Eseneńczyków, tych duchowo pięknych, moralnie wzniosłych ascetów, których misją było nie tyle studiowanie Tory, ile wcielanie jej w życie⁵⁸.

Na Herszele scena ta wywarła wielkie wrażenie, jako demoniczne zaślubiny człowieka z bronią. Nie przypominam sobie teraz dokładnie jego słów, ale mówił zajmująco i dociekliwie o mocy, jaką broń daje człowiekowi i o człowieczeństwie, które mu odbiera...

Herszele promieniował mistycznym światłem Zoharu, od czasu do czasu wpłatał do rozmowy ciekawe obrazy i maksymy z klasyki mistyki i religii. Wśród wielu popularnych alegorii była taka sentencja zabarwiona indywidualistycznie: „Świat jest piecem, w którym pieką się różne chleby: z mąki pszennej, żytniej i jęczmiennej”...

Mistycyzm, jak również romantyzm, nie jest kwiatem wyrastającym na szerokich, skąpanych w słońcu równinach dobrobytu narodowego – rośnie i rozkwita raczej na nocnych polach wygnania i ucisku; żywi się kolektywnym kompleksem wyzwolenia i odkrywa dla nas migotliwe piękno duchowych tęsknot. Taki był też romantyczny mistycyzm w polskiej literaturze XIX wieku. Kto wie, ile słońc zaszło w życiu Herszele, aż nadszedł moment, że odwrócił się od złudnych ziemskich uciech i oddał rzeczywistości wysnionej.

Należał do grupy pięknych oryginałów, w których obfitowała żydowska Łódź: marzycieli, myślicieli i bohaterów ducha. Ci ludzie prowadzili wojnę z „wewnętrznym wrogiem” i odnosili zwycięstwa nad trywialnymi instynktami. W tym sensie byli prawdziwymi *giborei-haruach*, bohaterami ducha, pokonującymi własne złe skłonności.

Byli biedni i samotni, ale zarazem bogaci, władali bowiem bezgranicznym imperium: imperium wolności. Ich wolność – żeby posłużyć się wspaniałą definicją Rousseau – nie polegała na tym, że robili to, co chcieli, tylko na tym, że nie robili tego, czego nie chcieli.

W świecie szarej nędzy (a los ludzki jest nędzą, nawet jeśli oświeć go blask metalu) przeróżni Herszelowie Zoharzy promieniowali pięknem, dodawali otoczeniu uroku i barw. Przypadł im w udziale raj wybrańców: mity, legendy.

Przełożyła z jidysz Magdalena Ruta

⁵⁸ Eseneńczycy – żydowskie stronnictwo religijne działające w starożytności, jego przedstawiciele charakteryzował ascetyczny styl życia, rygorystyczne przestrzeganie czystości rytualnej, szabatu oraz praktyk modlitewnych.

Icchak Janasowicz

Poeta, prozaik. Urodził się w 1909 r. w Jeżowie, zmarł w 1990 r. w Izraelu. W latach 1925–1939 mieszkał w Łodzi, zajmując się głównie handlem i działając aktywnie w żydowskim ruchu robotniczym. Po wybuchu wojny uciekł do Białegostoku i dalej na wschód, docierając do Alma-Aty. Po wojnie wrócił do Łodzi. W 1948 r. opuścił Polskę, przebywając najpierw w Paryżu, a potem w Argentynie. Działał w sekcji jidysz Pen Clubu oraz był wiceprzewodniczącym Związku Literatów Żydowskich im. H.D. Nomberga. Od 1972 r. mieszkał w Izraelu. Zadebiutował w 1928 r. poematem *Majne wegn* [Moje ścieżki] w zbiorze *Literarisze horizontn* [Literackie horyzonty]. Publikował w łódzkiej i warszawskiej prasie jidyszowej. Wydał zbiory wierszy i opowiadań: *Rojchike fartogn* [Zamglony świat] (Łódź 1933), *Sztilkejt* [Cisza] (Łódź 1938), *Bafrajung* [Wyzwolenie] (Moskwa 1941), *A sztub in sztetl* [Izba w mieście] (Paryż 1951), *Dos bsomim-biksl un andere dercejlungen* [Pudełko na wonności i inne opowiadania] (Tel Awiw–Buenos Aires 1979). Jest autorem wielu książek jubileuszowych poświęconych pamięci wybitnych literatów żydowskich, m.in. Szolem Alejchem, a także książek pamięci (np. *Fizker-buch Ratne* [Księga pamięci Ratna]) oraz wydawcą antologii, np. *Cwiszn mojern* [Między ścianami] (Łódź 1932), *Afn sztejnernem bruk* [Na kamiennym bruku] (Łódź 1935), *Lodzer noticn* [Łódzkie zapiski] (Łódź 1937), *Afnaje wegn* [Na nowych drogach] (Łódź 1938), *Literatur un kunst* [Literatura i sztuka] (Paryż 1951–1952). Wspomnienia o łódzkim środowisku literackim *Lodzer jorn* [Łódzkie lata] ukazały się w Tel Awiwie w 1987 r. Pisywał pod pseudonimami Y. Yonas, Józef Jeżowski, Y. Doresman, Y. Dores, Osher Don.

Łódzkie lata

IZRAEL RABON: SZKIC DO PORTRETU¹

1

Najsłynniejszym i najpopularniejszym poetą jidyszowym w Łodzi w okresie międzywojennym był niewątpliwie Mosze Broderson. Jego nazwisko znane było nie tylko w kręgach literacko-artystycznych, lecz również w środowiskach mających niewiele wspólnego z literaturą czy sztuką. Natomiast sami pisarze, szczególnie młodzi, uważali, że najważniejszym poetą, jakiego wydała Łódź, jest Izrael Rabon. Z tą opinią zetknąłem się natychmiast po przybyciu z rodzinnego miasteczka do Łodzi, a nawet wcześniej, mieszkając jeszcze w Jeżowie, kiedy łódzkich pisarzy jidyszowych znałem tylko ze słyszenia lub z lektury. Dodajmy tu, że ta opinia utrzymała się wśród młodych pisarzy i czytelników poezji zanim wydał on swój pierwszy tomik *Za płotem świata* [*Hintern plojt fun der welt*] i podpisywał się jeszcze swoim prawdziwym nazwiskiem Izrael Rubin, a nie pseudonimem Izrael Rabon.

¹ Pierwodruk: I. Janasowicz, *Lodzer jorn*, Farlag J.L. Perec, Tel Awiw 1987, s. 150–184. Przedruk przekładu N. Krynickiej za: Jisroel Rabon, *Batuty. Powieść o przedmieściu*, red. K. Radziszewska, N. Krynicka, Łódź 2016, s. 121–143.

Zanim przejdziemy dalej, zaznaczę w nawiasie (a może poza nawiasem), że dzisiaj mam na ten temat inne zdanie. Teraz uważam, że najważniejszym – bo najoryginalniejszym i najgłębszym – jidyszowym poetą Łodzi był wówczas Chaim Król², choć od dawna już tam nie mieszkał i przyjechał tylko na krótko przed powrotem do Ameryki. O ile się nie mylę, było to na początku lat dwudziestych.

Prawdą jest, że młodzi pisarze kochali Mosze Brodersona, bo i Broderson ich lubił i w nich wierzył. Do czego zmierzam? Brodersona lubiło się za różne zalety, ale kiedy chodziło o samą literaturę, poezję, talent – ogólny konsensus, jak to się dzisiaj mówi w naukowym żargonie, skłaniał się w stronę Rabona. „Wiesz co? – mawiał Mosze Josef Smolarz z Chmielnika – Broderson jest królem, ale talent ma dziobaty Rabon”. A w tamtych czasach, w tamtym środowisku, talent był czymś najważniejszym, najcenniejszym, co śmiertelnik mógł z Bożą pomocą osiągnąć.

Broderson miał dużo uroku. Przebywanie w jego towarzystwie było przyjemnością. Sypał aforyzmami i kalamburami, a także sprawiał, że jego rozmówca (szczególnie młody pisarz, który na gwałt potrzebował trochę ciepła i uznania) rozluźniał się, czuł się dowartościowany. Rabon taki nie był i nie starał się być. Nie raz wygarniał młodemu autorowi coś, co tamten zrobił i co mu się nie spodobało. A mimo tego pisarze starali mu się usilnie przypodobać, a każde jego dobre słowo cieszyło ich i podnosiło na duchu.

Jak już mówiłem, Broderson miał urok. Rabon tej cechy nie posiadał. Urok Brodersona był przyjemny, ale nikogo do niczego nie zobowiązywał. Z Rabonem się liczono. Nie chciało mu się narażać. Sam Broderson o wiele bardziej cenił Rabona, niż Rabon jego.

Ale jeśli mam być szczery, muszę od razu powiedzieć, że Rabona się bano, w każdym razie lubiany nie był.

2

Choć w samej Łodzi Izrael Rabon zaczął być znany jako pisarz całkiem wcześniej, poza łódzkimi kręgami literackimi zdobył sławę dopiero po ukazaniu się jego debiutu książkowego *Za płotem świata*, oraz później powieścią *Ulica* [*Di gas*]³.

Izrael Rabon (wtedy jeszcze Rubin) zadebiutował w roku 1916 w dzienniku Lazara Kahana „Łodzer Folksblat” wierszem w rubryce humorystycznej. Został wydrukowany dopiero po tym, jak szesnastoletni początkujący humorysta zrobił dziką awanturę wówczas wszechwładnemu redaktorowi za to, że przetrzymał trochę jego utwór w redakcyjnej szufladzie. Rabon dał się wtedy poznać jako chłopak „nie dający napluć sobie w kaszę”, któremu trzeba „schodzić z drogi”, jak mówią Łódzianie, o ile nie chce się usłyszeć o sobie publicznie takich słów, których lepiej nie wypowiadać przy otwartych drzwiach do pokoju dzieciennego.

² Chaim Król (1892–1946) – poeta jidyszowy urodzony w Łodzi, od 1922 r. mieszkający w USA, gdzie publikował pod nazwiskiem: Krul. Jego debiutancki tomik *Lojbn* [Hymny pochwalne] ukazał się w 1920 r. w wydawnictwie awangardowej grupy Jung Idysz.

³ Zarówno tom poetycki *Hinter plojt fun der welt*, jak i powieść *Di gas* ukazały się w 1928 r. Powieść Rabona jest dostępna w polskim przekładzie: I. Rabon, *Ulica*, przeł. K. Modelski, Wrocław 1991.

„Bałucki ulicznik” – mawiali o nim ci, których obraził, a on nie próbował zmienić tego wizerunku. Wprost przeciwnie, był okres, kiedy sam się starał stworzyć wrażenie, że należy do tych, z którymi lepiej się nie zadzierać.

Mnie nie ukołysało radosne dzieciństwo,
Nie ssałem piersi niańki jak dzieci bogaczy.
Ach, rzadko pamiętam mój dom w jasnych barwach,
A mamę jedynie jak klnie i jak płacze –

Tak pisał w wierszu otwierającym tomik *Za płotem świata*. W tym samym utworze, jak również w wielu innych wierszach z tego tomu, opowiada, że dorastał jako dzikus, łobuz, „nosząc w sercu torbę krzyków”. Rósł, jak pisze, targany niepokojem, tułał się u obcych, zadawał ze złodziejami –

Z chłopskich wozów wykradałem jabłka
Na jarmarkach w karty grałem z wyróstkami,
Nocą na polach szukałem ziemniaków
Na wesole uczty razem z kolegami.

Nie można powiedzieć, żeby ten „sympatyczny”, ostro zarysowany autoportret był diametralnie różny od wyglądu i charakteru modela. Ale nie należy też sądzić, że mamy przed sobą fotografię o stuprocentowym podobieństwie. Prawda, że w okresie, kiedy znałem Rabona, nieźle już się ustatkował i nie był tak agresywny i rozgoryczony jak przedtem. Ale nie mam wątpliwości, że nawet w poprzednich latach nie był, broń Boże, jakimś bandziorem i że nie miał nic wspólnego ze światem przestępczym, chociaż było to w czasach, gdy bohaterowie Gorkiego byli bardzo popularni wśród żydowskiej inteligencji, a chuligaństwo Jesienina miało szeroki odzew wśród żydowskich miłośników poezji w Polsce.

Poznałem Rabona jeszcze przed ukazaniem się *Za płotem świata*, gdy byłem siedemnastoletnim chłopcem z prowincji. Dość szybko zrozumiałem, że nie jest taki czarny, jak sam siebie maluje. Później natknąłem się na ludzi, którzy naśladowali jakąś postać – realną czy literacką – i nosili tę maskę tak długo, aż uznana została za ich własną twarz. Prawdą jest także, że nikt nie udaje wariata, jeśli nie jest choć trochę szalony. Charakter i zachowanie Rabona nie kwalifikowały go bynajmniej do miana ujmującego młodzieńca. Nie należał do tych, o których Anglicy mówią, że będąc sami w mieszkaniu posługują się łyżeczką, by włożyć do herbaty kostkę cukru. Jednym słowem, był dość trudnym człowiekiem. Ale ci, którzy uważali go li tylko za bałuckiego ulicznika, mimo wszystko się mylili. Rabon był kimś daleko więcej...

Przez długi czas pozostawał pod wpływem Jesienina i starał się go naśladować – nie tylko w poezji, lecz także w życiu. Nie zapominajmy, że dorastał w głębokiej nędzy łódzkich Bałut, gdzie między światem przestępczym a porządną biedotą była wąska granica. Mimo wszystko taka granica istniała i wytrzymywała codziennie próby, na jakie

wystawiana była uczciwość. Uprzemysłowienie zmieniło całkowicie warunki bytowe, ale to środowisko Bałut pozostało wierne żydowskiej moralności i żydowskiemu trybowi życia. Chcę przez to powiedzieć, że chociaż Rabon dorastał na dnie nędzy i w sąsiedztwie półświatka, nie wszedł nigdy, broń Boże, w konflikt z prawem, ani nawet – z żydowską drobnomieszczańską moralnością. „Nie znoszę bohemy przy karcianym stole” mawiał.

Jeszcze coś: chociaż w swoich wierszach a także w stosunkach z ludźmi często demonstrował przynależność do cyganerii, pogardzającej drobnomieszczaninem, jego filozofią i stylem życia, w rzeczywistości bardzo uważał na to, by nie zaciągać długów. To, że od nikogo nie chciał nic przyjmować, że ukrywał własną nędzę, a czasem i głód, miało związek z jego drobnomieszczańskim pochodzeniem, z utraconym domem w Gowarczowie (miasteczku, w którym się urodził i skąd jego rodzice wywędrowali do Łodzi) i przede wszystkim – z kompleksem niższości, który prześladował go przez całe życie.

3

Osobiście poznałem Rabona niedługo po tym, jak przybyłem do Łodzi. Było to tak: siedziałem z moim przyjacielem i mentorem Gustawem (Gerszonem) Miedzińskim⁴ w kawiarni przy Południowej 8, piłem gorące mleko i słuchałem radia. Ta kawiarnia, o nazwie Pod Szklanką, była już wielokrotnie wspomniana przeze mnie i przez innych piszących o dawnej literackiej Łodzi, czyli o okresie międzywojennym.

Pod Szklanką jako pierwsza kawiarnia w dzielnicy żydowskiej, w centrum miasta, wprowadziła radio. Dla łódzian była to jeszcze wtedy wielka nowość. Młodzieży przypominała książkę Bellamyego *Za sto lat*⁵, gdzie przewidziano, że nadejdzie czas, kiedy wystarczy nacisnąć guzik w ścianie, by usłyszeć najpiękniejszą muzykę albo najmądrzejsze idee. Ta przepowiednia właśnie się sprawdzała. W owym czasie zakładało się jeszcze na uszy słuchawki, wiszące na ścianie i połączone kablami z aparatem radiowym stojącym na osobnym stoliku. Dla chłopaka z prowincji, dopiero co przybyłego do Łodzi, była to niemała atrakcja, choć piętnaście groszy za szklankę gorącego mleka stanowiło istotną pozycję w moim budżecie.

Słuchawki, przez które słuchało się muzyki (nawet Beethovena, mawiali entuzjaści), szybko jednak przestały być sensacją. Pojawiły się aparaty radiowe z głośnikami i nie trzeba już było zakładać na uszy słuchawek. Mimo wszystko w kawiarni utrzymała się specyficzna stała klientela.

⁴ Gustaw (Gerszon) Miedziński (1909–1942) – literat jidyszowy, urodzony w Jeżowie, od 1927 r. mieszkający w Łodzi. Autor między innymi dramatu *Trocki* (Łódź 1937–1938).

⁵ Edward Bellamy (1850–1898) – powieściopisarz i publicysta amerykański, autor m.in. popularnej książki futurystycznej *Looking Backward* [Patrzac wstecz] (1888), przetłumaczonej na polski jako *W roku 2000* (1890), a na jidysz jako *In hundert jor arum* [Za sto lat], Warszawa 1906.

Z czasem Pod Szklanką stała się sławna. Jakiegoś wieczoru widziałem tam znanego pisarza Hersza Dawida Nomberga⁶. Było to niedługo przed jego śmiercią, a przyszedł tam nie w sprawach literackich, lecz by spotkać się z krewnym z Mszczonowa, który w kawiarni regularnie grał w szachy. Przez jakiś czas można tam się też było natknąć na hebrajsko-jidyszowego poetę Jankiela Fichmana⁷, przebywającego wtedy w Polsce i odwiedzającego Łódź.

Do stałych bywalców Pod Szklanką należeli: Chaim Wodnik, nazywany „łódzkim Sokratesem”⁸; nauczyciel hebrajskiego i jidyszowy pisarz Abram Hersz Flakser⁹ (kuzyn pisarza Menachema Flaksera¹⁰), którego İcchak Majer Wajsenberg¹¹ uhonorował tytułem łódzkiego Rabindranatha Tagore; członek towarzystwa Chowewe Sfas Ejwer¹² Berl Fabrikant oraz jego oponent w kwestiach gramatyki hebrajskiej, Mosze Łojfer i inni. Tam spotykali się również młodzi pisarze jidyszowi, tak zwani debiutanci, z których każdy mógł na pewno w cichości ducha uważać się za geniusza, ale nie miał jeszcze dostatecznej pewności siebie i odwagi, by przekroczyć próg kawiarni Astoria, gdzie schodzili się na herbatę klasycy łódzkiego Olimpu.

W pewien jesienny wieczór siedziałem z moim przyjacielem Miedzińskim w kawiarni Pod Szklanką i słuchałem muzyki radiowej. Wszedł mężczyzna, który usiadł przy sąsiednim stoliku. Nie przywitał się z nami, tylko od razu zaczął rozmowę z moim towarzyszem. Na mnie, pamiętam, nie wywarł specjalnego wrażenia, a nawet, prawdę mówiąc, wydał mi się antypatyczny. Po jakimś czasie, słysząc, że dopiero co przybyłem z prowincji, zaczął zadawać mi różne pytania, na które odpowiadałem niechętnie i zdawkowo. Nagle wstał i zapłaciwszy za szklankę herbaty wyszedł z kawiarni. Spytałem wtedy kolegę:

– Kim był ten nudziarz?

– Co? – wlepił on we mnie zdumione spojrzenie – nie wiesz, kto to był? Ty dziki prowincjuszu, przecież to Izrael Rabon, pisarz Izrael Rabon!

Prawie spadłem z krzesła. To ma być Izrael Rabon? Ten Izrael Rabon, o którym tyle się nasłuchiwałem jeszcze w miasteczku? Wej, wej, rzeczywiście dziki prowincjusz ze mnie... To cud, jeśli się nie obrazi za sposób, w jaki mu odpowiadałem. A niech to!

⁶ Hersz Dawid Nomberg (1876–1927) – popularny prozaik i publicysta jidyszowy z kręgu İcchaka Lejba Pereca, jednego z „ojców” literatury jidyszowej; urodzony w Mszczonowie, od 1897 r. mieszkał w Warszawie. Poseł na Sejm z ramienia Żydowskiej Partii Ludowej (tzw. folkistów).

⁷ Jankiel Fichman (1881–1958) – poeta jidyszowo-hebrajski, klasyk poezji izraelskiej, tłumacz; urodził się w Bielskach w Mołdawii, przez pewien czas mieszkał w Warszawie, od 1925 r. w Palestynie.

⁸ Zob. poświęcone Chaimowi Wodnikowi wspomnienie I. Goldkorna.

⁹ Abram Hersz Flakser (1896–1942) – prozaik jidyszowy z kręgu I.M. Wajsenberga; w Łodzi mieszkał od 1921 r. Zmarł w getcie łódzkim.

¹⁰ Menachem Flakser (1898–1978) – poeta, prozaik i eseista jidyszowy. Urodzony w Ostrołęce, w okresie międzywojennym mieszkał w Warszawie, od 1947 r. w Nowym Jorku. Tłumacz z francuskiego, niemieckiego i rosyjskiego na jidysz.

¹¹ İcchak Meier Weisenberg (1881–1938) – popularny prozaik jidyszowy pochodzący z Żelechowa; należał do kręgu Pereca. Zdobył sławę naturalistyczną nowelą *A sztetl* [Miasteczko] (1906), ukazującą konflikty i przemiany w społeczności żydowskiej podczas rewolucji 1905 r.

¹² Chowewe Sfas Ejwer (Miłośnicy Języka Hebrajskiego) – założone na początku XX w. w Rosji towarzystwo propagujące język hebrajski.

Ale moja troska, jak się później okazało, była daremna. Po jakimś czasie później wszedłem do tej samej kawiarni i natknąłem się na Rabona siedzącego przy stoliku. Wskazał mi krzesło obok siebie i znowu zaczął zadawać mi najprzeróżniejsze pytania. Tym razem już się starałem odpowiadać najlepiej, jak potrafiłem.

Niezręcznie mi to mówić, bo może to wyglądać na przechwałki, ale prawdą jest, że już przy pierwszym spotkaniu okazał mi pewną sympatię, co zauważyli nawet, nie bez zazdrości, moi koledzy, młodzi pisarze. Tę sympatię okazywał mi przez wszystkie lata, aż do naszego rozstania w Białymstoku.

Kilka miesięcy później zdarzyło się coś, co znowu wyraźnie podkreśliło jego wyjątkowo dobry stosunek do mnie, choć Bóg jeden wie, czym sobie na niego zasłużyłem.

Zaczęliśmy wtedy wydawać pismo „Ojfn literariszn horizon” [Na horyzoncie literackim]. Gustaw Miedziński był redaktorem, ja – sekretarzem redakcji. Drukowaliśmy je w drukarni należącej do pewnego Żyda o nazwisku Winik, a zecerem był niejaki Gliksman. Ów Gliksman był ode mnie o wiele starszy i to on nauczył mnie robienia korekty. Bo i skąd miałem to wiedzieć? W Jeżowie nie było drukarni i nie wydawaliśmy tam żadnych pism.

Pewnego razu Gliksman mówi mi, że też pisze wiersze i że jeśli się zgodzimy, da nam kilka do pisma. Mówię mu, żeby mi je dał, a przedstawię je redakcji (oprócz Miedzińskiego i mnie byli tam również Jehuda Pruszyński i Pinchas Zelman) i jeśli koledzy się zgodzą, to je wydrukujemy. Tak też się stało: dał mi kilka wierszy, zaproponowałem je i stanęło na tym, że je wydrukujemy. I tu zaczyna się afera.

Pewnego dnia Rabon wbiega do kawiarni Pod Szklanką z awanturą. O co chodzi? Gliksman wziął jego wiersze i wydrukował w naszym piśmie, podając się za autora. Z początku nie wiedziałem, co się stało. Później zrozumiałem, że u Winika składa się też tomik Rabona *Za płotem świata*, a zecerem jest Gliksman. Ze składu robi się matryce i wysyła do Warszawy, gdzie drukuje się książkę. Reszta jest jasna. Ponieważ to ja przyniosłem wiersze do redakcji, znaczy, że jestem głównym winowajcą. Rabon się pieknie. Straszy, że jeśli nie spalimy całego nakładu, zrówna nas z ziemią. Ale nagle ucicha, przestaje się wściekać, a na wargi wypływa mu uśmiech. Widać wyraźnie, że cała historia zaczyna go bawić. Stanęło na tym, że na ostatniej stronie pisma, która jeszcze nie została wydrukowana, w „skrzynce na listy” (redaktor G.M. uważa, że żadne szanujące się pismo nie może obejść się bez takiej „skrzynki”), wydrukowaliśmy niby to odpowiedź literackiemu złodziejowi Gliksmanowi i ostrzegliśmy go, że na przyszłość będziemy już ostrożniejsi z plagiatami... Co do Rabona, nie zażądał od nas nawet, żebyśmy go przeprosili.

Ciekawe, że Gliksman nie przejął się zbytnio całą sprawą. Powiedział tylko: „Wszyscy tak robią”. Co wszyscy robią? Tego nie wyjaśnia. Nie próbuje się tłumaczyć. Przed kim miałby się tłumaczyć? Przed dziobatym „bachorem z ulicy”?

Ledwo ta historia poszła w zapomnienie, a już wynikła następna. W piśmie, które wydawaliśmy, napisałem moją pierwszą recenzję, z *Za płotem świata* Rabona. Panowała wtedy moda, żeby nie zostawiać suchej nitki na krytykowanym i wynajdywać u niego

(czy raczej w jego książce) przeróżne błędy, a szczególnie – wpływy i jeszcze raz wpływy... Niedoświadczony i za młody, dostosowałem się do ducha czasu i znalazłem w tomiku Rabona różne rzeczy, do których się przyczepiłem. Szczególnie podkreśliłem wpływ Mosze Lejb Halperna¹³. Dzisiaj widzę, że miałem rację i że byłem dość łagodny, ale wtedy Rabon był na mnie strasznie zły. Ale również ten jego gniew szybko i nieoczekiwanie się wypalił. Kiedy Chaim Wodnik, który przez jakiś czas odgrywał Mefista i cieszył się, gdy mógł intrygować między pisarzami, próbował się wtrącić, niby to ujmując się za Rabonem, ten całkiem ostro mu powiedział, żeby się nie wtrącał w nieswoje sprawy. Dodał morał ze znanej bajki, że tam gdzie kowal kuje żelazo, żaba nie powinna podkładać nogi.

Naprawdę nie wiem do dzisiaj, jakie zasługi uratowały mnie od gniewu Rabona, do którego większość pisarzy w Łodzi miała pretensje, a byli nawet i tacy, którzy go unikali.

4

Mówiliśmy już o tym, że według wizerunku Rabona w jego własnych wierszach daleko mu było do ujmującego młodzieńca, z którym, jak mawiała moja błogosławionej pamięci babcia, można by się wybrać z wizytą do żony rabina lub do aptekarza na herbatę z konfiturami. Sam jego wygląd jakby odstraszał i sprawiał, że wierzyło się we wszystkie historie o nim i o jego „aspolecznych” zachowaniach. Był trochę wyższy od przeciętnej, miał zielonkawoblądą twarz upstrzoną wielkimi dziobami, pozostałością po przebytej w dzieciństwie ospie. Przyczyniało się to do wrażenia, że tego człowieka dla własnego dobra lepiej unikać. Owo wrażenie potęgowało się jeszcze, kiedy wpadał w gniew. Twarz robiła mu się wtedy czerwona, a dzioby jarzyły zielonkawo, co odpychało i napawało przerażeniem.

Ze straszną twarzą kontrastowały oczy, brązowe i łagodne, jak u zaspanej kury. Miał też bardzo ładne ręce, z palcami skrzypka. W wieku 27 lat, gdy go poznałem, miał już dużą łysinę i zaczesywał sobie pasmo włosów z tyłu głowy do przodu. Nie zakrywało łysiny, lecz tworzyło na nagiej czaszce czubek, który jeszcze dodawał osobliwości całej postaci (mówiąc nawiasem, Rabon nie był zadowolony z własnego wyglądu i zawsze nosił przy sobie lusterko, w którym się przeglądał. Grzebykiem ciągle też zaczesywał to pasmo z tyłu głowy na jedną lub drugą stronę i ciągle był przy tym rozczochrany. Czy widzieliście już rozczochraną łysinę?).

Bano się go i go unikano. Ale doceniano jego talent. „Diabelnie zdolny” – mówiono o nim w kręgach literackich. Przewyższał otoczenie nie tylko z powodu swojej poezji, ale i prozy, esejów, a nawet publicystyki. Sam albo ze współnikami wydawał pisma literackie oraz był stałym współpracownikiem dziennika „Łodzer Togblat” pod redakcją Izraela Kahana (brata Lazara Kahana), gdzie pisał felietony, a przede wszystkim powieść sensacyjną. Kilkakrotnie próbował też, wspólnie z kolegami, wydawać gazety

¹³ Mosze Lejb Halpern (1886–1932) – poeta jidyszowy, pochodził ze Złoczowa, w 1908 r. emigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie zmagał się z nędzą i wyobcowaniem, czemu dał wyraz w swoich utworach; związany z nowojorską modernistyczną grupą Di Junge [Młodzi].

popołudniowe, które nie miały jednak długiego żywota. Był bardzo przedsiębiorczy i nie ukrywał, że chodzi mu o zarobek. W pewnym sensie był łasy na pieniądze i skąpy. Nigdy nikomu nie zafundował kawy, ale z drugiej strony – nie pozwalał, by go zapraszano. Już nie mówiąc o tym, że z nikim się nigdy nie wdawał w spory finansowe, co się zdarzało innym łódzkim dziennikarzom i literatom, którzy bywali nawet wykluczani ze związku zawodowego za oszustwa.

Zwykle unikano Rabona z powodu jego ostrego języka. Kiedy się z kimś pokłócił, mógł mu w oczy powiedzieć okropne rzeczy. Co na przykład? Nie, lepiej nie powtarzać, co w takich momentach mówił przeciwnikowi. Czy tamten miał siostrę, czy nie... Wystrzegano się go więc i nie zaczepiano. Miał jednak tę zaletę, że sam też nikogo nie zaczepiał.

Jedynym człowiekiem, na którego się uwziął, był Mosze Broderson. Ciągle z nim wojował. Trudno mu jednak było, bo z Brodersona był marny „bojownik” i nie odpowiadał na jego prowokacje. Co zrobił Rabon? Obraził żonę Brodersona, aktorkę Szejne Miriam, w grze której, według niego, nie było widać talentu, tylko „symetryczny tyłek”...

I biada temu, kto się za Brodersonem ujmował. Kiedyś nawet wydał ulotkę przeciw „doboszowi ulicznemu” Brodersonowi i jego poplecznikom. Obrzucił w niej dziennikarza Chaima Jankiela Brzustowskiego¹⁴ wszystkimi możliwymi obelgami w porządku alfabetycznym, a – aferzysta, b – bandyta, c – cham¹⁵ i tak dalej. Nienawisć do Brodersona brała się po prostu z zazdrości. Ciągle mu się wydawało, że Broderson odebrał mu pierwszeństwo. Popularność Brodersona i kobieca „symetria” Szejne Miriam były jego słabym punktem.

Aż litość brała, kiedy Rabon się na kogoś złościł. Nawet kiedy się nie złościł, miał skłonność, by mówić do ludzi i o ludziach tak, że nie pomagało to w utrzymywaniu przyjacielskich stosunków. Opowiadał o nich zmyślane historie i choćby go siekano na kawałki, trwał przy swoich wymysłach.

Kiedy Rabon się przy czymś uparł, nie można mu było tego za nic wybić z głowy. W okresie niecałych trzech lat mojego „lewicowania”, z którego stopniowo otrzeźwiałem po procesach w Moskwie, wydałem poemat o młodzieży w małych miasteczkach, która wie, kim był Marks i idzie do walki o nowy świat. W tym samym czasie wydrukowałem też wiersz o młodym chłopie opuszczającym głodującą wioskę, by zostać bandytą czy kimś w tym rodzaju. Rabon poplątał te dwie rzeczy i wyrzucał mi, że napisałem, że chłop ze wsi wie, kim był Marks. Nie pomogły moje tłumaczenia, nie pomogło nawet, że przyniosłem mu oba teksty i pokazałem czarno na białym, że się myli. Przez jakiś czas się nie odzywał, jakby przyznał mi rację (zgodnie z powiedzeniem „kto milczy, potwierdza”).

¹⁴ Chaim Jankiel Brzustowski (1893–1941) – urodzony w Łodzi prozaik i dziennikarz. W 1918 r. został członkiem zarządu Związku Literatów i Dziennikarzy w Łodzi. Wraz z P. Weintraubem był wydawcą „Najer Folksblat”.

¹⁵ W oryginale: „alef – oksn trajber [poganiacz wołów], bejs – bandit [bandyta], giml – ganew [złodziej]”.

Ale później, kiedy już się pożegnaliśmy i przeszedł na drugą stronę ulicy, nagle się obrócił i krzyknął za mną: – Ale jednak nie powinien był pan pisać, że młodzi chłopci na wsi czytają Marksa.

Ponieważ, jak już mówiłem, odnosił się do mnie wyjątkowo przyjaźnie i dobrotliwie, byłem zmuszony uznać, że to jakiś specyficzny raboniczny humor.

5

Jego humor – jeśli można tak go nazwać – był złośliwy, miał na celu dotknąć. Nie śmiał się, tylko wyśmiewał.

Prawie nigdy nie opowiadał nic śmiesznego o samym sobie. Ale raz się to zdarzyło. Ktoś go zapytał, dlaczego wybrał sobie taki, a nie inny pseudonim. Zamiast odpowiedzieć wprost na pytanie, odrzekł:

– Mój pseudonim kosztował mnie sto dolarów.

– Sto dolarów? – zapytaliśmy zdumieni. – Jak to możliwe?

– To jest tak – powiedział i leciutki uśmiezek zaigrał mu w kącikach ust – „Di Cukunft”¹⁶ wydrukowała kilka moich wierszy, poprosiłem więc Radoszyckiego¹⁷, by odebrał za mnie honorarium i przesłał mi je przez okazję, bo na przelewach przez Danziger Bank¹⁸ adresat dużo traci. Radoszycki zrobił, o co go prosiłem i przesłał te pieniądze – sto dolarów – przez człowieka, który jechał do Łodzi na groby rodziców. Dał mu mój adres przy ulicy Pieprzowej 15¹⁹ i kazał mu oddać pieniądze Izraelowi Rabonowi. Pewnego dnia słyszę, jak na podwórzu mówią, że przyjechał gość z Ameryki i szukał jakiegoś „Rabejnu Srueł”²⁰, dla którego przywiózł sto dolarów. Od razu zrozumiałem, kogo szukał, ale było już za późno. Pewnie wrócił już do Stanów i zabrał ze sobą moje sto dolarów.

Również w swoim pisarstwie Rabon nie zdradzał poczucia humoru. Miał skłonność do groteski i satyry, co wyrażało się w jego przesadzonych opowieściach. Ale raz słyszałem, jak opisuje scenę ze swojego podwórza i był w niej nie tylko klimat Bałut, lecz także prawdziwy humor.

– U nas na podwórzu (zdaje się, że chodziło o ulicę Pieprzową 21, gdzie mieszkał przez jakiś czas, zanim przeprowadził się pod numer 15) „osiedliło się” kilka dziwek, które bez żenady, w biały dzień przyprowadzały do siebie „gości”. Awantury robione właścicielowi, żeby uwolnił od tego podwórza, nic nie pomagały. Nie przepędzał ich, więc prowadziły interes jawnie, na oczach wszystkich. Ponieważ wszystkie inne środki zostały wyczerpane,

¹⁶ „Di Cukunft” [Przyszłość] – opiniotwórcze pismo społeczno-kulturalne w jidysz wychodzące w Nowym Jorku od 1892 r.

¹⁷ Icehak Hersz Radoszycki (1883–1957) – poeta jidyszowy; urodzony w Radoszycach, w latach 1906–1920 mieszkał w Łodzi, następnie w USA. Wydał kilka tomików poetyckich.

¹⁸ Danziger Bank für Handel und Gewerbe [Gdański Bank Handlowy i Przemysłowy] – bank o kapitale niemieckim działający w Gdańsku w latach 1921–1933.

¹⁹ Ulica Pieprzowa (w jidysz: Fefergas) – obecnie ulica Hersza Berlińskiego.

²⁰ Srueł – zdrobnienie od imienia Izrael; Rabejnu (dosł. nasz nauczyciel) – tytuł przysługujący rabinowi lub cadykowi, tutaj komiczne nieporozumienie wynikające z brzmienia zbliżonego do pseudonimu pisarza.

gospodynie z podwórza same się dobrały do bezwstydnic. W jaki sposób? Ustawiały się w oknach i kiedy jedna z tamtych powadziła do siebie „gościa”, tak go „witały”, że tracił ochotę do grzechu, zostawiał panienkę i uciekał. To było dobre w tygodniu, ale w piątek porządne gospodynie musiały przygotowywać szabat. A akurat w piątek wieczorem był u dziwek największy ruch. Co robić? Kobiety wysyłały na podwórze swoje dzieci. Kiedy te widziały, że panienka prowadzi klienta, krzyczały do matek:

– Mamo! Gość idzie!

Był wśród nich sześciolatek chłopiec, który nie wymawiał „k” ani „g”, ale też dzielnie stał na straży, nie gorzej od większych chłopców. Kiedy tylko panienka z kimś się pokazywała, krzyczał cieniutkim głosem:

– Mamusiu, dość idzie!

Mamusia opuszczała wtedy kuchnię z rybami na szabat i stawiała w oknie, by „powitać” grzesznika.

Ktoś z nas pytał:

– No i co, to pomogło?

Na to Rabon nie odpowiedział. Słuchając tej historii podejrzewałem, że ją wymyślił, może do swojej kolejnej książki o Bałutach.

W tym przypadku Rabon nie wykazał wielkiego zrozumienia dla „ofiar męskiej żądz”, choć w jego wierszach i powieściach ma do nich wyraźną sympatię. Można nawet powiedzieć, że trochę je idealizuje, podobnie jak Gorki swoich bosiaków i ludzi na dnie. W ogóle w literaturze był to okres, kiedy pisarze interesowali się półświatkiem szukając tam „prawdziwych” ludzi, bohaterów z charakterem, których słowa i czyny są jednoznaczne. Były to czasy „naiwnego socjalizmu”, zainspirowanego rosyjskim *narodnicstwem*. Również w poezji i prozie Rabona widać ten wpływ, chociaż w rzeczywistości nie zadawał się z takimi ludźmi, opisywał ich w stylu naturalistycznym, bardzo przesadnie.

Nie mam pojęcia, dlaczego żydowskie partie robotnicze (Bund i częściowo też lewicowy Poalej Syjon²¹) uważały Rabona za przedstawiciela reakcji, przeciwnika proletariatu. To prawda, że bronił Szolema Asza, na którego bundowcy zorganizowali w swoim czasie nagonkę, bo popierał język hebrajski. O komunistach już nie wspomnę. Oni bez ogródek zaszufładowali Rabona jako sługę burżuazji i faszystę. I chociaż pisał wiersze o biednych służących, o ulicznikach, których nędza skłania do kradzieży i innych ofiar kapitalizmu, chociaż chciał właśnie udowodnić, że jest pisarzem proletariackim, nic to nie pomogło. Określenie socjal-faszysty przyłgnęło do niego, co być może w jakimś sensie zadecydowało o jego losie. W jaki sposób? Jesienią 1939 roku, uciekając przed Niemcami, Rabon dotarł do Białegostoku, który wtedy był już sowiecki. Między uchodźcami znalazł się również pewien łotr, z którym Rabon przed wojną miał poważny konflikt (było w tym coś z tego, co Francuzi nazywają *cherchez la femme*, ale nie mam ochoty o tym pisać). Ów łotr, jak mówiono, od razu udał się do miejskiego komitetu partii komunistycznej i doniósł, że przybył autor powieści sensacyjnych, sługa Piłsudskiego i faszysta najgorszego rodzaju. Znaleźli się ludzie (jeden z nich był

²¹ Poalej Syjon – zob. s. 141, przyp. 18.

komunista), którzy ostrzegali Rabona. Poradzili mu, żeby uciekał, bo dopytują się o niego w kręgach, z którymi lepiej nie mieć nic do czynienia. Nie mając innego wyjścia, usłuchał rady, sprzedał wszystko, co tylko posiadał (między innymi puchową koldrę) i przeszedł do Wilna przez zieloną granicę, która jeszcze wtedy nie była zbyt strzeżona. Jego los po wejściu Niemców jest znany. Rabon zginął w Ponarach. Gdyby został w Białymstoku, wszystko potoczyłoby się może inaczej. Może by się uratował, jak niektórzy przebywający tam pisarze, którzy uciekli dalej pierwszego dnia wojny między Hitlerem a Stalinem...

6

Przed II wojną światową Izrael Rabon był znany w jidyszowym świecie literackim głównie jako poeta, mniej jako prozaik, a jeszcze mniej jako eseista i publicysta. Jeśli jednak wziąć pod uwagę jego twórczość, uderza mała ilość wierszy. Opublikował trzy tomiki: *Za płotem świata*, *Szara wiosna* [*Groer friling*] oraz *Wiersze* [*Lider*]. Trudno uwierzyć, że cała jego spuścizna poetycka to nie więcej niż pięćdziesiąt–sześćdziesiąt wierszy. W dodatku trzeba wziąć pod uwagę, że w jego *Wierszach* z 1938 roku jest kilka utworów przedrukowanych z *Szarej wiosny*. Poezję pisał bardzo powoli, dosłownie linijka po linijce. Oprócz tego wiele czasu poświęcał na prozę (powieści i eseje).

Pamiętam, że pewnej zimy byłem w Warszawie i dopiero na wiosnę wróciłem do Łodzi. Kiedy spotkałem Rabona, opowiedział mi z radością, że w ostatnich miesiącach dużo napisał: pięć wierszy, z których trzy już są gotowe do druku, a dwa musi jeszcze doszlifować. Z tych dwóch jeden potem wyrzucił. To znaczy, że w ciągu całej twórczej zimy napisał wszystkiego cztery wiersze, które włączył do tomiku *Szara wiosna*.

Mosze Broderson – o czym wszyscy wiedzieli – pisał dużo i z łatwością. Mówiono, że pisuje nocą po ciemku. Leżąc w łóżku był w stanie napisać połowę programu dla teatryku Ararat²². Raz – jak sam opowiadał – pisał coś po ciemku i szło mu bardzo dobrze. Ale rano chwycił się za głowę! Okazało się, że w jego czerwonym piórze wiecznym zabrakło atramentu i całe pisanie było na nic.

Ponieważ ci dwaj pisarze byli swoimi przeciwieństwami, można było się spodziewać, że jeśli Brodersonowi pisanie przychodzi z łatwością, Rabon będzie pisać mało i z trudem. I tak właśnie było. Rabon często wspominał wielkich poetów, którzy napisali mało, a należą do kanonu literatury światowej. Ile napisał Rimbaud? – pytał. A był to czas, gdy Rimbaud był dla Rabona poetyckim światłem, które przyświecało mu na drodze twórczej.

Wiele razy odwiedzałem Rabona na uliczce Pieprzowej 15 na Bałutach. Było to jednopokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze. Na niedużym stole zauważyłem okazałych rozmiarów blaszane pudełko z pokrywką. Do czego Rabonowi takie pudełko? W jakiś czas potem mi to wyjaśnił: „Kiedy napiszę wiersz, odkładam go do pudełka na miesiąc–dwa. Jeśli mi się podoba, kładę go na stole i patrzę, co trzeba by w nim

²² Rewiowo-kameralny teatr Ararat, założony w Łodzi w 1927 r. i prowadzony przez Mosze Brodersona; szczegółowo historię Aratatu prezentują w swoich wspomnieniach Sz. Dzigan i M. Puławer (zob. w tomie niniejszym).

przerobić. Następnie znowu wkładam go do pudełka i zostawiam na miesiąc–dwa, a jeśli potem przestaje mi się podobać, drę go albo palę. Z tego, co już podarłem albo spaliłem – powiedział na koniec – tamten »rymotwór« już by zebrał kilka książek, daleko lepszych niż jego własne». Kogo Rabon miał na myśli, doskonale wiedziałem.

– Ale do czego panu potrzebne to hermetycznie zamknięte pudełko? – zapytałem – z szuflady wiersze by uciekły?

– Niech pan się tak nie wymądrza – odpowiedział trochę urażony – bałuckie myszy są od pana mądrzejsze...

Jako pisarz jidyszowy w międzywojennej Polsce Izrael Rabon był bardzo oryginalny, a przede wszystkim – była to wyjątkowa postać. Mosze Lejb Halpern powiedział kiedyś podobno Zisze Wajnperowi²³, że nasza literatura nie potrzebuje nowych wierszy, tylko nowych twarzy... Rabon był nową twarzą. Chociaż tak naprawdę była to tylko maska. Ale mimo wszystko – coś nowego i wyjątkowego. Człowiek – jak na ówczesne stosunki – z nietuzinkową biografią. Jidyszowy Gorki, który wyszedł z bałuckiej nędzy i został pisarzem. Warto pamiętać, że Rabon był mało, bardzo mało żydowski, zarówno w poezji, jak i w prozie. Nie posiadał zupełnie tego bagażu tradycji, jakim środowisko i wychowanie obdarzyło innych jidyszowych pisarzy.

Rabon był pod dużym wpływem Jesienina i Rimbauda. W jego wierszach można również odnaleźć wpływy innych poetów. Literaturę światową, szczególnie poezję, znał jak mało kto. Był nieprzeciętnie uzdolniony, czytał w kilku językach, zwłaszcza po niemiecku i trochę po francusku.

Nie ma sensu wskazywać, który wiersz jest pod wpływem Jesienina (jak *Psia historia*, *Ballada o koniu*, *Pieśń samotnego*, *Pieśń o złodzieju* w tomiku *Za płótem świata*), a który Rimbauda (*Martwy statek*, *Dwoje*, *Róża w wazonie* w tym samym tomie) czy też w których wierszach słychać głos Moszego Lejba Halperna lub Edgara Alana Poe. Ważniejsze jest to (tak mi się przynajmniej wydaje), że twórczość odzwierciedlała jego biografię, poetycko przedstawioną w pierwszym wierszu (a także w innych) w *Za płótem świata*.

Rabon wprowadził do naszej literatury postać chuligana, wagabundy, łobuza, który „nosi na sercu torbę krzyków”, a jego ojciec wyrzuca matce, że urodziła mu takiego syna [...]. Ten wiersz kończy się, jak przystało na fikcyjną biografię, inwokacją poety-chuligana do zmarłego ojca:

O, przeklinałem współ z łobuzami,
A w szabat jadłem wieprzowe kotlety,
Hodowałem gołębie, jednak mimo wszystko
Wraz z Jehudą Halewim mam miano poety.
Halewi, co wyrastał w złocie i jedwabiach
Umrzeć w Ziemi świętej pojechał z ochotą²⁴;

²³ Zisze Wajnper (1893–1957) – poeta jidyszowy związany, podobnie jak Halpern, z nowojorską grupą Di Junge.

²⁴ Jehuda (Juda) Halewi (1075–1141) – urodzony w bogatej rodzinie w państwie arabskim na terenach dzisiejszej Hiszpanii wybitny poeta i filozof związanym z arabsko-żydowskim kręgiem kulturowych;

Ja, by na grobie Lekerta²⁵ czcić czerwoną flagę
Do samego Wilna udam się piechotą!

Kto by wtedy pomyślał, że rzeczywiście pojedzie do Wilna i tam zakończy życie w Ponarach... Fantazja stała się rzeczywistością, ale jakże jej było daleko do poetyckich wizji, jakie snuł w swoim czasie w Łodzi.

7

Kiedy poznałem Rabona, miał 27 lat. W wieku 15 lat zaczął pisać humorystyczne wiersze. Potem pisał już poezję poważną i publikował w pismach, które wydawał sam lub z przyjaciółmi. Co się stało z tymi tekstami? Czy weszły do jego debiutu książkowego *Za płotem świata*? Trudno powiedzieć. W Polsce nie ma instytucji, w której zebrano wszystkie łódzkie publikacje z okresu międzywojennego, trzeba by spędzić tygodnie a nawet miesiące, przeszukując archiwa.

Kiedy poznałem Rabona, w kręgach literackich panowała opinia, że już „wyszedł na ludzi” – że nie jest taki zgorzkniały, jak we wcześniejszych latach. Również w jego poezji, w tomiku *Szara wiosna* widać już tę nową, łagodniejszą twarz Rabona. Albo raczej: z jego twarzy zaczęła powoli znikać maska chuligana i przeświecało przez nią prawdziwe oblicze poety, którego nie złamała trudna młodość. W jego wierszach pojawiły się nowe tony, nowe wizje. Właściwie nic w tym dziwnego. Coś z lirycznego, delikatnie elegijnego nastroju było już w poprzednich wierszach, ale nie zwrócono na to uwagi, może dlatego, że nie pasowało do wizerunku przedstawiciela bohemy.

Takie wiersze, w których słychać i krzyk protestu cygana-buntownika, i liryczny śpiew uczuciowego poety, można znaleźć jeszcze w *Za płotem świata*. [...]

Bezbożnik Jesienin spotkał się tu z religijnym Rainerem Marią Rilke, a francuska poezja symbolistyczna splotła się z elegijną niemiecką poezją imażynistyczną. To właśnie spotkanie jest wyczuwalne w późniejszych wierszach Rabona.

W jakiś czas potem Rabon odniósł wielki sukces swoimi groteskowymi wierszami: *Pogrzeb, Żydożerca, Huśtawka, Mistrz Raabe, Wesele, Handlarz kotami*, gdzie groteska obnaża bezgraniczny smutek. Ale wydaje mi się, że jeśli chcemy poznać poetycką esencję Rabona, trzeba jej szukać nie w tych groteskowych wierszach, ale w takich, jak *Zmierzch, Nad spokojną wodą widzę, Modlitwa o spokój* (wiersz, który zresztą był wydrukowany w pierwszym tomiku Rabona).

[...]

Nie ma wątpliwości, że w krótkim czasie Rabon bardzo się rozwinął poetycko. Świadczą o tym oryginalne wiersze, które właśnie zacytowaliśmy. Ale trzeba powiedzieć, że nie zrobiły na czytelniku takiego wrażenia, jak wczesne utwory (w *Za płotem świata*).

traktaty filozoficzne pisał po arabsku, a utwory poetyckie – po hebrajsku, wiele z jego tekstów religijnych weszło na stałe do żydowskiej liturgii; pod koniec życia udał się do Ziemi Świętej.

²⁵ Hirsza Lekerta (1880–1902) – szewc i rewolucjonista żydowski, członek Bundu, skazany w 1902 r. na śmierć za próbę zamachu na gubernatora Wilna, Victora von Wahl.

Dlaczego? Odpowiedź nasuwa się sama: w tych pierwszych widać nową twarz (nawet jeśli to tylko maska), a pamiętamy przecież życzenie Moszego Lejba Halperna – nowe twarze, nie nowe wiersze.

8

Rabon, jak wiemy, wydał dwie powieści: *Ulicę i Bałuty* [*Balut*]²⁶. W dzienniku „Hajnt” drukował też trzecią powieść, która nie ukazała się w postaci książkowej²⁷.

Pisząc o Rabonie, trzeba przyjrzeć się jego powieściom równie dokładnie, co utworom poetyckim. Przeszkodą jest jednak to, że nie ma do nich dostępu, a raczej, że ja go nie mam.

Pamiętam, że *Ulica* wywarła wielkie wrażenie na czytelnikach i krytykach żydowskich. Była napisana pod wpływem *Głodu* Knuta Hamsuna, pełnego wypadków i postaci o specyficznej oryginalności. W powieści Rabona są wspaniałe karty – szczególnie opis matki bohatera w długim czarnym płaszczu, wyciągającej rękę po jałmużnę na głównej ulicy wielkiego miasta. Nie ma pieniędzy na powrót do miasteczka, skąd przyjechała z synkiem do lekarza. Ta scena, wzięta z życia autora, wryła mu się w pamięć na całe życie. W powieści są jednak również obrazy, wydarzenia i typy, które pisarz wymyślił, by zrobić wrażenie na czytelniku. Jak scena, gdzie narrator nocą na polu bitwy wchodzi do brzucha zabitego konia, by uchronić się przed dotkliwym mrozem. Kiedy rano stamtąd wychodzi, końska krew na nim zamarza, nie może zgąć ramion i zastygają rozłożone na kształt krzyża. To straszny obraz, ale to tylko fantazja. Nie jest przeżyty, tylko wymyślony. Takich scen jest w powieści wiele: na przykład poeta-grafoman, odczytujący swoje wiersze na arenie w pustym cyrku, dokąd zakrada się po przedstawieniu. I tym podobne rzeczy, o których Tolstoj mawiał, że straszą, ale się ich nie boi.

Na wyższym poziomie artystycznym stoi powieść *Bałuty* (choć istnieją na ten temat różne zdania). W niej też są dziwaczne naturalistyczne obrazy, wymyślone, by przestraszyć. Na przykład orgia półświatka w podmiejskiej rzeczce i walka nagich bandytów ze złymi psami, które właściciel na nich szczuje. Ale w *Bałutach* znajdziemy autentyczne ludzkie postacie, jest tam charakterystyczna atmosfera biednego łódzkiego przedmieścia i prawdziwie poruszające sceny. Na przykład ta, jak dwie małe sieroty wracają z pogrzebu ojca (o ile się nie mylę), a za nimi idzie pies z podwórza. To mi się naprawdę wryło w pamięć. Są tu momenty liryczne, jak również szereg opisów dowodzących, że jako prozaik Rabon posiadał duże możliwości.

²⁶ Powieść *Balut. A roman fun a forsztot* Rabon opublikował w 1934 r.; przekład polski: J. Rabon, *Bałuty. Powieść o przedmieściu*, przeł. N. Krynicka, I. Olejnik, red. K. Radziszewska, N. Krynicka, Łódź 2016.

²⁷ Informacja nieścisła: Rabon był autorem wielu mniej ambitnych, przeznaczonych dla masowego odbiorcy powieści, drukowanych w odcinkach w prasie jidyszowej; co najmniej trzy z nich zostały opublikowane na łamach warszawskiego dziennika „Hajnt”, zob. I. Olejnik, *Jisroel Rabon. Życie i twórczość*, [w:] J. Rabon, *Bałuty...*, s. 102. Dostępny jest polski przekład fragmentów innej powieści popularnej Rabona, *Ojfe Nowomiejska. Szpanender roman fun lodzer leben*, która ukazywała się w 1937 r. w łódzkim dzienniku „Najer Folsblat”: I. Rabon, *Ulica Nowomiejska. Sensacyjna powieść o łódzkim życiu*, przeł. D. Dekiert, I. Olejnik, [w:] „Budzi się Łódź...”. *Obrazy miasta w literaturze do 1939 roku. Antologia*, red. K. Badowska, T. Cieślak, K. Pietrych, P. Pietrych, K. Radziszewska, Łódź 2020, s. 645–662.

Z jego esejów i artykułów o literaturze pamiętam szczególnie: znakomity esej o markizie de Sade; polemiczny tekst o jidysz, hebrajskim i Szolemie Aszu; rozprawę o tomiku wierszy J.M. Najmana. Były jeszcze inne artykuły w wydawanym przez Rabona piśmie „Der Os”²⁸. Pismo to, znakomicie redagowane, spotkało się z dużym uznaniem. Z drugiej strony przysporzyło mu niemało przeciwników, jak to się niestety zwykle zdarza w naszych jidyszowych kręgach literackich.

9

Mosze Broderson mawiał, że Rabon jest czymś w rodzaju Kaspara Hausera²⁹. Skąd to porównanie?

– Co wiecie o rodzicach Rabona? – pytał Broderson, by je uzasadnić – wiecie coś o jego domu, o jego rodzeństwie? Gdzie się urodził? Czego się uczył? Pokażcie mi jednego pisarza – kończył Broderson – o którym tak mało wiadomo, jak o Rabonie. Jest Kasparem Hauserem, przez to wzbudza lęk.

To oczywiście nieprawda, że Izrael Rabon wzbudzał lęk otoczenia. Ale rzeczywiście bardzo mało o nim wiedzano. Chodziły słuchy, że jeden z jego starszych braci musiał uciekać do Niemiec, bo był zamieszany w jakąś kryminalną aferę. Szemrano też, że jego starsza siostra zesła na złą drogę... Czy to prawda? Czy wrogowie nie mścili się na nim za zmyślone historie, które o nich opowiadał?

Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek mówił o swojej matce. Tylko raz mi powiedział, że w mieszkaniu przy Pieprzowej 15 mieszkały przedtem jego matka i młodsza siostra. Kiedy ta wyszła za mąż, przeprowadziła się z mężem i z matką na ulicę Zawiszy, sto metrów od mieszkania, w którym został Rabon. Kiedy przeniósł się do Warszawy, licząc na to, że w stolicy, w największym ośrodku żydowskim w Polsce, będzie mu łatwiej utrzymać pismo „Der Os” – z powrotem oddał to mieszkanie matce. Zresztą również wcześniej od czasu do czasu przemieszczał w wynajętych pokojach, ale zawsze wracał na Pieprzową 15. Był taki pisarz, o nazwisku Blejchman, autor książki pod tytułem *Krew nad Ciszą*³⁰, który znał Rabona od dziecka. Chociaż bawili się na tej samej ulicy, czy nawet na tym samym podwórku, nic o sobie nie opowiadali – nie dlatego, że nie chcieli wyjawiać jakichś tajemnic, tylko po prostu uważali, że nie ma o czym mówić.

Jednego interesującego szczegółu z życia Rabona jednak się od Blejchmana dowiedziałem. W wieku siedemnastu lat dawali lekcje czytania i pisania chłopcom i dziewczynom mieszkających przy ulicy Pieprzowej. Blejchman powiedział raz Rabonowi, że trzeba pomyśleć o przyszłości i nauczyć się jakiegoś fachu. Rabon milczał niezadowolony. Potem zapytał:

²⁸ Literackie czasopismo „Der Os” [Litera] ukazywało się w latach 1936–1939 i było dziełem Rabona, który chciał w nim przede wszystkim promować najmłodszych pisarzy jidyszowych i dbał o wysoki poziom, ale nie podpisywał go oficjalnie jako redaktor.

²⁹ Kaspar Hauser (1812–1833) – tajemniczy chłopiec, wychowywany w całkowitym odsobnieniu, który w 1828 r. pojawił się w Norymberdze, zmarł zaś pięć lat później w wyniku rany zadanej przez niezidentyfikowanego zamachowca; zagadka jego pochodzenia nigdy nie została wyjaśniona.

³⁰ J. Blejchman, *Blut baj der Tise, a chronik fun a jungn arbeter*, Łódź 1932.

- A jakiego fachu chciałbyś się nauczyć?
- Krawiectwa – odpowiedział Blejchman.
- A w czym, powiedz – odparł Rabon – pisarstwo jest gorszym fachem od krawiectwa?³¹

Również Chaim Wodnik opowiedział mi interesujący szczegół z życia Rabona: przy ulicy Zawiszy na Bałutach (niedaleko Pieprzowej) znajdowało się kino Flora, gdzie pokazywano amerykańskie westerny, bardzo lubiane przez publiczność. Był jednak taki problem, że widzowie nie mogli czytać polskich napisów, a angielskiego też nie znali. Każdego piątkowego i sobotniego wieczoru zatrudniano więc człowieka, który tłumaczył, co się dzieje na ekranie. Pierwszym „tłumaczem” był Chaim Wodnik, który wyrażał się ordynarnie i żartował sobie z widzów. Kiedy interes mu się znudził, przekazał go siedemnastoletniemu wówczas Rabonowi, który w białym wykładanym kołnierzyku wyglądał jak licealista. On też komentował wydarzenia z przymrużeniem oka, ale utrzymując publiczność w napięciu. Wychodziła z tego historia nie mająca wielkiego związku z tym, co pokazywano na ekranie. Ale widzowie połykali rabonowską wersję filmu z zachwytem. Możliwe, że od tych wyjaśnień w bałuckim kinie wzięły się później jego sensacyjne powieści, które też odnosiły wielki sukces u czytelników.

Raz rozmawiałem z Rabonem o poezji i pracy nad tekstem. Opowiedział mi, że w *Szarej wiośnie* wydrukował wiersz, w którym cztery razy zmieniał ostatni wers i skończyło się na tym, że postanowił przerobić całość. Był to wiersz o wcześniej wspomnianym kinie i o publiczności. Bardzo dobry, choć trochę zbyt naturalistyczny. W pierwszej wersji ostatnia linijka brzmiała: „I nikt nie zważa, że jakiś facet sika w kącie”. Jednak wydawało mu się to zbyt wulgarne, nieładne, więc poprawił na: „I nikt nie widzi, że jakiś chłopak sika w kącie”. Po pewnym czasie ponownie przeczytał wiersz i znowu koniec mu się nie spodobał, więc zamienił go na: „I nikt nie widzi, jak dziecko siusia w kącie”. To się już zupełnie nie nadawało, bo kto w kinie wie, że jakieś dziecko poszło do kąta za potrzebą? Ostatnia przeróbka brzmiała: „I nikt nie widzi jak dziecko płacze w kącie”. To miał być neutralny wers, ale odebrał wierszowi pointę. Rabon mnie zapewnił, że będzie go przerabiał, dopóki go całkowicie nie zadowoli³².

Rabon bardzo rzadko mówił o sobie, o swoich osiągnięciach literackich i zasługach. Wyjątkiem były jego sukcesy u kobiet, o których owszem lubił opowiadać, i to bez zahamowań (w końcu wychował się na Bałutach). Kiedyś odwiedziłem go w zimowy dzień, około pierwszej w południe. Kiedy tylko wszedłem do niego do mieszkania, podniósł ze stołu francuską powieść i powiedział:

– Widzi pan, dopiero co wyszła stąd wykształcona dama. Proszę popatrzeć, czyta francuskie powieści.

Wykształcona czy nie, ale dama. Nie jest tajemnicą, że ten dziobaty łysawy mężczyzna miał powodzenie u kobiet, w każdym razie u pewnych kobiet. Tej zimy, kiedy byłem

³¹ W jidysz gra słów między *szrajberaj* ‘pisarstwo’ i *sznajderaj* ‘krawiectwo’.

³² Mowa o wierszu Rabona *Kino „Wenus”*, por. polski przekład I. Olejnik w: *Sztetl, szund, bunt i Palestyna. Antologia twórczości literackiej Żydów w Łodzi (1905–1939)*, red. K. Radziszewska, D. Dekiert, E. Wiatr, Łódź 2017, s. 186–187.

w Warszawie, miał gorący romans z żydowską nauczycielką z Wilna, która przejechała na semestr do Łodzi. Potem romansował z córką łódzkiego producenta mebli. O nauczycielce nigdy nie mówił. O córce producenta mebli owszem mówił, niekoniecznie bardzo elegancko.

Opowiadają, że z powodu kobiety (nie-Żydówki) pozostał w Wilnie i zaniedbał wyjazd stamtąd, zanim zaczęła się niemiecko-sowiecka wojna. Potem było już za późno.

Był ode mnie starszy o niecałe dziesięć lat, ale w swoim stosunku do mnie był więcej niż dżentelmenem, był – przyjacielem. Kiedy dostałem pracę w gazecie „Folksblat” i oprócz pracy redakcyjnej drukowałem tam też reportaże, wielu moich kolegów szemrało, że kończę się jako poeta. Rabon, jak mi przekazano, bardzo mnie bronił. Myślę, że bronił też przy tym samego siebie, bo i na niego napadano, dlaczego pisuje w gazetach „emocjonujące powieści”. Oni uważają – powiedział do mnie – że jak tylko napisze się wiersz, nie mówiąc o wydaniu całego tomiku, należy żyć na koszt ludu. Czyli się objąć i czekać, aż jakiś „frajer” zafunduje ci kieliszek wódki z ogórkiem na przegryzkę.

Po „wspaniałym” przyjęciu, jakiego zaznał w Białymstoku od owego łódzkiego typu z którym przedtem wszedł w konflikt, Rabon zrozumiał (i dano mu do zrozumienia), że nie ma dla niego miejsca w strefie sowieckiej. Wilno należało wtedy do Litwy i nadchodziły stamtąd dobre wieści o wolnym życiu. Oprócz tego w Wilnie znajdowali się jego bliscy koledzy, J.J. Trunk i J.M. Najman. Było więc jasne, że powinien tam się przenieść, by znaleźć się między swymi.

Umówiliśmy się u doktora Noacha Pryłuckiego³³ i udaliśmy się na pociąg, którym Rabon miał pojechać do Lidy, a stamtąd przejść przez zieloną granicę. Nie było to jeszcze wtedy specjalnie niebezpieczne, ale jeśli wpadło się w ręce sowieckich wartowników, szło się na Sybir.

Szliśmy w milczeniu. Przed dworcem pożegnaliśmy się. Że ja miałem łzy w oczach to pewne, ale mogłbym z czystym sumieniem przysiąc, że on również. Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozstaliśmy się. Zaraz jednak obaj się odwróciliśmy i zaczęliśmy iść sobie naprzeciw. Przyszły mi wtedy na myśl różne chwile z naszej przyjaźni. Przypomniałem sobie wszystko, co dla mnie zrobił i bolało mnie, że nie mogłem mu w niczym pomóc. O czym on myślał w tym momencie – nie wiem, ale w jednej chwili zbliżyliśmy się do siebie i się uściskaliśmy.

Zaczęło się robić ciemno. Długi, smutny gwizdek pociągu zapowiedział, że już czas. Nadszedł ostateczny moment rozstania.

Przełożyła z jidysz Natalia Krynicka

³³ Noach Pryłucki (1882–1941) – dziennikarz i adwokat, poseł na Sejm Ustawodawczy i Sejm I Kadencji. Był również współwłaścicielem i współredaktorem jednego z najważniejszych dzienników jidyszowych, warszawskiego „Der Moment” (1910–1939). Zginął w getcie wileńskim.

Chaim Lejb Fuks

Poeta, prozaik, dziennikarz. Pochodził z rodziny rabinackiej, urodził się w Łodzi w 1894 r. Miał jedynie wykształcenie religijne; przedmiotów świeckich i historii literatury uczył się sam. Był ważną postacią życia literackiego w Łodzi, współzałożycielem Łódzkiego Koła Literackiego, reprezentował łódzkie środowisko na konferencji pisarzy jidysz w 1919 r. W czasie I wojny światowej został wysłany na roboty przymusowe do Niemiec. Po powrocie do rodzinnego miasta zaczął działalność polityczną, najpierw w Bundzie, a następnie w lewicowych organizacjach syjonistycznych, gdzie działał na rzecz nielegalnej emigracji do Erec Izrael. W 1924 r. poślubił łódzką poetkę Rikudę Potasz, z którą rozwiódł się w 1934 r. Po wybuchu II wojny światowej uciekł do Białegostoku, a następnie do ZSRS, skąd powrócił do Łodzi po zakończeniu działań wojennych. W 1948 r. opuścił Polskę i wyjechał do Paryża, gdzie mieszkał do 1953 r. W tym okresie działał na rzecz propagowania literatury żydowskiej, będąc współzałożycielem oraz wiceprezesem Stowarzyszenia Literatury Jidysz oraz współzałożycielem Towarzystwa Żydów Europy Wschodniej. Od 1953 r. mieszkał w Nowym Jorku, prowadząc intensywną działalność organizacyjną i literacką (był m.in. członkiem zarządu Jidysz Pen Center). Zmarł w 1984 r.

Początkowo pisał wiersze w języku hebrajskim, od 1913 r. zaczął pisać w jidysz. Debiutował w „Łodzer Folksblat” w 1915 r. Publikował liczne wiersze, opowiadania, eseje oraz recenzje w wielu gazetach na całym świecie, m.in. w Łodzi, Warszawie, Białymstoku, Moskwie, Wilnie, Paryżu, Mińsku, Nowym Jorku czy Meksyku. Był także redaktorem oraz współredaktorem licznych czasopism literackich, jak „Jung-Idysz” (był również członkiem grupy), „Literatur” [Literatura], „S’feld” [Pole], „Gezangen” [Pieśni], „Szweln” [Progi], „Wegn” [Drogi], „Literarisze Monatszrif” [Miesięcznik literacki] oraz wielu innych. W 1926 r. opublikował w Łodzi swój pierwszy tomik poezji *Dursztike Lemer* [Spragnione owce], zawierający wiersze, poematy i ballady, następny *Zingt mir di welt* [Wyśpiewaj mi świat] wydał dziesięć lat później (1936). W czasie pobytu w Paryżu w 1951 r. wydał tom wierszy *Szo fun lid* [Godzina pieśni] inspirowanych życiem żydowskim przedwojennej Polski oraz Zagładą, pisanych podczas wojny w Kazachstanie oraz w powojennej Łodzi. Po przyjeździe do Nowego Jorku wydał kilka tomików wierszy, m.in.: *Di teg nejgn di kep* [Dnie głowy składają] (1969), *Der achter himl* [Ósme niebo] (1974). Jeden jego tomik wierszy – *Zunfagang* [Zachód słońca] ukazał się w Izraelu. Ponadto opublikował powieść historyczną *Gioras lecter weg* [Ostatnia droga Giory], która ukazała się w Łodzi w 1939 r. Ważnym elementem jego twórczości były monografie traktujące o życiu artystycznym przedwojennej Łodzi, jak *Dos jidisze literarisze Lodz* [Żydowska Łódź literacka] (1957) czy *Lodz szel majle* [Łódź na wysokościach] (1972). Był ponadto autorem prawie 3000 biogramów w *Leksikon fun der najer jidischer literatur* [Leksykon nowej literatury jidysz] pod redakcją B. Kagana.

Łódź na wysokościach¹

JANKIEL LERER – AUTOR BAJEK LUDOWYCH

Dopiero teraz, gdy przyjrzymy się literackiej, czy też artystycznej wartości bajek ludowych Jankiela Lerera (znanego także jako Jakub Morgensztern)², a w szczególności *Symche Płachte*, z którego czerpali tacy pisarze, jak Jakub Preger w pełnej humoru komedii pod tym samym tytułem czy znany łódzki autor J.J. Trunk w wielu swoich książkach, dla których dzieła Jankiela stanowiły swoistą kanwę, można dopiero sprawiedliwie ocenić znaczenie i nowatorstwo tego pierwszego łódzkiego pisarza.

Symche Płachte nie został po dziś dzień należycie doceniony przez krytyków literackich i historyków żydowskiej literatury, jego autor zaś jest prawie zupełnie nieznany młodszemu żydowskiemu czytelnikom. A znany być powinien.

Dlatego też napiszę wszystko, co wiem i czego udało mi się dowiedzieć o Jankielu Nauczycielu.

Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Jakub Kaczka. Pseudonim „Morgensztern” nadał sobie, aby nikt nie dowiedział się o jego pisarskiej działalności, która mogłaby być mu przeszkodą w pracy w nowoczesnym chederze³.

Urodził się w biednej rodzinie w Piotrkowie pod Łodzią na początku 1820 roku. Uczył się w chederze, studiował w beit midraszu⁴ oraz u prywatnych mełamedów⁵ i nauczycieli. Swoją wiedzę jednak zdobył przede wszystkim dzięki samodzielnym studiom. Dłuższy czas nauczał w Łęczycy i należał do kręgu łęczyckich i ozorkowskich maskilów⁶. Po pewnym czasie wrócił do Piotrkowa i ożenił się z głuchoniemą dziewczyną z bogatego domu. Po ślubie obiecano mu, że do końca życia nie będzie musiał troszczyć się o utrzymanie. Jakub z radością przyjął swój los, sądził bowiem, że będzie mógł poświęcić się studiowaniu i pisarstwu, którego początki sięgają jeszcze czasów nauki w beit midraszu, gdzie tworzył jidyszowe i hebrajskie przedstawienia na święto Purim⁷. Jednak szybko teściowie kazali mu znaleźć pracę i zarobić na utrzymanie rodziny, która po kilku latach składała się poza żoną z trójki synów i jednej, niezbyt udanej, córki. Nie mając innego wyjścia, wyjechał do Łodzi, ówczesnej „nowej Ameryki” i na ulicy Drewnowskiej otworzył pierwszy w mieście nowoczesny cheder. To właśnie z tego powodu otrzymał przezwisko Jankiel Nauczyciel. Swoich uczniów – głównie dzieci z rodzin biednych robotników i rzemieślników – uczył nie tylko przedmiotów religijnych, lecz również pisanie i czytania w jidysz, po polsku,

¹ Pierwodruk i podstawa przekładu: Chaim Lejb Fuks, *Łódź szel majle*, Tel Awiw 1972, s. 15–91.

² Mowa o Jakubie Kaczce (1820, Piotrków Trybunalski – 1890, Łódź), który używał pseudonimu Jakub Morgensztern, nazywany był również Jankiel Lerer [Nauczyciel].

³ Chodzi zapewne o tzw. „cheder metukan” (dosł. „poprawiony cheder”), w którym oprócz Tory i modlitw nauczano również przedmiotów świeckich.

⁴ Beit midrasz – zob. s. 117, przyp. 119.

⁵ Mełamed – zob. s. 25, przyp. 5.

⁶ Maskil – zob. s. 239, przyp. 49.

⁷ Purim – zob. s. 131, przyp. 4.

a nawet trochę po rosyjsku. Po upływie pewnego czasu musiał jednak zamknąć cheder, przeprowadzić się do nędznego mieszkania w Bałutach na ulicy Prywatnej i zostać „belfrem”, to jest mełamedem dla dziewcząt. Udzielał też korepetycji. Nie zarabiał w ten sposób wiele, dorabiał więc sobie w tym okresie pisząc wiersze i krótkie teksty dla łódzkich badchenów⁸. Sam również był swatem i badchenem.

Dorabiał sobie także, pisząc żonom listy do ich mężów przebywających w Ameryce albo służących w dalekich miastach i miasteczkach w rosyjskim wojsku. Były to przede wszystkim wierszowane listy miłosne. Nie był jednak zadowolony ze swojej pracy i co jakiś czas wracał do Piotrkowa, gdzie poznał miejscowych drukarzy żydowskich. Piotrków był w tamtym okresie ośrodkiem, z którego po całym kraju rozchodziły się tanie powieści i książeczki pisane częściowo przez samych drukarzy (Bełchatowski, Libeskind itd.). Tam też Jankiel Nauczyciel zaczął pisać książki. Miał wówczas już 50 lat. Drukarze jednak nie chcieli z nim współpracować, zmuszony był więc wrócić do Łodzi. Jego pierwsza książka *Majse begimel achim* [Opowieść o trzech braciach] ukazała się w Łodzi w roku 1870 i przyniosła mu sławę. On sam czuł się wyróżniony głównie dlatego, że przyjaciele-maskile porównali jego książkę do *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Tak też określono ją w kronikach, które w formie listów drukowane były w „Hamagid”⁹ i „Hamelic”¹⁰. W roku 1875 równocześnie w Warszawie i w Łodzi ukazał się jego *Simche Plachte der welt szwindler* [Symche Plachte światowy szuler]. Książka była swoistym rozrachunkiem z rabinami-cudotwórcami, którzy pragnęli zawładnąć żydowskim życiem. W 1882 roku wydał drugą część pod tytułem *Der gliklecher nar, der chawer fun Simche Plachte* [Szczęśliwy głupiec, przyjaciel Symchego Plachte]. Książkę wydano w dużym nakładzie nie tylko w Łodzi i w Piotrkowie, ale także w Wilnie i Warszawie. Dodało mu to odwagi do dalszego pisania. Jego kolejne powieści *Mikdasz mejlech* [Królewska świątynia], *Szabes kojdesz in Gan-Eden* [Sobota w raju] ukazały się najpierw w Wilnie (1889), a dopiero później w Warszawie, podobnie jak *Di majse misznej szotfim un sznej kacowim* [Opowieść o dwóch współnikach i dwóch rzeźnikach], która wyszła w tym samym roku. Przetłumaczone z niemieckiego i polskiego książeczki, którym nadał żydowski charakter: *Magdalena, di krojnprincesin fun Neapel* [Magdalena, księżniczka z Neapolu], *Di szejne Blime Genowefe* [Piękna Blime Genowefa], *Di szejne Helene* [Piękna Helena] i inne, wydał już w Warszawie, będącej w tamtym czasie centrum żydowskiej literatury popularnej (1881). Za swoje najlepsze dzieło uznawał *Badchonisze lider* [Pieśni wesołków], wydane w Łodzi w 1885 roku, które bardzo lubił śpiewać łódzkim tkaczom, a nawet wprowadził je także do swoich *Purim szpil* i innych sztuk rozrywkowych wystawianych przez niego na podobieństwo sztuk teatralnych przy różnych okazjach.

⁸ Badchen – żydowski komik zabawiający gości na weselach i uroczystościach rodzinnych.

⁹ Pierwszy na świecie tygodnik ukazujący się wyłącznie w języku hebrajskim, wydawany w latach 1856–1903, początkowo w Elku, następnie w Berlinie, Krakowie i Wiedniu.

¹⁰ Pierwszy w Imperium Rosyjskim hebrajskojęzyczny tygodnik (od 1886 r. dziennik) wydawany w latach 1860–1903 w Odessie, następnie w St. Petersburgu.

Mój ojciec (również pochodził z Łęczycy) także pisał, ale nigdy niczego nie wydał. Opowiadał mi o Jankielu Lererze, przedstawiając go jako łęczyckiego maskila, który za sprawą swoich oświeceniowych poglądów był prześladowany i musiał uciekać z miasteczka, szukając schronienia w Łodzi. Z opisu mojego ojca wynika, że był maskilem, ale nigdy nie kpił sobie z żydowskich zwyczajów. Szanowała i lubiła go nie tylko żydowska biedota, tkacze z Bałut, którzy cały czas szukali jego towarzystwa i słuchali opowieści i żartów, ale także zadzierający nosa maskile z Wilków¹¹. Z opisów wszystkich, którzy się z nim zetknęli – mojego ojca, Chaima Wodnika (nauczyciela Szaloma Asza), pisarza Cwi Kohena i poety I.H. Radoszyckiego (który poznał go będąc siedmioletnim chłopcem, gdy jego rodzice mieszkali na tym samym podwórku, co Jankiel Nauczyciel na rok przed jego śmiercią na początku 1890 roku) oraz jego jedyne żyjącego krewnego, starego maskila i teatromana, Sieradzkiego, który dobrze go znał (umarł w 1957 roku w Peterson), Jankiel był wysokim, bladym mężczyzną o zawsze smutnej twarzy. Nawet gdy był już w podeszłym wieku, lubił robić dowcipy i nie stronił od kieliszka. Na Purim wystawiał swoje przedstawienia, śpiewając przy tym własne „numery”. Umarł w Łodzi 13 października 1890 roku (jest dla mnie zagadką, dlaczego w księdze pamięci *Encyklopedia szel galujot. Sefer Brisk* [Encyklopedia diaspory. Księga Brześcia], która zredagowana została przez wielkiego mędrca i naukowca A. Sztajnmanna, napisano, że Jankiel Lerer pochodził z Brześcia... Na własne oczy widziałem jego macewę na łódzkim cmentarzu).

Nie wiadomo, czy przyjaźnił się jeszcze z kimś z pisarskiego światka, prawdopodobnie dlatego, że przez całe życie był strasznie biedny, a jego los był bardzo ciężki.

Wiadomo także, że napisał wiele utworów opublikowanych przez łódzkich wydawców bez jego nazwiska. Nie chcieli oni bowiem, by stał się zbyt sławny, gdyż musieliby mu płacić horrendalne sumy za jego bajki, cieszące się wielką popularnością wśród czytelników.

Nie mogę jednak zrozumieć powodów, dla których nasi historycy literatury i krytycy prawie go przeoczyli, podczas gdy tak dużo napisano o jego współczesnych, których jedyną literacką zasługą było to, że opisywali ówczesne żydowskie życie z bardziej oświeconej perspektywy.

PIERWSZE PERIODYCZNE WYDAWNICTWA I ICH WSPÓŁPRACOWNICY

Do niedawna wiedzieliśmy bardzo niewiele o periodycznych wydawnictwach ukazujących się w Łodzi do roku 1905. Na przykład nic nie było wiadomo o „Łodzer Hojz Blat” [Łódzka Gazeta Domowa], który wyszedł po raz pierwszy w 1892 roku albo o robotniczych gazetach „Der Frajhajts Glok” [Dzwon Wolności] (1901), „Łodzer Flugblat” [Ulotka Łódzka] (1902), „Der Arbeter” [Robotnik] (1905), o pierwszym syjonistycznym wydawnictwie „Funken” [Iskry] (1905), czy też o ważnej dla historii żydowskich związków zawodowych „Chronik fun Profesioneler Bawegung” [Kronika Ruchu Zawodowego] wydawanej przez partię socjalistyczną. Do dziś nie znaleźmy nawet

¹¹ Wilki – zob. s. 30, przyp. 9

nazwisk współpracowników tych pism. Dopiero ostatnio dowiedziałem się, że redaktorem zarówno „Funken” jak i „Chronik” był Mosze Gutman (1883–1939). Tam debiutował także ludowy poeta Herszele, który za swoje wiersze został aresztowany, a odsiedziawszy karę w kaliskim więzieniu, wyjechał do Genewy¹². Do 1957 roku nie mieliśmy także żadnych informacji o redaktorze pierwszego syjonistycznego czasopisma „Der Gedank Wegn Cijon” [Myśl o Syjonie], które w Łodzi wydawał maskil i drobny kupiec Szlojme Bromberg (1862–1919). Był on również autorem powieści *Di nekome fun a wajb* [Zemsta kobiety] (Łódź 1899), którą wydał pod pseudonimem Meszulam Hagibor.

O łódzkim pisarzu Mosze Hirszfeldzie (1879–1929), autorze satyr *Erec Isroel noch der geule* [Ziemia Izraela po diasporze] (Łódź 1909), *Der Litwak* [Żyd litewski] (1918), dowiedziałem się zupełnie przypadkowo, że był jednym z założycieli łódzkiego „Hazomiru”¹³ i jako jeden z pierwszych w Łodzi organizował w tamtym okresie (1900–1906) wieczory literacko-artystyczne. Dowiedziałem się tego z listu otrzymanego od Cwi Jafego, właściciela Wegety, działacza na rzecz żydowskiej sztuki i syjonistycznego weterana (zmarł w 1957 roku w Herzliji). Podobnie rzecz miała się z poległym na froncie Icchakiem Jakowem Wajswohlem (1892–1918), jednym z działaczy łódzkiej organizacji „Drame un Muzik”. Drukował on do wybuchu I wojny światowej nowele w „Lodzer Togblat” i napisał książkę *In keler* [W piwnicy] (Łódź 1908). Do niedawna nieznana był także pisarska droga pierwszego łódzkiego dziennikarza i humorysty Abrahama Perlmuttera (1872–1934), który w 1895 roku pisywał jeszcze do „Jomtew Bletlech” Perca. Był on też redaktorem i wydawcą pierwszych humorystycznych czasopism i periodyków świątecznych, takich jak „Lodzer Wicblat” [Łódzka Gazeta Z Żartami] (1903), „Gutwoch” [Dobry Tydzień] i „Kukeruku” (1904), „Der Lodzer Kabcn Jung” [Łódzki żebrak] (1905), „Di Bajcz” [Bicz] i „Pesach Blat” [Karta pesachowa] (1909), „Jomtew Gelecher” [Świąteczny Śmiech] i „Fajerlech” [Odświętnie] (1910). Napisał także książkę *Awroml* [Abramek] i tomik poezji *Miszpet fun kapitan Drejfus* [Proces kapitana Dreyfusa] (1908), a jego piosenki były śpiewane przez masy żydowskie w całej Polsce.

Nikt nawet nie starał się odkryć, że redaktorem łódzkich numerów „Jugend Chalojmes” [Młodzieńcze Sny], „Der Lodzer Szpigel” [Zwierciadło Łódzkie] lub „Lodzer Fojgl” [Łódzki Ptak] był stary pisarz i pierwszy współredaktor „Lodzer Nachrichten” i „Lodzer Togblat”, historyk żydowskiej Łodzi i autor wielu książek, Abram Tenenbaum-Arazi (1883–1970). Był on autorem *Geszichte fun Lodz un lodzer Judn* [Historia Łodzi i łódzkich Żydów], *Napoleon in Lodz* [Napoleon w Łodzi] oraz wielu innych książek, a wśród nich najważniejszej – *Lodz un ire Jidn* [Łódź i jej Żydzi] (1956), a jego syn Ora odegrał ogromną rolę w izraelskiej Haganie¹⁴. Nawet w pracach współzałożyciela YIVO w Ameryce i świetnego dziennikarza Gecela Eisnera (1897–1939) nie ma prawie

¹² Herszele, właśc. Hersz Danielewicz (1882–1941) – poeta, eseista, folklorysta i tłumacz. Był samoukiem. Informacje o wyjeździe do Genewy nie znajduje potwierdzenia w innych źródłach.

¹³ Żydowskie Towarzystwo Literacko-Muzyczne „Hazomir” [Słownik] założone przez Chaima Janowskiego ok. 1899–1900 r., zarejestrowane w 1907 r.; zob. tekst M. Puławera na s. 198–199 niniejszego tomu.

¹⁴ Hagana (hebr. 'obrona') – działająca w latach 1920–1948 organizacja paramilitarna, która po utworzeniu Państwa Izrael stała się zaczątkiem izraelskich sił zbrojnych.

żadnej informacji o publikowanym z okazji każdego święta w latach 1912–1914 „Undzer Jomteu” [Nasze Święto]. To samo dotyczy pierwszego żydowskiego czasopisma szachowego „Szach-Cajtung” [Gazeta Szachowa] (1913), wydawanym przez mistrzów szachowych M. Salwę i M. Kriszeka (1894–1971), czy też pierwszej żydowskiej gazecie sportowej „Erszte Jidisze Sport-Cajtung” [Pierwsza Żydowska Gazeta Sportowa] z marca 1914, której redaktorem był A. Morgenstern. Nieznanych jest nam także wiele innych dzieł i wydawnictw łódzkich autorów, którzy z różnych powodów nie stali się sławni. Ich pisma ukazywały się anonimowo i dopiero wiele lat później, gdy byli już uznanymi pisarzami, wydawali pozostałe dzieła pod prawdziwymi nazwiskami. Taki los spotkał na przykład tomik poety o pseudonimie Der Nisref [Spalony], będący pierwszą publikacją zajmującego tak ważne miejsce w żydowskiej literaturze poety Z. Segalowicza¹⁵, oraz almanach „Lodzer Hazomir” (1907) pod redakcją mieszkającego wówczas w Łodzi Rubena Brajnina¹⁶. Wydanie książki sfinansował Mosze Hirszfild¹⁷.

ŁÓDZKA PRASA CODZIENNA I JEJ WSPÓŁPRACOWNICY

Szaja Uger – redaktor

Doniosła rola łódzkich Żydów w rozwoju żydowskich gazet jest powszechnie znana. Zajmują oni ważne miejsce w historii żydowskiej prasy w Rosji i w Polsce.

Już w latach 1906–1907, gdy w całej Rosji ukazywał się tylko jeden żydowski dziennik „Der Frajnd”, w Warszawie zaś dwa: „Der Telegraf” i „Der Weg” (dopiero później Jackan¹⁸ zaczął wydawać tani dziennik „Warszewer Togblat”¹⁹, który w 1908 roku przekształcił się w „Hajnt”), łódzcy Żydzi wydawali w jidysz dziennik „Lodzer Nachrichten”. Poza redaktorem Ugerem i jego współpracownikiem Lazarem Kahanem, pisali do niego także tacy dziennikarze i pisarze, jak: Abram Tenenbaum, Cwi Kohen, Abram Perlmutter, Sz. Zaks, I.M. Poznański, Ezra Goldin, C.H. Zilbercwejt, I.M. Pliat, Jechiel Majer (Ben Abram) Sochaczewski, orator Cwi Maśliański, Cwi Miławski, Efraim Fiszel Perlmutter, Heinrich Zimmermann, Leo Löw i wielu innych żydowskich pisarzy z całej Rosji.

Efraim Fiszel Perlmutter (1884–1965) działał w żydowskim ruchu robotniczym i z tego powodu musiał uciekać z Łodzi. W „Lodzer Nachrichten” zaczynał od wierszy

¹⁵ Zysman Segalowicz (1884–1949) – poeta i prozaik tworzący w jidysz. W latach 1906–1914 mieszkał w Łodzi. Pełnił funkcję prezesa Żydowskiego Związku Literatów i Dziennikarzy w Warszawie, okresowi temu poświęcił swoje wspomnienia z lat 1919–1939 opublikowane w 1946 r. w Argentynie i zatytułowane *Tłomackie 13* (polskie tłumaczenie ukazało się w 2001 r.).

¹⁶ Ruben Brajnin (1862–1939) – publicysta, biograf i krytyk literacki tworzący w języku hebrajskim i w jidysz. Był również wydawcą gazet żydowskich. Napisał około 100 biografii żydowskich uczonych i twórców.

¹⁷ Mosze Hirszfild (1879–1929) – pochodzący z Łodzi kupiec i przedsiębiorca. Po I wojnie światowej przeprowadził się do Warszawy. Był autorem krótkich poematów i humoresek publikowanych w łódzkiej prasie żydowskiej.

¹⁸ Samuel Jakub (Jankiel) Jackan (1874–1936) – wydawca, redaktor i publicysta, jeden z pionierów prasy żydowskiej.

¹⁹ Nieścisłość: pierwszy dziennik Jackana nosił tytuł „Jidishes Togblat” i zaczął się ukazywać w 1906 r.

i szkiców. Później zaczął także drukować w „Lodzer Togblat”, „Najer Folksblat” oraz w „Romancejtung”. Gdy przeniósł się do Londynu, zaczął wydawać czasopismo „Jugend Sztralen” i współpracował z „Jidisze Welt” dr. Zalkinda. Swoje opowiadania i wiersze drukował także w nowojorskich, kanadyjskich i izraelskich gazetach. Zachorował podczas wizyty w Izraelu w 1964 roku, gdzie przygotowywał do druku swoją książkę. W bardzo ciężkim stanie wrócił do domu w Santa Barbara w Kalifornii i wkrótce zmarł.

Cwi Milawski (1860–1922) był nauczycielem języka hebrajskiego i jednym z pierwszych sympatyków ruchu Chowewej Syjon [Miłośnicy Syjonu]²⁰ w Łodzi oraz współzałożycielem Hazomira. Swoje humoreski i felietony drukował zarówno w hebrajskich gazetach „Hamelic”, „Hamagid”, „Hacefira” i innych, jak i w „Lodzer Nachrichten” i w „Lodzer Togblat”. Był też autorem książek: *A rajze fun Lodz kejn Kabcansk* [Podróż z Łodzi do Kabcańska] (1908)²¹, *A majse mit a top cimes* [Historia o garnku cymesu] (1910)²², *Megilas dacze* [Księga daczey]²³ (1913) (pod pseudonimem „Chaluc Haplioni”). Zmarł w Łodzi.

Heinrich (Szalom Cwi) Zimmermann (1882–1940) w tamtym okresie pisał tylko w języku niemieckim. Wraz z powstaniem „Lodzer Nachrichten” zaczął pisać także w jidysz. Publikował przede wszystkim artykuły o teatrze. Udzielał się również na łamach „Lodzer Togblat”, „Romancajtung”, „Teater-Welt”, gdzie drukował tłumaczenia niemieckiej poezji. Był jednym z pierwszych autorów piszących o „teorii żydowskiej literatury”. Jego artykuły ukazały się w formie książkowej w 1907 roku. Pisał także sztuki teatralne: *A cholem* [Sen] (1908), *Der friling* [Wiosna] i inne, które wystawiano na scenach żydowskich i niemieckich teatrów. Aż do napaści Hitlera na Polskę był redaktorem niemieckiej gazety w Gdańsku, gdzie został zamordowany przez nazistów.

Leo Löw (1880–1960) zasłynął przede wszystkim jako kompozytor i dyrygent, drukował w „Lodzer Nachrichten”, później także w „Lodzer Togblat”, artykuły o muzyce i teatrze.

Tak samo Jakow Majer Sendacz (1875–1917), który w tamtym okresie posiadał na ulicy Wschodniej bibliotekę. W „Lodzer Nachrichten” oraz w „Lodzer Togblat” drukował swoje wersje chasydzkich opowieści ludowych, które później wydawał w tomikach pod tytułem *Majse plies* [Cudowne opowieści] (1904–1914). Zmarł w Łodzi.

Rozchodzące się w trzydziestu tysiącach egzemplarzy dziennie „Lodzer Nachrichten” (w tamtym czasie był to olbrzymi nakład) opisywały nie tylko żydowskie życie w Łodzi i w okolicach, ale także w całej Rosji i na całym świecie.

Gdy współnikiem Ugera został Emanuel Hamburski (1870–1931) i oddał do dyspozycji gazety swoją nowoczesną drukarnię przy ulicy Ogrodowej 3, gazeta jeszcze

²⁰ Chowewej Syjon – jedna z pierwszych organizacji syjonistycznych, powstała na początku lat 80. XIX w.

²¹ Fragmenty *Podróży z Łodzi do Kabcańska* ukazały się w tłumaczeniu D. Dekierta w: „Budzi się Łódź...”. *Obrazy miasta w literaturze do 1939. Antologia*, red. K. Badowska, T. Cieślak, K. Pietrych, P. Pietrych, K. Radziszewska, Łódź 2020, s. 288–298.

²² Nie udało się potwierdzić istnienia takiej publikacji.

²³ Autorem *Megilas dacze a bintl cores fun undzere letnikes* był w rzeczywistości Szaja Uger. Tłumaczenie polskie zob. *Księga daczey czyli worek nieszcześć naszych letników*, przeł. I. Stempin, [w:] *Sztetl, szund, bunt i Palestyna*, red. K. Radziszewska, D. Dekiert, E. Wiatr, Łódź 2018, s. 155–185.

bardziej się rozrosła. Szybko „Lodzer Nachrichten” przekształciły się w „Lodzer Togblat” – duży dziennik podobny do rosyjskiej wielkomińskiej prasy.

Szaja Uger (1873–1939), mimo że był redaktorem głównym, pisywał w tamtym okresie także do liberalnej niemieckiej gazety „Neue Lodzer Zeitung” (w której pracował później także dr Max Weinreich, 1894–1969)²⁴, poczytnej w niemałym kręgu łódzkich Żydów, których językiem codziennym był niemiecki. Jednak ambicją Ugera było nakłonienie wszystkich łódzkich Żydów do czytania żydowskiej gazety w jidysz. Z tego powodu próbował z „Lodzer Togblat” zrobić wzorowe wydawnictwo, które miało być jeszcze lepsze niż łódzka prasa niemiecka. Wprowadził do „Lodzer Togblat” takie same rubryki, jakie miały europejskie gazety. Starał się jednak również, aby część zajmująca się sprawami żydowskimi była równie interesująca. Przyciągnął do współpracy żydowskich pisarzy z Łodzi, a oni poczuli się w gazecie jak u siebie w domu.

Dlatego też słuszne będzie nazwanie „Lodzer Togblat” kuźnią żydowskiej literatury i dziennikarstwa w Łodzi. Gazeta była w różnych okresach miejscem pracy, stałej lub dorywczej, dla niemal wszystkich łódzkich pisarzy – starych, młodych oraz debutantów.

Znajdziemy tam pierwsze pisane w jidysz wiersze i prozę Icchaka Kacnelsona (1886–1944), które już w tamtym okresie przyniosły mu uznanie nie tylko jako twórcy hebrajskiemu, lecz także jako przysłemu wielkiemu poecie jidyszowemu, opłakującemu naszą Zagładę w *Dos lid funem ojsgehargetn jidiszn folk* [Pieśni o zamordowanym narodzie żydowskim] wydanej w kibucu Lochamej Hageaot w Izraelu²⁵. Z jego dzieł w jidysz i po hebrajsku ukazały się *Begwulos Lita* [Na litewskiej ziemi], dramaty: *Hanowi* [Prorok], *Fatima*, *Undzre noente bakante* [Nasza bliska znajoma], a także opowiadania *Dos wajse lebn* [Białe życie], *Di welt fun wunder* [Świat pełen cudów], jednoaktówki: *Karikaturn*, *Bocherim* [Młodzieńcy], *Der dekadent*, *50 lider* [50 wierszy] (wiersze dla dzieci, napisane razem z M. Brodersonem), kilka tomów *Szirim* [Wiersze] i tłumaczenie wierszy Heinego na hebrajski. Icchak nie został należycie doceniony przez hebrajskich krytyków, którzy pisali o nim tylko w pierwszym okresie jego twórczości. Jaka była tego przyczyna, nie wiadomo. Mimo tego zyskał rozgłos i został uwieczniony w panteonie żydowskiej literatury właśnie za sprawą swoich napisanych w jidysz wierszy i poematów (także fragmentów gettowego dramatu) z czasów zagłady Żydów w Polsce. Icchak Kacnelson został zamordowany przez nazistów, którzy oszukali go, mając ażylem w Vittel²⁶ we

²⁴ Max Weinreich (1894–1969) – językoznawca, propagator języka jidysz, twórca wileńskiego oddziału JIWO. Jest autorem pracy na temat języka jidysz *Gesichte fun der jidiszer szprach* [Historia języka jidysz], 1973.

²⁵ Poemat Kacnelsona uważany jest za jedno z najważniejszych świadectw Zagłady. Przepisany z rękopisu tekst po raz pierwszy opublikował w Paryżu w 1945 r. Natan Eck, również pochodzący z Łodzi przyjaciel Kacnelsona, z którym przebywał w obozie w Vittel. Wydanie, o którym wspomina Fuks to wydanie hebrajskie z 1948 r. Na język polski *Pieśni o zamorowanym narodzie żydowskim* tłumaczył Jerzy Ficowski, przekład ukazał się po raz pierwszy w Polsce w 1973 r.

²⁶ We francuskiej miejscowości Vittel założony został w 1941 r. niemieckim obóz początkowo przeznaczony dla internowanych brytyjskich cywilów, następnie służył również jako obóz przejściowy dla deportowanych Żydów, z których większość trafiła następnie do obozów zagłady.

Francji, a następnie przewieźli do Auschwitz. Zginął tam śmiercią męczeńską razem z ostatnimi łódzkimi Żydami.

Publikował tam także Zusman Segalowicz (1884–1949). Poza wierszami, co piątek ukazywały się jego „Woch-gramen” [Cotygodniowe rymowanki] pisane pod pseudonimem Swengali. Segalowicz wydał w tym czasie też swoje pierwsze tomiki poezji: *Wen di zun fargejt* [Kiedy słońce zachodzi] i *Sztile trojmen* [Ciche marzenia] oraz książki prozatorskie: *A legende webt zich* [Snuje się legenda], *Miniaturm* [Miniatury] i inne. Długie lata publikował w „Hajnt” i w „Momencie” (także pod pseudonimem Aleksander Jawec). We wszystkich jego trzydziestu książkach przewijały się wątki związki z łódzką społecznością, dzięki którym wszedł do żydowskiej literatury. Szczególne miejsce w literaturze Zagłady zajmowały jego książki *Icter* [Teraz] i *Dort* [Tam], w których wyniósł się ponad wszystkie swoje przedwojenne dzieła i stał się piewcą żydowskiego bólu. Tym uwiecznił swoje imię na kartach żydowskiej historii.

Także Mosze Broderson (1890–1957), który wówczas pracował jako księgowy w fabryce jedwabiu Grawego²⁷, swoje pierwsze wiersze drukował w „Lodzer Togblat”. Niektóre z nich weszły do jego pierwszego tomiku *Szwarcze fliterlech* [Czarne iskierki] (1913). Drukował też humorystyczne wierszyki pod pseudonimem Broderzinger.

Herszele H. Danielewicz (1892–1942) publikował tam swoje pierwsze wiersze ludowe, które zostały zebrane w książce *Herszeles lider* [Wiersze Herszelego]. Pisał także humorystyczne wierszyki i obrazki ukazujące łódzką biedotę, pod pseudonimem A. Szoltik, Knapzorgger, A. Szretele, Gern Grojs itd.

Cwi Kohen (1885–1968), uczeń sochaczewskiego rebego²⁸, który pisał jeszcze dla „Lodzer Nachrichten”, zaczął pracować tam jako dziennikarz. Poza tym drukował swoje krótkie nastrojowe impresje, opowiadki i przypowieści, które weszły w skład jego pierwszych książek: hebrajskiej *Batewel* [Na kuli ziemskiej] (1912) oraz jidyszowej *Fun tifyn harnen* [Z głębi serca]. Dopiero później, gdy pracował w „Lodzer Folksblat” Lazara Kahana, zaczął publikować opowiadania, przedrukowane później w książce *Dos szwarcze buch* [Czarna księga]. Nowele poświęcone żydowskiemu cierpieniu i smutkowi wojennych czasów na rosyjskim froncie (1915), opowiadały o męczeńskiej śmierci żydowskich strażników drutów telefonicznych, o żydowskich rabinach, którzy oddali życie, aby chronić swą wspólnotę, o wystraszonych mieszkańcach małych miasteczek. Ważną rolę zaczął odgrywać dopiero, gdy został kierownikiem literackim „Hajntu” (1918–1920). Później wyjechał do Ameryki, gdzie pracował w „Togblat”, „Tog” a potem, do śmierci, był współpracownikiem „Forwerts”, w którym opublikował m. in. *Di filozofie fun jidntum* [Filozofia judaizmu], która ukazała się w dwóch tomach w Nowym Jorku w 1958 roku. Był też autorem *Dercejlungen* [Opowiadania], *Dos lid fun ojslejzung* [Pieśń o wybawieniu], dramatycznej trylogii o chasydach: *Der rebe fun Kock* [Rabin z Kocka], *Der rebe fun Berdyczew* [Rabin z Berdyczewa], *Der rebe fun Ljadi* [Rabin z Ladów], historycznej opowieści w sześciu częściach *Szturmisze dojres* [Burzliwe pokolenia] i sztuk

²⁷ Mojżesz Grawe był właścicielem fabryki pluszu.

²⁸ Rebe – zob. s. 25, przyp. 6.

teatralnych *Szwigers* [Szwagrowie], *Der szejner weg* [Piękna droga] i *Soldat Abram milner* [Żołnierz Abram młynarz], które grane były w żydowskich teatrach w Łodzi. Wiele jego dzieł przetłumaczona została na angielski i inne języki. Zmarł w Nowym Jorku z piórem w ręku.

Współpracownikiem pobierającym stałą pensję był Berisz Eplbojm (1887–1945), który wówczas dopiero co przyjechał do Łodzi z małego miasteczka Czyżew. Redaktor Uger przyjął Eplbojma, wówczas jeszcze chasydzkiego młodzieńca ubranego w długi płaszcz, bardzo serdecznie i wydrukował nawet dwa razy w jednym z piątkowych numerów jego chasydzkie opowieści pod pseudonimem B. Tapuach. Także poeta Icchak Hersz Radoszycki (1883–1957), który ledwo co przyjechał z Berlina i zaczął pisać w jidysz, znalazł miejsce, gdzie mógł drukować swoje teksty. Wiersze z tamtego okresu zebrane zostały w jego pierwszej książce *In der sztil* [W ciszy] (Łódź 1909), podobnie wierszyki i bajki dla dzieci, które drukował pod pseudonimem Rado-Rado. Drukował tam także I.M. Pliat (1885–1955) – powieści (pod pseudonimem I. Ploni), obrazki i opowiadania (pod pseudonimem Almoni). Izrael Tabaksblat (1891–1950), jeden z pierwszych działaczy Poalej Syjon²⁹ w Łodzi, późniejszy kronikarz łódzkiego getta³⁰, publikował tam oprócz wierszy także felietony na łódzkie tematy noszące tytuł „Tabakszetele” [Szkatułka z tytoniem]. Izrael Tabaksblat, człowiek o wielkim sercu, który nawet w ponurym okresie łódzkiego getta próbowałna w miarę swych możliwości wspierać i pomagać żydowskim pisarzom i działaczom kulturalnym, pozostawił po sobie dwie książki *Churbn Lodz* [Zagłada Łodzi] i *Awodim hajinu* [Byliśmy niewolnikami], które są wiecznym świadectwem żydowskich cierpień i wiary. Zmarł w Izraelu, dokąd przyjechał z Paryża, pozostawiając tam dobrze płatną pracę. Pozostał wierny swoim nadziejom pokładanym w Izraelu. Ben Abram Sochaczewski (1889–1958) drukował tam poza pierwszymi wierszami, które później ukazały się w książce *In sztile cajt*n [Spokojne czasy] (Łódź 1913), także swoje pierwsze opowiadania i chasydzkie przypowieści. Rozwinął się dopiero później, pisząc już dla żydowskiej prasy światowej, przede wszystkim dla londyńskiego „Di Cajt” Morrisa Meyera i zaczął wydawać książki, które ukazywały się aż do jego śmierci. Przez wszystkie lata chwalił się jednak swoimi początkami i czuł głęboki związek z łódzkimi pisarzami rozsianymi po całym świecie, po których odziedziczył miłość do języka jidysz. Dodawał mu on sił szczególnie w ostatnich latach życia, gdy oszczędzał na swych podstawowych potrzebach, a nawet jedzeniu, by wydawać w Londynie gazetę „Di Jidische Sztime” [Głos Żydowski]. Nie chciał, aby starzy żydowscy mieszkańcy Londynu pozostali bez jidyszowej gazety.

W „Lodzer Togblat” swoją dziennikarską działalność rozpoczął także Mendel Chamec (1892–1965), który później został współpracownikiem nowojorskiego „Tog” i prasy

²⁹ Poalej Syjon – zob. s. 141, przyp. 18.

³⁰ Izrael Tabaksblat nie należał do grona pracowników Wydziału Archiwum w getcie łódzkim, w którym powstawały Biuletyny Kroniki Codziennej, zebrane i opublikowane po latach pod tytułem *Kronika getta łódzkiego*. Swoje doświadczenia z getta łódzkiego Tabaksblat utrwalił natomiast w wydanej już w 1946 r. w Buenos Aires książce *Churbn Lodz*.

Poalej Syjon w Ameryce. Jeszcze w Łodzi był jednym z pierwszych działaczy tej partii. Ostatnie dni swojego życia spędził w Miami Beach, gdzie współpracując z Nacjonaler Arberter Farband [Narodowy Związek Robotniczy], założył szkołę żydowską. Prowadził też Klub im. Dawida Piskiego, któremu po dziś dzień przewodniczy rodowity łódzianin, szlachetny działacz Poalej Syjon, Abram Icchak Filozof (ur. 1894). Był on w Paryżu działaczem ruchu podziemnego i jednym z współzałożycieli czasopisma „Kijum” [Trwanie]. W Miami Beach był przewodniczącym tamtejszej partii Poalej Syjon i jej terenowych oddziałów.

W „Łodzer Togblat” swoje wiersze drukował młody poeta Eliahu Winograd, który w tamtym okresie był jeszcze studentem i publikował w rosyjskojęzycznych periodykach, jednak pod wpływem Ugera przeszedł na jidysz. Na początku I wojny światowej wyjechał do Rosji. Jego dalsze losy są nieznane. Był jeszcze jeden łódzki Winograd – Ludwik Winograd (ur. 1895), syn łódzkiego korespondenta „Momentu”. Wiele lat działał w łódzkim „Bundzie”, przeżył łódzkie getto i Auschwitz i na stare lata został interesującym jidyszowym publicystą. W Buenos Aires był również współredaktorem bundowskiego „Undzer Gedank” [Nasza Myśl]. Od czasu do czasu pisał do „Di Prese” i do nowojorskiego „Undzer Cajt”. Publikował też prawie we wszystkich bundowskich wydawnictwach rozsianych po całym świecie³¹.

W „Łodzer Togblat” swoje nowele o nędznym życiu robotników publikował Wolf Gelbard (1882–1945). Powieść *Wen hercer blien* [Kiedy rozkwitają serca] wydrukował tam także Mosze Tolczyn (1895–1953), podobnie jak swoje pierwsze opowiadanie. Właśnie z Łodzi czerpał swe literackie inspiracje, czego świadectwem są jego opowiadania i opowieści drukowane później w amerykańskiej prasie.

W „Łodzer Togblat” publikowali także prawie wszyscy pisarze hebrajscy, którzy kiedykolwiek mieszkali w Łodzi. Wśród nich był Icchak Berkman, który opisał tam swoją odbytą w 1910 roku podróż do Izraela. Berkman był pionierem hebrajskiego szkolnictwa w Łodzi i autorem wielu podręczników do języka hebrajskiego, z których przez wiele lat korzystano w Polsce. Zasłynął wydając ilustrowaną Torę, kilka antologii i dramat *Mosze* [Mojżesz], który wystawiany był w hebrajskich teatrach. Cwi Maślaniański (1856–1943), znany działacz syjonistyczny, również w tym okresie mieszkał w Łodzi, gdzie został aresztowany przez carską policję za wygłoszone przemówienie, drukował tam swoje reportaże z wojny rosyjsko-japońskiej oraz swoje słynne opowiadanie w jidysz, *Lejbl Szames in krig* [Lejbl Szames na wojnie]. Z gazetą współpracowali także następujący hebrajskojęzyczni pisarze: Ezra Goldin (1886–1915); Awner Szejn (Awner Bornszejn, 1871–1938), pseudonim Bar Nasz; Jisachar Szwarz (1859–1936); Arie Chaim Goldin (1871–1918), wydrukował m.in. serię artykułów o jesziwie w Wołożynie; Cwi Hirsz Zylbercwajg (1870–1948), ojciec Zalmena Zylbercwajga (felietony i humorystyczny dział „Ha-kol be-kol mi-kol” [Wszystko we wszystkim o wszystkim] pod pseudonimem „Cwija”). W łódzkiej żydowskiej prasie przez pewien czas pracował także znany działacz

³¹ Ludwik Winograd po pobycie w Argentynie ostatecznie zamieszkał w Miami Beach na Florydzie, gdzie wydał swoje wspomnienia *Majn lebns weg* [Moja droga życiowa] i gdzie zmarł w 1978 r.

robotniczy, członek „Iskry”³², Josef Abramson (ur. 1880), który w 1914 roku został redaktorem „Czenstochower Togblat”, a po wybuchu wojny uciekł z rosyjską armią i odtąd słuch o nim zaginął. Mówiono, że po przewrocie bolszewickim znów zaczął działać w partii i do 1937 roku zajmował w niej ważne stanowiska. Podczas procesów oskarżono go o nacjonalizm i rozstrzelano.

Główną dziennikarską pracę w „Łodzer Togblat” wykonywali, pod nadzorem Ugera, Lazar Kahan (1885–1946) i jego brat Izrael Kahan (1888–1943). Pisali pod różnymi pseudonimami, podpisywali się przede wszystkim inicjałami Lazar K. i Izrael K.

O Lazarze Kahanie należy opowiedzieć więcej. Urodził się w Kuldydze na Łotwie. Jego ojciec, Szymon Kahan, autor religijnych traktatów, był rabinem w Jełgawie. Obok głęboko religijnego wychowania, które odebrał w domu i w jesziwie, posiadał szeroką wiedzę świecką. Za młodu w Rosji był już w kierownictwie Ceirej Syjon [Młodzi Syjonu]³³, a w wieku 17 lat zaczął pisać. W 1906 roku został współpracownikiem Pryłuckiego w „Der Weg”, potem drukował w „Undzer Lebn”, „Romancajtung”. Od 1907 roku współredagował „Łodzer Nachrichten”, a później „Łodzer Togblat”.

Lazar Kahan nigdy nie miał życia prywatnego. Zawsze zajęty był pisaniem i pracą na rzecz żydowskiej społeczności. Najpierw działał jak syjonista, później terytoralista, na koniec folkista (był jednym z założycieli partii folkistowskiej w Polsce, z jej ramienia kandydował do Senatu, był też sekretarzem generalnym Komitetu Centralnego). Był oficjalnym przedstawicielem prasy żydowskiej w czasie procesu Bejlisa³⁴, o którym pisał nie tylko dla łódzkich gazet, ale także dla „Frajnd”. Był także współzałożycielem i długoletnim przewodniczącym łódzkiej „Dramatisze Kunst”, instytucji, w której działało wielu utalentowanych łódzkich artystów i aktorów. Ten zagorzały jidyszysta był jednym z głównych uczestników konferencji w Czerniowcach³⁵ oraz jej sekretarzem. Organizował również wszystkie wykłady Pereca w Łodzi. W 1915 roku założył w Warszawie „Folksblat”, rok później „Warszawer Togblat”³⁶, a w 1917 roku „Łodzer Folksblat”. W 1918 roku zainicjował powstanie wydawnictwa „Ojfgang”, które wydawało książki młodych żydowskich pisarzy (Bimki, Brodersona, Segalowicza, Herszele) i płaciło im porządne honoraria. W wydawnictwie wydrukowane zostały także jego broszury *Folksbildung baj lejt n baj unz* [Kształcenie ludowe u nas i u Łotyszów] *Di lage un di ojfgabn fun jidiszn hantwerker*

³² Prawdopodobnie chodzi o gazetę „Iskra” (1901–1905) wydawaną przez rosyjskich socjaldemokratów w Niemczech, a następnie w Szwajcarii i rozprowadzaną nielegalnie w cesarstwie rosyjskim, pierwszy redaktorem naczelnym był Włodzimierz Uljanow, który właściwie w tekstach pisanych dla „Iskry” zaczął używać pseudonimu „Lenin”.

³³ Ceirej Syjon – ruch lewicowo-syjonistyczny, utworzony przez żydowską młodzież w latach 1903–1904 na terenie Królestwa Kongresowego i Galicji. W latach 1920–1921 przekształcił się w samodzielną partię o nazwie Syjonistyczno-Socjalistyczna Partia Robotnicza Ceirej Syjon.

³⁴ Proces Bajlisa – zob. s. 98. przyp. 91.

³⁵ W 1908 r. odbyła się w Czerniowcach na Ukrainie konferencja poświęcona statusowi języka jidysz (*Di konferenc far der jidiszer sprach*). Zwołali ją żydowscy literaci i intelektualiści. Najważniejszym postanowieniem konferencji było uznanie jidysz za język narodowy Żydów Europy Środkowo-Wschodniej, co stanowiło ważny etap w dziejach ich kultury i literatury.

³⁶ Informacja nieścisła: „Warszawer Tageblat” istniał od 1915 r.

[Położenie i zadania żydowskich rzemieślników]. Był też autorem wielkiego dzieła *Jidn – di pionern fun der tekstil-industrie* [Żydzi – pionierzy przemysłu włókienniczego] (1924). Od 1924 roku do wybuchu wojny w 1939 roku był redaktorem warszawskiego „Undzer Ekspres”. Później mieszkał w Wilnie, skąd dla „Forwerts” pisał o żydowskich uchodźcach. Przez Rosję trafił do Japonii, gdzie był przewodniczącym Związku Żydowskich Pisarzy na Uchodźctwie, który swoją siedzibę miał w Szanghaju. Redagował także pierwszą w tej części świata jidyszową gazetę, tygodnik „Undzer Welt”. Jego ostatni numer wydał tuż przed śmiercią. Zmarł na tyfus, po wyzwoleniu z getta w Szanghaju.

Gdy Uger wyjeżdżał na urlop lub na syjonistyczny kongres zagraniczny, Kahan zatrudniał w „Lodzer Togblat” młodych pisarzy i dobrze im płacił za ich pracę, będąc jednocześnie ich duchowym przewodnikiem i wprowadzając w świat żydowskiej literatury.

Uger nie zadowalał się jednak wyłącznie łódzkimi pisarzami. Do współpracy z gazetą zapraszał Szolem Alejchema (1859–1916), Dawida Fryszmana (1860–1922), Mendele [Mojcher Sforima] (1836–1917), Jakuba Dinezona (1856–1919), M. Spektora (1858–1925)³⁷, a od czasu do czasu nawet samego Pereca (1852–1915). Uger miał swój własny styl życia i styl pisania. Ukończył uniwersytet w Królewcu (Wydział Filologiczny) i w Berlinie (technologia) i na łamach gazety chciał urzeczywistniać swe syjonistyczno-narodowe idee. Był zagorzałym syjonistą i radnym w łódzkiej radzie miejskiej z ramienia organizacji syjonistycznej. Bardzo lubił żydowski język i agitował uparcie na jego rzecz zarówno wśród syjonistów, jak i zasymilowanych Żydów. (Znany dobrze jest jego tekst w jubileuszowym numerze „Frajnd” w 1912 roku *Nebech jidisz* [Biedny jidysz], pod którym podpisałiby się najzagorzalsi nawet fanatycy z jidyszystycznego obozu³⁸.) Nieraz musiał znosić docinki ze strony zaprzyjaźnionych łódzkich syjonistów za swoje „diasporowe” nastawienie. Żartował sobie z nich zarówno w felietonach, jaki i w swej *Megilas dacze* [Księga dacz], gdzie niebeposrednio do nich nawiązuje. Uger przyciągnął do współpracy także, wówczas jeszcze bardzo młodego, Szaloma Asza (1880–1957), Abrama Rejzena (1876–1954), I.M. Weisenberga (1881–1938), Joela Mastbauma

³⁷ Mordechaj Spektor, pseud. Emes, Emeser, Lamed-wownik (1858–1925) – prozaik żydowski, tworzący w języku jidysz. Urodził się w rodzinie chasydzkiej w Humanu na Ukrainie. Działal w Odessie, a następnie w Petersburgu, gdzie współpracował z gazetą „Jidiszes Folksblat”, a od 1887 r. w Warszawie, gdzie publikował rocznik literacki „Der hojz frajnd”, a w latach 1893–1897 „Warszewer judischer familjen-kalendar”. Przyjaźnił się z Icchakiem Lejbem Perecem. W kolejnych latach zajmował się redakcją i publikował w wielu czasopismach ukazujących się na ziemiach polskich – „Der Jur”, „Judische Folks-cajtung” „Jidische Frojenwelt” czy „Der Weg”. Po wybuchu I wojny światowej Spektor wyjechał do Odessy, zaangażował się w stworzenie organizacji Kultur-lige. Pod koniec 1920 r. zdołał wyjechać ze Związku Sowieckiego do Stanów Zjednoczonych. W Nowym Jorku publikował w jidyszowych pismach i spisał swoje wspomnienia (*Majn lebn*, 1921).

³⁸ Wielu działaczy żydowskich widziało w jidysz medium narodowotwórcze i dążyło do uznania go za język narodowy Żydów w Europie Środkowo-Wschodniej. Należeli do nich zarówno zwolennicy świeckiej autonomii, jak i syjoniści, którzy chcieliby jidysz uznać za język narodowy w odbudowanym kraju. Przeciwnikami jidysz byli natomiast zwolennicy powrotu do biblijnych korzeni opartych na języku hebrajskim oraz asymilatorzy dążący do całkowitej polonizacji.

(1884–1957), I.Z. Onuchego (1878–1947), Berisza Auerbacha (1888–1941), Fiszla Bimkę (1890–1965) oraz prawie wszystkich innych, którzy twórczo działali w nowej żydowskiej literaturze.

Aby uatrakcyjnić gazetę, Uger wykorzystywał do jej ozdabiania obrazy i rysunki łódzkich artystów-malarzy. Znajdujemy tam na przykład łódzkie typy i scenki Adolfa Bermiana. Także szkice Mosze Mendżyckiego, Mosze Hanemana (jego szkice z Izraela były wyjątkowe) i pierwsze karykatury Artura Szyka (1894–1951), który opublikował tam „Łódzkie typy”. A. Szyk był jednym z największych z pleady łódzkich artystów, którym udało mu się uniknąć hitlerowskich gett i obozów. W roku 1935 zaproszono go do Ameryki, aby wykonał rysunki przedstawiające amerykańską wojnę o niepodległość i dzięki temu już tam został. Spośród jego wielkich dzieł należy wymienić: *Megilas Ester* (1923), *Status Kaliski* (1929), *Hagada* (1937). Był jednym z inicjatorów *Lodzer jizker-buch* [Księga pamięci Łodzi] wydanej w Nowym Jorku w 1943 roku, do której narysował także stronę tytułową. W ostatnich latach życia nękany poczuciem winy, że nie został w mieście z malowanymi przez niego „łódzkimi typami”, ciężko chorował. Zmarł w Nowym Jorku. Uger przyciągnął także Mosze Wileńskiego (1889–1944), który później został wybitnym portrecistą.

Uger szczególnie interesował się żydowskim teatrem. O każdej nowej sztuce teatralnej publikował długie rozprawy i recenzje. Muzycznych recenzji nie powierzał pierwszemu lepszemu melomanowi. W „Togblat” zatrudnił recenzenta muzycznego z niemieckiej gazety, dr. Falka (1876–1952)³⁹, który był także pierwszym dyrygentem łódzkiego „Hazomiru” i pisał w jidysz recenzje z koncertów. O szczególnych, żydowskich koncertach w tamtym okresie do „Lodzer Togblat” pisał późniejszy słynny kompozytor Leo Löw (1880–1960), potem też dr Lejb Pribulski (1884–1933). Gdy dr Pribulski zmarł, recenzje przejął znany łódzki muzykolog Tuwje Hecht (1902–1944), wnuk łódzkiego śpiewaka, Szabsaja Hechta (znanego także jako Harry Feek).

W latach 1912–1913, podczas słynnych w Łodzi wyborów do rady gminy żydowskiej, „Lodzer Togblat”, wbrew swojemu syjonistycznemu kierunkowi, prowadził kampanię wyborczą na rzecz radomskiego rabina L. Trajstmana z „Agudy”. Trajstman miał dwóch synów: poetę i naukowca, którzy pisali w jidysz i po hebrajsku. Szolem Trajstman (1900–1963)⁴⁰ publikował swoje wiersze pod pseudonimem „Szalom T.” i przez pewien czas był przewodniczącym gminy żydowskiej w Finlandii. Ostatnie lata przed śmiercią spędził w Izraelu w Tel Awiwie i był współpracownikiem „Di Lecte Najes”. Jego młodszy brat, rabin Simche Trajstman, 1904–1944, uczony i wielki erudyta, orientalista i znawca judaików piszący w obu językach, został wywieziony z łódzkiego getta na śmierć do Auschwitz⁴¹. Z tego powodu grupa syjonistycznych działaczy oraz kilku członków

³⁹ Ludwik Falk był lekarzem i dziennikarzem muzycznym. Pełnił funkcję wiceprzewodniczącego „Hazomiru”.

⁴⁰ Według zachowanego aktu urodzenia Szolem (Szulim Chaim) urodził się w Żelechowie w 1892 r.

⁴¹ Simche (Symcha) Trajstman był w rzeczywistości starszym bratem – urodził się w 1890 r., również w Żelechowie. Uciekł z Łodzi do Warszawy jeszcze przed założeniem getta. W Archiwum Ringelbluma znajduje się jego relacja o sytuacji rabinów w Łodzi po wybuchu wojny. Zginął prawdopodobnie

Mizrachi⁴², wspólnie z chasydami z Aleksandrowa, popierającymi kandydaturę kaliskiego rabina reb⁴³ Lipszyca, założyli nową żydowską gazetę.

Gazeta, którą drukowano w drukarni A.I. Ostrowskiego na ulicy Piotrowskiej 66, nazywała się „Dos Lodzer Morgenblat” i miała dwóch redaktorów. Pierwszym był dr Jozua Herszl Gotlieb (1882–1941), późniejszy redaktor „Hajnt”, przewodniczący grupy Et Liwnot⁴⁴ i jej przedstawiciel w polskim Sejmie. Został zabity w sowieckim obozie. Drugim był dr Aleksander Kapel (dr A. Mukdoni, 1878–1958), który w Łodzi rozpoczął swoją karierę jako redaktor gazety i drukował w niej, poza dziennikarskimi reportażami i recenzjami teatralnymi, także swoje humoreski. Weszły one potem do tomu *Ernst un szpas* [Na poważnie i żartem]. Okres tamten uwiecznił w swojej książce *In Warsze un in Lodz* [W Warszawie i w Łodzi].

W redakcji nowego „Lodzer Morgenblat” pracowali także: pisarz M. Głębocki-Lazarson (1882–1922) z Rygi, który pisał artykuły i felietony pod pseudonimem „Ego”, oraz M. ben Eliezer, który został później współpracownikiem izraelskiej prasy i zasłynął jako tłumacz Szaloma Asza na hebrajski. Zmarł w Tel Awiwie. Do redakcji należeli także piszący po żydowsku i hebrajsku: pisarz Ezra Goldin, drukujący głównie opowiadania; B. Porecki (1888–1941), późniejszy korespondent żydowskiej i europejskiej prasy przy Lidze Narodów w Genewie, który poza miejskimi reportażami, drukował także rozdziały swojego dzieła *Di geschichte fun jidn in Lodz* [Historia Żydów w Łodzi].

Dużą rolę w gazecie odgrywał Hillel Majmon (1885–1942), który był jednym z przywódców łódzkiej organizacji Poalej Syjon i za swoją polityczną działalność został zesłany na trzy lata na Syberię. Był jednym z pierwszych współpracowników zarówno „Lodzer Nachrichten”, jak i „Lodzer Togblat” i jednym z pierwszych współpracowników „Proletariszer Gedank” w Wilnie (1906). Jako pierwszy przetłumaczył z rosyjskiego na jidysz *Klasn-interesn un di nacionale frage* [Interesy klasowe a problem narodowy] Borochowa (1907) i był redaktorem periodyków Poalej Syjon „Der Hamer” (Wilno) oraz „Arbeter-Hejm” (Warszawa). W 1912 roku wrócił do Łodzi i został czynnym współpracownikiem nowej gazety. Jako pierwszy wprowadził piątkowy dodatek dla dzieci, w którym drukował wiersze, bajki, humoreski i felietony pod pseudonimami: Reb Hillel, Hillel Hazokn, Der Zejde, Der Alter. W latach 1915–1917 pisał także dla „Folksblat” i dla wielu innych gazet w Polsce. W 1939 roku uciekł z Warszawy do Białegostoku, gdzie był prześladowany jako działacz Poalej Syjon⁴⁵. Gdy zabrano mu prawo do odbierania obiadów w kuchni ludowej na ul. Starobojarskiej, próbował popełnić samobójstwo.

w Treblince. Por. *Archiwum Ringelbluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawy*, t. 10: *Losy Żydów łódzkich*, oprac. M. Polit, Warszawa 2013, s. 94–97.

⁴² Mizrach (hebr., dosł. ‘wschodni’) – założona w Wilnie w 1902 r. partia ortodoksyjno-syjonistyczna, głosząca postulat budowy w Palestynie żydowskiego państwa opartego na zasadach religijnych.

⁴³ Reb – zob. s. 27, przyp. 8.

⁴⁴ Et Liwnot (hebr. ‘czas budować’) – frakcja Organizacji Syjonistycznej o umiarkowanych poglądach. W 1934 r. działacze Et Liwnot utworzyli nową partię – Organizację Ogólnych Syjonistów w Polsce.

⁴⁵ Chodzi o okres, kiedy Białystok był pod okupacją sowiecką (wrzesień 1939 – czerwiec 1941); Majmon był zapewne szykanowany jako wybitny przedstawiciel niekomunistycznej lewicy.

Uratowano go i dzięki interwencji przyjaciół wyjechał do Lidy, gdzie został aresztowany przez NKWD i uwięziony. Zesłano go na daleką północ, na pustkowie Komi, gdzie umarł z głodu.

W nowym „Łodzer Morgenblat” w rubryce „Der Kibicer” redagowanej przez młodego J.M. Najmana (1893–1956) po raz pierwszy swoje teksty drukował Pinkas Kac (1891–1941). Pod pseudonimem Szpring Kac pisał wiersze i humoreski. P. Kac mieszkał wówczas w Łodzi i pracował w tkalni. Dopiero później zaczął drukować w warszawskich gazetkach humorystycznych oraz w „Hajnt”.

Bliskim współpracownikiem był również I.A. Lejzerowicz (1883–1927), znany jako Izidor Lazar, który poza publikacją swoich felietonów oraz poematów i opowiadań poruszających tematy z żydowskiej historii, redagował dział dziecięcy. Centralną postacią był jednak łódzki działacz Mizrachi, tworzący w jidysz i po hebrajsku pisarz Mosze Helman (1873–1957). Pisał on artykuły na tematy żydowskie oraz felietony i słynne *Arabisze majses* [Arabskie bajki]. Mosze Helman, późniejszy poseł na Sejm, był głównym akcjonariuszem finansującym gazetę (zmarł w Izraelu).

Wśród współpracowników znajdowali się także słynni pisarze: Dawid Fryszman, M. Spektor. W gazecie rozwijali swe talenty także młodzi artyści. Częstym gościem był Jecheskiel Mosze Najman, który drukował swoje pierwsze błyskotliwe felietony i wiersze humorystyczne pod pseudonimem „A Fojgl”. J.M. Najman, późniejszy felietonista, poeta, dramaturg i współpracownik „Najer Folksblat” i „Hajnt”, był także współzałożycielem łódzkiej grupy Jung Idysz⁴⁶ i drukował swoje teksty w prawie wszystkich numerach czasopisma tej młodej łódzkiej grupy. Był także jednym z pionierów żydowskich teatrów miniatur, jak Chad Gadj⁴⁷ czy Azazel⁴⁸ oraz żydowskich filmów (*Tkies-kaf* [Ślubowanie]⁴⁹, *Al chet* [Za grzechy]⁵⁰). Wydał tomik poezji *Jomtew in der wochn* [Święto w tygodniu] i dramat *Szabes ojbst* [Szabatowe owoce] – sztukę ludową w trzech aktach, będącą plastycznym przedstawieniem żydowsko-polskiego miasteczka i wychwalającą dawny żydowski styl życia oraz ekstatyczne uniesienia żydowskiego szabat. Podczas wojny uciekł do Wilna, a stamtąd do Izraela. Aż do swojej przedwczesnej śmierci był stałym współpracownikiem „Dawar”, dziennika izraelskich związków zawodowych, w którym rozwijał wspaniały styl, pisząc recenzje teatralne i artystyczne w nowoczesnym języku hebrajskim (iskrzące się tym samym dowcipem, co jego felietony teatralne w żydowskiej prasie w Polsce). Zmarł w Tel Awiwie.

W gazecie swoje pierwsze kroki stawiał młody poeta Elimelech Szmulowicz (1899–1944). Syn łódzkiego fabrykanta, znany w Łodzi jako jeden z najbliższych przyjaciół Icchaka Kacnelsona. Pod wpływem Icchaka zaczął pisać wiersze po hebrajsku,

⁴⁶ Jung Idysz – zob. s. 217, przyp. 3.

⁴⁷ Chad Gadj – zob. s. 221, przyp. 16.

⁴⁸ Azazel – zob. s. 146, przyp. 24.

⁴⁹ Film fabularny w języku jidysz z 1937 r. (remake filmu z 1924 r.) w reżyserii Henryka Szaro i Zygmunta Turkowa, który zagrał w nim jedną z głównych ról. Najman był autorem scenopisu.

⁵⁰ Melodramat w języku jidysz z 1936 r. w reżyserii Aleksandra Martena. Najman był autorem scenariusza do tego filmu, muzykę natomiast stworzył Henoch Kon, a scenografię – Jankiel Adler.

potem jednak pisał już tylko w jidysz. Był jednym z najzagorzalszych zwolenników i współpracowników grupy Jung Idysz, pisząc swe teksty ze szczególnym pietyzmem. Był również fabrykantem tekstylnym. Do II wojny światowej drukował wiersze i niezwykle opowiadania w prawie wszystkich łódzkich gazetach i czasopismach oraz w „Literarisze Bleter”. Wydał też wyjątkową książkę *Emicer* [Ktoś], wybitną prozę liryczną, inspirowaną literaturą europejską, ale posiadającą specyficzne żydowskie akcenty i swojską atmosferę. Tuż przed Zagładą pisał dramaty. Chciał wypracować nowoczesny styl teatralny, tak charakterystyczny dla nowoczesnej niemieckiej dramaturgii (Toller, Brecht, Hasenclever), pod wpływem której się znajdował. Zarówno dramaty, jak i ostatnie wiersze nie ukazały się drukiem. Krótco po zajęciu Łodzi przez Hitlera trafił do getta, potem [uciekł] do Warszawy. Długo żył na aryjskich papierach. Miał zginąć w 1944 roku, po upadku Powstania Warszawskiego.

Jego kuzyn, który w Izraelu zmienił nazwisko na Efraim Shmueli (ur. 1908), po ukończeniu hebrajskiego gimnazjum studiował we Wrocławiu i przesyłał z Niemiec korespondencje do „Łodzer Togblat”. Debiutował wierszami publikowanymi w łódzkim „Kochaw” [Gwiazda] A. Luboszyckiego⁵¹, a z czasem stał się naukowcem badającym żydowską historię. Do 1933 r. mieszkał w Niemczech i pisał po niemiecku, hebrajsku i w jidysz. Był autorem wielu dzieł, z których wyróżniają się *Masora umahapecha* [Tradycja i przewrót], *Banatiw hadorot* [Na szlaku pokoleń], *Gerusz sfarad besplakaria ak deat hkahal umaskilim beeuroopa* [Wygnanie Żydów z Hiszpanii w świetle poglądów gmin oraz działaczy Oświecenia w Europie], *Don Izaak Abarbanel, Anszei Harenasans* [Ludzie Renesansu] i inne. Mieszka w Izraelu⁵². W „Najer Morgenblat” swoje pierwsze literackie i dziennikarskie teksty zaczął drukować łódzki pisarz „Chocik”, Szymon Szpigiel (ur. 1891), który dla gazety tłumaczył nowele należące do światowej literatury i prowadził badania folklorystyczne. Sz. Szpigiel pracował później w warszawskim „Hajnt”, znał wiele języków. Jako pierwszy przetłumaczył na jidysz *Powiatki filozoficzne* Woltera. Żyje w Izraelu⁵³.

W „Najer Morgenblat” został także odkryty inny żydowski karykaturzysta, który swoje rysunki ozdabiał wierszami. Był to malarz Nisenhaus – Dandy⁵⁴, który później wyjechał do Izraela. W Ameryce znany był jako malarz „Chaim” i był inspiracją dla Mosze Nadira.

⁵¹ Aron Luboszycki (1874–1943) – pisarz i nauczyciel w gimnazjum Towarzystwa Żydowskich Szkół Średnich w Łodzi. Wydawany przez niego tygodnik „Kochaw” był adresowany do młodzieży.

⁵² Efraim Shmueli zmarł w 1988 r. Był profesorem wizytującym na wielu amerykańskich uczelniach. W latach 1967–1976 wykładał filozofię na Cleveland State University, a następnie był związany aż do śmierci z Uniwersytetem w Hajfie. W 2021 r. ukazała się w jego książka *The Last Generation of Jews in Poland*, zawierająca wspomnienia i refleksje historyka i filozofa o polskich Żydach w okresie międzywojennym.

⁵³ Szymon Szpigiel od 1921 r. mieszkał w Warszawie, a w 1934 r. wyjechał do Palestyny. Zmarł w Tel Awiwie w 1974 r.

⁵⁴ Chaim Nisenhaus podpisywał swoje teksty jako Dandy. W 1914 r. wraz z malarzem Maksem Hanemanem i Arturem Szykiem wyjechał do Palestyny, gdzie został. Wiadomo, że w 1915 r. zaciągnął się jako ochotnik do armii angielskiej i był ranny w bitwie o Gallipoli (Turcja).

Dandy długo był współpracownikiem „Grojser Kundes” i innych humorystycznych periodyków w Nowym Jorku.

Niewielką rolę w „Morgenblat” odgrywał Motel [Mordechaj] Frankental (1893–1943), późniejszy autor dziesięciu jednoaktówek. Drukował tam *Lodzer bildlech* [Łódzkie obrazki]. Motel Frankental był w Łodzi bardzo znany. Zajmował się literaturą, nią żył i nic innego go nie interesowało. Był synem bogatego właściciela nieruchomości, dziedzicem niemałej fortuny. Wszystko zainwestował w literaturę, a dokładniej w swoje dramaty, które choć nigdy nie zyskały większego uznania, wystawiane były na łódzkich scenach. Przez pewien czas redagował miesięcznik „Der Gedank” [Myśl]. Przed Zagładą zajmował się sceniczną adaptacją powieści *Meir Ezofowicz* Elizy Orzeszkowej, co po raz pierwszy przyniosło mu sławę. Wydawał też *Jidiszgezelschaftlecher leksikon* – leksykon łódzkich osobistości, a tuż przed wojną – miesięcznik „Grine Bleter” [Zielone Karty], który był ostatnim żydowskim czasopismem literackim, które zaczęło wychodzić przed Zagładą. Działal w łódzkim rzemieślniczym związku o zabarwieniu folkistowskim. Był też członkiem rady folkistów w Polsce i przez pewien czas współpracował z partyjnym tygodnikiem „Dos Folk” (Łódź–Warszawa), w którym redaktorem literackim był przez pewien czas I.J. Singer. W łódzkim getcie ostro zwalczał Rumkowskiego i cierpiał z głodu. Z braku jedzenia postradał zmysły i zmarł w 1943 roku.

Pod koniec 1912 roku w Łodzi działała młoda grupa artystyczna pod nazwą „Machmadim”, do której należeli pisarze, malarze i muzycy. W 1913 roku wydali oni czasopismo o literaturze i sztuce. Jednym z członków tej grupy był znany malarz i krytyk Icchak Lichtenstein (ur. 1888), autor monografii o Marku Chagallu, Hirszenbergu i innych. Długie lata kierował działem sztuki Ogólnoswiatowego Kongresu Żydowskiego w Nowym Jorku. Ostatnio był dyrektorem muzeum w Safed⁵⁵.

Wraz z wybuchem I wojny światowej 1 sierpnia 1914 roku żydowskie życie społeczne i literackie w Łodzi zostało całkowicie zniszczone. Część pisarzy, takich jak Segalowicz, Broderson i wielu współpracowników „Najer Morgenblat”, opuściło Łódź. Gazeta przestała się ukazywać drugiego dnia wojny, a pisarze zostali bez grosza.

„Lodzer Togblat” wychodził jeszcze od czasu do czasu, bo niemiecka armia już 6 sierpnia zdobyła Łódź. Pozycja Ugera w gazecie zaczęła się jednak chwiać z powodu jego wyraźnej orientacji prorosyjskiej. Koniec końców musiał opuścić gazetę, a nawet ukrywać się, bo Niemcy go poszukiwali... Ostatecznie po latach wpadł w ich krwawe łapska i został zabity podczas pierwszych dni ich panowania w Łodzi we wrześniu 1939 roku⁵⁶.

W 1914 roku doszło do rozłamu wśród żydowskich działaczy. Niemcy już w pierwszych dniach wojny z zeppelinów zrzucali odezwy w jidysz *Cu di brider jidn* [Do braci Żydów], napisane przez żydowskiego uczonego i językoznawcę z Łodzi dr. Jakuba Fromera (1865–1943), późniejszego przewodniczącego działu kulturalnego gminy żydowskiej w Berlinie, który został zamordowany przez swoich „kulturalnych przyjaciół”. W odezwach Niemcy określali siebie jako przyjaciół Żydów i wzywali do wspólnej walki z antysemitką rosyjską

⁵⁵ Icchak (Izaak) Lichtenstein od 1938 r. mieszkał w Nowym Jorku. Tam zmarł w 1981 r.

⁵⁶ Szaja Uger został aresztowany we wrześniu 1939 r., zmarł dwa miesiące później, 15 listopada.

władzą. Obiecywali Żydom „prawo do rozwijania swojej narodowości”. Mimo że Niemcy opuścili Łódź i zajęli ją ponownie dopiero pod koniec grudnia 1914 roku, Szaja Uger nie wrócił już do pracy w „Lodzer Togblat”, a jego miejsce zajął Izrael Kahan. Pod jego redakcją gazeta straciła jednak swoją renomę i charakter, a w efekcie też czytelników. Ostatecznie przestała się ukazywać.

Pod koniec grudnia 1914 roku, gdy Niemcy wkroczyli do Łodzi, zamknęli także na ponad rok „Lodzer Togblat” za antyniemieckie sympatie. Uger przejął gazetę dopiero w początkach 1916 roku. Pisał jednak już tylko o kwestiach syjonistycznych oraz o żydowskim teatrze – ani słowa o polityce, mimo że cały czas wierzył w klęskę Niemiec.

Na początku stycznia 1915 roku, kilka dni po opuszczeniu Łodzi przez rosyjską armię, gdy Niemcy jeszcze nie umocnili swojej władzy w mieście, ukazała się nowa żydowska gazeta. Nosiła tytuł „Der Lodzer Arbeter” i była organem łódzkiego „Bundu”. Wysłała ona bez zgody niemieckiej władzy i prezentowała bundowską ocenę nowej sytuacji politycznej. Wyrażała ostre antywojenne przekonania, co ściągnęło na nią gniew niemieckiej władzy wojskowej. Zabroniono jej rozpowszechniania, ale członkowie „Bundu” nielegalnie rozprowadzili ją w ilości dwóch tysięcy egzemplarzy po całym mieście.

Redakcja składała się z: M.D. Oguza (ur. 1870), byłego aktywnego budowskiego działacza, a w tym okresie przewodniczącego Komitetu Centralnego „Bundu” na terytorium Polski⁵⁷; Chaima Lejba Poznańskiego (1879–1940), późniejszego radnego z ramienia Bundu w łódzkiej radzie miejskiej i gminie żydowskiej, znanego z książki *Memuarn fun a bundist* [Dzienniki bundysty], korespondenta „Lebns Fragn” i „Folkscajtung” piszącego pod pseudonimem „Ron”. Był on jedną z pierwszych ofiar hitlerowskich represji w Łodzi w roku 1939. Do redakcji należał także Izrael Lichtenstein (1883–1933), późniejszy radny łódzkiej rady miejskiej i gminy żydowskiej oraz redaktor „Lodzer Weker”. Drukował artykuły o literaturze i teatrze w „Folkscajtung” i „Farojs” w Warszawie. Zmarł w Nowym Jorku, dokąd wysłany został przez szkoły CISZO⁵⁸.

W gazecie udzielał się także adwokat Mosze Anders (1875–1937), przewodniczący Bundu w Łodzi, późniejszy prokurator w Rosji sowieckiej. Zamordowany w 1937 roku. Redaktorami byli również Abram Szmojsz (1892–1968), późniejszy działacz ruchu spółdzielczego w Polsce, współpracownik „Folkscajtung” i autor książek o żydowskich kooperatywach (zmarł w Nowym Jorku), jak również Dawid Szwarcman „Leon”, który wyjechał później do Rosji Sowieckiej i zupełnie zniknął z politycznej areny, oraz młody malarz Szmuel Milman (ur. 1896), późniejszy bundowski ławnik w Łodzi i współpracownik prawie wszystkich bundowskich gazet na świecie. Jest on teraz sekretarzem „Arbeter Ort” w Nowym Jorku⁵⁹. Ukazał się tylko jeden numer tej gazety.

W tamtym okresie sytuacja w Łodzi była niejasna. Front przebiegał w pobliżu, a Warszawa znajdowała się w rękach rosyjskich. Jednak łódzka społeczność żydowska,

⁵⁷ Po 1918 r. Maks Oguz wrócił do rodzinnego Kowna. Zaginął po 1940 r.

⁵⁸ Szkoły CISZO (Centrale Jidysze Szul Organizacje) – szkoły prowadzone pod patronatem tej świeckiej organizacji, związanej z Bundem i folkistami, w których językiem wykładowym był jidysz.

⁵⁹ Szmuel Milman zmarł w Nowym Jorku w 1983 r.

odcięta zarówno od Warszawy, jak i od innych miast, potrzebowała gazety, opisującej społeczne i kulturalne życie żydowskiej Łodzi. Nie było jednak nikogo, kto mógłby ją wydawać.

Uger, który pozostał wierny swojemu antyniemieckiemu nastawieniu, usunął się w cień. Zajmował się działalnością wewnątrz organizacji syjonistycznych. Był założycielem „Bejs Am”, syjonistycznego uniwersytetu ludowego, na którym był jednym z głównych wykładowców, oraz nowego żydowskiego teatru, który powstał w tamtym okresie z jego pomocą.

W tych latach Szaja Uger napisał książki *Di molerajen fun Rembrandt* [Malarstwo Rembrandta] i *Wegn dem modernem teater* [O nowoczesnym teatrze], redagował tomiki zbiorcze *Bloj Wejs* [Błękitno-biały], które pod dziś dzień są ważnymi publikacjami ideologicznymi na temat kwestii żydowskiej i syjonizmu.

Redaktor Lazar Kahan i jego współpracownicy

Nagle w środowisku żydowskim w Łodzi pojawiła się niemała sensacja: nowy żydowski dziennik. Nosił on tytuł „Łodzer Folksblat”, a redagował go były współpracownik „Łodzer Togblat” Lazar Kahan.

„Łodzer Togblat”, drukowany w niemieckiej drukarni państwowej, w pierwszym momencie nie przypadł do gustu łódzkiemu środowisku literackiemu, przede wszystkim z powodu swojej otwartej proniemieckiej orientacji i drukowania propagandowych informacji o zwycięstwach na frontach, które w większości nie były prawdziwe.

Z czasem jednak wielu pisarzy, czy to ze względu na możliwość zarobku, czy też z powodu straszliwych doniesień o rosyjskich zbrodniach na ludności żydowskiej na terenach przyfrontowych, zaczęło współpracować z gazetą.

Lazar Kahan odnowił swoje stare znajomości i przyjaźnie w żydowskim środowisku twórczym. Dowiedział, że nie miesza się do żydowskiej polityki i dawał każdemu pisarzowi wolną rękę do wypowiadania własnych opinii w tych kwestiach.

Tym sposobem Lazarowi udało się przyciągnąć do współpracy z „Łodzer Folksblat” nie tylko brata, Izraela Kahana, lecz także starych przyjaciół, byłych współpracowników „Łodzer Togblat”: I.M. Pliata, Cwi Kohena, Fiszla Bimkę, przedwcześnie zmarłego, zdolnego reportera I. Rozenfelda (1896–1926) oraz cały szereg młodych pisarzy, których wyszkolił na dobrych dziennikarzy.

Lazar Kahan zatrudnił w gazecie jako współpracownika ze stałą pensją pisarza Hersza Lejba Żytnickiego (1891–1942). Tam drukował on swoją powieść *Dem zejdn hejzl* [Domek dziadka], która stała się jego biletem wstępu do świata literatury żydowskiej. Mógł więc zrezygnować z pracy jako nauczyciel języka hebrajskiego i sekretarz gminy w swoim rodzinnym miasteczku Łasku i przenieść się na stałe do Łodzi. Żytnicki wydrukował także wiele nowel ze swojej drugiej książki *Di noweln fun tojt* [Nowele o śmierci]. Dopiero później, gdy był już współpracownikiem „Hajnt”, opublikował powieść *Der gojrl fun a hojz* [Los domu], dzięki której zyskał miano wybitnego pisarza, jednego z pierwszych pośród młodej generacji pisarzy w Polsce, opisujących sztetl

jako minioną, romantyczną wizję. Żytnickiego wywieziono z warszawskiego getta do Treblinki, gdzie został zamordowany przez nazistów.

Wielką korzyścią dla gazety była także stała współpraca z tak wielkim talentem, jak Fiszel Bimko (1890–1965), który dwa razy w tygodniu przysyłał z Kielc do „Folksblat” swoje nowele i *Briwelech fun Kraczikrach* [Liściki z Kraczykrachu], gdzie w humorystyczny sposób wyśmiewał niemieckie władze i ich działania podejmowane w Polsce. Chociaż Łazar Kahan dobrze rozumiał, kogo Bimko miał na myśli i mogło go to kosztować utratę nie tylko posady redaktora, ale i wiele więcej (toczyła się przecież cały czas wojna), jednak nadal chętnie drukował jego teksty. Dopiero później Bimko napisał swój dramat *Ganowim* [Złodzieje] i inne dramaty i opowiadania (zajmujące 20 tomów). Na marginesie chcę zauważyć, że dramat *Ganowim* po raz pierwszy wystawiony został przez Wilner Trupe⁶⁰ w Łodzi. Bimko zmarł w Nowym Jorku. Jego dzieci odebrały od redakcji „Goldene Kejt”⁶¹ coroczną nagrodę za najlepsze opowiadanie przyznawane przez Ogólnożydowski Kongres Kulturalny.

W „Łodzer Folksblat” rozwijał swój talent J.M. Najman, który z powodu wojny musiał zrezygnować z pracy w „Morgenblat”. Prowadził ukazującą się raz w tygodniu rubrykę humorystyczną „Der szrapnel”, w której drukował wiele satyr wymierzonych zarówno w wojennych bogaczy, jak i w samych Niemców.

Także poeta ludowy Herszele uciekł z Kalisza, miejsca swojej zsyłki, gdzie musiał przebywać zgodnie z dekretem władzy carskiej za jeden z wierszy wydrukowany w nielegalnym periodyku sejmistów⁶² „Funken” w Łodzi. Herszele bardzo cierpiał, na szczęście wraz z podjęciem pracy w „Folksblat” zaczął się dla niego nowy rozdział w jego twórczej działalności.

W tamtym okresie swoje wiersze i humoreski zaczął pisać dobrze dziś znany humorysta, Der Lustiker Pesimist [Wesoły Pesymista] (Josef Szymon Goldsztajn, ur. 1893). Szybko zyskał wpływy i swoje teksty drukował już w całej żydowskiej prasie w Polsce. Przygotowywał także materiały dla żydowskich teatrów. Dopiero później został redaktorem działu humorystycznego w „Hajnt”. Przeżył rosyjskie obozy i przez pewien czas przebywał w Izraelu. Ostatnio był redaktorem rubryki „Sztif Kind” w nowojorskim „Forverts”. Der Lustiker Pesimist dysponował niebywale barwnym słownictwem, którego używał w swoich rymowanych felietonach wyróżniających się zarówno udanymi gramami słownymi, jaki i jidyszowo-hebrajskimi kalamburami słownymi, jak również swoim duchem i europejskim rozmachem⁶³.

⁶⁰ Wilner Trupe – zob. s. 152, przyp. 42.

⁶¹ „Goldene Kejt” – powstały w 1949 r. w Tel Awiwie kwartalnik literacki w jidysz. Miał być odpowiedzią na marginalizację jidysz na rzecz hebrajskiego w Izraelu. Zyskał miano centrum literatury żydowskiej.

⁶² Sejmiści – utworzona w 1906 r. w Kijowie Socjalistyczna Żydowska Partia Robotnicza powiązana z rosyjskimi rewolucjonistami. W swym programie domagała się żydowskiej autonomii narodowo-politycznej.

⁶³ Josef Szimen Goldsztajn (1893–1978) w 1949 r. wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. W 1976 r. zamieszkał w Miami. Teksty, również te pisane dla komików Dżigana i Schumachera wydał w Nowym

W „Lodzer Folksblat” publikował także późniejszy słynny pisarz i współpracownik „Forwerts” Baruch Szefer (ur. 1893)⁶⁴. Zaczynał od reportaży i miejskiej kroniki, a każdy jego artykuł napisany był z wielkim talentem. Wkrótce Szefer został jednym z najlepszych dziennikarzy i współpracowników „Lodzer Folksblat”. Tam też drukował swoje błyskotliwe artykuły i felietony. Były one w tamtym okresie w Łodzi czymś zupełnie nowym – ich błyskotliwy język, klarowność i celność wyznaczyły dalszą drogę Szefera. Jego kariera rozkwitła w warszawskiej „Folkscajtung”, gdzie był jednym z głównych współpracowników. Felietony Szefera ukazujące się w dzienniku redagowanym przez Lazara Kahana lśniły jasnym światłem socjalistycznych ideałów i dobrodusznego, pochodzącego z głębi serca uśmiechu. Książki Szefera: *Andersz* [Inaczej], *Links* [Na lewo], *Nowolipie 7* [Nowolipie 7], *Fun majn rajze in Isroel* [O mojej podróży do Izraela] wzorowo opisują świat i jego problemy ze szczególnej perspektywy. On sam jest jednak wytworem łódzkiego środowiska i łódzkiego ducha.

W tym samym czasie, co Szefer, pracę w gazecie rozpoczął Chaim Jankiel Brzustowski (1893–1941), jeden z trzech późniejszych redaktorów „Najer Folksblat”. Poza kroniką i reportażami drukował także portrety łódzian i humoreski pod pseudonimem „Ben Chanoch”. Wydał je później w książce zatytułowanej *Milchome cajt* [Czas wojny]⁶⁵. Były to obrazki Łodzi z okresu okupacji niemieckiej, w których przedstawił w krzywym zwierciadle niemiecki (wilhelmowski) porządek. Brzustowski drukował także recenzje teatralne pod pseudonimem „A Szarfzingl”. Nowy etap jego twórczości otwiera dramat *Zi szpilt wajter* [Ona gra dalej] (1936). Wydrukował także kilka jednoaktówek dla kółek teatralnych. Zabili go niemieccy mordercy. Niemalą winę (choć nie bezpośrednią) ponieśli również „wierni słudzy” z białostockiego Związku Literatów jeszcze z sowieckich czasów. Na początku 1940 roku razem z Mojżeszem Brodersonem usunięty został z Jewsekcji, doniesiono bowiem do kogo trzeba, że on i Broderson są wrogami klasy robotniczej i byli redaktorami burżuazyjnej gazety żydowskiej. Broderson musiał z tego powodu znosić wiele nieprzyjemności, podobnie jak Abram Zak i autor niniejszych słów – nie zostaliśmy przyjęci do Sowieckiego Związku Pisarzy, podobnie jak większość syjonistów i bundowców. Broderson miał szczęście, że w odpowiednim czasie wycofał się z pisania. Wspólnie z Dżiganem i Szumacherem założył teatr małych form, co go uratowało.

Chaim Jankiel Brzustowski do żydowskiej prasy i literatury przyszedł prosto z warsztatu. Do wybuchu I wojny światowej pracował jako postrzygacz sukna w wielkiej żydowskiej firmie. Był aktywnym działaczem Poalej Syjon Lewicy i nie chciał wyjeżdżać z bolszewickiej Rosji, gdyby nie donos jego byłych towarzyszy, którzy zmienili swoje

Jorku w 1976 r. w książce *Gegramte feljetonen un zichrojnes* [Rymowane felietony i wspomnienia]. Zmarł w Miami Beach.

⁶⁴ W innych źródłach jako data jego urodzenia podawany jest rok 1896. Dziennikarz po ucieczce z Warszawy w 1939 r. przedostał się do Nowego Jorku, gdzie współpracował z „Forwerts”. Zmarł w Nowym Jorku w 1977 r.

⁶⁵ Zob. Ben Chanoch, *Czas wojny (szkice i obrazy)*, przeł. D. Dekiert, [w:] „Budzi się Łódź...”. *Obrazy miasta – między literaturą a publicystyką. Antologia*, cz. II, red. M. Kucner, A. Warda, K. Kołodziej, Łódź 2022, s. 237–256.

poglądy i zostali zagorzałymi „rewolucjonistami”. Czuł, że chcą się go pozbyć. Dużo z nim w tym czasie o tym rozmawiałem... Mnie udało się ująć z życiem, bo wyjechałem do pracy przy szyldach w spółdzielni „Czerwona politura”, gdzie zostałem nawet stachanowcem... Jego żona i syn byli już wtedy w Wilnie, lecz zażądał, aby wrócili do Białegostoku. Jednak kilka dni później, gdy Hillel Majmon (1885–1942), stary żydowski pisarz i współpracownik „Hajnt” podjął próbę samobójczą, Chaim Jankiel postanowił wyjechać do Wilna. Gdy spotkałem się z nim w Wilnie (1941) powiedział mi wprost, że czuje, iż śmierci już nie ucieknie...

W „Łodzer Folksblat” pracował na stanowisku stałego współpracownika Jani Szulman (1895–1944), który do gazety przyszedł z rosyjskiego ruchu socjalistycznego. Był lojalnym członkiem Poalej Syjon Lewicy i przez całe życie współpracował z żydowską prasą. Jego oddanie kolegom po fachu widoczne było najlepiej w gorzkim okresie łódzkiego getta. Ze świadectwa pisarza Rachmila Bryksa⁶⁶ wynika, że pomagał łódzkim literatom żydowskim dzieląc się z nimi dosłownie ostatnim kęsem. Z uwagi na swoje stare kontakty miał lepszą pracę, a dodatkowymi racjami dzielił się z tymi, co nic nie mieli. Zmarł podczas likwidacji łódzkiego getta w sierpniu 1944 roku⁶⁷.

Dla gazety pisał także Jozua Infeld (1896–1943), który pod pseudonimem „Argus” prowadził rubrykę „Fun gericht zal” [Z sali sądowej]. Na łamach pisma udzielał też porad prawnych. Infeld do wybuchu II wojny światowej udzielał się aktywnie w partii Poalej Syjon Lewica. Był też znanym lektorem i mówcą. Zmarł z głodu w getcie w Łodzi.

Miejskim reporterem był znany późniejszy nowelista i dramaturg Benisz Zylbersztajn (1902–1942), który w tym okresie mieszkał w Łodzi. Benisz Zylbersztajn za radą Lazara Kahana w 1916 roku zaczął pisać nowele, dzięki którym szybko zyskał uznanie. Później pisał też wiersze, opowiadania, powieści i dramaty. W roku 1935 wyjechał do Antwerpii, gdzie redagował gazetę „Belgische Bleter”, która otwierała swoje łamy dla młodych pisarzy z Europy Zachodniej. Był autorem tomików wierszy: *In eigenem krajz* [We własnym kręgu] (1922), *Sankt Helene indzł* [Wyspa św. Heleny] (1925), *Ejbik farmiszpete* [Skazana na wieki] (1928), tomu nowel *Finctere dercejlungen* [Mroczne opowiadania] (1929), powieści *Brojt* [Chleb] (1930), satyrycznego dramatu *Hura, zol lebn der kenig* [Hura, niech żyje król] (1932), reportażu dramatycznego *Baruch Szulman* (1934), *Blut off majne hent* [Krew na mych rękach] (1935). W życiu i twórczości zawsze bronił biedoty, a swoim pismami chciał podnieść na duchu poniżanych i upokarzanych. Walczył ze złem i gdy naziści zajęli Belgię, wszystkie swoje siły skierował na walkę z nimi, będąc jednym z organizatorów ruchu oporu w Antwerpii. Został złapany przez gestapo i wysłany do

⁶⁶ Rachmil Bryks (1912–1974) – poeta i prozaik. Zamknięty w łódzkim getcie, przeżył następnie obóz w Auschwitz. Po wojnie pisał opowiadania, w których wracał do traumatycznych przeżyć w getcie. W *Di papierene krojn* [Papierowa korona] opisał m.in. życie literackie w getcie.

⁶⁷ Informacja nieścisła: Jakub (Jani) Szulman zmarł 2 II 1942 r., co odnotowano w Biuletynie Kroniki Codziennej, wspominając Szulmana rzeczywiście jako osobę zaangażowaną społecznie i darzoną szacunkiem. W pogrzebie Szulmana brały udział setki osób, łącznie z Przełożonym Starszeństwem Żydów, Mordechajem Rumkowskim, zob. *Kronika getta łódzkiego/ Litzmannstadt Getto 1941–1944*, t. 2: 1942, red. J. Baranowski i in., Łódź 2009, s. 5–6.

Auschwitz do komory gazowej. W czasie marszu, razem z grupą belgijskich Żydów, rzucił się z kamieniem w rękę na strażnika, który go zastrzelił. W 1959 roku żona Zylbersztajna, Bine, zebrała jego wiersze w książce *Gezamelte lider* [Wiersze zebrane], w której znalazły się utwory pisane od 1932 roku do dnia deportacji z Belgii, 10 kwietnia 1942 roku.

Tłumaczeniem telegramów zajmował się Mosze Gersztajn (1879–1920), którego rodzina pochodziła z Lozanny. Do Łodzi nie przyjechał dobrowolnie, zmusił go do tego ukaz carskiej policji, który nakazywał mu opuścić Kijów, gdzie pracował w „Iskrze”. Drukował też tłumaczenia ukraińskiej i rosyjskiej literatury i felietony pod pseudonimem „Sztajnger”. Wkrótce po przewrocie bolszewickim wrócił do Kijowa, gdzie jednak niebawem go aresztowano i zamordowano. Dowiedzieliśmy się o jego śmierci w roku 1920. W tym okresie wielu żydowskich rewolucjonistów wyjeżdżało z Łodzi do Rosji, wśród nich znany żydowski nauczyciel Josef Rawin (1890–1937), który publikował zgrabne wierszyki dla dzieci i tłumaczenia rosyjskiej literatury dziecięcej. W 1918 roku wydał w Łodzi książkę *Majselech szejne far kinderlech klejne* [Piękne bajeczki dla małych dzieci]. Przez pewien czas był nauczycielem w żydowskiej szkole w Mińsku i w miejscowej prasie publikował wiersze dla dzieci. Wydał książki: *Friling leb*n [Życie wiosną], *Di kinder welt* [Dziecięcy świat], *Farkiszeft bas malke* [Zaczarowana księżniczka]. Został zamordowany w 1937 roku. Taki sam los spotkał jego młodszego brata Szlojme Icze Rawina (1892–1937), członka, administratora i nauczyciela w pierwszej żydowskiej szkole ludowej w Łodzi. Był znanym lektorem żydowskiej literatury i jeszcze w Łodzi ukończył książkę o jej klasykach, która jednak w Rosji nigdy się nie ukazała.

MIRIAM ULINOWER I JEJ KRĄG LITERACKI

Łamy „Łodzer Folksblat” zawsze stały otworem przed młodymi poetami, także przed poetką Miriam Ulinower (1890–1944). Zanim ktokolwiek jeszcze dowiedział się, że pisze wiersze, zdradziła swoją tajemnicę Lazarowi Kahanowi i to on wprowadził ją do świata żydowskiej literatury. Miriam Ulinower wcześniej została sierotą i wychowywała się u babki w miasteczku Łask pod Łodzią. Gdy pochodzący z tego samego miasteczka H.L. Żytnicki, zaczął drukować swoje teksty w „Łodzer Folksblat”, przesłał tam także kilka wierszy Miriam. Te bardzo spodobały się Lazarowi Kahanowi i opublikował je w gazecie. W tym czasie Miriam przeprowadziła się do Łodzi i wyszła za mąż za kuzyna, Wolfa Ulinowera.

Przez pewien czas była na utrzymaniu rodziców Wolfa, którzy przy ulicy Piotrowskiej mieli sklep kolonialny. W tym czasie już pisała wiersze. Ulinowerowie mieszkali w domu teściów przy ul. Dzielnej 11⁶⁸. Tam też urodziły się ich obie córki. Miriam Ulinower była osobą religijną, nosiła perukę i prowadziła koszerne, tradycyjny dom. Jej mąż, Wolf, był przez pewien czas przewodniczącym Stowarzyszenia Drobnych Kupców oraz członkiem zarządu partii Mizrahi, którą reprezentował w łódzkiej gminie. W domu Miriam zawsze panowała przyjemna, spokojna atmosfera. Mąż ją uwielbiał, a ona

⁶⁸ Obecnie ul. Narutowicza.

odwzajemniała jego uczucia. Choć prowadziła religijne życie, jej dom stał dla każdego otworem, za wyjątkiem piątkowych wieczorów, gdy zapalała szabatowe świece. Zawsze uśmiechnięta, z serdecznym wyrazem twarzy przyjmowała gości, mężczyzn i kobiety, witając ich dźwięcznym głosem. Gdy urodziła pierwsze dziecko i przestała pracować w sklepie, jej mieszkanie przerodziło się w salon literacki dla młodych pisarzy, z którymi natychmiast się zaprzyjaźniała. Miriam lubiła, gdy dla niej czytano, lubiła także sama czytać przyjaciółom swoje wiersze. Nie zmieniło się to, gdy jej książka *Der bobes ojcer* [Skarbczyk babuni]⁶⁹ odniosła wielki sukces. Nie chełpiła się tym i była żądna wiedzy jak wcześniej. Wszyscy łódzcy młodzi poeci bez wyjątku traktowali ją jak siostrę. Taka pozostała do Zagłady i taka była w czasie wielkiej tragedii w łódzkim getcie. Miriam Ulinower tuż przed Zagładą miała gotowe do druku dwie nowe książki. Pierwszą był tomik wierszy i poematów na motywach Tory i wierszy szabatowych. Druga to książka na motywach chełmskich opowieści⁷⁰, której część wydrukowana została w łódzkiej prasie. Miriam Ulinower zwróciła kobiecej żydowskiej twórczości poetyckiej nutę piękna i archaiczny, żydowski język starych pobożnych wierszy. Nie miała sobie równych w nowoczesnej żydowskiej poezji. Była i pozostała do końca kobietą na wskroś żydowską. Swoje dzieci wychowała tradycyjnie. Obie dziewczynki od najmłodszych lat płynnie mówiły w jidysz, znały także hebrajski.

Dzieci umiały na pamięć wiersze matki i gdy ktoś o to poprosił, zaraz je recytowały z tym samym zaśpiewem, z jakim czytała je Miriam. Niedługo przed Zagładą poetka wyprawiła wesele najstarszej córce. Ta z mężem przygotowywała się do wyjazdu do kibucu „Hapoel Hamizrachi” do Palestyny. Co się z nią i z resztą rodziny stało, nie wiadomo⁷¹.

Z rodziny Miriam Ulinower, pochodziła jeszcze inna żydowska poetka mieszkająca w Łodzi. Jej wiersze wydrukowane został w pierwszym numerze „Gezangen”, poświęconym liryce miłosnej. Była to jej kuzynka Chane Gerson (1896–1944), po mężu Rabinowicz. Chane Gerson była bogatą kobietą i cały swój czas poświęciła działalności syjonistycznej i pisaniu poezji. Organizowała też wykłady i spotkania literacko-artystyczne. Czasami sama grała w jednoaktówkach. Jej poezja zawsze uderzała w narodowe tony i nawet z jej miłosnych wierszy emanował heroizm minionych pokoleń i żydowska odwaga, która dzięki syjonizmowi i państwu żydowskiemu miała odzyskać siłę i moc. Niestety tego nie dożyła. W getcie obracała się w grupie młodych pisarzy z kręgu Ulinower. Była jednak zrezygnowana, bierna, zarówno w wierszach, które zginęły razem z nią w Auschwitz, jak i w życiu.

⁶⁹ Polskie przekłady kilku wierszy Miriam Ulinower dokonane przez Natalię Krynicką zob.: *Sztetl, szund, bunt i Palestyna. Antologia twórczości literackiej Żydów w Łodzi (1905–1939)*, red. K. Radziszewska, D. Dekiert, E. Wiatr, Łódź 2017, s. 4–8, 97, 293.

⁷⁰ Żydzi z Chełma byli bohaterami żartów i wierszyków, jako nieudacznicy i głupcy. Tzw. mędrycy z Chełma (jid. chełmer chachomim) stali się tematem wielu ludowych opowieści.

⁷¹ Starsza córka Miriam Ulinower, Dina Ruchla, wyszła za mąż za Szmula Granata. W 1937 r. urodziła syna Bernarda. Nie wyjechała do Palestyny. W getcie Dina z rodziną oraz jej młodsza siostra Hinda mieszkaly razem z rodzicami przy ul. Jakuba 13 (w księgach meldunkowych pojawia się również adres Franciszkańska 12/14 – była to narożna kamienica).

Obie poetki podzieliły ten sam smutny los. Obie zginęły w płomieniach krematoriów w Auschwitz⁷². O poetce Miriam Ulinower opowiadał pisarz Rachmil Bryks, że w ostatnią drogę z łódzkiego getta w sierpniu 1944 roku razem z odrobiną rzeczy wzięła swoje wiersze. Ocalali z Auschwitz mówili, że Miriam Ulinower nawet kilka dni przed śmiercią, martwiła się o swoje wiersze jak o swoje dzieci i rodzinę.

POD NIEMIECKĄ OKUPACJĄ

Gdy niemiecka armia zajęła Warszawę (pod koniec sierpnia 1915 roku), Lazar Kahan postanowił zaprosić do współpracy z „Folksblat” żydowskich pisarzy z Warszawy. Udało mu się przyciągnąć tylko dwóch poetów: Jakowa Rajfedera (1890–1942) i Lejba Melecha (1894–1936). Z pisarzy starszej generacji z łódzką gazetą współpracował jeszcze H.D. Nomberg (1870–1927), który później przejął literackie kierownictwo w „Warszewer Togblat”, dzienniku założonym przez słynnego malarza Hermana Struka. Ten ostatni był w tym czasie niemieckim oficerem. H.D. Nomberg odkrył Lejba Melecha. Nie mylił się co do jego talentu, czego świadectwem są wszystkie książki, wiersze, ballady, opowiadania, powieści, reportaże i kilka dramatów, takich jak *Missisipi* i *Ibergus* [Rozłanie], które pozostawił po swojej przedwczesnej śmierci. Były one grane na żydowskich scenach na całym świecie.

W tamtym czasie opinia Nomberga była dla Lazara bardzo ważna. Nombergowi udało się więc wyprosić u Lazara stałą pensję dla Melecha, tak aby ten mógł zrezygnować z pracy na kolei w Łukowie, gdzie obaj pracowaliśmy, i mógł całkowicie poświęcić się literaturze.

Dzięki wstawiennictwu pracującego w „Warszewer Togblat” Nomberga, uległy poprawie relacje między pisarzami, którzy uważali, że nie należy współpracować z niemiecką gazetą a tymi, którzy z kolei uważali, że pracując w takiej gazecie, wyrażają protest przeciwko antysemickim działaniom władz carskich.

Po długich staraniach na początku 1916 roku Niemcy wydali zgodę na ponowne otwarcie „Łodzer Togblat”. Zatwierdzono także Ugera na stanowisko redaktora naczelnego. Gazeta nie mogła jednak pozwolić sobie na zatrudnianie pisarzy, gdyż przez zamknięcie utraciła swoją pozycję. Ugerowi jednak się nie przestraszył i sam swoimi tekstami zapełniał prawie cały numer.

W tym okresie do pracy wrócił także stały współpracownik, Zalmen Zylbercwaig (1894–1972). Zaczął pisać bardzo wcześnie. Już w roku 1910 jako szesnastoletni chłopiec wydrukował w „Łodzer Togblat” swoje pierwsze tłumaczenie szkicu Janusza Korczaka *Salomon*. Drukował także w „Eiropesize Literatur” A. Rejzena⁷³ i w wielu literackich tomach zbiorowych. Jeszcze przed I wojną światową udzielał się w kręgach

⁷² Chana Rabinowicz została deportowana wraz z dwunastoletnią córką Rachelą do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem we wrześniu 1942 r.

⁷³ „Eiropesize Literatur” to czasopismo, które Abram Rejzen (1876–1953), jidyszowy poeta, prozaik, redaktor zaczął wydawać w Warszawie w 1911 r., aby publikować tłumaczenia na jidysz ważnych dzieł literatury światowej.

teatralnych. W „Lodzer Togblat” dalej rozwijał swój talent literacki. Pisał powieści i kroniki, felietony i artykuły polityczne. Innych pisarzy nie było wielu, bo wszyscy pracowali już w „Folksblat” Lazara Kahana. Uger nie dysponował też zbyt dużymi środkami finansowymi na wypłacanie im pensji... Zylbercwajg musiał więc sam pisać nawet recenzje sztuk teatralnych, co doprowadziły do wydania jego koronnego dzieła *Leksikon fun jidiszn teater* [Leksykon teatru żydowskiego]⁷⁴. Taką pracę powinno pewnie napisać całe grono badaczy, a nie jeden pisarz.

Swoimi sześcioma tomami *Leksikon fun jidiszn teater* wykonał nie tylko pionierską pracę, która przez długi czas była zaniedbywana i wydawała się całkowicie niewykonalna. Odnalazł ślady setek aktorów i autorów piszących dla żydowskich teatrów, o których istnieniu przyszłe pokolenia bez jego leksykonu nigdy by się nie dowiedziały. W przerwach między jednym tomem a drugim, pomiędzy wyjazdami w poszukiwaniu materiałów, nie przestawał tłumaczyć dramatów dla żydowskich teatrów, granych przez najlepszych żydowskich aktorów. Nie zaprzestał też pisania swojej książki *Hintern forhang* [Za kurtyną], jednoaktówek oraz książek o Goldfadenie i Gordinie, o Achad ha-Amie⁷⁵ i innych. Przez pewien czas był izraelskim korespondentem „Hajnt” i „Forverts”. Gdy mieszkał w Nowym Jorku, był redaktorem „Amerikaner”, a swój wolny czas wykorzystywał na zbieranie materiałów i redagowanie *Lodzer Jizkor Buch* [Księgi Pamięci Łodzi]. Do jej powstania zaangażował wszystkich Łódzian, którzy mieszkali w obu Amerykach i zachęcał ich do działania na rzecz ocalonych krajan. Należy także wspomnieć o żonie Zalmena, Celi, znanej w Polsce i Ameryce aktorce żydowskiej, która razem z mężem prowadziła audycje w radiu w Los Angeles, pomagając miejscowej żydowskiej społeczności przy organizacji wszystkich imprez kulturalnych⁷⁶.

Także młodszy brat Zalmena, Natan Zylbercwajg (ur. 1899) był przez długie lata korespondentem „Hajnt” w Palestynie. Od czasu do czasu drukował w „Lodzer Togblat” oraz w różnych palestyńskich gazetach⁷⁷.

W tym czasie Uger odkrył nowy talent. Był to młody syjonistyczny działacz Mosze Blajsztift (1902–1932). Pisał on dla „Lodzer Togblat” artykuły o polityce i problemach

⁷⁴ Autor dokonuje tu dość radykalnego przeskoku myślowego i chronologicznego: pierwszy tom *Leksikon fun jidiszn teater* Zylbercwajga został opublikowany w 1931 r. w Nowym Jorku, tom drugi w Warszawie w 1934 r. Kolejne cztery ukazały się już po II wojnie światowej, publikowane w Nowym Jorku i Mexico City. Ostatni wydany został w 1969 r. W leksykonie zamieszczone są biografie ponad 3000 aktorów, dramatopisarzy, krytyków, a także hasła poświęcone instytucjom teatralnym ze 150 lat funkcjonowania żydowskiego teatru.

⁷⁵ Achad ha-Am – pseudonim Aszera Ginsberga (1856–1927), pisarza, publicysty i działacza syjonistycznego, którego poglądy na język hebrajski i kulturę żydowską odegrały bardzo ważną rolę w procesie formowania się tożsamości żydowskiej na przełomie XIX i XX w.

⁷⁶ Od 1937 r. Zylbercwajg mieszkał na stałe w Nowym Jorku, gdzie był współpracownikiem YIVO. W 1948 r. przeprowadził się do Los Angeles, gdzie prowadził z żoną Celią „Zilbertsvayg Yiddish Radio Hour”.

⁷⁷ Natan Zylbercwajg w 1924 r. wyjechał do Palestyny, gdzie był działaczem związkowym w Tel Awiwie. Przed wyjazdem, gdy mieszkał jeszcze w Polsce, próbował nie tylko swoich sił jako dziennikarz, ale również tłumacz z języka rosyjskiego na jidysz oraz dramaturg. Nie udało się ustalić daty jego śmierci.

społeczności żydowskiej. Drukował także swoje tłumaczenia literatury polskiej (Sienkiewicza, Prusa i in.). W formie książkowej ukazało się tylko kilka jego jidyszowych tłumaczeń, np. dr. L. Pinsker *Ojtoemancypacje* [Autoemancypacja], dr. Pasmannika *Di psychologie fun goles-jidntum* [Psychologia żydostwa diasporowego]. W tomach „Hatkufa”⁷⁸ wydrukował swoje hebrajskie tłumaczenie dramatu J. Żuławskiego *Szabataj Cwi* [Szabataj Cwi] i kilka dramatów J. Galsworthy’ego. Niestety zmarł przedwcześnie, a jego tłumaczenia na jidysz nowej literatury hebrajskiej i wiele tłumaczeń nowej literatury polskiej zaginęły.

Szaja Uger przyciągnął także do współpracy z żydowską gazetą młodego działacza Ceirej Syjon, Izraela Szalita (1900–1944), który z czasem został dobrym dziennikarzem. Szalit do 1939 roku udzielał się w żydowskim życiu społecznym. Został zamordowany w Auschwitz.

Powoli „Łodzer Togblat” na dobre zadomowił się w Łodzi. W czasie pierwszych wyborów do rady miejskiej, które doprowadziły do ożywienia wewnątrz żydowskich partii, „Togblat” stał się organem łódzkich syjonistów i zyskał ich wsparcie.

W tym okresie do gazety przeszedł z „Najer Morgenblat” Mosze Helman⁷⁹, poseł na Sejm. Dołączył także dr J. Rozenblat (1880–1940) i wielu innych działaczy syjonistycznych. Na ten czas datowana jest także literacka działalność Michoela Jarbluma (1875–1927), syjonistycznego łódzkiego radnego i jego brata Mordechaja Jarbluma (1887–1972), który pod redakcją Ugera wydrukował swe pierwsze artykuły. Został on ważnym dziennikarzem i działaczem Poalej Syjon w Paryżu i jedną z czołowych postaci środowiska żydowskiego oraz redaktorem wielu żydowskich gazet w Paryżu.

Uger przyjął do redakcji Gecla Eisnera, który prowadził miejską kronikę i utalentowanego reportera Szlojme Fajnkinda (1891–1942), który podczas zamknięcia gazety pisywał dla polskich i niemieckich czasopism.

O Szlojme Fajnkindzie warto opowiedzieć trochę więcej. Był synem jidyszowo-hebrajskiego pisarza Moszego Fajnkinda (1884–1935), który z kolei był nestorem jidyszowych i hebrajskich periodyków w Polsce oraz prowadził ważne badania na temat życia polskich Żydów. Był też autorem wielu książek. Jego ostatnia praca opublikowana została w „Łodzer Wisnszaftleche Szriftn” [Łódzkie Pisma Naukowe] (1938). Szlojme Fajnkind był do Zagłady zdolnym żydowskim reporterem, pracującym przede wszystkim dla warszawskiej „Folkscajtung”. Gdy naziści weszli do Warszawy, szukano go z zamiarem aresztowania. Udało mu się uciec i ukrywał się w lasach oraz ziemiankach. Koniec końców został zatrzymany i rozstrzelany przy próbie ucieczki z gestapo. Część jego interesujących

⁷⁸ „Hatkufa” [Okres] – kwartalnik literacki poświęcony literaturze hebrajskiej, założony i wydawany przez Abrahama Josefa Szybbla (1885–1946). Miejsce wydania „Hatkufy” zmieniało się wraz ze zmianą siedziby wydawnictwa Szybbla. Pierwsze numery zostały wydane w Moskwie, kolejne w Warszawie, Berlinie, Nowym Jorku. Prowadzenie wydawnictwa i czasopisma powierzał Szybblowi zmieniającym się co pewien czas, znanym pisarzom i redaktorom. Ukazało się 36 roczników kwartalnika.

⁷⁹ Mojżesz (Mosze) Helman (1873– po 1939) – żydowski przedsiębiorca związany z Łodzią, radny miejski, poseł na Sejm I kadencji.

szkiców zatytułowanych *Cwizsn lebn un tojt* [Między życiem a śmiercią] znalazła się wśród materiałów należących do Archiwum Ringelbluma⁸⁰.

W „Lodzer Togblat” swoje teksty zaczął drukować Icchak Riwkind (1895–1968). Zasłynął on kilkoma artykułami wydrukowanymi w „Hacefirze” redagowanej przez Sokołowa. Icchak Riwkind szybko jednak musiał opuścić Łódź z powodu kazania, które po pogromie we Lwowie wygłosił w staromiejskiej synagodze. Był poszukiwany przez policję, która chciała go aresztować. Potajemnie uciekł z Łodzi i przez Gdańsk dostał się do Ameryki. Jakby na to nie patrzeć, było to z pożytkiem dla jidyszowej i hebrajskiej literatury i nauki. Już w pierwszych lata pobytu w Ameryce słał do nas serdeczne pozdrowienia, a my chwaliliśmy się nim jako jednym z członków młodej łódzkiej grupy literatów. Icchak Riwkind pracował w Ameryce długie lata jako bibliotekarz w Żydowskim Seminarium Teologicznym. Swoimi rozprawami drukowanymi w „YIVO-Bleter”, „Pinkas fun Amoptejl”, „Jidiszer Kemfer”, „Cukunft” i in. wzbogacił badania nad literaturą jidysz i hebrajską. Publikował też w „Hadoar”, „Kriat Sefer” i innych pismach. Jego książki, poczynając od monografii o reb Majerze Kacu, po jego wielkie i ważne dzieło *Jidisz gelt* [Żydowskie pieniądze], ukazują głębokie, wewnętrzne przywiązanie do nowych kierunków w badaniach nad judaizmem, którym nadał żydowsko-narodowy i osobisty charakter. Zmarł w Nowym Jorku, a pochowany został w Izraelu, który wielbił od najmłodszych lat w Ceirej Mizrach⁸¹ w Łodzi aż po ostatnie dni swojego życia.

W „Lodzer Togblat” debiutował, drukując swoje wiersze i opowiadania, przedwcześnie zmarły poeta Icchak Pływacki (1896–1918), który był pośrednio ofiarą pogromu we Lwowie. W poemacie *Makabi* [Makabi] ostro zaatakował nowe polskie władze, za co został aresztowany. W więzieniu zachorował na tyfus i zmarł. Jego nagła śmierć wywołała wielki smutek wśród młodych przyjaciół-poetów, którzy poświęcili mu drukowane w łódzkiej prasie wiersze (m.in. wiersz Mojżesza Brodersona *Wen es sztarbt in zajne junge jorn a poet* [Kiedy poeta umiera w młodym wieku]).

Do „Lodzer Togblat” przez długie lata przysyłał z Wiednia kolejne rozdziały pracy o żydowskiej muzyce i muzykach stary jidyszowo-hebrajski pisarz Icchak Johanan Kuhn (urodzony w Łodzi w 1870 roku). Był on autorem wielu książek o żydowskiej liturgii, m.in. wielkiego dzieła *Hamusika bekitwej hakodesz, betalmud uwekabala* [Muzyka w Piśmie Świętym, Talmudzie i Kabale] Należał do pierwszego pokolenia łódzkich maskili i pisarzy. Jego losy po zajęciu Wiednia przez Hitlera nie są nam znane.

Z gazetą współpracowali także syjoniści: dr L. Praszquier (ur. 1868); dr Sz.I. Szwejk (1891–1968), ważny członek partii Poalej Syjon i radny w radzie miejskiej. Nie tylko pisał on i aktywnie działał w środowisku żydowskim, lecz zasłynął również jako jeden z najlepszych okulistów. Leczył biednych inteligentów nie biorąc od nich pieniędzy. Uratował się w Izraelu, gdzie pracował jako społecznik i pisarz. Był autorem wielu książek. W Izraelu zmienił nazwisko na Szatkaj i pod tym nazwiskiem publikował w hebrajskiej prasie i periodykach.

⁸⁰ W Archiwum Ringelbluma nie odnaleziono tekstów Fajnkinda.

⁸¹ Ceirej Mizrach (hebr., Młodzież Mizrach) – powstała w 1917 r. młodzieżowa organizacja syjonistyczna, związana z partią Mizrach.

Współpracujący z gazetą adwokat Zerach Sztrauch (ur. 1905) był jednym z najaktywniejszych działaczy w ruchu syjonistycznym w Łodzi w okresie międzywojennym. Był też radnym w radzie miejskiej. Zagładę przeżył na rosyjskiej zsyłce i wkrótce po powrocie wyjechał z Polski. W austriackiej strefie okupacyjnej zajmował się pracą społeczną na rzecz ocalałych i pisał do prasy⁸². Do wybuchu wojny drukował także w „Najer Folksblat” i w syjonistycznej prasie partyjnej w jidysz i po polsku. Zerach Sztrauch jest przewodniczącym Związku Łódzian w Izraelu i członkiem prezydium Światowej Federacji Polskich Żydów. Publikował także w „Cijonistisz Sztime” w Paryżu oraz w izraelskich gazetach „Haarec” i „Hajom”⁸³.

Innym łódzkim radnym i współpracownikiem „Lodzer Togblat” był Majer Zejde (ur. 1920). W radzie miejskiej reprezentował rewizjonistów. Aktywnie udzielał się w życiu społecznym i kulturowym naszego miasta. Do Zagłady był wiceprzewodniczącym Gezelschaft far Landkendetisz [Towarzystwo Krajoznawcze] w Polsce i przewodniczącym jej łódzkiego oddziału. Z jego inicjatywy i za jego pieniądze ukazał się pierwszy tom ważnej pracy *Di jidn in Lodz* [Żydzi w Łodzi] dr. Filipa Friedmana. Zejde przeżył Zagładę i osiadł w Paryżu. Tam ufundował poświęconą pamięci jego rodziny coroczną nagrodę dla ocalałych z Zagłady żydowskich artystów.

Wielu nauczycieli polsko-hebrajskiego gimnazjum, takich jak dr Braude⁸⁴, przyjechało do Łodzi po I wojnie światowej z Galicji. Do grupy tej należał dr Filip Friedman (1901–1960), który w Łodzi publikował swoje naukowe i literackie prace zarówno w żydowskiej prasie, jak i w „Junger Historiker”, „YIVO-Bleter” i w hebrajskojęzycznych periodykach. Był także redaktorem „Lodzer Wisnszafteleche Szriftn”. W Łodzi napisał *Historię Żydów w Łodzi* (w języku polskim) i części *Gesichte fun jidn in Galicje* [Historia Żydów w Galicji] oraz *Korot hajehudim betkufa bahadasza* [Historia Żydów w czasach nowożytnych]. Przeżył Zagładę i od 1944 roku prowadził ważne naukowe badania nad historią Zagłady. Był jednym z założycieli Żydowskiej Komisji Historycznej, która wydała wiele ważnych prac. Wiele z nich sam zredagował (m.in. *Der umkum fun di leMBERger jidn* [Zagłada Żydów ze Lwowa], Łódź 1945). Od 1944 roku do przedwczesnej śmierci zajmował się badaniem Zagłady i napisał wiele ważnych książek w różnych językach. Był inicjatorem ważnych tomów *Churbn-bibliografie* [Bibliografia Zagłady] i stałym współpracownikiem YIVO w Nowym Jorku. Swoje teksty publikował w prawie wszystkich czasopismach zajmujących się Zagładą. Zmarł w Nowym Jorku⁸⁵.

⁸² Sztrauch znalazł się po wojnie w obozie dla przesiedleńców w Salzburgu, który w podzielonej między aliantów Austrii znalazł się w strefie amerykańskiej.

⁸³ Zerach Sztrauch (Strauch) zmarł w 1977 r.

⁸⁴ Markus Braude (1869–1949) – rabin, senator II Rzeczypospolitej w I kadencji Senatu, działacz społeczny i oświatowy, aktywny członek ruchu syjonistycznego. Był inicjatorem powstania I Gimnazjum Męskiego i działaczem Towarzystwa Żydowskich Szkół Średnich. W 1940 r. przez Włochy uciekł do Palestyny.

⁸⁵ Filip Friedman (1901–1960) – historyk. Od 1925 r. mieszkał w Łodzi, po wybuchu II wojny światowej uciekł do rodzinnego Lwowa. Po wojnie wykładał historię Żydów na Uniwersytecie Łódzkim, był również dyrektorem Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej. Uczestniczył w procesach norymberskich. W 1948 r. wyjechał do USA.

Dr Natan Eck (ur. 1896) do wybuchu II wojny światowej drukował tylko w „Lodzer Togblat” oraz w „Folk un Land”. Przeżył Zagładę w różnych obozach, co paradoksalnie go wzmocniło i dodało sił twórczych. Był autorem wielu dzieł o Zagładzie i pracownikiem Yad Vashem w Izraelu. Swoje prace o tematyce literackiej oraz naukowe publikował zarówno po hebrajsku, jak i w różnych jidyszowych periodykach na całym świecie⁸⁶.

Do redakcji należeli także dr Z. Ellenberg⁸⁷ (ur. 1866) oraz dr Chaim Ormian (ur. 1901)⁸⁸, który pisał o problemach psychologicznych i wychowawczych. Później opublikował w „YIVO-Bleter” w Wilnie interesującą pracę *Dos kind* [Dziecko]. Przeżył Zagładę i żyje w Izraelu, gdzie poświęcił się całkowicie badaniom nad psychologią dziecięcą. Publikuje w izraelskich periodykach.

Dr Arie Tartakower (ur. 1897), członek partii Histadrut i radny miejski, zajmował się w gazecie zagadnieniami żydowskiej demografii i żydowskich migracji. Był autorem wielu naukowych prac, pisanych w jidysz i po hebrajsku, m.in. *Jidisze wanderungen* [Żydowskie wędrówki], *Jidisze emigracje un migracje* [Żydowskie emigracje i migracje] oraz tomów *Sziwtei Israel* [Plemiona Izraela]. Był też stałym współpracownikiem „YIVO-Bleter”. W Izraelu został profesorem na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie i brał aktywny udział w wydawaniu *Encyklopedia szel galut* [Encyklopedia diaspory]. Był też członkiem prezydium Światowego Kongresu Żydów⁸⁹.

Także „ruda trójca”: prof. Bromberg-Bytkowski (ur. 1877)⁹⁰, który przetłumaczył *Pieśń nad pieśniami* na język polski; Josef Lewi (1895–1944) oraz Elijah Nejgoldberg (1896–1939) także pisali dla „Lodzer Togblat”. Nejgoldberg był radnym w łódzkiej radzie miejskiej i kandydatem na posła na Sejm z ramienia partii Histadrut. Drukował także w „Hajncie” i redagował „Undzer Cil” (1924). Był również współredaktorem łódzkiego czasopisma „Undzer Tribune” i organu Histadrut „Folk un Land”, który ukazywał się w Łodzi w latach 1931–1935. W pierwszych dniach września, gdy Niemcy zbliżali się do Łodzi, ruszył do Warszawy i zginął po drodze od niemieckiej bomby. Josef Lewi (1895–1944), późniejszy łódzki korespondent „Hajnt”, był przez pewien czas redaktorem

⁸⁶ Natan Eck (1896–1982) – nauczyciel, wydawca, działacz syjonistyczny, badacz Holocaustu. W listopadzie 1939 r. uciekł do Warszawy. Tam w getcie współtworzył konspiracyjną prasę i nauczanie; kierował konspiracyjnym gimnazjum Tarbut. Z żoną i córką uniknął wywózki do Treblinki, uciekł do Będzina. Po uzyskaniu paragwajskiego paszportu został aresztowany przez Niemców, znalazł się z rodziną w obozie Tittmonig w Bawarii, następnie w Vittel we Francji. Podczas deportacji do obozu przejściowego w Drancy, a docelowo do Auschwitz w 1944 r., wyskoczył z pociągu i do końca wojny ukrywał się we Francji. Po zakończeniu wojny angażował się w badania nad Holocaustem. Zmarł w Tel Awiwie.

⁸⁷ Zygmunt Ellenberg (1866–1965) – nauczyciel i działacz społeczny, od 1921 r. mieszkający w Łodzi, dyrektor II Gimnazjum Męskiego Towarzystwa Żydowskich Szkół Średnich (w 1947 r. zmienił w Palestynie imię na Shemaryahu). Autor rozprawy *Żydzi i początki szkolnictwa powszechnego Łodzi (1806–1864): przyczynek do dziejów szkolnictwa oraz ludności żydowskiej m. Łodzi, Łódź 1930*

⁸⁸ Chaim (Henryk) Ormian (1901–1982) – nauczyciel i wykładowca psychologii w Wolnej Wszechnicy. W 1936 r. wyjechał do Izraela.

⁸⁹ Arie Tartakower zmarł w 1982 r. w Jerozolimie.

⁹⁰ Zygmunt Bromberg-Bytkowski (1866–1923) – nauczyciel, literaturoznawca, poeta i działacz syjonistyczny. Dyrektor żeńskiego gimnazjum Towarzystwa Żydowskich Szkół Średnich. Redaktor naczelnny wydawanego w Łodzi po polsku pisma „Tel Awiw”.

„Łodzer Togblat” i „Folk un Land”, gdy ta ostatnia ukazywała się w Lwowie oraz w Łodzi, pisał także dla „Hacefiry” i „Baderech” (także pod pseudonimem Josef Iwri, Ben Zew). Przebywał w getcie łódzkim i warszawskim. Zginął w Auschwitz.

W tym okresie w „Togblat” swoje recenzje teatralne z żydowskich i polskich sztuk pisał dr Wilhelm Fallek (ur. 1897), redaktor polsko-żydowskiej gazety w Łodzi. Był jednym z większych fanów Araratu M. Brodersona oraz mecenasem żydowskiej sceny małych form teatralnych. Od wybuchu wojny w 1939 roku nie ma o nim żadnych wieści⁹¹.

Żydowski religijny filozof i myśliciel Chaim Icchak Bunin (1875–1942) był stałym współpracownikiem gazety. Wydrukował w niej tłumaczenie swojego dzieła *Miszne chabad* [Miszna Chabadu] oraz kilka rozdziałów książki *Di antplekung fun grojsn szotn* [Objawienie wielkiego cienia]. Był autorem prac *Limudei hajahadut* [Nauka judaizmu], *Szearjaszuw* [Reszta wróci], *Di drite alije* [Trzecia alija], które napisał w Łodzi. Na początku 1939 roku uciekł z Łodzi do Warszawy i w warszawskim getcie zajmował się sprawami wychowawczymi. Latem 1942 roku wywieziono go do Treblinki i zamordowano. Jego dwaj synowie, hebrajski poeta Dawid (mieszka w Izraelu) i żydowski publicysta, magister Sz. Bunin także od czasu do czasu publikowali w gazecie. Sz. Bunin zginął w 1944 roku w Auschwitz.

Artysta Juliusz Adler (1880–1967), lubiany łódzki aktor, oprócz wspomnień, drukował także artykuły o teatrze. Od czasu do czasu chasydzkie opowiadania publikowali Majer Herc (1887–1944) i Jankiel Obarzanek (1891–1943), który rozpoczynał od humorystycznych wierszyków, a później został uznanym żydowskim humorystą, współpracownikiem „Łodzer Folksblat” i autorem wielu tekstów dla Jidisze Bande oraz innych żydowskich kabaretów. Napisał także książkę *Nadir un wejn niszt* [Masz i nie płacz] (Łódź 1938), która przyniosła mu uznanie. Był jednym z pierwszych żydowskich pisarzy uwięzionych w obozie Radogoszcz pod Łodzią. Uciekł do Warszawy i zginął podczas powstania w warszawskim getcie.

W roku 1916 współpracę z gazetą rozpoczął Jakow Kirszbaum (ur. 1885). Zaczynał od kroniki miejskiej, później pisał artykuły. Następnie mieszkał w Berlinie i w Gdańsku, gdzie współpracował z „Frajhajt” (redagowaną przez Chaima Arlosoroffa i Szymona Rabinowicza) i nowojorskim „Forverts”. Był też redaktorem „Danciger Informator” (1938). W Ameryce został współpracownikiem różnych czasopism, napisał *Di gesichte fun di jidn in Dancik* [Historia Żydów w Gdańsku], *Flichtlinge un heldn* [Uciekinierzy i bohaterowie], *Wos jidn hobn gegeben Amerike* [Co Żydzi dali Ameryce], *MiJerusalajm ad Jerusalajm* [Z Jerozolimy do Jerozolimy]. Opublikował też wiele ważnych prac: *Di antwiklung fun jidishn druk-wezn in Amerike* [Rozwój żydowskiego druku w Ameryce], *Di bacijung fun Tanach cu dem arbets-problem* [Stosunek Tanachu do sprawy robotniczej] i inne⁹².

Do gazety pisał również A.I. Brzeziński (1893–1957), przede wszystkim na aktualne łódzkie tematy. Do Zagłady był jednym z ważniejszych łódzkich przemysłowców,

⁹¹ Wojenne losy Wilhlema Falleka zob. s. 197, przyp. 23.

⁹² Wg danych Izraelskiej Biblioteki Narodowej Jakow Kirszbaum żył w latach 1896–1988.

działaczem społecznym i członkiem zarządu gminy. Przeżył Zagładę i zamieszkał w Izraelu, gdzie całkowicie poświęcił się pisaniu. Drukował w „Lecte Najes”, „Haarec” i innych czasopismach, lecz głównie zajmował się wielką monografią Żydów w Łodzi, którą wydał po hebrajsku w pięciu tomach.

Współpracownikami „Lodzer Togblat” byli również: piszący w jidysz i po hebrajsku Awner Bornsztejn, autor opowiadań i krótkich felietonów publikowanych pod pseudonimem Awner Szejn (jako pierwszy przetłumaczył na jidysz powieść Eugène’a Sue *Der ewiger Jud* [Żyd wieczny tułacz], Warszawa 1880)⁹³ oraz młody pisarz Mendel Kochański, który później współpracował z warszawskim „Dos Wort” i nowojorskim „Jidiszer Kemfer”. Uratował się z Zagłady i przez pewien czas mieszkał w Ameryce. Teraz żyje w Izraelu i współpracuje z „Jerusalem Post”⁹⁴.

Cotygodniowy humorystyczny dział „Der Lamtern” [Latarnia] prowadzili razem wspomniany już Gerszon Chochem i Szymon Szpigel, który pisał także do łódzkiej kroniki. Z „Lamtern” współpracował Pinchas Zonenberg (1892–1942), zajmujący się wcześniej sprzedażą prasy. Publikował felietony i humoreski. Od 1913 roku wydawał w Łodzi humorystyczne „Jontew Bleter”, które wypełniał swoimi tekstami. Był w łódzkim getcie, gdzie przez pewien czas pracował przy produkcji skarpet, czym także parął się w młodych latach. Zmarł z głodu latem 1942 roku.

W NIEPODLEGŁEJ POLSCE

Gdy zbliżał się koniec wojny i powstała niepodległa Polska, w łódzkiej prasie żydowskiej doszło do znacznych zmian.

„Lodzer Folksblat” zaczął ukazywać się pod nowym tytułem „Folksblat”. Do nowej redakcji należeli wszyscy starzy współpracownicy, oprócz I.M. Najmana i Cwi Kohena, którzy przenieśli się do Warszawy i zaczęli pracę w „Hajncie”.

Na ich miejsce Lazar Kahan przyjął Lazara Fuksa (1892–1935), który pisał także pod pseudonimami H. Brant i L. Leof i współpracował z lewicową prasą Poalej Syjon. Zmarł w Łodzi. Drugim nowym redaktorem był Izrael Rozenberg (1895–1944). Prowadził łódzką kronikę, dział powieści w odcinkach i recenzji teatralnych. Pisał także pod pseudonimami: I. Dankin, I. Izroeli i in. Zamordowany podczas Zagłady. Kolejnym był Abram Szlezinger (1874–1938), piszący o fragmentach Tory⁹⁵ odczytywanych w danym tygodniu. Był autorem krótkich felietonów publikowanych pod pseudonimem „Szir szel esz” [Pieśń ognia]. Wiele lat drukował w hebrajskojęzycznych periodykach. Zmarł w Łodzi. Josef Szymon Goldsztajn – „Lustiker Pesimist”, prowadził rubrykę „Der szrapnel”. Chaim Lejb Fuks drukował wiersze i pisał na tematy kulturalne, prowadził też cotygodniowy przegląd książek „Fun buch cu buch” [Od książki do książki]. Był autorem artykułów

⁹³ Awner (Ab) Bornsztejn (1871–1938).

⁹⁴ Mendel Kochański (1911–1982) – dziennikarz i krytyk literacki. Dotarł do Stanów Zjednoczonych w 1941 r. Publikował zarówno w jidysz, jak i po polsku, angielsku i hebrajsku. Zajmował się tematyką społeczną oraz teatrem i literaturą. Zmarł w Tel Awiwie.

⁹⁵ Tora – zob. s. 39, przyp. 12.

o malarstwie i sztuce. Z gazetą współpracował także Berele Singer (1893–1965)⁹⁶, późniejszy autor warszawskiego „Hajntu”, który pisząc pod pseudonimem Regnis przysyłał z Warszawy cotygodniowe artykuły na tematy polityczne. Berele Singer długie lata był działaczem Folkspartaj, jednym z jej założycieli i członków komitetu centralnego⁹⁷. Przez pewien czas był także radnym w warszawskiej radzie miejskiej i współredaktorem periodyków „Dos Folk”, „Der Jidiszer Hantwerker” itp. W pierwszych dniach wojny wyjechał na zajęte przez Rosjan tereny. Został aresztowany i zesłany do obozu. B. Singer w latach wojennych doświadczył wielu rozczarowań – jako zwolennik komunistycznej ideologii został w Rosji szybko wyleczony z wszelkich lewicujących tendencji. Nie powrócił jednak też do folkizmu, któremu w Polsce poświęcił wiele lat swojego życia. Po wojnie osiadł w Londynie i wspierał polski rząd na uchodźctwie. Tam jednak także czuł się zbędny i samotny, choć artykuły jego autorstwa drukowała polskojęzyczna prasa i paryska „Kultura”. Jego napisana po polsku książka o żydowskich Nalewkach wywołała falę krytyki w żydowskiej prasie. Zarzucano mu brak obiektywizmu a nawet naśmiewanie się z żydowskich współobywateli, z mas ludowych, których przedstawicielem był długie lata w Warszawie. Zmarł w Londynie samotny i prawie zapomniany przez żydowskich pisarzy.

Także w „Łodzer Togblat” doszło do zmian. I.M. Pliat i Icchak Hersz Radoszycki wyjechali do Ameryki. Jankiel Obarzanek przeszedł do „Folksblat”, Gerszon Chochem wyjechał do Lipska, gdzie na wielką skalę zajmował się handlem i bardzo się wzbogacił. Uger próbował ze wszystkich sił odzyskać pozycję, którą gazeta straciła przez wojenne lata. Starał się poszerzyć zasięg wydawnictwa i zmienić jego dotychczasowy wąski, syjonistyczny kierunek na ludowy, nastawiony na zwykłą, żydowską ulicę, z wielką chęcią czytającą „Folksblat”. Gdy tylko Uger wrócił z Rosji do Łodzi, zaprosił do współpracy łódzkich działaczy Ceirej Syjon i adwokata Abrama Lewinsona (1891–1955), późniejszego współredaktora „Goldene Kejt” w Izraelu i wybitnego tłumacza Puszkina na jidysz. A. Lewinson zaczynał w „Łodzer Togblat” od humorystycznych wierszyków, później publikował także krótkie felietony, a następnie, gdy został posłem na sejm z listy Bloku Mniejszościowego, a nawet wiceburmistrzem Brześcia Litewskiego, także teksty o żydowskiej polityce w Polsce. Pisał zarówno dla „Łodzer Tageblat”, jaki i dla prasy Poalej Syjon. Był autorem wielu książek w jidysz, po polsku i hebrajsku, przetłumaczył na jidysz *Eugeniusza Oniegina* Puszkina i *Laika klasztornego* Lermontowa oraz książkę Mosze Nadira na hebrajski. Przetłumaczył także *Kostię Riabcewa* Ogniewa⁹⁸ i *Potop* Sienkiewicza. Był autorem wielu ważnych dzieł m.in. *Bereszit tnua* [Początki ruchu] i *Toldot jehudei Warsze* [Historia Żydów w Warszawie], które są ważnymi pozycjami w historiografii dziejów Żydów w Polsce. Już po jego śmierci w Izraelu ukazały się *Kol kitwei* [Pisma

⁹⁶ Bernard (Berele) Singer, ps. Regnis – dziennikarz i publicysta. Swoje wspomnienia z czasów przedwojennych opublikował w wydanej po polsku w Warszawie w 1959 r. książce *Moje Nalewki*.

⁹⁷ Folkspartaj (Żydowskie Stronnictwo Ludowe) – założony na początku XX w. w Rosji ruch polityczny propagujący daleko posuniętą autonomię w krajach diaspory, opartą na świeckich gminach żydowskich.

⁹⁸ Nikołaj Ogniew (właśc. Michaił Rozanow, 1888–1938) – autor popularnej w okresie międzywojennym książki dla młodzieży *Dniewniki Kosti Riabcewa* (*Pamiętniki Kosti Riabcewa*, 1926).

wszystkie] i *Sefer hamachazot* [Dramaty]. Zmarł w Tel Awiwie. Jego imieniem nazwano w Izraelu wiele ważnych instytucji, upamiętniając w ten sposób na wieki jego osobę. Głównym motywem przewijającym się przez jego powojenną twórczość były tematy związane z Łodzią.

Pod pseudonimem „Graf Kali” ukrywał się Lejb Berman (1887–1944), który poza poważnymi, lirycznymi wierszami, pisał również żartobliwe wierszyki, humoreski i krótkie opowiadania. Lejb Berman zarabiał, dając lekcje kaligrafii, miał jednak bardzo ciężkie życie. Zawsze był biedny i dorabiał wydając świąteczne gazetki z wierszykami poświęconymi tym, którzy za to zapłacili lub zamówili ogłoszenie. Jednak mimo wszystkich zmartwień, zarówno w poważnych, jak i w humorystycznych wierszach odznaczał się jego własny styl i poetycki charakter, które czyniły jego twórczość wyjątkową. Drukował także w „Hajncie” oraz we wszystkich humorystycznych czasopismach warszawskich. W formie książkowej ukazały się *Gelechter durch trern* [Śmiech przez łzy] (1920) oraz *Gezamelte lider* [Wiersze zebrane] (1935). W łódzkim getcie cierpiał z głodu i bardzo spuchł. Zmusiło go to do drukowania wierszy w „Gettocajtung”⁹⁹ Rumkowskiego, jednak nie uratowało mu to życia. Zginął w Auschwitzu.

Uger przyciągnął do gazety nowe, młode siły: Jankiela Gipsa (1884–1942), który przyjechał do Łodzi z miasteczka Brzeziny i przez pewien czas pracował jako nauczyciel w szkole im. Borochowa, Izraela Rabona (Rubina), który drukował w gazecie swoje sensacyjne powieści pod różnymi pseudonimami oraz Josefa Okrutnego, który zaczął pisać pierwsze utwory bezpośrednio po opuszczeniu szkolnej ławki.

Stałym współpracownikiem gazety był Alter Ajzenszlos (1879–1925), który wyrobił sobie już nazwisko jako autor chasydzkich opowieści drukowanych w żydowskiej prasie w Galicji, a po pewnym czasie osiadł w Łodzi. W „Togblat” poza chasydzkimi opowiadaniem drukował legendy ludowe. W Łodzi Ajzenszlos był bardzo twórczy, napisał dramaty *Kise harabojnes* [Fotel rabinacki], *In Maharals cajtn* [W czasach Maharala], *Der kunst-maler, di filantropn, der feldszer-jung* [Malarz, filantropowie i młody felczer] i in., które wystawiano w żydowskich teatrach w Warszawie i w innych miastach. Zmarł w Łodzi. Jego córka Lotta od czasu do czasu drukuje w argentyńskiej żydowskiej prasie artykuły i wspomnienia o łódzkich pisarzach.

W obu gazetach prawie w każdy piątek wiersze swoje drukowali Icchak Kacnelson i Mojżesz Broderon, a także inni pisarze, którzy nie byli stałymi współpracownikami i publikowali tylko sporadycznie.

⁹⁹ „Gettocajtung” było jedyną oficjalną gazetą ukazującą się w łódzkim getcie. Był to organ prasowy Przełożonego Starszeństwa Żydów M.Ch. Rumkowskiego. Od marca do września 1941 r. ukazało się 18 numerów. Gazeta podlegała niemieckiej cenzurze. Przed wydrukowaniem jej numery tłumaczone były na język niemiecki, a następnie dostarczane Gestapo i niemieckiemu Zarządowi Getta.

SALON LITERACKI ICCHAKA KACENELSONA

Ważne miejsce w życiu i rozwoju łódzkiej grupy pisarzy i artystów zajmował salon literacki Icchaka Kacnelsona, który był swego rodzaju uniwersytetem dla łódzkich artystów żydowskich.

Salon Icchaka Kacnelsona można porównać z tym I.L. Pereca w Warszawie. Podobnie jak z salonu Pereca, również z salonu Kacnelsona wyszły wielkie talenty. Młodzi ciągnęli do Pereca jak do cadyka, tak samo łódzka młodzież szturmowała mieszkanie Icchaka, aby tam w wierszach, obrazach lub utworach muzycznych wyrazić swoje tęsknoty.

Nie było ani jednego prawdziwego talentu, który w mieszkaniu Icchaka nie znalazłby pary czułych oczu i serdecznego uśmiechu, dodających skrzydeł jego twórczości.

Prawie wszyscy późniejsi łódzcy pisarze swoje pierwsze kroki stawiali w tym domu.

Nie byli to tylko stali „domownicy”, jak Herszele, Joel Mastbaum i Berysz Auerbach (1880–1941): niski, chudy młodzieniec, który w czasie wojny przyjechał z Warszawy. Pisał wiersze po hebrajsku, eseje, bajki oraz felietony w jidysz. Drukował je w „Undzer Lebn” i w „Łodzer Togblat”. W 1909 roku wydał pod pseudonimem Abrech w Łodzi *Chosn-kale briw* [Listy narzeczonego i narzeczonej] i kilka tomów opowiadań *Majselech fun amol* [Bajki z przeszłości], które wyróżniały się intymnym tonem i nastrojem. Po wojnie wrócił do Warszawy i od czasu do czasu drukował w jidysz, znacznie więcej jednak po hebrajsku w „Hacefirze”, „Baderech” i w literackich tomach zbiorowych. Zmarł z głodu w warszawskim getcie. Ci wszyscy pisarze oraz inni przybysze z prowincji znaleźli u Icchaka swój „dom”. Jego droga matka, na którą wołaliśmy „matka wszystkich żyjących”¹⁰⁰, troszczyła się o nas wszystkich jak o swoje własne dzieci.

Matka Icchaka w głodowe dni niemieckiej okupacji, gdy nawet za pieniądze nie można było zdobyć żadnych produktów, nieraz odbierała chałkę domownikom i karmiła nią gości Icchaka – głodujących artystów, którzy przychodzili do nich, aby dostać choć okruszek czegoś do jedzenia.

Pochodzili oni z różnych warstw i kręgów społecznych, lecz w towarzystwie Icchaka Kacnelsona czuli się dobrze. Przychodzili młodzi chasydzi, którzy ledwo co opuścili ławkę w beit midraszu. Swoją twórczość, drżącą wyczekującą wśród nocy życzliwego spojrzenia, chowali w kieszeniach na sercu, jakby na dzień swojego jestestwa. Do Icchaka przekradali się potajemnie, jak na nabożeństwo. Nosili długie czarne kapoty i okrągłe żydowskie czapki, pejsy chowali za uszami, lecz ich rozpalone oczy sypały ogniem niezaspokojonego pragnienia poznawania świata. Już po pierwszej wymianie zdań czuli się swojsko, zachęteni ciepłym przyjęciem przechodzili ze wszystkimi na „ty”.

Wielu spośród tych młodzieńców wyrosło na szanowanych uczonych i rabinów, jak mój przedwcześnie zmarły przyjaciel ze sztybla¹⁰¹ Aron Zew Aescoly (1901–1948). Wówczas jeszcze nazywał się Aron Wolf Weintraub. Studiował w sztyblu chasydów z Aleksandrowa i w sekrecie pisał wiersze i nowele w jidysz. Z berlińskiej jesziwy

¹⁰⁰ Określenie biblijnej Ewy, Rdz 3,20.

¹⁰¹ Sztybel – zob. s. 71, przyp. 29.

reb Chaima Hellera (także łódzianina, zięcia Sendera Dyszkinsa i wuja reb Icchaka Riwkinda), przysyłał swoje teksty, nowele i reportaże o żydowskim życiu w niemieckiej stolicy. Pod pseudonimem A.Z. Winogradow ukazywały się one w „Łodzer Togblat” i w wydawnictwach dla młodzieży. Później, gdy otrzymał już tytuł profesorski na paryskiej Sorbonie za napisaną po francusku książkę o Beszcie¹⁰², zaczął pisać po hebrajsku i wyjechał do Izraela. W Paryżu drukował jeszcze pod pseudonimem A.Z. Winogradow nowele i opowiadania w jidysz. Aescoli długo pracował w „Dawar”. Przeszedł do historii przede wszystkim dzięki swoim książkom, napisanym z łódzkim chasydzkim zapalem. Za wiele miejsca zajęłoby wymienienie jego wszystkich książek. Chciałbym tu wspomnieć tylko o kilku: *Geza haadam* [Rasa ludzka], *Hahasidut bepolin* [Chasydyzm w Polsce], *Jehuda hanasi* [Jehuda Hanasi], *Sefer hafalaschim* [Księga Falaszów], *Kehilat Lodz* [Gmina łódzka], *Hatnuot hameszihot beIsrael* [Ruchy mesjańskie w Izraelu]. Z jego dwóch tomów o izraelskiej etnologii naucza się w izraelskich szkołach średnich. Książkę *Beszt*, za którą otrzymał na Sorbonie doktorat, napisał po francusku. Niestety jego opowiadania i eseje pisane w jidysz nadal nie ukazały się w formie książki, ani w oryginale, ani w tłumaczeniu na żaden inny język. Szkoda. Był członkiem Akademii i Rady Języka Hebrajskiego, współpracował i redagował wiele czasopism literackich i naukowych. W czasie wojny był w Europie rabinem w angielskiej armii i pomagał ocalałym we Włoszech. Zmarł w Jerozolimie.

W czasie Zagłady zginął w Łodzi wiecznie studiujący rabin Simcha Trajstman (1902–1944), który na pamięć znał prawie wszystkie stare hebrajskie pieśni pochwalne i obeznany był z niemalże całą nową literaturą pisaną po hebrajsku i w jidysz. Był znawcą, do którego zwracano się, gdy chciano znaleźć ukryty sens talmudycznego aforyzmu lub ustępu z Tory.

Icchaka odwiedzał także znany w Łodzi matematyk i wielbiciel Kanta, Abram Kon, który jeszcze w tamtym okresie przebywał głównie w sztyblu, oraz wybitny uczony, słynny we Francji rabin Chaim Heller. Przez pewien czas był osobistym sekretarzem Henio-Abramele Baczyńskiego (1902–1944), który już w tamtym czasie był geniuszem i cudownym dzieckiem.

Icchaka odwiedzał także Lejzer Domankiewicz (ur. 1897). Już w tamtym okresie słynął jako wielki znawca Biblii i po kryjomu pisał wiersze po hebrajsku. Tłumaczył także poezję z jidysz na hebrajski. Do wybuchu II wojny światowej mieszkał w Paryżu, gdzie uczył hebrajskiego. Drukować zaczął dopiero w 1945 roku, gdy został redaktorem „Arbeter Wort”, tygodnika Poalej Syjon Lewicy w Paryżu. Wypracował tam swój niepowtarzalny styl zarówno w publicystyce, jak i w esejach i krytycznych opracowaniach poświęconych literaturze i sztuce. Od 1948 roku był współredaktorem „Undzer Wort”, w którym pisał o żydowskiej literaturze, pisarzach i ich dziełach. Był autorem dwóch książek ukazujących w niezwykłym świetle żydowskie problemy. Na literaturę i filozofię patrzył z *Akueln un ejbikn* [Aktualnego i uniwersalnego] punktu widzenia, jak głosił

¹⁰² Beszt, Israel ben Eliezer, znany jako Baal Szem Tow, był cadykiem, jednym z twórców chasydyzmu na terenach dawnej Rzeczypospolitej w XVIII wieku.

tytuł jego pierwszej książki. Także jego druga książka, *Werter un werten* [Słowa i wartości], zajmująca się problematyką trwania w żydowskiej i światowej filozofii i literaturze, została napisana z wielką erudycją i znawstwem tematu omawianego z intymną intuicją. Czyniło to z niego ucznia takich wielkich myślicieli, jak Bergson i Hipolit Taine, pod których wpływem pozostawał. Nigdy nie był jednak przez nich zdominowany, zawsze szedł własną drogą. Był współredaktorem „Parizer Almanach”, który promował żydowskich pisarzy mieszkających w Paryżu na arenie międzynarodowej¹⁰³.

Do Icchaka zaglądał także Jakow Wajnzaft (ur. 1899), który wówczas uczył się jeszcze w aleksandrowskim sztyblu u ojca, łódzkiego rabina reb Pinkusa. Uchodził za zdolnego uczonego. W tamtym okresie pisał, ale tylko dla siebie. Dopiero w 1925 roku w berlińskim „Haolam” opublikował swój pierwszy artykuł o proroku Amosie. Do wybuchu II wojny światowej był sekretarzem rabina Szolema Trajstmana, który wywarł na niego wielki wpływ. Lata wojenne spędził w Rosji, gdzie cierpiał wielką biedę. W 1945 roku, gdy założono żydowski oddział Związku Patriotów Polskich, objął posadę rabina¹⁰⁴. Po wojnie krótko mieszkał w swym rodzinnym mieście Łodzi, następnie, po pobycie w Niemczech, wyemigrował do Izraela. Ostatecznie przeniósł się do Paryża. W Niemczech i w Polsce drukował w jidysz. Dla „Undzer Wort” napisał serię artykułów o starych mądrościach talmudycznych. Tam też ukazało się kilka rozdziałów jego docenionej przez czytelników książki *Talmud un zajne perzenlechkajtn* [Talmud i jego osobowości]. Jest lektorem studiów talmudycznych na Uniwersytecie Ludowym przy Federacji Żydowskich Stowarzyszeń w Paryżu.

Stałym gościem w domu Icchaka był, obok wszystkich odwiedzających go literatów, nauczyciel z polsko-żydowskiego gimnazjum żeńskiego, Izrael Lichtenstein.

Izrael Lichtenstein był pierwszym bundowskim radnym reprezentującym łódzką żydowską biedotę. Uczył żydowskiej literatury i historii. Był jednak przede wszystkim pisarzem. Zakochany w nowej żydowskiej literaturze, służył jej z uwielbieniem, jak pobożny Żyd służy Bogu. Każdego ranka zaraz po przebudzeniu „odmawiał” rozdziałik żydowskiej poezji. Cały swój wolny czas poświęcał żydowskiej literaturze, o której opowiadał też na robotniczych zebraniach. Skromną nauczycielską pensję wydawał szerokim gestem na nowe książki. Był stałym odbiorcą nowych hebrajskich książek i traktatów, które porównywał z nowymi publikacjami w jidysz. Był wielkim wielbicielem piszących po hebrajsku pisarzy i znał prawie wszystkie ich dzieła.

Lichtenstein był jednym z nielicznych, którzy dodawali otuchy młodym poetom, pochodzącym przede wszystkim z Bundu i z kręgów Poalej Syjon oraz z łódzkiej biedoty. Był ich obrońcą i propagatorem. Miał duży wpływ na ich twórczość. Uważał, że pisarze bez pracy powinni być wspomagani finansowo przez bundowskie instytucje albo otrzymywać jedzenie „na kredyt” w kuchniach ludowych „Harfy” i „Arbeter Winkl”.

¹⁰³ Lejzer Domankiewicz zmarł w Paryżu w 1973 r.

¹⁰⁴ Komitet Organizacyjny Żydów Polskich przy ZPP działał od 1944 r. Nie istniało w jego ramach stanowisko rabina, ale rabini znajdowali się wśród działaczy.

I. Lichtenstein miał duży wpływ na Icchaka Kacnelsona, zarówno ze względu na swoją czystą etycznie i uduchowioną osobowość, jak i wyśmienitą znajomość hebrajskiej literatury, Icchak bardzo go cenił. Do tego Lichtenstein był dla niego ucieleśnieniem jidyszysty, który dodatkowo nie negował języka hebrajskiego i był otwarty na współpracę. Pod wpływem Lichtensteina Icchak został bliskim przyjacielem szkoły im. Medema w Łodzi¹⁰⁵. W każde święto pomagał reżyserować przedstawienia i pisać teksty, od czasu do czasu przychodził też i czytał uczniom swoje wiersze dla dzieci. Cieszył się bardzo, gdy któryś z uczniów sam coś napisał. Z tego okresu pochodzą prawie wszystkie wiersze dla dzieci napisane w jidysz przez Icchaka.

W tym czasie wielu uczniów wyższych klas szkół jidyszowo-polskich i hebrajsko-polskich w Łodzi pisało i wypełniało dom Icchaka, czekając na jego literacką akceptację.

Ciekawe, że właśnie uczniowie hebrajsko-polskiego gimnazjum dr. Braudego, w większości zasymilowani, pisali w jidysz i w tym języku próbowali wyrazić swoje marzenia i tęsknoty. Wiele z tych chłopców wyrosło na ważnych jidyszowych i hebrajskich pisarzy i działaczy społecznych.

Wymienię tu kilku z nich, którzy moim zdaniem wzbogacili żydowską literaturę i prasę, zapisując się na kartach historii literatury i kultury. Byli swoistymi przywódcami żydowskiej diaspory i oddziaływali na swoich żydowskich współobywateli.

Byli to: piszący w jidysz Pinkus Goldhar (1901–1947), Aron Alperin (ur. 1901), Eli Baruchin (1901–1942), Mosze Helman (ur. 1900), Zalman Hirszfeld (ur. 1902), Mosze Nelken (1901–1944), Simche Wajnsztok (1898–1942) oraz piszący po hebrajsku Malkiel Lusternik (1911–1942), Jechiel Rozencwajg (ur. 1900) i Pinchas Churgel (ur. 1900). Ten ostatni pisał w tym okresie hebrajskie wiersze, ale później całkowicie zajął się nowym hebrajskim teatrem. Był też jednym z założycieli scen małych form teatralnych w Izraelu i zyskał sławę jako znakomity reżyser teatru komediowego w Tel Awiwie.

U Icchaka w domu swoje rewolucyjne poglądy rozwijali młodzi poeci: Chaim Król, Dawid Zytman, Izrael Rabon (który wówczas publikował pod pseudonimem Rubin)¹⁰⁶, Jeszajahu Szpigel, Szlojme Berliński, Icchak Berliner, Icchak Janasowicz, Josef Okrutny (który zaczął drukować pod pseudonimem I. Turko)¹⁰⁷, Rikuda Potasz (która była wówczas żoną Chaima Lejba Fuksa i podpisywała się Rikuda Potasz-Fuks), Lejzer Domankiewicz (piszący wówczas po hebrajsku i tłumaczący młodą żydowską poezję), Jakow Wajnzaft (dzisiaj Dawid Malchi, który w tamtym okresie uczył się w beit midraszu i trochę „grzeszył” pisząc wiersze) oraz autor niniejszych słów.

W domu Icchaka upajali się zachwytem znani już pisarze: Cwi Kohen, I.H. Radoszycki, Fiszel Bimko, Z. Segalowicz, Mojżesz Broderson, I.M. Najman, Joel Mastbaum

¹⁰⁵ Założona w 1916 r. staraniem Izraela Lichtensteina szkoła ludowa, w której uczono w jidysz. Pierwsza siedziba mieściła się przy ul. Długiej 45 (obecnie ul. Gdańska), a następnie przy ul. Cegielnianej 17 (obecnie ul. Więckowskiego), gdzie działała do 1939 r. Zarówno założyciel, jak i patron szkoły (Władysław Medem) byli aktywnymi działaczami partii Bund, a szkoła pozostawała pod wpływami tej partii.

¹⁰⁶ Fuks odwraca tu faktyczną zależność: Rubin/Rabin to prawdziwe nazwisko pisarza znanego potem jako Izrael Rabon.

¹⁰⁷ Tu również Fuks daje mylną informację: Turko to prawdziwe nazwisko Josefa Okrutnego.

i B. Eplbojm. Także ludowy poeta Herszele, starszy od Icchaka, wykorzystywał wiele motywów ludowych, które Icchak dawał mu do opracowania.

Od Icchaka wiele nauczył się też Hersz Lejb Żytnicki, który wtedy zaczął pisać oraz odwiedzająca go w pierwszych okresie po przeprowadzce do Łodzi poetka Miriam Ulinower.

Icchak szczególnie lubił I.M. Najmana, który zyskał uznanie już wcześniej, przychodził do Icchaka z każdym nowym wierszem czy świeżym esejem prosząc o aprobatę. Najman imponował także swoimi trafnymi, improwizowanymi, humorystycznymi epigramami i wierszami oraz swoimi ostrymi dowcipami o „Niemczykach”, których nie mógł drukować w swojej rubryce „Der szrapnel” w „Łodzer Folksblat”.

Icchak wyprowadził w świat tak zdolnego malarza, jakim był Henocho Barczyński (1904–1942)¹⁰⁸, który przyjechał z Tomaszowa Mazowieckiego, gdy był jeszcze młodym chłopcem. Barczyński zaczął malować dzięki Kacnelsonowi. Był on dla Barczyńskiego jak prawdziwy ojciec. Prawie wszystko, co w tamtym czasie stworzył, zabierał Icchak, nie pozwalając mu sprzedawać żadnej pracy. Rozwieszał je potem we wszystkich pokojach, wisiały nawet w przedszkolu. Icchak pomógł mu wyjechać do Berlina i Paryża, by skończył studia.

Z pokojów Icchaka dochodziły często serdeczne melodie piosenek śpiewanych w jidysz i po hebrajsku skomponowanych przez Izraela Głatsztajna (1893–1944), który zaczynał jako kronikarz w „Grojser Jidiszer Teater”. Później został jednym z najlepszych kompozytorów żydowskich pieśni i największych krytyków muzycznych, jacy kiedykolwiek publikowali w żydowskiej prasie w Polsce. Był autorem książek *Gezang un szpil* [Śpiew i zabawa], *Di fraje muze* [Wolna muza] i muzyki do *50 lider* [50 wierszy] ze zbiorowej książki Icchaka Kacnelsona i Mojżesz Brodersona. Zamordowany podczas Zagłady w Polsce.

Icchak miał także bezpośredni wpływ na wielkiego malarza Jankiela Adlera (1895–1949), który w wolnym czasie pracował jako grawer w pierwszym żydowskim artystycznym zakładzie grawerskim P.H. Sztift, a u mojego ojca wykonywał szyldy reklamowe. Pisał wiersze, malował niezwykle żydowskie portrety i rzeźbił w budce na węgiel swego ojca dziwne rzeźby. Stałym gościem był także Henocho Kon (1889–1972), już wtedy wykształcony w berlińskiej szkole muzycznej kompozytor, który każdą wolną chwilę spędzał u Icchaka.

PERIODYKI

W latach 1917–1918, gdy polscy Żydzi zostali odcięci od wielkich żydowskich centrów, w Łodzi rozwijała się i kwitła działalność grupy pisarzy, wydającej liczne czasopisma i miesięczniki.

Pod redakcją Icchaka Kacnelsona i H.L. Żytnickiego zaczął ukazywać się miesięcznik literacki „Heften”. Publikowali w nim wszyscy starsi łódzcy pisarze i wielu młodszych: Miriam Ulinower, Elimelech Szmulowicz, Roza Jakubowicz i Szoszana Częstochowska. Miesięcznik ukazał się pięć razy.

¹⁰⁸ Henocho Barczyński podpisywał swoje prace także: Henryk Barciński.

Cwi Kohen redagował i wydawał czasopismo „Jugent”, w którym drukowali przede wszystkim starsi pisarze i kilka młodszych poetek i poetów: Ulinower, Częstochowska, Jakubowicz, Chane Gerson, Mirl Erdberg i jeden z młodych pisarzy Szolem T. (rabin Szolem Trajstman). Ukazały się tylko cztery numery. Cwi Kohen później zrehabilitował i wydał tom zbiorowy *Undzer buch* [Nasza księga] z udziałem pięćdziesięciu pisarzy.

W tym okresie nieregularnie wychodził literacki periodyk „Literatur”, redagowany przez współpracownika „Lodzer Togblat” Icze Majera Poznańskiego (1889–1937). Poznański wyjechał później do Ameryki, gdzie w „Jidisze Welt” i „Cukunft” w Filadelfii pisał o problemach pedagogicznych. Był też jednym z najaktywniejszych działaczy żydowskich instytucji edukacyjnych i nauczycielem w szkole średniej. Zginął w wypadku samochodowym w Montrealu.

W „Literatur” swoje teksty drukowali następujący łodzianie: Icchak Kacnelson, I.H. Radoszycki, Cwi Kohen i malarz Mark Szwarz, także dr I.B. Cipor (1888–1942), autor prac *Di szchine in goles* [Głos Boży na wygnaniu], *Naches fun kinder* [Radość z dzieci] i dramatu *Ojfsztand* [Powstanie], granego w żydowskich teatrach na całym świecie. Tłumaczył z francuskiego. Mieszkał wówczas we Włocławku i razem z I.M. Weisenbergiem wydawał „Di zamlbicher”¹⁰⁹.

Także kaliski pisarz I.H. Solnik (1869–1942), który już w 1890 roku wydał swój wiersz *Jerusalaïm* [Jerozolima], w kaliskim „Dos Kaliszer Wochtblat”. Z powodu wojny przeniósł się do Łodzi i wydawał czasopismo „Di Jectike Cajt” [Obecny czas], w którym poza nim publikowali: Kacnelson, Herszele, I.M. Poznański, Radoszycki, Miriam Ulinower, E. Szmulowicz i Szalom T. (Trajstman).

Ukazało się osiem numerów „Di Jectike Cajt” zawierających współczesną prozę i wiersze. Solnik wydał później książki: *Himl un erd* [Niebo i ziemia], *Fun altn kłojster* [Ze starego klasztoru]. W czasie straszliwej Zagłady nie udało mu się uciec Niemcom, którzy podobnie jak w 1914 roku, wygnali go z Kalisza do Łodzi. Przebywał w łódzkim getcie, pisał i głodował. W 1942 został wywieziony do Auschwitz. Zginął razem ze swoimi pismami.

Wszystkie te czasopisma i miesięczniki wydawane były przez grupę starszych łódzkich pisarzy, których duchowym przywódcą był Icchak Kacnelson.

Młodzi nie mieli swojej trybuny. Aby tę sytuację zmienić, w mieszkaniu I.H. Radoszyckiego spotkali się łódzcy „młodzi”. Poza gospodarzem, obecni byli Chaim Król, który w tym okresie był bardzo biedny i schorowany. Jego wiersze co prawda wszystkim się podobały, ale drukować nie chciał ich nikt. Obecny był także Dawid Zytman, który w tamtym okresie wydał już kilka wierszy w „Lodzer Folksblat”. Nie był jednak zadowolony, chciał publikować więcej niż te kilka linijek, które pozwalano mu drukować od czasu do czasu. Pracował jako prywatny nauczyciel hebrajskiego w bogatych żydowskich domach, lecz mimo to był samotny, często wręcz bezdomny, ze względu na swą delikatność, która doprowadziła go do śmierci w młodym wieku. Izraela Rabona, choć już wtedy publikował w humorystycznym dziale „Folksblat” pod pseudonimem „Isroelik der klejner”, również

¹⁰⁹ Właśc. „Jidisze Zamlbicher” [Pisma Żydowskie]; czasopismo ukazywało się w latach 1918–1920.

wciągnięto do grupy „młodych”, z uwagi na jego niewydrukowane wiersze i znajomość literatury światowej; obecna była także poetka Sara Bojm z Sosnowca, która w tym czasie przyjechała do Łodzi podjąć pracę jako nauczycielka małych dzieci, oraz piszący niniejsze słowa. Był także mieszkający wówczas u Radoszyckiego Herszele, którego darzyliśmy przyjaźnią i szacunkiem.

Wojna światowa skończyła się, a na kwitnącym łódzkim literackim gruncie pojawiły się nowe widoki i możliwości.

Ze Szwajcarii wrócił Jechiel Jeszaja Trunk (1887–1961) i osiadł w Łodzi. Jego eleganckie i piękne mieszkanie w pałacu na ulicy Południowej stało się salonem literackim. Trunk, ulubieniec Pereca i wnuk gaona reb Joszuele Kutnera, nie chwalił się swym bogactwem, przyjaźnił się z młodymi i zapraszał ich na bankiety, które od czasu do czasu u siebie organizował. Choć cenił samotność i nawet do Icchaka zachodził z rzadka, traktowano go jak dobrego przyjaciela, również ze względu na jego bogatą bibliotekę literatury światowej. Swoje książki pożyczał młodym (Rabonowi, mnie i Zytmanowi), gdyż nie stać nas było na ich zakup, a chcieliśmy je przeczytać. Jego zapal pisarski traktowaliśmy jako chęć zbliżenia się do nas, młodych. Lubiliśmy go, mimo że nie zgadzaliśmy się z jego książką o Oscarze Wildzie (*Dorian Gray*), która była dla nas czymś w rodzaju pisarskiego podręcznika. Zawsze, gdy ukazywała się nowa książka Trunka, stał się wysłuchać z cierpliwością naszych krytycznych uwag oraz od czasu do czasu przeczytać, co o nim napisaliśmy.

J.J. Trunk miał dziwne zwyczaje, o których niewielu wiedziało, na przykład jego stosunek do Izraela Rabona (w okresie warszawskim, gdy wyjechał do Wilna i pożegnał się z nami wszystkimi)¹¹⁰. Widać to było także, gdy zubożały mieszkał w Nowym Jorku i żył z kilku dolarów, które zarabiał w „Tog”. Swoją amerykańską biedę znosił z taką samą elegancją, jak swoje bogactwo, nie przeszkadzające mu wcale w byciu członkiem Bundu, w którym widział nowy ruch mesjanistyczny działający na rzecz żydowskiego społeczeństwa ludowego.

Trunk zaczął drukować w almanachach Pereca i zasłynął jako wybitny pisarz książką *Fun der natur* [O przyrodzie]. W tym okresie poza *Fejgnbojmer* [Drzewa figowe] i *Dorianem Grayem* wydał książkę *Mide* [Utrudzony], w której zaprezentował się jako psychologizujący nowelista ze szkoły freudowskiej. Był także historykiem sztuki, a swoimi siedmioma tomami *In Pojln* [W Polsce] uwiecznił plastycznie świat swoich wspomnień, będący jednocześnie odzwierciedleniem środowiska, w którym wyrósł. Trunk rozwijał się pisząc kolejne opowiadania takie jak: *Simche Plachte fun Narkowe* [Symche Plachte z Narkowe], *Chełmer chachomim* [Mędrcy z Chełma] i *Di welt iz ful mit nisim* [Świat jest pełen cudów]. Był też wybitnym badaczem klasyków, czego dowodzą jego książki o Szolem Alejchemie i H.D. Nombegu. Był, jak określił go Mejlech Rawicz, „jednym z najdogłębszych znawców naszych klasyków – wiernym uczniem I.L. Pereca

¹¹⁰ Trunk zamieszkał w Warszawie w 1925 r. Po wybuchu wojny przez Wilno i Japonię dotarł do Nowego Jorku. – Sformułowania Fuksa brzmi zagadkowo również w oryginale; trudno określić, o jakie „dziwne zwyczaje” Trunka tu chodzi.

i Szolem Alejchemą”. Do śmierci w Nowym Jorku wydał 28 tomów pism prezentujących różne gatunki literackie: poezję, nowele, opowiadania, powieści i eseje. Inspiracje czerpał głównie ze swojego chasydzkiego domu w Łodzi, a główną inspiracją był jego ojciec – Chaim Abram, który był człowiekiem prostolinijnym, znającym poza dziełami religijnymi także literaturę światową oraz kilka języków.

Pod wpływem Trunka, zarówno na polu polityczno-społecznym (w Bundzie), jaki i literackim, rozwinął się Abram Bialer (ur. 1907). Młodo stracił ojca, znanego aleksandrowskiego chasyda i bankiera. W okresie międzywojennym był głównym księgowym firmy „Brider Kon i Trunk”¹¹¹; pozostawał pod wpływem estetyki Eliszy Kona i filozofii życiowej Trunka. W 1939 roku przybył do Ameryki i podczas wojny z nazistami zaciągnął się do amerykańskiej armii. Zaczął tam też spisywać swoje wspomnienia, które drukował w „Tog” i w „Forwerts”.

Był dobrym obserwatorem. Jego izraelskie impresje i artykuły o tematyce żydowskiej, w tym o Trunku, pełne były przenikliwości i nonszalancji, typowych dla atmosfery łódzkich środowisk literackich. Żyje w Nowym Jorku i drukuje w „Undzer Cajt”.

MOJŻESZ BRODERSON I ŁÓDZKIE GRUPY LITERACKIE

Wkrótce młodemu towarzystwu objawił się wyśniony poetycki książe. Był nim Mojżesz Broderzon.

Powrót do Łodzi Brodersona, wokół którego szybko zaczęli gromadzić się prawie wszyscy młodzi pisarze i artyści był dla nas wielkim wydarzeniem literackim i artystycznym.

Także powrót Jankiela Adlera z Niemiec, któremu towarzyszyła sława nowoczesnego artysty szkoły rewolucyjno-ekspresjonistycznej, którą w tamtym czasie dopiero zaczynaliśmy przenosić na żydowski grunt, doprowadził do scementowania całego środowiska młodych łódzkich artystów. Zaczęli oni szturmować stare literackie i artystyczne twierdze.

Już w pierwszych tygodniach urządzano mniejsze i większe przedsięwzięcia literacko-artystyczne, które odbywały się przede wszystkim w lokalach stowarzyszeń robotniczych albo w klubach robotniczych, a nawet na bałuckich ulicach i w ogrodach, gdzie mieszkała żydowska biedota oraz większość żydowskiego proletariatu. Szukano rozwiązań pozwalających zbierać żydowskich pisarzy i malarzy z żydowskimi robotnikami i szerokimi masami ludowymi.

Ruchowi temu przewodniczyli Mojżesz Broderzon i Jankiel Adler. Ale także my, młodzi (Rabon i ja) wnieśliśmy swój wkład w zdobywanie serc i umysłów żydowskiej literackiej i artystycznej Łodzi.

W mieście było duże zapotrzebowanie na literaturę i na literackie wieczory. Wszystkie partie polityczne prześcigały się w obietnicach, chcąc przyjąć w swoim lokalu jakiegoś pisarza lub artystę. Żydowskie ugrupowania, które wraz z powstaniem nowej Polski zaczęły działać na gruncie narodowym, przede wszystkim partia robotnicza Bund i Poalej Syjon Lewica, konkurowały ze sobą i walczyły o hegemonię w sercach łódzkich żydowskich

¹¹¹ „Bracia Kon i Trunk” – fabryka wyrobów włókienniczych mieszcząca się przy ul. Piotrkowskiej 66.

mas robotniczych i ludowych. W swoich lokalach prawie co tydzień organizowały wykłady i spotkania literackie. Obok swoich starszych kolegów występowali wszyscy młodzi literaci, zbierając pochwały od publiczności, które dodawały młodym pisarzom nadziei i umacniały ich twórczy zapał.

Oznaczało to, że nastał czas, gdy niezbędne stały się literackie wydawnictwa, prezentujące twórczość nowej, młodej grupy pisarzy i artystów. Z pomocą młodym przyszedł Mojżesz Broderson, który od pierwszych dniach po swoim powrocie służył grupie radą i pomocą, dzięki niemu jeszcze bardziej się ze sobą zżyliśmy.

Mojżesz Broderson (1890–1957) po powrocie z Moskwy, gdzie zyskał literacką sławę za sprawą książki *Siches chulin* [Pogawędki], przeżywał czas rozkwitu, zarówno w swej poezji, jak i życiu prywatnym. Wrócił całkowicie odmieniony. Jego pierwsza książka, *Szwarcze fliterlech* [Czarne iskierki] (Łódź 1913), nie została przyjęta tak dobrze, jak tego oczekiwał. Jego nowe dzieło zaskoczyło wszystkich nowatorską formą, bogactwem wyrażań, a przede wszystkim pięknym rytmem i gramami słownymi. Taka muzykalność wersów była wówczas (poza twórczością Lejba Najdusa¹¹²) zupełną nowością w żydowskiej poezji. Broderson przyciągał także efektownym wyglądem zewnętrznym i elegancją. Swoimi wytwornymi strojami i ekstrawagancją ujmował nie tylko płeć piękną, ale także łódzką młodzież, która widziała w nim wielkiego artystę. Młodzi pisarze i malarze garnęli się do niego i towarzyszyli mu we dnie i w nocy. Broderson imponował jeszcze czymś innym. Zawsze był gotów powiedzieć dobre słowo, trafny żart, udany kalambur i każdego traktował na równi, jak dobry przyjaciel, nie jak słynny pisarz. Młodzi nie przychodzili z pobożnym szacunkiem, ukrywaniem drżenia serca jak do Icchaka Kacnelsona, lecz jak do starszego kolegi, którego można zapytać o radę, ale nie zawsze trzeba słuchać jego zaleceń...

Mojżesz Broderson był utalentowany na wielu polach sztuki. Pięknie malował i rysował białe-czarne motywy i postacie. Był redaktorem, dziennikarzem i felietonistą. Wybitne były jego krótkie felietony, które podpisywał jako reb Zanwele, Szmilshmelke. Szczególnie duże zasługi miał na polu rozwoju żydowskich małych form teatralnych. Pod jego kierownictwem Ararat zasłynął na całą Polskę jako najlepszy teatr, w którym odkryto wielu nowych aktorów, wzbogacających po dziś dzień żydowski humor. Był pierwszym, który dostrzegł wielki artystyczny talent Szymona Dżigana, Szumachera, Szmulika Goldsztajna i Mojżesza Puławera. W swoich pisanych dla teatru sztukach dopasowywał role do ich charakteru i talentu, tak aby mogli jak najlepiej wykazać swoje umiejętności. Odkrył i ukształtował utalentowaną Manię Peterman, konferansjera Kasmana, Nelkena i Simi Wajnsztok, malarki Dinę Matus, Idę Brauner i Zofię Gutentag, które razem z malarzem Szmuelem Blumem współtworzyły scenografię do przedstawień. Podobnie rzecz się miała z muzykami, którzy wspólnie z Henochem Konem pisali muzykę dla Araratu. Razem z Konem stworzył też pierwszą żydowską operę *Dowid un Batszewa* [Dawid i Batszewa], a ze swoją łódzką teatralną trupą jako pierwszy wystawił sceny z *Dybuka*

¹¹² Lejb Najdus (1890–1918) – poeta piszący w jidysz i tłumacz z języka rosyjskiego. Krytycy podkreślali doskonałą rytmikę jego wierszy.

An-skiego. Trudno wyliczyć wszystko, co stworzył Mosze Broderson. Chcę wymienić tu tylko najważniejsze dzieła, które napisał w okresie łódzkim. Tomiki poezji: *Toj* [Rosa], *Perln ojfn bruk* [Perły na bruku], *Szwarc szabes* [Czarna sobota] i krótkie dramaty *Sznej-tanc* [Śnieżny taniec], *A chasenke* [Wesele], *Di malke Szwo* [Królowa Saba], *Tchijes hamejsim* [Zmartwychwstanie], *Der rojter rajter* [Czerwony jeździec] oraz książkę *Forsztelungen* [Przedstawienia] zawierającą jego dziesięć dramatów. Należy wyróżnić jego ostatni tom poezji *Jud* [Żyd], w którym z mocą wizjonera oddał nastroje i uczucia żydowskiego poety przeczuwającego Zagładę. Należy także wspomnieć o jego książkach dla dzieci: *Aldos guts* [Wszystko, co dobre] i *Lebedik un frejlech* [Żywo i radośnie], zawierających jedno z najbardziej udanych piosenek, śpiewanych przez tysiące dzieci w żydowskich szkołach.

Broderson był wybitnym poetą formy i wzbogacił język żydowski o oryginalne zwroty i frazy. Można go śmiało nazwać „wirtuozem języka jidysz”.

Czas Zagłady spędził w Rosji i nie uniknął sowieckich obozów. Swoją podróż tam zniósł z godnością i dumą. W 1957 roku po wielu cierpieniach postanowił wrócić do Polski, co bał się uczynić podczas ogólnej repatriacji polskich Żydów w latach 1945–1946. Gdy koniec końców powrócił, jego serce nie mogło znieść widoku, którego nawet w swojej poetyckiej wizji nie mógł przewidzieć i zmarł na zawał serca. Jego żona, aktorka, Szejne Miriam uwieczniła go i jego pamięć nie tylko w książce o Mosze Brodersonie¹¹³, ale także dbając o wznowienia jego utworów i przewożąc ciało do Izraela, gdzie został pochowany.

Z felietonów Pereca Markisza zamieszczonych w pierwszych numerach „Literarisze Bleter” wynika, że Łódź przyciągała wielu żydowskich poetów z okolicznych miasteczek. Było to także zasługą Mosze Brodersona. Zapytany, ilu poetów mieszka obecnie w Łodzi, odpowiedział, że do wczoraj, tj. do dnia, kiedy wrócił do Łodzi, było ich osiemdziesięciu. Teraz jednak nie wie, może nawet i dwa razy tyle...

Nie było to żartem, bo z okolicznych miast i miasteczek ciągnęło do Łodzi „za literaturą” wielu młodych ludzi, z których wyrosli utalentowani pisarze. Dla przykładu: z Tomaszowa Mazowieckiego pochodził znany dziś powieściopisarz i nowelista Mosze Dłużnowski; dramaturg i wybitny reportażysta Jerachmil Honig oraz zamordowany poeta i dziennikarz Neta Goldkranc; bracia Berl i Chaim Zachariaszowie i wielu, wielu innych.

Przełożyli z jidysz Agata Reibach, Dariusz Dekiert

¹¹³ Sz.M. Broderson, *Majn lajdns-weg mit Mosze Broderzon. Di milchome hot gedojert far undz zibecn jor...* (*Zichrojnjes*) [Moja droga przez mękę z Mojżeszem Brodersonem. Wojna trwała dla nas 17 lat... (Wspomnienia)], Buenos Aires 1960.

Izrael Rabon

Prozaik i poeta tworzący w języku jidysz. Urodził się w 1900 r. w Gowarczowie koło Końskich; gdy miał dwa lata, jego rodzina zamieszkała w podlódzkich Bałutach. Ukończył jedynie cheder, sam zdobywając wiedzę o literaturze i ucząc się języków. Na utrzymanie zarabiał, malując i kaligrafując plakaty. Podczas wojny polsko-bolszewickiej walczył w szeregach Dywizji Litewsko-Białoruskiej. W 1939 r., kilka tygodni po rozpoczęciu działań wojennych w Łodzi, zdecydował się na ucieczkę z okupowanego miasta do Wilna. Zginął w Ponarach w 1941 r. w jednej ze zbiorowych egzekucji Żydów.

Był jednym z najbardziej oryginalnych pisarzy w literaturze jidysz. Zadebiutował na łamach łódzkiej prasy żydowskiej w wieku 15 lat. Spuścizna literacka Izraela Rabona obejmuje trzy tomy poezji: *Hinte plojt fun der welt* [Za płotem świata, 1928], *Groer friling* [Szara wiosna, 1933] oraz *Lider* [Wiersze, 1937], dwie wydane osobno powieści – *Di gas* [Ulica, 1928] i *Balut: a roman fun a forsztot* [Bałuty. Powieść o przedmieściu, 1934] oraz liczne utwory ogłaszane na łamach łódzkiej i warszawskiej prasy wydawanej w jidysz.

Zapiski z 1939 roku¹

W piątek, pierwszego września nad ranem niepokój w mieście sięgnął szczytu. Radio przekazało komunikat o wybuchu wojny. Spiker mówił dobitnie, podniosłym tonem, ale mimo to wychwyciłem w jego głosie nutę strachu. Obwieścił, że „odwieczny wróg polskiego narodu przekroczył granice i zaczął wojenną operację”. W fabrykach ustała robota, a większość sklepów w ogóle się nie otworzyła. Ludzie pospiesznie modlili się w beit midraszach² i w rozpaczy wylegali na ulicę, żeby tam wespół z Polakami rozmawiać i krzyczeć. Z endeckiej prasy jak za pomocą czarodziejskiej różdżki zniknął antysemicki ton. Nie było w niej ani słowa o Żydach. Już nie jętrżono przeciwko nam. Łódzcy Żydzi mogli wreszcie bez strachu o własne życie spacerować ulicami, którymi nigdy dotąd nie odważyli się chodzić... Lecz któżby teraz miał ochotę na przechadzki?...

„Judeopolonia” – pomyślałem widząc stróża z bocznej uliczki, który dzierżył w rękę dopiero co wydany mu wojskowy mundur, i całował się z żydowskim krawcem niosącym żołnierski pas, świeżutki uniform i przerzucone przez ramię nowe buty z jasnej skóry. W braterskim uścisku Żyd i Polak weszli do szynku, żeby się potajemnie napić gorzałki (sprzedaż alkoholu była już zakazana)...

„Judeopolonia” – wykrzyknąłem, kiedy zobaczyłem policjanta uprzejmie odpowiadającego na pytanie jakiejś biednej Żydówki z Bałut, zupełnie tak, jakby była pełnoprawną obywatelką Rzeczypospolitej.

Idę przejść się po handlowych ulicach Łodzi, przede wszystkim po słynnej Nowomiejskiej, na której sprawunki załatwiali zarówno mieszkańcy miasta, przede wszystkim

¹ Pierwodruk: I. Rabon, *Farfejchenungen fun jor 1939*, [w:] *Unterwegens. Almanach far jidiszer literatur*, red. N. Prylucki, J.J. Trunk, I. Rabon, Wilne 1940, s. 190–235.

² Beit midrasz – zob. s. 117, przyp. 119.

chrześcijanie, jak i setki, a nawet tysiące chłopów i mieszczan z okolicznych miejscowości. Prawie wszystkie sklepy są zamknięte. Pracuje ledwo kilka. Ich właściciele kręcą się podenerwowani, na ich twarzach maluje się napięcie. Tłuką się po sklepie jak spętane ptaki w klatce, spoglądają na ulicę. Charakterystyczna rzecz – nie ma już słynnych pikiet. Zniknęła zgodzona za pieniądze młodzież, która wystawała przed żydowskimi kramami i nie wpuszczała do nich chrześcijańskich klientów. Pikietujący wygłaszali przy tym wyuczone formułki, że chrześcijanin nie może napychać kieszeni żydowskiemu krwiopijcy.

Dziś nie ma pikiet, zupełnie jakby zapadły się pod ziemię, a może ich uczestników wcielono do wojska i zamiast do walki z Żydami ruszyli na niebezpieczniejsze fronty?

Patrzę na przechodniów. Wszyscy smętni i markotni. Strapieni konduktorzy w milczeniu wydają tramwajowe bilety, biorą pieniądze i jak cienie przemykają z wagonu do wagonu. Pasażerowie też są małomówni, napięte spojrzenia kierują na ulicę. Tylko czasem szepczą między sobą albo dzielą się wiadomościami.

Do Łodzi ściągają obuci w nieczyszczone kamasze i ubrani w lniane koszule chłopscy rezerwiści. Gromadnie jadą furkami albo idą pieszo. Chmurni i zafrasowani błędzą w tym obcym dla nich miejscu.

Na ulicy Nowomiejskiej trzech pijanych rezerwistów i jakaś prostytutka służąca im za przewodniczkę próbują wywołać burdę. Wchodzą do żydowskiego sklepu z konfekcją pokrzykując, że przez Żydów cała ta wojna.

Potem na ulicy wołają schrypniętymi pijackimi głosami do przechodzących obok nich zastępów zmobilizowanych mężczyzn:

– Jak skończymy z Żydami, to i wojna się skończy! Bić Żydów, to nas nie zarżną!

– Tak, bić Żydów! – wtóruje im potargana prostytutka o pijanych oczach i rozmazanej na twarzy szmince.

Ale patrzcie tylko, istny cud! Setki przechodzących patrzą na łobuzów obojętnie. Wielu uśmiecha się drwiąco i idzie dalej. Żaden nie jest skory do awantury.

Wreszcie zatrzymuje się jakiś chrześcijanin, najpewniej kowal z prowincji, bo ma mocne czerwone ręce i szeroki kark, i ruga chuliganów:

– Takich drani jak wy, na szubienicę posłać, psiakrew! Teraz wam w głowie Żydków bić i okradać? Wstydzicie się!

– Żydowski pacholek! Żydowski sługus! – krzyczy prostytutka i odchodzi z kompanami.

Zachodzę do Astorii, do kawiarni żydowskiej inteligencji. Stoliki pozajmowane, brzęczą szklanki i nerwowo stukają palce. Niebieskawy papierosowy dym snuje się jak mgła. Krzyki, zamieszanie, niepokój. Wojna, wojna, wojna! Widać ją w każdym geście i przy każdym stoliku. Dosiadam się do Mojżesza Brodersona, felietonisty Obarzanka i malarzy K. i J.B. Są bladzi, przytłoczeni. Toczą dramatyczną dyskusję, walkę na słowa, których znaczenia nikt teraz nie jest pewien.

– Żydzi, pakujcie się, on wejdzie do Łodzi! – woła poetycko-profetycznym tonem Mosze Broderson. Widać, że jest do głębi wstrząśnięty. Z potarganą gęstwą czarnych

włosów i uniesionymi oczyma wygląda tak, jakby nieodstępowana go wizja maszerujących kolumn...

Jest duszno, brakuje powietrza. Na ulicy dudnią chłopskie kamasze, objijają się echem kroki obcych mężczyzn z konieczności powołanych do obrony tego kraju.

Wychodzę z Astorii. Na rogu Zachodniej i Gdańskiej zebrała się grupka ludzi. Podchodzę bliżej. W środku zgromadzenia stoi szalony krawiec z jasną brodą i długimi jak u tołstojowców włosami. Postradał zmysły, głowę ma pełną urojeń i widzeń, które wydobywa z niezbadanych otchłani obłądu. Może mówić, co chce. Nie podlega wojennemu prawu o ograniczeniu swobody wypowiedzi.

– Żydzi, idzie straszny czas... zapłacicie za wasze grzechy, za to, że nie chcieliście dawać ubogim na chleb i umarłym na żałobne płótno. Amalek³ powstał z grobu, będzie mordował wasze dzieci i hańbił wasze kobiety... Ale to nie jest Amalek, jakiego znacie – zaśmiewa się szewc dziko – zamiast mieczem wymorduje was czołgami, trafi was nie strzałą, ale kulą z samolotu. Zetrze was na proch, obróci w perzynę, nie poznajdujecie waszych kości... Przez lata żarliście i żłopałiście... teraz spadnie na was kara boska!

– Szalony człowieku, zamknij pysk! – wykrzykuje jakiś rozjuszony Żydek z bródką w szpic, pewnie kramarz ze Starego Miasta. Zaciska słabe jak u kobiety piąstki i zamierza się na proroka-wariata.

– Zostaw go! – powstrzymują go ludzie – oszalał, to może mówić, co chce.

Słowa psychicznie chorego zapadają im głęboko w serca i po wielokroć słysząc westchnienia. Jakaś kobieta przykładą chusteczkę do oczu i płacze. Tymczasem szalony krawiec rusza przed siebie, by dalej głosić swe ponure przepowiednie.

* * *

Kolejnego dnia nadeszły z frontu dość optymistyczne wiadomości. W raporcie sztabu generalnego poinformowano, że polska kawaleria przerwała linię niemieckiej obrony i bije się teraz na terytorium wschodnich Prus. Z emfazą podkreślono, że polskie wojska otoczyły Gdańsk, a Niemcy oddają się Polakom w niewolę. Wyczytano przy tym listę pojmanych pełną Hansów, Fryców i Adolfów.

Kręcę się po ulicach. A cóż to? – myślę, kiedy podchodzę do budynku gminy żydowskiej przy Pomorskiej. Stoją tam Żydzi, a obok nich leżą tłumoki, pościel i czajniki. Gęsto od dzieci i kobiet. Wszyscy zrozpaczeni, przybici, nieszczęśni. Wyglądają jak ocaleni z pożogi. Niektórzy z nich w panice machają rękami, inni pograżyli się w apatii i oślepiali siedzą nieruchomo na kamiennych schodach.

– Skąd jesteście, Żydzi kochani? Co się wam stało?

– Skąd? Ano z Częstochowy i Wielunia. A dlaczego uciekliśmy? Też pytanie! – zaśmiewa się jeden z nich gorzko i boleśnie – Nie wie pan, dlaczego? Nie wie pan, że Niemiec jest już w Częstochowie, że do Wielunia dotarł już cztery godziny po wybuchu wojny, że „naszych” stał na proch.

³ Amalek – zob. s. 70, przyp. 26.

Jakby na potwierdzenie jego słów rozlegają się płacze dzieci, westchnienia kobiet i słychać wydmuchiwanie nosów w skraj ubrania.

– Miałam dom w Wieluniu. Bomba na niego spadła i wszystko poszło z dymem – mówi jedna z Żydówek.

– Moje dzieci i mąż zginęli, a z izby tylko popiół został – opowiada inna.

– Teraz nie mamy gdzie się podziać – dodaje trzecia.

Tłumek wokół gminy gęstnieje. Ludzie otoczyli kołem tych pierwszych uchodźców i patrzą na ich poorane, pożółkłe twarze pokryte brudem, łzami i bólem.

Zamyślam się. Oto są heroldzi polskiego „zwycięstwa”.

* * *

Wieczorem, o ósmej, po całym dniu latania do schronów przeciwlotniczych, wysłuchaliśmy pierwszych hiobowych wieści. Siedziałem w mieszkaniu mego brata i czekałem na komunikat sztabu generalnego. Przyszli też sąsiedzi, tacy, którzy nie mieli swojego aparatu radiowego albo ci, którzy po prostu lubili zająć do kogoś, żeby potem wspólnie objaśniać usłyszane informacje i odsiewać prawdę od propagandowego fałszu.

Komunikat podano jak zwykle punktualnie o ósmej. Zaraz też padł pierwszy cios. Smutnym, złamanym głosem spiker zawiadamiał, że Częstochowa, Katowice i Bydgoszcz niestety upadły⁴. Byliśmy zdumieni. Skoro Niemiec jest już w Częstochowie, to kiedy będzie w Łodzi?

Nie było o czym mówić. Nie trzeba było tu niczego wyjaśniać ani zastanawiać się, co jest prawdą, a co propagandą. Nie musieliśmy czytać między wierszami, bo wszystko było wyłożone jak na dłoni... Ciężko zrobiło się nam na sercach. Zapadło przynębiające milczenie.

– A wiadomo, czy zajęli tylko te miasta? Kto wie, może i inne! – powiedziałem.

* * *

O szóstej rano w polskim radio ogłoszono alarm:

– Samoloty nad miastem! Kryć się!

Ludzie uciekali z domów. Z tramwajów w popłochu wybiegali konduktorzy i pasażerowie. Dorożkarze w panice porzucali swoje wozy i konie.

Wszystko leciało, szukało schronienia, chowało się. Tylko gdzie? Były wprawdzie setki wykopanych rowów przeciwlotniczych, ale pozostawione bez przykrycia zionęły teraz czernią, pełne błota i wody. Pakować się do nich nie było po co. I tak by to nie pomogło!

Okazało się, że tydzień rycia najpiękniejszych skwerów, najładniejszych parków i większych podwórz, że święty zapal z jakim przystąpiła do tej pracy cała miejska społeczność, niezależnie od wyznania i narodowości, poszły na marne, zdały się na nic. Schrony nie uratowały życia nawet jednemu człowiekowi, nikogo nie ocaliły.

Nie bez racji niemieccy żołnierze kpili sobie później:

– Całkiem dobre gównodoły! Gacie w dół!...

⁴ Miasta te zostały zdobyte między 3 a 5 września 1939 r.

Ludzie biegli się chować przede wszystkim w piwnicach. Ale w robotniczym mieście Łodzi były one zwykle zamieszkane, gnieździła się w nich proletariacka biedota. Właściciele bogatych domów powstawiali do swych piwnic kanapy i krzesła, żeby lokatorzy mieli na czym siedzieć, jeśli przyszloby im tam chronić się przez godziny, a nawet długie noce. Przygotowali też apteczki.

– Alarm! Alarm! Alarm! – jęczało radio – Kryć się! Samoloty nad Łodzią! Halo!...

W tym samym momencie usłyszeliśmy szum stalowych niemieckich skrzydeł. Spojrzałem wysoko w niebo.

Ledwo widoczne w słońcu małe srebrzyste śmigła obracały się z niezwykłą prędkością.

Na dachach stały gotowe do strzału polskie zenity⁵. Otworzyły ogień w kierunku nadlatujących maszyn. Wybuchwały granaty. Samoloty jak oszalałe latały w tę i z powrotem. Żadnej bomby jednak nie zrzuciły, nie było słychać detonacji.

Tymczasem piwnice powypełniały się ludźmi. Przerażone kobiety mdlały. Cucono je. Chować nie było się już gdzie, bo nie każdy dom miał piwnicę, a jeśli była, to nie mogła pomieścić wszystkich. Leciąco się z czwartego piętra na trzecie, z trzeciego na drugie, z drugiego na pierwsze, a stamtąd na parter.

To był pierwszy nalot i towarzyszył mu wielki zamęt.

W końcu znów odezwało się radio:

– Halo! Halo! Halo! Alarm lotniczy odwołany!

Tłum odetchnął. Wychynął z piwnic i zaprowadził do mieszkań swoje śmiertelne przerażone żony i dzieci.

Ludzie rzucili się do jedyne w Łodzi sklepu obrony przeciwlotniczej⁶, żeby kupować maski przeciwgazowe. A bo to wiadomo, czy nie będą zrzucać gazowych bomb? Po półgodzinie cały asortyment był wykupiony. Sklep miał na składzie dwieście sztuk, po siedemnaście złotych każda. Była to bardzo wysoka cena, żaden łódzki robotnik ani ubogi kramarz nie mógłby sobie pozwolić na taki wydatek.

Tymczasem rozmaici prowokatorzy zaczęli rozpowszechniać plotki, że w czasie następnych nalotów spadną na miasto takie bomby gazowe, że żadne maski nie pomogą, i że trzeba się gotować na straszną śmierć. Roztrzęsieni ludzie znów ruszyli do pustego sklepiku obrony przeciwlotniczej.

Ubrany w mundur sprzedawca tłumaczył im, że poza watą i jodyną nic im nie może zaoferować.

– Skandal! Chamstwo! Bałagan! – krzyczeli wygrażając pięściami.

Krzyki i protesty na niewiele się jednak zdały. Masek gazowych nie było.

Przez pół godziny mogliśmy swobodnie pooddychać i nacieszyć się komunikatem radiowym informującym o tym, że celny ogień zenitów nie tylko odstraszył eskadrę samolotów, ale i zestrzelił całe trzy niemieckie maszyny. Jednak dokładnie trzydzieści minut po pierwszym nalocie łódzkie radio znów podało ostrzeżenie:

– Halo! Halo! Halo! Kryć się! Samoloty nad Łodzią!

⁵ Artyleria przeciwlotnicza kalibru 40 mm lub 75 mm.

⁶ Sklep działał w siedzibie Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej przy ul. Piotrkowskiej 149.

Oderwaliśmy się od śniadania i schowaliśmy w piwnicy. Mmm... Mmm... Mmm... Nadleciały stalowe maszyny. Ich nikłowa srebrzystość mieszała się ze złotymi promieniami ciepłego jesiennego słońca.

Znów zaczęły trzaskać zenity i karabiny maszynowe poustawiane na dachach.

Tym razem znaleźli się śmiałkowie, co poustawiali się w bramach i przyglądali się robocie bombowców.

Wszedłem na strych, żeby po raz pierwszy w życiu oglądać podniebną walkę. Widziałem, jak od strony Pabianic, przez które jak wiadomo wiedzie droga do niemieckiej granicy, płyną szarawobiałe chmury dymu. Niósł się od nich hałas przypominający warczenie auta, zupełnie tak, jakby obłoki napędzał benzynowy silnik.

Choć nie jestem znawcą spraw wojskowych, zaraz pojąłem, czym są te kłęby dymu. Była to specjalnie wytwarzana para, która maskowała nadlatujące samoloty. Jakby na potwierdzenie moich słów, natychmiast plunęła w nią stukrotnym ogniem artyleria.

Kule, granaty i szrapnele huczały, gwizdały i rozpryskiwały się jak dźgnięte nożem.

Niebo od strony Pabianic wyglądało jak tuż przed burzą z gradobiciem, jak przed ulewą, która zatopi nas wszystkich. Tymczasem tam, gdzie nie było samolotów, trwał łagodny błękit. Dojrzałe jesiennie słońce opromieniało świat z taką mocą, że głupstwem byłoby oczekiwać burzy.

Mimo że przez kilka, może dziesięć minut, nie widziałem nad sobą niczego poza sunącymi niebem obłokami, to ogień polskiej artylerii nie ustawał. Strzelała w niebo z impetem i zacięciem.

W podnieceniu oczekiwałem tego, co miało nastąpić. Naraz ucichły armaty i karabiny maszynowe poustawiane na podłódzkich polach i dachach miejskich fabryk oraz kamienic. Pomyślałem, że niemieckie samoloty uciekły. Myliłem się jednak. Bo oto z lewej strony, to znaczy z centrum miasta, uniosło się sześć dymnych obłoków. Mogło się здаwać, że są to dymy pożaru, który wybuchł na którejś z ulic, ale nawet dla niewprawnego oka było oczywiste, że owe obłoki poruszają się zbyt rytmicznym, powolnym i nazbyt świadomym ruchem. Przypominały ostrożnego pływaka, który po raz pierwszy nurkuje w morzu. Najosobliwsze było to, że wokół nich nie pojawił się nawet jeden płomień, czy choćby najmniejsza iskierka. Był to zatem dym bez ognia, jakaś tajemnicza rzecz.

Leżałem przy okienku i w niezwykłym napięciu przyglądałem się temu, jak grupa sześciu czy siedmiu chmur sunie ku drugiej, tak samo licznej, i lada moment nastąpi ich zderzenie.

– Mmm...Mmm... – muczały ukryte stalowe motory.

Wokół zalegała cisza. Zamilkły polskie armaty i karabiny maszynowe przesłonięte sztucznymi kominami. Wszystko zamarło w oczekiwaniu. Zdumiało mnie, że z miejsca, w którym miało dojść do walki, w popłochu i przeczuciu nadciągającej tu śmierci uleciały stada ptaków. Najstarsza pośród jaskółek jęklwym głosem ostrzegła dwanaście innych w stadzie – Dzieci... szybko za mną... ile sił w skrzydłach umykajmy stąd!

I poleciały.

* * *

Pomiędzy dwoma nadciągającymi ku sobie zastępami obłoków stało słońce i jakby w oczekiwaniu tego, co się tu wydarzy, drżało leciutko.

Zaczęło się wkrótce.

Z prawej wyłonił się szybki jak błyskawica powietrzny statek. Jego kontury rozmywały się w bardziej jednak srebrzystych niż złotych słonecznych promieniach i łatwo go było stracić z oczu. Leciał z dziką chyżością pocisku, zatoczył koło i nagle zaczął ostrzeliwać płynące ku niemu dymne obłoki.

Zaraz za nim pojawiły się dwa inne niemieckie bombowce. W jednej chwili z sześciu niklowo-srebrzystych niemieckich samolotów opadła dymna zasłona.

Zaterkotały armaty i karabiny maszynowe, dziesięć, sto, tysiąc strzałów na minutę... Niebo wypełniło się drobinami prochu.

I z lewej strony ukazały się samoloty. Polskie maszyny, które też już wychynęły z maskujących je mgieł, natarły na nieprzyjacielskie bombowce. Te przez chwilę markowały odwrót, a potem nawróciły, żeby wdrzeć się między polskie samoloty i nieprzerwanie ostrzeliwać je to z dołu, to z góry. Trzy polskie maszyny zepchnięte na bok zaczęły pojedynek z trzema niemieckimi bombowcami. Wszystkie opadły nisko, bardzo nisko. Widziałem dokładnie Niemca w skórzanej, zakrywającej niemal całą twarz, pilocie. Policzki nabiegły mu krwią, a jego wytrzeszczone oczy wydawały się podobne do zielonkawego szkła. Lotnik nieustannie strzelał z trzymanego w ręku rewolweru. Minutę później usłyszałem huk zupełnie inny niż ten, który towarzyszy detonacji pocisku. Zaraz potem jeden ze srebrzystych, połyskujących w słońcu jak ostrze noża samolotów jął szaleńczo zataczać koła i jednocześnie opadać coraz to niżej. Zobaczyłem, że z okienka wysunęła się głowa pilota – niemieckiego oficera lub podoficera i spoczęła na kadłubie maszyny. Sącząca się z rany krew spływała po niklu gorącą strugą, a potem rdzawą nitką ulatywała w błękit nieba.

Kiedy tego oficera czy podoficera trafiała śmiertelna kula, ranny drugi pilot wyskakiwał z uszkodzonego pojazdu. Ciemna czasza jego spadochronu zsuwała się po lazurze nieba powoli niczym zmęczony letni ptak. Niemcy widząc swego zestrzelonego kolegę i zniszczenie potężnej pancernej maszyny przypuścili wściekły atak.

Skończyła się walka jeden na jednego. Teraz trzy niemieckie samoloty opadły Polaka i nim zdążyłem się zorientować, osaczona maszyna zaczęła się bezradnie kręcić i chwilę potem martwa metalowa masa uderzyła o ziemię.

Niczym w euforycznym tańcu niemieckie bombowce odskoczyły na moment w bok, ale zaraz dopadły kolejną ofiarę. Tym razem był to mały czarny samolot bez przerwy ostrzeliwujący je z karabinu maszynowego. Samolocik z oznaczeniem S.H. tylko jęknął głucho, jakby pękał od środka i wyskoczyli z niego dwaj żołnierze na spadochronach. Ich ściągnięte twarze pokrywała tłusta sadza, a gęsta krew na policzkach wyglądała tak, jakby w śmiertelnym napięciu popękała im skóra.

Pozostałe polskie samoloty rzuciły się do ucieczki i w bezkresie błękitnych przestworzy widać było jedynie połyskujące niemieckie bombowce. Gdzieniedzie parował jeszcze wystrzelony w powietrzu, dogasający powoli proch.

Bucząc radośnie pięć niemieckich samolotów kręciło się po nieboskłonie i metalowymi nozdrzami wietrzyło, czy nie grozi im niebezpieczeństwo. Namyslały się, dokąd polecieć.

Zszedłem na ulicę. Było ciepło i ciemno, blisko dziewiąta wieczór. Siąpiło. Czułem się nieco rozgrzankowany. Popatrzyłem na trotuar, na domy i płoty. Tu się wychowałem. Te domki pokryte papą pamiętałem jeszcze z czasów dzieciństwa. Ciągłe hałasowały w nich krosna, bo tkacze pracowali dzień i noc, żeby odziać ludzi. Pośród tego stukotu i poszumy czasami dawał się słyszeć turkot maszyny do szycia należącej do jakiejś ubogiej szwaczki. Gdzieniegdzie puknął też szewski młotek. Wszystko to wydawało się tak naturalne i oczywiste, że nikt nie wyobrażał sobie, by mogłoby być inaczej.

Jednak teraz nie ma już tkalni. Krawcy i szewcy odłożyli dratwy i młotki. Domki pogrążyły się w bolesnym milczeniu. Nigdzie nawet mysz nie pisnie.

Młodzież z żółtymi i zielonymi opaskami na ramieniu trzyma straż przy wejściach. Zwracają ku tobie przestraszone twarze i w ich spłoszonym spojrzeniu widzisz pytanie, dokąd to zmierzasz po nocy.

Spacerować? Teraz? Kto by się na to poważył? Chyba tylko szpieg, który szuka okazji, żeby zdobyć użyteczną dla wroga informację.

Ciemność. Idę. Mrok jest tak gęsty, że można go ciąć nożem. Okna zaklejone czarnym papierem. Nie wymyka się przez nie nawet smużka światła. Słyszę tylko własne kroki. Przed każdą bramą świecenie w twarz latarką. Choć jej zielonkawy płomyk jest przytłumiony, to i tak mąci wzrok.

– Kto idzie? Co pan tu robi? – pyta ktoś ostro i podejrzliwie.

Zapała się latarka i czuję na sobie badawcze i przeszywające spojrzenie.

– Żyd?

– Tak, Żyd!

– Proszę iść.

Idę. Skręcam w główną ulicę, w Piotrkowską.

Potężne domy wznoszą się tu jak góry. Kolos przy kolosie niczym gromada śpiących olbrzymów. W oknach nawet jednego światelka, zupełnie tak, jakby kamienice zupełnie opustoszały, bo ich mieszkańcy dawno uciekli.

Piotrowska, która zawsze, przez całą dobę tętniła życiem i nigdy nie zwalniała biegu, jest martwa. Nienazwany strach, ciężki i, chciałoby się rzec, lepki zawisł w powietrzu i gniecie z siłą lawiny.

Ulica i jej trzysta sześćdziesiąt wymarłych, niemych numerów! Im dalej, tym bardziej gęstnieją ciemności. Widzę ledwo na pół metra przed sobą. Patrzę na miasto. Widzę fabryki, te słynne łódzkie fabryki, a właściwie tylko ich kominy, które wbijają się teraz w niebo jak ciemne wygrażające pięści. Wszystko milczy, znieruchomiałe, zastygłe w śmiertelnym paraliżu. Wojna zatrzymała wiecznie przyspieszony puls miasta Łodzi.

Jakieś niejasne przecucie dyktowane instynktem mówi mi, że długo nie zobaczę tych domów i ulic, że nasze dni, ach przepraszam, godziny, są tu policzone. Trzeba pakować tobołki i ruszać w drogę, byle dalej stąd.

Przełożyła z jidysz Monika Polit

WYKAZ SKRÓTÓW

APŁ	– Archiwum Państwowe w Łodzi
CISZO	– Centrale Jidysze Szul Organizacje
JIWO	– Jidyszer Wisnszaftelecher Institut
ORT	– Organizacja Rozwoju Twórczości
PPS	– Polska Partia Socjalistyczna
YIVO	– Yidisher Visnszaftelecher Institut
ZPP	– Związek Patriotów Polskich
ZSRS	– Związek Socjalistycznych Republik Sowietkich
ŻTK	– Żydowskie Towarzystwo Krajoznawcze

INDEKS NAZWISK

- Abramowicz 159
Abramowicz A. 189
Abramson Josef 272
Adler Jakub 194
Adler Jankiel 141, 152, 153, 178–180, 194,
223, 276, 300, 303
Adler Juliusz 141, 152, 292
Adrejew Leonid 188
Aescoli Aron Zew (właśc. Weintraub Aron
Wolf), pseud. A.Z. Winogradow 296,
297
Ajnhorn Dawid 229
Ajzenszlos Alter 295
Ajzenszlos Lotta 295
Ajzman L. 189
Ajzner Gecel 107
Aksenfild Izrael 162, 163
Aksenfild Mendl 163
Alejchem Szolem 141, 174, 186, 198,
243, 273, 303
Aleksander II 48
Alperin Aron 299
Alter Jehuda Arie Lejb 71
Alterman Hilel 78, 126
Altman A. 187
Anders Mosze 279
Anski Szymon 188
Anstadt Helena z d. Lemm 139
Anstadt Helena z d. Nestler 139
Anstadt Karol 139
Anstadt Ludwik 139
Anstadt Zenon 139
Arlosoroff Chaim 292
Aron, buchalter 95, 96
Aronson Nahum 171
Asz Szalom 102, 203, 237, 257
Auerbach Dow Berisz 274, 296
Baczyński Henio-Awromele 297
Badowska Katarzyna 256
Bajgelman Abraham 189, 190
Bajgelman Dawid 174, 189–191
Bajgelman Henocho 191
Bajgelman Pinkus 190, 191
Bajgelman Szlomo 189–191
Bajła, członkini Chewra Kadsza 111
Baj Salomon 126
Balbirski 213
Bandurka Mieczysław 49
Barczyński Henryk (Henocho) 300
Baruchin Eli 10, 299
Basz Tantchum 116
Becher A. 188
Beck Józef 174
Beethoven Ludwig van 199, 238, 246
Bejlis Menachem Mendel 98, 272
Bellamy Edward 246
Bełchatowski Szlama 263
Bergelson Dawid 229
Berg Jehudit (właśc. Wajnberg Iza, Harari
Iza) 191, 192
Bergman, sąsiad P. Minca 95–97
Bergson Henri 298
Berke, śpiewak podwórkowy 208–210
Berkenwald Lejb, pseud. Lejb Anarchista
11, 71, 101, 203, 204, 237, 249, 261,
262, 274, 293, 295, 300, 304
Berkman Icchak 271
Berliner Icchok 299
Berliński Szlojme 229, 299

- Berman Adolf 274
 Berman Lejb 295
 Bernheim Herman 151
 Bernheim Szaul 150, 202
 Bernheim Szlama 151
 Bern Mina 174, 187
 Beszt (właśc. Israel ben Elizer) 297
 Beyer Amalia Fanny 69, 70
 Beyer Józef 69, 70
 Bialer Abram 303
 Bialer Tuwia 115
 Bimko Fiszel 272, 274, 280, 281, 299
 Binstock Maksymilian 219
 Blacher I. 187
 Blajchman J. 257
 Blajstift Mojsze 287
 Blejchman J. 257, 258
 Blum Szmuel 304
 Bławat Menasze 117
 Bojm Sara 302
 Bok E. 189
 Bornsztajn Menachem, pseud. Ślepy Maks 206
 Bornsztajn (Sztajn) Awner 271, 293
 Borochof Dow Ber 227, 234, 275, 295
 Brajnin Ruben 266
 Braude Markus 290, 299
 Brauner Icchak (Wincenty) 153, 194, 201, 202, 218, 221, 304
 Brauner Ida 304
 Brecht Bertold 277
 Broderson Mojżesz 10, 144–146, 148–150, 152–156, 158–161, 163, 165, 168–170, 174, 178–180, 185–187, 192–194, 197–199, 201, 202, 217–225, 227, 231, 243, 244, 250, 253, 257, 268, 269, 272, 278, 282, 289, 292, 295, 299, 300, 303–305, 308
 Bromberg-Bytkowski Zygmunt 291
 Bromberg Szlojme 265
 Brudny Szmul 202
 Bryks Jerachmil 230, 283, 286
 Brzerzyński W. 189
 Brzeziński Abraham Jehuda 293
 Brzustowski (Brystowski) Chaim Jankiel 231, 250, 282
 Bucharin Nikołaj 231
 Budzyner Szlomo 116
 Bułat Mirosława 11, 141
 Bunin Chaim Icchak 292
 Bunin Dawid 292
 Cac Josel 110, 119
 Cajtlin Aron 232
 Cefrow, bracia 186
 Celmajster Dawid 201
 Chagall Marc 171, 278
 Chaim Goldberg, pseud. Chagi 175
 Chamberlain Neville 175, 181, 201
 Chamec Mendel 270
 Chaplin Charlie 89
 Chawa, członkini Chewra Kadisza 111
 Chochem Gerszon 293, 294
 Churgel Pinchas 299
 Ciechanowski Icchak Ben Dow 229
 Cieślak Tomasz 256
 Cipor I.B. dr 301
 Clarke Anna 11
 Czapliński Władysław 9
 Czarny Fajwke 211–213
 Częstochowska Szoszana 300, 301
 Daladier Edouard 175
 Danielewicz Hersz, pseud. Herszele 89, 265, 269, 272, 281, 296, 300–302
 Dekiert Dariusz 11, 13, 16, 82, 127, 203, 206, 233, 236, 240, 256, 258, 267, 282, 285, 305
 Dimow Osip 159
 Dinezon Jakub 273
 Diogenes 238
 Dłużnowski Moszek 305

- Dobranicki Adolf 115
Dolska Maria 187
Domankiewicz Lejzer 297, 299
Dyszkin Sender 118, 297
Dżigan Estera 130
Dżigan Ruda 130
Dżigan Szoel 130
Dżigan Szymon 12, 129, 143, 150, 159,
162, 165, 166, 170–172, 174, 176–
178, 183, 187, 192, 198, 253, 281,
282, 304

Eck Natan 268, 291
Eisner Gecel 265, 288
Elenbojm Mosze 175
Eliezer M. 275
Ellenberg Zygmunt 291
Engels Fryderyk 152
Epikur 238
Epłbojm (Apelbaum) Berisz, pseud. B. Tapuach
270, 300
Erdberg Mirl 301

Fajnkind Mojsze 288
Fajnkind Szlojme 288
Fajwiszys Izrael 198
Falk Ludwik 274
Fallek Wilhelm 197, 292
Feller Edward 86
Fibich Feliks 191, 192
Filozof Abram Icchak 271
Finkelstein B. 150
Fiszzerowie 127
Fiszman, aktor 199
Flakser Abram Hersz 247
Flakser Menachem 247
Foderman Hana 190
France Anatol 237, 238
Frankental Mordechaj (Motel) 278
Freilich Szmul 126
Frid I. 187

Friedman Filip 290
Fromer Jakub 278
Fryszman Dawid 226, 239, 273, 276
Fuks, aktorka 196
Fuks Chaim Lejb 12, 268, 293, 294, 299,
302
Fuks Lazar 293

Gabaj Mordechaj 111
Galin Abram 113, 114
Galsworthy John 288
Garfinkiel Fajwel 81, 229
Garfinkiel Hanele 81
Gelbard Wolf 271
Gelbart Mendel 228–231
Gelbart, żona Mendla 229
Gerson Chane 301
Gersztajn Mojsze 284
Geyer Ludwik 69, 118, 119
Ginsberg Aszer, pseud. Achad ha-Am 287
Gips Jankiel 295
Głatsztajn Isroel 300
Gliksman, zecer 248
Głębocki-Lazarson M. 275
Godik Władysław Jakub 195, 196
Goebbels Josef 219
Goering Hermann 174
Goethe Wolfgang 229
Goldberg Chaim, pseud. Chagi 176, 177
Goldfaden Abraham 287
Goldhar Pinkus 299
Goldin Arie Chaim 271
Goldin Ezra 266, 271, 275
Goldkorn Icchak 12, 217, 218, 225, 247
Goldkranc Neta 305
Goldsztajn Josef Szymon, pseud. Lustiker
Pesimist 173, 174, 281
Goldsztajn Szmul 170, 186, 187, 200,
281, 293, 304
Gordin Jakow 287
Gorki Maksym 245, 254

- Gotlieb Jozua Herszl 275
 Granat Bernard 285
 Granat Szmul 285
 Granowski Aleksander 145
 Grawe Mojżesz 269
 Grinberg W. 199, 221
 Gutentag Zofia 304
 Gutman Berek 230
 Gutman Fela 230
 Gutman Mojsze 265

 Halewi Jehuda 254
 Halpern Mosze Lejb 229, 254, 256
 Hamburski Emanuel 267
 Hamsun Knut 238, 256
 Haneman Maks (Mojsze) 274, 277
 Hasenclever Walter 277
 Hauser Kaspar 257
 Heber Abraham 110, 111
 Hecht Szabsaj, ps. Harry Feek 274
 Hecht Tuwie 274
 Heine Heinrich 142, 238, 268
 Heller Chaim 297
 Helman Mojżesz 276, 288, 299
 Henryk Bajgelman 189
 Herc Majer 292
 Herman Dawid 159, 160
 Herszele, pseud. Zohar 219, 229, 237, 240, 241
 Herzl Teodor 201
 Hillel Starszy 122
 Hirszbajn Perec 188
 Hirszberg Jakub 67
 Hirszenberg Samuel 278
 Hirszfeld Mosze 265, 266
 Hirszfeld Zalman 299
 Hitler Adolf 171, 172, 175, 181–183, 201, 267, 277, 289
 Hofman Alter 226, 227, 229, 233–236, 239
 Hofstein Dawid 217

 Honig Jerachmil 305
 Hugo Victor 142

 Infeld Jozua 283
 Iwan Wolf 230

 Jabłon Henryk 191
 Jackan Samuel Jakub 266
 Jafe Cwi 265
 Jakimszyn-Gadocha Anna 203
 Jakubowicz Roza 300, 301
 Janasowicz Icchak 11, 12, 174, 229, 243, 299
 Jano J. 199
 Janowski Chaim 265
 Jaracz Stefan 171
 Jarblum Michoel 288
 Jarblum Mordechaj 288
 Jarociński Zygmunt 59, 82, 116
 Jaszke, towarzysz Ślepego Maksa 206
 Jedlicki Wolf 118
 Jesienin Sergiej 245, 254, 255
 Jędras Stefan 84
 Joachimowicz Abram 230
 Joskowicz E. 198
 Jung Klara 142

 Kabak, dyrektor teatru 187
 Kabaker Kalman 154
 Kac Icek Josef 83
 Kacnelson Icchak 174, 227, 268, 276, 295, 296, 298–301
 Kac Icchak Josef 118, 276
 Kac Pinkas 276
 Kacyzne Alter 102
 Kaczka Jankiel, pseud. Morgenstern Jankiel, Lerer 262–264
 Kagan Berl 261
 Kahan Izrael 249, 272, 279, 280
 Kahan Lazar 249, 266, 269, 272, 273, 280–284, 286, 287, 293

- Kahanowicz Pinkus, pseud. Der Nister 225
- Kahan Szymon 272
- Kajdanower Cwi Hirs 68
- Kalińska Rojza Itka 114
- Kalińska Roza 114
- Kaliński Mosze 113, 114, 119
- Kapel Aleksander (Mukdoni) 275
- Kapelusznik vel Lewkowicz Mordka 159
- Karnowski, opiekun M. Smolarza 230, 231
- Karp Perec (Paweł) 76, 103, 104, 107, 111, 115, 118, 119, 123, 124
- Karp Ruben 77, 103
- Kasman Mosze, pseud. Kazanower 185, 193, 304
- Kautski Karl 152
- Kaznakow Nikołaj 86
- Kempa Andrzej 126
- Kerr Alfred 171
- Kintzler Rudolf 67
- Kipper Elżbieta 101
- Kipnis Menachem 217
- Kirchow Ida 67
- Kirchow Rajngold 67, 67
- Kirschbaum Jakow 292
- Kissyn Bencjon 118
- Kobrin Leon 188
- Kochański Mendel 293
- Kohen Cwi 264, 266, 269, 280, 293, 299, 301
- Kojfman Ch. 218
- Kołodziej Karolina 282
- Kon Abram 218, 297
- Kon Elisza 303
- Kon Henoch 150, 153, 191, 194, 195, 202, 221, 276, 300
- Kon Motl 162, 163, 187
- Kon Oszer 218
- Kopelzon 95, 96
- Korczak Janusz 122, 286
- Korn A. 198
- Korzec Paweł 80
- Kramer Wilhelm 129, 213
- Krapienik J. 198
- Kriszek M. 266
- Król Chaim 244, 299, 301
- Krynica Natalia 11, 13, 213, 243, 256, 259
- Kucner Monika 282
- Kuhn Johanan 289
- Kunitzer Juliusz 70, 83
- Kuperminc Berisz 113
- Kuperszmidt Lejb 229
- Kuropatkin Aleksiej 77
- Kusewicz Mosze 198
- Kutner Joszuele 302
- Kutner Markus 83
- Kutner Szlojme 213
- Lande Zygfryd 107
- Laskowski Piotr 203
- Lederman Szlojme 111
- Lejwik Halper 148
- Lejzerowicz Icchak Elizer 276
- Lekert Hirs 255
- Lenin Włodzimierz 152, 272
- Lerman Elje 175
- Lermontow Michaił 294
- Lewi Josef 291, 292
- Lewinson Abram 294
- Leyko Małgorzata 11
- Libeskind Mojżesz 263
- Lichtenberg Pinkus 116, 118
- Lichtenstein Icchok 278
- Lichtenstein Izrael 279
- Lichtensztajn Israel 278, 298, 299
- Lilith Ola, właśc. Cederbaum-Cedrowska Łaja 195, 196
- Lipiński, właściciel piekarni 67
- Lipiński Lejbuś 115
- Lipman Mosze 161
- Lipstein Rahel 59

- Lipszyc Chaskiel 275
 Lisek Joanna 11
 Lojfer Mosze 218, 237, 247
 Löw Leo 266, 267, 274
 Lubliner Szymon 129, 130
 Lubochiński 127
 Luboszycki Aron 277
 Lukrecjusz 238
 Lusternik Malkiel 299

 Maeterlinck Maurice 238
 Majakowski Włodzimierz 224
 Majerowicz Jankiel 107
 Majewski Hilary 70
 Majmon Hillel 275, 283
 Majzel Eliahu Chaim 80, 120
 Makarow Stepan 77, 79
 Makosz Julia 13, 207, 215
 Makowerowie 117
 Makower Wolf 116
 Manger Icyk 152, 174, 224
 Manteufel Adolf 149
 Marinetti Tommaso 224
 Mark Ber 82
 Markisz Perec 217, 221
 Marks Karol 152, 250
 Mastbaum Joel 273, 296, 299
 Maśliański Cwi 266, 271
 Matus Dina 304
 Melech Lejb 286
 Mendele Mojcher Sforim 273
 Mendel Gelbart 227
 Mendelson Szlojme 162, 163
 Mendżycki Mojsze 274
 Meyer Morris 270
 Miedziński Gustaw 246, 247
 Milawski Cwi 266, 267
 Milman Szmuel 279
 Milner Henryk 142, 143, 157
 Minc Josef 76
 Minc Pinkus 5, 12, 59

 Muchnicki Hersz 117
 Modelski Krzysztof 244
 Mojmac Dawid 218
 Mołotow Wiaczesław 181
 Monic Józef 107, 108
 Morewski Abraham 11, 152
 Morgenstern A. 266
 Moszkowicz Hejman 107, 108
 Moszkowicz Ignacy 107, 108, 198, 199
 Mussolini Benito 201

 Nachman z Braclawia 154
 Nadir Mojsze 148, 174, 277, 294
 Najberg Jerachmil 229
 Najdus Lejb 304
 Najman Jecheskiel Mojsze 152, 224, 257, 259, 276, 281, 293, 299, 300
 Nejgoldberg Eliahu 291
 Nelken Mojżesz 187, 193, 194, 299, 304
 Nietzsche Fryderyk 229
 Nisenhaus Chaim, ps. Dandy 277
 Nomberg Hersz Dawid 102, 243, 247, 286, 302
 Nosacz Bejlusia 212, 213
 Nosacz Icze 212
 Nudelman M. 200
 Nudelman Szymon 173

 Obarzanek Jakub 199–201, 292, 294, 308
 Ochocki Adam 151
 Ogniew Mikołaj 294
 Oguz Maks 279
 Okrutny Josef (właśc. Turko Josef), pseud. Nirwan 12, 15, 48, 49, 224, 295, 299
 Olejnik Izabela 256, 258
 Olszer Dawid 86, 87
 Onuchy I.Z. 274
 Ormian Chaim 291
 Osterwa Juliusz 171
 Ostrowski A. I. 275

- Pakuła Ruta 185
Perec Icchak Lejb 101, 148, 188, 198,
238, 239, 247, 265, 272, 273, 296,
302, 305
Perlmutter Abraham 265, 266
Perlmutter Efraim Fiszel 266
Perlow Icchak 174
Peterman Mania 187, 304
Pfeffer Heinrich 18, 43
Pieńkowski Władysław 76
Pietrych Krystyna 256
Pietrych Piotr 13, 256
Pilcer Jojne 5, 43–46, 48, 50
Pilcerowa, żona Jojne 46
Pilcer Szmelke 116
Piłsudski Józef 98
Pinsker Leon 288
Piotrkowski Szmuel 117
Pliat Icze Majer 266, 270, 280
Pływacki Icchok 289
Poe Edgar Alan 254
Polit Monika 13, 275, 314
Porecki Ber 275
Potasz Rikuda 299
Potaszyński A. 196
Poznańska Leonia 119
Poznański Chaim Lejb 279
Poznański Icze Majer 266, 301
Poznański Izrael 23–29, 61, 77, 86, 103,
104, 108, 119, 122, 123
Poznański Kalman 25, 26
Poznański Maurycy 86, 104, 116
Preger Jakob 262
Pribulski Lejb 274
Prus Bolesław 288
Prussak Abram 90
Pruszyński Jehuda 248
Pryłucki Noach 259, 272
Puławer Mojżesz 12, 185, 187, 193, 194,
253, 304
Puszkina Nikołaj 294
Rabinowicz Chana z d. Gerson 285
Rabinowicz Szymon 292
Rabon Izrael 11, 12, 153, 219, 225, 243–
259, 295, 299, 301–303, 307
Radoszycki Icchak Hersz, pseud. Rado-
-Rado 251, 264, 270, 294, 299, 301,
302
Radziszewska Krystyna 11, 13, 203, 210,
243, 256, 258, 267, 285
Rajfeder Jakow 286
Rapel Malwina 196
Raszelbach A. 189
Raszi, właśc. Icchak Szlomo 73
Rawicz Mejlech 217, 302
Rawin Icze 284
Rawin Josef 284
Reibach Agata 13, 227
Rejnglas Jakub 187, 193
Rejzen Abram 229, 273, 286
Rembrandt 280
Reymont Władysław 9, 119
Ribbentrop Joachim von 181
Rilke Rainer Maria 255
Rimbaud Arthur 253, 254
Ritt Joanna 10
Riwkind Icchak 289, 297
Rodenberg 186
Rogoziński Mosze 117
Rojze, żona Herszele Rzeźnika 89
Romanow Aleksy 72
Romanow Mikołaj 72, 78
Rosenfarb Chawa 11
Rotbart Mejlech 218
Rousseau Jean-Jacques 233, 242
Roza, córka nauczyciela 132
Rozenberg Izrael 187, 293
Rozenblat Jerzy 288
Rozenblatt Szaja 104, 116
Rozenblum Mikołaj 67
Rozenblum R. 102
Rozencwajg Jechiel 299

- Rozenfeld I. 280
 Rozenfeld Moris 229
 Rozier Gilles 10
 Rubin Herc 187
 Rubino Dora 187
 Rubino Fania 187
 Ruchla Kalińska 113
 Rumkowski Mordechaj Chaim 223, 278, 295
 Ruta Magdalena 11, 13, 15, 183, 225, 242
 Ryba, dyrektor teatru 161, 169
 Ryder Teodor 190
 Rywcia, żona śpiewaka Berke 208, 210
 Rzeźnik Herszel 89

 Salwa Majlech Hersz 266
 Sandler Chaim 161
 Scheibler Karol 23, 61, 118, 122
 Schiper Icchak 162, 163
 Schopenhauer Arthur 229
 Schülze Wienfried 9
 Segalowicz Zysman, pseud. Aleksander Jawec, Swengali 174, 266, 269, 272, 278, 299
 Sendacz Jakow Majer 267
 Sforim Mendele Mojcher 198, 199, 273
 Shmueli Efraim 277
 Siemiatycki Chaim 152, 174
 Sienkiewicz Henryk 288, 294
 Sieradzki, kuzyn Jankiela Kaczki 264
 Silberstein Joachim 23
 Silberstein Markus 86, 87
 Silberstein Mieczysław 86, 87
 Silberstein Sara 86
 Singer Berele pd. Regnis 294
 Singer Izrael Joszua 217, 278
 Słonimski Antoni 178, 179, 180
 Słonimski Chaim Zelig 178
 Słowacki Juliusz 142
 Smolarz Mosze Josef 226–233, 244

 Smoleński Perec 239
 Sochaczewski Jechiel Majer (Ben Awrom) 266, 270
 Sokołow Nachum 235, 239, 289
 Solnik Herman Joel 301
 Spektor Mordechaj 273, 276
 Stalin Józef 183, 221
 Stempin Inka 11, 267
 Sterling Seweryn 121, 122
 Strawczyński W. 189
 Strongin Lew 16
 Strugacz Józef 196
 Struk Herman 286
 Suzanowicz J. 196
 Szajewicz Symcha Bunim 174, 229
 Szalit Isroel 288
 Szalom Asz 264, 273, 275
 Szczawiński Josef Baruch 225
 Szefer Baruch 152, 282
 Szejne Miriam właśc. Sonia Broderson 165, 166, 170, 187, 193, 218, 250, 305
 Szekspir William 152, 237
 Szeps Jakub 116
 Szifer J. 186, 187
 Szlezinger Abram 293
 Szmojsz Abram 279
 Szmul Bunin 292
 Szmulowicz Elimelech 276, 300, 301
 Szolem Alejchem 141, 174, 243, 273, 302, 303
 Szpigel Jeszaje 299
 Szpigel Szymon 277, 293
 Sztajnman A. 264
 Szejn Abner, właśc. Bornsztajn 271
 Sztessel Anatolij 77
 Sztift P.H. 300
 Sztilerman Chaim Icek 116
 Sztrauch Zerach 290
 Szukalak Marek 126
 Szulc Adolf 84

- Szulman Jakub 283
Szumacher Izrael 129, 170–172, 174–180, 183, 187, 192, 197, 198, 282, 304
Szwarcberg H. 189
Szwarc Jisachar 271
Szwarcman Dawid 279
Szwarc Mark 194, 301
Szwider J. 188, 189
Szyba Anna 13, 57
Szyk Artur 274, 277
Szykier Ezra 107–109
Szykier Sara 109
Szylis Hersz 225
Szymel Mosze 174
- Ślepy Maks 206, 207
- Tabak A. 201, 202, 270
Tabaksblat Israel 270
Tagore Rabindranath 142, 247
Taine Hipolit 298
Tartakower Arie 291
Tenenbaum (Arazi) Abram 265, 266
Tolczyn Mosze 271
Toller Ernst 277
Tołstoj Lew 142, 229
Tompaner M. 186
Traeger Franciszek 49
Trajstman Lajzer Lajb 120, 274
Trajstman Simcha 274, 297, 298
Trajstman Szalom 301
Trajstman Szolem 274, 301
Tristian Bernard 171
Trojanow Mosze, właśc. Trojanowski 226, 227, 229, 241
Trunk Chaim Awrom 303
Trunk Jechiel Jeszaja 11, 232, 237, 259, 262, 302, 303, 307
Trybownik Szmul 238, 239
Trzeciak Stanisław 173, 174
- Tunkel Josef 186, 200
Turkow Zygmunt 11
- Uger Jeszaja 222, 266–268, 270–274, 278–280, 286–288, 294, 295
Ulinower Dina Ruchla 285
Ulinower Hinda 285
Ulinower Miriam 12, 82, 225–227, 284–286, 300, 301
Ulinower Wolf 284
- Wajc A. 187
Wajcman Chaim 201
Wajc Sz. 186, 187
Wajnper Zisze 254
Wajnsztokom Simi 304
Wajnsztok Simche 299
Wajnzaft Jakow 298, 299
Wajnzaft Pinkus 298
Wajswohl Icchok Jakow 265
Waks B. 101, 116
Waksenberg Mendl 163
Warchiwker Jakub 115
Warda Anna 282
Warszawski Abraham 127
Weichert Michał 163, 217
Weinreich Max 268
Weintraub Pinkus 250
Weisenberg Icchak Majer 102, 217, 218, 228, 232, 247, 273, 301
Weis Gecel 89–94, 97
Wiatr Ewa 11, 13, 203, 267
Wielopolski Aleksander 48
Wilczyński Maks 67, 77
Wild Oscar 302
Wileński Mojsze 274
Winder Meir 169
Winer Benjamin 116
Winer Majer 15
Winer Mosze Aron 117
Winograd Eliahu 271

- Winograd Ludwik 271
Wiślicki Chaim Jankiel 117
Wodnik Chaim 12, 203, 204, 235–239, 247, 249, 258, 264
Wodnik Josel 229
Wojdysławski Jakub 115, 117
Wolter 238
Wołkoński Aleksander, hrabia 171
Wróblewski 127

Zachariasz Berl 305
Zachariasz Chaim 305
Zac Majer 238
Zajączek Józef 48
Zak Awrom 282
Zaks Józef 116
Zaks Sz. 266
Zalkind Jankiel Majer 267
Zamoyski hr. 153

Zejde Majer 290
Zelman Pinchas 248
Zilbercweyg Cwi Hirs 266
Zilber Lea 187
Zilbersztajn Stanisław 116
Zimmermann Heinrich 266, 267
Złódziej Abramek 130–132
Zonenberg Pinchas 293
Zylbercwaig Celia 287
Zylbercwaig Cwi Hirs 271
Zylbercwaig Zalmen 271, 286, 287
Zylbersztajn Benisz 283, 284
Zytman Dawid 299, 302

Żabotyński Wolf 201
Żak B. 189
Żuławski 288
Żychylińska Rejzla 152
Żytnicki Hersz Lejb 280, 281, 284, 300